

Kevin J. Anderson

W poszukiwaniu Jedi

(Jedi Serach)

Przełożył: Andrzej Syrzycki

Kevin J. Anderson

W poszukiwaniu Jedi

(Jedi Serach)

Przełożył: Andrzej Syrzycki

Rozdział 1

Jedna z czarnych dziur w sąsiedztwie planety Kessel wyciągała po „Tysiącletniego Sokoła” macki grawitacji, by zwabić go chociaż trochę bliżej. Nawet mimo cętkowanej mgiełki nadprzestrzeni Han Solo widział ogromną deformację przestworzy, podobną do nieregularnego wodnego wiru starającego się wessać jego statek w nieskończoną pustkę.

– Hej, Chewie! – zawołał. – Czy nie sądzisz, że lecimy za blisko? – Popatrzył na ekran nawigacyjnego komputera „Sokoła”. Bardzo żałował, że nie obrał kursu wiodącego w bezpieczniejszej odległości od Otchłani. – Myślisz, że to jeszcze jedna wyprawa przemytnicza? Tym razem nie mamy niczego do ukrycia.

Chewie, siedzący obok, spojrzał na niego, wyraźnie rozczarowany, i mruknął coś, co miało oznaczać przeprosiny. Równocześnie wykonał zamaszty gest włochatą ręką, poruszając nieco zatechłe powietrze sterowni statku.

– Ta-a, tym razem to wyprawa oficjalna – oświadczył Han. – Koniec z chowaniem się po kątach. Postaraj się zachowywać jak dyplomata, dobrze?

Chewbacca w odpowiedzi burknął coś sceptycznie, a potem odwrócił się i spojrzał na ekrany nawigacyjne „Sokoła”.

Han poczuł przelotne ukłucie bólu, gdy pomyślał, że oto powraca do dobrze znanego miejsca. Przypominał sobie czasy, kiedy przemyczał transporty przyprawy i wymykał się pościgom imperialnych statków patrolowych. Wtedy jego życie było jeszcze lekkie i przyjemne.

W czasie jednej z tamtych szalonych wypraw on i Chewbacca prawie zdarli spodnią płytę ochronną „Sokoła”, kiedy podczas jakiegoś skrót zblżyli się do gromady czarnych dziur Otchłani bardziej niż ktokolwiek inny przed nimi. Rozsądni nawigatorzy starali się omijać te strony, i wybierali dłuższe szlaki wiodące z daleka od czarnych dziur, ale duża prędkość „Sokoła” pozwoliła mu wtedy przelecieć bezpiecznie na drugą stronę, dzięki czemu długość drogi na Kessel nie przekroczyła dwunastu parseków. Mimo to tamta wyprawa i tak zakończyła się katastrofą. Han musiał wyrzucić w przestrzeń cały ładunek przyprawy, zanim pozwolił imperialnym urzędnikom wejść na pokład statku.

Tym razem leciał na Kessel w zupełnie innym charakterze. Żona Hana, Leia, ustanowiła go oficjalnym reprezentantem Nowej Republiki; miał więc pełnić tam funkcję kogoś w rodzaju ambasadora, chociaż tytuł ten miał znaczenie cokolwiek symboliczne.

Jednak i symboliczne tytuły miały swoje zalety. Han i Chewbacca nie musieli uciekać przed ścigającymi ich imperialnymi patrolowcami, przemycać się pod sieciami planetarnych systemów ostrzegawczych czy korzystać z tajnych skrytek pod płytami pokładu statku. Han Solo znajdował się w niecodziennej, krępującej go sytuacji osoby cieszącej się poważaniem. Nie można było tego wyrazić innym słowem.

Najnowsze obowiązki Hana nie były jednak tylko dziwacznymi kłopotami. Jego żoną była księżniczka Leia – któż mógłby sobie to wyobrazić? – która urodziła mu troje dzieci.

Han odchylił się w fotelu pilota i zaplątał palce dłoni z tyłu głowy, a potem pozwolił, żeby na jego twarzy zagościł tęskny uśmiech. Widywał dzieci tak często, jak mógł, odwiedzając je w strzeżonym, odosobnionym miejscu na planecie, której nazwa nie figurowała na żadnych gwiazdnych mapach. Bliźnięta powinny znaleźć się na Coruscant w ciągu najbliższego tygodnia. Trzeci mały brzdąc, Anakin, nie przestawał zdumiewać Hana, który często łaskotał go pod żebrami, obserwując, jak na twarzy dziecka pojawia się uśmiech.

Han Solo statecznym ojcem? Leia dawno temu oświadczyła, że lubi „statecznych mężczyzn” – a Han był na najlepszej, drodze, żeby zmienić się w kogoś takiego.

Nagle spostrzegł, że Chewbacca przygląda mu się kątem oka. Usiadł prosto i skupił uwagę na wskazaniach przyrządów i czujników statku.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał. – Czy nie czas wychodzić z tego skoku?

Chewie burknął twierdząco, a potem włochatą ręką uchwycił rękojeść dźwigni napędu nadprzestrzennego. Przez chwilę obserwował cyfry przeskakujące na kontrolnym pulpicie i w odpowiedniej chwili pociągnął dźwignię ku sobie, dzięki czemu statek powrócił do normalnej przestrzeni międzygwiazdnej. Rozmazane wielobarwne smugi światła gwiazd, widzianych w nadprzestrzeni, przemieniły się w pojedyncze ogniki z rykiem, który Han bardziej odczuł niż usłyszał, i po chwili otaczała ich znów dobrze znana świetlna mozaika.

Za rufą statku pozostał widok Otchłani przypominający krzykliwe malowidło dzięki chmurom zjonizowanego gazu wpadającego do gardzieli wielu czarnych dziur. Prosto przed dziobem „Sokoła” było widać niebieskobiały blask słońca Kessel. Kiedy statek obrócił się, żeby zrównać się z ekliptyką, oczom lecących ukazała się sama planeta. Przypominała nieduży ziemniak, za którym ciągnęły się wstęgi uciekającej atmosfery. Wokół Kessel krążył duży księżyc, na którym znajdowała się kiedyś baza żołnierzy imperialnych.

– Jesteśmy na miejscu, Chewie – odezwał się Han. – Teraz pozwól, że ja zajmę się sterami.

Planeta wyglądała jak senny koszmar. Poruszała się po orbicie zbyt ciasnej, żeby mogła utrzymać własną atmosferę. Olbrzymie zakłady przetwórcze nieustannie kruszyły nagie skały, uwalniając z nich tlen i dwutlenek węgla, dzięki czemu, żyjący tam ludzie mogli chodzić ze zwykłymi maskami tlenowymi, a nie w skomplikowanych kosmicznych kombinezonach. Duża część wzbogaconej w ten sposób atmosfery uciekała jednak w przestworza, ciągnąc się za małą planetą niczym warkocz gigantycznej komety.

Chewbacca wydał nosowy pomruk, co zazwyczaj oznaczało jakąś uwagę. Han kiwnął głową na znak, że się zgadza.

– Ta-a, z tej wysokości jest naprawdę wspaniała. Jaka szkoda, że z bliska wygląda zupełnie inaczej. Jakoś nigdy nie polubiłem tego miejsca.

Kessel zaliczała się do najważniejszych planet produkujących przyprawę. Dzięki temu była miejscem, którym interesowali się niemal wszyscy przemytnicy, ale także siedzibą jednego z najcięższych więzień w całej galaktyce. Imperium kontrolowało całą produkcję przyprawy – rzecz jasna, jeżeli nie liczyć tego, co przemytnikom udawało się wykraść mimo czujności imperialnych strażników. Po upadku Imperatora całą władzę nad planetą przejęli przemytnicy i więźniowie przebywający wówczas w imperialnym zakładzie karnym. W czasach wielkiego admirała Thrawna i odrodzonego Imperium nowi władcy planety nie dawali znaku życia, starając się siedzieć jak myszy

pod miotłą i nie odpowiadając na wezwania o pomoc czy ratunek.

Nagle z gardła Chewiego wydobył się basowy pomruk. Han westchnął i pokręcił głową.

– Posłuchaj, chłopie, ja też nie jestem zachwycony tym, że muszę tu wracać. Ale wszystko wygląda teraz inaczej niż kiedyś, a nas uznano za najlepszych do tej pracy.

Koniec wojny domowej i ponowne umocnienie się Nowej Republiki na Coruscant, mimo że niewielkie, rozproszone floty statków imperialnych wciąż walczyły ze sobą, było najlepszym czasem do rozpoczęcia negocjacji. Lepiej będzie przeciągnąć ich na naszą stronę niż pozwolić, by sprzedali swoje usługi komuś przypadkowemu – pomyślał Han. – Choć zapewne i tak kiedyś to zrobią. Mara Jade, będąca teraz reprezentantką wszystkich zjednoczonych przemysłowców, dawna nemezis Luke, próbowała nawiązać kontakt z władcami planety, lecz została odprawiona z kwitkiem.

„Tysiącletni Sokół” zbliżał się do Kessel. By uwzględnić ruch obrotowy planety, Han włączał co jakiś czas silniki rufowe. Przygotowywał się do wejścia na orbitę. Na ekranach skanerów sterowni obserwował pozycję swojego statku.

– Już prawie jesteśmy na miejscu – oświadczył.

Chewie burknął coś i wskazał na ekrany. Han popatrzył uważniej i dostrzegł obok planety jakieś jasne plamki wyłaniające się z otaczających ją chmur atmosfery.

– Widzę je – powiedział. – To chyba jakieś małe statki. Za daleko, żeby je rozpoznać. – Zlekceważył niespokojne warknięcie Chewiego. – No dobrze, po prostu powiemy im, kim jesteśmy. Nie martw się. Jak myślisz, dlaczego Leia robiła tyle szumu o to, żeby wyposażyć nasz statek we wszystkie niezbędne dyplomatyczne sygnały identyfikacyjne i tak dalej?

Włączył sygnał namiarowy Nowej Republiki, który w basicu i kilku innych językach automatycznie identyfikował jego statek. Ku swojemu zdumieniu stwierdził jednak, że wszystkie statki widoczne na ekranach jak na rozkaz raptownie przyspieszyły i zmieniły kurs, by skierować się ku „Sokołowi”.

– Hej! – zawołał, dopiero po chwili uświadamiając sobie, że nie uruchomił kanału łączności fonicznej. Chewie warknął. Han szybko wcisnął przełącznik. – Tu mówi Han Solo z pokładu „Tysiącletniego Sokoła”. Lecimy w misji dyplomatycznej. – Przez jego głowę przelatywało setki myśli, kiedy starał się znaleźć słowa, jakich użyłby prawdziwy dyplomata. – Hmm... Proszę powiedzieć, co chcecie zrobić.

Dwie najbliższe jednostki zbliżały się bardzo szybko i po chwili Han mógł dostrzec na niebie jasne punkty, które wkrótce nabrały realnych kształtów.

– Myślę, Chewie, że powinniśmy włączyć wszystkie osłony – powiedział. – Mam przeczucie, że mogą być potrzebne.

Kiedy Chewie uruchomił generatory ochronnych pól siłowych, Han ponownie włączył przycisk uruchamiający radiostację, ale potem popatrzył przez dziobowy iluminator. Dwie nadlatujące jednostki, które w czasie lotu oddaliły się od siebie, zbliżały się niewiarygodnie szybko. Na widok ich rozłożonych kanciastych paneli baterii słonecznych i centralnie umieszczonej kabiny pilota Han poczuł, jak krew w jego żyłach zamienia się w lodowatą wodę.

Myśliwce typu TIE.

– Chewie, chodź tutaj – rozkazał. – Ja idę zająć się działkiem.

Zanim Wookie miał czas odpowiedzieć, Han wspiął się po drabince do wieżyczki działka. Uchwycił się oparcia fotela artylerzysty i spróbował ocenić wpływ nieznanego pola grawitacyjnego.

Myśliwce typu TIE rozpoczęły atak od strony obu skrzydeł, nadlatując od góry i od dołu „Sokoła”

i strzelając z laserów.

Kiedy statek zadrżał od trafień, Han jednym skokiem znalazł się w fotelu i chwyciwszy pasy bezpieczeństwa, usiłował zatrzasać klamry. Pierwsza atakująca maszyna przeleciała nad jego głową, a głośniki wszystkich paneli kontrolnych statku zawyły dźwiękiem bliźniaczych silników jonowych, od których maszyny bojowe typu TIE brały swoją nazwę. Drugi nieprzyjacielski myśliwiec wystrzelił także, ale tym razem smugi światła przeszły przestrzeń, nie wyrządzając „Sokołowi” żadnej szkody.

– Chewie, zacznij robić uniki! – wrzasnął Han. – Nie leć prosto, jakby nic się nie działo!

Wookie zaryczał coś w odpowiedzi, a Han krzyknął:

– Nie wiem! Ty pilotujesz teraz statek, więc musisz sam decydować!

Było jasne, że Kessel nie zamierzała rozwinąć czerwonego dywanu na ich powitanie. Czyżby została opanowana przez jakiś oddział Imperium zagubiony w przestrzeni? Jeżeli tak, Han musiał jak najszybciej powiadomić o tym Coruscant.

Inne statki znajdowały się coraz bliżej. Han był dziwnie pewien, że nie lecą po to, by mu pomóc. Tymczasem dwa myśliwce za rufą „Sokoła” wykonywały zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, szykując się do drugiego ataku.

Han w tym czasie przypiął się do fotela i włączył zasilanie baterii lasera działka. Widoczny na ekranie celowniczym cyfrowy obraz atakującego myśliwca powiększał się z każdą chwilą. Nieprzyjacielska maszyna zbliżała się coraz bardziej. Han zacisnął kciuki na dźwigni spustu działka, przekonany, że pilot myśliwca typu TIE robi w tej chwili to samo. Czekał jednak, czując na karku krople potu. Uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech. Jeszcze jedna sekunda. Jeszcze jedna... aż krzyż celownika działka pokazał dokładnie środek sterburtowego skrzydła maszyny wroga.

Jednak w tej samej chwili, w której Han przycisnął czerwony guzik na dźwigni działka, Chewie, chcąc uniknąć trafienia, wykonał gwałtowny zwrot. Smugi ognia laserowego działka „Sokoła” przeszły niebo w dużej odległości od myśliwca i poszybowały ku odległym gwiazdom. Strzał z lasera maszyny typu TIE także chybił, kierując się w przeciwną stronę i niemal ocierając się o kadłub drugiego myśliwca.

Pilot tamtej jednostki skorygował jednak trajektorię lotu na tyle szybko, że oba strzały jego lasera zostały przechwycone przez osłony „Sokoła”. Han usłyszał, jak we wnętrzu pulpitu sterowniczego statku coś skwierczy. Chewie ryknął, informując o uszkodzeniach. Okazało się, że stracili osłaniające ich pola rufowe. Działały jedynie generatory pól dziobowych. Oznaczało to, że od tej chwili musieli być zwrócenii do nadlatujących nieprzyjacielskich maszyn typu TIE zawsze przodem.

Kiedy pierwszy myśliwiec zawracał, chcąc zaatakować „Sokoła” po raz trzeci, Han obrócił lufę laserowego działka tak daleko w bok, jak było możliwe, i ponownie popatrzył na ekran celowniczy. Bardzo pragnął zestrzelić atakującego go drania. Dysponując pełną mocą baterii laserowych, mógł pozwolić sobie na kilka niecelnych strzałów, pod warunkiem że walka nie przeciągnie się w nieskończoność.

Gdy tylko krzyż celowniczy znalazł się na tle sylwetki myśliwca, Han z całej siły wcisnął guzik wyzwalający laser, posyłając śmiertcionośną świetlną wiązkę tuż przed dziób nieprzyjacielskiej maszyny. Imperialny pilot szarpnął stery, ale nie był w stanie zmienić kursu dość szybko i smugi laserowych błysków dotarły do celu.

Eksplodowały zbiorniki paliwa i statek zamienił się w oślepiająco jasną kulę ognia. Han i Chewie w tej samej chwili krzyknęli z radości. Mimo euforii Han nie mógł jednak siedzieć

bezczytnie i cieszyć się ze zwycięstwa.

– Zabierzmy się do tamtego, Chewie – polecił. Pilot drugiego myśliwca typu TIE zataczał właśnie szeroki łuk z przeciwnej strony, ale widząc, jaki los spotkał jego kolegę, skierował maszynę z powrotem ku Kessel. – I to szybko, zanim zdąży ściągnąć posiłki.

Zastanawiał się, czy przypadkiem on i Chewbacca nie powinni natychmiast wykonać zwrotu i odlecieć. Jednak duma nie pozwalała mu pogodzić się z faktem, że ktoś mógłby strzelać do „Sokoła” i bezkarnie uciec.

Chewbacca zwiększył prędkość, dzięki czemu odległość dzieląca maszynę typu TIE i ich statek zaczęła maleć.

– Daj mi szansę jednego dobrego strzału, Chewie – odezwał się Han. – Jednego dobrego strzału. Znajdowali się na pokładzie nie oznakowanego zmodyfikowanego lekkiego frachtowca i Han nie widział żadnego powodu, dla którego myśliwce typu TIE miałyby bez uprzedzenia otwierać do nich ogień. Czy stało się tak, gdyż wysłali sygnał namiaru identyfikujący ich jednostkę jako statek Nowej Republiki? Co właściwie działo się na Kessel? Leia myślała przecież o wszystkim przez wiele godzin, analizując możliwe sytuacje i opracowując odpowiednie scenariusze. Obarczona tak wieloma dyplomatycznymi obowiązkami, z każdym dniem poświęcała coraz więcej czasu na myślenie i analizowanie. Powoływała komitety i starała się rozwiązywać problemy na drodze negocjacji. Han wiedział jednak, że polityczne kompromisy nie zdadzą się na nic, kiedy jest się pod ostrzałem działek imperialnego myśliwca.

Gdy ścigali drugą maszynę typu TIE, umykającą teraz w stronę Kessel, za rufą „Sokoła” i nieco w górze pojawił się kolejny statek. Han posłał ku myśliwcowi kilka serii, ale wszystkie chybiły. Później musiał zwrócić uwagę na jednostkę lecącą za nimi. „Sokół” miał przecież uszkodzone generatory ochronnych pól rufowych.

Chewbacca zawołał coś do niego z dołu. Han spojrzał i przeżył tego dnia drugą niespodziankę.

– Widzę go, widzę! – odkrzyknął.

Od strony rufy nadlatywał myśliwiec o skrzydłach tworzących literę X i stopniowo zmniejszał odległość dzielącą go od „Sokoła”, wciąż kierującego się ku powierzchni Kessel. Han zaryzykował jeszcze jeden strzał na chybił trafił w stronę umykającej maszyny typu TIE. Nawet z tej odległości widział, że zbliżający się myśliwiec typu X jest zniszczony i stary, jakby poddawano go wielokrotnym naprawom.

– Chewie, połącz się z jego pilotem i powiedz, że jesteśmy mu wdzięczni za wszelką pomoc, jakiej zechciałby nam udzielić – polecił.

Odchyliwszy się w fotelu artylerzysty, starał się znów skupić uwagę na poprzednim celu.

Uciekający myśliwiec typu TIE przecinał właśnie mgliste pasmo ogona ciągnącej się za Kessel atmosfery. Kiedy duża prędkość maszyny spowodowała jonizację cząsteczek gazów, Han dostrzegł jasno świecącą smugę.

I wówczas pilot lecącego za nimi myśliwca typu X otworzył ogień. Promień lasera trafił w górną część „Sokoła”, zwęglając wystającą z niej paraboliczną antenę.

Han i Chewie krzyknęli do siebie, rozpaczliwie zastanawiając się, co robić. Chewbacca niemal odruchowo szarpnął stery i wprowadził statek w lot nurkowy ku obłokom atmosfery Kessel.

– Obróć nas! Obróć nas! – krzyknął Han. Musieli przecież osłaniać przed ogniem nieprzyjacielskiej maszyny część rufową statku pozbawioną pól ochronnych.

Tymczasem pilot myśliwca typu X strzelił znowu i tym razem trafił laserowym ogniem w kadłub

„Sokoła”. Wszystkie światła we wnętrzu statku zgasły. Po sile wstrząsu i stopniu przechyłu Han zorientował się, że trafienie było poważne. Zaczynał czuć swąd czegoś, co paliło się pod pokładem. Po chwili włączyło się migające oświetlenie awaryjne.

– Musimy się stąd wynosić! – zawołał do Chewiego.

Chewbacca warknął coś, co w języku Wookiech mogło oznaczać tylko: „Nie żartuj, chłopie”.

Zanurkowali w jedno z pasm atmosfery i natychmiast odczuli szarpnięcie, z jakim cząsteczki gęstego gazu zaczęły bombardować statek. Po chwili otoczyła ich pomarańczowo-błękitna poświata, dowodząca, że gaz się rozgrzewa. Nieprzyjacielski myśliwiec typu X wciąż ich ścigał, co jakiś czas strzelając.

Przez głowę Hana przebiegało setki myśli. Mógłby przelecieć tuż nad powierzchnią Kessel po orbicie tak ciasnej, by wyprysnąć po drugiej stronie jak kamień wyrzucony z procy, a później zniknąć w nadprzestrzeni. Kłopot w tym, że tak blisko gromady czarnych dziur żaden pilot nie odważyłby się na skok w nadprzestrzeń bez przeprowadzania przedtem dokładnych obliczeń, a na to ani on, ani Chewie po prostu nie mieli czasu.

Lecąc z zamienioną w żużel anteną, Han nie mógł ani wezwać pomocy, ani też podjąć próby negocjacji z dowódcą podstępного myśliwca typu X. Nie mógł nawet powiadomić go, że chce się poddać! Znalazł się więc w sytuacji bez wyjścia.

– Chewie, jeżeli masz jakiś pomysł... – zaczął.

Urwał i zamarł z otwartymi ustami. Jego oczom ukazał się widok wielu fal statków startujących z garnizonu na księżycu planety, by zaciągnąć obronną sieć, przez którą mały frachtowiec w żaden sposób nie będzie mógł się przedostać.

Han ujrzał dosłownie setki statków wszystkich możliwych rodzajów i wielkości: od niewielkich wyremontowanych myśliwców do skradzionych luksusowych liniowców. Znalazszy się pod osłoną tak wielkiej armady, uciekająca maszyna typu TIE wykonała ciasny skręt i dołączyła do reszty grupy. Niemal w tej samej chwili wszystkie statki otworzyły ogień, a smugi błyskawic ich turbolaserów przecięły przestrzeń niczym gigantyczne sztuczne ognie.

Pomimo pstrokatego wyglądu floty Kessel jej broń była w doskonałym stanie. Potwierdziły to czujniki „Sokoła”.

Tymczasem atakującemu myśliwcowi typu X udało się trafić po raz drugi. Kabiną zatrzęsło.

„Sokół” poszybował raptownie w górę, gdy Chewbacca wykonał skręt, starając się zejść z kursu nadlatującej flocie. Han posłał ku niej kilka serii i z satysfakcją zauważył, jak jedna trafiła niewielką maszynę klasy Z-95, zwaną Łowcą Głównym, w silnik, który oderwał się i zamienił w ognistą kulę. Pechowy myśliwiec wypadł z szyku i zaczął spadać w stronę atmosfery Kessel. Han w duchu liczył na to, że maszyna rozbije się o powierzchnię.

Kiedy uświadomił sobie, że dalsze strzelanie do celu dysponującego tak dużą przewagą nie ma sensu, odpiął pasy i zeskoczył do sterowni. Chciał zobaczyć, czy Chewbacca nie potrzebuje pomocy.

Wówczas nieprzyjacielska flota otworzyła ogień. Wystrzelił także pilot myśliwca typu X i trafił „Sokoła” po raz trzeci. Na polu siłowym dziobowego deflektora rozjarzyły się ogniste błyskawice. Chewie zbacał z kursu to w prawo, to w lewo, bezskutecznie próbując uniknąć dalszych strzałów.

Han usiadł na fotelu pilota w samą porę, żeby dostrzec, jak światelka kontrolne dziobowych osłon przeciwudarowych migają, a później gasną. Teraz nie chroniły ich już żadne ani od dziobu, ani od rufy.

Kolejny celny strzał wstrząsnął statkiem, a Han boleśnie uderzył się o pulpit sterowniczy.

– Poszedł główny napęd – oznajmił. – Od tej chwili będziemy bezbronni jak niemowlęta. Leć na dół, Chewie. Wprowadź nas w atmosferę. To jedyne, co w tej sytuacji można zrobić.

Chewbacca zaczął warczeć, chcąc wyrazić niedowierzanie, ale Han chwycił stery i zanurkował ku powierzchni Kessel.

– Będzie nami trochę trzęsło – oświadczył. – Trzymaj się, bo inaczej pogubisz wszystkie kości.

Kiedy „Sokół” przecinał białą smugę atmosfery planety, widoczny w przestworzach rój atakujących statków zawirował. Na sekundę przed zanurkowaniem w warstwę chmur Han uchwycił się fotela. Poczł silne szarpnięcie wywołane wejściem w pierwszy obłok uciekających gazów. Widząc, co się dzieje na pulpitych kontrolnych, i czując dym wydobywający się z rufowych ładowni, wiedział, że statek zachował tylko minimalną zdolność manewrową. Słyszcząc zaś warczenie Chewiego domyślił się, że i Wookie to rozumie.

– Spójrz na to z innej strony, Chewie. Jeżeli uda się nam posadzić tę kupę złomu cało, będziemy cieszyli się sławą najlepszych pilotów w całej galaktyce – odezwał się z humorem, chociaż wcale nie było mu do śmiechu. Wiedziałem, że nie powinienem był wracać na Kessel – pomyślał.

„Sokół” opadał ku powierzchni. I Han, i Chewbacca robili, co mogli, żeby lecieć przez chmury z prędkością, która nie spowodowałaby spłonięcia statku w górnych warstwach rozrzedzonej atmosfery.

Niemal wszystkie statki floty obronnej Kessel pozostały na orbicie, jeden po drugim szykując się do lądowania. Tylko jeden statek, przypominający dziwnaczego owada – Han rozpoznał w nim zbudowanego w nielegalnej stoczni myśliwca przechwytyjącego klasy Szerszeń – odłączył się od floty i puścił śladem smugi pozostawianej przez „Sokoła”.

Chewie pierwszy go zauważył. Nieprzyjacielski myśliwiec, skonstruowany idealnie pod względem aerodynamicznym, niczym wibroostrze przeciął górne warstwy atmosfery, ignorując rozgrzewanie się kadłuba. Jego pilot wystrzelił kilka serii z turbolaserowego blastera w silniki manewrowe „Sokoła” i uszkodził je jeszcze bardziej.

– I tak się rozbijamy! – wrzasnął Han. – Czego jeszcze chcesz od nas, ty draniu!

Dobrze wiedział czego. Pilot szerszenia chciał, by zginęli, roztrzaskując się o powierzchnię Kessel. Han przypuszczał, że nie potrzebują do tego żadnej pomocy ze strony wroga.

Lot nurkowy ku planecie zawiódł „Sokoła” w pobliże jednej z gigantycznych fabryk wzbogacających atmosferę. Świadczył o tym wysoki komin znajdujący się na terenie zakładu, w którym kruszono i przerabiano skały, zamieniając je w cyklony gazu nadającego się do oddychania.

Pilot myśliwca przechwytyjącego klasy Szerszeń wystrzelił po raz drugi, Sokół „Sokół” zadrżał, kiedy laserowa wiązka musnęła jego kadłub. Chewbacca siedział z ponurą miną. Obnażone kły dowodziły, że stara się robić wszystko, by utrzymać ich obu przy życiu.

– Chewie, skieruj nas ku temu pióropuszu dymu. I przeleć obok niego tak blisko, jak możesz. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł – odezwał się nagle Han. Wookie zawył, ale Han mu przerwał: – Nie pytaj, tylko zrób to, chłopie!

Kiedy szerszeń starał się zająć ich od strony skrzydła, Han skierował „Sokoła” w bok, by przelecieć z lewej strony strumienia rozgrzanych gazów wydobywającego się z komina. Nieprzyjacielski myśliwiec zmienił kurs, pragnąc udaremnić ten manewr, a wówczas Han skrzył raptownie w drugą stronę, wprowadzając szerszenia prosto w strzelający w górę huragan gorącej atmosfery.

W delikatnym, niemal owadzym skrzydle myśliwca trzasnęła lotka, a po chwili maszyna skrzyła

i zaczęła spadać. Kiedy pilot próbował wyrównać lot, kadłub szerszenia przełamał się, a kawałki zaczęły opadać ku planecie. Han wydał okrzyk triumfu, widząc, jak eksplozja zamienia maszynę w ogniste szczątki, które potem rozniósł na wszystkie strony wir wznoszących się gazów.

A później powierzchnia Kessel zaczęła zbliżać się do „Sokoła” niczym gigantyczne kowadło.

Han walczył ze sterami.

– Dzięki tym repulsorom, które zainstalowałem, będziemy mieli chociaż miękkie lądowanie – stwierdził.

Sięgnął do pulpitu, by włączyć zasilanie. Chewbacca warknął do niego, żeby się pospieszył. Han szarpnął dźwignię uruchamiającą repulsory i bezwiednie odetchnął z ulgą.

Nic jednak się nie stało.

– Co takiego?! – zawołał, szarpiąc dźwignię po raz drugi. – Przecież dopiero co je naprawiłem!

Rozpaczliwie starając się utrzymać w miarę bezpieczny kurs statku, wrzasnął głośno, żeby przekrzyczeć wycie wiatru:

– No dobra, Chewie, jeżeli masz jakiś pomysł, co robić, mów teraz!

Chewbacca nie zdążył jednak odpowiedzieć, gdyż „Tysiącletni Sokół” właśnie rozbijał się o nierówną powierzchnię Kessel.

Rozdział 2

Wieżowce Imperial City wznosiły się aż do nieba, tak że z góry nie było widać mrocznej powierzchni planety Coruscant. Fundamenty budowli znajdowały się na tych samych miejscach od ponad tysiąca pokoleń, zapuszczone w ziemię jeszcze w czasach formowania Starej Republiki. Przez całe tysiąclecia na zrębach starych gmachów, które zdążyły się rozsypać, wznoszono nowe, coraz wyższe.

Luke Skywalker zszedł na platformę lądowiska wahadłowców, wystającą z pokiereszowanej monolitycznej płaszczyzny dawnego Pałacu Imperialnego. Poczul podmuch porywistego wiatru, osłonił więc głowę kapturem płaszcza Jedi.

Popatrzył w górę, rozmyślając o tym, jak cienka jest warstwa atmosfery odgradzająca Coruscant od bezkresnej próżni. Wciąż jeszcze po przypadkowych orbitach krążyły w niej wraki gwiazdnych statków. W przestworzach znajdowały się także szczątki, pozostałe po niedawnych zaciekłych walkach, jakie Sojusznicy toczyli podczas wojny domowej z pozostałościami Imperium, by odzyskać pełnię władzy nad planetą.

Nad dachami najwyższych wieżowców szybowały podobne do latawców jastrzębionietoperze, wykorzystując prądy rozgrzanego powietrza unoszącego się z wąwozów miasta. W pewnej chwili Luke dostrzegł, jak jakiś jastrzębionietoperz zaczął się coraz bardziej zniżać, aż na chwilę zniknął w mrocznej szczelinie między dwiema pradawnymi budowlami. Po kilku sekundach pojawił się znowu, trzymając w szponach jakiś walcowaty, ociekający wodą przedmiot – zapewne ślimaka, który pełzał po granitowych ścianach.

Posługując się techniką medytacji rycerzy Jedi, żeby stłumić narastający niepokój, Luke Skywalker uzbroił się w cierpliwość. W młodzieńczych latach bardzo często bywał niecierpliwy, niezdecydowany i nerwowy. Mistrz Yoda nauczył go jednak wielu rzeczy, a wśród nich przede wszystkim cierpliwości. Prawdziwy rycerz Jedi musiał umieć czekać tak długo, jak było konieczne.

Senat Nowej Republiki obradował zaledwie od godziny, a Luke wiedział, że senatorzy zajmują się teraz codziennymi i przeważnie nudnymi problemami. Chciał odczekać, aż poświęcą tym sprawom trochę więcej czasu, a potem zaskoczyć ich swoim wystąpieniem.

Otoczała go bezkresna, tętniąca życiem metropolia. Nawet teraz, kiedy była siedzibą władz Nowej Republiki, a nie Imperium, nic właściwie się tu nie zmieniło. Jeszcze dawniej miasto było stolicą Starej Republiki. Budynek stanowiący teraz siedzibę władz ustawodawczych był przedtem pałacem Imperatora Palpatine'a. Wzniesiony z wypolerowanej szarozielonej skały z wtopionymi w nią lustrzanymi kryształami mieniącymi się w przyćmionym blasku słońca, górował nad wszystkimi innymi gmachami, nawet nad sąsiadującym z nim Senatem.

W czasie kilku miesięcy wojny domowej, jaka wybuchła po upadku wielkiego admirała Thrawna,

większość budynków Imperial City legła w gruzach. Różne frakcje Imperium walczyły o przejęcie władzy nad rodzinną planetą Imperatora, zamieniając nierzadko całe wielkie dzielnice w cmentarzyska pełne wraków gwiazdnych statków i rumowiska zniszczonych domów.

Powodzenie oddziałów imperialnych nie trwało jednak długo; Nowej Republice udało się odeprzeć resztki Imperium. Wielu żołnierzy wojsk Sojuszników, wśród nich przyjaciel Luke'a, Wedge Antilles, zajęło się później usuwaniem ruin i wszelkich śladów walki. Za najważniejsze zadanie uznano odbudowę Pałacu Imperialnego i budynku mieszczącego salę obrad Senatu. Stanowiące własność samego Imperatora automaty budowlane przemierzały pustkowia pozostałe po walkach, przetwarzając ruiny i zgliszcza na surowce potrzebne do wznoszenia nowych gmachów.

W oddali było widać jedną z takich gigantycznych maszyn mających wysokość czterdziestopiętrowego budynku. Właśnie rozbijała szkielet na wpół zrujnowanego domu, gdzie zgodnie z programem miała biec nowa wielopasmowa estakada. Podobne do ogromnych dźwigarów ramiona robota szarpały kamienną fasadę budynku, wrywając z niej konstrukcje metalowe i wsporniki, a następnie wsuwały gruz i szczątki murów do wielkiej paszczy segregującej materiały i przerabiającej je na niezbędne nowe elementy.

W ciągu ostatniego roku zaciekłych walk Luke został porwany do twierdzy odrodzonego Imperium, znajdującej się w samym sercu galaktyki, i tam pozwolił, by zapoznano go z ciemną stroną Mocy. Podobnie jak kiedyś jego ojciec, Darth Vader, został nawet głównym przybocznym adiutantem Imperatora. Toczył z samym sobą heroiczną walkę, a udało mu się ją wygrać tylko dzięki pomocy, przyjaźni, a przede wszystkim miłości Leii i Hana...

Nagle ujrzał dyplomatyczny prom, który właśnie opuścił orbitę i zaczynał podchodzić do lądowania. Jego światła pozycyjne rozjaśniały się i gasły w nieregularnych odstępach czasu. Odrzutowe silniki z cichnym jękiem zmniejszyły moc i po chwili maszyna wylądowała na platformie lądowiska po przeciwnej stronie pałacu.

Luke Skywalker przeszedł w życiu przez prawdziwe piekło. Jego serce upodobiło się do twardej jak diamentowy kryształ bryły lodu. Był nie tylko rycerzem Jedi – był jedynym pozostałym przy życiu mistrzem. Przeszedł próby i egzaminy trudniejsze niż te, do których przebycia przygotowało go szkolenie Jedi. Rozumiał teraz, czym jest Moc, bardziej niż kiedykolwiek mógłby sądzić, że to możliwe. Czasami ta wiedza go przerażała.

Przypominał sobie czasy, kiedy jako młody, rozmarzony zawadiaka pilotował „Tysiącletniego Sokoła” i na oślep prowadził walkę z automatem, której przyglądał się Ben Kenobi. Pamiętał sceptycyzm, jaki czuł podczas bitwy o Yavin, kiedy atakował pierwszą Gwiazdę Śmierci i starał się odnaleźć wylot niewielkiego szybu wentylacyjnego. Pamiętał też, że usłyszał wówczas głos Bena, mówiący, by zaufał Mocy. Luke rozumiał teraz o wiele więcej, a zwłaszcza to, dlaczego w oczach starszego mężczyzny widział wtedy tyle niepokoju.

Jeszcze jeden jastrzębionietoperz zanurkował w mroczny labirynt niższych pięter jakiejś budowli i po chwili, machając skrzydłami, wzniósł się z jakimś wijącym się łupem w szponach. Luke widział, jak inny jastrzębionietoperz skierował się ku pierwszemu i zwarł z nim, usiłując wydrzeć ofiarę. Kiedy oba walczyły zaciekle, okładając się dziobami i skrzydłami, Luke usłyszał dochodzące z oddali krakanie i skrzeczenie. Wijące się stworzenie, uwolnione ze szponów, zaczęło spadać, miotane prądami unoszącego się powietrza, aż w końcu uderzyło w jednym z mrocznych wąwozów o ziemię. Oba jastrzębionietoperze, sczepione ze sobą w śmiertelnym tańcu, zaczęły także spadać, nie przerywając walki, i po chwili i one roztrzaskały się o jakiś występ niższego piętra opustoszałego

gmachu.

Luke poczuł, że ogarnia go niepokój. Czyżby miał to być jakiś omen? Za chwilę powinien stanąć w sali obrad Senatu Nowej Republiki i wygłosić przemówienie do obradujących senatorów. Nadszedł czas. Luke odwrócił się, owinał się szczelniej płaszczem i ruszył jednym z chłodnych korytarzy.

Luke stał w drzwiach sali obrad Senatu Nowej Republiki. Pomieszczenie przypominało gigantyczny amfiteatr. W najniższych rzędach siedzieli mianowani senatorowie, a za nimi, nieco wyżej, zajmowali miejsca przedstawiciele różnych planet, którzy zresztą nie wszyscy byli ludźmi. Hologramy obrad transmitowano na żywo do wszystkich mieszkańców Imperia City i rejestrowano z myślą o przesłaniu obywatelom innych światów.

Przez rozsiane w suficie kryształki przedostawał się blask słońca, który zamieniał się nad głowami najważniejszych osób pośrodku sali w tęczy wachlarz i migotał tysiącami barw, gdy się poruszali. Luke wiedział, że pomysłodawcą tego efektu był sam Imperator chcący wprawić w zdumienie wszystkich, którzy go obserwowali.

Podwyższenie w najniższej części sali zajmowała przemawiająca teraz Mon Mothma. Choć była przywódczynią Nowej Republiki, wyglądała na przytłoczoną majestatem gigantycznej sali. Luke lekko się uśmiechnął, gdy przypomniał sobie, kiedy ujrzał Mon Mothmę po raz pierwszy. W czasie lotu wojsk Rebeliantów na Endor przedstawiała wówczas plany drugiej Gwiazdy Śmierci.

Mon Mothma z krótkimi rudawymi włosami i cichym głosem nie sprawiała wrażenia stanowczego, zdecydowanego dowódcy wojskowego. Była kiedyś członkinią imperialnego Senatu, więc czuła się teraz jak ryba w wodzie, usiłując scementować kawałki Nowej Republiki w silny, zjednoczony i sprawnie rządzony organizm.

Obok Mon Mothmy siedziała Leia Organa Solo, siostra Luke'a, i przysłuchiwała się uważnie wszystkim wystąpieniom. Z każdym miesiącem brała na swoje barki coraz więcej i więcej dyplomatycznych obowiązków.

Wokół podwyższenia skupili się członkowie Najwyższego Dowództwa Sojuszu, osoby najwyższe stopniem spośród dawnych Rebeliantów, zaproszone do udziału w nowym rządzie. Należał do nich generał Jan Dodonna, dowódca wojska podczas zmagania o Yavin z pierwszą Gwiazdą Śmierci; był także generał Carlist Rieekan, były dowódca bazy Echo na lodowej planecie Hoth. Fotel w pierwszym rzędzie zajmował generał Crix Madine, były zbieg z armii Imperatora, człowiek, który oddał nieocenione usługi podczas opracowywania planów zniszczenia drugiej Gwiazdy Śmierci. Obok niego rozpiętał się admirał Ackbar, dowódca floty podczas bitwy o Endor, a tuż przy nim siedział senator Garm Bel Iblis, który przybył ze swoimi pancernikami, by wziąć udział w walce z wojskami wielkiego admirała Thrawna.

Zwycięstwo na polu walki niekoniecznie gwarantowało, że waleczni dowódcy staną się utalentowanymi politykami. Nowa Republika musiała jednak okrzepnąć po niedawnej niszczącej wojnie i obdarzanie wojskowych dowódców polityczną władzą wydawało się rozsądnym rozwiązaniem.

Skończywszy przemówienie, Mon Mothma uniosła obie ręce. Przez chwilę wydawało się, że chce pobłogosławić całe zgromadzenie.

– A teraz przechodzimy do następnej sprawy – powiedziała. – Kto z zebranych chciałby prosić o głos?

Wyglądało na to, że Luke zjawił się w najbardziej odpowiedniej chwili. Wkroczył w krąg światła obok wejścia do sali i jednym zręcznym ruchem zsunął z głowy kaptur. Mówił cicho, ale użył siły Jedi, chcąc nadać słowom tyle mocy, żeby mogli je usłyszeć wszyscy zgromadzeni w amfiteatralnej sali.

– Ja chciałbym zabrać głos, Mon Mothma – powiedział. – Czy mogę?

Dużymi, płynnymi krokami zszedł po schodach, tak szybko, by zebrani nie zaczęli się niecierpliwić, ale z wdziękiem dowodzącym dużej siły charakteru. Yoda zwykł mawiać, że pozory mogą bardzo często mylić, ale Luke wiedział, że jeszcze częściej pierwsze wrażenie decyduje o powodzeniu.

Zstępując po długich schodach, czuł, że kierują się na niego wszystkie oczy. W wielkiej sali obrad zapadła idealna cisza. Luke Skywalker, jedyny żyjący mistrz Jedi, niemal nigdy nie uczestniczył w posiedzeniach władz ustawodawczych Nowej Republiki.

– Chciałem zwrócić się do zebranych w bardzo ważnej sprawie – oświadczył.

W ułamku sekundy przypomniał sobie, kiedy – tak jak w tej chwili – szedł samotnie cuchnącymi korytarzami pałacu Jabby Hutta. Tym razem jednak nie było podobnych do świń gamorreńskich strażników, którymi mógł kierować, zginając palec lub używając Mocy.

Mon Mothma obdarzyła go łagodnym tajemniczym uśmiechem i gestem zaprosiła do zajęcia miejsca na podwyższeniu.

– Słowa rycerza Jedi są zawsze chętnie przyjmowane w sali obrad Senatu Nowej Republiki – oznajmiła.

Luke postarał się nie zdradzić, że sprawiło mu to wielką radość. Słowa Mon Mothmy rzeczywiście były wymarzoną wstępem do jego wystąpienia.

– Rycerze Jedi byli w czasach Starej Republiki strażnikami i obrońcami wszystkich ludzi – zaczął. – Ód tysięcy pokoleń używali siły Mocy, by wspomagać i chronić prawomocne rządy wszystkich światów. Później nastał mroczny czas Imperium i rycerzy Jedi zabito.

Przerwał, by znaczenie jego słów dotarło do zebranych, a potem jeszcze raz głęboko odetchnął.

– Teraz mamy czasy Nowej Republiki – ciągnął. – Wygląda na to, że Imperium zostało pokonane. Stworzyliśmy nowy rząd na bazie starego, ale miejmy nadzieję, że będziemy umieli wyciągnąć wnioski z naszych błędów. W dawnych czasach cały zakon rycerzy Jedi strzegł porządku Republiki i wspierał ją swoją siłą. Dzisiaj jestem jedynym pozostałym przy życiu mistrzem Jedi.

Czy zdołamy przeżyć najtrudniejsze chwile, pozbawieni zakonu opiekunów, który mógłby i powinien być źródłem siły Nowej Republiki? Czy będziemy umieli przetrwać niepokoje i burze, jakich wiele czeka nas na drodze do stworzenia silnego, zjednoczonego organizmu? Dotychczas musieliśmy toczyć o to ciężkie walki, lecz w przyszłości mogą one być traktowane jak niewinne bóle porodowe.

Znów przerwał, ale zanim ktoś z senatorów mógł się sprzeciwić, mówił dalej:

– Imperium było wspólnym wrogiem naszych przodków. Nie możemy tracić czujności tylko dlatego, że chwilowo borykamy się z wewnętrznymi problemami. Chcę zapytać, co będzie, gdy zaczniemy kłócić się między sobą o sprawy niewielkiej wagi? Kiedyś rozjemcami w takich kłótniach i sporach byli rycerze Jedi. Co się stanie, gdy nie będzie żadnych rycerzy, by chronili nas w przyszłych trudnych chwilach?

Luke, w pełnym blasku tęczowej poświaty przepuszczanej przez kryształy w suficie sali, przeszedł w inne miejsce podwyższenia. Poświęcił kilka chwil, żeby skupić spojrzenie po kolei na

wszystkich senatorach. Na koniec zwrócił uwagę na Leię. Siedziała wyprostowana z szeroko otwartymi oczami świadczącymi, że w pełni popiera to, co powiedział. Wcześniej nie omawiał z nią swojego pomysłu.

– Moja siostra przechodzi właśnie szkolenie Jedi – ciągnął. – Prawdopodobnie jej dzieci po odbyciu specjalnych ćwiczeń zostaną także młodymi Jedi. Od kilku lat znam kobietę nazywaną się Mara Jade, która w chwili obecnej usiłuje zjednoczyć przemytników... to jest, byłych przemytników – poprawił się natychmiast. – Chce, żeby stworzyli związek pomagający i służący Nowej Republice. Ona także ma talent do posługiwania się Mocą. W czasie swoich wypraw spotkałem i innych ludzi.

Luke zrobił kolejną przerwę. Zgromadzeni na razie słuchali każdego jego słowa.

– Ale czy to są wszyscy? – zapytał. – Wiemy dobrze, że umiejętność posługiwania się Mocą jest dziedziczna i przechodzi z pokolenia na pokolenie. Większość rycerzy Jedi zginęła z rąk siepaczy Imperatora w trakcie prześladowań, ale czy to oznacza, że stracili życie wszyscy ich potomkowie? Ja sam nie wiedziałem nic o drzemających we mnie możliwościach do czasu, kiedy Obi-Wan Kenobi nauczył mnie, jak się nimi posługiwać. Moja siostra, Leia, także o nich nie wiedziała.

Ilu ludzi zamieszkujących tę galaktykę potrafi w podobnym stopniu posługiwać się Mocą? Ilu mogłoby być członkami nowego zakonu rycerzy Jedi, ale żyją nieświadomi tego, kim są i co potrafią?

Luke jeszcze raz powiódł spojrzeniem po zebranych.

– W czasie swoich krótkich poszukiwań odkryłem kilku żyjących potomków dawnych Jedi. Przeszedłem więc, żeby prosić o dwie rzeczy.

Uczynił ruch ręką w stronę Mon Mothmy, a potem zamaszystym gestem wskazał wszystkich zebranych w wielkiej sali.

– Po pierwsze, by Nowa Republika wyraziła oficjalną zgodę na poszukiwanie ludzi, którzy mogą mieć ukryty talent do władania Mocą, a po znalezieniu ich – na próbę namówienia, by zechcieli wstąpić na służbę Nowej Republiki. W tym celu będzie mi potrzebna pewna pomoc.

Przerwał mu admirał Ackbar, zwracając ku niemu głowę i mrugając ogromnymi, podobnymi do rybich oczami.

– Ale jeżeli ty sam za młodu nie wiedziałeś nic o własnej sile, skąd inni ludzie będą wiedzieli o swojej? W jaki sposób chcesz ich odnaleźć, Luke'u Skywalkerze?

Luke złączył przed sobą obie dłonie.

– Istnieje na to kilka sposobów – wyjaśnił, odginając jeden palec. – Przede wszystkim chcę skorzystać z pomocy dwóch wyspecjalizowanych androidów, które przez wiele dni będą przeglądały bazy danych Imperial City, aż odnajdą potencjalnych kandydatów. Mogą być nimi ludzie, którzy często miewają cudowne szczęście i których życie jest pełne nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności. Będziemy szukali osób obdarzonych wyjątkową charyzmą albo tych, o których legendy mówią, że czynili cuda. To wszystko może świadczyć o nieświadomej zdolności do posługiwania się Mocą.

Luke odgiął drugi palec.

– Poza tym androidy mogą odszukać w tych bazach danych zaginionych potomków rycerzy Jedi, którzy żyli jeszcze w czasach Starej Republiki. Przypuszczam, że udałoby mi się odnaleźć co najmniej kilku.

– A czym ty zamierzasz się zająć? – zapytała Mon Mothma, poruszywszy się na fotelu.

– Znalazłem kilku kandydatów, których zamierzam poddać teraz przesłuchaniu. Na razie proszę tylko o stwierdzenie, że tej sprawie warto poświęcić trochę czasu. Chciałbym też, by poszukiwania

przyszłych Jedi były prowadzone przez innych, a nie tylko przeze mnie.

Mon Mothma wyprostowała się na fotelu stojącym dokładnie pośrodku wielkiej sali.

– Uważam, że możemy na to przystać bez uciekania się do dyskusji – oświadczyła. Rozejrzała się po sali i stwierdziła, że większość zebranych kiwa głowami. – Powiedz nam teraz, o co jeszcze chcesz prosić?

Luke także się wyprostował. Ta druga prośba była dla niego najważniejsza. Zauważył, że Leia zeszywniała.

– Jeżeli znajdę dostatecznie dużo kandydatów, którzy potrafią posługiwać się i władać Mocą, chciałbym prosić o zgodę i błogosławieństwo Nowej Republiki, żebym mógł w jakimś odpowiednim miejscu zorganizować ośrodek do intensywnych szkoleń. W skrócie będę go nazywał akademią Jedi, jeżeli mogę. Pod moim kierownictwem moglibyśmy pomagać studentom odkrywać ich umiejętności, a także ogniskować i wzmacniać ich siłę. W ostatecznym rozrachunku akademia będzie stanowiła centrum, które umożliwi odbudowę zakonu rycerzy Jedi, żeby mogli kiedyś stać na straży Nowej Republiki.

Głęboko odetchnął i przerwał, czekając na reakcję zgromadzonych senatorów.

Jako pierwszy wstał powoli z fotela senator Bel Iblis.

– Jedna uwaga, jeżeli wolno. Przykro mi, Luke, ale muszę ci zadać pytanie. Widzieliśmy straszliwe zniszczenia, jakich może dokonać rycerz Jedi, gdy zaprzeda duszę ciemnej stronie. Nie tak dawno musieliśmy walczyć przeciwko Joruuowi C’baathowi i, rzecz jasna, Darth Vader omal nas wszystkich nie pozabijał. Jeżeli tak znakomity nauczyciel, jakim był Obi-Wan Kenobi, poniósł klęskę i pozwolił, by jego uczeń został opanowany przez siły zła, czy możemy podjąć ryzyko przeszkolenia całego nowego zakonu rycerzy Jedi? Ilu z nich da się zwieść ciemnej stronie? Ilu nowych wrogów przysporzymy sobie w taki sposób?

Luke kiwnął posępnie głową. W głębi duszy zadawał sobie to samo pytanie i przez długi czas zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Mogę tylko oświadczyć, że wszyscy pamiętamy o tym, co się stało, i musimy wyciągnąć naukę z popełnionych wówczas błędów – powiedział. – Ja sam przecież zostałem dotknięty przez ciemną stronę, lecz wyszedłem z tego doświadczenia silniejszy i bardziej czujny niż kiedykolwiek przedtem. Zgadzam się, że ryzyko jest duże, ale nie wierzę w to, że Nowa Republika będzie silniejsza bez nowego zakonu rycerzy Jedi.

W wielkiej sali rozległo się wiele głosów. Ben Iblis stał jeszcze przez moment, jakby chciał powiedzieć coś innego, ale w końcu usiadł, zadowolony z odpowiedzi.

Po chwili wstał admirał Ackbar i zaczął klaskać dłońmi podobnymi do płetw.

– Zgadzam się, że prośba tego Jedi leży w najlepiej pojętym interesie Nowej Republiki – oznajmił.

Wstał także Jan Dodonna. Od czasów, kiedy podczas zmagania o Yavin niemal cudem uniknął śmierci, darzył Luke’a nieograniczonym zaufaniem.

– Ja także się z tym zgadzam! – zawołał.

Wkrótce wszyscy senatorowie stali. Kiedy wstała także Leia, Luke zobaczył na jej twarzy promienny uśmiech. Niemal poczuł, jak otaczająca go poświata, emanująca z kryształów w suficie, obdarza go wielką mocą zaczynającą przenikać jego ciało miłym ciepłem.

Mon Mothma usiadła i z powagą kiwnęła głową. Była ostatnią osobą, która wstała, a teraz uniosła rękę, prosząc zebranych o ciszę.

– Wyrażamy zgodę i liczymy na to, że zakony rycerzy Jedi się odrodzi. Zapewnimy ci wszelką pomoc, jakiej będziesz potrzebował. Niech Moc będzie z tobą.

Zanim Luke odwrócił się w jej stronę, aplauz zgromadzonych ludzi przetoczył się przez gigantyczną salę obrad niczym burza.

Rozdział 3

Apartament Leii w byłym pałacu Imperatora należał do najwygodniejszych i najbardziej przestronnych. W tej chwili w komnatach ziało jednak pustką. Gdy Leia Organa Solo, kiedyś księżniczka, a obecnie minister stanu Nowej Republiki, pod koniec długiego dnia wróciła, poczuła się zmęczona i przygnębiona.

Jedynym jasnym punktem dnia było przemówienie, jakie Luke wygłosił do senatorów, ale stanowiło ono tylko jeden z wielu omawianych tego dnia problemów. Zawikłane sprzeczności w wielojęzycznych traktatach, w których nie mógł się połapać nawet Threepio, różnice kulturowe istniejące między poszczególnymi rasami obcych istot, wskutek czego nawiązanie stosunków z nimi stawało się niemal niemożliwe – to wszystko sprawiało, że w głowie Leii szumiało niczym w ulu.

Ze zmarszczonymi brwiami rozejrzała się po komnacie.

– Zwiększyć oświetlenie o dwa stopnie – powiedziała i po chwili pokój rozjaśnił się, a niektóre mroczne cienie schowały się głębiej po kątach.

Han i Chewbacca odlecieli pod pretekstem ponownego nawiązania stosunków z planetą Kessel. Leia uważała jednak, że dla Hana są to raczej wakacje mające ożywić wspomnienia „dawnych dobrych czasów”, kiedy wolny jak ptak rozbijał się po galaktyce.

Czasami rozmyślała, czy jej mąż nie żałuje, że poślubił kogoś tak różniącego się od siebie i że musiał się ustatkować i osiąść na Coruscant, żeby zająć się zgłębianiem tajników dyplomacji. Tolerował nie kończące się przyjęcia, podczas których występował w oficjalnych strojach, chociaż bez wątplenia czuł się w nich bardzo skrępowany. Prowadził niezliczone rozmowy, starając się okazywać w nich przezorność i takt, które były mu całkowicie obce.

Han jednak odleciał i z pewnością bawił się doskonale, zostawiwszy ją samą w Imperiał City.

Tymczasem przywódczyni Nowej Republiki, Mon Mothma, obarczała ją wciąż nowymi zadaniami, pozwalając, żeby los wielu planet zależał od tego, jak je wykona. Na razie Leia radziła sobie bardzo dobrze, ale siedem lat, jakie upłynęło od bitwy o Endor, naznaczone było licznymi porażkami. Jedną z nich była wojna z Imperium obcych istot, Ssi-Ruuków, inną objawienie się wielkiego admirała Thrawna i jego próba odrodzenia potęgi Imperium, jeszcze inną wskrzeszenie Imperatora i użycie przez niego gigantycznych Niszczycieli Światów. I chociaż w tej chwili panował względny spokój, lata nieustannych walk sprawiły, że Nowa Republika była jeszcze bardzo słaba.

W pewnym sensie jej położenie było lepsze, kiedy istniał wspólny wróg, Imperium, jednoczący wszystkie frakcje Sojuszników. W tej chwili jednak nie było takiego zagrożenia. Leia i pozostali przywódcy Nowej Republiki musieli teraz ponownie nawiązywać stosunki ze wszystkimi planetami, które kiedyś jęczały pod miażdżącym je butem Imperatora. Niektóre z tych światów ucierpiały tak bardzo, że pragnęły jedynie, by zostawić je w spokoju, aż zablizną się wszystkie rany, a mieszkańcy

zapomną o okropnościach wojny. Wiele planet nie chciało nawet słyszeć o przyłączeniu się do galaktycznej federacji, marząc o tym, by zachować niepodległość.

Neutralne światy mogły jednak być z łatwością podbijane jedne po drugich, gdyby kiedyś zjednoczyły się przeciwko nim jakieś wrogie siły.

Leia przeszła do komnaty sypialnej i zdjęła oficjalny dyplomatyczny strój, jaki nosiła przez cały dzień. Tego ranka był odprasowany i nieskazitelnie czysty, lecz tkanina straciła już świeżość, poddana wielogodzinnemu działaniu tęczowego oświetlenia wielkiej sali.

Leia przypomniawszy sobie, że w najbliższym tygodniu powinna zorganizować spotkania z ambasadorami sześciu planet, by przekonać ich o konieczności przyłączenia się do Nowej Republiki. Czterech wyglądało na rozsądnych, ale pozostali dwaj upierali się, by ich światy zachowały całkowitą neutralność, dopóki ich specyficzne problemy nie zostaną uwzględnione.

Najtrudniejsze zadanie czekało ją za dwa tygodnie. Właśnie wtedy miał przylecieć ambasador Caridy. Planeta ta znajdowała się w głębi przestrzeni wciąż zajętej przez szczątki Imperium. To przecież na Caridzie założono jedną z pierwszych treningowych wojskowych baz Imperium. I chociaż Imperator Palpatine nie żył, a wielki admirał Thrawn został pokonany, Carida nie chciała pogodzić się z tymi faktami. Ogromnym sukcesem zatem była sama zgoda jej ambasadora na przybycie na Coruscant. Leia była świadoma tego, że przez cały czas tej wizyty będzie musiała się uśmiechać, zabawiać go i prawić komplementy.

Włączyła przycisk sonicznego natrysku i nastawiła pokrętko na delikatny masaż. Potem, usiadłszy wygodnie w sypialni, pozwoliła sobie na głęboki oddech, chcąc usunąć z głowy wszystkie zmartwienia.

Stojące w wazonach kwiaty, niedawno ścięte w ogrodach botanicznych Gwiazdnej Kopuły, napełniały całą komnatę delikatną wonią. Na ścianach wisiały obrazy z nostalgicznymi krajobrazami Alderaanu, planety, na której Leia wychowywała się i dorastała, a którą unicestwił wielki moff Tarkin, by wykazać niszczącą siłę swojej Gwiazdy Śmierci. Obrazy przedstawiały ciche równiny, porośnięte wysoką, szepczącą w podmuchach wiatru trawą, szybujące, podobne do latawców stwory przenoszące mieszkańców między jednym smukłym wieżowcem a drugim, ośrodki przemysłowe i osiedla rozmieszczone w ścianach skalnych rozpadlin skorupy planety... a także miasto Leii, wzniesione na samym środku jeziora.

Han podarował jej te obrazy w zeszłym roku. Nie powiedział, skąd je ma i gdzie je zdobył. Przez długie miesiące, ilekroć na nie spoglądała, czuła ból przeszywający serce. Pomyślała o przybranym ojcu, senatorze Bailu Organie, i o dzieciństwie, które spędziła jako księżniczka, nie wiedząc nawet, kto jest jej prawdziwym ojcem.

Teraz spoglądała na obrazy z mieszaniną rozmarzenia i goryczy. Rozumiała, że Han ofiarował je, by wiedziała, że ją kocha. Przecież wygrał kiedyś w karty całą planetę, a potem podarował ją jej i innym pozostałym przy życiu alderańczykom. Naprawdę ją kochał.

Nawet chociaż teraz go tu nie było.

Poczuła, jak po kilku minutach sonicznego natrysku jej mięśnie rozluźniają się, odświeżając ją i ożywiając. Ubrała się, tym razem w coś wygodniejszego i mniej formalnego.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Nie spędzała już tyle czasu na układaniu i czesaniu włosów jak wtedy, kiedy była księżniczką Alderaanu. Od tamtego okresu urodziła przecież troje dzieci: bliźnięta, które miały teraz dwa lata, i niedawno trzeciego potomka, syna. Widywała dzieci zaledwie kilka razy w roku i strasznie za nimi tęskniła.

Z powodu potencjalnych zdolności, jakie wykazywali wszyscy potomkowie Anakina Skywalkera, bliźnięta i ich młodszego brata umieszczono na planecie Anoth wszelkie inne informacje o tym miejscu usunięto z umysłu Leii, by przypadkiem ktoś niepożądany ich nie wy dostał, badając jej myśli.

Włączyła niewielki holograficzny projektor, który wyświetlił ostatnie zarejestrowane obrazy jej dzieci. Na pierwszym Jacen i Jaina, bliźnięta, igrały na terenie barwnego, wyrzeźbionego placu zabaw. Na drugim hologramie osobista pokojówka Leii, Winter, trzymała na rękach jej najmłodszego syna, Anakina, uśmiechając się do czegoś lub kogoś, niewidocznego na obrazie. Leia odwzajemniła uśmiech, chociaż postać na nieruchomym hologramie nie mogła tego widzieć.

Wiedziała, że już wkrótce jej samotność dobiegnie końca. By się bronić, Jacen i Jaina będą mogli korzystać teraz z niektórych własnych umiejętności młodych Jedi, a poza tym sama Leia będzie mogła ich chronić. Mniej więcej za tydzień – nie, dokładnie za osiem dni jej maleństwa znajdą się nareszcie w domu.

Świadomość, że już wkrótce bliźnięta zostaną z nią na stałe, wyraźnie poprawiła jej samopoczucie. Odchyliwszy się w automatycznym fotelu, samoczynnie przystosowującym się do pozycji ciała, włączyła syntezator rozrywkowy, by posłuchać pastorałe, napisanego przez jednego z wybitnych alderaańskich kompozytorów.

Nagle melodyjny kurant u drzwi wrywał ją z zamyślenia.

Spojrzała po sobie, by upewnić się, że jest ubrana, wstała i poszła otworzyć.

W ciemnościach za drzwiami stał jej brat, Luke, ubrany w brązowy płaszcz. Na głowie miał kaptur.

– Witaj, Luke – odezwała się Leia, ale na widok brata poczuła, że traci oddech. – Och, zupełnie zapomniałam! – wykrzyknęła.

– Nie możesz lekceważyć rozwijania umiejętności Jedi, Leio – powiedział Luke, marszcząc brwi, jakby chciał ją zganić.

Gestem zaprosiła go do środka.

– Jestem pewna, że każesz mi nadrobić stracony czas, zamęczając dodatkowymi ćwiczeniami – rzekła.

Widziany z dużej odległości ogromny budowlany robot kroczył z żółwią prędkością i przemieszczał jeden z gigantycznych wsporników mniej więcej co pół godziny, by posunąć się o krok naprzód. Stojący pod robotem generał Wedge Antilles i jego ludzie zajmujący się usuwaniem zniszczeń widzieli jednak w pracy automatu nieustanny ruch, z jakim tysiące przegubowych chwytaków i manipulatorów zajmowały się przeznaczonym do rozbiórki domem. Z każdym krokiem ruchoma przetwórnica szczątków zagłębiała się coraz dalej i dalej w rumowisko walących się i na wpół zniszczonych gmachów zaśmiecających starą dzielnicę Imperial City.

Niektóre chwytaki robota były zakończone wiszącymi ogromnymi kulami burzącymi, a inne palnikami plazmowymi, które także miały pomóc w niszczeniu murów. Zbieraki przeszukujące rumowisko wyciągały z niego dźwigary i zbierały stalowo-cementowe bloki i głązy, by umieścić je w oddzielnych pojemnikach. Inne materiały były zgarniane i bezpośrednio przesyłane taśmociągami do kruszących wszystko szczęk, żeby uwolnione w ten sposób surowce można było przetworzyć na elementy konstrukcyjne nowych gmachów. Ciepło promieniujące od tych wewnętrznych przetwórnicy unosiło się nad maszyną falami rozgrzanego powietrza, otaczając jej cały kadłub poświatą, którą można było najlepiej dostrzec w ciemnościach rozgwieżdżonej nocy.

Robot budowlany z wielkim trudem torował sobie drogę wśród budynków, zniszczonych w czasach niedawnej wojny domowej przez pożary. Domów do zburzenia lub naprawy było tak wiele, że czasami chwytaki i ramiona automatu, a także jego czerpaki i sieci nie mogły podołać ciężkiej pracy.

Wedge Antilles spojrzał w górę w samą porę, by dostrzec, jak jakiś wypełniony po brzegi czerpak wyłamuje się z mocującego gniazda.

– Hej, wszyscy się cofnąć! – krzyknął natychmiast. – I kryć się, gdzie kto może!

Jego ludzie rozbiegli się, szukając schronienia za stojącym jeszcze murem jakiegoś domu, i patrzyli, jak z wysokości dwudziestu metrów spada czerpak i lawina gruzu.

Grad kamieni, kawałków transpastali i poskręcanych zbrojeniowych prętów spadł na sąsiednią ulicę z hukiem przypominającym eksplozję. Ktoś krzyknął coś do mikrofonu komunikatora, ale zaraz zamilkł, przypomniawszy sobie o potrzebie zachowywania ciszy.

– Wygląda na to, że główna ściana powinna lada chwila runąć – stwierdził Wedge. – Pomarańczowi, chciałbym, byście byli wówczas co najmniej o pół bloku dalej. Trudno orzec, co w takiej sytuacji zrobi nasz robot, a ja bardzo nie chciałbym go wyłączać. Ponowne uruchomienie i podjęcie pracy zajęłoby nam co najmniej trzy dni.

Wedge nie był zachwycony koniecznością posługiwania się w pracy przestarzałym i zawodnym robotem budowlanym, ale był to zapewne najszybszy sposób usunięcia rumowisk.

– Rozumiem, Wedge – odparł dowódca Pomarańczowych. – Tylko im więcej widzimy tych nieszczęsnych uchodźców, tym bardziej się staramy, by ich uratować. Nawet wówczas, kiedy są od nas szybsi i lepiej się kryją.

Później w głośniku komunikatora rozległ się gwar głosów, gdy dowódca oddziału rozkazywał ludziom, by wrócili do poprzedniej pracy.

Wedge się uśmiechnął. Choć podobnie jak Lando Calrissian i Han Solo został awansowany do stopnia generała, wciąż jeszcze czuł się jak inni ludzie z jego grupy. W głębi serca pozostał pilotem myśliwca i czuł, że chciałby być nim zawsze. Ostatnie cztery miesiące spędził w przestworzach. Ze swoimi ludźmi umieszczał znajdujące się tam wraki i szczątki na bardziej odległych orbitach, gdzie nie zagrażały nadlatującym statkom. Ściągał także mniej uszkodzone jednostki i niszczył te, które nawet na odległych orbitalnych szlakach stanowiły zbyt duże niebezpieczeństwo.

Choć uwielbiał latać, przed miesiącem poprosił, żeby dla odmiany skierowano go do jakiejś pracy na planecie. Dowodził teraz grupą prawie dwustu mężczyzn i nadzorował pracę czterech robotów budowlanych przedzierających się przez tę dzielnicę miasta, odbudowujących ją i leczących rany, odniesione w czasach wojny z Imperium.

Wszystkie automaty wyposażono w plany pracy, zapisane głęboko w rdzeniach pamięciowych ich komputerów. Usuwanie zniszczenia i szkody, maszyny przemieszczały się jedna za drugą niczym kombajny zbożowe zajmujące się sąsiednimi pokosami. Sprawdzały najpierw stan znajdujących się na ich drodze gmachów, a następnie naprawiały te, które były tylko lekko uszkodzone, burzyły zaś bardziej zniszczone lub te, które nie figurowały w nowych projektach.

Z podziemnego świata pradawnej metropolii ewakuowano większość żywych stworzeń, przebywających w ruinach, ale niektóre, mieszkające w najciemniejszych zakątkach, nie mogły być już uważane za istoty ludzkie. Wynędzniałe i nagie, o bladej skórze i zapadniętych oczach, były potomkami ludzi, którzy przed wiekami ukryli się w najbardziej mrocznych zakątkach Coruscant, chcąc ocalić życie przed politycznymi prześladowaniami. Wielu z tych osobników sprawiało

wrażenie, jakby nigdy w życiu nie widziało blasku słońca. Generał Jan Dodonna, weteran walk o Yavin Cztery, wraz z zajęciem Coruscant przez Nową Republikę podjął starania, aby pomóc tym wszystkim nieszczęśnikom, ale byli oni zbyt dzicy i sprytni i nie pozwolili mu się nigdy złapać.

Ulice, a raczej to, co było ulicami przed wieloma wiekami, porośnięte były wilgotnym mchem i bujnym kobiercem różnych pleśni i grzybów. Woń gnijących odpadków i zatechłej wody atakowała powonienie ludzi Wedge'a, gdziekolwiek się poruszyli. Mikroklimaty unoszącego się powietrza i skroplonej wilgoci tworzyły w podziemnych uliczkach prawdziwe niewielkie ulewy, ale zapach tej wody spadającej z góry niczym nie różnił się od woni stawów i ścieków. Ekipy Wedge'a używały świateł na repulsorach, lecz chmury kurzu i pyłu z burzonych domów ograniczały widoczność do kilku metrów.

Budowlany robot na chwilę przerwał pracę, a względną ciszę, jaka zapadła, Wedge odczuł jak stłumiony łoskot. Spojrzawszy w górę, zobaczył, jak robot wyciąga dwa ramiona zakończone burzącymi kulami. Po chwili zamachnął się nimi z mamucią siłą, rozwalił ścianę budynku, przed którym właśnie się zatrzymał, a potem przesunął naprzód jeden wspornik, chcąc postawić go na miejscu zburzonego domu.

Ściana gmachu nie zwała się jednak do wnętrza, jak spodziewał się i Wedge, i robot. Widocznie jakieś pomieszczenie w środku miało mocniejsze mury niż reszta domu. Robot budowlany próbował skruszyć je ciężarem wspornika, ale ściana się nie poddała.

By robot zachował równowagę, urządzenia hydrauliczne gigantycznego automatu zwiększyły moc, wydając głośne jęki. Czterdziestopiętrowa mechaniczna przetwórnica zachwiała się i znieruchomiła, omal się nie przewracając. Widząc to, Wedge wyszarpnął komunikator. Wiedział, że upadek budowlanego robota zamieniłby w ruiny co najmniej kilka domów, a wśród nich ten, za którym ukryła się grupa Pomarańczowych.

Po chwili jednak kilkanaście manipulatorów i chwytaków robota połączyło się, skierowało ku ścianom sąsiednich domów i wsparło się o ich mury, gdzieniegdzie je przebijając, co uniemożliwiało dalszy przechyl na tyle długo, by automat odzyskał równowagę. W głośniku komunikatora Wedge'a rozległ się szmer – jego ludzie wydali zbiorowe westchnienie ulgi.

W migotliwym świetle dochodzącym z góry i w blasku zainstalowanych repulsorowych reflektorów Wedge starał się zorientować, co wstrzymało pracę automatu. Dostrzegł grube, pancerne, metalowe ściany pomieszczenia, schowanego za przepierzeniem o barwie nie odróżniającej go od reszty gmachu. Muru były teraz wygięte i uszkodzone przez potworną łapę wspornika robota budowlanego.

Wedge zmarszczył brwi. Jego ludzie znajdowali wiele różnych urządzeń i przedmiotów pochodzących z zamierzchłych czasów, ale nigdy nie spotkali się z niczym tak starannie opancerzonym i ukrytym. Miał przeczucie, że odkrył coś ważnego.

Spojrzał w górę i drgnął widząc, że robot odzyskał równowagę i zaczął na nowo interesować się gmachem zagrządzającym mu drogę. Pochyliwszy badawczo kopulastą głowę, przyglądał się opornym ścianom opancerzonego pomieszczenia, chcąc wybrać najlepszy sposób rozerwania ich na strzępy. Po chwili dwa chwytaki, zakończone szponami wywołującymi elektroeksplozje, wysunęły się z korpusu i zaczęły się zniżać.

Budowlany robot, rzecz jasna, nie mógł nic wiedzieć na temat tajemnic, jakie kryły się w burzonych domach. Automat, kierując się tylko planem zapisanym w pamięci komputera, wykonywał zaprogramowane tam zmiany.

Wedge na chwilę zamarł, nie wiedząc, co powinien teraz zrobić. Gdyby kazał robotowi przerwać pracę, by samemu zbadać zagadkowe pomieszczenie, mógłby stracić trzy dni, konieczne na ponowne zasilenie systemów maszyny i podjęcie pracy. Z drugiej strony co znaczyło kilka dni, jeżeli automat rzeczywiście odkrył coś istotnego, o czym powinni się dowiedzieć członkowie rządu.

Kiedy robot dotknął pancernej blachy, na końcówkach elektroeksplozyjnych szponów automatu zamigotały błękitno-białe błyskawice. Wedge włączył komunikator, by wydać rozkaz unieruchamiający maszynę, ale nagle poczuł w głowie kompletną pustkę. Jaki był kod?

Stojący obok niego porucznik Deegan, który dostrzegł na twarzy szefa wyraz zakłopotania i paniki, pospieszył z odpowiedzią:

– SGW zero-zero-dwa-siedem!

Wedge natychmiast wystukał ten kod na klawiaturze komunikatora.

Robot zamarł na chwilę przed wysłaniem elektrycznego impulsu do szponów chwytaka. Wedge usłyszał świszczący syk, z jakim umieszczone we wnętrzu przetwornice, pozbawione zasilania i ogrzewania, przerwały pracę. Miał nadzieję, że podjął słuszną decyzję.

– W porządku – odezwał się do mikrofonu. – Purpurowi i Srebrni idą ze mną. Zabawimy się w poszukiwaczy skarbów.

Nakazawszy kilku repulsorowym reflektorom, by podążały przed nimi, zespoły zebrały się u podstawy jednego ze wsporników automatu, a później skierowały ku tajemniczemu pomieszczeniu. W powietrzu wciąż jeszcze unosiły się chmury pyłu.

Ostrożnie, by nie zranić się o ostre krawędzie odłamków transpastali i wystające kawałki metalu, ekipa przedarła się przez rumowisko. W pewnej chwili Wedge usłyszał odgłosy jakichś małych stworzeń starających się ukryć w nowych szparach. Z chwiejących się w tę i w tamtą stronę na wpół zburzonych ścian spadały co chwila kamienie i kawały muru.

– Uważajcie na siebie – rozkazał Wedge. – Ta ściana może w każdej chwili runąć.

Zatrzymali się przed ogromnym, przypominającym wlot jaskini otworem, ziejącym w jednej z pancernych ścian pomieszczenia i ukazującym jego mroczne wnętrze.

– Wchodzimy do środka. Tylko powoli – odezwał się Wedge, mrużąc oczy i spoglądając na swoich ludzi. – W każdej chwili bądźcie gotowi do odwrotu. Nie wiemy, co może być w środku.

Nagle usłyszeli gdzieś w górze ogłuszający świst, odbijający się głośnym echem od ścian domów. Wszyscy drgnęli, lecz po chwili się odprężyli. Okazało się, że to tylko ochładzający się budowlany robot wypuścił nadmiar niepotrzebnej pary.

Wedge stanął na krawędzi mrocznego otworu. Wygięty do środka metal ściany nie pozwalał zobaczyć niczego, co kryło się w ciemnym wnętrzu.

W tej samej chwili, w której wsunął głowę, by zajrzeć do środka, wyskoczył stamtąd jakiś potwór, plując śliną i wyciągając pazury.

Wedge krzyknął i potknął się, chcąc się cofnąć, a później przewrócił się, zaczepiwszy o poszarpaną krawędź dziury. W tym czasie porośnięte futrem stworzenie, pełne szponów i ochronnych pancernych płytek, zaatakowało go z siłą parowozu.

Zanim zdążył pomyśleć, co się dzieje; zanim miał czas wyobrazić sobie, że wydaje ludziom jakiś rozkaz, mrok przecięła pajęczyna blasterowych nitek. Większość dotarła do celu i zagłębiła się z sykiem i dymem w ciele potwora. Druga salwa blasterowych strzałów dokonała dzieła.

Potwór ryknął ze zdumienia i bólu i w tej samej sekundzie runął z siłą wystarczającą, by poruszyć małą lawinę z rumowiska. Przedśmiertne westchnienie stworzenia zabrzmiało w ciszy niczym syk

pary uchodzącej z przedziurawionego kotła.

Wedge zaczął się podnosić z ziemi, czując nagle, że jego serce znów zaczyna bić normalnym rytmem.

– Dzięki, chłopaki – powiedział.

Tymczasem ludzie stali jak wryci, zaskoczeni i przerażeni, z niedowierzaniem spoglądając to na wyciągnięte odruchowo blastery, to znów na leżący u ich stóp, drgający ciemny kadłub potwora, który mieszkał zapewne we wnętrzu opancerzonego pomieszczenia.

Stworzenie przypominało ogromnego szczura, którego grzbiet porastały ostre kolce, a z pyska wystawały kły jak u dzika. Jego ogon, podobny do smoczego, wciąż jeszcze drgał w ostatnich konwulsjach, a z ciemnych otworów w ciele, wypalonych przez strzały z blasterów, wyciekała krzepnąca czerwono-czarna posoka.

– Przypuszczam, że był głodny, mieszkając przez tyle lat w środku – odezwał się Wedge. – Wasz nieustraszony przywódca będzie musiał być od tej chwili trochę ostrożniejszy.

Posłał do środka kilka kołyszących się reflektorów, żeby rozjaśniły ciemności mrocznej komnaty. W jej wnętrzu nic się nie ruszało. Leżący z tyłu gigantyczny opancerzony szczur, wstrząśnięty ostatnimi przedśmiertelnymi drgawkami, chrapliwie jęknął, a potem znieruchomiał i zwiotczał.

Dwójkami precyzyjnie przeszli przez otwór i weszli do komnaty, której ściany wyłożone były dźwiękochłonnymi płytkami. Metalową podłogę zalegały stosy strzaskanych i połamanych czaszek i kości podludzi żyjących na najniższych poziomach miasta.

– Myślę, że mimo wszystko miał co jeść – stwierdził Wedge.

W przeciwnym kącie mrocznej komnaty znaleźli tunel prowadzący do niższych poziomów. Krata chroniąca wlot została oderwana. Na pordzewiałych prętach było widać jaśniejsze ślady wielkich pazurów w miejscach, w których koszmarny szczur je rozerwał, szukając drogi do podziemi.

– Nie on – poprawił go porucznik Deegan. – Ona. Dopiero teraz rozumiem, dlaczego była taka rozwścieczona.

Pokazał kąt komnaty, który w czasie pracy automatu budowlanego ucierpiał najbardziej.

Roztrzaskane bloki muru spoczywały teraz na czymś, co musiało być kiedyś szczurzym gniazdem. Jaśniejsze plamy wskazywały miejsca, w których leżały trzy martwe młode szczury – każde rozmiarów endoriańskiego kucyka – zmasakrowane przez bloki.

Wedge spoglądał przez chwilę na nie, a potem rozejrzał się po pozostałych kątach ponurego pomieszczenia. Ustawivszy wzmocnienie obrazu w osłonie optycznej hełmu, ujrzał różne ciemne przedmioty, konsolety i łoża pełne kajdan i łańcuchów. Zobaczył też dwa nieczynne imperialne umieszczone na postumentach androidy używane do przesłuchania, wciąż jeszcze czarne i błyszczące. Ekran monitorów tajemniczych komputerów patrzyły na niego, szare i martwe niczym oczy niesamowitych ziemno-wodnych stworzeń.

– Coś w rodzaju ośrodka tortur? – odezwał się porucznik Deegan.

– Chyba tak – odparł Wedge. – Pokój przesłuchań. Możemy zdobyć tu mnóstwo cennych informacji, które Imperator bardzo chciał przed nami ukryć.

– Jak to dobrze, że unieruchomiłeś robota, Wedge – rzekł Deegan. – Opóźnienie prac przy czymś takim się nie liczy.

Generał zacisnął wargi.

– Tak, to dobrze – powtórzył w zamyśleniu.

Popatrzył na bezduszne androidy oraz inny sprzęt do tortur i przesłuchań. Jakąś częścią świadomości żałował, że w ogóle udało mu się znaleźć takie miejsce.

Rzeźba na kryształowym stoliku Leii zakołysała się, pochyliła, ale potem uniosła się w powietrze.

Figurka przedstawiała grubego mężczyznę o rękach rozłożonych na boki i uśmiechu tak szerokim, że tłuścioch mógłby połknąć myśliwiec typu X. Sprzedawca zapewniał Leię, że jest to autentyczna koreliańska rzeźba, dzięki której Han z rozrzewnieniem będzie wspominał swój świat, podobnie jak obrazy podarowane Leii przez Hana przypominały jej Alderaan. Kiedy Han otrzymał ten prezent na urodziny, wylewnie podziękował żonie, ale tylko z najwyższym trudem powstrzymał się od śmiechu. W końcu wyjaśnił, że figurka jest zwykłą maskotką firmową, która pewnie została skradziona z jednego z barów oferujących tanie jedzenie.

– Skoncentruj się, Leio – szepnął Luke pochyliwszy się ku niej. Nie przestawał uważnie jej obserwować. Leia wbiła spojrzenie w odległą ścianę, tak że wcale nie spoglądała na rzeźbę.

Figurka nie przestawała lewitować, unosiła się coraz wyżej i wyżej, ale nagle zakołysała się i spadła na podłogę.

Leia westchnęła ciężko i bezwładnie usiadła na automatycznym fotelu. Przypomniawszy sobie czasy własnego szkolenia, Luke postarał się ukryć rozczarowanie. Pamiętał, że Yoda kazał mu wówczas stać na głowie i unosić kamienie oraz inne ciężkie przedmioty. Luke został również przeszkolony przez szalonego Joruusa C'baotha, a także poznał głębię ciemnej strony, kiedy uczył go sam wskrzeszony Imperator.

Nauka siostry Luke'a była o wiele mniej męcząca i bardziej pobieżna, gdyż Leia nieustannie zmieniała terminy lekcji, starając się podołać wciąż nowym dyplomatycznym obowiązkom. Luke'owi zależało jednak na uczeniu Leii. Zajmował się tym od ponad siedmiu lat, ale wyglądało na to, że siostra osiągnęła stan, w którym dalsze ćwiczenia przestawały odnosić pożądane skutki. Pamiętając o tym, że Leia była córką Anakina Skywalkera, można byłoby sądzić, że uczenie jej nie powinno być bardzo trudne. Luke był ciekaw, jak poradzi sobie ze szkoleniem dużej grupy uczniów w swojej wymarzonej akademii Jedi, jeżeli miał kłopoty z kształceniem własnej siostry.

Leia wstała, schyliła się po leżącą na podłodze figurkę i ustawiła ją z powrotem na stole. Luke spoglądał na siostrę, starając się nie okazywać przygnębienia.

– Leio, co się stało? – zapytał.

Popatrzyła na niego, aż błysnęły jej ciemne oczy, ale zawahała się, zanim odpowiedziała:

– Myślę, że zaczęłam uzalać się nad swoim losem. Han powinien wylądować na Kessel przed dwoma dniami, ale nie zadał sobie trudu, by mnie o tym powiadomić. Chociaż znając go, mogłam tego oczekiwać.

Luke usłyszał jednak w tym stwierdzeniu więcej smutku niż sarkazmu.

– Czasami też nie mogę znieść, że nie ma tu moich dzieci – ciągnęła Leia. – Z bliźniętami przebywałam zaledwie przez małą część tych dwóch lat ich życia. Na palcach jednej ręki mogłabym policzyć, ile razy widziałam trzecie dziecko. Nie miałam czasu poczuć się prawdziwą matką. Te wszystkie dyplomatyczne obowiązki sprawiają, że nie mam ani chwili wypoczynku. – Spojrzała bratu prosto w oczy. – A teraz i ty wyprawiasz się na wielkie poszukiwania przyszłych Jedi. Mam wrażenie, że marnuję własne życie.

Luke wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia.

– Gdybyś tylko zechciała bardziej koncentrować się podczas ćwiczeń, mogłabyś się stać bardzo silną Jedi. Jeżeli chcesz władać Mocą, musisz sprawić, by szkolenie było najważniejszą sprawą w twoim życiu. Nie możesz pozwolić, żeby rozpraszały cię inne problemy.

Leia zareagowała gwałtowniej, niż się spodziewał, i odsunęła się od niego.

– Może właśnie tego się boję, Luke – oświadczyła. – Kiedy patrzę na ciebie, dostrzegam w twoich oczach jakiś niepokój, jakby jakaś cząstka ciebie wypaliła się w osobistych pieklach, przez które przeszedłeś. Próbowaleś zabić swojego ojca, pojedynkowałeś się z własnym klonem, a nawet służyłeś Imperatorowi i ciemnej stronie Mocy. Jeżeli przez to trzeba przejść, żeby zostać silnym Jedi, może wcale mi na tym nie zależy!

Uniosła dłoń, by powstrzymać brata przed mówieniem, zanim sama skończy.

– Wykonuję dla rady ważną pracę. Pomagam odbudować republikę, a to są całe tysiące systemów gwiazdnych. Może właśnie to jest zadaniem mojego życia, a nie nauczenie się, jak być Jedi. I może, po prostu może, gdzieś pośród tego wszystkiego chciałabym też być matką.

Luke spoglądał na nią, nie okazując poruszenia. Nikt, spojrzawszy na jego twarz, nie mógłby zorientować się, o czym myśli. Już dawno przestał być żółtodziobem.

– Jeżeli właśnie tak to czujesz, Leio, to może dobrze się stanie, że już wkrótce zajmę się szkoleniem innych Jedi – oświadczył.

Zapadła niezręczna cisza, podczas której oboje przez kilka chwil patrzyli na siebie. Luke odwrócił głowę pierwszy, pragnąc zmienić temat rozmowy.

– Myślę, że mimo to musisz umieć chronić siebie przed wpływem ciemnej strony – powiedział. – Popracujmy jeszcze trochę nad twoimi obronami, a dopiero później uznamy, że na dzisiaj masz dosyć.

Leia kiwnęła głową, ale Luke mógł wyczuć, że dręczące ją przygnębienie jeszcze bardziej się nasiliło.

Wyciągnął rękę i dotknął palcami jej ciemnych włosów, a potem zaczął przesuwać dłonią wokół całej głowy.

– Będę chciał teraz się zorientować, o czym myślisz – oznajmił. – Zastosuję różne techniki i będę dotykał różnych miejsc w twojej głowie. Postaraj się stawić mi opór albo chociaż powiedz mi, dokąd docieram.

Przymknął oczy i wysłał delikatne wici swoich myśli w głąb mózgu Leii, starając się z dużą wprawą poznać topografię jej pamięci. W pierwszej chwili Leia nie zareagowała, ale później Luke wyczuł, jak siostra się koncentruje i wznosi niewidzialny mur wokół jego myślowej sondy. Choć trwało to dosyć długo, udało się jej w końcu zupełnie go zablokować.

– Bardzo dobrze, a teraz spróbuję gdzie indziej – rzekł, przesuując dłoń, by umieścić ją nad innym miejscem. – Przeciwdstawiaj mi się, jeżeli możesz.

Gdy zapuszczał się w jej umysł coraz głębiej, poczuł, że Leia opiera się coraz skuteczniej. Odpowiadała na jego ataki szybciej i silniej, gdy kierował myślową sondę w różne miejsca, bardzo chcąc, żeby Leia blokowała jej działanie. Praca z siostrą zaczynała sprawiać mu coraz więcej satysfakcji. Starając się ją zaskoczyć, dotykał przypadkowych miejsc w jej umyśle. Czuł, że i ona jest zachwycona czynionymi postępami.

W pewnej chwili dotarł do tylnej części mózgu; miejsc przechowywania zamierzchłych wspomnień, ale niemal nie związanych z procesem świadomego rozumowania. Nie spodziewał się spotkać z żadną reakcją obronną w takim miejscu, ale też żaden badacz mózgu nie mógłby znaleźć

tutaj niczego istotnego. Myśli Lei rozciągały się przed nim niczym wielka mapa. Popchnąwszy sondę jeszcze głębiej, ku odosobnionemu węzłowi umysłu, Luke napał trochę silniej...

I nagle poczuł, jakby ktoś umieścił na jego piersi jakąś niewidzialną gigantyczną dłoń i popchnął, odrzucając go do tyłu. Zachwiał się i chcąc zachować równowagę, musiał cofnąć się o dwa kroki. Oczy Lei rozszerzyły się, a usta otworzyły się ze zdumienia.

– Co zrobiłaś? – zapytał Luke i w tej samej sekundzie jego siostra powiedziała:

– Co zrobiłam?

W sekundę później oboje równocześnie odpowiedzieli:

– Nie wiem!

Luke postarał się przypomnieć sobie swoje działania.

– Odpreż się i pozwól, że spróbuję jeszcze raz – poprosił.

Kiedy zaczął badać jej umysł ponownie, wyczuł, że wcale nie jest odpreżona. Mimo to, dotarłszy do tylnej części jej mózgu, odnalazł pośród innych ośrodków ów odosobniony węzeł odpowiedzialny za instynktowne postępowanie. Kiedy dotknął go myślową sondą, został niemal zwalony z nóg przez taką samą niewidzialną siłę, jak poprzednio.

– Ale ja nic nie zrobiłam! – upierała się Leia.

Luke pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– To nie ty, ale twoje odruchy – wyjaśnił. – Kiedy android medyczny uderzy cię w kolano, twoja noga drga, czy chcesz tego, czy nie. Możliwe, że natknęliśmy się na coś, co potencjalny Jedi ma, a inni nie. Chcę, żebyś teraz ty spróbowała tego samego na mnie. Zamknij oczy, a ja przedstawię ci wizerunek tego, co zrobiłem.

– Czy sądzisz, że będę potrafiła? – zapytała.

– Jeżeli to naprawdę odruch, musisz tylko odnaleźć właściwe miejsce.

– Spróbuję – powiedziała Leia, spoglądając sceptycznie na brata.

– Zrób to albo nie rób w ogóle – rzekł Luke. – Nie próbuj. Prób nie ma. Tak zawsze twierdził Yoda.

– Och, przestań wreszcie go cytować. Nie musisz się tak chełpić.

Leia dotknęła skroni brata, a Luke głęboko odetchnął, stosując technikę relaksu Jedi, by ułatwić jej dostęp. Mimo myślowych barier wznoszonych przez ostatnie siedem lat, miał nadzieję, że siostra będzie mogła wnikać w jego umysł. Po chwili poczuł w głowie dotknięcie jej myśli, które niczym delikatne myślowe palce muskały obrzeża jego mózgu. Luke skierował myślową sondę siostry ku tylnej części, gdzie drzemały pierwotne odruchy.

– Czy potrafisz...

Zanim skończył pytanie, jakaś siła odrzuciła Leię do tyłu tak mocno, że kobieta potknęła się i upadła na automatyczny fotel.

– O rany! – powiedziała. – Znalazłam ten węzeł, ale kiedy go dotknęłam, odepchnąłeś mnie z taką siłą, że straciłam równowagę.

Luke poczuł, jak jego ciało przenika jakieś cudowne mrowienie.

– I zrobiłem to zupełnie odruchowo – stwierdził. – W ogóle nie byłem świadom tego, co robię.

Dotknął palcami ust, kiedy przez jego głowę zaczęło przelatywać setki myśli.

– Muszę wypróbować to na innych ludziach – oznajmił. – Jeżeli ta reakcja jest naprawdę odruchowa, byłby to bardzo dobry test sprawdzający ludzi, w których mogą drzemać uśpione moce Jedi.

Następnego ranka nad dachami gmachów Imperial City przeleciał miejski prom. Miotany w dół i w górę przez prądy ciepłego powietrza unoszącego się z otchłani wawozów między gigantycznymi wieżowcami, przypominał bardziej powietrzny autobus. Fragment miasta, wzniesiony na nowo przez automaty budowlane, wyglądał już z daleka jak lśniący pas na tle domów zbudowanych przed wiekami.

Stery maszyny trzymał w swoich pletworękach sam admirał Ackbar i spoglądał na niebo szeroko rozstawionymi oczami, podobnymi do rybich. Nieco z tyłu, przypięci do foteli siedzieli Luke Skywalker i Leia Organa Solo. Jasne światło poranka rzucało długie cienie na niższe poziomy ogromnego miasta.

Ackbar nachylił się w stronę komunikatora.

– Generale Antilles, nadlatujemy – powiedział. – Widzę już przed nami robota budowlanego. Czy wszystko gotowe do naszego lądowania?

– Tak jest, admirale – odezwał się w głośniku doskonale słyszalny głos Wedge’a. – Po prawej stronie robota zobaczy pan oczyszczone miejsce, które może doskonale pełnić funkcję lądowiska.

Ackbar przekrzywił głowę, żeby zerknąć przez opływową szybę iluminatora, a potem skierował miejski prom ku powierzchni i przeleciał nad zrujnowanymi budynkami, obniżając się ku nie zbadanym poziomom miasta.

Kiedy prom osiadł tuż obok unieruchomionego automatu, na powitanie admirała wyszedł Wedge. Ackbar pierwszy stanął na lądowisku zaśmieconym odłamkami budulca i przechylił kopulastą głowę, żeby spojrzeć na wąskie pasmo słonecznego światła, dochodzącego na tak niski poziom. Gdy silniki promu stygły i cichły, osiągając stan gotowości do szybkiego startu, z maszyny wyłonili się Luke i Leia.

– Cześć, Wedge! – odezwał się Luke. – A może powinienem być powiedzieć: „Generale Antilles”?

Wedge roześmiał się, ukazując zęby.

– Zaczekaj, aż przekonasz się, co znaleźli moi ludzie. Może znów dostanę jakiś awans.

– Nie jestem pewna, czy chciałbyś – rzekła Leia. – Obarczyliby cię wówczas dyplomatycznymi obowiązkami.

Wedge gestem zaprosił ich, by szli za nim. Konstrukcyjny robot przesłaniał promienie słońca. Luke słyszał odgłosy grup ludzi wspinających się po drabinkach i wjeżdżających windami znajdującymi się na kadłubie maszyny. To ekipy konserwatorów wykorzystywały przerwę w pracy, żeby sprawdzić wewnętrzne fabryki i przetwórnice materiałów i dokonać w komputerowych pamięciach zmian niektórych programów składających się na plan pracy automatu.

Pośród gruzów, tuż obok poszarpanych ścian otworu wiodącego do opancerzonego pomieszczenia, leżał obnażony szkielet ogromnej bestii. Wedge wskazał na niego gestem.

– To zwierzę zaatakowało nas poprzedniej nocy, ale moi ludzie je zabili. Później, kiedy odpoczywaliśmy i myliśmy się na górze, w świetlicy obok sterowni automatu konstrukcyjnego, pojawiły się ścierwojady i ogryzły mięso. Pozostały tylko nagie kości. Wielka szkoda. Ksenobiologowie mogliby chcieć obejrzeć zwierzę, żeby je sklasyfikować, ale w takim stanie niewiele jest do oglądania.

Wedge schylił się i wszedł przez otwór w metalowej ścianie. Luke słyszał, jak poruszający się w środku ludzie szurają i hałasują. Zobaczył, że jego siostra marszczy nos pod wpływem

ułatwiających się dziwnych woni.

Chwilę trwało, zanim oczy Luke'a przyzwyczyły się do jasnego żółtego światła repulsorowych reflektorów, umieszczonych w różnych miejscach ponurej sali. Jej widok powiedział mu, że musiało tu wpaść w szal coś wielkiego i silnego. Natychmiast zauważył porzucone na podłodze strzaskane instrumenty i urządzenia, wyrwane wiązki kabli i rozbite ekrany komputerowych monitorów. Na ścianach było mnóstwo długich rys od wielkich pazurów. W jednym kącie spoczywały smętne kawałki czarnej kuli, która była kiedyś częścią imperialnego androida używanego do przesłuchań. Zobaczył, że spojrzenie Leii kieruje się na leżące szczątki, i wyczuł, jak jej ciało przenika fala obrzydzenia.

Kilku mężczyzn z ekipy Wedge'a przyciągnęło masywną metalową kratę i przysłaniało nią otwór w ścianie wiodący do podziemi. Po chwili za pomocą laserowych spawarek przytwierdzono ją do uchwyty w murze. Krata była rozerwana i pogięta jakąś nadludzką siłą.

– Zeszłej nocy mieliśmy kilka innych niespodzianek – odezwał się Wedge. Spawacze unieśli głowy i pomachali mu, a potem wrócili do pracy. – To robota szczurzego samca, który wyszedł z tunelu i przekonawszy się, że samica nie żyje, roztrzaskał wszystko, co mógł – dodał, marszcząc brwi. – Zniszczył większość znajdujących się tu przyrządów, ale myślę, że mimo to coś jednak ocalało. Istnienie tego miejsca stanowiło najściślej strzeżoną tajemnicę Imperatora. Wygląda na to, że był to kiedyś jeden z jego podziemnych ośrodków tortur i przesłuchań.

– Rzeczywiście – przyznał Ackbar, przedzierając się przez zniszczone urządzenia leżące na podłodze. Pod jego stopami chrzęściły miażdżone płytki z elektronicznymi obwodami. – Nie chcielibyśmy, by którakolwiek z tych rzeczy dostała się w niewłaściwe ręce.

Uwagę Luke'a zwrócił kłęb splątanych przewodów obok płaskiego czytnika kryształów, leżącego w innym kącie. Zmarszczył czoło, kiedy podszedł tam, żeby przyjrzeć mu się z bliska.

– Czy to może być to, o czym myślę? – mruknął do siebie.

– Co mówiłeś, Luke? – odezwała się idąca za nim Leia.

Nie odpowiedział, pochylił się nad urządzeniem, a później, prostując i porządkując kable, próbował zorientować się, czy instrument działa.

– Wygląda na to, że składał się kiedyś z trzech niezależnych części – stwierdził po chwili. – Prawdopodobnie wszystkie są zniszczone.

Czuł jednak narastające podniecenie. Może w jakiś sposób mógłby złożyć nie uszkodzone części w jedną całość?

– Co to takiego? – zapytała ponownie Leia.

Luke rozwinął zwój przewodów i znalazł na jego końcu czytnik. Przypominał szklisto-srebrne krótkie wiosło, nieco dłuższe od dłoni.

– Czytałem o tych urządzeniach, badając kiedyś zapiski starożytnych Jedi – odezwał się w końcu. – Posługiwali się nimi siepacze Imperatora, gdy szukali rycerzy ukrywających się przed prześladowcami. To był czas bezlitosnych polowań na wszystkich Jedi.

Znalazł drugi nie uszkodzony czytnik kryształów, a później podłączył do obu urządzenie kontrolne, które wyglądało na najmniej zniszczone. Sztuczną dłonią zgarnął z powierzchni prostopadłościennego pudełka warstwę kurzu i w odpowiednich gniazdkach na obu bocznych ściankach umieścił wtyczki, jakimi były zakończone wiązki kabli. Potem ujął w każdą dłoń po jednym podobnym do wiosła czytniku. Wcisnąwszy przełącznik na obudowie pudełka, z radością zauważył mnóstwo zapalających się różnobarwnych świateł, kiedy urządzenie przystąpiło do wykonywania

diagnostycznych procedur wstępnych.

– Ekipy Imperatora używały takich przyrządów jako czegoś w rodzaju detektorów Mocy – wyjaśnił. – Jego zbiry mogły w ten sposób badać ludzi, i upewniać się, że mają talent Jedi, kiedy emanowało z nich jakieś światło. Z zapisków ocalałych z pogromu wynika, że garstka pozostałych przy życiu Jedi obawiała się tego urządzenia bardziej niż jakiegokolwiek innego. Może uda się nam uruchomić je i wykorzystać dla dobra przyszłych Jedi.

Wyszczерzył w uśmiechu zęby i przez chwilę poczuł się znów jak młody, podniecony wiejski chłopak, jakim kiedyś był na Tatooine.

– Stój spokojnie, Leio – powiedział. – Pozwól, że wypróbuję je na tobie.

Jego siostra cofnęła się o krok, wyraźnie przerażona.

– Co ono właściwie robi? – zapytała. Wedge i Ackbar podeszli, by popatrzeć.

– Zaufaj mi – odrzekł Luke.

Wyciągnął ręce i oba trzymane w dłoniach wiosła przytrzymał po obu stronach Leii na wysokości ramion. Gdy przycisnął przełącznik włączający zasilanie, całe jej ciało, od stóp do głów, otoczyła warstewka pomarańczowoczerwonego światła. W powietrzu nad pulpitem kontrolnym pojawił się zmniejszony i odwrócony obraz świetlistej warstwy, który w miarę przybywania gromadzonych informacji przemieniał się w niewielki holograficzny wizerunek Leii.

Hologram różnił się jednak od tamtego, który kiedyś wyświetlił Artoo Detoo przed Benem Kenobim. Ten pokazywał tylko zarys jej ciała, ale zawierał także wyświetlone w powietrzu obok niego kolumny różnobarwnych liczb. Sylwetkę otaczała słaba, ale dosyć wyraźna aureola migotliwego błękitnego światła.

– Czy rozumiesz coś z tego, Luke? – zapytał admirał Ackbar, zbliżywszy się o krok, by lepiej widzieć.

– Dla porównania zbadajmy kogoś innego – odparł Luke.

Tym razem skierował końce wiosła na Wedge'a, który skulił się, gdy pomarańczowoczerwona poświata rozjarzyła się wokół jego munduru. Kiedy jego holograficzna sylwetka pojawiła się tuż obok wciąż jeszcze widocznej postaci Leii, większość różnobarwnych liczb była taka sama – ale wizerunku nie otaczała błękitna aureola.

– A teraz spróbujmy na panu, admirale – odezwał się Luke.

Zwrócił końcówki wiosła ku Kalamarianinowi, po czym ustawił na pokrętkach urządzenia kontrolnego odpowiednie liczby, chcąc uwzględnić fakt odmiennej fizjologii obcej istoty. Gdy pojawił się wizerunek, wokół niego także nie było widać błękitnej aureoli.

– Leio, czy mogłabyś teraz dokonać takiej samej próby na mnie? – zapytał Luke. – Po to, byśmy mogli być absolutnie pewni.

Leia przyjęła z oporami podane jej urządzenie, jakby nawet nie chciała dotknąć przedmiotu, służącego kiedyś projektantom androidów używanych do przesłuchań. Bez kłopotu jednak ustawiła tarcze urządzenia kontrolnego, a potem wyciągnęła szklisto-srebrne płytki i przytrzymała je na wysokości ramion brata.

Jego wizerunek otaczała bardzo jasna aureola.

– To niezwykle cenne odkrycie – stwierdził Luke. – Nie trzeba mieć żadnych specjalnych umiejętności władania Mocą, by korzystać z tego urządzenia. Możemy znaleźć ludzi wykazujących talent Jedi, po prostu poddając ich badaniu. Nie wątpię, że ten przyrząd okaże się pomocny przy szukaniu kandydatów do mojej akademii. Może więc po tylu latach będzie z niego jakiś pożytek.

– Bardzo dobrze, Luke – pochwalił Ackbar.

Luke zacisnął wargi.

– Wedge, chciałbym coś wypróbować – powiedział. – Czy nie zechciałbyś odprężyć się i pozwolić mi zbadać twój umysł?

– Hm... – odezwał się Wedge, ale widząc, że patrzą na niego jego ludzie, wyprostował się i zakończył: – Cokolwiek chcesz, Luke.

Nie tracąc czasu, Jedi wyciągnął ręce i musnął palcami skroń generała, a potem zapuścił myślową sondę, dotykając powierzchni mózgu. Następnie skierował swoje myśli ku tylnej części, gdzie znajdował się ów zdumiewający węzeł odpowiedzialny za podświadome myśli i odruchy...

Kiedy dotknął go myślą, nic szczególnego się nie wydarzyło. Wedge zapewne w ogóle nie wiedział, że jego umysł jest sondowany. Luke naparł trochę silniej, ale nie spotkał się z żadnym odruchem. Nie odrzuciła go żadna siła w rodzaju tej, z jaką zareagowała Leia.

– O co w tym chodziło? – zapytał Wedge, kiedy Luke skończył badać jego umysł. – Czy coś robiłeś?

Jedi lekko się uśmiechnął.

– Potwierdziłem tylko swoją teorię. Uważam, że przybliżyliśmy się bardzo do celu, jakim jest odrodzenie zakonu rycerzy Jedi.

Rozdział 4

Dobrze chociaż, że siłą uderzenia o powierzchnię nie wywołała eksplozji statku.

To była pierwsza myśl, jaka przemknęła przez głowę Hana Solo, kiedy w końcu odzyskał przytomność. Kilka razy zamrugał, wsłuchując się w syk powietrza uchodzącego przez szczeliny w kadłubie „Tysiącletniego Sokoła”. W jakiś sposób udało mu się wyjść cało z tej katastrofy. Był ciekaw, na jakiej znalazł się planecie.

Na Kessel!

Jego oczy rozszerzyły się na widok czerwonych bryzgów na pulpicie sterowniczym. To była jego krew. Prawa noga paliła go żywym ogniem, a w ustach czuł jakiś metaliczny posmak. Gdy zakasłał, na tablicy kontrolnej pojawiły się nowe krwawe plamy. Przypomniawszy sobie, że przed katastrofą nie przypiął się do fotela. Cieszył się, że przynajmniej nie przebywał wówczas w wieżyczce blasterowego działka. Ze swojego punktu obserwacyjnego stwierdził, że statek po uderzeniu o powierzchnię kilka razy przekoziółkował. Zmiażdżone szczątki wieżyczki leżały teraz obok niego.

Liczył na to, że Chewbacca miał więcej szczęścia. Obracając głowę poczuł, jakby w jego kręgosłup wbiły się krysztalki mielonego szkła. Zobaczył, że Wookie leży bez czucia na fotelu drugiego pilota. Na futrze było widać ślady zakrzepłej krwi, która musiała wypłynąć z ran, ukrytych głęboko pod zmierzwionymi włosami.

– Chewie! – wychrypiął Han z najwyższym trudem. – Powiedz coś, dobrze?

Od strony głównego włazu dobiegł go huk eksplozji niewielkiego ładunku wybuchowego, a później ktoś zważył obwody elektroniczne uruchamiające rampę. Resztką powietrza „Sokoła” z szumem wydostała się na zewnątrz i zmieszała z rozrzedzoną atmosferą Kessel.

– Wspaniale – mruknął Han. Czując przenikliwy ból w okolicy żeber i tak mógł oddychać tylko z wielkim trudem.

Usłyszał odgłos ciężkich butów ludzi wchodzących po opuszczonej rampie. Bardzo chciał wyciągnąć blaster albo chociaż powalić kilku wrogów w walce na pięści; udało mu się jednak tylko spojrzeć w górę. Spodziewał się, że zobaczy grupę imperialnych szturmowców idących w szyku i odzianych w białe pancerze. Pomyślał, że taki widok byłby właściwym zakończeniem dnia obfitującego w tyle niespodzianek.

Zobaczył jednak, że przybysze mieli na sobie dziwaczne zbroje, jakby sporządzone domowym sposobem. Niektóre płyty były kiedyś elementami pancerzy noszonych przez więziennych strażników. Inne, będące rzeczywiście częściami standardowych pancerzy szturmowców, zostały przerobione. Han nic z tego nie rozumiał, ale i tak jego umysł musiał pogodzić się z faktami, które aż do tej chwili uważał za niemożliwe. Myśliwce typu TIE i X lecące obok siebie i walczące przeciwko temu samemu przeciwnikowi? Przeciwnikowi? Przeciwnik niemu?

Przybysze mieli na twarzach maski tlenowe, pozwalające im swobodnie oddychać w rozrzedzonej atmosferze. Kiedy mówili do siebie i krzyczeli, ich głosy wydobywały się jak spod ziemi.

Jako pierwszy wszedł do sterowni mężczyzna o szyi i rękach tak nieprawdopodobnie długich, że wyglądał jak strach na wróble. Han niejasno pamiętał, że już kiedyś go widział, ale nie mógł sobie skojarzyć postaci z żadnym nazwiskiem. Strach na wróble miał opaski na rękawach, takie same, jakie nosili strażnicy imperialnych więzień, a u boku zmodyfikowany dwulufowy ciężki blaster, który na większości planet z całą pewnością zostałby uznany za broń nielegalną. W chwili, w której Han go zobaczył, strach na wróble zwrócił na niego szeroko rozstawione i pozbawione wszelkiego wyrazu oczy.

– Han Solo – powiedział. Han był pewien, że mężczyzna szeroko się uśmiecha, chociaż maska zakrywała dolną połowę jego twarzy. – Jeszcze będziesz gorzko żałował, że w ogóle przeżyłeś lądowanie na Kessel.

W nagłym przypiływie świadomości Han przypomniał sobie nazwisko stracha. Skynxnex. Ale przecież Skynxnex odsiadywał karę w imperialnym zakładzie karnym, ciesząc się, że uniknął wykonania wyroku śmierci. Przez głowę Hana zaczęło przelatywać setki pytań, ale Skynxnex wysoko uniósł zakończoną pancerną rękawicą pięść i z całej siły opuścił ją na głowę Hana, pozbawiając go znów przytomności.

Kessel. Przyprawa. Gdy z wysiłkiem próbował przyjść do siebie, jego myśli wciąż jeszcze mieszały się z koszmarami.

Zawsze chęłpił się, że jego „Sokół” doleciał do Kessel i wrócił w rekordowo krótkim czasie, ale rzadko opowiadał pozostałą część historii, gdy ścigany przez patrolowce imperialnych celników musiał uciekać, mając tajne skrytki pod pokładem i ładownie wypełnione przyprawą.

Jak zawsze, dostał towar od mężczyzny przypominającego żabę, Morutha Doole’a, odpowiedzialnego za przedostawanie się na czarny rynek sporych ilości kontrolowanego przez Imperium narkotyku. Doole był jakimś urzędnikiem w gigantycznym kompleksie imperialnego więzienia, z którego pochodziła większość więźniów zatrudnionych przy wydobywaniu przyprawy. Imperium drobiazgowo kontrolowało ilość produkowanego specyfiku, ale Doole w jakiś sobie tylko znany sposób potrafił przeznaczać całkiem dużą część na własne potrzeby. Han Solo i Chewbacca byli jego pośrednikami. Przemycali transporty przyprawy przez kordon statków imperialnych celników i dostarczali ją organizacjom zajmującym się dystrybucją, a kierowanym przez gangsterów w rodzaju Jabby Hutta.

Moruth Doole miał jednak bardzo brzydki zwyczaj wystawiania do wiatru swoich współpracowników za każdym razem, gdy dochodził do wniosku, że może ubić lepszy interes, jeśli odda ich w ręce władzy. Han nigdy nie potrafił tego udowodnić, ale podejrzewał, że to właśnie sam Doole nasłał na „Sokola” patrol celników. Przypuszczał, że podobny do żaby mężczyzna przekazał im dokładne współrzędne miejsca, w którym Han chciał dokonać skoku w nadprzestrzeń, kiedy jego statek odlatywał z ładowniami wypełnionymi przyprawą.

Zanim Han pozwolił wówczas imperialnym celnikom wejść na pokład, musiał wyrzucić w przestrzeń cały transport błyszczystymu, warty fortunę. Kiedy później, zatoczywszy wielki krąg, powrócił, chcąc odzyskać ładunek szybujący w przestworzach, musiał znów umykać przed celnikami. Podczas desperackiej próby ucieczki przeleciał tak blisko grawitacyjnych wirów ogromnej gromady

czarnych dziur, że żaden gwiazdny atlas nie wskazywał, by mogło to być możliwe. Jeden z patrolowców spłonął podczas pościgu, dostawszy się w wir rozgrzanych gazów, a jego płonące szczątki zostały wessane przez bezdenną czeluść. „Sokół” jednak przeleciał na drugą stronę, a później dokonał skoku w nadprzestrzeń i bezpiecznie powrócił.

Bezpieczeństwo i spokój nie trwały jednak długo. Pozostawiony ładunek przyprawy był wart ponad dwanaście tysięcy czterysta kredytów, które sam Jabba Hutt zapłacił co do ostatniego. Jabba nie był tym zachwycony.

Wspomnienie wszystkich miesięcy, które spędził zamrożony w bryle karbonitu i zawieszony na ścianie pałacu Jabby, sprawiło, że Han zadrżał. Zorientował się, że i teraz otacza go lodowata ciemność. Nic nie widział. Z zimna zaczął szczękać zębami.

– Zaprzestać termicznych drgawek! – odezwał się obok niego jakiś metaliczny głos. Przypominał dźwięk plazmowego palnika rozcinającego bryłę litej skały. – Temperatura w tej sali ośrodka medycznego została celowo obniżona, by zminimalizować prawdopodobieństwo wstrząsu, jakiego mógłby doznać twój metabolizm.

Han otworzył oczy i zobaczył podobną do pocisku głowę androida medycznego. Większa część jego metalowej powłoki miała zielonkawą barwę zastarzałej śniedzi, ale czujniki optyczne przysłonięte czymś w rodzaju ciemnego kaptura ochronnego. Połączone przegubowo mechaniczne ręce wyciągały się ku Hanowi, ukazując rozmaite archaiczne narzędzia chirurgiczne, wszystkie bardzo ostre.

– Jestem więziennym androidem medycznym – ciągnął automat. – Nie zaprogramowano mnie z myślą o znieczuleniu czy innych medycznych uprzejmościach mających sprawić, żeby cię nie bolało. Jeżeli nie zechcesz współpracować, twoje leczenie będzie jeszcze bardziej nieprzyjemne.

Han przewrócił oczami. Ten automat z pewnością nie był jednym z tradycyjnych medycznych androidów, zaprogramowanych z myślą o dodawaniu otuchy operowanym nieszczęśnikom.

Han spróbował się poruszyć. Znajdował się w białej i zimnej sali więziennego szpitala, na której ścianach wisały różne błyszczące urządzenia medyczne i puste zbiorniki po kulturach bakterii. Miał niejasne przeczucie, że drzwi sali są pilnowane przez strażników. Kiedy jednak chciał spojrzeć w tamtą stronę, medyczny android wyciągnął zimne metalowe ręce i unieruchomił jego głowę.

– Nie wolno ci się poruszać. Teraz będzie bolało. I to bardzo. Musisz się odprężyć. Natychmiast! Niewidoczny, bo leżący w przeciwległym kącie sali Chewbacca głośno ryknął z bólu, a Han z ulgą zorientował się, że Wookie wciąż żyje. Przynajmniej na razie.

Skrzywił się, kiedy jego medyczny android przystąpił do pracy.

Chewbacca obudził go, potrząsając włochatymi łapami i obejmując w entuzjastycznym uścisku. Han jęknął i kilka razy otworzył i zamknął oczy, ale w pomieszczeniu było tak ciemno, że musiał odczekać kilka minut, zanim jego wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Całe ciało bolało go tak bardzo, jakby został pobity, a nie wyleczony.

Chewbacca zaryczał i ponownie go uściskał.

– Spokojnie, Chewie! – upomniął go Han. – Bo odeślesz mnie znów w łapy tego mechanicznego łapiducha.

Wookie natychmiast uwolnił go z objęć.

Han spróbował się zorientować, jak się czuje. Usiadł, napiął mięśnie ramion, a potem wstał. Natychmiast poczuł przenikliwy, trudny do zniesienia ból w lewej nodze i w dwóch, nie, w trzech żebrach, w miejscach, w których medyczny android połatał i skleił jego kości. Han był wciąż

osłabiony, ale pewnie dzięki zastrzykom odżywczych płynów czuł się nie najgorzej.

Chewbacca także wyglądał mizernie i ponuro. W kilku miejscach, w których ogolono jego futro do gołej skóry, Han mógł dostrzec wybrzuszenia blizn świadczących o tym, że medyczne androidy nie przejmowały się subtelnościami swojej pracy. Po skończonych zabiegach pacjentów po prostu wrzucono do wilgotnej, chociaż dosyć obszernej celi.

Rozejrzawszy się po niej, Han w końcu pociągnął nosem zatęchłe powietrze mrocznego pomieszczenia.

– Kogo tutaj wykończono? – zapytał, orientując się w następnej chwili, że jego żartobliwa uwaga nie musi być daleka od prawdy.

Chewbacca w odpowiedzi wskazał toporny kształt zajmujący jedną trzecią powierzchni celi. Han znów kilka razy zamrugał, chcąc upewnić się, że wzrok nie płata mu niespodzianek.

W kącie celi leżało jakieś wielkie i paskudne zwierzę. Wyglądało na coś pośredniego między skorupiakiem a pajęczakiem. Dwa rzędy długich, ostrych jak szpilety zębów świadczyły jednak o tym, że stworzenie musiało być bez wątpienia mięsożerne. Przednie łapy, zakończone potężnymi pazurami, miały długość niemal dwóch metrów, a zachodzące na siebie kościane płytki, niemal pokrywające całą resztę ciała, całe były w dużych guzach, podobnych do strupów. Jediną miłą rzeczą było to, że zwierze nie żyło. Szczątki cuchnęły.

Han po raz pierwszy widział rankora, kiedy był niemal ślepy po chorobie pohibernacyjnej, jaką przeszedł po odmrożeniu go z bryły karbonitu w pałacu Jabby Hutta. Jabba karmił wówczas bestię, którą trzymał w piwnicy pod salą tronową, nieprzyjaciółmi lub wszystkimi innymi, którzy wpadli w jego łapy. Han spotkał też wiele oswojonych rankorów na Dathomirze, planecie, na którą poleciał, chcąc sprawić, by pokochała go księżniczka Leia. To właśnie jedna z takich bestii musiała zdechnąć w celi imperialnego więzienia. Ścierwo rankora rozłożyło się, na ile mogło, a potem uległo mumifikacji.

Więzienie było czymś pośrednim między ogrodem zoologicznym a zakładem karnym, gdyż trzymane tu różne istoty miały odmienne metabolizmy i w różnym stopniu reagowały na zewnętrzne bodźce. Łączyła je tylko wspólna cecha: wszystkie były dzikie i drapieżne.

Cela, w której się znaleźli, była duża – rzecz jasna, jeżeli uwzględnić fakt, że była celą – na tyle duża, żeby rankor mógł nie tylko przebywać w niej, ale i cieszyć się jaką taką swobodą ruchów. W różnych miejscach na podłodze leżały potrzaskane i spleśniałe kości, z których wiele nosiło ślady ogryzania i miażdżenia. Widocznie zdychające z głodu stworzenie desperacko próbowało odszukać na nich choć trochę pożywienia. Po ścianach celi spływały zielone i błękitne krople jakiejś gęstej mazi. Od czasu do czasu było słychać plusk pojedynczych kropli ściekającej wody.

– Od jak dawna tutaj jesteście, Chewie? – zapytał Han. – Czy wiesz?

Chewbacca nie wiedział.

Han spróbował się zastanowić. Wyłonili się z nadprzestrzeni w pobliżu Kessel, podali nazwę swojego frachtowca i wysłali sygnał identyfikujący ich jednostkę jako statek Nowej Republiki. Wówczas zostali zaatakowani przez kilka myśliwców typu TIE i X, a potem przez całą flotę najprzeróżniejszych innych statków. Było jasne, że obecni władcy Kessel coś knują i nie chcą, żeby dowiedziała się o tym Nowa Republika.

Później przypomniał sobie podobnego do stracha na wróble Skynxnexa i chwilę, kiedy ten wkroczył na pokład rozbitego „Tysiącletniego Sokoła”. Skynxnex był złodziejem i mordercą, ale również jedynym pośrednikiem między Morutem Doole’em a przemytnikami. Kiedyś, po wielu

awanturach, udało mu się uzyskać zajęcie więziennego strażnika w zakładzie karnym, ale teraz wyglądało na to, że zmienił pracę...

Han usłyszał szcęknięcie i buczenie urządzenia wyłączającego pole siłowe wokół zamka celi, a po chwili zgrzytliwy warkot, z jakim urządzenia hydrauliczne unosiły masywne wrota. W miarę upływu czasu do celi zaczęło wpadać coraz więcej oślepiająco jasnego światła. Han uniósł rękę i przysłonił oczy. Nie zdawał sobie sprawy, że w celi było tak ciemno.

– Przygotuj się, Chewie – szepnął.

Gdyby strażników było tylko kilku, chciał ich zaskoczyć, przedrzeć się przez ich kordon i uciec stąd. Później poczuł jednak ukłucie bólu w okolicy sklepanych niedawno żeber i zaczęło mu się kręcić w głowie. Chewbacca, który opierał się bezwładnie o jedną z wilgotnych ścian celi rankora, także cicho jęknął.

Może, gdyby był tylko jeden strażnik, na wpół ślepy i przychodzący do siebie po przebytej całotygodniowej czerwonce... – pomyślał Han.

– Nie szkodzi, Chewie – odezwał się po chwili. – Przekonajmy się, o co chodzi.

Sylwetka człowieka stojącego przy drzwiach przypominała stracha na wróble. Był to niewątpliwie Skynxnex. Kiedy Han przyzwyczaił oczy do światła, zauważył czterech innych strażników. Mieli na sobie niekompletne więzienne mundury i różne fragmenty zbroi, osłaniające wrażliwe miejsca na ciele, ale nie uwidaczniające żadnych wojskowych stopni czy odznaczeń.

– A więc, Hanie Solo, spodziewam się, że doceniasz naszą... hm, gościnność – odezwał się Skynxnex.

Han uśmiechnął się z przymusem i odwrócił głowę, żeby spojrzeć na zdechłego rankora i wilgotną celę.

– Ta-a, wy, chłopaki naprawdę przekształcacie Kessel w raj dla wycieczkowiczów – powiedział. – Zupełnie jak planetę Ithor.

Skynxnex także popatrzył na zmumifikowaną bestię.

– Ach tak, w zamęcie, jaki nastąpił w czasie przejmowania przez nas władzy nad więzieniem, ktoś zapomniał o karmieniu rankora. Wielka szkoda. Przypomniano sobie o nim dopiero po upływie kilku miesięcy. Podwójna szkoda, bo właśnie wtedy było mnóstwo imperialnych więźniów, których trzeba było jakoś się pozbyć. Obserwowanie ich sprawiłoby nam wielką radość. Zamiast tego musieliśmy posłać ich do kopalń przyprawy.

Skynxnex na sekundę się uśmiechnął, ale później jego twarz przemieniła się znów w kamienną maskę.

– Mam nadzieję, że medyczne androidy pomogły wam zaleczyć rany odniesione w czasie katastrofy. To ważne, byście byli w pełni sił i zdrowia, gdy będziemy was przesłuchiwać. Pragniemy się dowiedzieć, dlaczego przybyliście tu w szpiegowskiej misji.

Han pomyślał, że chyba po raz pierwszy będzie mógł powiedzieć na ten temat całą prawdę.

– W każdej chwili, Skynxnex – odparł.

Coś jednak mówiło mu, że w jego sytuacji nie wystarczy nawet szcera i cała prawda.

Karykaturalny dowódca straży pozwolił sobie na kolejny lekki uśmiech.

– A więc przypominasz mnie sobie, Solo? – zapytał. – To dobrze. Moruth Doole będzie chciał porozmawiać z tobą bez chwili zwłoki.

Han uniósł brwi. To znaczyło, że Doole wciąż żyje i sprawuje jakąś władzę, ale Han nie miał pojęcia, o co może w tym wszystkim chodzić.

– Bardzo się cieszę, że wreszcie będę mógł pogadać ze starym Moruthem – powiedział. – Dawno się nie widzieliśmy. Kiedyś był moim dobrym przyjacielem!

Na te słowa Skynxnex prychnął, ale niemal w tej samej chwili umilkł. Stojący za nim strażnicy zachichotali.

– Ta-a. Mam wrażenie, że słyszałem, jak wymieniał twoje nazwisko – przyznał strach na wróble. – I to często.

Wyjechali windą z głównego bloku, w którym znajdowały się więzienne cele, i pomknęli długą rurą ku budynkowi na obrzeżach placówki karnej. Z wielką prędkością sunęli po zakrzywionych metalowych torach.

Spoglądając przez przezroczyste, chociaż porysowane ściany kabiny, Han widział, że samo więzienie było masywnym brązowoszarym gmachem z plastali i syntetycznej skały. Frontową ścianę wzniesiono pod kątem mniej więcej czterdziestu pięciu stopni w ten sposób, że dach zajmował mniejszą powierzchnię niż fundament. Przy wszystkich narożnikach znajdowały się wieżyczki z szybkobieżnymi windami. Ze skośniej powierzchni gmachu wystawały konstrukcje o szklanych lub lustrzanych ścianach, będące pomieszczeniami administracyjnymi lub pokojami strażników.

W pędzącej z zawrotną prędkością windzie oprócz Chewbaccy i Hana stał Skynxnex, który spoglądał na nich z kpiącym uśmiechem, ale nie przestawał mierzyć do nich z blasterowej dwururki. Pilnujący ich strażnicy, uzbrojeni w konwencjonalne blastery, także nie spuszczały z nich oczu, gotowi do natychmiastowej akcji.

Widząc to Han poczuł, że ogarnia go przewrotna duma. Nie wiedział, co takiego zrobił, żeby wzbudzić w tych ludziach tyle strachu.

I jego, i Chewbaccę zakuto w paraliżujące kajdanki. Było to urządzenie krępujące nadgarstki i wytwarzające impulsy elektryczne, porażające nerwy. Moc wysyłanych elektrowstrząsów była wprost proporcjonalna do siły, z jaką więzień starał się uwolnić. Wiedząc o tym, Han kontrolował swoje zachowanie na tyle dobrze, że czuł tylko lekkie mrowienie w okolicach nadgarstków. Chewbacca jednak, który, jak zwykle, nie potrafił zapanować nad odruchami, otrzymał tak silny impuls, że teraz znajdował się w stanie odrętwienia.

Kiedy w końcu drzwi windy się otworzyły, Skynxnex lufą dwururki dał obu więźniom znak, że mają wysiąść. Han usłuchał bez sprzeciwu i wyszedł pierwszy, starając się nadać krokom sprężystość świadcząca o dużej pewności siebie. Wprawdzie często miewał zatargi z Moruthem Doole'em i nigdy mu nie ufał, ale, o ile wiedział, on i Doole nie żywili do siebie nienawiści.

Skynxnex poprowadził ich przez pomieszczenia personelu administracyjnego, z których wiele było splądrowanych i spalonych. Później przeszli przez wielką poczekalnię i znaleźli się w olbrzymim biurze, którego gigantyczne okna ukazywały panoramę niegościnnych i pozbawionych życia równin Kessel. W oddali Han widział nawet popękane dna wyschniętych jezior, iskrzące się od soli. Z ogromnych kominów emitujących gazy tworzące atmosferę strzelały w jasnoróżowe niebo kłęby tlenu, azotu i dwutlenku węgla, dzięki którym na planecie dało się oddychać, chociaż z trudem. Umieszczone na orbitach generatory silnych pól uniemożliwiały docieranie do powierzchni większości śmiertelnych promieni Roentgena i gamma, emitowanych przez pobliską Otchłań. Gdyby nie kopalnie drogocennej przyprawy, nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby mieszkać na Kessel.

Dawny napis na drzwiach głosił, że jest to siedziba dyrektora placówki karnej, ale ktoś

przekreślił go i odręcznie napisał w basicu: BIURO DOOLE'A. Na ścianie po prawej stronie gigantycznego biurka wisiał zatopiony w bryle karbonitu mężczyzna, którego wygląd świadczył o tym, że w chwili zamrażania był w agonii. Doole musiał nauczyć się od Jabby, jak pokazać gościom, co czeka jego wrogów. Han wzdrygnął się, kiedy spojrzał na to makabryczne trofeum.

Przy jednym z okien stała postać podobna do beczi, odwrócona tyłem, ale oświetlona jaskrawym sztucznym światłem. Han natychmiast rozpoznał w niej Morutha Doole'a.

Doole był Rybetem, przysadzistą istotą o miękkiej, jaskrawozielonej skórze, poznaczonej poziomymi ciemnobrązowymi pasami, które biegnąc przez policzki, ramiona i ręce, sprawiały, że wyglądał jak dżdżownica. Jego ciało było suche, ale tak gładkie, jak gdyby pokryte śluzem. Jak zwykle, był ubrany w skórę innego gada, który nie miał tyle szczęścia. Doole nosił kamizelkę jakby skopiowaną z jakiegoś prehistorycznego wideogramu, a także jaskrawożółty szal, który oznaczał, że jego właściciel jest gotowy do kopulacji. Han nie mógł jednak sobie wyobrazić, gdzie na całej Kessel mogłaby znaleźć się chętna towarzyszka.

Doole odwrócił się i ukazał zniekształconą twarz, przez którą przebiegały raz po raz nerwowe skurcze i drgawki. Jego oczy były zawsze zbyt duże, podobne do latarń zaopatrzonych w pionowe szczeliny, ale teraz jedno z nich miało mlecznobiałą barwę przypominającą białko na wpół ugotowanego jajka. Drugie oko było przysłonięte mechanicznym urządzeniem do zmieniania ogniskowej, przymocowanym za pomocą brązowych skórzanych rzemyków do bezwłosej głowy.

Doole zaczął ustawiać ogniskową mechanicznego oka, a soczewki jak w obiektywie kamery zaczęły, zazgrzytały i zajęły właściwe miejsce. Palce miał, jak wszyscy Rybetowie, długie, rozszerzone na końcach i zaopatrzone w szczątkowe przyssawki. Sięgnął nimi do soczewek, poprawił ostrość, a następnie zbliżył twarz do głowy Hana. Po dłuższym wpatrywaniu się w twarz więźnia, w końcu rozpoznał go i zasyczał:

– To naprawdę jesteś ty, Hanie Solo!

Han zmarszczył brwi.

– Widzę, że za często faszerujesz się przyprawą, Moruth powiedział. – Zawsze rozpoznawałeś mnie od pierwszego spojrzenia.

– To nie z powodu przyprawy – odparł Doole, dotykając urządzenia przysłaniającego jego oko. Prysnąwszy śliną, wciągnął powietrze z odgłosem przypominającym syk gazowanego napoju, wylewanego na rozżarzone węgle. – Dlaczego tutaj przyleciałeś, Solo? Chcę, żebyś mi to powiedział, ale jeszcze bardziej zależy mi na tym, byś choć trochę się opierał. Tak żeby wydobycie tej wiadomości sprawiło ci trochę bólu.

Chewbacca ryknął, najwyraźniej rozgniewany. Han odruchowo chciał rozłożyć ręce, ale w porę przypomniał sobie o kajdankach.

– Zaczekaj chwilę, Moruth – powiedział. – Lepiej będzie, jak ty wyjaśnisz mi kilka rzeczy. Przede wszystkim nie rozumiem...

Doole nie słuchał go, zacierając wywinięte i złożone razem ręce i wykrzywiając w uśmiechu jasnopomarańczowe wargi.

– Najtrudniej będzie mi powstrzymać się od wydania rozkazu moim podwładnym, żeby pokrajali cię na kawałki tu i teraz, na moich oczach – ciągnął.

Han poczuł nagle, że jego serce zaczyna walić jak ciężkim młotem.

– Czy możemy przez chwilę porozmawiać jak rozsądni ludzie? – zapytał. – Byliśmy kiedyś partnerami, Doole, a ja nigdy cię nie oszukałem.

Han nie wspomniał o tym, że podejrzewa, iż to Doole podczas tamtej ucieczki przed celnikami oszukał jego.

– Przepraszam, jeżeli zrobiłem coś, co sprawiło cię w zły humor. Czy możemy o tym pogadać?

Pamiętał rozmowę, jaką odbył w kantynie w Mos Eisley z najemnym mordercą, Greedo. Jabba Hutt nigdy nie chciał rozmawiać, kiedy ktoś oszukał go czy zawiódł. Han miał nadzieję, że Doole okaże się rozsądniejszy.

Moruth Doole cofnął się i zaczął przebierać w powietrzu długimi paluchami.

– Pogadać? Co takiego chciałbyś mi powiedzieć? Że kupisz mi androida, który mógłby zastąpić mi stracone oko? Nienawidzę androidów! To z twojego powodu Jabba Hutt chciał mnie zabić! Musiałem go błagać, żeby tylko zadowolił się wypaleniem jednego oka! Musiałem go błagać, żeby tylko wypalił mi oko!

Zrobił ruch, jakby chciał dźgnąć mlecznobiałą tkankę. Skynxnex szurając nogami podszedł do Doole’a.

– Myślę, że zamiast przerazić go, tylko zamieszałeś mu w głowie, Moruth – odezwał się półgłosem. – Może on naprawdę nie wie, co się stało.

Doole usiadł za ogromnym biurkiem i, starając się odzyskać godność, wygładził fałdy kamizelki.

– Kiedy wyrzuciłeś tamten ładunek przyprawy w przestrzeń, Jabba uznał, że to moja wina! Wyzначył nawet cenę za moją głowę! I to wszystko dlatego, że okazałeś się parszywym tchórzem!

Chewbacca ryknął, nie na żarty rozgniewany. Han również tylko z najwyższym trudem powstrzymywał się, by nie okazać gniewu.

– Jabba Hutt wyznaczył także cenę za moją głowę, Moruth – powiedział. – Greedo chciał mnie zabić na Tatooine. Potem na Bepinie pochwycił mnie Boba Fett, łowca nagród. Zatopiono mnie w bryle karbonitu jak twojego przyjaciela na ścianie – gestem wskazał na makabryczne trofeum – ale później odesłano do Jabby.

Doole machnął lekceważąco ręką.

– Ludzie Jabby i tak przeniknęli do administracji kopalń, a on sam chciał mnie usunąć, by nie musieć kupować przyprawy od pośredników. Któryś z jego siepaczy przysmażył jedno moje oko i niemal całkowicie zniszczył drugie. Chciał dokończyć dzieła, ale w samą porę został zabity przez Skynxnexa.

Stojący przy drzwiach strach na wróble uśmiechnął się z nie ukrywaną dumą.

– Jabba przyparł mnie do muru i zmusił do działania – ciągnął Doole. – Wznieciliśmy więc w więzieniu bunt. Dyrektor był człowiekiem Jabby, ale większość strażników stała po mojej stronie. Widzisz, to dlatego, że im dobrze płaciłem. Na szczęście mniej więcej w tym samym czasie Imperium zaczęło się rozpadać w gruzy. W taki sposób przejęliśmy władzę na Kessel. Podobnie postąpiło kilku innych właścicieli niewolników na drugiej półkuli, ale oni nie mogli się równać ze mną.

Od dawna gromadziłem zapasy przyprawy i organizowałem flotę obronną, wcielając do niej każdy statek, jaki wpadł w moje ręce. Nikt, ale to absolutnie nikt nie może teraz pojawić się i usiłować pozbawić mnie dorobku całego życia!

Doole chwycił się długimi palcami za głowę w geście skrajnego wyczerpania.

– I wszystko działało wspaniale do czasu, gdy ściągnąłeś na moją głowę gniew Jabby! Wszyscy czuli się bezpieczni. Dobrze wiedziałem, co robić. A teraz nie jestem pewien dnia ani godziny. Niedługo zacznę bać się własnego cienia.

Obrócił na Hana mechaniczne oko.

– Ale tobie nie wystarczyło, że już raz zrujnowałeś moje życie, prawda? Wracasz tutaj i nadajesz wiadomość, że przybywasz w imieniu Nowej Republiki. Wyobrażałem sobie, że to resztki Imperium będą chciały pozbawić mnie władzy, ale wiem, że wszystkie duże rządy są takie same. Jesteś szpiegiem, Hanie Solo, i to wyjątkowo głupim. Czy myślałeś, że będziesz mógł przylecieć, rozejrzeć się po planecie i wrócić do Nowej Republiki, zabierając ważne informacje, jak najłatwiej nas podbić? – Z wilgotnym plaśnięciem uderzył dłonią podobną do płetwy o blat biurka. – Ale to my zadamy wam pierwszy cios, zabijając waszego szpiega, a w chwili, w której wasze statki wyłonią się z nadprzestrzeni, będziemy gotowi, by zestrzelić je jeden po drugim!

– Nie macie najmniejszej szansy! – dodał Skynxnex, wyszczerzywszy się w uśmiechu.

Han pozwolił sobie na lekki uśmiech, a nawet cicho zachichotał.

– Chłopaki, to wszystko nie tak – powiedział. – Jesteście w strasznym błędzie.

Chewbacca burknął na znak, że Han mówi prawdę. Skynxnex spojrzał na nich spode łba. Doole także patrzył na Hana, nic nie mówiąc.

– Jeszcze się przekonamy – rzekł w końcu.

Sięgnął do kieszeni kamizelki i wyjął z niej mały i wyglądający na bardzo staroświecki klucz, który umieścił w otworze jednej z szuflad biurka byłego dyrektora. Przez jakiś czas zmagał się z zamkiem, a potem otworzył szufladę. Wyciągnął z niej opancerzoną kasetkę. Z wysiłkiem postawił ją na blacie biurka, a następnie wyciągnął z innej kieszeni kamizelki drugi klucz.

Han patrzył, nie mogąc powstrzymać ciekawości. Doole otworzył kasetkę i wyciągnął z niej jeszcze mniejszy zapieczętowany pojemnik, a później skrupulatnie wsunął oba klucze z powrotem do kieszeni kamizelki i dopiero wtedy uniósł głowę i spojrzał na Hana.

– Bardzo cieszę się na myśl o tym, że później będę mógł cię poddać bardziej szczegółowemu przesłuchaniu, ale teraz chcę jak najszybciej wiedzieć, w którym miejscu wyłoni się wasza flota, gdzie zamierza lądować na Kessel, ile statków będzie liczyła i jaką bronią dysponuje. Wyciągnę z ciebie te informacje w tej chwili, a później, by uczynić zadość formalnym procedurom, z prawdziwą przyjemnością poświęcę więcej czasu, żeby przesłuchać cię nieco bardziej dokładnie.

Doole umieścił przypominającą płetwę dłoń na górnej powierzchni zapieczętowanego pojemnika. Lekkie buczenie i błysk światła, który oświetlił końce jego rozszerzonych palców, powiedział Hanowi, że był to rodzaj testu sprawdzającego tożsamość. Test zakończył się pomyślnie, gdyż po chwili ze środka niewielkiego pojemnika odezwało się mruczenie, z jakim przełamała się hermetyzująca pieczęć. Wieczko odskoczyło i oczom Hana ukazało się wnętrze wyściełane miękką gąbką.

W środku znajdowało się kilka smukłych, owiniętych w czarną folię cylindrów o długości mniej więcej kilku centymetrów. Han rozpoznał je natychmiast.

– Błyszczostym – stwierdził. Doole spojrzał na Hana.

– I to w najczystszej, najsilniejszej postaci. Zażyję go i z łatwością przekonam się, czy mówisz prawdę. Zdradzą cię twoje najskrytsze myśli.

Han poczuł nagle wielką ulgę.

– Co będzie, jeżeli nie mam żadnych najskrytszych myśli do zdradzenia?

Skynxnex wierzchem dłoni uderzył Hana w głowę tak silnie, że omal go nie przewrócił. Chewbacca szarpnął się, chcąc skoczyć na pomoc, ale paraliżujące kajdanki uciszyły jego wycie i sprawiły, że zatoczył się, tylko z trudem zachowując równowagę.

Doole wybrał jeden z cylindrów i trzymał go przez chwilę w długich palcach. Później jednym

zręcznym ruchem odwinął nie przepuszczającą światła czarną folię i wyciągnął ze środka cienką wiązkę półprzezroczystych pręcików, wyglądających jak szklane. Uniósł nie uaktywnione włókna błyszczostymu w ten sposób, by znalazły się w promieniach światła przepuszczanego przez olbrzymie okno, i po chwili fotoczuła przyprawa, dojrzewając, zaczęła iskrzyć się i świecić.

Han przyglądał się jej do chwili, kiedy była gotowa do spożycia. Później przełknął jakąś suchą kluczę, która utkwiała mu w gardle.

Doole otworzył usta, gdy przyprawa wysyłała opalizujące błękitne światło. Wysunął spiczasty długi język, owinał jego koniec wokół krystalicznych włókien, a później szybko wciągnął do ust. Błyszczostym zachrząścił i zasyczał, a kiedy Doole poruszył ustami, w ich kącikach pojawiło się kilka świecących okruchów.

Han obserwował, jak Doole, przysłoniwszy powieką mlecznobiałe oko, zaczyna głęboko i miarowo oddychać. Wiedział, że przyprawa oddziałuje teraz na umysł Doole'a, wspomagając drzemiące w nim ukryte moce. Mechanizm ustawiający automatycznie ostrość wzroku zazgrzytał i zaklekotał, przesuwając soczewki to bliżej, to dalej oka w daremnym trudzie przystosowania się do kłębiących się w umyśle Rybeta fantastycznych wizji. Dopiero po dłuższej chwili Doole odwrócił się i półprzymkniętymi powiekami popatrzył na obu więźniów.

Han skrzywił się, kiedy poczuł, jak w jego umyśle zaczynają gmerać paluchy obcych myśli, przenikają płyty pamięciowe i badają przechowywane tam wspomnienia i myśli... wciąż szperają i szukają. Próbował się przed nimi bronić, ale wiedział, że nie uda mu się ukryć niczego przed osobą naszpikowaną błyszczostymem.

Skynxnex zachichotał, ale niemal natychmiast umilkł, obawiając się zapewne, że może zwrócić uwagę Doole'a na siebie i na własne myśli.

Han czuł, jak zaczyna narastać w nim najpierw gniew, a później wściekłość na myśl o tym, że wszystkie intymne chwile, jakie przeżył z Leią, nie wyłączając narodzin ich trójki dzieci, mogą zostać poddane przez umysł Morutha Doole'a drobiazgowej analizie. Wiedział jednak, że działanie błyszczostymu jest krótkotrwałe i że Doole'a będą interesowały przede wszystkim powody, dla których on i Chewbacca zjawili się na jego planecie.

– Naprawdę ci nie skłamałem, Doole – odezwał się cicho. – Przylecieliśmy tu w pokojowej misji, by nawiązać stosunki dyplomatyczne z Kessel. Nowa Republika chciałaby powitać was w gronie wszystkich innych tworzących ją światów, a potem utrzymywać z wami kontakty handlowe. Jej przywódcy wysłali nas w pokojowej misji, ale wy, strzelając do pierwszych ambasadorów Nowej Republiki, wypowiedzieliście jej wojnę.

Chewbacca warknął.

Skynxnex zeszywniał, a później postąpił kilka niezdarnych kroków naprzód.

– O czym on mówi? – zapytał.

Han odezwał się nieco głośniejszym głosem.

– Poznaj prawdę z moich myśli, Moruth. Poznaj całą prawdę.

Kąciki warg Rybeta obwisły, a Han mógł widzieć iskry błyszczostymu trzeszczącego w jego ustach. Poczł, że paluchy obcych myśli zaczynają gmerać w jego umyśle coraz głębiej i głębiej, usiłując dokopać się całej prawdy. Czując, że działanie przyprawy słabnie, Doole starał się gorączkowo znaleźć choć najmniejsze potwierdzenie swoich podejrzeń.

Nie mógł jednak odkryć niczego, bo niczego nie było. Dowiedział się tylko, jak potężna jest flota Sojuszu, która teraz obróci się przeciwko niemu. Flota, której udało się pokonać potęgę Imperium,

z pewnością bez najmniejszego trudu poradzi sobie ze zbieraniną przypadkowych statków broniących nielegalnych interesów obecnych władców Kessel.

– Nie! – jęknął Doole. Obróciwszy się na fotelu, popatrzył na Skynxnexa. – Co my teraz zrobimy?

On mówi prawdę!

– To niemożliwe! – odparł strach na wróble. – On jest przecież... Jest przecież...

– Przyprawa nie kłamie. Przyleciał na Kessel z tych powodów, o których nam powiedział. A my go zestrzeliliśmy i uwięziliśmy. Teraz Nowa Republika dobierze się nam do skóry i nas zniszczy.

– A więc natychmiast każ ich zabić – doradził Skynxnex. – Jeżeli się pospieszymy, będziemy mogli zatrzeć wszystkie ślady.

Han poczuł, że znów jego serce zaczyna walić jak młotem.

– Chwileczkę, nie tak szybko! – zawołał natychmiast. – Jestem pewien, że wysłanie kilku właściwie sformułowanych zdań pozwoli wyjaśnić całą sprawę. Mimo wszystko jestem przecież ambasadorem. Mam nawet uwierzytelniające listy i wszystko, co potrzeba. Z pewnością nie dopuszczę, żeby zwykle nieporozumienie...

– Nie! – przerwał mu Skynxnex, nie spuszczać wzroku z twarzy Doole'a. – Nie możemy tak bardzo ryzykować. Wiesz dobrze, co kiedyś zrobił ci Han Solo. Poza tym on wie, że to ty dałeś znać imperialnym celnikom, by puścili się za nim w pościg.

Prawdę mówiąc, aż do tej chwili Han nie był tego całkiem pewien.

– Nie ma sensu wpadać w panikę – odezwał się po raz drugi. – Mogę porozmawiać z przedstawicielami Senatu Nowej Republiki. Mon Mothmę znam osobiście, moja żona jest ministrem w jej rządzie, a poza tym...

W głowie Hana wirowało setki myśli. Zastanawiał się, w jaki sposób Leia będzie mogła załagodzić to nieporozumienie. Wiele razy był świadkiem, jak rozwiązywała zawikłane problemy natury dyplomatycznej. Umiała znajdować właściwe słowa, potrafiła wykazywać ludziom, że obchodzą ją ich sprawy, i delikatnie kierować zwaśnione strony na drogę prowadzącą do kompromisu. Teraz jednak Leii z nim nie było.

– Tak, myślę, że się zgodzę – odezwał się Doole, kilka razy lekko uderzywszy palcem obrzmiałe wargi. – Zgodzę się, ale ze Skynxnexem. Jeszcze raz sprawdzę nagrania, dokonane w czasie tamtej bitwy, ale nie sądzę, żebyś po wyłonieniu się z nadprzestrzeni miał czas wysłać jakikolwiek komunikat. Wkrótce potem jeden z naszych myśliwców zestrzelił twoją antenę paraboliczną do łączności dalekosiężnej. Nowa Republika nie wie nawet, że tu doleciałeś. Nie mając dowodów, dojdzie do wniosku, że zostałeś pochłonięty przez Otchłań.

Doole wstał od biurka i zaczął przechadzać się przed wielkim oknem.

– Skasujemy też każdą wzmiankę o was w naszych dokumentach – ciągnął. – Rozkażę swoim najemnikom, by zapomnieli o całej bitwie. Tak, z pewnością to będzie najpewniejsze, najmniej ryzykowne rozwiązanie!

– Popelniasz wielki błąd – odezwał się Han. Tylko z wielkim trudem powstrzymywał się, by nie szarpnąć paraliżującymi kajdankami.

– Nie – odparł Doole, składając i rozkładając pomarańczowe czubki palców złożonych dłoni. – Nie sądzę.

Chewbacca zaczął ryczeć, wydając całe serie głośnych, gardłowych dźwięków.

– Przypuszczam, że najlepiej będzie zabić was jak najszybciej – powiedział Doole, pocierając palcami mlecznobiałe oko. – Ale ty jesteś mi coś winien, Solo. Nawet gdybyś harował codziennie

przez sto lat, nie wyrównasz straty mojego oka. A zatem skazuję was na pracę w najdalszych, najodleglejszych chodnikach kopalń przyprawy. Przypominam sobie, że moim chłopcom zaczyna ostatnio brakować rąk do pracy.

Doole uśmiechnął się, ukazując zęby w ustach podobnych do żabich. W kącikach błyszczały ostatnie błękitne iskry tracącego moc błyszczostymu.

– Nikt nigdy was tam nie znajdzie.

Rozdział 5

Dawny Imperialny Ośrodek Gromadzenia Informacji znajdował się głęboko pod starym pałacem Imperatora. Od podziemi oddzielały go zbrojone mury. Każdego wejścia strzegły skomplikowane systemy bezpieczeństwa. Utrzymywanie w ściśle określonej temperaturze wielkich maszyn gromadzących i przechowujących dane było możliwe dzięki ogromnym wymiennikom ciepła i gigantycznym klimatyzatorom, wypełniającym całą salę basowym pomrukiem.

Nad czternastoma konsolami kuliły się niezgrabne ciemnoszare androidy. Połączone z pulpitemi za pomocą tysięcy kabli, metodycznie łamały imperialne kody zabezpieczające dane i unieszkodliwiałały wirusy drzemiące w pamięciach imperialnych komputerów w charakterze złośliwych pułapek. Androidy mozoliły się tak od ponad roku, wyciągając jeden po drugim smaczne kąski informacji z bazy danych przypominającej labirynt. W tym czasie ujawniło tożsamość dwudziestu trzech imperialnych agentów starających się w najgłębszej tajemnicy sabotować poczynania odradzającej się Nowej Republiki.

Pomruk aparatury chłodzącej i bezruch pracujących androidów sprawiały, że wewnątrz imperialnego ośrodka wydawało się niegościnne i puste. Tylko android protokolarny See-Threepio, jak zawsze niespokojny i ruchliwy, z brzęczeniem serwowatorów spacerował tu i tam, po raz setny obserwując pomieszczenie za pomocą złocistych sztucznych oczu.

– Czy znalazłeś już coś, Artoo? – zapytał w pewnej chwili.

Połączony z jednym z informacyjnych gniazd Artoo-Detoo piknął przecząco i niecierpliwie zafurczał, nie przestając przekopywać się przez przytłaczającą go ilość danych.

– Nie zapomnij sprawdzać wszystkiego po dwa razy – upomniał go Threepio i powrócił do wędrówki po wielkiej sali. – I nie bój się podążać nawet za najbardziej nieprawdopodobnymi śladami. Mistrz Luke nazywa to przecuciami. To bardzo ważne, Artoo.

Mały robot zahuczał z oburzeniem.

– I pamiętaj, żeby sprawdzać każdą planetę należącą kiedyś do Starej Republiki – ciągnął nie zrażony tym Threepio. – Imperium nie zawsze miało czas uaktualniać posiadane o nich informacje.

Tym razem Artoo nie raczył nawet odpowiedzieć, tylko nadal zajmował się absorbującą go pracą.

W chwilę później Threepio usłyszał, jak drzwi wejściowe ośrodka się otworzyły, i zobaczył, jak z niewymuszonym wdziękiem wkroczył do sali jakiś człowiek. Jak zwykle, Luke Skywalker był odziany w płaszcz Jedi, ale tym razem kaptur płaszcza spoczywał niedbale na jego plecach. Luke podszedł bliżej, każdym sprężystym krokiem dowodząc, że się spieszy.

Threepio był rad, że znów widzi u Luke'a ten sam młodzieńczy zapał, który tak dobrze pamiętał z czasów, kiedy on i Artoo zostali kupieni przez niego od Jawów na Tatooine. Pamiętał, że ostatnio

Luke nie potrafił ukryć niepokoju w oczach ani promieniującej od niego siły Jedi.

– Mistrzu Luke! – zawołał. – Tak się cieszę, że przyszedł pan znów sprawdzić, jak idzie nasza praca!

– I jak, Threepio? – odezwał się Luke. – Czy już coś znaleźliście?

Artoo w odpowiedzi zapiszczał, a Threepio przetłumaczył:

– Artoo twierdzi, że pracuje tak szybko, jak może, ale chciałby, żebym panu przypomniał, że musi zapoznać się jeszcze z niesamowitą ilością kolejnych danych.

– No cóż. Za kilka godzin wyruszam w drogę. Chcę pójść tropem paru innych osób, które sam odkryłem. Chciałem tylko upewnić się, że ty i Artoo macie wszystko, czego potrzebujecie w pracy.

Threepio wyprostował się, zdziwiony.

– Czy mogę zapytać, dokąd pan leci, mistrzu Luke?

Artoo zapiszczał i Luke odwrócił głowę w jego stronę.

– Nie tym razem, Artoo – odparł. – Ważniejsze jest, byście pozostali tu i kontynuowali poszukiwania. Sam poradzę sobie z pilotowaniem statku.

Później postanowił odpowiedzieć złocistemu androidowi.

– Lecę na Bespin, żeby się tam z kimś spotkać, ale przedtem zamierzam odwiedzić dawną kolonię na Eol Sha. Mam powody, by sądzić, że może tam żyć co najmniej jeden zapomniany potomek Jedi. – Szeleszcząc płaszczem, Luke odwrócił się i ruszył do wyjścia. – Zobaczę się z wami po powrocie.

Drzwi ośrodka informacyjnego zamknęły się za nim.

Threepio odezwał się pospiesznie do Artoo:

– Wprowadź dane dotyczące Eol Sha. Przekonamy się, dokąd leci mistrz Luke.

Artoo usłuchał, jakby to był jego własny pomysł. Kiedy obok staromodnych dwuwymiarowych obrazów na ekranie monitora ukazały się dane statystyczne o planecie, Threepio uniósł złociste sztuczne ręce w geście pełnym przerażenia.

– Trzęsienia ziemi! – zawołał. – Gejzery! Wulkany! Strumienie lawy! O rety!

Kiedy statek Luke'a wyłonił się z nadprzestrzeni, świetliste smugi widoczne w iluminatorze zamieniły się znów w pojedyncze gwiazdy. Prawdę mówiąc, cały otaczający go wszechświat jarzył się jaskrawymi pastelowymi barwami: karmazynową, pomarańczową i zimnym błękitem chmur zjonizowanego gazu unoszącego się w bezkresnym galaktycznym oceanie, zwanym Mgławicą Kocioł. Automatyczne przesłony optyczne w kabinie pilota włączyły się natychmiast, by przepuścić nieco mniej intensywnego światła. Luke popatrzył przez iluminator na chmury gazu i lekko się uśmiechnął.

Po opuszczeniu węzła nadprzestrzeni wprowadził do komputera dane mające skierować statek ku Eol Sha. Jego zmodyfikowany pasażerski wahadłowiec przelatował łukiem przez chmury rozrzedzonego gazu, zostawiwszy Mgławicę Kocioł daleko w górze. Po chwili włączyły się silniki i statek o kształcie podwójnego klina rozpoczął lot ku powierzchni.

Luke bardzo chciał odbyć tę podróż na pokładzie swojego wiernego myśliwca typu X, ale była to maszyna jednoosobowa, w której za plecami pilota znajdowało się miejsce tylko dla robota astronawigacyjnego. Luke wiedział, że jeżeli nie zawiedzie go przecucie co do potomków Jedi, będzie wracał na Coruscant z dwójką pasażerów...

Z od dawna nie aktualizowanych informacji na temat Eol Sha wynikało, że istniejącą tam kolonię założyli przed ponad stuleciem przedsiębiorcy. Zamierzali przeczesywać przestworza Mgławicy Kocioł specjalnymi statkami, wyposażonymi w strumieniowe silniki odrzutowe, żeby zasysać

unoszące się tam cenne gazy. Piloci tych statków mieli później destylować to gazowe żniwo, uzyskiwać pierwiastki ziem rzadkich i sprzedawać je sąsiednim koloniom.

Eol Sha była jedyną zamieszkaną planetą znajdującą się na tyle blisko innych, by produkcja cennych pierwiastków mogła być opłacalna. Jej żywot jednak miał się ku końcowi. Okrążał ją dość duży księżyc po spiralnej orbicie tak ciasnej, że już wkrótce siła przyciągania miała doprowadzić do katastrofy. Powinno to się stać w ciągu najbliższego stulecia, kiedy księżyc roztrzaska się o powierzchnię, zamieniając w gruzy i siebie, i planetę.

Pomysł eksploatacji gazowych skarbów mgławicy nigdy nie przyniósł żadnych zysków. Niekompetentni przedsiębiorcy nie obliczyli prawidłowo ani kosztów pracy statków z silnikami strumieniowymi, ani nie wzięli pod uwagę znikomych ilości cennych pierwiastków w rozrzedzonych gazach. W rezultacie kolonię ludzi na planecie zostawiono na pastwę losu. Mniej więcej w tym samym czasie Stara Republika upadła i rozpoczął się okres nowego ładu wprowadzony przez Imperatora. O garstce ludzi wegetujących na Eol Sha przypomniano sobie dopiero przed dwoma laty, gdy odwiedził ich pewien socjolog Nowej Republiki. Opisał on ich sytuację i sporządził raport zalecający ewakuację potomków dawnych kolonistów, skazanych na zagładę. Dokument ten i tak zaginął pośród setek podobnych pism, jakie zgłaszano odradzającej się biurokracji Nowej Republiki, zresztą i tak wkrótce potem wielki admirał Thrawn rozpoczął okres rozbojów i grabieży.

Uwagę Luke'a zwrócił jednak fakt, że pewna kobieta o imieniu Ta'ania, nieślubna córka jednego z rycerzy Jedi, należała do grupy pierwszych kolonistów, którzy osiedlili się na tej planecie. Luke mógłby się spodziewać, że wraz ze śmiercią kobiety umiejętności Jedi znikły, gdyby nie kilka bardzo dziwnych faktów.

Z raportu socjologa wynikało, że przywódcą ludzi wegetujących na Eol Sha był mężczyzna nazywający się Gantoris. Podobno umiał przewidywać trzęsienia ziemi, a raz, będąc dzieckiem, w cudowny sposób przeżył, kiedy jego towarzysze dziecinnych zabaw zostali zasypani przez lawinę. Wyszedł cało z opresji w kilku przypadkach, w których inni ludzie, przebywający o krok od niego, tracili życie lub odnosili ciężkie rany.

Luke byłby skłonny uważać, że wiele tych historii jest zwyczajnie zmyślonych lub przesadzonych. Dobrze wiedział, że nawet ktoś wykazujący duże zdolności Jedi nie mógłby mieć aż takiej władzy bez odbycia specyficznego przeszkolenia. Mimo to przecucie i pewne informacje w raporcie socjologa kazały mu wyprawić się na Eol Sha. Jeżeli chciał znaleźć jak najwięcej kandydatów do swojej akademii Jedi, musiał podążać tropem każdej informacji.

Po wprowadzeniu wahadłowca na trajektorię przypominającą ósemkę wokół skazanego na zagładę księżycy Eol Sha, Luke skierował statek ku resztkom dawnej osady kolonistów. Kiedy minął linię terminatora, gdzie noc planety zamieniała się w dzień, popatrzył przez iluminator na niegościnną, kostropatą powierzchnię Eol Sha.

Jego dłonie niemal automatycznie zmieniały położenie dźwigni i przełączników na konsolce sterowniczej. Obniżywszy lot, zobaczył zniszczone i podparte stemplami budynki mieszkalne, które przez całe dziesięciolecia były nękane przez katastrofy. W pobliżu osady dojrzał jezor stwardniałej lawy, która kiedyś wyciekła ze stożka pobliskiego wulkanu. Jej niewielkie strumienie wciąż jeszcze wypływały z pomarańczowo jarzących się szczelin w zboczach, a z krateru unosiły się pasma dymu.

Luke przeleciał nad sponiewieraną osadą kolonistów, a potem nad obszarem nierównego terenu, na którym ujrzał wiele małych kraterów. Wylądował na niewielkiej przestrzeni skalistego konglomeratu i wyszedł na zewnątrz przez właz z klapą odchylaną do góry, umieszczony za fotelami

pasażerów.

Natychmiast poczuł kwaśną woń chemicznych wyziewów, wszechobecną w atmosferze Eol Sha, i siarkowy dym wydobywający się z wulkanów. Nad horyzontem świecił gigantyczny księżyc, podobny do ogromnej blaszanej tacy. Luke stwierdził, że jego blask rzuca cienie nawet w ciągu dnia. Ciemne chmury i wulkaniczny popiół unosiły się w powietrzu niczym półprzezroczysta zasłona.

Kiedy Luke oddalił się o kilka kroków od statku, zorientował się, że ziemia pod jego stopami drży i mruży. Mając zmysły wyostrzone dzięki Mocy, wyczuwał niemal namacalną ogromną siłę, z jaką szybujący nisko księżyc oddziaływał na planetę, rozszarpując jej powierzchnię wskutek przyciągania, które z każdym upływającym rokiem stawało się coraz większe. W powietrzu było słycać głośny syk, jakby jakieś niezliczone zawory bezpieczeństwa lub wywietrzniki wydawały ostatnie, pełne bólu tchnienia tego konającego świata.

Luke owinał szczelniej całe ciało ciemnym płaszczem, przypiął do pasa świetlny miecz i ruszył po nierównym gruncie w stronę osady. Po drodze mijał liczne małe kratery i głębokie doły, otoczone białymi i brązowymi warstwami osadzonych tam minerałów. We wnętrzu każdej jamy coś syczało i bulgotało.

W połowie drogi do osiedla musiał nagle upaść na kolana, kiedy grunt zadrżał szczególnie silnie. Okoliczne skały zatrzęsły się, a w powietrzu rozległ się głuchy łoskot. Luke wyciągnął ręce na boki, chcąc zachować równowagę. Wstrząsy skorupy planety zaczęły się nasilać, by po chwili osłabnąć, potem znów przybrać na sile, a w końcu zupełnie ustać.

Nagle w kilku kraterach rozległ się groźny pomruk i po chwili wystrzeliły w powietrze słupy pary i wrzątku, parząc Luke'a kroplami gorącej wody. Gejzery... Znalazł się na polu pełnym gejzerów, które uaktywniły się podczas niedawnego trzęsienia ziemi. Po następnych kilku chwilach opary ciepłego powietrza niczym gęsta mgła zaczęły się snuć przy samej powierzchni.

Luke naciągnął kaptur na głowę, by ochronić ją przed gorącym deszczem, i z mozołem brnąc ku zabudowaniom, starał się nie oddychać głęboko. Każdy krok przybliżał go do osady. Otaczające go gejzery syczały i bulgotały, ale coraz rzadziej i ciszej, w miarę jak wytryski słupów wrzątku stawały się coraz słabsze.

Kiedy w końcu wyłonił się z oparów, zobaczył spoglądających na niego dwóch mężczyzn stojących obok pordzewiałych drzwi jakiegoś starego ni to schronu, ni to domu wzniesionego z prefabrykatów. Przypomniawszy sobie, że wszystkie domy kolonistów na Eol Sha zbudowano, wykorzystując zmodyfikowane towarowe kontenery i modułowe, automatycznie stawiane ściany. Widok tych zrujnowanych szop upewnił go jednak, że podsystemy remontowe musiały zostać uszkodzone przed co najmniej kilkudziesięciu laty, co skazało nieszczęsnych mieszkańców na życie w warunkach nad wyraz prymitywnych. Pozostałe domy osady sprawiały wrażenie opustoszałych i cichych.

Dwaj mężczyźni przerwali pracę polegającą na stawianiu zawałonego ganku, ale nie wiedzieli, jak zareagować na pojawienie się kogoś, kogo nigdy dotychczas nie widzieli. Zapewne Luke był pierwszym człowiekiem, jaki pojawił się w osadzie od czasów, kiedy przed dwoma laty przebywał w niej ów socjolog.

– Chciałbym rozmawiać z Gantorisem – odezwał się Luke.

Mężczyźni patrzyli na niego, ale z ich twarzy nie można było poznać, czy go zrozumieli. Mieli na sobie zniszczone, wielokrotnie łatanne stroje pozszywane z kawałków różnych ubrań. Kiedy Luke zaczął wpatrywać się w twarz bliższego z nich, drugi, stojący nieco z tyłu, cofnął się i ukrył w cieniu

domu.

– Czy ty jesteś Gantoris? – zapytał cicho Luke pierwszego.

– Nie. Nazywam się Warton – odparł mężczyzna. Wypowiedzenie tych słów przyszło mu z wielkim trudem, ale kiedy już zaczął mówić, następne słowa wyrzucił z siebie bardzo szybko. – Wszyscy inni są poza osadą. W jednym z wąwozów osunęło się skalne rumowisko. Przysypało dwójkę naszych dzieci, które wyprawiły się tam z włóczniami, by polować na bugdille. Gantoris i inni poszli, żeby je odkopać.

Domyśliwszy się, że trzeba działać bez chwili zwłoki, Luke chwycił Wartoną za ramię.

– Zaprowadź mnie tam – powiedział. – Możliwe, że będę mógł wam pomóc.

Warton powiodł Luke'a długą ścieżką, wijącą się pośród wyszczerbionych skał. Drugi mężczyzna pozostał w pobliżu zrujnowanych domów. Luke i Warton dotarli do wąwozu i zaczęli schodzić po stromym zboczu, starając się stawiać stopy w zagłębieniach i szczelinach po skalnych odłamkach, wyrwanych przez dużą siłę przyciągania księżyca tego świata. Powietrze na dnie wąwozu wydawało się gęstsze i bardziej zatechłe, niemal przyprawiające o klaustrofobię.

Warton wiedział dokładnie, w którym miejscu labiryntu bocznych odnóg i skalnych rumowisk szukać innych mieszkańców osady. Luke zobaczył mniej więcej trzydzieści osób stojących ramię w ramię na skraju rozpadliny, wypełnionej od niedawna skalnymi odłamkami, i odrzucających je za siebie. Na wszystkich twarzach malowała się taka sama ponura zawziętość, jakby ludzie stracili optymizm przed wieloma laty, ale mimo to nie chcieli zrezygnować ze swoich obowiązków. Nad rumowiskiem pochylały się dwie kobiety, wołając głośno imiona dzieci.

Jeden z mężczyzn brał dwa razy tyle głazów co pozostali. Jego długie, ciemne, splecione w warkocz włosy zwisały po lewej stronie twarzy. Wyrwane przed laty brwi i rzęsy sprawiały, że zarumieniona od wysiłku twarz była owalna i gładka. Mężczyzna odrzucał za siebie większe skały, które potem inni ludzie z mozołem odnosili jeszcze dalej. Ciemnowłosy, ujrawszy Luke'a, na chwilę przerwał pracę, ale nie rozpoznał go ani nie zdradził żadnym gestem, że go widzi, znów zaczął przerzucać ciężkie głazy. Sądząc po tym, w jaki sposób Warton i inni ludzie na niego patrzyli, Luke domyślił się, że jest to sam Gantoris.

Zanim Luke poszedł z Wartonem na skraj osypiska, zatrzymał się i rzuciwszy okiem, zorientował się, w których miejscach leży najwięcej głazów. Później opuścił ręce wzdłuż ciała, zamknął oczy, skupił się i pozwolił Mocy przepływać przez swój umysł. Korzystając z jej siły, zaczął wyczuwać odłamki skał i je odrzucać, nie pozwalając innym osuwać się na ich miejsca. Kiedy Yoda przed laty uczył go unosić ciężkie głazy, Luke traktował to jak zabawę, jak ćwiczenie dla nabrania wprawy. Teraz jednak od jego umiejętności zależało życie dwojga dzieci.

Nie zwracał więc uwagi na pełne zdumienia okrzyki kolonistów. Po chwili wszyscy cofnęli się, by zejść z drogi szybującym skałom, które Luke odrzucał siłą Mocy w inny koniec rozpadliny. Czuł wyraźnie, że gdzieś w mrocznych głębinach wciąż jeszcze tli się iskierka życia.

Kiedy na odrzucanych skałach pojawiły się plamy krwi, a później pośród odłamków skał ukazała się blada dłoń i część przedramienia ginącego w nieznanym mroku rumowiska, kilkoro ludzi rzuciło się w tamto miejsce. Luke zdwoił wysiłki, starając się, by pozbawione podpory skały z powrotem nie zasypały dziecka, i powrócił do odrzucania pozostałych głazów.

– Żyje! – krzyknął nagle jeden z ratowników. Po sekundzie on i pozostali wyciągnęli spomiędzy skał dziewczynkę. Jej twarz i nogi były zakrwawione i posiniaczone, a jedna ręka na pewno złamana. Kiedy ratownicy wydostali małą, natychmiast zaczęła płakać z bólu i ulgi po przeżytych strachu. Luke

wiedział, że wkrótce przyjdzie do siebie.

Odnaleziony wkrótce potem chłopiec nie miał tyle szczęścia. Zginął natychmiast, przywalony lawiną ciężkich kamieni. Zanim Luke przybył na ratunek, dziecko od dawna nie żyło.

Mimo to Jedi nie przestał odrzucać głazów, pracując z ponurą miną, dopóki ratownicy nie uwolnili całego ciała. Dopiero wtedy odprężył się i otworzył oczy.

Zobaczył, że tuż przed nim stoi Gantoris. Widok jego twarzy świadczył o tym, że mężczyzna tylko z najwyższym trudem powstrzymuje się, by nie okazać gniewu.

– Dlaczego się tu zjawiałeś? – zapytał. – Kim jesteś?

Warton znalazł się u boku Luke'a.

– Widziałem, jak przeszedł przez gejzerowe pole – oznajmił. – Wszystkie gejzery uaktywniły się równocześnie, a on po prostu wyłonił się z oparów. – Warton spojrzał na Luke'a z nie ukrywanym zachwytem. – Powiedział, że szuka ciebie, Gantorisie.

– Tak, wiem o tym – mruknął na wpół do siebie Gantoris.

Luke spojrzał prosto w oczy przywódcy kolonistów.

– Nazywam się Luke Skywalker i jestem rycerzem Jedi. Imperium upadło, a jego miejsce zajęła Nowa Republika. – Głęboko odetchnął. – Jeżeli nazywasz się Gantoris i masz talent, przybyłem, żeby nauczyć cię posługiwać się Mocą.

Podeszło do nich kilkoro innych ludzi niosących bezwładne, zmasakrowane ciało małego chłopca. Jeden z mężczyzn trzymających ciało przez bardzo krótką chwilę pozwolił sobie na okazanie rozpacz.

Wyraz twarzy Gantorisa ujawniał, że gorliwość walczy z nim o lepsze z przerażeniem.

– Śniłem o tobie – odezwał się w końcu. – O mężczyźnie, spowitym całunem mroku, który będzie chciał zdradzić mi najskrytsze tajemnice, a później zniszczyć. Jeżeli pójdę z tobą, będę zgubiony. – Wyprostował się. – Jesteś złym duchem – dodał.

Luke, zdumiony tym stwierdzeniem, wypowiedzianym w kilka chwil po tym, jak pomógł oswobodzić dwoje dzieci, starał się go uspokoić.

– Nie, to nieprawda – odparł.

Otoczyli go inni koloniści, nareszcie mogąc wyrzucić na kimś tłumione od dawna gniew i rozżalenie. Widzieli w nim jedynie obcego, przybyłego w chwili śmierci jednego z grona kolonistów, których liczba od dawna się zmniejszała.

Luke popatrzył po twarzach otaczających go ludzi i zdecydował się zaryzykować. Przeniósł potem spojrzenie na twarz Gantorisa.

– Co mam zrobić, żeby udowodnić ci, iż nie żywię wobec ciebie złych zamiarów? – zapytał. – Możesz traktować mnie jak gościa albo, jeżeli chcesz, jak więźnia. Zależy mi tylko na tym, żebyś zechciał ze mną współpracować. Posłuchaj, proszę, tego, co chciałbym ci powiedzieć.

Gantoris wziął na ręce ciało zabitego chłopca. Kiedy mężczyzna niosący je dotychczas popatrzył na plamy krwi na rękawach, z trudem powstrzymał się od płaczu. Gantoris gestem wskazał na Luke'a.

– Biercie tego spowitego całunem mroku – rozkazał swoim ludziom.

Kilku mężczyzn natychmiast pochwyciło Luke'a za ręce. Nie usiłował się opierać.

Niosąc ciało chłopca, Gantoris wyprowadził procesję kolonistów z wąwozu. Tylko raz odwrócił głowę i przez krótką chwilę spoglądał na więźnia.

– Jeszcze się przekonamy, w jakim celu tu przyleciałeś – powiedział.

Rozdział 6

Leia przebywająca w prywatnej komnacie łączności westchnęła, kiedy spojrzała na chronometr. Ambasador Caridy się spóźniał. Zapewne robił to celowo, w nadziei że rozgniewa ją albo obrazi.

Chcąc okazać dyplomacie szacunek, przestawiła chronometr na lokalny czas caridański. I chociaż ambasador Furgan sam ustalił godzinę, kiedy się z nią skontaktuje, najwyraźniej nie przejmował się danym słowem.

Dwustronne lustro ukazywały pusty korytarz wiodący do sali łączności. Większość rozsądnych ludzi o tak późnej porze smacznie spała, nikt jednak nie obiecywał Leii, że dyplomatyczne obowiązki pozwolą jej przestrzegać normalnych godzin snu i pracy.

Kiedy któreś z takich zadań zakłócało zwykły tok jej życia, Han zwykle zrzędził i narzekał, że musi budzić się i wstawać w środku nocy. Twierdził, że nawet przemytnicy i piraci zajmują się interesami o bardziej cywilizowanej porze. Tej nocy jednak sygnał zbudził Leię śpiącą w pustej i cichej sypialni. Han w dalszym ciągu nie dawał znaku życia.

Korytarzem przeszedł android sprząający, polerując ściany i czyszcząc dwustronne lustro. Leia patrzyła, jak poruszają się jego manipulatory ze szczotkami, podobne do czułków owada.

Nagle na samym środku odbiorczej płyty, z głośnym szumem i trzaskiem źle dostrojonej transmisji holonetowej, utworzył się niewyraźny obraz ambasadora Furgana z Caridy. Możliwe, że zła jakość transmisji była także zamierzona, żeby rozzłościć Leię jeszcze bardziej. Rzut oka na chronometr powiedział jej, że ambasador nawiązał łączność sześć minut po upływie terminu, na który sam nalegał. Furgan nie przeprosił jej za opóźnienie, a Leia taktownie nie zwróciła na to uwagi.

Caridanin był korpulentnym humanoidem o wrzecionowatych rękach i nogach. Brwi na jego kanciastej twarzy zakrzywiały się do góry niczym skrzydła jakiegoś ptaka. Wyglądało na to, że Imperator, mimo powszechnie znanej niechęci do istot nie będących ludźmi, ufał Caridaninowi tak bardzo, iż zezwolił na budowę najważniejszego ośrodka szkoleniowego swoich wojsk właśnie na Caridzie.

– Księżniczko Leio – odezwał się Furgan. – Chciałaś omówić ze mną pewne szczegóły planowanej wizyty, prawda? Proszę, nie zabierz mi zbyt dużo czasu.

Gestem wymownie świadczącym o wrogości skrzyżował ręce na torsie przypominającym beczkę. Leia z najwyższym trudem powstrzymała się od okazania rozdrażnienia.

– Chcąc być w zgodzie z protokołem, wołałabym, żeby nie tytułował mnie pan księżniczką – odparła. – Planeta, na której byłam księżniczką, od dawna nie istnieje. Pełnię teraz funkcję ministra stanu Nowej Republiki.

Dokładała wszelkich starań, by jej słowa nie zabrzmiały obraźliwie. Furgan jednak ruchem ręki dał znać, że nie uznał tej uwagi za coś istotnego.

– No dobrze, pani minister, w takim razie o czym chciała pani ze mną rozmawiać?

Leia głęboko odetchnęła, tłumiąc gniew i układając twarz w wyraz chłodnej uprzejmości.

– Chcę poinformować pana, że Mon Mothma i inni członkowie rządu Nowej Republiki powitają pana z należnymi honorami, kiedy wyląduje pan na Coruscant.

– Z należnymi honorami? – zachnął się Furgan. – Czy to Znaczy, że będę musiał wygłosić uprzejme, płomienne przemówienie? Proszę pamiętać, że przybędę na Coruscant jako pielgrzym, by odwiedzić miejsce, w którym kiedyś mieszkał nieżyjący dziś Imperator Palpatine. Nie pozwolę, by schlebiała mi jakaś banda samozwańczych parweniuszy i terrorystów. Pozostaniemy na zawsze wierni Imperium i jego ideałom.

– Ambasadorze Furgan, Imperium jako ośrodek władzy nie istnieje – odezwała się Leia. W jej ciemnych oczach zapaliły się obsydianowe ognie, ale uśmiechnęła się ciepło do caridańskiego dyplomaty. – Mimo to potraktujemy pana ze wszystkimi honorami w nadziei, że pańska planeta znajdzie sposób pogodzenia się z politycznymi realiami w galaktyce.

Holograficzny wizerunek Caridanina zamigotał.

– Polityczne realia mają to do siebie, że czasem się zmieniają – odparł ambasador. – Zobaczymy, ile czasu będzie trwała wasza rebelia.

Kiedy Furgan przerwał połączenie, w miejscu jego hologramu pojawiły się srebrzystoszare zakłócenia. Leia westchnęła i potarła skronie, usiłując chociaż trochę zmniejszyć trapiący ją ból głowy. Zniechęcona, wyszła z komnaty łączności.

Co za sposób zakończenia dnia – pomyślała.

Głęboko pod ziemią, w Imperialnym Ośrodku Informacyjnym, wszystkie upływające godziny były podobne do siebie jak krople wody, ale wewnętrzny chronometr Threepia powiedział mu, że na Coruscant wybiła właśnie północ. Para robotów naprawczych rozbierała na części jeden z wielkich wymienników ciepła, który uległ przegrzaniu. Automaty rzucały narzędzia i metalowe osłony wymiennika gdzie popadnie, wskutek czego w ogromnej sali huczało jak na polu wielkiej bitwy. Threepio zaczynał z wolna tęsknić za spokojem poprzedniego dnia, wypełnionego cichym pomrukiem.

Kulące się nad konsolami androidy, pogrążone we własnych wszechświatach informatycznych sieci, nie przerywały jednak pracy. Artoo-Detoo także jak niewolnik przeszukiwał bazy danych od kilku dni bez żadnej przerwy.

Roboty naprawcze z głośnym brzękiem upuściły na podłogę cały wirnik z trójskrzydłowym wentylatorom.

– Zaraz powiem tym automatom, co myślę o ich pracy – zdenerwował się w końcu Threepio.

Zanim jednak miał czas odejść, Artoo odłączył końcówkę od gniazda informacyjnego i wyraźnie podniecony, zaczął gwizdać i świergotać. Mały robot astronawigacyjny nawet zakołysał się w obudowie, nie przestając wydawać elektronicznych pisków.

– Och – odezwał się Threepio. – Lepiej będzie, jak sam to sprawdzę, Artoo. To zapewne tylko jeszcze jeden fałszywy alarm.

Kiedy dane ukazały się na ekranie monitora, Threepio nie mógł dojrzeć w nich niczego, co zwróciło uwagę Artoo – do czasu, kiedy mały robot zmienił sposób ich wyświetlania, chcąc wykazać, że jednak się nie pomylił. Obok każdej linii tekstu pojawiło się teraz jedno i to samo nazwisko: TYMMO.

- O rety! Jeżeli spojrzeć na to od tej strony, naprawdę wygląda podejrzanie! – wykrzyknął Threepio. – Ten Tymmo rzeczywiście wygląda na prawdopodobnego kandydata.
- Threepio wyprostował się, nie wiedząc, co dalej robić.
- Kłopot w tym, że mistrza Luke’a nie ma, a nie powiedział nam, co robić w takiej sytuacji – ciągnął. – Do kogo mamy się zwrócić?
- Artoo zagwizdał, a potem wydał serię piszczących dźwięków będących niewątpliwie pytaniem. Threepio odwrócił się do niego, nie kryjąc oburzenia.
- Z pewnością nie obudzę pani Leii w środku nocy! Jestem androidem protokolarnym i wiem dobrze, że byłby to gruby nietakt. – Kiwnął złocistą głową, chcąc podkreślić, że jego decyzja jest nieodwołalna. – Poinformujemy ją o tym z samego rana.

Lewitująca śniadaniowa taca spoczęła na stole Leii, stojącym aa ogrodowym tarasie na jednym z wyższych pięter wieży Pałacu Imperialnego. Nad miastem zajmującym całą powierzchnię planety świeciło teraz słońce. Wysoko w górze, korzystając z unoszących się prądów, szybowwały jastrzębionietoperze.

Leia spojrzała z ukosa na jedzenie, dostarczone jej przez latającą tacę. Nic z tego, co tam zobaczyła, nie wyglądało apetycznie; wiedziała jednak, że jest głodna. Wybrała mały talerz pełen różnych pasztecików, a potem rozkazała tacy, żeby odleciała. Zanim taca puściła się w dalszą drogę, życzyła Leii Miłego dnia.

Leia westchnęła, sięgając po pierwszy pasztecik. Czowała się wyczerpana tak fizycznie, jak i psychicznie. Nie cierpiała być uzależniona od nikogo, włączając w to własnego męża, ale nigdy nie mogła dobrze spać, kiedy go przy niej nie było. Han powinien był dotrzeć na Kessel przed trzema dniami, a za dwa następne miał wrócić. Nie zamierzała się roztkliwiać, ale miała mu trochę za złe, że w ciągu tego czasu nie połączył się z nią ani razu, choćby po to by przesłać pozdrowienia. Mając tak wiele dyplomatycznych obowiązków o dziwnych porach dnia i nocy, widywała go bardzo rzadko nawet wówczas, gdy oboje przebywali na tej samej planecie.

No cóż, za następne sześć dni powinny przylecieć na Coruscant jej bliźnięta. Han i Chewbacca już wtedy będą w domu i całe życie rodziny ulegnie radykalnej zmianie. Para wszędobylskich dwulatków szperających po zakamarkach wielkiego zamku po prostu zmusi i ją, i Hanę do ujrzenia w zupełnie innym świetle wielu spraw, które dotąd wydawały się oczywiste.

Tylko dlaczego Han milczał? Nie powinien mieć przecież trudności z wysłaniem ze sterowni „Sokoła” choćby krótkiej holograficznej wiadomości. Leia nie chciała przyznać nawet przed sobą, że jednak trochę ją to martwi.

Wysławszy sygnał powitania, przez sklepione wejście do ogrodu przemaszerował protokolarny android starszego typu.

– Przepraszam, pani minister – powiedział. – Ktoś chciałby się z panią widzieć. Czy przyjmuje pani wizyty gości?

Leia odstawiła na bok mały talerz z pasztecikami.

– Dlaczego nie? – odparła.

Prawdopodobnie był to jakiś petent chcący złożyć jej w nieoficjalny sposób zażalenie albo niższy stopniem urzędnik, który chciał się z nią widzieć, by podjęła decyzję w jakiejś mało istotnej sprawie, a może któryś z senatorów usiłujących przekazać jeden z obowiązków na jej barki.

Zamiast tego w sklepionym przejściu ukazał się Lando Calrissian wymachując jasnoczerwonym

kapeluszem.

– Dzień dobry, pani minister – odezwał się, podchodząc trochę bliżej. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

Powiedziawszy to, błysnął zębami w szerokim, rozbrajającym uśmiechu.

Kiedy Leia go ujrzała, poczuła, że jej nastrój zdecydowanie się poprawia. Wstała od stołu i ruszyła, żeby spotkać się z Landem w połowie drogi. Szarmancko ucałował jej dłoń, ale Leii to nie wystarczyło. Objęła go i serdecznie uściskała.

– Lando, jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałam się ujrzyć dzisiejszego ranka! – powiedziała.

Calrissian podszedł z nią do stołu stojącego na balkonie, z którego roztaczał się widok na panoramę Imperial City, a potem odsunął krzesło i usiadł, powiesiwszy kapelusz na oparciu. Bez pytania Leii o zgodę, sięgnął po leżący na talerzu pasztecik i ugryzł kawałek.

– Co sprowadza cię na Coruscant? – spytała Leia.

Uświadomiła sobie, jak bardzo brakowało jej normalnej rozmowy z kimś znajomym – rozmowy pozbawionej dyplomatycznych zawłości i ukrytych aluzji.

Lando otarł z wąsów drobiny pasztecika.

– Przyleciałem, żeby zobaczyć, jak sobie radzisz w dużym mieście – odparł. – A gdzie Han?

Mruknęła.

– Właśnie tym się martwię dzisiejszego ranka. On i Chewie polecili na Kessel, ale myślę, że to tylko wymówka, by zabawić się i powspominać dawne dobre czasy.

– Kessel nie jest do tego najwłaściwszym miejscem – stwierdził Lando.

Leia odwróciła głowę w inną stronę, starając się uniknąć jego spojrzenia.

– W ciągu sześciu ostatnich dni nie znalazł nawet chwili, by się ze mną skontaktować – powiedziała.

– To do niego niepodobne – rzekł Lando.

– Ależ tak! – sprzeciwiła się Leia. – Sam wiesz o tym bardzo dobrze. Myślę, że kiedy za dwa dni wróci, urządę mu niezłą awanturę. – Powiedziawszy to, zmusiła się do nieszczerego uśmiechu. – Ale nie mówmy o tym teraz. W jaki sposób udało ci się znaleźć trochę czasu na składanie wizyt starym znajomym? Taki odpowiedzialny człowiek jak ty musi mieć z pewnością dużo pracy.

Tym razem Lando odwrócił nerwowo głowę, by nie musieć spojrzeć w jej oczy, i zapatrzył się na obszary błyszczących w słońcu nowych gmachów, widocznych w różnych dzielnicach metropolii. Dopiero teraz Leia dostrzegła, że Calrissian wygląda nie najlepiej. Jego strój sprawiał wrażenie zniszczonego, a wyblakłe kolory zdradzały, że musiał być wielokrotnie prany.

Lando rozłożył ręce, a potem sięgnął po kolejny pasztecik z talerza.

– Prawdę mówiąc, jestem w tej chwili... hm, między jedną pracą a drugą – powiedział.

Obdarzył Leię niewyraźnym uśmiechem, ale ona spojrzała na niego, marszcząc brwi.

– A co stało się z twoim przedsiębiorstwem górniczym na Nklonie? – zapytała. – Czy Nowa Republika nie wymieniła większości uszkodzonego sprzętu?

– No cóż, mimo to było tam dużo więcej pracy, przez co wszystko przestało się opłacać – odparł Lando. – Poza tym po ataku na Sluis Van przestaliśmy cieszyć się dobrą sławą. A Nklon jest piekielnym miejscem... Sama wiesz, bo tam byłaś. Musiałem zmienić klimat.

Leia skrzyżowała ręce na piersi i popatrzyła na gościa sceptycznie.

– W porządku, Lando – oznajmiła. – Przedstawione przez ciebie powody zostały zarejestrowane i sklasyfikowane. A teraz powiedz prawdę, co stało się z Nklonem.

Twarz Calrissiana spłonęła rumieńcem wstydu.

– No cóż, przegrałem go w sabaka – przyznał w końcu.

Leia nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– A więc nie masz teraz żadnej pracy? – zapytała.

Wyraz urażonej dumy na twarzy Calrissiana był z pewnością udany. Leia przez chwilę się zastanawiała.

– Zawsze możemy przywrócić ci twój stopień i obowiązki generała Nowej Republiki – oświadczyła. – Ty i Wedge stanowiliście kiedyś zgrany zespół na Kalamarze.

Oczy Landa się rozszerzyły.

– Czy to znaczy, że proponujesz mi pracę? Nie wyobrażam sobie, co chciałabyś, żebym robił.

– Chcę, żebyś reprezentował Nową Republikę podczas oficjalnych uroczystości i bankietów – odparła Leia. – I spotykał się z bogatymi interesantami zabiegającymi o nasze wpływy. Możliwości są nieograniczone...

W tej chwili stary android protokolarny znalazł się znów w sklepionym wejściu, ale zanim miał czas powiedzieć, z czym przychodzi, obok niego precyzyjnie się See-Threepio i Artoo-Detoo, kierując się prosto ku Leii.

– Księżniczko! – zawołał Threepio, nie starając się nawet ukryć podniecenia. – Znaleźliśmy jednego kandydata! Artoo, opowiedz księżniczce. Och, generał Calrissian! Co pan tutaj robi?

Artoo wydobyl z siebie serię elektronicznych pisków, które Threepio przetłumaczył tak wiernie, jak potrafił:

– Artoo sprawdzał dane osób wygrywających w różnych hazardowych grach w całej galaktyce. Wygląda na to, że natknął się na mężczyznę, który miał wyjątkowe szczęście na wyścigach umgulliańskich purchlaków.

Threepio podał Leii arkusz z wydrukowanymi danymi o wygranych, ale Leia wręczyła go Calrissianowi.

– Masz większą wprawę niż ja i szybciej połapiesz się, o co w tym chodzi – powiedziała.

Lando wziął zadrukowany arkusz i spojrział na znajdujące się na nim kolumny liczb, ale nie wyglądało na to, że wie, na co patrzy.

Threepio pospieszył z wyjaśnieniem. – Jeżeli traktować to tylko w kategoriach przegranych i wygranych, materiały dotyczące pana Tymmo rzeczywiście nie wykazują niczego niezwykłego. Kazałem jednak, by Artoo sporządził rejestr wysokości wygrywanych sum. Natychmiast stało się jasne, że chociaż pan Tymmo wiele razy przegrywał po kilka kredytów w mało ważnych wyścigach, za każdym razem, kiedy stawiał na jakiegoś purchlaka po sto kredytów lub więcej, wygrywał bardzo duże sumy.

Lando uderzył lekko wierzchem dłoni w arkusz.

– Ma rację! To bardzo podejrzane. Chociaż sam nigdy nie byłem na wyścigach umgulliańskich purchlaków i nie znam się na szczegółach czy regulaminie, jestem skłonny przyznać, że tak niezwykle szczęście jest po prostu niemożliwe!

– To właśnie takich nadzwyczajnych rzeczy kazał nam szukać mistrz Luke – rzekł Threepio, kilka razy unosząc i opuszczając ręce, aż sterujące nimi serwowmotory zapiszczały na znak protestu. – Czy sądzi pan, że ten człowiek, pan Tymmo, może być potencjalnym kandydatem do akademii Jedi mistrza Luke'a?

Lando spojrział pytająco na Leię. Było jasne, że nie słyszał ostatniego przemówienia Skywalkera

w Senacie Nowej Republiki. Oczywiście jednak rozbiły.

– Ktoś powinien to sprawdzić. Możliwe, że to tylko oszustwo – oświadczyła. – W każdym razie osoba, która się tym zajmie, musi się dobrze znać na różnych grach hazardowych. Lando, czy nie chciałbyś się zainteresować tą sprawą?

Wiedziała, co Calrissian odpowie, zanim jeszcze go zapytała.

Rozdział 7

Widok nizin Kessel poroanych szczelinami i rozpadlinami zawsze sprawiał, że Moruth Doole czuł się głodny. Patrząc przez ogromne okno na odległy horyzont, musiał zmienić ogniskową mechanicznego oka.

Zobaczył białą, jakby posypaną popiołem równinę, pełną chwastów, które wyrastały z zagłębień gruntu, przywleczonych tu zapewne z innych planet. Z kominów zakładów wzbogacających atmosferę unosiły się w jasnoróżowe niebo gigantyczne chmury gazów i natychmiast ulatywały w przestworza, przegrywając walkę z niewielką siłą przyciągania. Powierzchnię energetycznych pól chroniących Kessel nieustannie bombardowało niewidoczne, ale szkodliwe promieniowanie, emitowane przez Otchłań. Księżyc Kessel zmieniony w bazę floty obronnej zachodził właśnie nad horyzontem.

Doole odwrócił się od okna i skierował do niszy dawnego biura naczelnika więzienia. Pomyślał, że dobrze byłoby coś przekąsić.

Sięgnął po klatkę pełną tłustych i smakowitych owadów i zbliżył twarz do drucianej siatki, by lepiej widzieć. Owady miały po dziesięć nóg, opalizujące tułowia i mięsiste odwłoki. W chwili, w której poruszył klatkę, stworzenia zaczęły latać.

Doole poskrobał gąbczastymi palcami o siatkę, chcąc rozdrażnić owady jeszcze bardziej. Fruwały teraz po ograniczonej przestrzeni jak szalone. Doole wiedział, że przerażenie uwalniało w ich organizmach pewien hormon, dzięki czemu ich mięso stawało się jeszcze słodsze. Oblizwał grube wargi, charakterystyczne dla Rybetów.

Otworzył drzwiczki klatki i wsunął do środka całą głowę. Owady przelatowały teraz koło jego oczu, policzków i uszu. Wysuwając raz po raz spiczasty język, Doole chwycił stworzenie i zamykał w ustach. Pochwyciwszy jeszcze trzy, przerwał, by je przełknąć. Czuł, jak uwięzione w ustach poruszają rozpaczliwie nogami. Westchnąwszy z rozkoszy, Doole upolował dwa następne. Jeden owad wleciał sam do otwartych ust i Doole połknął go w całości.

Usłyszał nagle, jak ktoś puka do drzwi, a potem otwiera je i wchodzi, nie czekając na zaproszenie. Pozostawiwszy głowę w klatce, odwrócił się i zobaczył Skynxnexa. Strach na wróble szedł niemu, drżeniem rąk i nóg zdradzając zdenerwowanie.

– Mam raport, Moruth – powiedział.

Doole wyciągnął głowę z klatki, a potem zamknął ją i uszczelnił drzwiczki. Zobaczył, że trzem owadom udało się jednak uciec. Obijały się teraz o transpastalową szybę panoramicznego okna. Zdecydował, że złapie je trochę później.

– Tak? – zapytał. – Jaki raport?

– Skończyliśmy remontować „Tysiącletniego Sokoła” – odparł Skynxnex. – Przy okazji usunięto wszelkie oznaczenia i zastąpiono je fałszywymi numerami. Oprócz wymiany części oraz napraw,

które były konieczne, dokonaliśmy także kilku zmian i modyfikacji. Jeżeli pozwolisz, polecę nim teraz do bazy na księżycu, żeby wcielić go do naszej floty. Wprawdzie lekkie frachtowce nie są najlepszymi jednostkami bojowymi, ale w rękach wprawnego pilota potrafią zadawać ciężkie straty – a „Sokół” jest bardziej bojowym statkiem niż frachtowcem.

Doole kiwnął głową.

– To dobrze, doskonale. A jak postępują prace przy instalowaniu generatorów pól ochronnych? Chcę, by były gotowe jak najszybciej, na wypadek gdyby pojawiła się flota Nowej Republiki.

– Nasi inżynierowie w bazie na księżycu sądzą, że potrafią dokonać kilku zmian w projektach, dzięki czemu będziemy mogli się obyć bez wszystkich brakujących części. Niedługo Kessel będzie niemożliwa do zdobycia.

Jedyne oko Doole’a zapłonęło wewnętrznym światłem.

– Czy Han Solo i Chewbacca zostali już odtransportowani do kopalni?

Skynxnex złożył razem palce dłoni.

– Zamówiłem opancerzony poduszkowiec i sam odwiozę ich za godzinę – odparł, wyciągając jedną dłonią dwulufowy blaster. – Jeżeli spróbują jakichś sztuczek, chcę rozprawić się z nimi osobiście.

Doole się uśmiechnął.

– Cieszę się na myśl o tym, że zgniją jak w ciemnicy – powiedział, a potem machnął ku Skynxnexowi dłonią podobną do płetwy. – No, na co jeszcze czekasz?

Odwróciwszy się, strach na wróble opuścił biuro naczelnika, pokracznie stawiając długie nogi.

Na myśl o zemście, jaką wyrzeze na Hanie Solo, Doole uśmiechnął się po raz drugi, lecz po chwili poczuł ogarniający go niepokój. Nowa Republika mogła znajdować się daleko i na razie mu nie zagrażać, ale badając umysł Hana, poznał moc i siłę ognia statków, jakie w każdej chwili mogły zostać skierowane przeciwko Kessel. Od czasu, kiedy z rąk poprzednich władców przejął kontrolę nad kompleksem więziennym, nie czuł tak bezpośredniego zagrożenia.

Pomyślał, że w czasach starego systemu wszystko było o wiele prostsze. Szantażując lub przekupując więziennych Strażników, Doole stał się najważniejszą osobą kontaktującą się z przemytnikami i dostarczającą im towar mimo czujnych oczu imperialnych urzędników. Sprzedawał planetarne mapy i kody umożliwiające przedostawanie się przez pola ochronne. Nie Zapominał także o wydobywaniu na drugiej półkuli niewielkich ilości przyprawy na własną rękę. Wykorzystywał w tym celu mniej fortunnych przedsiębiorców, którzy eksploatując swoje małe kopalnie, potajemnie sprzedawali surowiec Doole’owi. Gdy ich żyły zawierające przyprawę wyczerpywały się lub kończyły, Doole, działając tym razem jako lojalny urzędnik, „dowiadywał się” o nielegalnym przedsięwzięciu i przekazywał przedsiębiorcę w ręce władzy. Imperialni szturmowcy opanowywali kopalnię, a wybrani przez samego Morutha strażnicy dbali, by ataku imperialnych wojsk nie przeżył nikt, kto mógłby później oskarżyć Doole’a. Innych pracujących dla niego ludzi skazywał na ciężką pracę w legalnych kopalniach. Była to gra, która zawsze zapewniała mu wygraną.

Podczas buntu w więzieniu pomyślał przede wszystkim o najgroźniejszych konkurentach i nasłał najsilniejszych strażników na najbardziej aktywnych przemytników, wskutek czego i jedni, i drudzy wymordowali się w zażartej walce. W taki sposób Moruth Doole stał się jedynym władcą, a Skynxnex jego prawą ręką.

Pochwyciwszy naczelnika więzienia, Doole skazał go na pracę w kopalni i trzymał tam tak długo, aż złamał jego opór. Potem, dla zwykłej rozrywki, naszpikował jego ciało przyprawą. Kiedy

narkotyk zaczął przeżerać wnętrze nieszczęśnika, jego twarz zaczęła się wykrzywiać z bólu. Wówczas Doole zatopił go w bryle karbonitu, używając w tym celu aparatury, stosowanej do zamrażania najbardziej niebezpiecznych i krnąbrnych więźniów przed transportem.

Napływ wspomnień zawsze go podniecał. Z szuflady wielkiego biurka Doole wyciągnął jaskrawożółty szal, oznaczający gotowość do kopulacji. Umieścił go na właściwym miejscu, z cichym sykiem głęboko westchnął, a potem skierował na siebie obiektyw mechanicznego oka. Żadna nie mogłaby mu się teraz oprzeć!

Przeciągnął palcami wzdłuż boków, by usunąć zmarszczki na kamizelce z jaszczurczej skóry, a następnie opuścił biuro i znalazł się na korytarzu. Skręcił kilka razy, aż doszedł do tajnego skrzydła budynku. Zatrzymał się przed jakimiś drzwiami i na umieszczonej tam klawiaturze wystukał sobie tylko znaną kombinację cyfr. Kiedy drzwi się otworzyły, głęboko westchnął i zaczął wysuwać i chować język, napawając się wonią obecnych w powietrzu feromonów.

W środku mikroskopijnych cel kuliły się więzione tam Rybetki, bezskutecznie starając się kryć po mrocznych kątach. Jaskrawożółty szal Doole'a wydawał się świecić w półmroku własnym światłem.

Spędziwszy samotnie na Kessel wiele lat, Moruth Doole czuł się bardzo sfrustrowany. Teraz jednak, kiedy był władcą planety, stać go było na posiadanie kilku tuzinów niewolnic, które kazał sprowadzić ze swego macierzystego świata. Czasami samice mu się opierały, ale pracując przez tyle czasu w imperialnym zakładzie karnym, miał duże doświadczenie w postępowaniu z krnąbrnymi więźniami.

Ostatnio jedyną trudność sprawiało mu dokonanie wyboru odpowiedniej samicy. Doole szedł niespiesznie wąskim korytarzem i nastawiwszy obiektyw na pełną czułość, obracał mechaniczne oko to w tę, to w tamtą stronę. Jego wykrzywione wargi ułożyły się w zachęcającym, pożądanym uśmiechu.

Powierzchnia Kessel umykała pod podwoziem opancerzonego więziennego poduszkiowca. Przez wąskie szpary okien przedziału dla więźniów Han Solo widział tylko drobny fragment krajobrazu. Razem z Chewiem siedzieli, przypięci do foteli i dołączeni do zacisków obwodów elektrycznych, uniemożliwiających wykonywanie gwałtownych ruchów. Gdyby chcieli się szarpać czy uwolnić, zostaliby natychmiast pozbawieni przytomności. Chewbacca miał oplecione całe ciało, Hanowi zaś założono jedynie paralizujące kajdanki.

Na fotelu pilota siedział Skynxnex, zajęty sterowaniem. Coraz bardziej oddalali się od fortyfikacji otaczających teren dawnego imperialnego więzienia. Fotel drugiego pilota zajmował barczysty strażnik, mierząc z odbezpieczonego blastera z stronę Hana i Chewiego.

– Hej, Skynxnex, dlaczego nie opisujesz nam szczegółów mijanego krajobrazu? – odezwał się w pewnej chwili Han. – Co to ma być za wycieczka?

– Zamknij dziób, Solo – warknął strach na wróble.

– Dlaczego? Zapłaciłem przecież za bilet pełną sumę.

Skynxnex wcisnął przycisk i wysłał bolesny impuls do obwodów ograniczających swobodę ruchu więźniów. Chewbacca zaryczał.

– Możesz pożegnać się z napiwkami, Skynxnex – mruknął Han.

Strach na wróble przeleciał transporterem obok olbrzymiego, głębokiego krateru, wykopanego w jakimś miejscu. Zardzewiałe dźwigary i wsporniki wyglądały jak kości szkieletu, wystające z posypanej popiołem nieurodzajnej gleby. Dopiero po dłuższej chwili Han uświadomił sobie, że

patrzy na szyb, wydrążony w skalistym gruncie przez jedną z gigantycznych koparek fabryki wzbogacającej atmosferę. Maszyny te wgryzały się w ziemię i transportowały skalisty grunt do fabryk, gdzie z pokruszonego surowca uwalniano tlen i dwutlenek węgla, żeby uzupełnić ich zawartość w rzednącej ciągle atmosferze. Po wyssaniu przez fabrykę życiodajnych gazów, pozostawiony szyb umożliwił budowę podziemnej sieci tuneli i chodników, dzięki którym można było wydobywać przyprawę.

Skynxnex wylądował poduszkowcem tuż obok krawędzi krateru usianej odłamkami skał, a potem zakrył usta i nos tlenową maską umożliwiającą oddychanie w rozrzedzonej atmosferze. Drugą taką samą wręczył strażnikowi.

– A co z nami? – zapytał Han.

– Nie będziecie na dworze bardzo długo – odparł Skynxnex. – Kilka zawrotów głowy z pewnością wam nie zaszkodzi.

Przycisnąwszy guzik na tablicy rozdzielczej, strach na wróble uwolnił ich z więzów. Han wstał i rozprostował zeszywniałe ręce. W tej samej chwili strażnik uniósł broń, a Skynxnex wyciągnął swój zmodyfikowany dwulufowy blaster, po czym obaj skierowali lufy na więźniów.

Han zamarł.

– Uspokójcie się – powiedział. – Nic złego się nie dzieje. Chciałem tylko rozprostować kości.

Kiedy Skynxnex otworzył drzwi ich przedziału, uszy Hana przeszył taki ból, jak gdyby pękły mu bębni. Wilgotne powietrze z wnętrza poduszkowca, uciekając w stronę ziejącego leja, w jednej chwili zmieszało się z mglistymi oparami.

Han poczuł, jak jego płuca zostają pozbawione życiodajnego tlenu. Instynktownie nabrał głęboki haust powietrza, ale nie zrobiło mu się ani trochę lepiej. Razem z Chewbaccą, potykając się, wysiedli z opancerzonego poduszkowca, ponaglani przez Skynxnexa i strażnika lufami blasterów.

Na krawędzi krateru czekała na nich klatka windy przesuwanej się po szynach, których końce ginęły w ciemnościach leja. Skynxnex całkiem świadomie poruszał się bardzo wolno. Han, nie mogąc oddychać, starał się iść jak najszybciej. Omal się nie przewróciwszy, wszedł do klatki i gestem zachęcił Chewbaccę, by nie marudził. Krztusił się i charczał. Wydawało mu się, że zaczyna widzieć czarne plamy. Kiedy w końcu odetchnął pełną piersią, rozrzedzone lodowate powietrze Kessel sprawiło ból to umęczonym płucom.

– Przed kilkoma laty fabryki wzbogacające atmosferę pracowały pełną parą – zauważył Skynxnex. Z powodu tlenowej i jego słowa wydobywały się jak spod ziemi. – Moruth Doole stwierdził jednak, że było to karygodne marnotrawstwo drogocennej energii.

Kiedy wsiedli do windy, strażnik zatrzasnął pokryte metalową siatką drzwi, a Skynxnex, który zajął się urządzeniem sterowniczym, wcisnął jakiś guzik. Klatka zaczęła bardzo szybko zjeżdżać i po chwili przestrzeń jasnoróżowego nieba w górze stała się wielkości talerza.

Po drodze mijali otwory w skale, zamknięte pancernymi Stalowymi drzwiami. Każdy poziom był oznaczony wianuszkami reflektorów, ale wiele źródeł światła wypaliło się albo uległo zniszczeniu.

Chewbaccą trzymał się poręczy klatki obiema długimi, owłosionymi rękami i z trudem chwycił rozrzedzone powietrze. Jego wystający teraz z ust, zazwyczaj różowy język, przybrał wskutek braku tlenu barwę purpurową. Han, drżąc i nie mogąc opanować zawrotów głowy, bezwładnie usiadł na podłodze klatki. On także oddychał z wielkim trudem.

Kiedy winda raptownie znieruchomiała, Han ocknął się, gdyż siła szarpnięcia uderzyła jego głową o siatkę bocznej ściany. Spojrzał w dół przez otwory w dnie klatki i zobaczył, że pod nimi

znajdują się jeszcze niezliczone niższe poziomy.

– Wstawaj! – rozkazał Skynxnex kopiąc go. – Nie czas teraz na odpoczynek! No dalej, w środku czeka na was łyk świeżego tlenu!

Z pomocą Skynxnexa Han z trudem się wyprostował. Niższy od stracha na wróble, choć rosły strażnik miał znacznie więcej problemów z nakłonieniem Chewiego, by ruszył w dalszą drogę.

Drzwi klatki się otworzyły i więźniowie znaleźli się przed zamkniętymi pancernymi wrotami. Skynxnex otworzył zamek i po chwili wszyscy czterej weszli do niewielkiego pomieszczenia, wykładanego ceramicznymi płytkami.

Han ledwo mógł otworzyć oczy. Czuł, jak w uszach coś mu brzęczy i dzwoni. Widział tylko mieszaninę zmieniających się w rytm pracy jego serca ciemnych plam i niewyraźnych zarysów przedmiotów i ludzi znajdujących się wokół niego. Kiedy jednak Skynxnex uszczelnił opancerzone wrota, pomieszczenie wypełniło się ożywczym tlenem.

– Jesteśmy na miejscu – odezwał się strach na wróble. – Nie próbujcie teraz żadnych sztuczek.

Han uszczęśliwiony, że może znów oddychać, nawet nie myślał o ucieczce. A przynajmniej nie w pierwszej chwili.

Po drugiej stronie śluzę o ceramicznych ścianach znajdowała się duża cechownia przeznaczona dla górników. Przebywający w niej teraz ludzie przygotowywali się do pracy, choć sprawiali wrażenie ospałych, jakby przemęczonych. Wygląd pomieszczenia świadczył o tym, że wykonano je, rozsadzając za pomocą ładunków wybuchowych litą skałę. Pod jedną ścianą umieszczono wielopiętrowe niewygodne prycze, a na środku ustawiono długie stoły, przy których górnicy mogli się pożywiać.

W różnych miejscach na skalnych ścianach umieszczono kamery rejestrujące wszystko, co działo się w sali. Za przepierzeniem i ustawionymi tam pulpitemi siedzieli strażnicy, odziani w resztki pancerzy imperialnych szturmowców i uzbrojeni, gotowi w każdej chwili wkroczyć do akcji. Kilku innych funkcjonariuszy przechadzało się po cechowni. Górnicy byli wychudzeni i bladzi, jakby wiele lat spędzili pod ziemią i głodowali.

Na powitanie czwórki gości wyszedł krzepki mężczyzna. Nie odrywał spojrzenia od Skynxnexa. Miał pełno guzów na twarzy i podbródku, porośniętym krótką czarną szczecina, a pokryte guzami ręce sprawiały wrażenie, jakby wszystkie mocarne mięśnie przytwierdzono w niewłaściwych miejscach.

– Przysyłasz mi jeszcze dwóch? – zapytał. – Tylko dwóch? To mi nie wystarczy.

Wyciągnął rękę, by sprawdzić mięśnie Chewiego. Chewbacca zaryczał i cofnął się, ale pokryty guzami mężczyzna nie zwrócił na to uwagi.

– No cóż, Wookie jest wart trzech mężczyzn, ale nie wiem, na co będzie stać tego drugiego. Ci dwaj nie zastąpią mi tych wszystkich, którzy zginęli.

Skynxnex spojrzał na niego groźnie.

– No to przestań wreszcie tracić ludzi – powiedział lodowatym tonem, a później trącił Hana na znak, że zwraca się do niego. – To jest szef Roke. Jego zadaniem jest zmusić cię do pracy. Chce przypochlebić się Doole’owi i zrobić wszystko, żebyś czuł się tu jak najgorzej.

– Nie wygląda na to, że daje sobie radę z pilnowaniem własnych pracowników – stwierdził Han. Roke spiorunował go spojrzeniem.

– Coś porywa moich ludzi na najniższych poziomach – powiedział. – Wczoraj zginęło dwóch następnych. Znikają, nie pozostawiając żadnego śladu, sprzętu... Niczego.

Han wzruszył ramionami.

– Trudno dzisiaj o dobrych pracowników – zauważył. Skynxnex wyciągnął dwulufowy blaster i skierował lufę w twarz Hana, ale odezwał się do szefa Roke'a:

– Przyniesiesz teraz dla tych dwóch termiczne kombinezony. Popatrzemy, jak będą się ubierali.

Roke pstryknął palcami i dwóch strażników rzuciło się szperać w stojących obok nich pojemnikach.

– Dla człowieka nietrudno będzie coś znaleźć, ale dla Wookiego... – odezwał się jeden. – Nie mamy tu niczego tak dużego.

W końcu strażnik wyciągnął jakiś dziwny kombinezon, noszony kiedyś przez obcą istotę mającą troje rąk. Okazało się jednak, że pasuje całkiem dobrze i Chewbacca może go nosić, jeżeli tylko uszczelni wylot trzeciego rękawa i obwiąże wokół niego ochronną rękawicę. Jedyny kłopot polegał na tym, że trzeci rękaw wystawał z samego środka torsu.

Kombinezony były zasilane za pomocą podgrzewaczy umieszczonych w plecakach, dzięki czemu w środku panowała właściwa temperatura nawet w lodowatych chodnikach kopalni. Han z prawdziwą ulgą dostrzegł przyłączone do kombinezonów tlenowe maski.

Skynxnex wycofał się w stronę windy. Jego strażnik już stał w środku śluzy. Po raz ostatni, jakby sądząc, że nie wypowiedział wystarczającej liczby gróźb jednego popołudnia, strach na wróble wycelował dwulufowy blaster w stronę Hana.

– Może następnym razem Moruth Doole pozwoli mi użyć tej zabawki – powiedział.

– Jeżeli posprzątasz po sobie sam, bez przypominania, a potem grzecznie zjesz marchewkę ze szpinakiem, może uśmiechnie się do ciebie nieco cieplej – zakpił Han.

– Zmiana alfa, przygotować się do pracy! – ryknął szef Roke tak głośno, by usłyszeli go wszyscy w cechowni.

Kilka tuzinów znużonych osób, powłócząc nogami, zajęło miejsca na namalowanych na podłodze kwadratach. Roke gestem pokazał dwa puste.

– Wy dwaj nowi, zająć miejsca osiemnaste i dziewiętnaste! I to biegiem!

– Co, żadnego przeszkolenia przed przystąpieniem do pracy? – odezwał się Han.

Z sadystycznym uśmiechem szef Roke wskazał mu miejsce oznaczone kwadratem.

– Jesteśmy zwolennikami szkolenia podczas pracy – powiedział.

Jakby na jakiś niesłyszalny sygnał wszyscy górnicy naraz zakryli usta i nosy maskami tlenowymi. Widząc to, Han i Chewbacca zrobili to samo. Wielkie opancerzone wrota w przeciwległej ścianie otworzyły się, ukazując oświetlone pomieszczenie mniej więcej stumetrowej długości. W środku unosił się podobny do stonogi sznur wagoników służących do przewozu więźniów, które połączone były za pomocą magnetycznych sprzęgieł.

Z ukrytych głośników rozległ się dźwięczny gong, a górnicy na ten znak zaczęli zajmować miejsca w wagonikach. Pod ciężarem ich ciał pojazdy rozkołysały się na boki.

Chewbacca mruknął coś, co miało być pytaniem. Han rozejrzał się po jasno oświetlonej sali.

– Wiem na ten temat tyle samo co ty, chłopie – odpowiedział. Teraz, po odejściu Skynxnexa, nie musiał zachowywać się jak bohater. Poczł, że zaczyna ogarniać go przerażenie.

Szef Roke usiadł w pierwszym wagoniku, a strażnicy zajmowali miejsca w taki sposób, żeby móc pilnować górników. Wszyscy mieli na oczach gogle wrażliwe na podcierwień. Kiedy więźniowie wsiedli do wagoników, Han usłyszał, jak ciężkie wrota zamykają się za nimi z głuchym hukiem. Wyglądało jednak na to, że cała zmiana na coś czeka.

– I co teraz? – mruknął sam do siebie.

Nagle wszystkie światła zgasły. Han i Chewbacca pograżyli się w tak idealnej ciemności, że czuli, jak przytłacza ich niczym smoła.

– Co, do... – zaczął Han, ale nagle urwał, nabrawszy powietrza.

Ciemności były niemal namacalne. Han nie widział dosłownie czubka nosa. Siedzący obok niego Chewbacca warknął, także wyraźnie zaniepokojony. Han usłyszał odgłosy świadczące o tym, że pozostali więźniowie poruszają się w swoich wagonikach. Wyteżył słuch, starając się, by wyobraźnia podpowiedziała mu, co się dzieje. Nagle jego uszu dobiegło dźwięczne metaliczne szczęknięcie.

– Trzymaj się, Chewie – powiedział cicho.

Metalowe wrota na przeciwległym krańcu sali zaczęły się otwierać, a w pomieszczeniu rozległ się zgrzyt kółek przesuwających się po metalowych szynach. Han i Chewbacca poczuli podmuch wiatru, z jakim powietrze uciekło na zewnątrz, żeby zmieszać się z rozrzedzoną atmosferą chodników i szybów.

Walcząc z ogarniającą go paniką, Han uszczelnił dokładniej maskę. Niemal czuł, jak otaczające go powietrze z każdą sekundą staje się coraz radsze. Na domiar złego uciekające cząsteczki zabierały ze sobą całe ciepło, jakie panowało w ogromnej sali, przez co wystawioną na zimno skórę Hana zaczęły kłuć pierwsze igły chłodu.

Nabierając szybkości, unoszone przez repulsorowy napęd wagoniki z więźniami kołysały się na boki. Han czuł, jak przyspieszenie wciska jego ciało w niewygodny i twardy fotel. Słyszał świst powietrza przemykającego koło głowy i dźwięki, odbite od ścian wąskiego tunelu. W pewnej chwili wagoniki pokonały jakiś ostry zakręt i Han, by nie wypaść z fotela, musiał uchwycić się chłodnej metalowej poręczy. Wagoniki pędziły coraz szybciej, a Han czuł, jak od czasu do czasu zakręcają, lecz niezmiennie zjeżdżają coraz niżej. Nie wiedział, jakim cudem szef Roke widzi, dokąd jedzie. Miał nadzieję, że cały skład jest sterowany za pomocą komputera.

W pewnej chwili, kiedy odbite od ścian dźwięki powiedziały mu, że przejechali pod sklepieniem, Han usłyszał głośny zgrzyt, z jakim zatrzasnęły się za nimi jakieś metalowe wrota. Hałas ten przypominał odgłos lawiny osypującego się złomu.

Han nie potrafił zrozumieć, dlaczego górnicy nie rozmieścili wzdłuż długiego toru chociaż prymitywnych lampek czy innych źródeł światła, które wskazywałyby im drogę. W pewnej chwili jednak zrozumiał i odczuł to z taką siłą, jakby ktoś uderzył go pięścią w szczękę. Przypomnił sobie, że błyszczącym jest substancją światłoczułą uaktywniającą się pod wpływem światła, a więc jasne, że musiał być wydobywany w całkowitych ciemnościach, gdyż w przeciwnym wypadku uległby rozkładowi.

W całkowitych ciemnościach.

Han i Chewbacca musieli zatem spędzić resztę dni pracując jak niewolnicy, nie mogąc patrzeć na siebie ani widzieć tego, gdzie są i co robią. Han kilka razy zamrugał, by upewnić się, że oczy ma otwarte. I tak zresztą nie miało to najmniejszego znaczenia.

Poczuł, jak po plecach przechodzą mu zimne dreszcze. Szef Roke powiedział, że w najgłębszych chodnikach kopalni jakaś nieznana istota porywa nieszczęsnych górników i to tak, że nie zostawia żadnego śladu. W jaki sposób przed atakiem złośliwego drapieżnika mógłby bronić się ktoś, kto w zupełnych ciemnościach nic nie widzi?

Natężenie i rodzaj dźwięków zmieniały się niemal w każdej chwili. W miarę jak Han

przyzwyczajają się do tego, że jego umysł przetwarza informacje, dostarczane mu przez zmysł słuchu, zaczynał się orientować, kiedy wagoniki przelatują obok wlotów bocznych tuneli. Ujawniały mu to nagle zmiany siły wiejącego wiatru. Oddychając za pomocą tlenowej maski, nie mógł czuć niczego poza nieco zatechłą wonią uzdatnianego powietrza.

Poczuł nagle, że ich wagonik zaczyna kołysać się w inny sposób, jakby ktoś wstał z miejsca albo podczas jazdy przechodził z jednego wagonu do drugiego. Zorientował się, że ta osoba, przesiadając się z miejsca na miejsce, z każdą chwilą zbliża się do nich coraz bardziej. Wydało mu się, że nawet słyszy, jak ten ktoś oddycha, zamiera na chwilę, ale potem rusza w dalszą drogę.

– Hej, ty! – dobiegł go okrzyk jednego ze strażników. – Numer czternasty! Masz natychmiast usiąść!

Numer czternasty? – pomyślał Han. – W jaki sposób strażnik mógł wiedzieć, kto się rusza? W tej samej chwili przypomniał sobie, że wszyscy strażnicy mają przecież na oczach gogle umożliwiające widzenie w podczerwieni. Najprawdopodobniej więc mogli doskonale widzieć wszystkich więźniów jako jasno świecące sylwetki na tle czarnych ścian tunelu.

Wagonik na chwilę przestał się kołysać, ale później ruchy na boki znów się nasiliły. Tajemnicza osoba znajdowała się teraz całkiem blisko. Nagle ktoś ciężko opadł na wolny fotel znajdujący się tuż za Hanem i Chewbacca.

– Hej, powiedziałem ci przecież, że masz usiąść! – zawołał ten sam strażnik po raz drugi.

– To jest moje nowe miejsce – odezwał się czyjś głos za plecami Hana.

– To jest twoje nowe miejsce – strażnik dziwnie zmienionym głosem powtórzył usłyszane przed chwilą zdanie.

Han zmusił się, by nie powiedzieć ani słowa. Tak długo, jak długo nie poruszy się i zachowa milczenie, intruz będzie musiał szukać go po omacku, nie wiedząc, gdzie Han jest i co robi. A może nieznajomy ma na oczach gogle, dzięki którym może widzieć w podczerwieni? Czyżby Skynxnex albo Moruth Doole wynajęli płatnego mordercę, żeby pozbyć się Hana i Chewiego, kiedy nikt nie będzie widział tego podłego czynu?

Szybki cios, zadany ostrzem wibronoża? Silne pchnięcie mające wyrzucić go z fotela pędzącego wagonika i zostawić na łasce losu w labiryncie tuneli i chodników? W ciemnościach Han nigdy nie mógłby odnaleźć właściwej drogi. Błąkałby się bez końca i wreszcie zginął z zimna lub głodu, a może zwyczajnie się udusił. Nie bardzo zależało mu, by wiedzieć, w jaki sposób ma stracić życie.

Usłyszał cichy szmer oddechu, po którym dobiegł go nieco głośniejszy dźwięk słów, wymówionych przez tlenową maskę, jakby wypowiadający je człowiek przysunął usta do uszu Hana. Siedzący na sąsiednim fotelu Chewbacca zjeżył sierść i także wyteżył słuch.

– Czy naprawdę przybywacie z zewnątrz? – zapytał głos. – Od wielu lat nie byłem na powierzchni.

Głos był miły, łagodny i cichy, lecz stłumiony i zniekształcony przez tlenową maskę i świst wszechobecnego wiatru, tak że Han nie potrafił powiedzieć, czy mówiąca osoba była starszym mężczyzną, kobietą o niskim głosie czy też cichym i pokornym urzędnikiem, zatrudnionym kiedyś w imperialnym zakładzie karnym.

W umyśle Hana zrodził się obraz wychudzonego starego mężczyzny, podobnego do kościotrupa i odzianego w łachmany, mającego długie zmierzwiłe włosy i splątaną brodę.

– Tak, przybyliśmy tu z zewnątrz – powiedział w końcu. – W ostatnich czasach wiele się tam zmieniło.

– Nazywam się Kyp. Kyp Durronek.

Po chwili wahania Han przedstawił siebie i Chewbaccę. Wietrząc mimo wszystko jakiś podstęp, postanowił nie podawać zbyt wielu informacji. Wyglądało na to, że w jakiś sposób Kyp Durronek to wyczuł, gdyż zaczął opowiadać o sobie i nie zadawał zbyt wielu dociekliwych pytań.

– Już wkrótce poznacie tutaj wszystkich. Tak dzieje się prawie zawsze. Większość życia spędziłem tu, na Kessel. Moi rodzice byli więźniami politycznymi. Zesłano ich na tę planetę, kiedy Imperator zaczął prześladować wszystkich, którzy sprzeciwiali się jego władzy. Mojego brata, Zetha, zabrano do ośrodka szkolenia wojsk imperialnych na Caridzie. Nigdy więcej go nie ujrzeliśmy. Ja zostałem skazany na pracę w tych kopalniach. Zawsze sądziłem, że i mnie zabiorą kiedyś na Caridę, ale myślę, że jednak o mnie zapomnieli.

Han starał się wyobrazić sobie życie Kypa, które z każdym upływającym rokiem stawało się coraz cięższe.

– Jak to się stało, że wciąż jeszcze tutaj siedzisz? – zapytał.

– Podczas przejmowania władzy nad więzieniem panował taki rozgardiasz, że nie bardzo zwracano uwagę na to, kogo posyłano do kopalni. Teraz większość górników to byli strażnicy imperialni. Kiedy tam, na górze, doszło do zmiany władzy, nikt jakoś nie pomyślał, by mnie uwolnić. Widocznie nie byłem aż taki ważny.

Kyp wydał stłumiony dźwięk, który miał być pełnym gorzkości śmiechem.

– Ludzie mówią, że w wielu sprawach mam dużo szczęścia, ale moja szczęśliwa gwiazda nie pomogła mi wieść normalnego życia. – Przerwał, jakby zbierał resztkę nadziei, a Han bardzo żałował, że nie może widzieć w tej chwili twarzy nieszczęśnika. – Czy to prawda, że Imperium upadło?

– Przed siedmioma laty – odrzekł Han. – Imperator stracił życie, kiedy zniszczyliśmy jego Gwiazdę Śmierci. Od tamtej pory toczymy wprawdzie nieustanne walki, ale Nowa Republika robi wszystko, by zjednoczyć rozproszone światy. Ja i Chewie przybyliśmy tu jako ambasadorowie, żeby wznowić kontakty dyplomatyczne z tą planetą. – Przerwał na krótką chwilę. – Widać jednak, że władcy i mieszkańcy Kessel nie bardzo są tym zainteresowani.

Usłyszał nagle jakiś odgłos od strony czoła pociągu, zaczął więc baczniej nasłuchiwać, co się dzieje. Po chwili zrozumiał, że jeden z wagoników znajdujących się przed nim widocznie został odłączony. Cichnący coraz bardziej szum uzmysłowił Hanowi, że pojazd musiał skrócić do jednego z bocznych korytarzy. Po kilku chwilach odłączyły się dwa następne wagoniki i skrzyły do innego bocznego tunelu. Han usłyszał w oddali cichnący szum ich repulsorów. Pozostałe wagoniki przez cały czas mknęły w dół głównym chodnikiem, z każdą chwilą docierając coraz głębiej.

– Rozdzielają górników na ekipy – wyjaśnił Kyp. – Ja przesiadłem się, by pracować z wami. Opowiedzcie mi o wszystkim, co się stało.

– Posłuchaj, Kyp – westchnął Han. – Wygląda mi na to, że na zaspokojenie twojej ciekawości będziemy mieli mnóstwo czasu.

Basowy pomruk repulsorowego napędu pociągu przybrał nagle trochę niższe tony. Han poczuł, że siła wiatru słabnie, co upewniło go, że wagoniki zwalniają. Jego dłonie i twarz zdrętwiały, w uszach czuł dziwne mrowienie, ale reszta ciała nie zmarzła, okryta nie przepuszczającą chłodu tkaniną ogrzewanego kombinezonu.

Kiedy w końcu wagoniki się zatrzymały, usłyszeli głos tego samego strażnika, który przedtem krzyczał na Kypa:

– Wszyscy wysiadać i pod ścianę! Połączyć się i marsz na miejsce pracy!

Więźniowie zaczęli wychodzić, a pod ich ciężarem zawieszono w powietrzu wagoniki znów zaczęły kołysać się na boki. Kiedy wszyscy w milczeniu stawali pod ścianą, słychać było jedynie szuranie butów i odgłosy obijania się ekwipunku o skały. W wąskim, wywołującym klaustrofobię tunelu rozbrzmiewało prawdziwe pandemonium różnych dźwięków, wskutek czego nieprzeniknione ciemności przytłaczały wszystkich jeszcze bardziej niż poprzednio.

– Dokąd teraz? – odezwał się półgłosem Han.

Kyp chwycił kółko przymocowane do pasa na plecach kombinezonu Hana.

– Złap się tylko osoby stojącej przed tobą – odparł. – Uwierz mi, nie chciałbyś zgubić się tak głęboko pod ziemią.

– Wierzę ci – mruknął Han. Chewbacca także warknął, na dowód, że się zgadza.

Kiedy pozostali górnicy stanęli jeden za drugim, strażnik pilnujący pierwszego z nich dał znak do wymarszu. Han ruszył, szurając butami i stawiając krótkie kroki, by nie potknąć się o odłamki skalne i kamienie leżące na dnie chodnika, ale i tak kilka razy musiał oprzeć się o plecy idącego przed nim Chewiego.

W pewnej chwili skręcili i zaczęli zagłębiać się w jakiś boczny tunel. Han usłyszał stłumiony odgłos uderzenia i niemal w tej samej sekundzie skowyt bólu.

– Uważaj na głowę, chłopie – odezwał się do przyjaciela.

Gdy Chewbacca schylił się, żeby przejść pod niskim sklepieniem, uszu Hana dobiegł szmer futra ocierającego się o tkaninę termicznego kombinezonu.

– Jesteśmy przy zjeżdżalni – oświadczył strażnik. – Zatrzymać się, zaczekać na swoją kolej, a potem jazda!

– Co to za zjeżdżalnia? – zapytał zaniepokojony Han.

– Dowiesz się, kiedy jej dotkniesz – odparł Kyp.

Dźwięki dobiegające od czoła grupy nic Hanowi nie mówiły. Nie potrafił zorientować się, co się dzieje. Słyszał tylko szmer tkaniny ślizgającej się po jakimś metalu i zduszone okrzyki zdumienia albo strachu. Kiedy powłócząc nogami do zjeżdżalni zbliżył się Chewbacca, Han usłyszał jego gardłowy pomruk i poczuł, że całe ciało Wookiego drży na znak sprzeciwu.

Strażnik musiał wyciągnąć jakiś bat, gdyż nagle w powietrzu rozległ się świst i Chewbacca zatrząsł się od ciosu. Ryknął z bólu i machnął na oślep ręką, chcąc oddać strażnikowi, ale w ciemnościach uderzył tylko w skalną ścianę. Zdezorientowany, szarpnął się i zaczął zadawać razy w ciemno, tak że Han musiał cofnąć się i kucnąć, by nie zostać trafiony.

– Chewie! – zawołał. – Uspokój się! Przestań!

Usłyszawszy głos przyjaciela, Wookie po kilku chwilach odzyskał panowanie nad sobą.

– Rób, co ci rozkazuję! – krzyknął strażnik.

– Nie bój się – zachęcił Chewiego Kyp. – Robimy to każdego dnia i żyjemy.

– Ja mógłbym spróbować pierwszy – odezwał się Han. – Bez względu na to, co mnie czeka.

– Na dół! – rozkazał strażnik.

Han pochylił się, wyciągnął przed siebie ręce i małymi krokami ruszył naprzód. Nagle poczuł, że jego stopa stanęła na krawędzi otworu wiodącego niewątpliwie do jeszcze głębiej znajdujących się chodników. Na obrzeżach nie brakowało drobnych kamieni i skalnych odłamków. Po chwili wyciągnięte palce Hana dotknęły zimnej, metalowej, lekko wklęsłej szyny, dość szerokiej i niezbyt grubej, bardzo śliskiej i zagłębiającej się w otworze jak prawdziwa zjeżdżalnia.

- Naprawdę chcecie, żebym zjechał po czymś takim? – zapytał. – Gdzie to się, u diabła, kończy?
- Nie martw się – uspokoił go Kyp. – To najszybszy sposób, żeby znaleźć się na dole.
- Chyba sobie żartujesz – mruknął Han.

W tej samej chwili usłyszał, jak Chewbacca się śmieje, wydając nosowe dźwięki, jakby krztusił się albo dusił. To sprawiło, że Han się zdecydował. Usiadł okrakiem na metalowej szynie, umieścił dłonie za pośladkami i uchwycił się bocznych krawędzi najsilniej jak potrafił. Dzięki śliskiej tkaninie termicznego kombinezonu natychmiast zaczął sunąć w dół zjeżdżalni. Nabierając prędkości czuł, jak na jego spotkanie puszą wszechobecna, niemal namacalna ciemność. Wyobraźnia podpowiadała mu, że w każdej chwili jego głowa może roztrzaskać się o końce ostrych stalaktytów, które z całą pewnością musiały się kończyć tuż nad jej czubkiem i tylko czekały na to, żeby rozbić mu czaszkę, gdyby się wyprostował. Zsuwał się po śliskiej szynie coraz szybciej.

- Nie podoba mi się to! – zawołał w pewnej chwili.

Nagle szyna zjeżdżalni się skończyła, a Han został wyrzucony na stertę sypkiego piachu. Natychmiast pochwyciło go dwóch górników i odciągnęło naprzód, jak najdalej od końca szyny. Han wstał i odruchowo otrzepał kombinezon, chociaż nie mógł widzieć ani ziarenka piasku.

Po kilku chwilach na stercie piachu z przeciągłym wyciem, odbijającym się od skalnych ścian, wylądował Chewbacca, a wkrótce po nim zjechał Kyp Durron i ostatni strażnik.

- Połączyć się! – zakomenderował strażnik niemal w tej samej chwili, w której podniósł się z piachu.

Chewbacca warknął i rozdrażniony, wydał kilka innych dźwięków.

- Tylko nie próbuj mi wmówić, że ci się podobało – parsknął Han.

Strażnik nakazał im, by ruszali w dalszą drogę. Po kilku minutach jednak Han stracił grunt pod stopami. Poleciał w dół i wylądował w płytkim jeziorze. Czuł, jak ciśnienie wody oblepia łydki jego termicznego kombinezonu. Brnąc niemal po kolana w wodzie, więźniowie przedzierali się w ciemnościach na drugi brzeg, nie wypuszczając kółek na pasach kolegów którzy ich poprzedzali.

Powietrze nad taflą wody było przesycone jakąś kwaśno-słoną wonią. Han poczuł w żołądku dziwny skurcz na myśl o tym, że w każdej chwili może wpaść w jakieś zagłębienie czy dół i się przewrócić. Chewbacca także zaskowyczał, ale powstrzymał się od dalszych uwag.

W pewnej chwili Han zorientował się, że jego zanurzonej części nogi dotykają nagle jakieś miękkie palce podobne do macek. Inne zaczynają chwytać go za buty, a jeszcze inne owijają się wokół drugiej łydki.

- Hej! – krzyknął i szarpnął się, starając się uwolnić.

Poczuł następne delikatne macki oplatające jego nogi. Natychmiast wyobraził sobie wijące się, nie mające oczu ośmiornice; bez wątpienia zgłodniałe, gdyż pozbawione w tych ciemnościach jakiegokolwiek pożywienia. Oczami wyobraźni ujrzał setki paszczy wypełnionych rzędami ostrych kłów, czekające w ciemnościach, żeby wpadło do nich coś tak jak on bezbronnego i bezradnego. Zaczął energicznie rozchlapywać nogami wodę, w nadziei że wystraszy je lub oderwie.

- Nie zwracaj na siebie uwagi – doradził mu półgłosem Kyp Durron. – Hałas sprawi, że pojawi się ich więcej.

Han z trudem zmusił się do zachowania spokoju i spróbował iść posuwistymi krokami, niemal susami. Żaden inny więzień nie krzyknął, co świadczyło, że na razie nikt nie został zjedzony żywcem, chociaż delikatne macki czy palce nadal dotykały ich nóg i owijały się wokół łydek. Han poczuł, że w gardle mu zaschło.

Kiedy w końcu dotarli do wlotu chodnika na przeciwległym brzegu jeziora, Han chciał upaść na kolana i odpocząć. Od strony jeziora dobiegał go plusk wody i echo dźwięków pływających w niej tajemniczych stworzeń, odbite od sklepienia pieczary.

Nie wiedział, ile czasu upłynęło, nim znaleźli się w miejscu wydobywania przyprawy. Usłyszał, jak jeden ze strażników wyciągnął z plecaka jakieś urządzenie. Nie widziany przez nikogo, podszedł z nim pod samą ścianę i tam ustawił.

– Będziemy musieli zejść jeszcze głębiej, żeby znaleźć miejsce, gdzie żyła jest najbogatsza – odezwał się Kyp. – Tam, na dole, błyszczystym jest najświeższy i włóknisty, a tu i w wyżej położonych chodnikach stary i sproszkowany. Żyły przebiegają po skałach i krzyżują się, ale prawie nigdy nie wychodzą na powierzchnię ściany.

Zanim Han miał czas coś powiedzieć, od ścian tunelu zaczął odbijać się przenikliwy, świdrujący w uszach hałas. Chewbacca zawył z bólu. Nagle jazgot umilkł, a wówczas Han usłyszał, że cienka warstwa skały oderwała się od ściany tunelu. Zrozumiał, ile strażnik uruchomił akustyczny penetrator, dzięki czemu odłupał tylko kilkucentymetrową warstwę.

– Zabierać się do pracy! – rozległ się w ciemnościach jego rozkaz.

Uklękli na podłożu przysypanym odłamkami skał. Kyp półgłosem wyjaśnił Hanowi i Chewiemu, w jaki sposób rozgarniać pokruszone skały i zgrabiałymi z zimna palcami wyłuskiwać spomiędzy nich włókna błyszczystemu podobne do pasm włosów czy azbestowych nici.

Po paru minutach takiej pracy Han poczuł, że w kilku miejscach zdarł naskórek z palców. Mimo to nie słyszał, by któryś więzień narzekał. Wszyscy sprawiali wrażenie dawno pogodzonych z losem. Han słyszał, jak z wysiłkiem oddychają, ale nie przestają pracować, a nawet starają się robić to jak najszybciej. Upychał znalezione włókna przyprawy do zawieszanej u pasa niewielkiej torby. Czuł w żołądku ten sam dziwny skurcz, prawie ból, jakby ktoś ostrym nożem rozcinał wnętrzności. Pomyślał, że może w ten sposób spędzić wiele następnych lat życia.

Kiedy wszyscy więźniowie skończyli przeszukiwać rumowisko, strażnik rozkazał im zejść tunelem jeszcze niżej, a później znów uruchomił akustyczny penetrator, żeby w innym miejscu odłupać kolejną warstwę skały.

Po kilku godzinach kulenia się nad skalnymi odłamkami, grzebania w nich, odkładania kawałków skał na bok, a włókien błyszczystemu do torby, Han nie potrafił myśleć o niczym poza obolałymi kolanami i piekącymi, poranionymi palcami. I o tym, że bardzo chciałby być znów z Leią. Nikt nigdy nie powiedział mu, ile godzin ma trwać taka praca, a zresztą i tak nie było sposobu, by w tych ciemnościach ocenić szybkość upływającego czasu. Był głodny, spragniony. Pracował jednak dalej.

Podczas jednej z krótkich przerw poczuł nagle mrowienie wędrujące po plecach w kierunku karku. Zamarł i rozejrzał się, chociaż wiedział, że w tym nieprzeniknionym mroku niczego nie zobaczy. Jego uszy jednak, pełniące teraz funkcję najważniejszego zmysłu, wychwyciły odległy szmer podobny do tysięcy szepczących cicho głosów, z każdą chwilą głośniejszych i bliższych, jakby jakaś hydrolokomotywa pędziła ich tunelem niczym wystrzelony pocisk. Ze zdumieniem zobaczył też w oddali materializującą się znikąd perłową poświatę.

– Co, u... – zaczął.

– Ćśś – przerwał mu natychmiast Kyp.

Zauważył, że inni więźniowie również przerwali pracę. Perłowa poświata w tym czasie przybrała kształt długiej chmury i niczym tysiące świętojańskich robaczek zbliżała się tunelem w ich stronę, wydając ni to cichy pomruk, ni to brzęczenie.

Han odruchowo skulił się, a potem nawet upadł na ziemię. Usłyszał, że pozostali więźniowie poszli w jego ślady i padli plackiem na dno tunelu pokryte odłamkami skał.

Tymczasem jarząca się chmura, skręcając się i kłębiąc, przeleciała nad leżącymi górnikiemami. Han zobaczył, że w miejscu, w którym zaczęli pracę, niespodziewanie skręciła i pogrzyła się w litej skale. Po chwili zniknęła całkowicie niczym ryba wpadająca w toń bezdennego stawu.

Han obrócił głowę i ujrzał, że na ścianach tunelu przebiegającego łukiem, w miejscach, w których żyły przyprawy wychodziły na powierzchnię, jarzą się niewielkie błękitne iskry uaktywnionego przez chmurę błyszczostymu. Po pewnym czasie jednak niebieskie światełka zaczęły świecić coraz słabiej, migotać, zamierać, aż w końcu zniknęły wszystkie.

Han stwierdził, że od światła zaczęły go boleć oczy, choć wiedział, że blask chmury był tak nikły, iż w normalnych warunkach by go nie zauważył. Widocznie jego wzrok przez tyle godzin zdążył już przyzwyczać się do panujących ciemności.

– Co to było? – zapytał.

Usłyszał szmer oddechu leżącego przy nim Kypa.

– Nikt nie wie. W ciągu tych wszystkich lat dopiero jakiś piętnasty raz widzę coś takiego. Nazywamy je straszakami. Przypuszczamy, że nie robią ludziom żadnej krzywdy, ale przecież nikt nie wie, co porywa tych górników w najniższych tunelach.

Strażnicy także sprawiali wrażenie przerażonych. Można było to wyczuć, kiedy jeden z nich drżącym głosem oświadczył:

– Wystarczy! Na dzisiaj koniec pracy! Wracamy teraz do wagoników!

Han pomyślał, że to świetny pomysł.

Kiedy sznur górniczych wagoników znalazł się znów w tunelu wyjazdowym i metalowe wrota do kopalni zatrzasnęły się za więźniami, Han usłyszał szelest wyciąganych blasterów. Strażnicy nakazali wszystkim, by w ciemnościach zdjęli termiczne kombinezony. Takie środki ostrożności były zrozumiałe. Uzyskane dzięki przyprawie chwilowe zwiększenie możliwości mózgu mogłoby pomóc więźniowi w ucieczce... Han widział jednak nieurodzajne pustkowia Kessel i zastanawiał się, dokąd taki nieszczęśnik mógłby uciec.

W końcu zapaliły się normalne światła. Oślepiająca jasność poraziła wzrok Hana tak silnie, jakby otrzymał cios w brzuch. Natychmiast osłonił oczy.

Poczuł na ramieniu czyjaś dłoń, która łagodnie skierowała go do cechowni.

– W porządku, Han – usłyszał głos Kypa. – Idź za mną. Nie spiesz się. Niech twoje oczy powoli przyzwyczajają się do światła.

Hanowi było jednak spieszo przekonać się, jak wygląda Kyp. Mrugając i powstrzymując łzy, otworzył oczy tylko na tyle, żeby się zorientować, co ujrzy w powodzi oślepiającego blasku. Kiedy w końcu odróżnił postać Kypa, zamrugał po raz drugi – tym razem ze zdumienia.

– Jesteś jeszcze dzieckiem! – zawołał.

Spoglądał na ciemnowłosego kilkunastoletniego chłopca, którego zmierzwiłone włosy wyglądały, jakby dawno temu zostały obcięte jakimś tępym narzędziem. Szeroko otwarte i otoczone ciemnymi sińcami oczy kontrastowały z bladą skórą świadcząca o wielu latach przebywania w ciemnościach kopalń przyprawy. Kyp był żylasty i szczupły, a wyraz jego twarzy wskazywał na to, że nieobce są mu spryt i upór. Spoglądał na Hana nieśmiało, ale i z nadzieją.

– Nie przejmuj się – odparł po chwili. – Daję sobie radę, jak mogę.

Kyp przypominał Hanowi ciekawego życia rezolutnego Luke'a Skywalkera, kiedy ujrzał go po raz pierwszy w kantine w Mos Eisley. Kyp sprawiał jednak wrażenie młodzieńca o wiele bardziej nieustępliwego niż tamten Luke, nie tak naiwnego. Han doszedł do wniosku, że wiodąc taki tryb życia i dorastając w ciemnościach kopalń błyszczostymu bez nikogo, kto by się nim opiekował, chłopiec mógł stać się dziki i uparty.

Pomyślał, że nie wie, czego bardziej nienawidzi. Czy Imperium, które tak ciężko doświadczyło Kypa i jego rodzinę, czy Morutha Doole'a, który te cierpienia przedłużał, czy też siebie samego za to, że wpędził Chewiego i siebie w takie straszne tarapaty.

Rozdział 8

Noc na Eol Sha nie okazała się spokojna. Zapadające ciemności walczyły o lepsze z drżącą pomarańczową poświatą rozżarzonej lawy wypływającej z pobliskiego wulkanu, pastelowymi obłokami gazu Mgławicy Kocioł i jasnym blaskiem rzucanym przez krążący zbyt nisko księżyc. W regularnych odstępach czasu ciszę nocną przeszywały syki pary dobiegające od strony pola z gejzerami.

Luke siedział sam w ciemnym module magazynowym, który Gantoris przeznaczył na jego sypialnię. W module, który nigdy nie miał służyć za mieszkanie, znajdowała się tylko miednica do połowy wypełniona tłustą wodą i pełniąca funkcję łóżka kupa śmieci, przykryta teraz jakąś szmatą. Gantoris z perwersyjną radością oznajmił Luke'owi, że było to kiedyś ulubione miejsce zabaw zabitego chłopca. Luke pomyślał, że albo koloniści wciąż mają do niego żal, iż nie umiał ocalić życia obojgu dzieciom, albo też Gantoris chciał po prostu wyprowadzić go z równowagi.

Gdyby pragnął uciec, miał do dyspozycji swój świetlny miecz i znał wszystkie sztuczki, jakich nauczył się podczas szkolenia Jedi. Wiedział jednak, że nie po to przyleciał na Eol Sha. Oparłszy brodę na dłoniach, wpatrywał się w ciemności nieprzyjaznej nocy. Musiał sprawić, by Gantoris z nim porozmawiał. Miał nadzieję wyjaśnić mu, jak ważne jest odrodzenie zakonu rycerzy Jedi... Nie wiedział jednak, czy ktoś z zapomnianej przez wszystkich kolonii, nie mający pojęcia o galaktycznej polityce, w ogóle zechce go wysłuchać.

Jeżeli Gantoris był naprawdę potomkiem Ta'ani, Luke musiał znaleźć jakiś sposób, żeby go przekonać.

Kiedy inni koloniści zaczęli znikać w swoich domach, Warton przyniósł mu na kolację porcję duszonego bugdilla. Luke szturchnął widelcem błyszczący czarny pancerz skorupiaka, żeby znaleźć szczeliny w zachodzących na siebie płytkach i dostać się do różowego mięsa. Przypomniawszy sobie, że tego popołudnia, polując z włócznią na te niewielkie stworzenia, jeden mały chłopiec stracił życie...

W każdej chwili mógł wstać, opuścić zdewastowany moduł i przejść przez gejzerowe pole do wahadłowca, żeby zabrać z niego własne racje żywnościowe. Nie chciał jednak odchodzić, a przynajmniej nie wcześniej, niż namówi Gantorisa, żeby mu towarzyszył. Zaczął jeść kwaśne mięso, żując je w zupełnej ciszy.

– Chodź ze mną.

Na progu stał Gantoris, a jego ciemna sylwetka wypełniała niemal cały prostokąt drzwi wejściowych.

Luke zamrugnął i wyrwał się z transu Jedi. Ze zdumieniem popatrzył na pierwsze oznaki budzącego się dnia, widoczne przez szczeliny modułu. Bez słowa wstał i wyszedł za mężczyzną na

dwór.

Gantoris miał na sobie wypłowiały mundur kapitana jakiegoś handlowego statku. Był dla niego zbyt obszerny, ale przywódca kolonistów nosił go z nie ukrywaną dumą. Zapewne mundur przekazywano z pokolenia na pokolenie, w nadziei że kiedyś przedsiębiorcy eksploatujący cenne gazy powrócą i zamienią osadę kolonistów w wielkie miasto tętniące życiem.

– Dokąd idziemy? – zapytał Luke.

Gantoris wręczył mu włóczkowy worek, a drugi taki sam przewiesił sobie przez ramię.

– Zdobyć coś do jedzenia – odparł zwięźle.

Nagłym ruchem głowy przerzucił na plecy gruby czarny warkocz i, nie mówiąc ani słowa więcej, skierował się w stronę pola z gejzerami.

Luke podążył za nim, ostrożnie stąpając po nierównym gruncie i starając się omijać otoczone wapiennymi nalotami wyloty gejzerów i otwory, przez które uchodziła para. Czuł, jak planeta pod jego stopami drży od dużej siły przyciągania. Przywodziło mu to na myśl gasnące wibracje niedawno uderzonego gongu.

Gantoris poruszał się na pozór bardzo pewnie, ale Luke wyczuwał, że mężczyzna drży, jakby czegoś się obawiał. Pomyślał, że może to dobra chwila, żeby porozmawiać z nim o Mocy i jej siłach.

– Z pewnością musiałeś kiedyś słyszeć o zakonie rycerzy Jedi – zaczął. – Przez tysiące pokoleń służyli Starej Republice, przestrzegając jej praw i chroniąc przed wrogami. Przypuszczam, że jednym z twoich przodków była córka rycerza Jedi, Ta’ania. To dlatego tu przyleciałem – by się z tobą zobaczyć. Ta’ania należała do grupy ludzi, którzy pierwsi pojawili się na Eol Sha, by założyć kolonię.

Imperator nakazał swoim płatnym zbirom wysledzić i zamordować wszystkich Jedi, ale nie sądzę, żeby mógł odnaleźć ich potomków, w których żyłach wciąż płynie krew Jedi. Teraz, kiedy Imperium upadło, Nowa Republika chciałaby odbudować zakon tych rycerzy. Mógłbyś być jednym z nich, jeżeli zechcesz.

Schwycił Gantorisa za ramię, ale przywódca kolonistów szarpnął się i uwolnił. W głosie Luke’a dało się słyszeć błaganie, kiedy ciągnął:

– Chcę zapoznać cię z siłą Mocy, pokazać nieskończoną liczbę drzwi, które otwiera. Obdarzony tą nową siłą będziesz mógł oddziaływać na całą galaktykę. Obiecuję ci, że razem zabierzemy stąd twoich ludzi i osiedlimy na innej planecie, która w porównaniu z Eol Sha wyda się im prawdziwym rajem.

Luke zdał sobie sprawę z tego, że zaczyna mówić jak kaznodzieja. Gantoris patrzył na niego, a w jego ciemnych oczach czaiła się bezdenne pustka.

– Nie obchodzą mnie żadne imperia ani republiki – odezwał się w końcu. – Co zrobiły dla nas do tej pory? Moim całym wszechświatem jest ta planeta.

Przystanął obok dużego wylotu jakiegoś gejzeru i nachyliwszy się, zajrzał do środka. Poranne powietrze było przesycone intensywną wonią zgniłych jaj. Gantoris wyciągnął z tylnej kieszeni spodni munduru zniszczony notatnik i zaczął się wpatrywać w długie kolumny wypisanych tam liczb wyglądających niczym rozkład jazdy.

– To tutaj – powiedział po chwili. – Zejdziemy teraz w głąb i zajmiemy się zbieraniem.

Luke zamrugał.

– Zbieraniem czego?

Nie odpowiadając, przywódca kolonistów kucnął i zaczął schodzić w głąb gejzeru. Luke,

zrzuciwszy z ramion płaszcz Jedi i zostawiwszy go przy otworze, uczynił to samo. Pomyślał, że zapewne Gantoris chce się tylko przekonać, czy Luke będzie miał dość odwagi, by podążyć za nim do krateru.

Po chwili znalazł się w wąskim, wijącym się, wypłukanym w porowatej skale kominie, którym w regularnych odstępach czasu wydobywał się nadmiar wrzątku i przegrzanej pary. Wokół siebie dostrzegał białe, rdzawe i niebieskie iskry znajdujących się na skałach minerałów, które pod dotykiem zamieniały się w wilgotny proszek. Zagłębiając się za Gantorisem w prawdziwy labirynt podziemnych komór i korytarzy, Luke nie miał kłopotów z odnajdywaniem występów, na których mógłby opierać stopy czy zaciskać palce. Czuł, że skały są ciepłe i śliskie, a jego oczy łzawią od kwaśnych oparów wydobywających się z głębi.

W pewnej chwili Gantoris skręcił w jeden z bocznych wąskich korytarzy.

– Co mamy tutaj robić? – zapytał Luke.

W odpowiedzi mężczyzna wszedł jeszcze głębiej, a potem zdjął z ramienia włóczkowy worek.

– Zagląдай do najciemniejszych zakamarków, do których nie docierają strumienie wrzącej wody – odparł.

Zagłębił palce w skalną szczelinę, zaczął przeszukiwać jej wnętrze i po chwili wyciągnął garść nici wyglądających jak gumowe.

– Porosty mają tu tak dużo ciepła i minerałów, że nie chcą pnieć się nigdzie indziej – wyjaśnił. – Rzecz jasna, zajmuje nam to mnóstwo czasu, ale w końcu otrzymujemy z nich coś zdatnego do jedzenia. Na naszym świecie nie mamy dużego wyboru: moi ludzie muszą jeść to, co znajdziemy.

Wzorując się na Gantorisie, Luke także zdjął z ramienia worek i zaczął przeszukiwać szczeliny i zagłębienia, wyciągając rękę najdalej jak potrafił. Myślał o tym, co będzie, jak ukąsi go coś jadowitego, co może kryć się w tych szparach. Wyczuwał, że Gantoris żywi wobec niego jakieś nieczne zamiary, ale nie mógł się zorientować jakie. Czyżby tylko starał się znaleźć prosty sposób, żeby pozbyć się „spowitego mrokiem mężczyzny” ze swoich snów? Dopiero przy trzeciej próbie Luke wyciągnął garść gąbczastych porostów z głębokiej jamy.

Gantoris odwrócił głowę i przez ramię popatrzył na Luke’a.

– Będzie lepiej, jak się rozdzielimy – oświadczył nagle. – Jeżeli zostaniesz ze mną, znajdziesz tylko to, czego ja nie wziąłem. W ten sposób nigdy nie nakarmimy moich ludzi.

W głosie Gantorisa zabrzmiała kpina, a jego czoło pokryło się zmarszczkami, kiedy uniósł bezwłose brwi i dodał:

– Chyba że twoja Moc w jakiś cudowny sposób wyprawi wszystkim sutą ucztę.

Trzymając się jedną dłońią skalnego występu, Luke skręcił do innego korytarza, a Gantoris w tym czasie udał się w głąb swojego i po kilku chwilach zniknął za jakimś wyszczerbionym załomem. Ogarnięty nagłym niepokojem, Luke przez chwilę stał nieruchomo, ale później zaczął przeszukiwać zakamarki i szczeliny.

Okazało się, że wyszukiwanie porostów nie było wcale takie trudne, i po kilku następnych minutach, które spędził, czołgając się w ciasnych przejściach, Luke nappełnił nimi cały worek. Pomyślał, że może Gantoris oczekuje, że Jedi zgubi się w labiryncie podziemnych szczelin i korytarzy. Jednak Luke, mimo że stracił orientację, potrafił nawet pod ziemią zawsze wrócić po swoich śladach. Od jakiegoś czasu nie słyszał żadnego odgłosu świadczącego o obecności przywódcy kolonistów. Luke doszedł do wniosku, że zapewne wywiązał się on ze swojej pracy, zaczął więc wycofywać się, żeby wrócić do miejsca, w którym się rozdzielili.

Kiedy Luke dotarł w końcu do rozgałęzienia korytarzy, przekonał się, że Gantorisa tam nie ma. Chcąc go odszukać, zapuścił się w głąb tunelu, w którym po raz ostatni widział przywódcę kolonistów. Spodziewał się jakiejś pułapki, lecz był pewien, że sobie z nią poradzi. Pomyślał, że kiedy zademonstruje mężczyźnie chociaż część umiejętności Jedi, z pewnością Wywrze na nim dobre wrażenie.

Tunel jednak zwężał się coraz bardziej, a w końcu Luke zauważył, że kończy się porowatą skałą. Woń siarkowych oparów przybrała na sile, omal nie przyprawiając go o atak klaustrofobii. Przypomnił sobie dwójkę dzieci, zasypanych przez lawinę skalnych odłamków, i plamy krwi, jakie widział wówczas na kamieniach. Czuł, że od nadmiaru morderczej energii grunt pod jego stopami drży i huczy. Co się stanie, gdy wydarzy się kolejne trzęsienie, a on będzie uwięziony w podziemnych szczelinach i wąskich korytarzach?

Gantorisa nie było nigdzie widać.

Luke zawołał go, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Powrócił do rozgałęzienia korytarzy i popatrzył w górę. W dochodzącym stamtąd świetle ujrzał w końcu sylwetkę mężczyzny, wysoko, niemal w samym otworze. Gantoris wspinał się coraz wyżej, tak szybko jak mógł, zostawiwszy Luke'a we wnętrzu gejzeru.

Wyglądało na to, że bardzo się spieszy, jakby przed czymś lub przed kimś uciekał.

Luke raczej wyczuł niż usłyszał odgłosy świadczące o tym, że głęboko we wnętrzu krateru narasta wielkie ciśnienie. Zrozumiał, że zgromadzona w podziemnych zbiornikach woda w zetknięciu ze skałą rozgrzana od wulkanicznej lawy zaczyna wrzeć, zwiększając objętość, żeby w końcu znaleźć dla siebie jedyne możliwe ujście.

Przez wylot gejzeru.

Notatnik Gantorisa zawierał dokładne dane na temat wybuchów, które musiały następować w regularnych odstępach czasu. Mężczyzna chciał, by w chwili wybuchu Luke przebywał pod ziemią i stracił życie, ugotowany żywcem w fontannie wrzątku i sprężonej pary.

Luke uchwycił jakiś występ i podciągnął się, szukając miejsca, w którym mógłby postawić drugą stopę. Zaczął wspinać się coraz wyżej, czepiając się skalnych występów i stawiając stopy we wgłębieniach ścian wąskiego komina. Czuł, że otaczające go powietrze coraz bardziej się nagrzewa i utrudnia oddychanie. Często mrugał, chcąc się pozbyć łez napływających do oczu. Jego ciało otaczały mgliste opary, unoszące się obok niego, jakby wydobywały się ze skały.

Poczuł nagle, że jego stopa poślizgnęła się na mokrej powierzchni. Omal nie spadł, ale w ostatniej chwili wyciągnął rękę w górę i uchwycił się wilgotnej półki. Kiedy w końcu odzyskał równowagę i znalazł jakieś miejsce na oparcie stopy, skalna półka rozkruszyła się pod jego palcami.

Stracił kilka drogocennych sekund. Mimo to krąg jasności nad głową był coraz bliżej, przyciągał go i wabił światłem. Schwyciwszy się kolejnej wystającej skały, Luke wspiał się jeszcze o pół metra, a potem znów wyciągnął rękę w górę.

Kątem oka ujrzał zarys głowy przesłaniającej część otworu i zaglądnącej do krateru. Gantoris. Przywódca kolonistów nie kwapił się jednak, by mu pomóc.

Luke tymczasem pisał się coraz wyżej, nie zwracając uwagi na rozdarty kombinezon. Spieszył się, na ile pozwalały mu ręce i nogi, wykorzystywał każdy skalny występ, każde zagłębienie. W pewnym momencie jednak zorientował się, że jego czas dobiegł końca.

Usłyszał nagle stłumiony wybuch w głębi gejzeru. W następnej sekundzie z grzmiącym rykiem wystrzelił z dna słup wrzącej wody. Sprężywszy się w sobie, Luke zrozumiał, że pozostało mu już

tylko jedno wyjście.

Korzystał z niego kiedyś na Bepinie, w Mieście w Chmurach. Robił to też podczas szkolenia u Yody, a także przy kilku innych okazjach. Skoncentrował się, zebrał wszystkie siły i, odbiwszy się od jakiejś skalnej półki, jak wystrzelony pocisk poszybował w górę. Rzecz jasna, posłużył się Mocą w ten sam sposób, jak to robił wielokrotnie, gdy unosił w powietrze martwy przedmiot.

Wyleciał przez otwór, rozłożył ręce i, machając nimi jak cepami, opadł na ziemię. Skuliwszy się, przewrócił się i potoczył, by zmniejszyć impet, który i tak omal nie pozbawił go tchu.

W następnej sekundzie z gardzieli gejzeru wystrzelił słup wrzątku i przegrzanej pary. Luke schował dłonie i ukrył twarz, nie chcąc, żeby gorące krople go poparzyły. Czekał, aż osłabnie siła erupcji.

Wybuch trwał jednak kilka długich minut. Kiedy w końcu Luke przestał się kulić, zobaczył Gantorisa i innych kolonistów z Eol Sha, idących z ponurymi minami w jego stronę. Poczul złość na myśl o tym, że zastawili na niego pułapkę, oszukali go, chcieli zabić.

Jego gniew nie trwał jednak długo. Czyż sam nie powiedział Gantorisowi, że przywódca kolonistów może poddać go dowolnej próbie, by przekonać się, jakie ma zamiary? Schylił się po płaszcz Jedi leżący obok wlotu gejzeru, przemoczony teraz do suchej nitki, i zaczął, aż koloniści podejną bliżej.

Gantoris przystanął, skrzyżował na piersi ręce i kiwnął głową. Jego pozbawiona brwi i rzęs twarz miała złowieszczy i groźny wygląd.

– Przeszedłeś pomyślnie pierwszą próbę, mężczyzno spowity całunem mroku – oświadczył. Luke czuł bardzo wyraźnie emanującą z niego mieszaninę podniecenia i trwogi. – A teraz pójdziesz ze mną. Chcę poddać cię drugiej i końcowej próbie.

Kiedy pozostali koloniści otoczyli go i pochwycili, Luke postanowił się nie opierać. Zdecydował, że jest gotów na każde ryzyko, jakie będzie musiał ponieść, żeby odbudować zakon rycerzy Jedi.

Miał nadzieję, że ryzyko okaże się tego warte.

Ich orszak przypominał procesję lub żałobny kondukt. Podążając w ślad za Gantorisem, ludzie z Eol Sha skierowali się ku stożkowi najbliższego wulkanu. Z jego szczelin wypływały strugi pomarańczowej lawy. Luke szedł dumnie wyprostowany, nie zamierzając okazywać trwogi, chociaż otaczający go ludzie nie kryli, że chcą go zabić. Mimo szkolenia Jedi, jakie przeszedł, groziło mu prawdziwe niebezpieczeństwo. Dręczący planetę księżyc jak gigantyczna pięść wisiał nad głowami.

Iglice zakrzepłej lawy sterczały ze stoków wulkanu niczym połamane zęby. Kiedy wiodąca z boczem ścieżka ostro skręciła, Gantoris nawet nie zwolnił kroku. Zatrzymał się dopiero wówczas, gdy dotarli do prawie niewidocznego otworu w skalnej ścianie. W powietrzu unosił się wulkaniczny pył zmieszany z kłębamii dymu.

– Idź za mną – odezwał się do Luke'a.

Pozostali ludzie z Eol Sha minęli ich i wkrótce zniknęli, posuwając się dalej wąską ścieżką usianą kamieniami. Luke usłuchał i wszedł do środka za Gantorisem. Chciał, by przywódca kolonistów przynajmniej go poważał, jeżeli nie zamierzał mu uwierzyć; musiał zatem bez słowa wykonywać jego polecenia i rozkazy.

Gantoris prowadził go pewnie mrocznym i wąskim korytarzem. Podążali wzdłuż jęzora zakrzepłej lawy, która dawno temu wypłynęła przez szczelinę stożka, zmniejszając w ten sposób

ciśnienie w kraterze. Ich drogę rozjaśniała widoczna nad głowami pomarańczowa luna. Z każdym krokiem Luke czuł narastające podniecenie, choć przyznawał, że zmieszane z odrobiną strachu.

W pewnym miejscu, gdzie jezor lawy rozdzielił się na kilka mniejszych, oczom Luke'a ukazała się komora z ognistym jeziorem płynnej lawy. Choć pomieszczenie nie miało sklepienia, a przez liczne szczeliny w ścianach wpadały podmuchy wiatru, panował tam żar jak w środku pieca. Luke osłonił głowę wilgotnym kapturem płaszcza Jedi, ale dostrzegł, że na Gantorisie wysoka temperatura nie robi wrażenia.

Mrużąc oczy i spoglądając przez kłęby gryzącego dymu wydobywającego się z bąbli, widział, jak pozostali ludzie gromadzą się na przeciwległym brzegu. Ustawili się w szeregu pod skalną ścianą i skierowali spojrzenia na niego.

Gantoris musiał podnieść głos, by przekrzyczeć bulgotanie ognistej lawy.

– Przejdź przez ogień, mężczyzno spowity całunem mroku. Jeżeli dotrzesz cało na drugi brzeg, pozwolę, byś nauczył mnie, czego zechcesz.

Nie czekając na odpowiedź Luke'a, odwrócił się i zniknął w ciemnościach skalnego korytarza.

Luke przez chwilę spoglądał za nim, zastanawiając się, czy przywódca kolonistów przypadkiem nie oszalał. Później jednak popatrzył na powierzchnię płynnego ognia i dostrzegł wystające z niej ciemne przedmioty. Przekonał się, że są to wierzchołki odporniejszych na ogień skalnych głazów, które nie roztopiwszy się pod wpływem żaru, umożliwiały przedostanie się na drugą stronę.

Czy Gantoris w ten sposób chciał wypróbować jego odwagę? Czego właściwie chciał od Luke'a? Jaki sekret krył jego tajemniczy sen o „mężczyźnie spowitym całunem mroku”?

Luke próbował przełknąć ślinę, ale gardło miał suche jak pergamin. Podszedł bliżej i stanął o krok od brzegu jeziora, wypełnionego ognistą, bulgoczącą lawą. Wystające kamienie zapraszały go do przejścia, lecz zdrowy rozsądek nakazywał mu, by się cofnął, powrócił do wahadłowca i odleciał. Zawsze może przecież znaleźć innych kandydatów do swojej akademii. Do tej pory Threepio i Artoo z pewnością kogoś wyszukali, a i on miał się spotkać z kimś innym na Bepinie. Pomyślał, że nawet nie poddał Gantorisa żadnej próbie; dlaczego więc miałby narażać życie dla kogoś, kto może nie wykazywał nawet szczątkowych zdolności Jedi?

Dlatego, że musiał. Wiedział, że szkolenie nowych zastępów rycerzy nie będzie łatwe i gdyby uchylił się od pierwszego poważnego testu swoich umiejętności, jakim cudem mógłby uważać się później za godnego podjęcia tak trudnej i odpowiedzialnej pracy?

Owionął go nieprawdopodobny żar. Luke podszedł do samej krawędzi ognia i popatrzył w górę na mroczne niebo. Później postawił stopę na pierwszym głazie.

Wytrzymał ciężar jego ciała. Luke spojrzał na przeciwległy brzeg ognistego jeziora. Zgromadzeni tam ludzie nie spuszczaali z niego oczu.

Wokół kamienia z głośnym bulgotem pękały bąble ognistej lawy, uwalniając kłęby gryzącego dymu. Luke starał się nie oddychać głęboko i nabierać powietrza jak najrzadziej. Zrobił następny krok. Wydawało mu się, że dojsście na przeciwległą stronę potrwa całą wieczność.

Mrugnawszy, żeby pozbyć się łez drażniących oczy, Luke policzył kamienie dzielące go od drugiego brzegu. Było ich jeszcze czternaście. Przeskoczył na drugi kamień.

Na przeciwległym brzegu jeziora pojawił się nagle Gantoris. Dołączył do pozostałych kolonistów z Eol Sha. Luke nie oczekiwał, że będą dodawali mu otuchy, ale wydało mu się, że zachowują się nienaturalnie cicho.

Następny krok. Ognista lawa bulgotała jak w brzuchu jakiejś wielkiej bestii. Głodnej bestii.

Luke przeskoczył na czwarty kamień, a potem na piąty. Poczuł, jak narasta w nim euforia. To nie było wcale takie trudne, jak sądził. Powinien poradzić sobie i z tą próbą. Z brawurowym pośpiechem i odwagą przeskoczył na kolejny kamień, prawie na środku jeziora.

Nagle lawa wzburzyła się i zabulgotała energiczniej, tworząc wiry, jakby coś gigantycznego zamieszało ją od spodu. W wulkanicznej komorze rozbrzmiał jęk tak niski, że ledwo słyszalny, lecz tak głośny, iż Luke poczuł, jak drżą mu wszystkie zęby, a żołądek kurczy się z przerażenia. Znieruchomiał, zastanawiając się, jaka może czekać go straszliwa niespodzianka.

Coś żywego kryło się w głębinach lawy. Coś się tam z pewnością poruszało.

W tej samej chwili, kiedy o tym pomyślał, z głośnym sykiem przypominającym dźwięk płonącego paliwa raketowego spod powierzchni lawy wystrzelił łeb potwornego gada podobnego do węża.

Ognisty stwór miał trójkątny łeb i odstające, spiczasto zakończone uszy. Każdy centymetr jego ciała był pokryty pancerzem krystalicznych łusek. Szeroko rozstawione ślepia przypominały dwa klejnoty płonące własnym, wewnętrznym ogniem. Ognisty potwór przez dwa oddzielone od siebie wloty zasysał gorące powietrze, dzięki czemu napełniał płuca i potrafił wynurzać się na powierzchnię. Krzemowe płytki pancerza lśniły w pomarańczowym świetle niczym lusterka.

Luke zachwiał się na wierzchołku głazu, lecz odzyskał równowagę, ratując się przed nagłą śmiercią w płynnej lawie, a potem przeskoczył na następny kamień. Kiedy wyczuł, że potwór wynurza się coraz bardziej i zwija cielsko w pętlę nad jego głową, zorientował się, że nie zdoła przed nim uciec. Przystanął i upewnił się, że jego stopy się nie poślizgną. Niemal odruchowo wyciągnął i włączył świetlny miecz. Rozległ się cichy syk i buczenie, a po chwili zielona poświata energetycznego ostrza zmieszała się z pomarańczową łuną bijącą od płynnej lawy.

Zgromadzeni na przeciwległym brzegu ognistego jeziora ludzie z Eol Sha spoglądali w milczeniu na niego, nie okazując żadnych uczuć.

Ognisty gad spoglądał na Luke'a z góry, przekrzywiając trójkątny łeb to w tę, to w tamtą stronę. Otworzył ogromną i błyszczącą, jakby metalową paszczę, i wypluł w stronę ściany komory strugę gorącej, ale z wolna krzepnącej lawy. Okolone pancernymi łuskami otwory nieustannie zasysały powietrze, pozwalając kolejnym splotom węża wynurzać się na powierzchnię. Luke uniósł miecz, lecz pomyślał, że w walce z ognistym smokiem nie na wiele mu się przyda.

Wydawszy kolejny basowy ryk, potworny gad zanurkował w głębiny płynnej lawy, rozpryskując na wszystkie strony ogniste bryzgi. Luke skwapliwie skorzystał z tego i przeskoczył na następny kamień, chcąc uniknąć trafienia przez ogniste pociski. Kilka bryzgów zapaliło jednak skraj jego płaszcza, ale Luke jednym szarpnięciem zrzucił go z ramion i pozwolił, żeby spłonął jak pochodnia w ognistej lawie.

Przez cały czas trzymał świetlny miecz przed sobą. Otworzył szeroko oczy i wyteżał wszystkie zmysły Jedi, usiłując odgadnąć, co może knuć ognisty potwór. Mając każdy nerw przygotowany do ataku lub obrony, czekał, ale widział jedynie wzburzoną powierzchnię lawy.

– Gdzie jesteś? – szepnął cicho.

Trójkątny łeb olbrzymiego gada wystrzelił nagle z głębin lawy po przeciwnej stronie. Było jasne, że potwór szykuje się do ataku. Szeroko otworzywszy metaliczną paszczę, ukazał rzędy długich kłów, ostrych jak stalaktyty. Luke obrócił się i przeskoczył na poprzedni głaz, a ostrze jego świetlnego miecza przecięło z basowym pomrukiem gorące powietrze.

Kiedy łeb potwora runął w dół, Luke zamachnął się świetlistą, zieloną smugą. Kiedy jednak ostrze miecza zetknęło się z lustrzanym pancerzem, koniec energetycznej smugi rozszczepił się

i tysiące ognistych iskier rozprysnęło się na wszystkie strony. Ostrze miecza, które zdaniem Luke'a powinno przeciąć każdą skałę, odłupało tylko niewielki fragment krzemowej płytki.

Stojący pod przeciwległą ścianą koloniści z Eol Sha skulili się, chcąc uniknąć lecących iskier czystej energii. Odłupane kawałki skał wpadły do ognistego jeziora. Luke wiedział, że w walce z ognistym gadem nie będzie mógł użyć swojego miecza po raz drugi.

Smok zawył, zapewne bardziej ze zdumienia niż z bólu, a potem zanurkował i zniknął pod powierzchnią lawy. Luke tymczasem stanął w rozkroku i rozpaczliwie rozmyślał, co teraz powinien zrobić. Odwrócił się ku brzegowi, na którym czekali koloniści, gotów w każdej chwili na nowo podjąć przeprawę przez jezioro lawy.

Był pewien, że smok powróci. Nie wiedział tylko, kiedy to się stanie.

Nagle ognisty gad znów wychylił łeb nad powierzchnię, rycząc i sycząc, i wydając zbyt potworne do opisanja dźwięki. Nie wypuszczając świetlnego miecza, Luke odwrócił się w jego stronę, gotów walczyć i nawet zginąć... ale stwierdził, że tym razem potwór wcale się nim nie interesuje.

Z rany na boku łba stworzenia, gdzie odłupał fragment krzemowej płytki, wydobywały się teraz kłęby gryzącego dymu. Luke zrozumiał, że rozżarzona lava musiała wnikać pod pancerz i zacząć trawić cielsko gada. Potwór miotał się i zwijał, wypluwając w powietrze strumienie półpłynnej lawy. Żar trawił wewnętrzne organy smoka niczym kwas, wypalając w nich śmiertelnośc ścieżkę. Gad, dręczony płonącym w jego trzewiach ogniem, nie przestawał miotać się i rzucać, wypluwając potoki wiśniowej lawy i wydzielając z niewielkiej luki w pancerzu kłęby dymu. Kiedy płynna lava z jeziora przepaliła w końcu jego płuca, ognisty potwór dosłownie eksplodował.

Z góry spadł prawdziwy deszcz krzepnącej lawy. Luke posłużył się Mocą, by odchylić tory większości rozżarzonych kropli, ale mimo to kilka go trafiło, boleśnie parząc plecy i ramiona. Przedśmiertne drgawki ognistego gada wzburzyły powierzchnię jeziora, które omal nie wystąpiło z brzegów i uspokoiło się dopiero po kilku chwilach.

Luke uniósł głowę i nie mogąc uwierzyć własnym oczom, kilka razy zamrugał. Stojący na przeciwległym brzegu ludzie z Eol Sha wciąż na niego czekali.

Z przerażeniem się zorientował, że pod wpływem wzburzonych fal zniknęły wszystkie głązy umożliwiające przejście przez jezioro. Od Gantorisa i jego ludzi oddzielała go teraz powierzchnia płynnej lawy. Nie mógł przejść na drugi brzeg. Ze zgrozy i strachu zakręciło mu się w głowie. Po chwili jednak pomyślał o wszystkich możliwościach, jakie dawała Moc, i z nową otuchą w sercu jeszcze raz spojrzął na ognistą przestrzeń oddzielającą go od celu.

Przypomniał sobie, o czym mówił, proponując senatorom utworzenie akademii. Wyobraził sobie świat, w którym znów pojawią się zastępy rycerzy Jedi. Pomyślał, że Nowa Republika ich potrzebuje. Musi wywiązać się z obietnicy. Musi znaleźć kandydatów i nauczyć ich posługiwać się Mocą. Zrobi to. Pozbywszy się wszystkich wątpliwości, zamknął oczy, wciąż jeszcze czując w głowie drżenie Mocą po walce ze smokiem.

Zaczął iść po powierzchni ognistego jeziora.

Nie myślał o tym, co robi. Płonąca lava nie dotykała jego butów. Wokół niego jarzyła się tylko jasność Mocą. Krok po kroku szedł w stronę brzegu, nie widząc niczego poza wytkniętym celem. W końcu dotarł tam i stanął na zimnej skałe, tuż obok Gantorisa i jego ludzi.

Kiedy stwierdził, że jest bezpieczny, poczuł ulgę tak wielką, że omal nie upadł, ale postąpił jeszcze krok czy dwa, starając się nie okazywać żadnych uczuć. Nadal usiłował nie myśleć o tym, co zrobił.

Otworzywszy oczy, zobaczył stojącego przed nim Gantorisa. Na jego szerokiej twarzy malowała się teraz nie skrywana groza. Inni ludzie cofnęli się, ale przywódca kolonistów nawet się nie poruszył. Przełknął tylko ślinę i odwzajemnił spojrzenie Luke'a.

– Dotrzymam obietnicy – powiedział i głęboko odetchnął. – Pozwolę, byś nauczył mnie, jak posługiwać się tą drzemiacą we mnie siłą.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, Luke wyciągnął rękę i dotknął lekko głowy Gantorisa. Wysłał też w ślad za nią palce myśli, pozwalając im zagłębić się w umysł mężczyzny. Szukał, docierając coraz głębiej, a kiedy znalazł ów tajemniczy węzeł odpowiedzialny za podświadome myśli, napał trochę silniej...

Siła odruchowej reakcji Gantorisa była tak duża, że odrzuciła Luke'a do tyłu. Tylko z trudem udało mu się zachować równowagę i nie wpaść do jeziora płonącej lawy. Przywódca kolonistów naprawdę wykazywał niezwykle zdolności Jedi. Luke pomyślał, że Gantoris będzie wyśmienitym kandydatem do jego akademii.

Pozwolił sobie na westchnienie ulgi. Przeżyty strach i podjęte podczas próby ryzyko okazały się tego warte. Ujawszy Gantorisa za rękę, popatrzył na pozostałych kolonistów.

– Znajdziemy nowy dom dla twoich ludzi – odezwał się do mężczyzny. – Ale przedtem polecisz ze mną na Coruscant.

Rozdział 9

Kontroler lotów, sprawiający wrażenie znudzonego swoją pracą, zgodził się, żeby statek Landa Calrissiana, „Ślicznotka”, wylądował w kosmicznym porcie na Umgull. Przedzierając się przez warstwy atmosfery przesyconej parą wodną, Lando był zaskoczony widokiem masy innych prywatnych statków, kosmicznych jachtów i luksusowych atmosferycznych ślizgaczy krzątających się wokół lądowisk portu.

Chcąc dostać się do Umgull City, Calrissian dołączył do innych statków lecących ponad równinami rozpościerającymi się nad szeroką rzeką. Po płynącej leniwie wodzie sunęły luksusowe żaglowe barki. W dole Lando zauważył błyskające na nich jaskrawe światła i sylwetki ludzi wyginających się w rozmaitych tańcach – oznaki, że bawiono się na całego.

Umgull była planetą wilgotną, chociaż dosyć chłodną, dość często zasnuwaną gęstymi mgłami i nisko płynącymi obłokami. Nawet teraz, w samym środku dnia, znad rzeki unosiły się mgliste opary, które niczym białawy welon rozprzestrzeniały się na całą okolicę. Pozbawiona bogactw naturalnych i strategicznego znaczenia Umgull cieszyła się jednak w galaktyce opinią największego ośrodka sportów i sławą planety, na której organizowano wyścigi słynnych umgulliańskich purchlaków.

„Ślicznotka” leciała nad planetą, prowadzona przez przydzielony jej sygnał namiarowy. Kierowała się w stronę kosmoportu, wykutego w stromym piaskowcowym urwisku piętrzącym się w pobliżu zakrętu rzeki. Otoczony przez maleńkie spacerowe ślizgacze, Lando przeleciał przez ogromny otwór skalnej grotty. Z trudem uniknął zderzenia ze startującym sterowcem, wypełnionym turystami. Kiedy wleciał, odziani w jaskrawe kamizelki włochaci pracownicy naziemnego personelu, wymachując ręcznymi laserowymi latarkami, skierowali „Ślicznotkę” na przydzielone jej lądowisko.

Lando odwrócił się ku dwójce robotów towarzyszących mu w kabinie pilota.

– Chłopaki, może chcecie trochę się zabawić?

Artoo wydał kilka elektronicznych pisków, których znaczenia Lando nie zrozumiał, ale Threepio wyprostował się, nie kryjąc oburzenia.

– Nie przylecieliśmy, by się bawić, generale Calrissian. Jesteśmy tu, żeby pomóc mistrzowi Luke’owi.

– No cóż – odparł Lando. – Ja przybywam tu jako prywatny obywatel zamierzający obejrzeć wyścigi purchlaków.

Wycelował wskazujący palec w stronę głowy Threepia. Przebywał z androidem w ciasnym pomieszczeniu tylko jeden dzień, ale czuł, że jego obecność działa mu na nerwy.

– Jesteś moim androidem protokolarnym i będzie lepiej, jak przyzwyczaisz się do tej roli. W przeciwnym razie każę ci przeprowadzić wyczerpujący diagnostyczny test wszystkich komputerowych systemów sterowania wodociągami i kanalizacją w Umgull City.

– Ja... Rozumiem, proszę pana – odparł Threepio.

Kiedy rampa „Ślicznotki” wysunęła się niczym wielki jęzor, Lando stanął na samej górze i popatrzył na gwarne i ruchliwe centrum recepcyjne. Z głośników interkomu niemal bez przerwy płynęły najróżniejsze komunikaty, przy czym głos spikera z wielkim trudem przedzierał się przez panujący szum i hałas. W wielkiej grocie rozlegał się co chwilę ryk silników startujących i lądujących statków zwielokrotniony przez echo. W powietrzu unosiła się drażniąca woń gazów wydechowych i paliwa, którym napełniano zbiorniki maszyn.

Lando uniósł dumnie głowę, zakręcił zawadiacko peleryną i gestem polecił obu robotom, by szły za nim.

– Threepio, czy rozumiesz, o co chodzi w tych komunikatach? – zapytał złocistego androida. – Spróbuj się zorientować, dokąd mamy iść.

Threepio skierował oczy na ściany groty i widoczne na nich napisy z reklamami usług oferowanych w Umgull City. Dla lepszego zrozumienia ich treść podano w kilku najpopularniejszych językach.

W następnej chwili ku nowym przybyszom rzuciło się czterech niskich, otyłych sprzedawców, zachwalając rozmaite pamiątki i jarmarczne świecidełka. Obskurnie odziani i podobni do wieprzy przekupnie byli Ugnaughtami, takimi samymi pokracznymi humanoidalnymi istotami jak te, które trudniły się uprzątnięciem odpadów i przetapianiem złomu na obrzeżach Miasta w Chmurach na Bepinie.

– Dlaczego nie miałby szanowny pan powrócić do domu z małym purchlądkiem? – wołał pierwszy. – To wspaniały prezent dla dzieciaków, proszę pana.

W wyciągniętej dłoni trzymał zieloną, galaretowatą, przelewającą się przez palce masę o rozmiarach pięści i konsystencji flegmy.

– A co powie szanowny pan na ciasteczko z purchlaczka? – zachwalał drugi. – Lepszego nie znajdzie pan w całym mieście. Moja drugorzędna małżonka przyrzędziła je własnoręcznie w domu.

Galaretowate ciastko z purchlaka wyglądało identycznie jak mały stworek, oferowany przez pierwszego Ugnaughta.

– Talizman zapewniający powodzenie? – z nadzieją w głosie zapytał trzeci. – Gwarantuję, że skutkuje bez względu na wyznawaną wiarę.

Lando odprawił wszystkich machnięciem ręki.

– Threepio, dokąd idziemy? – zapytał.

– Jeżeli uwzględnić poprawkę na lokalny czas, proszę pana, wydaje mi się, że jedne z najważniejszych wyścigów purchlaków zaczynają się za niecałą standardową godzinę. Umgulliański system masowego transportu pozwoli nam dotrzeć bezpośrednio na stadion, na którym odbywają się wyścigi. Myślę, że najbliższy przystanek środka masowej komunikacji znajduje się...

Natychmiast czterech Ugnaughtów zaczęło deptać sobie po piętach, proponując usługi w charakterze przewodników mogących jak najszybciej i najbezpieczniej przetransportować szanownego gościa na stadion.

– ...po naszej lewej stronie – dokończył Threepio, wskazując wlot tunelu pomalowany w jaskrawe barwy.

– No to idziemy – zdecydował Lando i, nie oglądając się za siebie, ruszył ku stacji środka masowego transportu. Rozczarowani Ugnaughtowie zaczęli się rozglądać za następnymi klientami.

Podróż wagonikiem komunikacji miejskiej przypominała jazdę pozbawioną kół kolejką górską

w wesołym miasteczku czy lunaparku. Wąski i długi walcowaty pojazd wystrzelił z tunelu na szczyt urwiska i rozcinając kłęby unoszącej się mgły, obrał kurs nad zalesionymi równinami, na których drzewa wyrastały ze szczelin i pęknięć w zwietrzałym piaskowcu. Okolice była upstrzona różnobarwnymi krzykliwymi planszami z napisami zachwalającymi turystyczne atrakcje, jadłodajnie, restauracje i lombardy, a przede wszystkim punkty, w których wszystkim bez wyjątku hazardzistom udzielano pożyczek na bardzo wysoki procent.

Przy wielkich budach, ustawionych obok wejść na stadion, na którym odbywały się wyścigi purchlaków, tłoczyli się ludzie i obce istoty. Wszyscy przepychali się i niemal tratowali, by zapłacić sporą sumę w galaktycznych kredytach i odebrać wydruk z numerem miejsca. Calrissian zapłacił za siebie, ale stoczył z wydającą bilety końcówką systemu komputerowego słowny pojedynek o to, czy roboty są jego towarzyszami, które także powinny zapłacić za wejście, czy tylko personelem pomocniczym zajmującym się przetwarzaniem danych. Lando wygrał, ale przez kilka następnych minut Threepio wyglądał, jakby miał trochę za złe, że Calrissian zaliczył go do kategorii urzędów pomocniczych.

Stadion wyścigowy był ogromnym lejem, który powstał w sposób naturalny, kiedy zapadł się skalisty płaskowyż. Lej poszerzono później i wyrównano, nadając mniej więcej kształt kolistego amfiteatru. Umgulliańska dyrekcja kazała następnie wykuć w piaskowcowych zboczach tysiące miejsc, sali, gniazd i otworów, by umożliwić oglądanie wyścigów niemal wszystkim chętnym istotom o najrozmaitszych figurach i kształtach.

Na krawędzi gigantycznego leja zainstalowano ogromne wentylatory, które z szumem i furkotem wytwarzały dość silny wiatr, żeby rozwiać tumany mgły, bezustannie napływającej ze wszystkich stron do leja, i skierować je w górę, gdzie się rozpraszały.

Przecisnąwszy się obok zatłoczonych sali, Lando trafił w końcu na swoje miejsce. Ucieszył się, że będzie miał dobry widok na cały znajdujący się w dole „purchlotor z przeszkodami”. Na umieszczonym przed sobą monitorze ujrzał informacje o wszystkich czterestu zawodnikach biorących udział w pierwszym popołudniowym wyścigu, o ich szansach na zwycięstwo, a także elektroniczny zegar wskazujący, że do rozpoczęcia biegu zostało niecałe dwadzieścia minut.

Kiedy Lando poczuł miłą woń oferowanych potraw i przypraw i gdy ujrzał uwijające się między rzędami miejsc roboty roznoszące napoje, jego twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu. Cieszył się na myśl o tym, czego już wkrótce będzie świadkiem. Widok stadionu i zgromadzonych tłumów ożywił tysiące wspomnień drzemiących w jego umyśle.

Jako baron-administrator Miasta w Chmurach na Bospinie, Lando spędzał większość czasu w luksusowych, najdroższych kasynach, obserwując zachowanie turystów i zawodowych hazardzistów. I chociaż nigdy nie widział wyścigów umgulliańskich purchlaków, atmosfera stadionu sprawiła, że serce Landa zaczęło bić trochę szybciej.

Threepio tymczasem rozglądał się niespokojnie po stadionie i zgromadzonych ludziach. W pewnej chwili jakaś istota, podobna do białego niedźwiedzia, omal nie zwała go z nóg, przeciskając się na swoje miejsce na półpiętrze.

Lando nie mógł jednak zapomnieć powodu, dla którego przyleciał na tę planetę. Do kadłuba Artoo był przymocowany plecak z zasilaczem imperialnego urządzenia do wykrywania zdolności Jedi, a on sam miał przy sobie dwa srebrzyste czytniki kryształów, podobne do niewielkich wiosł.

– No dobrze, Artoo – odezwał się do robota. – Zobaczmy, czy potrafisz odnaleźć naszego przyjaciela, Tymma. Podłącz się do stadionowego komputera i przekonaj się, czy nasz bohater kupił

bilet na dzisiejszy wyścig, a może nawet porobił jakieś zakłady. Jeżeli tak, postaraj się zorientować, gdzie siedzi.

Nagle cały amfiteatr rozbrzmiał głosem spikera zwielokrotnionym przez setki megafonów:

– Szanowne istoty wszystkich płci i gatunków! Witajcie na słynnych w całej galaktyce wyścigach umgulliańskich purchlaków! Zanim jednak rozpoczniemy zawody przewidziane na dzisiejsze popołudnie, chciałbym zwrócić waszą uwagę na uroczyste derby purchlaków, jakie organizujemy w przyszłym tygodniu dla uczczenia odwiedzającego nas dostojnego gościa, księżnej Mistal z siostrzanej planety Dargul! Mam nadzieję, że wszyscy, jak tu jesteście, zechcecie zaszczyścić te derby swoją obecnością.

Apatyczne przyjęcie, z jakim spotkało się to oświadczenie, powiedziało Calrissianowi, ilu dostojnych gości odwiedza Umgull każdego roku.

– Dziś natomiast będziecie świadkami wielkiego wyścigu, w którym weźmie udział czternaście rasowych purchlaków wyścigowych. Będą miały do pokonania tor przeszkód, którego każdy centymetr został dokładnie sprawdzony i dopuszczony do zawodów przez galaktyczną komisję inspekcji wyścigowej. Wszystkie dane na temat wieku, ciężaru i lepkości naszych zawodników są dostępne na monitorach terminali znajdujących się przed waszymi oczami.

Słyszając to, Lando uśmiechnął się z ponurą satysfakcją. Umgull City chlubiło się tym, że wyścigi, organizowane przez władze miejskie, są absolutnie obiektywne i sprawiedliwe. Oszukiwanie było ciężkim przestępstwem karanym śmiercią.

– O co może mu chodzić, kiedy mówi o rasowych purchlakach wyścigowych? – zapytał.

Usłyszał go Threepio i pospieszył z odpowiedzią.

– Istnieje kilka gatunków purchlaków, które w całym systemie gwiazdnym bywają wykorzystywane do różnych celów. Prawdę mówiąc, niektórzy zamożniejsi ludzie trzymają je w domach jak psy czy koty. Inni widzą w purchlakach rodzaj leku: owijają ich galaretowatymi ciałami szyje i pozwalają, by stworzenia je masowały, albo zanurzają w ciepłej masie bolące stopy.

Spiker skończył w tym czasie czytać listę rzeczy, za które dyrekcja stadionu nie ponosi odpowiedzialności.

– A teraz oficjalnie ogłaszam, że przyjmowanie wszelkich zakładów zostaje zakończone – ciągnął. – Komputery obliczające szansę zawodników za chwilę wyświetlą ostateczne szacunkowe prawdopodobieństwa wygranych dla wszystkich uczestników. Dane te powinny już ukazywać się na ekranach monitorów. Wyścig rozpocznie się za chwilę, a na razie zapraszam do częstowania się wszystkimi potrawami i napojami, jakie tylko przyswoi wasz metabolizm!

Rozległ się dość głośny zgrzyt, więc Lando skierował spojrzenie na początek toru przeszkód. Zobaczył, że mechanizmy taśmowe podnoszą platformę z purchlakami ku szczytowi uniesionej w tej chwili długiej rampy, przytrzymując galaretowate kule od tyłu, żeby nie ześlizgnęły się z powrotem. Czternaście oddzielnych, podobnych do rynien, naoliwionych zagłębień w rampie miało na celu zwiększenie początkowej prędkości zawodników w chwili startu.

– Na miejsca! – odezwał się spiker.

Na stadionie zapadła nerwowa, pełna oczekiwania cisza. Wszyscy widzowie pochylili się lub wyciągnęli szyje i wpatrywali się w czternaście rynien, czekając na pojawienie się uczestników wyścigu.

W powietrzu rozległ się donośny elektroniczny gong, podobny do dźwięku pocisku uderzającego w mosiężną tarczę, i w tej samej chwili rampa się opuściła, otwory na początku rynien się otworzyły

i wszystkie wielobarwne purchlaki ruszyły po naoliwionych torach.

Czternaście galaretowatych kół, obijając się o ścianki rynien i ślizgając się, toczyło się bezładnie, żeby jak najszybciej znaleźć się na dole rampy. Zawodnicy mienili się różnymi barwami, pośród których przeważała zielonoszara, choć zdobiona jaskrawymi plamami. Na powierzchni jednego purchlaka było widać jasne, cynobrowe pasma, na drugim turkusowe plamy, a na trzecim zielonożółte. Każdy miał nadrukowany na protoplazmie holograficzny numer. Wszystkie numery jakimś dziwnym sposobem znajdowały się przez cały czas na tych samych miejscach bez względu na to, jak zmieniał się położenie galaretowatej masy.

Ponieważ rynny w rampie były jednakowo naoliwione, wszystkie kule dotarły na dół pochylni mniej więcej w tej samej chwili. Kiedy boczne ścianki rynien przestały oddzielać zawodników od siebie, purchlaki zaczęły się przepychać i chaotycznie tłoczyć, wpadając na siebie i przetaczając się, żeby dotrzeć na początek toru z przeszkodami.

Jeden z zawodników, ciemnozielony purchlak z charakterystycznym ametystowym wzorem na powierzchni, oznaczony numerem jedenastym, jako pierwszy wyskoczył na płaską część toru. Już w chwili, w której docierał do krawędzi rampy, wyciągnął galaretowate nibynóżki, jakby chciał jak najszybciej puścić się ku pierwszej przeszkodzie. Potoczył się bardzo szybko, skupiony w bryłę podobną do kuli.

Kiedy dotarł do pierwszej przeszkody, wysokiej metalowej siatki o niewielkich oczkach, wyprzedzał rywali o kilkanaście centymetrów. W pełnym biegu rzucił się na siatkę i zaczął przesączać swoje ciało przez oczka, chcąc wypłynąć po drugiej stronie jako setki cienkich nitek, które po pokonaniu przeszkody złączą się w całość. Był w połowie przeciskania się przez siatkę, kiedy do przeszkody dotarł w innym miejscu następny zawodnik. Lando krzyknął, by zachęcić jedenastkę do szybszego biegu, chociaż nie postawił na nią ani kredytu. Widocznie bardzo lubił dopingować potencjalnych zwycięzców.

Drugi purchlak postanowił pokonać przeszkodę w inny sposób. Znalazł jakieś większe oczko, wyciągnął się w długi, cienki sopel i zaczął przeciskać się na drugą stronę w całości.

Ametystowa jedenastka, która za przeszkodą skończyła łączyć wszystkie nitki w jedną kulę, bez chwili odpoczynku potoczyła się dalej.

W tym czasie pozostali uczestnicy przeciskali się przez metalową siatkę. Prowadzący zawodnik z każdą chwilą zwiększał odległość dzielącą go od rywali i toczył się, jakby panicznie przed kimś lub czymś uciekał.

– Naprzód! – krzyknął Lando.

O wiele trudniejsza okazała się druga przeszkoda toru. Stanowiła ją wysoka drabina, w której zamiast litych szczebli umieszczono poziome łańcuchy wykonane z elastycznego materiału. Zawodników, którzy dotarli na górę, czekał zjazd bardzo pochyłą i naoliwioną rynną, w której ostry zakręt był ograniczony ochronnymi barierkami.

Purchlak jedenasty dotarł do podstawy drabiny i wyciągnął w górę gąbczastą nibynóżkę, którą uchwycił się jakiegoś ogniwa najniższego łańcucha. Owinął galaretowatą wypustkę wokół elastycznego materiału i podciągnął resztę ciała, natychmiast wyciągnął kolejny wyrostek, a później następny i następny, i tak wspinał się coraz wyżej niczym obdarzona mackami ameba. Desperacko próbował pięć się w górę szybciej, niż siła ciężenia ściągała go ku podstawie.

W pewnej chwili ametystowy purchlak poślizgnął się i duża część galaretowatej masy zwiśla niby sopel z jednego z wyższych łańcuchów, połączona z wyciągniętą nibynóżką wyłącznie za

pomocą cienkiej gąbczastej nici. Zgodnie z oficjalnymi regulami, uwidocznionymi na ekranie przed oczami Calrissiana, purchlak musiał dotrzeć do mety w całości. Oznaczało to, że dyskwalifikowano zawodników, którzy fragmenty ciała pozostawili na torze.

Tymczasem dwa następne purchlaki dotarły do podstawy drabiny i także zaczęły wspinać się, pomagając sobie wyciągniętymi wypustkami.

Ametystowy zawodnik drżał, ale nie puszczał pierścienia, ze wszystkich sił usiłując podciągnąć zwisający sopel i wessać go do reszty ciała. Widać było, jak podobny do gumy materiał ogniwa zaczyna przeświecać przez miękką organiczną tkankę nibynóżki, ale purchlak już wsysał zwisającą część i po chwili zamienił się znów w kulę, by natychmiast wyciągnąć kolejną galaretowatą wypustkę i uchwycić ją za wyższy łańcuch.

Ścigający go dwaj rywale w tym czasie znaleźli się na drugim poziomie łańcuchowych szczebli.

Z tyłu, na pierwszej przeszkodzie, ostatni zawodnik przecisnął się przez oczka siatki i teraz z największą szybkością, jaką mógł, toczył się ku drabinie.

Purchlak jedenasty dotarł w końcu do najwyższego szczebla i, zamieniwszy się znów w kulę, rzucił się w dół pochyłej naoliwionej rynny, w której toczył się z boku na bok i obijał o ścianki. Przez cały czas jego holograficzny numer pozostawał na tym samym miejscu, doskonale widoczny dla wszystkich widzów. Zawodnik dotarł do ostrego zakrętu w pobliżu podnóża zjeżdżalni i, obiwszy się o ochronną barierę, potoczył się ku trzeciej przeszkodzie.

Tłumy widzów zaczęły krzyczeć i wiwatować. Lando czuł, jak i jego ogarnia uniesienie. Postanowił, że kiedy będzie miał więcej czasu, weźmie urlop i powróci na Umgull, żeby oddać się hazardowi.

– Przepraszam pana – odezwał się nagle Threepio. – Czy wyrażamy entuzjazm dla purchlaka jedenastego?

– Tak, Threepio!

– Dziękuję panu. Musiałem się upewnić. – Android na chwilę przerwał, by wzmocnić siłę głosu, a potem zawołał: – Naprzód, numerze jedenasty!

Drugi i trzeci purchlak osiągnęły najwyższy poziom drabiny łańcuchowej w tej samej chwili i oba stoczyły się w dół rynny z oszałamiającą prędkością. Wielu widzów podskoczyło na miejscach lub zerwało się na nogi, nie mogąc powstrzymać okrzyków podniecenia.

Oba purchlaki sunęły obok siebie, odpychając się wyciąganymi nibynóżkami. Ostry zakręt, ograniczony ochronną barierą, znajdował się coraz bliżej przed nimi.

– Och, nie mogę na to patrzeć! – wykrzyknął Threepio. – Za chwilę się rozbiją!

Zawodnicy dotarli do zakrętu w tej samej chwili i z donośnym młaśnięciem wpadli na siebie, zamieniając się w wielką kulę. Tłum ryknął, absolutnie uszczęśliwiony.

– Całkowite połączenie! – oznajmił spiker.

Widzowie krzyczeli coraz głośniejsze. Wyglądało na to, że dwa połączone w galaretowatą masę purchlaki będą chciały się rozdzielić, gdyż odtoczyły się na skraj rynny, żeby zrobić wolną drogę dla następnych zawodników. W tym czasie prowadząca wyścig ametystowa jedenastka jeszcze bardziej oddaliła się od rywali.

– Te dwa już się nie liczą w tym wyścigu – mruknął do siebie Lando.

Powrócił Artoo, z podnieceniem wydając elektroniczne piski.

– Przepraszam pana, ale Artoo odnalazł naszego człowieka, Tymma – odezwał się Threepio. – Rzeczywiście przybył na zawody i postawił bardzo dużą sumę. Wiemy już, gdzie siedzi. Jeżeli pan

chce, możemy iść do niego w każdej chwili.

Lando był zdziwiony, że ktoś śmiał przeszkodzić mu w oglądaniu biegu, ale nagle przypomniał sobie, o co chodzi, i zerwał się na równe nogi.

– Już go odnaleźliście? – zapytał.

– Tak jest, proszę pana. Jak mówiłem, postawił bardzo dużą sumę. Myślę, że pan wie, o co mi chodzi.

– Pozwól, że zgadnę – odparł Lando. – Na purchlaka jedenastego, prawda?

– Zgadł pan, generale.

– Wygląda mi na to, że jeszcze raz chce spróbować tej samej sztuczki – rzekł Lando. – Chodźmy.

Przecisnęli się obok grupy widzów, którzy nie zadali sobie trudu, żeby usiąść na swoich miejscach, a później skierowali się ku salom wykładanym kamieniami. Lando pozwolił, by prowadził Artoo, który toczył się niemal wyludnionymi wewnętrznymi korytarzami. Lando niechętnie opuścił stadion. Chciał przekonać się, kto zwycięży.

Mały robot zmierzał w dół pochylni, ku najniższemu poziomom wielkiego stadionu. Przeszli pod sklepieniem pokrytym różnobarwnymi napisami i rysunkami i dotarli do wejścia na tę część stadionu, w której znajdowały się najtańsze miejsca. Wypełniały je teraz tłumy zdenerwowanych ludzi, którzy zaryzykowali ogromne sumy, typując zwycięzcę właśnie tego wyścigu.

Lando się nie spodziewał, że hazardzista obdarzony tak wielkim szczęściem jak Tymmo wykupi bilet w tak poślednim sektorze. Pomyślał, że może nie chce się rzucać w oczy.

Mimo kolumn wspierających wyższe części stadionu i ochronnych siatek zabezpieczających purchlotor przed rzucanymi śmieciami i odpadkami, Lando dostrzegł, że zawodnik jedenasty jeszcze bardziej wysforował się przed rywali. Oddzielała go od nich odległość jednej przeszkody. Z tyłu toru, daleko za nim, pozostały dwa purchlaki leżące bez ruchu na suszarce. Okazały się zbyt wolne, by przejść przez tę niebezpieczną przeszkodę, i groziła im teraz śmierć z odwodnienia.

Pozostali zawodnicy pokonywali tymczasem szereg rozhuśtanych metalowych kółek, wiszących na grubych linach. Usiłowali wyciągać nibynóżki, chcąc dosięgnąć następnego kółka, zanim ruch wahadłowy rozerwie ich galaretowate ciała na kawałki.

Ametystowo zabarwiony zawodnik, który szczęśliwie przebył i suszarkę, i rozhuśtane koła, przelewał się teraz ryzykownie przez długą płaszczyznę najeżoną ostrymi cierniami, które w nieregularnych odstępach czasu przebijały się przez powierzchnię. Niestrudzona jedenastka parła naprzód, nie zważając na zagrożenie ani nie przejmując się tym, że od czasu do czasu jej gąbczastą masę przenika ostrze metalowego kolca.

Artoo zagwizdał, a Threepio wskazał mężczyznę siedzącego o trzy rzędy niżej od nich.

– Generale Calrissianie, Artoo mówi, że to właśnie jest ten człowiek, którego szukamy.

Lando spojrzał na mężczyznę. Przekonał się, że Tymmo jest przystojny i młody, ale co kilka chwil rozgląda się nerwowo na wszystkie strony. Z pewnością wyglądał podejrzanie. Chociaż jego purchlak miał ogromną przewagę nad pozostałymi zawodnikami, Tymmo nie robił wrażenia podnieconego. Inni mężczyźni stojący obok niego krzyczeli z radości lub płakali, zależnie od tego, na którego zawodnika postawili, ale Tymmo siedział i czekał na koniec, jakby z góry był pewien, kto zwycięży.

Tymczasem purchlak z jedenastką dotarł do końca powierzchni z cierniami i zatrzymał się na krótką chwilę, by szarpnięciem uwolnić małe sople galarety, które przyłgnęły do szpikulców. Ostatni fragment przeszkody przebył niezwykle wolno, jak gdyby przygotowując się do pokonania następnej

– powoli obracającego się śmigła o łopatkach ostrych jak brzytwy.

Ametystowy zawodnik zawahał się, ale sprawiał wrażenie zbyt przestraszonego, żeby zastanawiać się, jak najlepiej przedostać się między wirującymi ostrzami. Zaczął sunąć naprzód, wydłużając się dla nabrania prędkości, i po prostu chciał się precyzyjnie w przestrzeni między jedną łopatką a następną. Na drugą stronę śmigła chlupnęła mniej więcej jedna czwarta purchlaka, ale pozostałą część odcięło wirujące ostrze.

Galaretowata maź przyłgnęła do łopatki i zanim się urwała, przez chwilę ciągnęła się na podobieństwo długiej, cienkiej nici. Jedna czwarta purchlaka tymczasem czekała, bezpieczna po drugiej stronie. Pozostałe trzy czwarte zadrżały, a potem usiłowały precyzyjnie się przez następną przerwę. Tym razem przedostała się prawie połowa, która po przecięnięciu na drugą stronę natychmiast połączyła się z pierwszą częścią. Niemal całemu pozostałemu fragmentowi zawodnika jedenastego udało się pokonać przeszkodę za trzecim razem i jedynie kawałek odcięty z samego końca, pochwycony przez wirujące śmigło, zlał się w jedną kulkę z cienką nicią przyklepioną tam po pierwszej próbie. Kiedy jednak łopatką opadała, odcepil się i szczęśliwie połączył z resztą.

Tłumy krzyczały i wiwatowały. Wielu hazardzistów, którzy postawili duże sumy i przegrywali, zaczęło rzucać w stronę purchlotora pojemnikami po napojach i puszkami, które jednak nieszkodliwie odbijały się o znajdującą się przed nimi ochronną siatkę. Każdemu trafieniu towarzyszyły błękitne iskry – dowód, że ze względów bezpieczeństwa siatkę podłączono do źródła wysokiego napięcia. Tymmo skulił się na swoim miejscu, trzymając rękę w kieszeni. Lando pomyślał, czy mężczyzna nie ukrywa tam broni.

Nagle Tymmo popatrzył ukradkiem do tyłu i na boki, mrugając oczami, jakby wiedział, że ktoś mu się przygląda. Lando skrzywił się, gdyż uświadomił sobie, że jego bogaty strój i szykowna peleryna odróżniają go od tłumu, odzianych byle jak ludzi zajmujących najtańsze miejsca. Tymmo zauważył Calrissiana i dwa roboty i znieruchomiał, ale zaraz odwrócił głowę i zajął się obserwowaniem końcówki wyścigu.

Purchlak jedenasty tymczasem pokonywał ostatnią przeszkodę, zaczepiając wyciąganymi nibynóżkami o szczeble poziomej drabiny. Sprawiał wrażenie zupełnie wyczerpanego, ale mimo to parł naprzód, jakby goniło go stado demonów. Jaskrawoametystowe plamy na grzbiecie zamieniły się teraz w ledwo zauważalne iskry.

Dotarł do końca drabiny i opuścił się na matrycę pełną dużych lejów. Ich węższe końce miały różne średnice, a niektóre były zupełnie zasklepione. Ametystowy purchlak zapuszczał nibynóżki w głąb każdego leja, sprawdzając ich średnice tak długo, aż w końcu znalazł na tyle duży otwór, żeby precyzyjnie przezeń galaretowate ciało.

Najbliższy goniący go zawodnik dotarł właśnie do powierzchni ze szpikulcami poprzedzającej wirujące śmigło.

Znalazłszy odpowiedni otwór, jedenastka przelała całą masę do leja i zaczęła wylewać się przez wąski koniec. U wylotu ukazała się ciastowata galareta, która, opadając ku podstawie matrycy, zwijała się jak makaron i natychmiast łączyła w całość. Cienka nić wysuwała się z początku powoli, a później coraz szybciej, żeby w końcu jak korek wyskoczyć z wąskiego końca leja.

Całe gąbczaste ciało purchlaka jedenastego migotało, drżąc ze skrajnego wyczerpania. Zawodnik potoczył się jednak dziarsko przed siebie w kierunku koła kończącego wyścig, ale gdy znalazł się tam, sprawiał wrażenie, jakby chciał ścigać się jeszcze dalej.

Tłumy przez cały czas wiwatowały, ale zawody były już rozstrzygnięte. Lando spojrzał na

hazardzistę i zobaczył, że Tymmo manipuluje czymś w kieszeni spodni.

Zawodnik jedenasty znieruchomiał w ostatnim kole. Natychmiast rzucili się do niego opiekunowie. Trzymali szerokie szufle i lewitujące nosze, żeby zebrać nieszczęśnika i przenieść do stajni dla purchlaków, gdzie bohater mógłby na nowo nasiąknąć wodą, a przede wszystkim odpocząć. Tymczasem widzowie dopingowali następnych zawodników, zachęcając ich do zajęcia jak najlepszego miejsca.

Tymmo wstał z fotela i ukradkiem popatrzył do tyłu i na boki, ale Lando zdążył się ukryć za kolumną stadionu. Przepchnawszy się przez tłum widzów obserwujących pozostałych zawodników, Tymmo skierował się ku jednemu z automatów wypłacających wygrane, przy którym uformowała się już kolejka innych graczy. Większość z nich cieszyła się i podskakiwała, z entuzjazmem dzieląc się wrażeniami. Szeroko uśmiechali się nawet bardziej powściągliwi hazardziści; Tymmo jednak nie okazywał żadnych uczuć. Jego twarz przywodziła na myśl kamienną maskę. Wyglądał na zdenerwowanego.

Lando i oba roboty przecisnęli się przez tłum, po czym stanęli w tej samej kolejce o kilka osób za mężczyzną. Tymmo co jakiś czas rozglądał się na boki, ale dziwnym trafem ich nie zauważył. Z głośników rozległ się głos spikera podającego oficjalną kolejność purchlaków na mecie.

Lando wyciągnął z rękawów peleryny przewody od wykrywających zdolności Jedi detektorów i dołączył je do przytroczonego do kadłuba Artoo zasilacza. Ukrywszy obie łopatki czytników w dłoniach, czekał na okazję, kiedy będzie mógł zbadać hazardzistę. Chciał przekonać się, czy ujrzy błękitną poświatę świadczącą o tym, że Tymmo jest potencjalnym kandydatem do akademii Luke'a.

Threepio sprawiał wrażenie bardzo podnieconego.

– Dlaczego po prostu nie podejźmy do niego i nie zapoznamy go z tą dobrą wieścią, generale Calrissian? – zapytał.

– Ponieważ coś mi w tym wszystkim śmierdzi – odparł Lando. – A ja chcę być pewien, zanim poinformuję go, o co chodzi.

– Śmierdzi? – zapytał złocisty android, rozglądając się na prawo i lewo, jakby chciał się zorientować, co może śmierdzieć na wyścigach purchlaków.

– Jest drugi w kolejce do automatu – ciągnął Lando. – Kiedy wsunie do czytnika plastikową kartę z zakładem, musi odczekać kilka chwil, aż karta zostanie sprawdzona i będzie mógł zainkasować wygraną. Dopóki nie skończy przelewać pieniędzy na swoje konto, będzie tkwił, uziemiony przy automacie, chyba że zechce zrezygnować z wygranej.

Rzecz jasna, Lando pamiętał, że oszukiwanie w wyścigach było karane na Umgull śmiercią, może więc Tymmo będzie chciał uciec, żeby chociaż ocalić życie? Co właściwie ukrywał w kieszeni spodni?

Kiedy Tymmo znalazł się przed terminalem i umieścił swoją kartę z zakładem w czytniku, spiker, usiłując przekrzyczeć hałas panujący na stadionie, jeszcze raz przypomniał wszystkim o zawodach organizowanych w przyszłym tygodniu na cześć dargulskiej księżnej. Słyszając to, Tymmo aż się wzdrygnął, ale wystukał na klawiaturze swój numer identyfikacyjny i czekał na potwierdzenie wygranej.

– Chodźmy – odezwał się Lando i, opuściwszy kolejkę, zaczął iść ku automatu. Włączył zasilacz na korpusie Artoo, ale pomruk rozgrzewającego się urządzenia ginał w hałasie i szumie.

Tymmo w napięciu wpatrywał się w ekran automatu, starając się jak najszybciej dokonać

przelewu wygranej sumy. Lando stanął za jego plecami i, zanim mężczyzna mógł się zorientować, co się dzieje, wyciągnął łopatki i pospiesznie obwiodł nimi sylwetkę hazardzisty.

W pewnej chwili jednak Tymmo oderwał spojrzenie od ekranu. Zobaczył wówczas Calrissiana trzymającego coś, co mogło być jakąś bronią, i stojące tuż za nim dwa roboty, które wydały mu się uzbrojonymi strażnikami. Wpadł w panikę w tej samej chwili, kiedy automat wypluwał jego kartę, by metalicznym głosem wezwać następnego klienta. Chwyciwszy kawałek plastiku, Tymmo odwrócił się i zaczął uciekać, roztrącając po drodze grupę Ugnaughtów wychodzących ze stadionu.

– Hej, Tymmo, zaczekaj! – zawołał za nim Lando. Biegnący mężczyzna znikł jednak w tłumie widzów opuszczających stadion po wyścigu.

– Proszę pana, nie będziemy go gonili? – odezwał się Threepio.

Niektórzy widzowie przystanęli i obserwowali, co się dzieje. Tymczasem do automatu podszedł następny hazardzista, szeroko się uśmiechając i nie interesując się niczym z wyjątkiem swojej wygranej.

– Nie, Threepio. – Lando pokręcił głową. – Mamy odczyt. Musimy go sprawdzić.

W jakimś mrocznym zakamarku Lando obserwował, jak urządzenie zasilające imperialny detektor formuje holograficzny obraz sylwetki hazardzisty. Nie przejmował się tym, że ktoś mógłby go zobaczyć, a poza tym nie sądził, by ktokolwiek zorientował się, o co chodzi.

Niestety, jak Lando mógł się spodziewać, odczyt nie odbiegał od normy. Nie było widać niczego niezwykłego, żadnej niebieskawej poświaty świadczącej o umiejętnościach Jedi.

– To oszust – powiedział do siebie. Threepio wyglądał na rozczarowanego.

– Czy jest pan tego pewien, proszę pana? Chciałbym zwrócić uwagę, że w pobliżu stało wielu innych ludzi, którzy mogli w jakiś sposób wpłynąć na ten wynik. Zbadał pan tego mężczyznę bardzo szybko, a w dodatku z dość dużej odległości. Proszę także pamiętać o tym, że sam detektor jest bardzo stary i jego wskazania nie mogą być absolutnie wiarygodne.

Lando popatrzył na androida, sceptycznie marszcząc czoło, ale musiał przyznać, że Threepio może mieć trochę racji. Pomyślał, że powinien był zadać sobie więcej trudu, by uzyskany rezultat mógł uważać za całkiem pewny. Poza tym, jeżeli nie liczyć tej jednej sprawy, przez cały czas pobytu na Umgull dobrze się bawił.

– Niech będzie – odezwał się po chwili. – Sprawdzimy go dokładniej kiedy indziej.

Pewny, że Nowa Republika pokryje wszystkie koszty, Lando udał się do luksusowego apartamentu hotelowego na odpoczynek. Nakazał automatowi, żeby podał mu szklaneczkę zimnego, bardzo popularnego na Umgull napoju, podobnego do ponczu, po czym wyszedł na balkon, by obserwować tumany gęstej wieczornej mgły kłębiącej się nad ulicami. Sącył napój, nie mogąc się pozbyć zasepionego wyrazu twarzy ani wygładzić zmarszczek na czole.

– Czy chce pan, żebym zrobił coś jeszcze dla pana, czy też mogę ograniczyć moc wyjściową, przynajmniej na razie? – zapytał Threepio.

– Nie krępuj się – odparł Lando, rozmyślając, jak miło będzie nie słyszeć przez jakiś czas głosu androida. – Tylko pozostaw włączony obwód czuwania, na wypadek gdyby chciał się z tobą połączyć Artoo.

– Oczywiście, proszę pana.

Przebrany za automat sprzątający, Artoo kręcił się po okolicach zagród dla purchlaków, starając się zorientować, czy nie zauważy tam niczego podejrzanego. Mały astronawigacyjny robot dostroił

częstotliwość wysyłanych sygnałów do zakresu komunikatora Calrissiana, tak by mógł natychmiast zawiadomić go, gdyby działo się coś niezwykłego.

Dopiero teraz, kiedy Threepio zamilkł, Lando mógł naprawdę zebrać myśli. Podszedł do komputerowego terminala udostępnianego hotelowym gościom i wystukał na klawiaturze polecenie wyświetlenia pewnej informacji. Kiedy uderzył w pierwszy klawisz, na ekranie automatycznie ukazała się kompletna lista wyścigów purchlaków, przewidzianych na najbliższe dwa tygodnie, ale Lando szukał czegoś innego.

Umgulliańska Komisja Wyścigowa z fanatyzmem godnym lepszej sprawy prezentowała wszystkim chętnym wszelkie dane dotyczące wyścigów i uczestniczących w nich purchlaków. Okazało się, że każdemu zawodnikowi pobierano próbkę protoplazmy przed startem i po zakończeniu biegu. Obie próbki poddawano następnie dokładnej analizie, a wyniki podawano do publicznej wiadomości.

Korzystając z wbudowanego automatycznego pomocnika, Lando mógł bardzo łatwo porównać wyniki obu testów dla wszystkich purchlaków, na które Tymmo z takim szczęściem stawiał duże sumy. Calrissian nie wiedział wprawdzie, czego szuka, ale podejrzewał, że hazardzista mógł szpikować upatrzonych przez siebie zawodników jakimś lekiem czy narkotykiem, który zmuszał nieszczęśników do szybszego biegu. A może stosował jakiś inny środek, który oddziaływał tylko na potencjalnych zwycięzców?

– Dokonaj porównania – polecił Lando. – Czy dostrzegasz coś niezwykłego u tych wszystkich, którzy zwyciężyli? Coś, co mają tylko oni, a inni nie?

Okazało się, że Tymmo stawiał duże sumy stosunkowo rzadko. Gdyby wykonywał jakieś subtelne machinacje, Lando mógł oczekiwać, że umgulliańska komisja po prostu przeoczyła tak niewielkie różnice. Podejrzewał, że znajdzie jakąś wspólną cechę odróżniającą zwycięzców hazardzisty od pozostałych zawodników. W każdym wyścigach wygrywało i przegrywało setki ludzi, więc komisja nie miała powodu zwracać uwagi tylko na te wyścigi, w których Tymmo wygrywał mnóstwo forsy.

– Jedna niewielka różnica, znaleziona u wszystkich zawodników – odezwał się automatyczny pomocnik terminala.

– Jaka?

– Podczas testu, dokonanego po dotarciu do mety, u wszystkich wskazanych zwycięzców wykryto śladowe ilości węgla, krzemu i miedzi.

– Nie zwrócono na to uwagi wcześniej? – zapytał Lando.

– Nie zajmowano się tym, uznawszy za rzecz nie mającą znaczenia – odparł pomocnik. – Prawdopodobne wyjaśnienie: wszystkie te zanieczyszczenia mogą pochodzić od przeszkód purchlotoru.

– Hmm – mruknął Lando. – Czy podobne śladowe ilości tych pierwiastków występują u wszystkich zwycięzców?

– Tak.

– Czy pojawiają się także w innych próbkach pobranych od zwycięzców lub przegranych w innych wyścigach?

– Sprawdzam. – Po krótkiej chwili terminal odpowiedział: – Nie, proszę pana.

Lando przyjrzał się wynikom testów. Ilości zanieczyszczeń były absolutnie minimalne i z pewnością nie powinny mieć żadnego wpływu na wynik wyścigu.

– Czy znasz jakieś przypuszczalne powody, które mogły spowodować przeniknięcie tych

zanieczyszczeń do organizmów zawodników?

- Żadnych – odparł automatyczny pomocnik terminala.
- Serdeczne dzięki – mruknął Lando.
- Proszę bardzo.

Siedzący w kącie Threepio nagle wstał, wyrwany ze stanu ładowania swoich źródeł energii.

– Generale Calrissian! Waśnie skontaktował się ze mną Artoo! – wykrzyknął, złocistym palcem włączając przycisk komunikatora. Z głośnika rozległa się seria elektronicznych świergotów i pisków.

– Pan Tymmo pojawił się w zagrodzie dla purchlaków w przebraniu opiekuna jednego z zawodników. Artoo jest absolutnie pewien, że to on. Jak pan sądzi, co może tam chcieć zrobić?

– Chodźmy – powiedział Lando. – Nie sądziłem, że tak szybko wyskoczy z czymś niespodziewanym, ale teraz mamy go, bez względu na to, co robi.

Lando zarzucił pelerynę na ramiona i niemal biegiem opuścił apartament. Threepio uniósł w geście protestu obie ręce, ale z szuraniem stóp i mruzeniem serwowatorów jak najszybciej podążył za nim.

Biegli ciemnymi, spowitymi we mgle ulicami Umgull City. Po ich obu stronach piętrzyły się prostopadłościennie wyłożone piaskowcowymi płytami i ustawione jedne na drugich jak pudła po herbatnikach. Powierzchnie miały pokryte odpornym na wpływ wilgoci szczeliwem nadającym im wysoki połysk. Na skrzyżowaniach wisiały uliczne lampy rozjaśniające mgłę perłowymi aureolami. Pracujący na rusztowaniach robotnicy mozolnie usuwali nieaktualne transparenty informujące o wizycie jakiegoś dostojnika i w ich miejsce wieszali nowe, witające w Umgull City księżną Mistal.

Lando spieszył brukowanymi ulicami, a nieco z tyłu, stawiając sztywno nogi, podążał Threepio. W miarę zbliżania się do stadionu musieli piąć się coraz wyżej. Kiedy w końcu znaleźli się dość blisko, ujrzeli duży i jasno oświetlony barak, w którym trzymano i nadzorowano purchlaki.

Lando schylił się, pokonał jakieś nie zamknięte drzwi służbowe, a sunący za nim Threepio uczynił to samo. W powietrzu czuło się dziwny zapach przywodzący na myśl woń zgniłej pleśni. Na korytarzach uwijały się automaty sprząające. Inne roboty kontrolowały temperaturę w całej stajni. Zbliżała się noc, więc oświetlenie zostało ograniczone, żeby purchlaki mogły lepiej wypoczywać.

– Threepio, masz pojęcie, dokąd idziemy? – zapytał półgłosem Lando.

– Wydaje mi się, że potrafię odnaleźć Artoo, proszę pana – odrzekł android i, zatoczywszy kilka kółek, pokazał drogę.

Zeszli na niższy poziom i znaleźli się w mrocznej grocie wykutej w piaskowcowej skale. Pozostawiono w niej tylko minimalne oświetlenie, a dmuchawy rozpylające drobniutkie krople wody sprawiały, że w powietrzu czuło się chłód i wilgoć.

– Artoo jest w tej grocie, generale Calrissian – odezwał się Threepio.

– Wspaniale, tylko nie mów tak głośno – odparł Lando. – Zobaczmy, co się tutaj dzieje.

– Czy naprawdę pan sądzi, że Tymmo oszukuje? – spytał półgłosem android. – Wiedząc o tym, że grozi mu za to kara śmierci?

Lando spojrzał na niego i zmarszczył czoło.

– Nie, jestem pewien, że ma absolutnie zasadny powód, by przebierać się w kombinezon opiekuna purchlaków, zakradać się późną porą do stajni zawodników i czaić się gdzieś w tych ciemnościach.

– To dla mnie prawdziwa ulga, proszę pana – odparł Threepio. – Cieszę się na myśl o tym, że może jeszcze będzie kandydatem do akademii mistrza Luke’a.

– Zamknij się wreszcie, Threepio!

Przeszli przez uchylone drzwi do pomieszczenia, w którym mimo półmroku można było dostrzec mniej więcej dwadzieścia zamkniętych przegród zawierających niewielkie klatki. W każdej drząc i migocząc spoczywał purchlak.

Z drugiego końca sali doleciało nagle jakieś szcęknięcie. Lando domyślił się, że to dźwięk otwieranych drzwi przegrody. Posuwając się chyłkiem środkowym przejściem, czekał, aż jego oczy przyzwyczają się do braku światła.

W ciemnościach spowijających najdalsze przegrody zobaczył jakiś cień, sylwetkę człowieka. Natychmiast przekonał się, że to Tymmo: rozpoznał budowę jego ciała, sposób chodzenia. Zobaczył też odbłask światła na jego ulizanych ciemnych włosach. Tymmo pochylał się nad klatką z purchlakiem i coś majstrował przy spoczywającym w niej zawodniku.

Lando podszedł do Threepia i zbliżył usta do jego głowy. Wiedział, że jego słowa zagłuszy szmer pracujących klimatyzatorów i aparatury pomiarowej, więc tchnął najcichszym z możliwych szeptem.

– Zwiększ wzmocnienie czujników optycznych, żeby wiedzieć, co tam robi. Zarejestruj wszystko, byśmy mogli to później odtworzyć. Jeżeli chcemy dopaść tego gościa, musimy mieć jakiś dowód.

Zanim android zdążył odpowiedzieć, Lando przysłonił mu dłonią usta, by nie narobił hałasu. Threepio tylko kiwnął głową i zaczął się wpatrywać w mężczyznę stojącego w ciemnościach.

Nagle w przejściu między rzędami przegród pojawił się Artoo-Detoo. Zaskoczony Tymmo obejrzał się, ale mały robot przebrany za automat sprzątający zajął się zmywaniem kamiennej posadzki obok przegród. Zabrzęczawszy, minął hazardzistę, ignorując jego obecność, zupełnie jakby zrobił to prawdziwy sprzątac. Lando kiwnął głową, zachwycony przebiegłością małego robota astronawigacyjnego.

Tymmo, wstrząśnięty pojawieniem się automatu, powrócił do swojej pracy. Sprawiał wrażenie osoby, która chce jak najszybciej uporać się z tym, co robi.

– Proszę pana! – wykrzyknął nagle Threepio. – Ten mężczyzna właśnie implantował do protoplazmy tego purchlaka jakiś niewielki przedmiot!

Tymmo odwrócił się, sięgając do bocznej kieszeni kombinezonu. Lando nie potrzebował lepszego oświetlenia, by zorientować się, że mężczyzna wyciąga z niej mały blaster.

– Serdeczne dzięki, Threepio – powiedział, popychając androida. W następnej sekundzie laserowa błyskawica odbiła się tysiącnymi iskrami od kolumny, pod którą stali chwilę wcześniej. – Chodźmy!

Schylił się, by wykorzystać osłonę, jaką dawały ściany innych przegród z purchlakami, i zaczął biec w stronę miejsca, gdzie ukrywał się Tymmo. Ciemności przecięła następna laserowa błyskawica, ale tym razem było widać, że hazardzista strzelał na oślep.

– Artoo! – jęknął Threepio. – Uruchom jakiś alarm! Wezwij strażników! Powiadom właściciela stajni! Kogokolwiek!

Tymmo znów strzelił. Threepio zamilkł, gdy ujrzał, że świetlista smuga trafiła w skałę niedaleko jego głowy.

– O rety! – krzyknął tylko.

Spoczywające w przegrodach purchlaki obudziły się i zaczęły się poruszać. Przyciskały galaretowate ciała do prętów swoich klatek.

Lando usłyszał hałas, jakby Tymmo przewrócił się w kącie klatki. On i Threepio dotarli do przegrody, w której ukrył się hazardzista. Lando starał się nie wystawiać głowy.

- Threepio, czy mógłbyś zobaczyć, co ten drań implantował purchlakowi? – zapytał.
- Czy naprawdę pan sądzi, że to rozsądna rzecz w takiej chwili, proszę pana? – odparł android.
- Zrób to!

Wyciągnąwszy własny blaster, Lando rozglądał się, czy nie ujrzy gdzieś cienia czającego się mężczyzny.

Nagle rozległ się jęk syreny alarmowej.

– Dobra robota, Artoo – stwierdził Lando.

Na widok skulonej, poruszającej się postaci, Lando zaryzykował strzał, rozpraszając strumień energii, żeby tylko unieruchomić hazardzistę, ale chybił. Pełna oburzenia seria elektronicznych pisków powiedziała mu, że omal nie trafił małego robota.

– Przepraszam, Artoo – mruknął.

Decydując się na strzał, Lando ujawnił przeciwnikowi, gdzie się znajduje. Tymmo natychmiast odpowiedział ogniem, ale energetyczna błyskawica odbiła się od skalnej ściany. Lando strzelił po raz drugi i w rozproszonym strumieniu światła ujrzał kilka purchlaków, jak z przerażeniem, skurczywszy się w sobie, starają się zejść z linii ognia.

– Strzelanina w zagrodzie dla purchlaków – powiedział do siebie. – Marzyłem, żeby właśnie w ten sposób spędzać wolny czas na wakacjach.

Stojący w przegrodzie Threepio usiłował się zorientować, co właściwie robił tam hazardzista. Rozbudzony przez strzelaninę purchlak przyciskał się do prętów, napierając na drzwiczki klatki. Android stanowił dobry cel, gdyż słabe światło odbijało się od złocistego kadłuba, ale kiedy Tymmo się zdecydował, laserowa błyskawica trafiła w blokadę zamka. Naciskane od wewnątrz drzwiczki otworzyły się, cały purchlak wylał się na głowę Threepia i zaczął ściekać gąbczastymi soplami po jego korpusie. Przez zasłonę galaretowatej protoplazmy przebiły się pełne przerażenia okrzyki androida.

Kiedy Lando ujrzał, że mężczyzna chce uciec, puścił się za nim w pościg. Hazardzista, kierując się ku sklepieniu wyjściu, starał się biec tak szybko, jak pozwalały mu panujące ciemności.

– Tymmo! Zatrzymaj się! – krzyknął Lando.

Mężczyzna odwrócił się w biegu, żeby spojrzeć na prześladowcę, ale później zaczął uciekać jeszcze szybciej. W tej samej chwili z mroku wyłonił się Artoo i kawałek się potoczył, żeby znaleźć się na drodze uciekiniera. Tymmo zderzył się z robotem w pełnym biegu i wywinąwszy kozła, wylądował na plecach na kamiennej posadzce.

Lando rzucił się ku niemu, chwycił za rękę trzymającą blaster i wykręcił tak silnie, że broń wypadła z bezwładnych palców.

– Dobra robota, Artoo – powiedział.

Tymmo rzucał się i szarpał, nie bacząc na to, że syrena alarmowa nadal wyje.

– Puść mnie! Uwolnij mnie! – krzyczał. – Nie pozwolę, żebyś zabrał mnie znów do niej!

– Pomocy! Pomocy! – zawodził tymczasem Threepio. Wymachując rękami, rozpaczliwie próbował usunąć galaretowatą masę z metalowego korpusu.

Do pieczary wpadło kilku androidów-strażników oraz funkcjonariuszy służby porządkowej. Kiedy ktoś włączył reflektory, pomieszczenie natychmiast zostało zalane jasnym światłem. Tymmo jednak wyrywał się coraz energiczniej.

– Tutaj, do mnie! – zawołał Lando.

Androidy-strażnicy dotarli do nich i chwytakami unieruchomili ręce walczącego mężczyzny.

Jeden z androidów pochwycił Calrissiana, który nagle zdał sobie sprawę z tego, że i on nie potrafi wyjaśnić, dlaczego znalazł się w zagrodzie z purchlakami o tak późnej porze.

– Co, do cuchnących wyziewów, tu się dzieje! – ryknął nagle jakiś basowy głos. Do stajni wpadł jak burza nie strzyżony od dawna mężczyzna. Wyglądał, jakby ubierał się w pośpiechu. – I wyłączcie tę przekłętą syrenę! Straszy tylko moje purchlaki i przyprawia mnie o ból głowy!

– Tutaj, panie Fondine – odezwał się jeden z funkcjonariuszy.

Mężczyzna podszedł bliżej i zobaczył hazardzistę trzymanego przez androidów-strażników i wrywającego się jak więzień usiłujący uwolnić się z kaftana bezpieczeństwa. Ujrawszy mężczyznę, Lando powiedział:

– Podejrzewam, że w czasie ostatnich zawodów purchlaków zostało popełnione oszustwo. Ten człowiek majstrował coś przy zawodnikach.

Owłosiony mężczyzna obdarzył hazardzistę kwaśnym spojrzeniem, a później zwrócił się do Calrissiana.

– Nazywam się Slish Fondine i jestem właścicielem tej stajni. Lepiej niech pan powie, co pan tutaj robi.

Z niejakim zdumieniem Lando zorientował się, że tym razem nie musi niczego ukrywać.

– Jestem generałem, przedstawicielem Nowej Republiki, i nazywam się Lando Calrissian. Śledziłem tego mężczyznę, wykonując zupełnie inne zadanie. Myślę, że zaciekawia pana historia wszystkich jego wygranych na poprzednich wyścigach.

Tymmo przeszył Calrissiana spojrzeniem pełnym nienawiści.

– Nie zmusisz mnie, żebym do niej powrócił! – krzyknął. – Nie zniósłbym tego... Nawet nie wiesz, co to byłaby za udręka. Wolałbym raczej umrzeć.

Slish Fondine uciszył go machnięciem ręki.

– To będzie można bardzo szybko załatwić, jeżeli to, co powiedział generał, okaże się prawdą. Jak wiesz, oszuści są na Umgull karani śmiercią.

Syrena alarmowa w końcu ucichła.

– Niech ktoś w końcu mi pomoże – usłyszeli zawodzenie Threepia.

Fondine spojrział na androida zmagającego się z zieloną galaretowatą masą zalewającą jego ciało i rzucił się, by mu pomóc. Zgarniając sople protoplazmy w całość, Fondine zaczął uspokajać przerażonego purchlaka.

– Spokojnie, spokojnie...

Później zwrócił się do Threepia.

– Przestań się szamotać! Biedny purchlak boi się ciebie tak samo jak ty jego. Stój spokojnie. – Po chwili dodał nieco ciszej: – Wiesz, one potrafią wyczuć, kiedy ktoś jest przerażony.

Threepio starał się stać bez ruchu, a Fondine w tym czasie łagodnie zachęcał galaretę, by z powrotem zechciała wejść do klatki. W pewnej chwili jednak android wykrzyknął, wyraźnie podniecony:

– Proszę pana! W protoplazmie tego purchlaka odkryłem niemal mikroskopijny elektroniczny przedmiot. Powiększam obraz... Wygląda na mikromotyuator!

Lando nagle zrozumiał, co robił Tymmo. Implantowany purchlakowi mikromotyuator mógł wysyłać potężny wewnętrzny impuls, wywołując u każdego stworzenia paniczną chęć ucieczki. Właściwie dostrojone urządzenie mogło zmusić purchlaka do osiągania prędkości, jaką wywoływało tylko potworne przerażenie. Urządzenie było tak małe, że gdy naszpikowany nim purchlak zwyciężył,

Tymmo był w stanie później je łatwo zniszczyć, nie usuwając z protoplazmy. W tkance zawodnika zostawały jedynie śladowe ilości pierwiastków, użytych do budowy.

Slis Fondine nie przestawał przeszywać hazardzisty spojrzeniem pełnym pogardy i złości.

– To nikczemne bluźnierstwo wymierzone w ducha sportowej, czystej rywalizacji – oświadczył.

Tymmo spłonił się ze wstydu.

– Musiałem mieć pieniądze! Musiałem opuścić planetę, zanim ona mnie tu odnajdzie!

Zdesperowany Lando nie potrafił się opanować.

– O kim mówisz? Kim jest ona?

Uwolnił się z wysięgników trzymającego go androida-strażnika.

Tymmo wybałuszył na Landa ciemne oczy.

– To nie ona przysłała ciebie po mnie? Widziałem, jak śledziłeś mnie na zawodach. Próbowalesz mnie wtedy złapać, ale ci uciekłem. Nigdy więcej do niej nie powrócę.

– Do kogo?! – ryknęli równocześnie Lando i Slis Fondine.

– Rzecz jasna, do księżnej Mistal. Lgnie do mnie bezustannie, a jej oddech ogrzewa moje ucho. Nie spuszcza oczu ze mnie nawet na sekundę, a ja nie zniosę tego ani chwili dłużej! Muszę się stąd wydostać.

Lando i Fondine popatrzyli na siebie, niczego nie rozumiejąc, ale Artoo potoczył się ku nim, świergocząc jak najęty. Threepio, uwolniony w końcu od zalewającej go galarety, pospieszył z tłumaczeniem:

– Artoo wszystkiego się dowiedział. Księżna Mistal z Dargul wyznaczyła nagrodę w wysokości miliona kredytów za bezpieczne odstawienie do niej zaginionego małżonka, który, jak wszystko na to wskazuje, od niej uciekł. Komunikat podaje, że oficjalne nazwisko tego mężczyzny brzmi Dack, ale rysopis zgadza się w najmniejszych szczegółach z wyglądem Tymma.

Zrezygowany hazardzista zwiesił smutno głowę. Właściciel stajni skrzyżował ręce na piersi.

– No? – zapytał. – Co powiesz na to wszystko?

– Tak, nazywam się Dack. – Tymmo ciężko westchnął. – Przed dwoma laty księżniczka Mistal osiągnęła odpowiedni wiek do zamążpójścia i postanowiła poszukać idealnego męża. W całej galaktyce ogłosiła, że poszukuje kandydatów, i, rzecz jasna, dostała miliony ofert. Pośród nich była moja. Któż nie chciałby zostać jej małżonkiem? Była przecież bogata, młoda i bardzo piękna. Jej mąż musiałby tylko żyć w dostatku, kochany do szaleństwa przez księżną.

W oczach mężczyzny pojawiły się łzy.

– Życie obdarzyło mnie tylko jednym talentem – do komputerów i innych urządzeń elektronicznych. Te mikromotywatory zaprojektowałem, wykonałem i sprawdziłem własnoręcznie. Kiedy złożyłem wniosek o zostanie małżonkiem księżniczki, wiedziałem, że moje szansę są znikomo małe. Udało mi się jednak włamać do komputera w dargulskim pałacu i umieścić w nim odpowiedni algorytm, zgodnie z którym konkurenci zostali odrzuceni, a mnie uznano za idealnego kandydata.

Slis Fondine sprawiał wrażenie, jakby sama myśl o tym, że ktoś mógłby oszukiwać w tak ohydny sposób, przyprawiała go o atak mdłości.

– Księżniczka i ja zawarliśmy związek małżeński i wszystko wyglądało dokładnie tak, jak sobie wymarzyłem – ciągnął Tymmo. – Na początku. Mistal była bowiem przekonana, że naprawdę jestem idealnym partnerem, z którym zostać ma zawsze. Każdą chwilę musiałem spędzać w jej towarzystwie. Nie pozwalała mi oddalać się na nawet kilka kroków. Budziła mnie o różnych porach nocy, szukała mnie w czasie przerw na posiłki, a czasami zamykała w ogrodzie lub w bibliotece.

W oczach mężczyzny pojawiła się panika.

– Myślałem, że po jakimś czasie może się znudzi albo chociaż przyzwyczai do mojej bezustannej obecności, ale to ciągnęło się przez ponad rok! Doszło w końcu do tego, że nie mogłem spać, bałem się nawet własnego cienia! Schudłem, zmizerniałem, wyglądałem na półżywego, a to wszystko sprawiło, że zaczęła mi współczuć... i Ignęła do mnie jeszcze bardziej!

I nie mogłem jej opuścić! Na Dargul zawiera się małżeńskie związki na całe życie. Całe życie! Nie przestanie mnie szukać, dopóki żyję, i nie zgodzi się na ślub z nikim innym. – Tymmo sprawiał wrażenie, jakby chciał ułożyć usta do rozpaczliwego krzyku. – Wiedziałem, że nigdy się od niej nie uwolnię! Musiałem uciec.

– No cóż, wygląda na to, że w końcu znalazłeś jakieś wyjście – odezwał się gniewnie Slis Fondine. – Sam przyznałeś, że jesteś artystą wśród oszustów, i jako taki zostaniesz stracony zgodnie z obowiązującym na Umgull prawem.

Ku wielkiemu zdumieniu Calrissiana Tymmo nawet nie usiłował się bronić, pogodzony z losem.

Lando nie był jednak pewien, czy to najlepszy pomysł.

– Zastanówmy się nad tym przez chwilę, panie Fondine – powiedział. – Artoo, wspomniłeś, że za bezpieczne odstawienie małżonka księżna Mistal wyznaczyła nagrodę w wysokości miliona kredytów?

Artoo zacwierkał potakująco.

– A więc, panie Fondine – ciągnął Lando – proszę pomyśleć, jak wspaniałym prezentem powitalnym, godnym męża stanu byłoby zwrócenie księżnej Mistal jej małżonka, żeby nie była już taka samotna.

Tymmo jęknął. Widać było, że cierpi niewysłowione męki.

– Z drugiej strony, gdyby pan kazał go stracić, wiedząc, że Dack jest jej zaginionym mężem, stosunki między Umgull a jej siostrzaną planetą mogłyby się stać naprawdę nieprzyjemne. Kto wie, czy to nie byłby nawet pretekst do wypowiedzenia planetarnej wojny...

Gdy Fondine zaczął rozważać różne możliwości, jego twarz się zachmurzyła, ale doznał takiego uszczerbku na honorze, że nie od razu potrafił się zdecydować.

– Zostawmy prawo wyboru więźniowi – odezwał się w końcu. – Tymmo czy Dack, czy jakkolwiek się nazywasz – czy chcesz zostać stracony, czy też wolisz powrócić do księżnej Mistal?

Tymmo z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Ile czasu mam na odpowiedź? – zapytał.

– To nie było podchwytliwe pytanie – rzekł Lando.

Tymmo westchnął.

– Czy nie mógłbym przynajmniej odpocząć, dopóki ona nie przyleci? Będę potrzebował całego hartu ducha.

„Ślicznotka” wyleciała przez ogromny otwór groty umgulliańskiego kosmoportu, przedarła się przez całun chmur i wzniosła w błękitne niebo. Uczciwy Slis Fondine obiecał, że natychmiast po przylocie księżnej Mistal na Umgull przekaże połowę jej nagrody za odnalezienie męża na konto Calrissiana.

Lando nie był więc już nędzarzem. Miał pół miliona i mógł zainwestować je w jakiś nowy interes czy przedsięwzięcie, które wzbudziłoby w nim dreszcz emocji. Próbował już wydobywać ciekłe metale na Nkllonie i eksploatować gazy tibanna na Bepinie. Zastanawiał się, czym mógłby się teraz

zająć.

Chociaż starał się, jak mógł, znaleźć odpowiedniego ucznia do akademii Jedi planowanej przez Luke'a, musiał wracać na Coruscant z pustymi rękami. Wiedział jednak, że jeszcze znajdzie innych kandydatów.

Kiedy „Ślicznotka” w kursie powrotnym dokonywała skoku w nadprzestrzeń, Lando stwierdził, że Threepio zachowuje się nienaturalnie cicho.

Rozdział 10

Wizerunki kosmicznych statków wirowały wokół Coruscant niczym ogniste gwiazdy. Na holograficznej mapie całego systemu ukazano rozmieszczenie wszystkich jednostek i na ogromnej sferycznej siatce współrzędnych zaznaczono przydzielone im orbity i trajektorie podejść do lądowania. Ekrany komputerowych terminali wyświetlały setki danych dotyczących rozmiarów statków i wymagań co do czasu i miejsca lądowania. Odmiennymi kolorami zaznaczono te maszyny, których piloci zameldowali o awariach czy uszkodzeniach. Rozrzucone tu i ówdzie czerwone plamy oznaczały niebezpieczne obszary, pełne latającego złomu i wraków różnych statków, których jeszcze nie ściągnięto z orbit po niedawnej bitwie o Coruscant.

Dziesiątki kontrolerów ruchu orbitalnego, mężczyzn i kobiet, stało na wyznaczonych stanowiskach wokół trójwymiarowej mapy planety i wskazywało świetlnymi piórami symbole statków, wykreślając dla nich najbezpieczniejsze trajektorie czy przydzielając priorytety lądowania. Niedawno uruchomiono jeden z kosmicznych portów, znajdujący się w zachodniej części Imperial City, i skierowano do niego większość ruchu transportowych promów i wahadłowców, by odciążyc lądowiska na platformach rozmieszczonych wokół dawnego Pałacu Imperialnego.

Obok jednej z kontrolerek stała Leia Organa Solo. Widząc, jak kobieta bardzo jest zajęta kierowaniem ruchem statków, Leia nie zadawała zbyt wielu pytań, chociaż przychodziło jej to z dużym trudem.

– Jest coś. – Kontrolerka wyciągnęła rękę ze świetlnym piórem i wskazała baryłkowaty fioletowy symbol oznaczający mały statek nieznanego typu. – Czy to może być ten, na który czekamy, pani minister? Właśnie wyskoczył z nadprzestrzeni. Nie potrafię określić, skąd przyleciał.

Leia poczuła, jak ogarnia ją podniecenie.

– Tak, to ten – powiedziała. – Czy jego pilot prosił o zgodę na lądowanie?

Kontrolerka ruchu dotknęła elektrody implantowanej na jej skroni.

– Właśnie prosi. Podaje tylko swoje nazwisko. To kobieta. Zapewne mówi jakimś szyfrem. Słyszę słowo: Winter.

Leia się uśmiechnęła.

– Nie, naprawdę tak się nazywa. Udziel jej zgody na lądowanie na najwyższej północnej platformie Pałacu Imperialnego. Z mojego upoważnienia. – Głęboko odetchnęła, stwierdzając, że jej serce zaczyna bić przyspieszonym rytmem. – Powitam ją osobiście.

Odwróciła się i przeszła szybko dwa kroki, zanim przypomniała sobie, że powinna podziękować kontrolerce ruchu za pomoc.

– Chodźmy, Threepio – powiedziała, niemal przebiegając obok niego.

Protokolarny android wyrwał się z letargu i, sztywno stawiając nogi, pospieszył za nią.

Przyleciał z generałem Calrissianem oraz Artoo przed trzema dniami i spędził cztery godziny w luksusowej kąpeli czyszcząco-smarującej. Lśnił teraz jak nowy, a na złocistej powłoce nie było widać ani śladu pokrywającej ją niedawno galaretowatej mazi.

Leia wprawdzie słyszała szmer serwomotorów podążającego za nią androida, ale zignorowała ten dźwięk, miotana własnymi sprzecznymi uczuciami. Han powinien był wrócić z Kessel przed dwoma dniami, a nawet nie przesłał żadnej wiadomości. Najprawdopodobniej spotkał któregoś ze swoich dawnych kompanów-przemysłowców i spędza teraz czas w jego towarzystwie, pijąc za dużo i oddając się hazardowi tak namiętnie, że zupełnie zapomniał o wszystkich obowiązkach. Dobrze przynajmniej, że Chewbacca przysiągł kiedyś na własne życie, że będzie go chronił, gdyż kiedy ona porozmawia z Hanem, gdy ten wróci, bardzo przyda mu się pomoc Wookiego. Jak mógł zapomnieć o czymś takim?

Na razie Leia zamierzała powitać bliźnięta. Sama.

Stojąc na dachu pałacu, Leia wyciągała szyję i wpatrywała się w zamglone przestworza. Rozproszone światło zmierzchu z trudem przedostawało się przez szkielety kratownic ogromnych orbitujących stocznii.

– Threepio, powiedz mi natychmiast, kiedy ujrzysz, jak nadlatuje – powiedziała. Pojedyncze pasma nie związanych włosów, rozwiewane przez delikatne podmuchy wiatru, przysłaniały od czasu do czasu jej oczy.

– Tak, proszę pani, przez cały czas wypatruję. – Ruchem przypominającym do złudzenia gest człowieka, android przysłonił czujniki optyczne złocistymi dłońmi i zagiął palce, jakby pomagało mu to lepiej widzieć. – Czy nie sądzi pani, że byłoby rozsądniej cofnąć się o kilka kroków od krawędzi?

Leia wstrzymała oddech. Dzieci powracały do domu. Nie były na Coruscant przez prawie dwa lata, a teraz przylatywały, by zamieszkać na stałe. Nareszcie będzie mogła być dla nich prawdziwą matką.

Jacena i Jainę tuż po urodzeniu odesłano na nikomu nie znaną planetę, odkrytą kiedyś przez Luke'a i admirała Ackbara. Nie figurowała na żadnej gwiazdnej mapie, ale nadawała się do zamieszkania i była łatwa do obrony. Luke i Ackbar założyli na niej pieczołowicie strzeżoną wojskową bazę i zostawili w niej zaufaną pokojówkę Leii, Winter, żeby opiekowała się bliźniętami.

Leia podejrzewała jednak, że Luke zapewnił potomkom Jedi coś więcej niż tylko opiekę wiernej Winter.

Podczas pobytu dzieci w ustronnym miejscu, Leia co kilka miesięcy odwiedzała Jacena, Jainę i malutkiego Anakina, zazwyczaj w towarzystwie Hana. Odbywało się to na ogół w ten sposób, że pilotowany przez samą Winter wahadłowiec dalekiego zasięgu wyskakiwał z nadprzestrzeni w umówionej chwili. Nie wiedząc, dokąd lecą, Leia i Han dołączali do opiekunki, zostawiali zamknięci w przedziale dla pasażerów, a wówczas Winter zabierała ich do dzieci. Senat Nowej Republiki był przerażony, gdy dowiedział się o tajemniczych wyprawach Leii, ale Luke i Ackbar rozproszyli wątpliwości senatorów.

Teraz, kiedy w końcu dzieci znajdą się bezpiecznie w domu, Leia miała nadzieję, że będzie mogła odwiedzać swoje maleństwo, Anakina, o wiele częściej niż dotychczas. Byłoby tragedią, gdyby mogła poświęcać mu mniej czasu niż na razie spędzała z bliźniętami.

– Jest, proszę pani! – wykrzyknął nagle Threepio, wyciągając rękę i pokazując świetlisty punkcik, który z każdą chwilą stawał się coraz jaśniejszy. – Nadlatuje wahadłowiec!

Leia poczuła, jak jej ciało przeszywa spazm niepokoju zmieszany z dreszczem podniecenia.

Wahadłowiec podchodził do lądowania i już wkrótce na tle wieczornego nieba można było dostrzec jego światła pozycyjne. Okrążył dawny Pałac Imperialny, a później, włączywszy repulsory, z cichym szmerem osiadł na platformie lądowiska. Kanciasty i podobny do chrząszcza, na kadłubie nie miał żadnych oznaczeń ani symboli pozwalających na identyfikację planety macierzystej.

Z cichym sykiem wyrównywanych ciśnień otworzył się właz przedziału dla pasażerów i po chwili łagodnie wysunęła się długa rampa. Leia, przygryzłszy wargę, zbliżyła się o krok, chcąc zajrzeć do mrocznego wnętrza. Kadłub wahadłowca osłaniał platformę od wiatru, dzięki czemu zrobiło się tu nagle bardzo cicho.

U szczytu rampy pojawiły się bliźnięta. Leia popatrzyła na Jacena i Jainę, stojących obok siebie, milczących i ciemnowłosych, jak ciekawie się rozglądają szeroko otwartymi oczami. Małe twarze wyglądały jak dokładne kopie jej i Hana.

Zawahawszy się tylko przez sekundę, Leia wbiegła po rampie i chwyciła dzieci w objęcia. I Jacen, i Jaina odwzajemnili jej uścisk.

– Witajcie w domu – szepnęła.

Wyczuła ich nieufność i trwogę i z przeszywającym serce bólem uzmysłowiła sobie, że jest dla obojga dzieci kimś zupełnie obcym. Od tak dawna, jak mogły sięgnąć pamięcią, ich opiekunką i nianią była Winter. Leia tylko wtedy je odwiedzała, kiedy wśród dyplomatycznych zajęć mogła znaleźć choć trochę wolnego czasu. Będzie musiała teraz im to wynagrodzić. Obiecała sobie, że zrobi wszystko, by być dla nich jak najlepszą matką.

Natychmiast pomyślała o obowiązkach wiszących nad jej głową niczym ciemne chmury. Wciąż musiała się zajmować caridańskim ambasadorem i tysiącem innych delikatnych spraw, dzięki którym Nowa Republika mogła funkcjonować jako polityczna całość. Wiedziała, że chce się do niej przyłączyć setki gwiazdnych systemów, gdyby tylko jakiś zręczny dyplomata – to znaczy ona – uczynił gest dobrej woli i przyleciał do nich z oficjalną misją. Czyż mogłaby odmówić, gdyby Mon Mothma wezwała ją, by pomogła ratyfikować jakiś ważny traktat albo zastąpiła podczas oficjalnego przyjęcia? Od tego, jak zachowa się i co zrobi, zależy los całej galaktyki.

Jak mogła sądzić, że ważniejsze od tych wszystkich spraw są jej dzieci? Jak mogłaby być dla nich dobrą matką, gdyby zaniedbała służbowe obowiązki?

– Gdzie jest tatuś? – odezwał się nagle Jacen.

Złość przeszła serce Leii niczym sopel lodu.

– Na razie go tu nie ma – odparła.

Z kabiny pilota wyłoniła się Winter. Uniósłszy głowę, Leia popatrzyła na swoją zaufaną pokojówkę i wierną przyjaciółkę i stwierdziła, że na jej widok budzi się w jej umyśle setki miłych wspomnień. Od tak dawna, jak Leia mogła sięgnąć pamięcią, Winter miała śnieżnobiałe włosy i pogodną twarz, na której niemal nigdy nie zagościł grymas złości. Opiekunka zauważyła, że Hana nie ma obok Leii, uniosła brwi, układając całą twarz w niemym pytaniu, ale nie odezwała się ani słowem.

– Gdzie jest dzidziuś Anakin? – zapytała Jaina.

– Będzie musiał jeszcze przez jakiś czas zostać ze mną – odparła Winter, trącając lekko dzieci, by zachęcić je do zejścia po rampie. – A teraz chodźcie, pokażę wam nowe mieszkanie.

Bliźnięta posłusznie zaczęły schodzić, a Leia szła o krok za nimi. Threepio, nie będąc pewnym, co robić w takiej sytuacji, odwrócił się i ruszył za nimi, machając rękami i wydając pełne

podniecenia okrzyki.

– Jak długo tu pozostaniemy? – odezwał się Jacen.

– Gdzie będziemy mieli swój pokój? – zapytała Jaina.

Leia, słysząc te pytania, uśmiechnęła się i głęboko odetchnęła. Czuła, że od tej chwili będzie musiała wysłuchiwać setek takich pytań i, rzecz jasna, na nie odpowiadać.

Kiedy w końcu Leia pożegnała bliźnięta pocałunkiem, życząc im dobrej nocy, Threepio nie mógłby powiedzieć, czy dzieci, czy ich matka wyglądają na bardziej wyczerpane. Stanąwszy na progu drzwi i posławszy Jacenowi i Jainie jeszcze jeden pocałunek, Leia odgarnęła pasmo włosów, które przysłoniło jej oczy.

Threepio zmienił nieco położenie serwowatorów, żeby mieć trochę większą swobodę ruchów, a następnie przykucnął w przejściu między łózkami bliźniąt. Skończył właśnie zajmować się tak ważnymi szczegółami jak ustawienie na ich nocnych stolikach pojemników ze świeżą wodą czy zainstalowanie w kącie sypialni niewielkich źródeł światła.

– Dzieci, bądźcie dobre dla androida – odezwała się Leia. – Zostanie z wami, dopóki nie usniecie. Przydarzyło się wam dzisiaj wiele ciekawych rzeczy i jeszcze więcej przydarzy się jutro. Bardzo cieszę się, że jesteście w domu.

Leia obdarzyła bliźnięta pełnym czułości uśmiechem, usiłując mimo zmęczenia okazać prawdziwą radość.

– Jestem pewien, że ze wszystkim sobie poradzę, proszę pani – odezwał się Threepio. – Przejrzałem większość dostępnych baz danych z informacjami na temat dziecięcej psychiki. Rzecz jasna, z wyjątkiem tych, które opracował Imperator.

Spojrzenie, jakie posłała mu Leia, kryło w sobie szczyptę sceptycyzmu, ale to wystarczyło, żeby android poczuł się zaintrygowany.

– Jeszcze nie chce mi się spać – oświadczył Jacen, siadając na łóżku.

Leia nie przestała się uśmiechać.

– Powinieneś trochę odpocząć. Może Threepio, jeżeli będziecie grzeczni, opowie wam na dobranoc jakąś bajkę.

Pomachała dzieciom jeszcze raz, a potem wycofała się do swoich komnat.

Dzieci spędziły naprawdę pracowity dzień. Po podróży urządzono im krótką wycieczkę po Pałacu Imperialnym, pokazano także ich nowe mieszkanie. Nawet mimo tak wielu obowiązków, jakie Leia miała jako minister stanu, nie zapomniała o pomalowaniu sypialni bliźniąt w kojące, pastelowe barwy. Threepio bardzo chętnie służyłby jej przy tym z pomocą, ale przebywał wówczas z Calrissianem i Artoo na wyścigach purchlaków. Myśląc o tym, co go tam spotkało, android zapewne wolałby mozolić się jako dekorator.

Leia przypomniała sobie, że kilkakrotnie przeszkadzano jej podczas zwiedzania pałacu, łącząc pilne rozmowy, każąc parafować ważne dokumenty czy przesyłając niecierpiące zwłoki informacje. Za każdym razem czuła, jak ogarnia ją poczucie winy, jakby zdawała sobie sprawę z tego, że to tylko przedsmak sytuacji, w jakiej znajdzie się już niedługo.

Bliźnięta, chociaż tak zaciekawione i podniecone widokami wielu niezwykłych, nowych rzeczy, w miarę upływu czasu i narastającego zmęczenia stawały się coraz bardziej kapryśne. Było widać, że czują się przytłoczone doznanymi wrażeniami, nowym mieszkaniem i koniecznością spędzenia nocy w nie znanym pomieszczeniu. Zgodnie z informacjami, jakie zdobył Threepio, to, że bliźnięta będą

sprawiać pewne kłopoty, należało uznać za absolutnie normalne.

– Nie chcę żadnych bajek na dobranoc – odezwał się Jacen, krzyżując rączki na piersi i buntowniczo spoglądając na androida.

– Ja też nie chcę – zawtórowała Jaina.

– Ależ oczywiście, że chcecie – nalegał Threepio. – Zapoznałem się z zebranymi arcydziełami literatury dziecięcej z tysięcy systemów planetarnych i wybrałem dla was tę bajkę, która, moim zdaniem, spodoba się wam najbardziej. Nazywa się *Małeńki zagubiony banthus* i należy do ulubionych dzieł niezliczonych pokoleń dzieci w waszym wieku.

Bardzo cieszył się na myśl o tym, że opowie tę historię. Przypomniawszy sobie, z jaką przyjemnością opowiadał ją Ewokom w czasach niebezpiecznych przygód, które przeżył kiedyś z mistrzem Lukiem i kapitanem Solo. Wybrał nawet odpowiednie efekty dźwiękowe, by zademonstrować je we właściwych chwilach bajki o banthusiu. Prawdę mówiąc, w czasie pobytu na Tatooine Threepio nigdy nie widział żywych banthów z bliska, ale dosiadający ich jeźdźcy piasku, Tuskenowie, przejechali raz obok niego podczas pierwszej napaści na pana Luke'a. Android miał nadzieję, że dzięki tym przeżyciom będzie mógł chociaż trochę uważać się za eksperta.

– Nie chcę bajki! – powtórzył Jacen.

Dzieci miały niesfornie rozwichrzone czarne czupryny i ciemnobrązowe oczy, takie same jak matka. Na twarzy chłopca malował się w tej chwili upór, jaki Threepio często widywał u Hana Solo.

Android zdał sobie sprawę z tego, że problem, przed jakim stanął, ma właściwie niewiele wspólnego z jakąkolwiek bajką. Zgodnie z najnowszymi informacjami, jakie miał na temat małych dzieci, bliźnięta czuły się w tej chwili osamotnione i bezradne. Czując, że nie mogą panować nad tyloma nowymi, nie znanymi rzeczami, pragnęły udowodnić, że sprawują kontrolę chociaż nad tą jedną, dotyczącą dobrze znanej części ich dotychczasowego życia. Zwłaszcza Jacen chciał być pewien, że może decydować przynajmniej o tym, czy i kiedy ktoś opowie mu jakąś bajkę. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego, a Jaina, zapewne wyczuwając nastrój brata, wyglądała, jakby miała się za chwilę rozplakać.

– Bardzo dobrze, paniczu – odparł w końcu Threepio. – Opowiem wam tę bajkę kiedy indziej.

Znał wiele rozmaitych sztuczek, dzięki którym mógł sprawić małym dzieciom dużą radość i zarazem upewnić się, że bardzo szybko zasną. Mimo wszystko potrafił przecież porozumiewać się w ponad sześciu milionach form i odmian językowych. W każdej umiał śpiewać wiele kołysanek.

Wybrał kilka, które z całą pewnością powinny sprawić dzieciom dużą przyjemność. Był przekonany, że Jacen i Jaina prędko przy niej zasną. Zaczął śpiewać.

– O co znowu chodzi im tym razem? – odezwała się Leia, prostując się i spoglądając niespokojnie w stronę dziecięcej sypialni. – Może sama powinnam tam pójść i zobaczyć, czy nie dzieje się coś złego?

Winter wyciągnęła rękę i ujęła Leię za przegub, nie pozwalając jej wstać.

– Wszystko będzie dobrze. Są zmęczone, są zaniepokojone, są przerażone. Okaż trochę więcej cierpliwości. Ponieważ dobrze cię nie znają, będą często wystawiały cię na próbę, by przekonać się, w jakim stopniu będą mogły tobą manipulować. Nie pozwól, by się nauczyły, że przybiegasz do nich za każdym razem, kiedy głośniej krzykną albo zapłaczą. Małe dzieci uczą się takich rzeczy bardzo szybko.

Leia westchnęła i spojrzała na swoją osobistą pokojówkę. Winter radziła jej w wielu sprawach

i przeważnie miała rację.

– Wygląda na to, że to ja jestem osobą, która powinna się szybko uczyć – stwierdziła Leia.

– W każdej chwili życia uczymy się czegoś nowego – odparła Winter. – Musisz znaleźć kompromis między miłością do dzieci a koniecznością stawiania im wymagań. Na tym właśnie polega macierzyństwo.

Leia zrobiła nachmurzoną minę, gdy stwierdziła, że skrywany niepokój zaczyna zabijać w niej całą radość, jaką czuła z powodu powrotu dzieci.

– Będę musiała wziąć i to na swoje barki – powiedziała.

Poczuła, że spojrzenie Winter przeszywa ją na wylot, gdy kobieta zadała jej pytanie, które od kilku godzin cisnęło się jej na usta:

– Gdzie jest Han?

– Nie ma go tu – odparła Leia. – Gdziekolwiek jest, tutaj go nie ma.

Nie chciała, by było widać, jak ze złości traci głowę. Leia wstała i odwróciła się do pokojówki plecami. Od jakiegoś czasu męczyły ją wizje, że Han został zaatakowany i zabity lub tylko ranny... Uznała jednak, że bezpieczniej uwierzyć w inne wyjaśnienie.

– Poleciał „Sokołem” z Chewbaccą. Powinien być z powrotem przed dwoma dniami. Wiedział, kiedy bliźnięta wracają do domu, a mimo to nie zadał sobie trudu, by w porę być na miejscu! Nie dość, że przez pierwsze dwa lata ich życia praktycznie nie wywiązywaliśmy się z rodzicielskich obowiązków, to jeszcze nie znalazł chwili, by powitać Jacena i Jainę, kiedy w końcu przylecieli na Coruscant!

Han odczuł na sobie wiele razy ostrze języka swojej żony, które w miarę upływu lat jej dyplomatycznej praktyki stawało się coraz precyzyjniejsze. W pewnym sensie Leia była rada, że Hana nie ma, gdyż na nim skrupiłaby się wówczas cała siła jej wielkiego gniewu. Z drugiej strony, gdyby był, nie miałyby powodu się na niego gniewać.

– Dokąd poleciał?

Leia machnęła ręką, chcąc sprawić wrażenie, że to nie jest najważniejsza sprawa.

– Na Kessel, by przekonać się, czy nie uda mu się namówić dawnych przemytników i producentów przyprawy do przyłączenia się do Nowej Republiki. Od momentu odlotu nie wysilił się na przesłanie jakiegokolwiek wiadomości.

Winter patrzyła na nią bez mrugnięcia okiem. Chwile jej intensywnego myślenia niemal zawsze wyprowadzały Leię z równowagi.

– Coś ci powiem, Leio – rzekła Winter po dłuższym namyśle. – Przypuszczam, że się nie mylę. Gdybyś wysłała kogokolwiek innego w tak delikatnej misji i ten ktoś spóźniłby się o dwa dni, a przez tydzień nie dawał znaku życia, to myślę, że byłabyś zaniepokojona. Bardzo zaniepokojona. Tym razem zakładasz jednak, że twój mąż jest po prostu nieodpowiedzialny. A jeżeli mu się coś stało?

– To zwariowany pomysł – odparła szybko Leia.

Odwróciła się znów plecami do Winter. Nie chciała zdradzić się z tym, że i ją nachodzą czasami takie straszne myśli.

Ponury wyraz twarzy piastunki dzieci nie uległ jednak żadnej zmianie.

– Zgodnie z raportami, które kiedyś widziałam, Kessel zalicza się do planet nastawionych wobec nas niezbyt przyjaźnie. Są tam nie tylko kopalnie przypraw, ale i imperialny zakład karny, ufortyfikowany i silnie broniony, żeby więźniowie nie uciekali. Od dłuższego czasu cały ten system

nie utrzymuje z nami żadnych stosunków.

Winter przerwała, jakby sięgając pamięcią do innych zasobów informacji.

– Kiedy przed dwoma laty Mara Jade i Talon Karrde zjednoczyli niektóre grupy przemytników, Jade stwierdziła, że z Kessel mogą być pewne problemy. Czy nie powinnaś skorzystać z kanałów dyplomatycznych, by upewnić się, że z „Tysiącletnim Sokołem” nie stało się nic złego?

Usłyszawszy uwagę Winter, Leia kilka razy zamrugała, chociaż sama myślała o tym co najmniej dziesiątki razy.

– Nie wydaje ci się, że to przesada? – zapytała.

Winter spojrzała na nią spokojnie.

– A może tylko nie chcesz okazać zaniepokojenia, bo uważasz, że coś takiego sprawiłoby cię w zakłopotanie?

Oświetlona jasnym światłem poranka prywatna komnata łączności na Coruscant wyglądała teraz zupełnie inaczej. Ostatnio, kiedy Leia z niej korzystała, żeby porozmawiać z wrogo do niej nastawionym ambasadorem Caridany, był niemal środek nocy.

Teraz, przez lustra wiszące na ścianach Leia obserwowała dziesiątki młodszych stopniem urzędników przechodzących korytarzem, żeby wykonać jakieś polecenie. Widziała także funkcjonariuszy personelu administracyjnego czy porządkowego, którzy najprawdopodobniej od lat byli zatrudnieni w Imperial City, nie bardzo przejmując się tym, kto w tej chwili rządzi galaktyką.

Leia pomyślała, że całkiem niedawno do Sojuszu należała garstka najodważniejszych i najbardziej oddanych sprawie pilotów, którzy gotowi byli za swoje ideały oddać życie. Jakim cudem Nowa Republika mogła w tak krótkim czasie przekształcić się w tak bardzo zbiurokratyzowany organizm? Przypomniła sobie bohaterów, których знаła, jak Jęk Porkins czy Biggs Darklighter, a którzy kiedyś zginęli, usiłując zniszczyć Gwiazdę Śmierci. Miała nadzieję, że przynajmniej ich duch wciąż błąka się w nowym rządzie.

Winter, stojąca przy konsolce łączności, cicho chrząknęła, chcąc zwrócić uwagę Leili.

– To było bardzo trudne, ale myślę, że w końcu udało mi się nawiązać łączność – powiedziała. – Całe miasto Kessendra sprawia wrażenie opuszczonego, ale uzyskałam kod dostępu, umożliwiający łączność z imperialnym zakładem karnym. Po rozmowie z kilkoma urzędnikami niższego szczebla dotarłam wreszcie do osoby, która przynajmniej nominalnie jest przywódcą czegoś, co na Kessel uchodzi za oficjalną władzę. Nazywa się Moruth Doole i pełnił kiedyś w więzieniu funkcję administracyjną. Jakimś cudem nadzoruje teraz pracę wszystkich kopalni, w których wydobywa się przyprawę.

Wygląda na to, że panuje tam straszny chaos. Moim pierwszym rozmówcą był urzędnik w garnizonie czy bazie, jaką założyli na księżycu. Na wieść o tym, że kontaktuje się z nimi ktoś z Nowej Republiki, wszyscy wpadli tam w straszny popłoch. Odsyłano mnie do kilku innych, coraz wyższych stopniem urzędników, aż w końcu zgodził się porozmawiać ze mną ten Moruth Doole. Właśnie czeka, żebyś się z nim połączyła.

– Łącz – poleciła Leia.

Winter wcisnęła na pulpicie kilka przełączników. Leia podeszła kilka kroków i znalazła się w polu widzenia obiektywu kamery holograficznej.

Nad pulpitem pojawił się niewielki hologram istoty przypominającej ogromną żabę. Zakłócenia i szumy, spowodowane kiepską jakością aparatury telekomunikacyjnej na Kessel, sprawiały, że obraz

Doole'a był rozmyty, a zielonkawa barwa jego ciała przybrała odcień jasnożółty. Leia pomyślała, że Rybet, odziany w archaiczną kamizelkę i jaskrawożółty szal, wygląda naprawdę komicznie.

– To pani jest Organa Solo, minister stanu Nowej Republiki? – odezwał się Doole.

W pojednawczym geście rozłożył szeroko ręce, jakby chciał objąć nimi wizerunek Leii. Było widać, że jedno z jego oczu, które przypominały latarnie, jest przysłonięte jakimś mechanicznym urządzeniem, pozwalającym mu zapewne na zmianę ogniskowej.

– Jestem dosłownie zachwycony, że mogę rozmawiać z przedstawicielką Nowej Republiki i zarazem przepraszam za wszelkie trudności przy uzyskaniu połączenia. W ciągu ostatnich kilku lat dochodziło u nas do ważnych społecznych przemian i obawiam się, że nie do końca potrafiliśmy uporać się z ich skutkami.

Jego grube usta, charakterystyczne dla istot ziemno-wodnych, wygięły się w górę w grymasie, który miał być widocznie uśmiechem. Kiedy mówił, między jego wargami było widać długi spiczasty język, ale wypowiadał się tak szybko, że nie można było wpaść mu w słowo. W ciągu wielu lat dyplomatycznej służby Leia nauczyła się nie wyciągać pochopnych wniosków z zachowania, ruchów ciała i gestów osób nie będących ludźmi, ale czy to nie mogło być oznaką zdenerwowania?

– A więc, pani minister, w jaki sposób mógłbym pani pomóc? – paplał Doole. – Proszę mi wierzyć, że sami zastanawialiśmy się nad wysłaniem kogoś, by nawiązać przyjacielskie stosunki z Nową Republiką. Chciałbym zatem skorzystać z okazji i prosić o przysłanie ambasadora, żeby nasze przyszłe kontakty mogła cechować przyjaźń i harmonia. Na Kessel zawsze uważaliśmy was za przyjaciół.

Doole nagle przerwał, jakby zdał sobie sprawę z tego, że powiedział za dużo. Leia także odniosła takie wrażenie, ale nie zmieniła wyrazu twarzy. Moruth Doole mówił dokładnie to, co chciałyby usłyszeć, i udzielał poprawnych pod względem politycznym odpowiedzi, jeszcze zanim zadała mu pytanie. To dziwne. O czym mógł w tej chwili myśleć?

– Prawdę mówiąc, panie Doole... – zaczęła. – Obawiam się, że nie znam pańskiego oficjalnego tytułu. Jak pan chce, żebym się do pana zwracała?

Doole skierował na nią oko i zaczął coś majstrować przy mechanizmie ustawiającym ogniskową, jakby nigdy przedtem nie zastanawiał się nad tym problemem.

– Hmm, no cóż, myślę, że w zupełności wystarczyłby komisarz Doole – odparł po chwili.

– A zatem, komisarzu Doole, dziękuję panu za propozycję nawiązania stosunków dyplomatycznych i współpracy. Pozwala mi to wierzyć, że podjęte przez nas kroki nie okazały się przedwczesne. Przed ponad tygodniem wysłaliśmy na Kessel jednego z naszych przedstawicieli, ale od tamtej chwili nie mamy od niego żadnej wiadomości. Powinien powrócić przed trzema dniami. Zdecydowałam się na rozmowę z panem, bo chcę prosić o potwierdzenie, że naprawdę dotarł.

Doole uniósł zakończone długimi palcami dłonie i dotknął nimi policzków.

– Mówi pani, że wysłaliście przedstawiciela? Na Kessel? Nic nie wiem na ten temat.

Leia nie zmieniła wyrazu twarzy, choć poczuła, jak jej serce zamienia się w bryłę lodu.

– Zechciałby pan może sprawdzić, czy nie wylądował jego statek, „Tysiącletni Sokół”? – zapytała. – Łącząc się z panem, mieliśmy kłopoty z odnalezieniem osoby odpowiedzialnej za takie sprawy. Możliwe, że zgłosił się do kogoś innego, a nie do pana.

W głosie Doole'a słychać było powątpiewanie.

– No cóż, oczywiście, mogę to zaraz sprawdzić.

Odwrócił się i na klawiaturze znajdującej się poza polem widzenia obiektywu jego kamery

holograficznej zaczął wystukiwać jakieś polecenia. Niemal natychmiast – zbyt szybko, pomyślała Leia – wyprostował się i odwrócił ku niej.

– Niestety, nie, bardzo mi przykro, pani minister – powiedział. – Nie mamy żadnej informacji, że statek o nazwie „Tysiącletni Sokół” w ogóle znalazł się w pobliżu Kessel. Kto był jego pilotem?

– Nazywa się Han Solo. Jest moim mężem.

Wyraźnie wstrząśnięty tym Doole wyprostował się jeszcze bardziej.

– Jest mi niezmiernie przykro to słyszeć – powiedział. – Czy to dobry pilot? Jak pani zapewne wiadomo, rejon czarnych dziur w okolicach planety to obszar, gdzie panują wyjątkowo trudne warunki do latania, nawet w nadprzestrzeni. Ta Otchłań, jak ją nazywamy, jest jednym z cudów galaktyki, ale jeżeli pani mąż obrał niewłaściwą trajektorię lotu przez nasz układ... mam nadzieję, że nie przydarzyło mu się nic złego!

Leia pochyliła się w stronę obiektywu.

– Han jest bardzo dobrym pilotem, panie komisarzu.

– Pani minister, natychmiast organizuję wyprawę, by przekonać się, co się z nim stało. Proszę mi wierzyć, że na Kessel uczynimy wszystko co w naszej mocy, by wyjaśnić tę tajemniczą sprawę. Przetrzęsniemy każdy centymetr powierzchni i planety, i księżyca, i sprawdzimy całą przestrzeń, czy nie krąży w niej jakiś uszkodzony statek. Poinformuję panią osobiście, jeżeli znajdziemy jakiś ślad pani męża.

Doole sięgnął ręką do wyłącznika łączności holograficznej, ale na chwilę się zawahał.

– I, rzecz jasna, z radością i wszystkimi honorami powitamy następnego ambasadora, jakiego chciałaby przysłać do nas Nowa Republika. Mam nadzieję, że nasza kolejna rozmowa odbędzie się w bardziej radosnych okolicznościach, pani minister.

Dopiero kiedy holograficzny obraz Morutha Doole’a zamienił się w srebrzyste szumy, Leia pozwoliła sobie na zmarszczenie brwi, okazując w ten sposób, że otrzymane wyjaśnienia nie do końca ją zadowolily.

Winter uniosła głowę znad konsoly łączności i spojrzała na Leię.

– W tym wszystkim, co powiedział, nie wykryłam wyraźnej sprzeczności, ale nie jestem przekonana, że każde jego słowo było szczerą prawdą.

Leia utkwiała spojrzenie w czymś, co znajdowało się od mej bardzo daleko. Walczyła z ogarniającym ją niepokojem, nie pozwalając, aby przerodził się w trwogę. Czuła, jak głupio postąpiła, gniewając się na Hana.

– Masz rację – powiedziała w końcu. – To wszystko jest zdecydowanie podejrzane.

Rozdział 11

Kiedy Han Solo w końcu stracił cierpliwość, zamachnął się i z całej siły wymierzył strażnikowi cios, który odrzucił tamtego do tyłu. Han skoczył na przeciwnika i raz po raz mocno uderzał w tors i brzuch, nie bacząc, że rani kostki palców o pancerz szturmowca, noszony przez więziennego funkcjonariusza.

Na Hana rzucili się natychmiast inni strażnicy, przechadzający się po cechowni, i przewrócili go na posadzkę. Kamery, nadzorujące więźniów, umieszczone za transpystalowymi szybami, wszczyły alarm i wezwały posiłki. Przez otwarte drzwi do służbowej części pomieszczenia wpadło czterech innych strażników, wyciągając w biegu blastery.

Chewbacca, wydawszy donośny, charakterystyczny dla Wookiech ryk, puścił się ku strażnikom walczącym z Hanem i zaczął zrzucać ich z pleców przyjaciela. Dozgonny dług wdzięczności, jaki miał wobec niego, brał górę nad zdrowym rozsądkiem.

Han tymczasem nie przestawał walczyć, wymierzając na oślep ciosy prześladowcom. Chewbacca pochwycił dwóch innych strażników, roztrzaskał ich głowy, uderzając jedną o drugą, a potem pozwolił, by oba bezwładne ciała upadły na posadzkę. Przybyli z odsieczą funkcjonariusze spojrzeli na Wookiego i wytrzeszczyli oczy na widok tej ściany futra i potężnych mięśni. Unieśli blastery.

Młody Kyp Durrone zanurkował między walczących i podciąwszy najbliższego strażnika, przewrócił go na posadzkę. Odsunął się na bok, by upadający mężczyzna go nie przygniótł, a potem zaczął szarpać za nogi i buty, dzięki czemu obalił jeszcze dwóch strażników.

Pozostali więźniowie przyłączyli się do bijatyki, widząc, że nie mają nic do stracenia. Rozdawali ciosy na oślep, czy to funkcjonariuszom, czy innym więźniom. Wielu górników, którzy sami byli kiedyś strażnikami, podczas buntu Doole'a opowiedziało się po niewłaściwej stronie. Wśród więźniów, pracujących od samego początku w kopalniach, cieszyli się powszechną nienawiścią.

Nagle rozległ się głuchy huk i błękitne wyładowanie energetyczne z blastera, nastawionego na ogłuszanie, trafiło Chewbacce i przewróciło go na posadzkę. Kaszląc i warcząc, potężny Wookie usiłował się podnieść, wspierając na jednym łokciu.

Ogłuszające wycie syreny alarmowej świdrowało w uszach, potęgując panujący w sali hałas. Przez drzwi wiodące do pomieszczeń służbowych wpadła następna grupa strażników. Błękitne błyskawice energii przeszły powietrze, powalając na posadzkę i zbuntowanych więźniów, i walczących z nimi innych funkcjonariuszy.

– Dostyc tego! – krzyknął nagle do mikrofonu w klapie kombinezonu szef Roke. Jego głos rozbrzmiał w głośnikach sali niczym huk gromu. – Przestańcie albo porażymy was wszystkich, a potem zrobimy wam sekcję, by przekonać się, co stało się z waszymi mózgami!

Powietrze przecięła jeszcze jedna błękitna błyskawica, która powaliła dwóch górników niczym

ogromne wory wypełnione galaretą.

– Wszyscy do swoich prycz! Natychmiast! – rozkazał szef Roke. Jego wargi wykrzywił grymas, a niebieskawoczarny zarost na podbródku wyglądał jak plama brudnego smaru. Silnie umięśnione, jakby gotowe do skoku ciało świadczyło o tym, że mężczyzna nie zawaha się przed niczym, byle tylko powstrzymać więźniów od dalszej walki.

Kyp Durron wstał, napotkał spojrzenie Hana i uśmiechnął się do niego. Bez względu na to, jak surowa miałyby okazać się kara, był rad, że dołączył do walczących.

Dwaj bardzo wystraszeni strażnicy podźwignęli Chewbacę, przerzuciwszy sobie jego ręce przez ramiona, a inny strażnik, mający na głowie stary i zniszczony hełm imperialnego szturmowca, wycelował lufę blastera w ciało Wookiego. Ręce więźnia drżały, jakby chciał rzucić się do walki, ale było widać, że paralizujący impuls poraził jego nerwy. Strażnicy zaciągnęli go i rzucili do jednej z cel. Uruchomili zamek drzwi i zatrzasnęli je, zanim Chewbacca zdołał odzyskać panowanie nad nerwami. Bezwładnie zwałił się na posadzkę niczym brązowa, kudłata wielka lalka.

Han z oczami zamroczonymi wściekłością usłuchał rozkazu szefa Roke'a, ale mięśnie miał gotowe do dalszej walki. Razem z Kypem podszedł do rzędów metalowych pryczy. Strażnicy usunęli się na bok i spojrzeli na niego, jakby chcieli zabić wzrokiem. Han wspiął się i ułożył na niewygodnej macie. Otaczające go metalowe pręty, przytrzymujące materace i inne prycze, sprawiały wrażenie wielkiej klatki.

Kyp zajął miejsce na jeszcze wyższym piętrze i wychylił się, by spojrzeć na Hana.

– O co poszło? – zapytał półgłosem. – Dlaczego zacząłeś walkę?

Któryś strażnik szturchnął krawędź pryczy końcem paralizującej pałki.

– Schowaj głowę! – rozkazał.

Głowa Kypa natychmiast znikła, chociaż Han słyszał, jak chłopak porusza się na swojej macie.

– Myślę, że po prostu przestałem panować nad nerwami – mruknął. Czuł, że jego serce jest wypełnione bezbrzeżnym smutkiem. – Właśnie uświadomiłem sobie, że dzisiaj wracają do domu moje dzieci, a mnie nie ma tam, żeby je powitać.

Zanim Kyp zdołał powiedzieć słowo, na dowód że go usłyszał, szef Roke włączył generator pola usypiającego, obejmującego zasięgiem wszystkie prycze, i Han, który wciąż jeszcze nie mógł pogodzić się z losem, pogrążył się w bezkresnym, posępnym koszmarze.

Stojąc przed drzwiami pawilonu, w którym przygotowywano przyprawę do transportu, Moruth Doole umieścił na mechanicznym oku urządzenie pozwalające widzieć w podczerwieni. Wydał cichy syk, co oznaczało, że jest niespokojny, i kilka razy wysunął i wciągnął język, żeby poznać smak powietrza i dowiedzieć się, czy w pobliżu nie czyha niebezpieczeństwo.

Niedawna rozmowa z ministerem Solo sprawiła, że bardzo zdenerwował się tym, co może zrobić mu Nowa Republika. Wiedział, że w ciepłe i ciemnościach pomieszczenia, w którym przygotowywano przyprawę, znajdzie chociaż ukojenie dla nerwów. Spoglądanie na ślepych i bezbronnych pracowników, którzy przez wiele godzin bez przerwy robili to, co kazał, sprawiało, że czuł się silniejszy, sprawujący prawdziwą władzę.

Ciężkie metalowe drzwi zamknęły się za nim z głuchym hukiem, odcinając go od wszelkiego światła. Po chwili otworzył drugie, wewnętrzne drzwi i spojrział na podobną do grobowca kryptę jarzącą się w podczerwieni od ciepła, wypromieniowanego przez mozolących się robotników. Doole głęboko odetchnął, wciągając w nozdrza zatęchłą, wilgotną woń żywych istot, zgromadzonych

w pomieszczeniu.

Popatrzył na niewyraźne pomarańczowe sylwetki stworzeń, pochylających się nad taśmociągami. Poruszały się niespokojnie, nie wydając żadnych dźwięków, ale Doole nie wątpił, że wiedzą o jego obecności. Poczul, że nastrój zaczyna mu się poprawiać. Ruszył przejściem między rzędami stanowisk, obserwując pracę swoich niewolników.

Spoglądał na setki ślepych larw, mających zasklepione oczodoły, bladych i podobnych do dżdżownic, jak czterema cienkimi odnóżami przebierają delikatne kryształy błyszczostymu. Owijały krystaliczne włókna w papier nie przepuszczający światła i pakowały je w ochronne pojemniki. Pojemniki te transportowano później do stoczni i dalej, do przeładunkowej bazy na księżycu. Zatrudniając tyle ślepych larw pracujących bez protestu w absolutnych ciemnościach, koniecznych do tego, by przyprawa nie straciła mocy, Moruth Doole osiągnął to, że jego przedsięwzięcie funkcjonowało o wiele skuteczniej i sprawniej niż wówczas, kiedy władzę nad nim sprawował Imperator.

Ponieważ dzięki porcji błyszczostymu osiągało się krótkotrwały wzrost zdolności telepatycznych, Imperium traktowało tę substancję jako cenny surowiec. Nadzorowało i kontrolowało wszystko, co było związane z wydobyciem i handlem. Co prawda na innych planetach uzyskiwano nieco słabszą odmianę tej przyprawy, zwaną często mineryllem, ale jedynym miejscem, na którym występowały złoża błyszczostymu, była Kessel. Imperium otoczyło więc tę planetę niemal całkowicie szczelnym kordonem i decydowało o wszystkim, co wiązało się z tym surowcem. Posługując się nim, szpiegowano, prowadzono przesłuchania, sprawdzano lojalność podwładnych i starano się przewidywać zagrożenia.

Zawsze jednak istniał duży popyt na tak zwanym niewidocznym rynku. Za błyszczostymem rozglądali się zakochani, by połączyć się z partnerem ulotną telepatyczną więzią, poszukujący natchnienia twórcy i artyści, inwestorzy pragnący zdobyć niedostępne albo nielegalne informacje czy zwyczajni oszuści zamierzający oskubać bogatych przedsiębiorców. Wielu przemytników dostarczało zatem transporty przyprawy gangsterom w rodzaju Jabby Hutta.

Imperium jednak nie sprawowało już władzy nad produkcją przyprawy. Doole nie spodziewał się żadnych kłopotów do chwili, kiedy wrócił Han Solo.

Od kilku dni oczekiwał, że ktoś z Coruscant skontaktuje się z nim w tej sprawie. Wiele razy przeciwiczył, co powinien powiedzieć. Możliwe, że pracował nad tym za długo, gdyż zbyt szybko odpowiadał na pytania, wskutek czego minister Organa Solo z pewnością zaczęła coś podejrzawać.

Skynxnex oświadczył, że Doole jest przewrażliwiony; że i tak muszą grać swoje role do końca. Na szczęście Doole skazał Solo i Wookiego na dożywotnią pracę w kopalni błyszczostymu. Nikt nigdy ich tam nie odnajdzie. Zawsze jednak istniała pewna szansa, że coś ułoży się nie po jego myśli. Może więc byłoby najlepiej, gdyby po prostu kazał zabić Solo i w ten sposób pozbył się niepotrzebnego ryzyka?

Doole kroczył przejściem między rzędami pracujących larw. Jego zdolność widzenia w podczerwieni była tylko nieznacznie gorsza w porównaniu z normalnym patrzeniem za pomocą mechanicznego oka. Larwy podobne do gąsienic schylały się i zginały w zupełnej ciszy, mozoląc się jak niewolnicy. Doole przypominał sobie, że własnoręcznie wydostał je z torbieli i wyhodował w tej krypcie, od najwcześniejszych chwil przygotowując do tej pracy. Był dla nich prawdziwym bogiem.

Kiedy przechodził obok jednego z większych samców, zobaczył, że osobnik wyprostował się na całą długość i zaczął wymachiwać wątlými kończynami, jakby chciał powstrzymać intruza przed

wkroczeniem na swoje terytorium. Ku wielkiemu zdziwieniu Doole stwierdził, że owo stworzenie osiągnęło niemal wiek dojrzały. Czyżby upłynęło już tyle czasu? Ten osobnik już wkrótce zrzuci skórę i przemieni się w silnego samca.

Doole pomyślał, że znacznie wcześniej będzie musiał go uśmiercić. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, była walka z konkurentem. Wiedział, że musi tak postąpić, bez względu na fakt, że czyn ten będzie oznaczał śmierć najstarszego spośród jego wielu dzieci.

Szef Roke stał w cechowni z rękami na biodrach i spoglądał na górników ponuro, jak gdyby chciał ocenić, co są warci.

– Wczoraj straciliśmy kolejnych ludzi – powiedział. – Strażnika i czterech pracowników, w najgłębszym z nowych korytarzy.

Odczekał, aż znaczenie tych słów dotrze do wszystkich więźniów, ale większość z nich i tak już wiedziała o zaginionych kolegach.

– Pobrane przez nas wcześniej próbki wskazują, że trafiliśmy na jedną z najbogatszych żył przyprawy – ciągnął Roke. – Nie pozwolę, żeby niekompetencja czy przesady pozbawiły mnie zysków albo premii. Poszukuję ochotników, którzy zjechaliby ze mną na najniższy poziom, żeby sprawdzić, co się tam właściwie dzieje. Jeżeli nie znajdę ochotników, sam ich wybiorę. – Przerwał na chwilę, a potem dodał: – Tylko nie tłoczcie się wszyscy naraz.

Rozejrzał się po słuchających go w milczeniu pracownikach. Spoglądając na niego, Han wiedział, że z powodu awantury, jaką wywołał poprzedniego dnia, będzie z całą pewnością jednym z wybranych. Nic go to jednak nie obchodziło – oczywiście, jeżeli jego podejrzenia były zasadne. Zamiast więc sprawiać szefowi radość ze zmuszenia niesfornego więźnia do posłuszeństwa, Han wystąpił z szeregu.

– Ja się zgłaszam – oświadczył. – To lepsze niż kolejny dzień, wypełniony gromadzeniem brudu za paznokciami.

Roke popatrzył na niego, wyraźnie zdumiony, a potem zwęził oczy do szparek, nie kryjąc nieufności.

– Ja także – odezwał się Kyp Durrone, stając obok pierwszego ochotnika.

Han poczuł, jak w jego sercu wzbiera fala ciepła, ale postarał się ją stłumić. Nie chciał niczego wyjaśniać ani tłumaczyć. Jeszcze nie teraz.

Zdumiony Chewbacca ryknął, a później warknął coś, co miało być pytaniem na temat Hana i jego zdrowych zmysłów.

– Co on mówi? – zapytał szef Roke.

– Że też zgłasza się na ochotnika – odparł Han.

Chewie wydał pełne zaniepokojenia parsknięcie, oznaczające zdecydowany sprzeciw, ale powstrzymał się od jakichkolwiek dalszych uwag.

– Potrzebuję jeszcze jednego ochotnika – rzekł Roke, a potem spojrzął po twarzach więźniów. – Ty, Clorr. – Pokazał na byłego pracownika więzienia, który podczas wywołanych przez Hana zamieszek poturbował dość ciężko kilku funkcjonariuszy. – Biorę jednego strażnika i was czterech. Przebierajcie się. Idziemy.

Roke nie zamierzał zwlekać ani chwili. Han na szczęście nauczył się dosyć szybko wkładać termiczny kombinezon i dopasowywać tlenową maskę. Po chwili włączył zasilanie i poczuł, jak we wnętrzu rozchodzą się fale miłego ciepła. Tylko Wookie wyglądał trochę śmiesznie z pustym trzecim

rękawem objijającym się o tors przy każdym ruchu.

Kyp i Chewbacca nie przestawali spoglądać na Hana, zastanawiając się, o co mu chodzi. Widząc to, Han nieznacznie poruszył dłońmi, dając znak, by nie zadawali żadnych pytań. Oczywiście, że miał plan.

Któryś ze strażników, sprawiający wrażenie bardzo niespokojnego i zdenerwowanego, zdjął z ramienia blaster, potrzymał w dłoniach i po chwili przewiesił przez drugie ramię.

– Idziemy! – powtórzył szef Roke i klasnął w dłonie.

Czterej ochotnicy i inny strażnik ustawili się jeden za drugim przed wrotami do długiej sali z wagonikami dla górników. Kiedy wrota się rozsunęły, wszyscy weszli, a szef Roke odłączył trzy czołowe wagoniki od reszty długiego składu. Roke i strażnik usiedli w pierwszym, a więźniowie zajęli miejsca w pozostałych.

– Hej, a co z goglami na podczerwień?! – zawołał Han. – Jeżeli tam naprawdę coś jest, będziemy musieli chociaż trochę widzieć, żeby wiedzieć, dokąd uciekać.

Roke pełnym pogardy gestem włożył swoje gogle.

– To, czy przeżyjecie, czy nie, nikogo nie obchodzi – burknął.

Włączył system automatycznego prowadzenia, znajdujący się na tablicy kontrolnej pierwszego wagonika. Po chwili zgasły wszystkie światła, przeciwległe wrota z głośnym zgrzytem się otworzyły i do pomieszczenia wpadło chłodne, rozrzedzone powietrze kopalni.

– To byłoby na tyle, jeżeli chodzi o gogle – mruknął Han, pospiesznie dopasowując tlenową maskę.

Clorr, więzień najmniej entuzjastycznie nastawiony spośród wszystkich, jęknął, nie na żarty przestraszony. Zaraz jednak wagoniki ruszyły i zaczęły nabierać prędkości, by po kilkunastu sekundach mknąć mrocznymi tunelami z prędkością pocisku. Słysząc było tylko świst powietrza, gdy wagonik przemykał szczególnie blisko kruszących się skalnych ścian, z których całe pokolenia górników dawno temu odłupały żyły błyszczostymu.

Kiedy świst wichru zagłuszył wszystkie inne dźwięki, Kyp przysunął usta do ucha Hana i nie zdejmując tlenowej maski, powiedział:

– No dobra, może wyjaśnisz teraz, w co właściwie się pakujemy.

Han w ciemnościach wzruszył ramionami.

– Mam pewien pomysł i jeżeli okaże się, że to prawda, może uda się nam wydostać z tego bagna.

Chewbacca burknął coś sceptycznie, ale zabrzmiało to jak pytanie.

– Zastanów się nad tym, Chewie – rzekł Han. – Od jakiegoś czasu w tym samym miejscu znika wciąż nowa grupa kilku mężczyzn. Czy nie sądzisz, że mogli znaleźć jakąś drogę ucieczki z kopalni? Pracują w nowych tunelach, gdzie przed nimi jeszcze nikt nie szukał przyprawy, i nagle kilku z nich nie powraca. Ty i ja dobrze wiemy, że tam, w głębi, jest mnóstwo opuszczonych chodników i szybów, wykopanych przed laty przez indywidualnych górników, którym jakimś cudem udało się prześlizgnąć między imperialnymi patrolami. Ta planeta przypomina ul wypełniony plastrami miodu, mający wiele nie znanych wejść i otworów umożliwiających dotarcie do chodników.

Han przerwał, mając nadzieję, że pozostali nadążają za tokiem jego rozumowania.

– Ekipy Roke'a składają się przeważnie z jednego strażnika i pięciu niczego nie widzących więźniów. Jak myślicie, co zrobią ci więźniowie, kiedy nagle za jakimś zakrętem ujrzą światło wpadające przez otwór wiodący na powierzchnię? Mogą znów widzieć; obezwładniają więc strażnika, biorą nogi za pas i znikają.

Kiedy Roke odkryje takie wyjście, zablokuje je, a my nie będziemy mieli drugiej takiej szansy. Jeżeli więc mamy kiedyś wydostać się na powierzchnię; jeżeli ja kiedykolwiek mam powrócić i zobaczyć się z żoną i dziećmi, muszę spróbować. Wiem, że to, co robię, jest strasznie ryzykowne, ale liczę na to, że ryzyko się opłaci.

– Wygląda na to, że to nasza jedyna szansa – odparł Kyp. – Przebywam pod ziemią od tak dawna, że jestem skłonny spróbować wszystkiego.

Chewbacca także się zgodził, chociaż z nieco mniejszym entuzjazmem.

Zapuszczali się coraz głębiej, pokonując niezliczone ostre zakręty. Niejeden raz Han miał wrażenie, że skaliste sklepienie niemal ociera się o jego głowę. Kulił się wówczas we wnętrzu wagonika. Nie chciał nawet wyobrazić sobie, co się stanie, kiedy głowa znacznie wyższego Wookiego zderzy się przy tej prędkości z jakimś skalnym występem.

W panujących absolutnych ciemnościach Han już dawno stracił rachubę czasu. Nie wiedział, jak długo podróżują, jak głęboko się znajdują i jak szybko mkną tunelami i korytarzami kopalni. W pewnej chwili jednak szef Roke unieruchomił wagoniki i krzyknął na więźniów, żeby wysiadali. Han usłyszał dość głośny szmer, z jakim strażnik zdjął z ramienia blaster.

Wyteżając słuch, żeby nie przegapić najmniejszego szumu czy szelestu, Han starał się w każdej chwili wiedzieć, gdzie przebywa szef Roke i strażnik. To było najważniejsze; to musiał wiedzieć, jeżeli chciał, żeby ucieczka zakończyła się powodzeniem. Znaleźli się jednak tak głęboko, że on sam zaczął wątpić, by udało się im znaleźć jakiś szyb wiodący na powierzchnię.

– Idźcie za mną – odezwał się szef Roke. – Chcę, żeby jeden więzień szedł przede mną, pozostałych trzech za mną, a strażnik na końcu.

Han usłyszał, jak ktoś się zatoczył, a potem gwałtownie nabrał powietrza i potknął się, przeciskając do przodu. Czyżby Kyp? Nie, Han usłyszał pełen przerażenia jęk i domyślił się, że górnikiem, który ma iść przodem, jest Clorr, dawny pracownik więzienia.

Szef Roke poszperał w swoim plecaku i wyjął z niego jakiś przedmiot. Han usłyszał trzask włącznika i po chwili cichy, przerywany elektroniczny pisk. Domyślił się, że musi to być jakiś wykrywacz czy detektor. Wyteżył słuch i wkrótce stwierdził, że natężenie i częstotliwość pisków ulegają niewielkim zmianom, kiedy Roke przysuwa lub odsuwa skaner od skalnej ściany.

– Wokół nas jest mnóstwo przyprawy – odezwał się szef Roke. – Jest tak, jak się spodziewaliśmy. Koncentracja rośnie, w miarę jak tunel się obniża. Idziemy.

Clorr potknął się w ciemnościach, ale ruszył. Za nim szedł Roke. Han także zaczął iść, chociaż na oślep. Poczł dłoń Kypa na swoim kombinezonie i usłyszał sapanie Chewbaccy oddychającego przez maskę.

Zapuszczali się coraz głębiej. Z każdą chwilą powietrze w tunelu wciąż bardziej się oziębiało. Han zgiął palce rąk i usłyszał, jak coś w nich zatrzeszczało. Przekręcił gałkę termostatu, by zwiększyć temperaturę powietrza we wnętrzu kombinezonu, ale stwierdził, że przyniosło mu to tylko nieznaczną ulgę.

Wydobywające się z detektora elektroniczne piski stawały się coraz częstsze i głośniejsze.

– Koncentracja się zwiększa – stwierdził Roke. – To najbogatsza, najświeższa i najczystsza żyła, jaką znaleźliśmy do tej pory. Dla was, więźniów, z pewnością będzie tu mnóstwo pracy.

Detektor piszczał, a wszyscy, szurając butami, szli dalej i dalej. Jeżeli nie liczyć wydawanych przez nich dźwięków, mroczny tunel mógłby być oazą idealnej ciszy.

Nagle Hanowi się wydało, że usłyszał dobiegający gdzieś z głębin korytarza odgłos kroków

bardzo ciężkiej istoty, która się poruszyła, przystanęła, znów poruszyła i powoli zaczęła się zbliżać, jak gdyby się skradała. Idący przodem Clorr coś mruknął i zapewne przystanął, gdyż Han usłyszał odgłos, z jakim szef Roke popchnął go, żeby szedł dalej.

– Tam, za zakrętem, odczyt staje się jeszcze silniejszy. – Zachrypnięty głos mężczyzny pobrzmiwał teraz niemal dziecinnym podnieceniem. – Chyba trzeba będzie zmienić zakres tego detektora.

Han ponownie usłyszał ten sam odgłos, ale teraz wydało mu się, że dobiega z nieco większej odległości. Nie był podobny do żadnego dźwięku, który wydawał on sam albo inni więźniowie. Przypominał brzęk, z jakim ostre metalowe szpikulce uderzają o szklaną powierzchnię.

Nagle Clorr przeraźliwie wrzasnął.

– Hej! – odezwał się zaskoczony Roke.

Clorr wrzasnął po raz drugi, ale tym razem dźwięk doleciał z większej odległości, jakby coś, co porwało nieszczęśnika, uciekało, unosząc go do ukrytej nory.

– Gdzie są... – zaczął Roke, ale w tej samej chwili i on wydał pełen zdumienia okrzyk.

Han usłyszał zgrzyt butów, jakby ktoś odwrócił się na pięcie, a potem dźwięk coraz głośniejszych kroków. Odepchnął Kypa na bok i w tę stronę, z której przyszli, i powiedział tylko:

– Uważaj!

Nagle poczuł, jak wpada na niego szef Roke, i za chwilę usłyszał, jak mężczyzna przewraca się na ziemię. Han zatoczył się pod ścianę, ale nie upadł. Leżący na ziemi Roke rozpaczliwie starał się podźwignąć.

– Wracaj! – zawołał Han do Kypa, popychając go w stronę pozostawionych wagoników. – Co się dzieje?! – krzyknął w stronę Roke'a.

Po raz kolejny usłyszał wyraźny, miarowy, przybliżający się ku nim stuk czy klekot jakby wielkich łap, zakończonych ostrymi jak sztylety pazurami.

Roke znów krzyknął, a później stęknął, jakby jakaś nadludzka siła pozbawiła go powietrza w płucach. Han usłyszał głuchy odgłos, z jakim mężczyzna ponownie zwałił się na ziemię, ale następne dźwięki świadczyły o tym, że stara się wstać albo tylko pełźnie na czworakach.

W chwili, w której Han odwracał się, żeby rzucić do panicznej ucieczki, poczuł, jak wokół jego buta zaciskają się palce Roke'a. Starając się wyrwać nogę, krzyknął:

– Puść! Musimy uciekać!

Zanim jednak Roke miał czas zareagować, coś znajdującego się tuż za nim – bardzo, bardzo dużego i stojącego bardzo blisko – szarpnęło go z taką siłą, że musiał rozewrzeć zaciśnięte palce. Han poczuł, że ostre jak szpony paznokcie Roke'a omal nie rozerwały materiału nogawki jego termicznego kombinezonu. Po chwili usłyszał oddalający się dosyć szybko dźwięk wleczzonego po ziemi ciała. Odgłosowi towarzyszyły okrzyki i jęki.

W absolutnych ciemnościach Han niczego nie widział.

– Uciekamy! – zawołał.

Chewbacca ryknął, a potem odwrócił się i niczym taran zderzył ze stojącym tuż za nim strażnikiem, obalając go na ziemię. Kyp, który ruszył za Wookiem, potknął się o leżącego funkcjonariusza, ale zręcznie go przeskoczył. Han także się potknął, i nie mogąc utrzymać równowagi, przewrócił się na męczyznę. W nieprzeniknionych ciemnościach nikt nie potrafił powiedzieć, co się dzieje.

Strażnik, starając się podnieść, uklęknął i zaczął zadawać Hanowi ciosy, jakby uważał go za

sprawcę wszystkich nieszczęść. Han jednak, doprowadzony do rozpaczy faktem, że nic nie widzi, nie wdawał się w bijatykę. Wyciągnął rękę, a kiedy natrafił na gogle umożliwiające widzenie w podczerwieni, ściągnął je z twarzy szamoczącego się mężczyzny.

Czuł, jak ciemności przytłaczają go niemal fizyczną siłą. Słyszał z głębi tunelu zamierające okrzyki wleczzonego mężczyzny i miarowy klekot czegoś ostrego uderzającego o kamienie. Dźwięki te rozlegały się w jego uszach bardzo głośno, przyprawiając niemal o klaustrofobię.

Nagły jęk pozbawionego gogli strażnika został stłumiony przez jego tlenową maskę. Wymachując na oślep rękami, funkcjonariusz pochwycił dłoń Hana, ale ten szarpnął się i zerwał z twarzy mężczyzny maskę. W rozrzedzonym powietrzu rozległ się głośny syk uchodzącego tlenu. Strażnik musiał puścić Hana, by umieścić maskę na poprzednim miejscu.

Han działał teraz bez chwili zwłoki. Musiał widzieć. Musiał wskazać pozostałym drogę do wagoników, żeby wszyscy mogli jak najszybciej uciec.

– Biegnij, Chewie! – krzyknął. – I upewnij się, że nie zgubisz Kypa!

Naciągnął okulary na oczy. Znów usłyszał miarowy stuk wielu nóg zakończonych ostrymi końcami. Tym razem zbliżały się ku niemu. Czyżby cała armia dziwnych stworzeń rzuciła się za nimi w pogoń, czy też może był to jeden wielki stwór, obdarzony wieloma odnóżami?

Spojrzał przez zabrane strażnikowi gogle w dół i w górę tunelu. Zobaczył tylko jaskrawą plamę leżącego mężczyzny i dwie jasne sylwetki Chewbaccy i Kypa. Z głębi tunelu dobiegał jednak coraz głośniejszy, przeradzający się niemal w grzmot, dźwięk twardych, ostro zakończonych nóg spieszących w ich stronę.

Strażnik poruszył się, nieporadnie wstał i chciał się rzucić w pogoń za Hanem, ale nic nie widział. Han obejrzał się i zobaczył, jak mężczyzna nagle zachwiał się, zaczął machać rękami, by zachować równowagę, a potem opadł na ścianę, uderzając głową o skalny występ.

Klekot spieszących ku nim monstrualnych odnóży było słyhać coraz bliżej. Dźwięk ten przypominał Hanowi odgłos setek mikrometeoroidów bombardujących kadłub kosmicznego statku. Strażnik wrzasnął.

Han ponownie odwrócił się, ale w ciemnościach tunelu nie dostrzegł niczego podejrzanego. Żadnego kształtu, żadnej jaśniejszej plamy, żadnego śladu ciepła, które mogło być wypromieniowane przez ciało jakiegoś stworzenia – niczego, co wskazywałoby na obecność żywej istoty.

Zobaczył, że strażnik nagle znieruchomiał, jakby objęty od tyłu jakąś gigantyczną ręką. W następnej sekundzie na tle jaśniejszej sylwetki funkcjonariusza Han z przerażeniem zauważył cień dłuższej, cienkiej nogi czy macki owijającej się wokół bioder mężczyzny i drugiej wylaniającej się zza jego ramienia. Obie macki, czarne na tle obrazu w podczerwieni, przysłoniły wysyłane ciepło, jakby ktoś wyciął w sylwetce nieszczęśnika dwa ciemne pasy. Mężczyzna wyrwał się i jęczał.

Nagle strażnik szarpnął się i wyciągnął blaster. Han gwałtownie nabrał powietrza, gdy absolutne ciemności przeszły oślepiająca błyskawica, która trafiając wielonożnego stwora, na krótką jak mgnienie oka chwilę jasno go oświetliła. Han ujrzał coś, co wydało mu się mnóstwem sterczących na wszystkie strony ostrych kolców i dziesiątkami wijących się odnóży czy macek, zakończonych ostrymi szponami i pazurami. Pomędzy nimi widział oczy – wiele, wiele oczu. W następnym ułamku sekundy piekielny stwór pochłonął całe światło, pogrążając na nowo tunel w absolutnym mroku.

Sparaliżowany z przerażenia Han patrzył, jak nieszczęsny strażnik zostaje uniesiony w powietrze i obrócony. Zobaczył, że wokół ciała mężczyzny owijają się następne macki zimne jak sople lodu. Widoczny w podczerwieni prostokąt zasilacza termicznego kombinezonu jarzył się najsilniej, ale

nagle jakaś macka zakończona ostrym pazurem wbiła się w niego niczym żądło. W ciemnościach rozbłysnął snop iskier, a w oczach Hana pozostały świetliste plamy.

Han cofnął się i potknął, ale łapiąc równowagę widział, jak świecąca w podczerwieni sylwetka strażnika ciemnieje coraz bardziej, w miarę jak obniża się temperatura jego ciała. W końcu obraz ściemniał zupełnie, co świadczyło o tym, że ciało mężczyzny osiągnęło temperaturę rozrzedzonego powietrza.

Odwróciwszy głowę, Han dojrzał poruszające się sylwetki Kypa i Chewbaccy. Nieco dalej majaczył zarys wagoników, które widocznie nie wypromieniowały całego ciepła. Zrozumiał, że upiorne stworzenie, bez względu na to, czym było, wysysa albo pochłania energię i ciepło ciała, żywiąc się wszystkim, co może znaleźć w tych bezludnych, zimnych korytarzach.

– Prosto przed tobą, Chewie! – krzyknął. – Wsiadajcie do środka!

Zobaczył, jak Wookie zderzył się z metalową burtą pojazdu i raptownie zatrzymał. Po sekundzie ujrzał, jak Chewbacca wyciąga ręce i chwyta biegnącego Kypa, by ostrożnie umieścić go w wagoniku.

W tej samej chwili znów usłyszał za sobą klekot wielu kończyn zakończonych twardymi szponami, tym razem spieszących w jego stronę. Wiedział, że teraz kolej na niego. Puścił się biegiem, z trudem oddychając, potykając się na kamieniach i odłamkach skał i obijając o ściany, których nie mógł dostrzec nawet w podczerwieni. Poczul, jak krew w jego żyłach zamienia się w lodowatą wodę.

Zobaczył, jak Chewbacca na oślep przebiera palcami po pulpicie sterowniczym repulsorowego wagonika, starając się w mroku odnaleźć właściwy przycisk. Han wciąż biegł. Dźwięk ostrych jak sztylety szponów uderzających o kamienie stawał się coraz głośniejszy.

Zaryzykował i obejrzał się przez ramię. Chociaż słyszał, jak potwór za nim biegnie, by go pochwycić, w ciemnościach nie dojrzał zupełnie niczego.

Dotarł do wagonika i wskoczył do środka.

– Wciśnij POWRÓT, Chewie! – krzyknął. – Wciśnij jakikolwiek guzik!

Chewbacca w końcu uderzył w przycisk uruchamiający pojazd i wszystkie wagoniki obróciły się w miejscu, gotowe ruszyć w powrotną drogę.

Klekot galopujących kończyn, zakończonych jakby lodowatymi soplami, przybliżał się coraz bardziej. Wagoniki ruszyły i zaczęły nabierać prędkości, ale odgłosy ścigającej ich bestii wcale nie pozostawały w tyle. Han obejrzał się za siebie, ale nie zobaczył niczego nawet przez gogle umożliwiające widzenie w podczerwieni.

Nagle coś z dźwięcznym stukiem uderzyło o metalową krawędź ostatniego wagonika, który zaczął się kołysać na boki, a nawet uderzył o skalną ścianę, odpryskując z niej snop jasnych iskier. Wagoniki nie przestały jednak pędzić coraz szybciej.

Han usłyszał za plecami głuchy ryk, a później wszystkie odgłosy zaczęły stopniowo zamierać. Zrozumiał, że upiorny stwór zaniechał pościgu. Ciemności tunelu pochłonęły ich jak nieskończona mroczna pustka.

Han wiedział, że wagoniki kierują się automatycznie do cechowni. Chewbacca mruknął i wydał cichy ryk, zadając pytanie. Kyp siedział jak sparaliżowany, nie mogąc otrząsnąć się z przerażenia.

– Co widziałeś? – odezwał się w końcu.

– Sam chciałbym to wiedzieć – odparł Han. – Z pewnością nic takiego, co znałem kiedykolwiek przedtem w życiu.

Chewbacca poruszył się niespokojnie i sapnął, dając upust trapiącej go złości, irytacji, a przede wszystkim uczuciu wielkiej ulgi. Han westchnął.

– Zupełnie się z tobą zgadzam – powiedział. – Ja także uważam, że to nie był najmądrzejszy pomysł.

Rozdział 12

Luke Skywalker pokazywał Gantorisowi cuda wszechświata. Na pokładzie zmodyfikowanego wahadłowca Luke'a polecili na orbitę, skąd przywódca kolonistów mógł obserwować do woli planetę Eol Sha, skazaną na zagładę. Krążący zbyt nisko nad nieszczęsnym światem księżyc wisiał na tle świecących gwiazd niczym uniesiona maczuga.

Włączywszy silniki do lotów z prędkościami podświetlnymi, Luke przemknął obok jarzących się chmur gazów Mgławicy Kocioł, a Gantoris stał przy iluminatorze i przyglądał się chaotycznie wirującym wielobarwnym gazom. Później przelecieli przez dziurę wiodącą do innego wymiaru i pograżyli się w bezkresnej nadprzestrzeni, chcąc skrócić czas przelotu przez galaktykę.

Kierowali się ku Bepinowi.

Podczas tej podróży, nie urozmaiconej żadnymi wypadkami, Luke zaczął opowiadać Gantorisowi o Mocy i szkoleniu, jakie będą musieli przejść przyszli uczniowie studiujący w jego akademii. Przywódca kolonistów, teraz, kiedy już zgodził się na propozycję Luke'a, słuchał go z zapartym tchem, starając się z własnej woli zrozumieć dziwne echa i uczucia, jakie nawiedzały go od najwcześniejszych lat dzieciństwa.

Pomruk potężnych silników wahadłowca i przyprawiający o zawrót głowy widok abstrakcyjnych smug i wirów nadprzestrzeni sprzyjały rozpoczęciu ćwiczeń, których celem miało być rozbudzenie wrażliwości Gantorisa. Luke był bardzo zdziwiony jego umiejętnością koncentracji, która pozwalała mu zamknąć oczy i bez zwracania uwagi na cokolwiek innego poznawać własny umysł. Luke pamiętał, że w czasie swojego szkolenia Jedi bardzo często bywał niecierpliwy. Gantoris wychowywał się jednak w tak surowych warunkach, że dążył do celu z ponurą determinacją.

– Spróbuj wyjść poza samego siebie i wczuj się w swoje myśli, w swoje ciało – radził Luke. – Wczuj się we wszechświat, w którym jesteś. Moc otacza i przenika każdą żywą istotę i każdy przedmiot. Wszystko jest częścią czegoś innego.

Luke bardzo uważał na to, co każe robić Gantorisowi. Pamiętał, że jeszcze nie tak dawno sam był przez jakiś czas szkolony przez Obi-Wana Kenobiego. Później o wiele więcej czasu jego nauce poświęcił Yoda. Luke przeszedł także zakończone fiaskiem szkolenie u Joruusa C'baotha, a podczas pobytu u wskrzeszonego Imperatora zapoznał się z siłami ciemnej strony Mocy.

Nie mógł także zapomnieć o fakcie, że nauki Obi-Wana przemieniły Anakina Skywalkera w Dartha Vadera. Zastanawiał się, czy stworzenie następnego Vadera nie byłoby zbyt dużą ceną za wychowanie zastępu przyszłych Jedi. Pełne złowróżbnych znaczeń sny Gantorisa o mężczyźnie spowitym całunem mroku, który ukazywał mu siłę Mocy, a później niszczył, sprawiały, że Jedi czuł niepokój.

Kiedy wahadłowiec wyłonił się z nadprzestrzeni w pobliżu Bepina, Luke pomyślał, że Gantoris

będzie przytłoczony widokiem nie znanego świata. Ascetyczny mężczyzna jednak zachowywał się jak małe dziecko i spoglądał przez iluminator na skłębione chmury gazów tworzących planetę, na której kiedyś Lando Calrissian sprawował władzę w Mieście w Chmurach. Widok obracającej się gazowej kuli przypominał Luke'owi najstraszliwsze chwile jego życia. Czując ból, jaki sprawiły te wspomnienia, zacisnął powieki.

Gantoris, stojący w drzwiach do przedziału dla pasażerów, pochylił się ku niemu.

– Czy stało się coś złego? – zapytał. – Wyczułem płynącą od ciebie falę bardzo silnych emocji.

Luke zamrugnął.

– Udało ci się wyczuć coś takiego?

Gantoris wzruszył ramionami.

– Teraz, kiedy nauczyłeś mnie, jak czuć i słuchać, przyszło mi to bez większego trudu. Czym się trąpisz? Czy zagraża nam jakieś niebezpieczeństwo?

Luke otworzył oczy i spojrzał na planetę. Przypomnił sobie, jak kiedyś schwytano na niej jego przyjaciela, Hana Solo, a potem zamrożono w bryle karbonitu, by odesłać do Jabby Hutta. Pomyślał o pojedynku, jaki stoczył z Darthem Vaderem na pomostach i platformach Miasta w Chmurach. W trakcie tamtej walki stracił rękę. Pamiętał też najgorsze – głęboki głos Czarnego Lorda, oznajmiający mu przerażającą wieść: „Luke, ja jestem twoim ojcem!”

Luke wzdrygnął się, ale odwrócił, żeby spojrzeć w oczy Gantorisa.

– Mam wiele bolesnych wspomnień związanych z tym miejscem – odparł.

Gantoris nie odezwał się ani słowem. O nic więcej też nie zapytał.

W przestrzeni wokół Bospina krążyły górnicze konstrukcje – unoszące się zautomatyzowane rafinerie i przetwórnice, wystające ponad pułap chmur ogromne zbiorniki i instalacje, z pomocą których wychwytywano z obrzeży chmur cenne gazy. Pomimo silnego wiatru niemal się nie kołysały. Nie wszystkie z tych latających przedsięwzięć okazały się zyskowne. Szybujący w przestworzach gigantyczny kompleks górniczy Tibannopolis był teraz opuszczony jak wiele innych napowietrznych konstrukcji, zamieszkałych chyba tylko przez duchy.

Luke namierzył porzucone latające miasto na ekranie nawigacyjnym wahadłowca. Rdzewiejące urządzenia unosiły się nad chmurami, pociemniałymi przed nadciągającą burzą. Było widać, że wskutek uszkodzenia jednego z repulsorów cała konstrukcja odchyliła się od pionu.

– Czy właśnie tam lecimy? – spytał Gantoris.

Dach, ściany boczne i pomosty tworzące piętra Tibannopolis zostały przed laty rozebrane przez poszukiwaczy skarbów czy zwykłych szabrowników, łasych na każdy kawałek metalu. Pozostał szkielet tego, co było kiedyś, pełen odstających na wszystkie strony płyt, powyginanych kolumn i wsporników, podtrzymujących tę gigantyczną konstrukcję. Pod spodem widoczne były ogromne zbiorniki balastowe, teraz przedziurawione. Z miejsc spojeń belek i dźwigarów sterczało mnóstwo anten i skrzydełek czujników meteorologicznych.

– Musimy tam na kogoś poczekać – odparł Luke.

Osadził wahadłowiec na jednej z największych platform, która wyglądała dość solidnie i mogła utrzymać jego ciężar. Krzyżujące się belki wsporników pokryto grubymi płytami, pomalowanymi łuszczącą się teraz farbą. W kilku miejscach jednak krawędzie płyt wygięły się do góry i łączące je spoiny puściły.

Luke wyszedł z wahadłowca. Po chwili to samo zrobił i Gantoris. Długie ciemne włosy

mężczyzny, nie zaplecione w tej chwili w warkocz, rozwiewały się na wietrze wokół jego głowy niczym grzywa, ale przywódca kolonistów z Eol Sha stał, dumnie wyprostowany, nie przejmując się, że wręczony mu przez Luke'a zapasowy kombinezon lotniczy jest używany. W ciemnych oczach mężczyzny malowało się podniecenie.

W szkielecie konstrukcji Tibannopolis jęczał i zawodził wicher. Zardzewiałe dźwigary skrzypiały i trzeszczały, ocierając się o siebie w miejscach złączeń. W powietrzu czuło się gorzką woń śladowych ilości cennych gazów ulatujących aż na tę wysokość.

W ziejących pustką miejscach, z których usunięto płyty, było widać gromady czarnych stworzeń o trójkątnych łbach, gnieźdzących się na obnażonych belkach. Kiedy Luke i Gantoris zaczęli oddalać się od wahadłowca, kilka tych istot, podobnych do ptaków, poruszyło się niespokojnie i nastroszyło połyskujące, jakby skórzane skrzydła, kłapiąc dziobami i wydając chrapliwe, skrzeczące dźwięki.

Chmury w przestworzach pod Tibannopolis i wokół miasta przybrały ciemnoszarą barwę, zwiastując nadciąganie burzy. Od czasu do czasu w dole przecinała je jaskrawa błyskawica.

– I co teraz? – odezwał się Gantoris.

Luke z westchnieniem powrócił do wahadłowca i wyłonił się z przedziału dla pasażerów, niosąc kilka nadmuchiwanym materacy i śpiworów.

– Spędziliśmy dwa dni, zamknięci we wnętrzu tego statku – powiedział. – Nie wiem, kiedy Streen wróci, a przyda się nam trochę odpoczynku.

– Streen?

– Mężczyzna, na którego czekamy – odparł Luke.

Burza, która szalała niemal przez całą noc, zmyła wszystkie odsłonięte miejsca w Tibannopolis. Na konstrukcjach nośnych ukazały się świeże plamy rdzy i śniedzi. Luke i Gantoris znaleźli schronienie w jednym ze zrujnowanych domów i spędzili ten czas na podłodze, nachylonej z powodu awarii repulsora bezpieczeństwa miasta.

Luke pograżył się w transie Jedi, gdyż w ten sposób mógł lepiej wypocząć niż śpiąc. Prawie nie zwracał uwagi na to wszystko, co działo się wokół niego. Zostawił jednak w świadomości niewielkie okno, żeby w razie potrzeby móc wyrwać się z transu jak najszybciej.

Zaskoczył go Gantoris.

– Luke, wydaje mi się, że ktoś się zbliża – oznajmił w pewnej chwili. – Czuję to.

Luke natychmiast się ocknął i usiadł prosto w metalowej niszy, która służyła im obu za schronienie, a potem spojrzał przez otwór na kłębiące się chmury, jakby zmyte przez ulewę. Wykrycie obecności zbliżającego się człowieka zajęło mu tylko krótką chwilę. Był jednak zaskoczony, że chociaż przybysz znajdował się dość daleko, Gantoris też go wyczuł.

– Ćwiczyłem – wyjaśnił przywódca kolonistów. – Sięgałem umysłem na zewnątrz i starałem się widzieć za pomocą myśli. Wokół nas nie ma niczego, co mogłoby mnie rozpraszać.

– Dobra robota. – Luke starał się nie okazać, jak bardzo jest zadowolony, ale nie potrafił tego ukryć. – To właśnie na niego czekaliśmy.

Wyteżył wszystkie zmysły, żeby skupić się na czarnym przedmiocie, który ujrzał w przestworzach na tle kłębiących się obłoków. Zobaczył zdumiewającą zbieraninę powiązanych ze sobą platform i bulwiastych zbiorników gazów utrzymywaną w powietrzu przez balony. Całość napędzana była za pomocą sterczących na wszystkie strony śmigieł, z których jedynie dwa się obracały. Ten sklecony byle jak wehikuł, popychany siłą wiatru, kierował się w ich stronę.

Luke uśmiechnął się na widok dziwnego powietrznego statku, ale Gantoris spoglądał na zjawisko wyraźnie zdumiony. Nawet z tej odległości można było dostrzec sylwetkę samotnego mężczyzny stojącego za sterami i patrzącego, jak podmuchy wiatru marszczą powierzchnię żagli, umocowanych do krawędzi bocznych głównej platformy i utrzymujących statek na właściwym kursie. Streen, samotny poszukiwacz cennych gazów, wracał do domu.

Luke i Gantoris udali się na platformę ładowniczą i czekali tam na przylot mężczyzny. Kiedy zbieranina pojemników na gaz, balonów i pomostów znalazła się nieco bliżej, Streen w końcu ich zauważył.

Nie wypuszczając sterów statku, zmienił kurs i okrążył ruiny opustoszałego miasta, jakby obawiał się lądowania. Kiedy jednak ujrzał, że intruzów jest tylko dwóch, uspokoił się i korzystając z pomyślnego wiatru, skierował swój statek ku platformie.

Nie osiadł na niej jednak, tylko doprowadził dziwny statek w jej pobliże, a potem przywiązał go do wspornika podtrzymującego jakąś belkę. Luke pochwycił rzucony w jego stronę łańcuch, wykonany z jakichś mocnych włókien, i pomógł Streenowi zabezpieczyć wehikuł.

Nikt się nie odzywał. Streen rzucał w ich stronę ukradkowe podejrzliwe spojrzenia.

Luke popatrzył na pustelnika. Streen był starszym mężczyzną, a siwe włosy w jego brodzie mieszały się z kasztanowymi, nadając jej w efekcie mleczną barwę. Poszukiwacz miał na sobie zniszczony kombinezon z naszytymi wieloma kieszeniami, w których ukrywał jakieś przedmioty.

Kiedy mężczyzna stanął na platformie ładowniczej, cztery podobne do ptaków stworzenia, które aż do tej chwili siedziały na występach platformy, zbiornikach na gazy czy wentylacyjnych kominach dziwnego statku, poderwały się do lotu, by po kilku chwilach opaść na wsporniki i dźwigary szybującego w przestworzach miasta.

– W Tibannopolis od lat nikt nie mieszka – odezwał się pustelnik. – Dlaczego tu przybyliście?

Luke wyprostował się i spojrzał w oczy mężczyzny.

– Przybyliśmy tu po ciebie – powiedział.

Gantoris stał cierpliwie u boku Luke'a, czując się trochę nieswojo w nowej roli. Porwany jego wizjami odrodzenia zakonu Jedi, z nadzieją na rozwinięcie sił, z których mogą korzystać rycerze władający Mocą, przyłączył się do Skywalkerów, by się uczyć.

Tymczasem jednak musiał słuchać, jak Skywalker opowiada Streenowi o planach zorganizowania akademii i potrzebie wybrania właściwych kandydatów, którzy mogliby mieć talent do władania Mocą. Przyglądał się sceptycznemu wyrazowi twarzy mężczyzny. Pewnie sam tak wyglądał, kiedy usłyszał o akademii po raz pierwszy. Jeżeli poszukiwacza nie dręczyły podobne mroczne sny czy przeczucia, powinien zachowywać się z mniejszą rezerwą niż kiedyś Gantoris.

Streen przykucnął na porzewiałej płycie platformy ładowniczej i zanim odpowiedział, zmrużył oczy i popatrzył w niebo.

– Ale dlaczego ja? – zapytał. – Dlaczego wybraliście właśnie mnie?

Nie odpowiadając mu, Luke zwrócił się do Gantorisa.

– Na różnych pułapach atmosfery, która otacza Bespin, można znaleźć wiele cennych substancji. Latające miasta są gigantycznymi kompleksami wydobywczo-przetwórczymi. Pozostają one w tym samym miejscu, zasysając gazy docierające pod same chmury. Streen jednak jest aktywnym poszukiwaczem. Zdarzają się chwile, kiedy na skutek jakiejś burzy lub innego silnego zaburzenia atmosferycznego tworzy się wielki bąbel unoszących się cennych gazów i czeka na znalazcę, by go

wessał. Wówczas pojawia się Streen na statku ze zbiornikami i zbiera najcenniejsze substancje.

Wokół Bospina krąży wiele satelitów, wyposażonych w nowoczesne komputery, wykrywających te turbulencje i kierujących ku nim ekipy górników, ale Streen zawsze dociera do skarbu pierwszy. W jakiś sposób wie o tym, gdzie i kiedy ma się utworzyć taki bąbel. Żegluje tam i czeka we właściwym miejscu, żeby wessać do zbiorników to, co się uniesie, a później jak najszybciej sprzedać niezależnym rafineriom.

Skywalker przykucnął obok pustelnika.

– Powiedz mi, Streen, w jaki sposób się dowiadujesz, że cenny bąbel ma właśnie gdzieś unieść się pod chmury? Jakim cudem zdobywasz takie informacje?

Streen zamrugnął i niespokojnie się poruszył. Wyglądał w tej chwili na bardziej przerażonego niż wówczas, gdy po raz pierwszy zobaczył obcych mężczyzn czekających na niego na platformie ładowniczej.

– Ja... po prostu wiem – odparł w końcu. – Nie potrafię tego wytłumaczyć.

Skywalker się uśmiechnął.

– Każdy może w większym czy mniejszym stopniu władać Mocą, ale tylko niektórzy mają do tego wrodzony talent. Kiedy uda mi się stworzyć akademię, będę chciał najściślej współpracować z tymi, którzy mają największe zdolności, ale nie wiedzą, w jaki sposób korzystać z Mocy. Gantoris jest pierwszym takim kandydatem. Myślę, że ty powinieneś być następnym.

– Poleć z nami – dodał Gantoris. – Pomyśl, ile rzeczy będziesz mógł osiągnąć, jeśli Skywalker ma rację!

– Jakim cudem możecie być pewni, że jestem dobrym kandydatem? – zapytał Streen. – Zawsze myślałem, że mam po prostu duże szczęście.

– Pozwól, że dotknę twojej głowy – odparł Skywalker.

Streen się nie cofnął, więc Luke wyciągnął na próbę rękę i lekko przyłożył je do skroni mężczyzny. Gantoris nie mógł zrozumieć, co robi Skywalker, dopóki nie przypomniał sobie testu, który Luke przeprowadził kiedyś na nim w komorze wypełnionej płynną lawą.

Przez chwilę na twarzy skoncentrowanego Luke'a nie malował się żaden wyraz. Później Jedi szarpnął się do tyłu, jakby oparzony niewidzialnym ogniem.

– Teraz jestem pewien, Streen – oświadczył. – Naprawdę masz talent. Nie musisz niczego się obawiać.

Poszukiwacz wyglądał jednak na zdenerwowanego.

– Osiedliłem się w tym miejscu, ponieważ musiałem być sam – odezwał się po chwili. – Nie czuję się dobrze w towarzystwie ludzi. Czuję, jak ich obecność mnie przytłacza. Lubię ludzi. Jestem sam, ale... To wszystko jest dla mnie strasznie trudne. Kiedy dostarczam im cenne gazy, z trudem znoszę ich wokół siebie. Uciekam od nich, jak najszybciej mogę.

Przed siedmioma czy ośmioma laty, kiedy władzę w Mieście w Chmurach przejęło Imperium, wszystkie sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. Ludzie byli podnieceni. W ich myślach wyczuwałem zupełny chaos. – Popatrzył z przerażeniem na Skywalkera. – Od ośmiu lat nie spędzam dużo czasu w towarzystwie ludzi.

Gantoris mógł wyczuć, że trwoga, promieniująca z pustelnika, zaczyna przeradzać się w panikę, ale w chwili, w której był niemal pewien, że Streen odmówi, Skywalker uniósł rękę.

– Zaczekaj – powiedział. – Dlaczego nie miałbyś najpierw przyjrzeć się, jak ćwiczymy? Może wówczas będzie ci łatwiej zrozumieć, o czym mówię.

Streen kiwnął głową, zadowolony, że ma wyjście, które nie wymaga od niego podjęcia natychmiastowej decyzji. Spojrzał w stronę platform i zbiorników na gazy, unoszących się na wietrze, i poczuł niemal fizyczny ból, jakby żałował, że w ogóle powracał do Tibannopolis. Gantoris wyczuwał echo uczuć mężczyzny, pośród których dominowała tęsknota za wolnością, jaką cieszył się w przestworzach Bepinu, i ulga, jaką znajdował w samotności.

– Pokaż mi jakieś nowe ćwiczenia Jedi, mistrzu – powiedział przywódca kolonistów z Eol Sha. – Naucz mnie czegoś nowego.

Skywalker wyglądał, jakby chciał się skrzywić, kiedy usłyszał, że nazwano go mistrzem, a Gantoris, widząc to, zaczął się zastanawiać, w którym miejscu popełnił błąd. Czy Luke nie był mistrzem Jedi? Jeżeli tak, w jaki inny sposób miałby się do niego zwracać?

Skywalker gestem dał mu znak, że nie chce mówić na ten temat. Pokazał gęszcz wsporników i pordzewiałych metalowych belek, pośród których uwiły gniazda całe stada czarnych, skrzydlatych stworzeń, podobnych do ptaków. Niektóre skrzeczały i stroszyły błyszczące pióra, inne przelatywały z miejsca na miejsce, niesione podmuchami wiatru. Kłęby ciemnych chmur w dole zwiastowały zbliżanie się następnej burzy.

– Te latające stworzenia – odezwał się Skywalker – wykorzystamy w naszym ćwiczeniu.

Streen zeszytniał. Na jego rumianej twarzy odmalowało się zaniepokojenie.

– Hej, nie róbcie moim rawwkom niczego złego! – powiedział i natychmiast spuścił wzrok, zakłopotany swoim wybuchem. – W ciągu tych wszystkich lat były moimi jedynymi przyjaciółmi.

– Nie wyrządzimy im żadnej krzywdy – zapewnił go Skywalker. – Popatrz tylko.

Zniżył głos i zwrócił się do Gantorisa, jakby udzielał mu wskazówek.

– To miasto jest skomplikowaną konstrukcją. Każdy dźwigar i belka, każda metalowa płyta, każda forma życia, począwszy od unoszących się na wietrze alg, a skończywszy na tych rawwkach, wszystko, co nas otacza, ma swoje miejsce w Mocy. Rozmiary nie mają znaczenia. Najmniejsze owady czy całe latające miasta – wszystko jest integralną częścią całego wszechświata. Musisz czuć to, odbierać zmysłami.

Kiwnął głową w stronę porzuconych konstrukcji, które ich otaczały.

– Chcę, żebyś spojrział na to miasto i wyobraził sobie, w jaki sposób wszystkie jego składniki tworzą całość. Chcę, byś dosięgnął myślą tych wsporników, a później powiedział mi, czy czujesz, jak jeden element łączy się z sąsiednim. Kiedy będzie ci się wydawało, że odnalazłeś w myślach obszar, w którym dźwigar i rawwk stykają się ze sobą, chciałbym, żebyś wyciągnął myślowy palec i popchnął to miejsce. Postaraj się przynajmniej wzbudzić w nim wibracje.

Skywalker oparł wskazujący palec na kciuku i wyciągnął poziomo rękę, jakby chciał pokazać samotnego rawwka siedzącego na samym końcu skrzydełka czujnika meteorologicznego. Potem pstryknął palcem, niby odpędzając komara, a Gantoris usłyszał odległy dźwięk, podobny do odgłosu uderzenia metalem o metal. Wystraszony rawwk odleciał, rozpaczliwie machając skrzydłami i skrzecząc z przerażenia.

Gantoris zachichotał i zapragnął jak najszybciej wykonać ćwiczenie. Pstryknął palcem dokładnie w ten sam sposób, jak przed chwilą zrobił Jedi. Wyobraził sobie, że całe stado rawwków poderwie się do lotu... nic jednak się nie stało.

– To nie takie proste – odezwał się Skywalker. – Nie koncentrujesz się. Najpierw pomyśl, potem wyobraź sobie, że to robisz, gorąco zapragnij sukcesu... a później wybiegnij w tamto miejsce myślą.

Traktując tym razem ćwiczenie poważniej, Gantoris zacisnął usta i zmrużył oczy. Przyglądał się

wybranemu miejscu. Jako cel obrał delikatną, rozgałęzioną antenę, na której siedziało teraz pięć rawwków. Wyobraził sobie antenę i wiedząc, co zamierza osiągnąć, zaczął się w nią wpatrywać. Później głęboko odetchnął i wyciągnął ku niej palce myśli. Wciąż jeszcze nie bardzo wiedział, co robi, ale poczuł, jak jego myśli wybiegają poza niego, wykonują jakąś pracę... jakby łącząc jego i antenę fizyczną więzią.

Zobaczył, że antena nieznacznie się poruszyła. Siedzące na niej rawwki zachwiały się, ale nie odleciały. Ktoś, kto przyglądałby się całej scenie, mógłby przysiąc, że zmienił się kierunek wiatru, ale Gantoris był przekonany, że to jego dzieło.

– Jak na pierwszy raz, całkiem nieźle – pochwalił go Luke. – Miałeś dobre chęci, ale teraz zamknij oczy. Pozwalasz, żeby twoje spojrzenie cię oślepiało. Wiesz, w którym miejscu znajduje się antena i gdzie siedzą na niej rawwki. Skorzystaj z Mocy i wycuj obszar, w którym te dwie rzeczy się stykają. Nie musisz mieć otwartych oczu, by je widzieć. Skup się, skoncentruj. Wczuj się w to, co chcesz zrobić. Bądź pewien, że ci się uda.

Nie kryjąc sceptycyzmu, Gantoris zamknął oczy, ale kiedy się skoncentrował, przekonał się, że naprawdę dostrzega w myślach niewyraźne zarysy tego, na co patrzył przed kilkoma sekundami. Wydało mu się, że widzi pozostałości obrazu, utrwalone w jego mózgu przez Moc, która delikatnymi wiciami promieniuje z niego i łączy go ze wszystkimi żyjącymi istotami i przedmiotami.

Wyciągnął rękę ku antenie i chciał znów pstryknąć palcami, ale się zawahał. Uświadomił sobie, że i ta czynność wcale nie jest mu potrzebna. Pstryknięcie palcami było tylko nic nie znaczącym gestem, który Skywalker wykonał, by podkreślić wagę swoich słów. Jakikolwiek inne czynności, czy to machanie rękami, czy też wymawianie półgłosem zaklęć, były tylko bezużytecznymi ozdobnikami. By osiągnąć to, co chciał, musiał tylko zrozumieć istotę Mocy.

Zadowolony z tego nieoczekiwanego odkrycia, Gantoris, z zamkniętymi oczami, splótł ręce na piersi. Spróbował wyczuć antenę i wyobrazić sobie, jak uderza paznokciem w twardy metal, a potem pstryka palcem. Usłyszał w głowie metaliczny stuk i otworzył oczy, by zobaczyć, jak wszystkie rawwki podrywają się do lotu, głośno kracząc, jakby obwiniały się nawzajem o to, co się stało.

– Dobrze! – odezwał się Skywalker. – Jestem z ciebie naprawdę dumny. Myślałem, że sprawi ci to większą trudność.

Nie przestając się uśmiechać, odwrócił głowę i popatrzył na Streena, który przyglądał się im bez słowa.

– Czy nie zechciałbyś teraz ty spróbować? Wiem, że mógłbyś. Pokazałbym ci, jak to robić.

Poszukiwacz się zawahał.

– Nie, ja... Nie sądzę, by udało mi się tego dokonać.

– To nie takie trudne, jak się wydaje – rzekł Gantoris. – Poczujesz się tak, jakby wstąpiła w ciebie inna siła.

– Nie chcę – powiedział Streen, unosząc ręce w obronnym geście. Później spuścił wzrok i poklepał się po wypchanych kieszeniach kombinezonu, jakby szukając w nich czegoś, ale nie spodziewając się, że znajdzie. Gantoris pomyślał, że te gesty są tylko oznaką roztargnienia.

Streen przełknął ślinę i popatrzył znów na Luke'a.

– Jeżeli nauczysz mnie, w jaki sposób posługiwać się tym dodatkowym.. zmysłem, który mam, czy także powiesz mi, jak z niego nie korzystać? Chciałbym nauczyć się, jak nie czuć otaczających mnie ludzi, którzy bombardują mnie swoimi nastrojami, wścibskimi myślami i niedowarzonymi pomysłami. Jestem zmęczony, mając rawwki za jedynych towarzyszy życia. Bardzo chciałbym znów

stanowiąć część ludzkiej rasy.

Skywalker poklepał go po ramieniu. W ciemnym kombinezonie sprawiał wrażenie dobroczynnego boga.

– Mogę cię tego nauczyć – powiedział.

Luke patrzył, jak Streen przecina splecione z włókien łańcuchy łączące jego napowietrzny, sklecony byle jak statek z platformą ładowniczą Tibannopolis. Kiedy skończył, chwycił za belkę i chociaż nie było to konieczne, odepchnął go od lądowiska. Pozbawiona sternika zbieranina platform, zbiorników na gazy, śmigieł i balonów odsunęła się od platformy i po chwili została uniesiona przez jakiś powietrzny wir.

Streen opróżnił kieszenie kombinezonu i popatrzył na Skywalkera.

– Teraz wiem, że już tu nie powrócę – powiedział. – Dawne życie się skończyło.

Wszyscy trzej weszli na pokład pasażerskiego wahadłowca Luke'a i przygotowali się do odlotu z Bospina. Skywalker był nie tylko rad, że w końcu opuszcza gazową planetę, z którą łączyło go tyle mrocznych wspomnień, ale przede wszystkim cieszył się, że oba miejsca w przedziale dla pasażerów są zajęte; że znalazł dwóch kandydatów do swojej akademii Jedi.

Oderwał wahadłowiec od platformy, a później zaczął szybko wznosić się na orbitę. Pod nimi było widać samotnie lecący statek Streena, jak zdany na łaskę powietrznych prądów, kieruje się w przeciwną stronę, z każdą chwilą powiększając odległość dzielącą go od opuszczonego miasta.

Streen wyglądał przez okno przedziału dla pasażerów, a na jego twarzy malował się taki smutek, że Luke współczuł mu z całego serca. Zostające w dole Tibannopolis było teraz rzeczywiście wyludnione.

Nagle Luke dostrzegł coś zdumiewającego. Miasto ożyło, gdy nagle całe stada małych czarnych kształtów poderwały się w górę. Dziesiątki, setki tysięcy rawwków, w których towarzystwie Streen spędził tyle lat w opuszczonym mieście, w tej samej chwili poderwało się do lotu. Odlatywały ze zniszczonej metropolii, zbierając się w przestworzach w ogromne stado, które w miarę jak przyłączały się wciąż nowe stworzenia, stawało się coraz większe, by w końcu unieść się ponad chmury jak gdyby w geście pożegnania.

Streen, który wszystko obserwował przez okno, uśmiechnął się na ten widok.

Rozdział 13

Skynxnex wsunął nowy magazynek, uśmiechnął się do swojego dwulufowego blastera, a później schował go do kabury.

– Dzięki, Moruth – powiedział. – Zobaczysz, że nie pożałujesz swojej decyzji.

Doole zaczął stukać gąbczastymi palcami o blat biurka byłego naczelnika więzienia. Jeden z opalizujących owadów wciąż latał w wielkim biurze, obijając się raz po raz o transpastalową szybę ogromnego okna.

– Tylko postaraj się, żeby nie wynikło z tego jeszcze większe zamieszanie – powiedział. – Chcę, żeby Han Solo zniknął bez najmniejszego śladu. Chcę też, żeby nikt nie dowiedział się, że tu był. Lada chwila Nowa Republika przyśle tu kogoś, kto będzie wtykał nos w nasze sprawy. Musimy być absolutnie czysti. Czy osłona energetyczna jest już sprawna?

– Mamy sprawdzać ją dzisiaj rano – odparł Skynxnex. – Nasi inżynierowie są przekonani, że będzie działała bez zarzutu. Do tego czasu Solo i Wookie będą martwi. Daję ci na to moje słowo.

Mięsiste wargi Doole'a wywinęły się jak zdeformowana gumowa uszczelka.

– Tylko żebyś nie bawił się przy tej okazji za dobrze – powiedział.

Skynxnex odwzajemnił uśmiech i odwrócił się, by wyjść z biura. Jego czarne oczy błyszczały z podniecenia.

– Tylko tyle, ile będzie konieczne – odrzekł.

Wagoniki górnicze mknęły tunelem, pogrążonym w absolutnych ciemnościach. Nie mając innego wyboru, Han musiał zdać się na komputerowy system nawigacyjny.

Chewbacca odnalazł guzik akceleratora i przyciskał go raz po raz, chcąc oddalić się od wielonogiego potwora, kryjącego się w głębi kopalni.

Han kurczowo trzymał się burt wagonika zbielełymi z zimna i przerażenia palcami. Za każdym razem, kiedy wyczuwał, że przelatują obok otworu jakiegoś poprzecznego korytarza, uszami wyobraźni słyszał chrzęst i klekot wielu odnóży o ostrych jak sztylety szponach wyciągających się ku niemu, żeby wyrwać go z wnętrza wagonika.

– Nasz komputer kieruje wagonik do cechowni – stwierdził Kyp. – W tym może się kryć szansa ucieczki.

– A dokąd indziej miałby nas kierować? – zapytał Han. Czuł, że jego serce wali jak młotem. Chewbacca ryknął pytająco, a Han przetłumaczył: – Czy znasz jakąś inną drogę wyjścia z tego labiryntu?

– Nie znam – odparł chłopak. – Ale może udałoby mi się jakąś znaleźć.

– Nie wiem jak ty, ale ja nie zamierzam błąkać się w tych mrocznych tunelach i po omacku szukać

wyjścia na powierzchnię – powiedział. – A przynajmniej nie teraz, kiedy wciąż może nas ścigać tamten potwór.

Myśl o śmierci z zimna w szponach bestii żywiącej się energią sprawiła, że nawet perspektywa spędzenia wielu lat w kopalniach przyprawy mimo wszystko nie wydawała się taka straszna.

Zanim jednak mieli czas opracować jakiś plan, ich wagoniki zatrzymały się na końcowej stacji, a ciężkie metalowe wrota zasunęły się za ich plecami. Patrząc przez okulary umożliwiające widzenie w podczerwieni, Han dostrzegł obok wrót w przeciwległej ścianie tablicę kontrolną z wieloma przyciskami. Czując, że ma kolana jak z waty, a jego dłonie drżą niczym galareta, podszedł do tablicy i wcisnął guzik uruchamiający wrota cechowni.

Oślepieni jasnym światłem, trzej ocaleni więźniowie przeszli przez próg, podtrzymując się nawzajem, chociaż to raczej Chewbacca niemal niósł we włochatych rękach Hana i Kypa.

Han nic nie widział, więc uniósł dłoń do oczu i ściągnął gogle, pozwalając, by wisiały na jego szyi.

– Szef Roke nie żyje – odezwał się chrapliwie, nie zwracając się właściwie do nikogo. – W tunelach mieszka potwór. Zaatakował strażnika. Tylko cudem udało się nam uciec.

– Han – odezwał się ostrzegawczo Kyp.

Han z trudem starał się zogniskować spojrzenie. Słyszał szuranie butów ludzi chodzących po cechowni, ale w jaskrawym świetle widział tylko zamazane postacie. W końcu jednak udało mu się odróżnić pośród nich sylwetkę wysokiego i szczupłego, pokraccznego ciemnowłosego mężczyzny o zapadniętych oczach i twarzy przypominającej czaszkę.

– Cieszę się, że wróciłeś, Solo – odezwał się Skynxnex z drugiego końca sali. Z kabury na biodrze wyciągnął dwulufowy blaster.

Han miał wrażenie, że wszystko wokół niego dzieje się w zwolnionym tempie. Nie ochłonął jeszcze po dawce adrenaliny, jaką jego organizm otrzymał w czasie pełnej trwogi ucieczki. Ujrzał wyciąganą broń, zobaczył Skynxnexa i uśmiezek na jego trupiej twarzy. Zrozumiał, że siepacz Doole'a przybył, by go zabić.

Nie tracąc ani sekundy, Han odwrócił się i pchnął Chewbaccę.

– Wracamy, Chewie! – krzyknął. – Musimy się stąd wynieść!

Schwycił Kypa i niemal przeniósł go przez próg sali. Chewbacca ryknął i także rzucił się ku pomieszczeniu z górniczymi wagonikami.

– Hej! – krzyknął Skynxnex i ruszył ku nim, pokonując długimi susami dzielącą ich odległość.

Han nacisnął rozpaczliwie guzik na tablicy kontrolnej i zatrzasnął wrota dosłownie przed jego nosem.

– Nie minie sekunda, a domyśli się, jaki jest kod dostępu – powiedział. – Wsiadajcie do wagoników!

I sam, nie zwracając uwagi na to, że wagonik zakołysał się pod jego ciężarem, Han wskoczył na fotel pilota.

– Wygląda na to, Kyp, że jednak będziemy musieli skorzystać z twojej rady – odezwał się do siedzącego obok niego młodzieńca.

Włączył repulsorowy napęd wagoników. Usłyszał, jak ktoś po drugiej stronie ciężkich wrót uderza w metal, a później zaczyna strzelać z blastera, zapewne chcąc stopić przeszkodę. Widocznie Skynxnex zamierzał w ten sposób przedostać się na drugą stronę. Musieli jak najszybciej schronić się we względnie bezpiecznych ciemnościach tuneli.

Han uruchomił komputerowy system nawigacji, po czym skierował wagoniki ku wewnętrznym wrotom, które z głośnym zgrzytem zaczęły się rozsuwać. Wagoniki nabierały prędkości, kierując się ku temu samemu głównemu tunelowi, którym lecieli zaledwie kilka minut wcześniej w przeciwną stronę.

– Nie podoba mi się, że musimy tam wracać – powiedział. Chewbacca ryknął coś w odpowiedzi, a Han kiwnął w ciemnościach głową. – Tak, ale jeszcze mniej podoba mi się śmierć od strzału z blastera.

– Znasz Skynxnexa? – zapytał Kyp, odzyskawszy w końcu zdolność mowy.

– Tak, jesteśmy dobrymi znajomymi – odparł Han. – To właśnie dlatego chciał mnie zabić.

Unoszące się nad ziemią wagoniki przemknęły przez nie do końca rozsunięte wrota w tej samej chwili, kiedy płyta wrót cechowni się stopiła, przepuszczając do długiego pomieszczenia promień światła.

– Wyprzedzamy ich co najwyżej o minutę – rzekł Han. Nasunął na oczy gogle umożliwiające patrzenie w podczerwieni, mógł zatem teraz lepiej widzieć pulpity sterownicze wagonika, ale współrzędne widniejące na ekranie nic mu nie mówiły. Jediną znaną mu drogą na powierzchnię była ta, która wiodła przez wielką salę.

– Masz jakiś pomysł, Kyp? – zapytał.

– Jesteśmy na automatycznie zaprogramowanym kursie – odparł młodzieniec. – Gdybym miał trochę więcej czasu i wziął się w garść, zapewne mógłbym odnaleźć jakąś inną drogę.

– Nie stać nas na taki luksus.

Przemknęli przez ciężkie wrota, które jednak nie zamknęły się za nimi. Usłyszeli świst wiatru, gdyż Han nie przestawał naciskać guzika akceleratora. Zza pleców dobiegły ich okrzyki strażników sadowiących się w innych wagonikach. Han pochylił się nad pulpitem sterowniczym, ale ich skład osiągnął już maksymalną prędkość.

Han obawiał się samemu prowadzić wagoniki, nie widząc nic wokół siebie i nie znając labiryntu podziemnych tuneli i korytarzy. Musiałby liczyć na to, że uda mu się oddalić od Skynxnexa tak bardzo, iż tamten nie będzie go mógł znaleźć... ale co później? Z pewnością zgubią się w płątaninie zimnych i ciemnych korytarzy. A poza tym ile jeszcze takich potwornych wielonożnych stworzeń czyhało na nich w innych mrocznych zakamarkach?

Za plecami usłyszeli świst goniących ich wagoników. Skład Hana zawierał trzy pojazdy unoszące trzy osoby, ale ciągnął je tylko jeden wagonik. Jeżeli Skynxnex i jego ludzie wzięli po jednym wagoniku, z pewnością mogli lecieć tunelem szybciej niż oni. Już wkrótce będą mieli uciekinierów w zasięgu blasterowego ognia.

– Solo! – zagrział Skynxnex.

– Trzymajcie się! – odezwał się nagle Kyp.

Han instynktownie uchwycił się burty wagonika w chwili, w której komputerowy system nawigacyjny nakazał wagonikom pokonanie ostrego zakrętu, a później coraz szybszy lot w głąb tunelu. Zanim Han zdążył pomyśleć, czy może udało się im zgubić prześladowców, usłyszał za plecami skowyt repulsorowych silników, świadczący o tym, że ścigający ich ludzie znajdują się coraz bliżej.

– Jestem gotów do przyjęcia wszelkich propozycji – oświadczył.

Obejrzał się przez ramię i przez okulary umożliwiające widzenie w podczerwieni dostrzegł niewyraźną sylwetkę Skynxnexa i dwa inne wagoniki pilotowane przez jego ludzi. Był pewien, że

prześladowcy widzą ciepło jego ciała na tle zimnych ścian tunelu tak samo dobrze.

Chewbacca położył ciężką rękę na ramieniu Kypa, nakazując mu schronić się w głębi pierwszego wagonika, a sam sięgnął poza tylną burtę swojego. Wychylił się i zaczął szukać zaczepu mocującego trzeci pojazd. Skynxnex i dwaj strażnicy byli coraz bliżej. Warknąwszy na nich, Chewbacca rozłączył magnetyczne sprzęgło.

Niespodziewanie odczepiony pusty wagonik niemal natychmiast zaczął koziółkować po dnie tunelu. Skynxnex krzyknął i szybko poderwał swój pojazd, żeby przeskoczyć nad przeszkodą. Lecący za nim strażnicy skręcili ostro w lewo i zderzyli się ze sobą, ale udało im się utrzymać dotychczasowy kurs. Nie przestali ścigać uciekinierów.

– Niezły pomysł, Chewie – odezwał się Han.

Skynxnex wyciągnął swój zmodyfikowany dwulufowy blaster, odbezpieczył go i wymierzył. Kiedy strzelił, z obu luf wyskoczyły strumienie światła i skrzyżowały się w niewielkiej odległości od wylotów. Oba promienie złączyły się w jeden, ale dzięki różnicy faz utworzył się ciąg przerw i oślepiająco jasnych smug, z których każda była świetlnym impulsem o energii dziesięciokrotnie większej od tej, jaką zawierałby pojedynczy promień. Choć broń sprawiała efektowne wrażenie, jej wadą była kiepska celność, dlatego inni użytkownicy – a wśród nich nawet bezwzględni kryminaliści – wybierali bardziej celne blastery.

Seria impulsów przecięła ciemności i trafiła w sklepienie tunelu przed uciekinierami. Eksplozja światła i ciepła oślepiła Hana, który nie zdążył zamknąć oczu osłoniętych goglami. Dziwnym trafem Kyp zareagował najszybciej i szarpnięciem skierował wagoniki pod ścianę. Dzięki temu ominęli lawinę skał, odłupanych ze sklepienia przez strzał Skynxnexa, tak że posypały się na nich tylko małe kamyki.

– Czy nikomu się nic nie stało? – zapytał Han.

Chewbacca warknął.

– Na razie – odparł Kyp.

Han odwrócił się i ujrzał, jak Skynxnex bez trudu przelatuje nad skalnym rumowiskiem, które utworzyło się po jego strzale. Spadające ze sklepienia kamienie i odłamki skaty trafiły jednak następny wagonik, który zakołysał się na boki, jakby jego system nawigacyjny został uszkodzony. Wehikuł kilka razy odbił się od ścian tunelu, krzesząc snopy iskier, a potem eksplodował, posyłając na wszystkie strony kawałki rozżarzonego metalu.

– O jednego mniej – stwierdził Kyp.

Od strony wylotu rozgałęzienia tunelu znajdującego się przed nimi dobiegło nagle jakieś echo. Han odwrócił się w tamtą stronę i przez gogle pozwalające mu widzieć w podcierwieni zobaczył jarzące się kształty karawany innych wagoników. Uciekinierzy przemknęli obok wylotu w tej samej chwili, w której miał się z niego wyłonić sznur pojazdów wypełnionych ludźmi.

– Wezwali posiłki – mruknął przerażony.

Jednak kiedy obejrzał się, zauważył, że wszystkie wagoniki są połączone. Musiała to być zatem jakaś ekipa górników powracających do cechowni po skończonej pracy.

Skynxnex i pozostały strażnik z trudem wyminęli tę grupę. Ich latające wagoniki przemknęły górą, a pęd powietrza wyssał trzech nieszczęsnych górników z miejsc i wyrzucił ofiary w ciemnym tunelu. Przerażony pilot składu skręcił na bok i wbił swój wehikuł w skalną ścianę.

Wagonik Skynxnexa zawirował, ale jemu samemu udało się utrzymać w fotelu. Towarzyszący mu strażnik poradził sobie jeszcze lepiej, gdyż kiedy obaj zaczęli się oddalać od miejsca katastrofy

i krzyczących górników, jego pojazd leciał obok wagonika Skynxnexa.

Han nie miał pojęcia, dokąd zmierzają, ale orientował się, że z każdą chwilą zapuszczają się coraz głębiej. Nie wróżyło to niczego dobrego. Gonieni przez Skynxnexa, który nie wypuszczał dwulufowego blastera z dłoni, nie mieli wyboru i musieli lecieć ku najniższym położonym korytarzom.

Nagle w atramentowej czerni przed nimi wyłoniła się z litej skały chmura opalizujących, błyszczących cząstek, która niemal natychmiast poszybowała w dół tunelu, jak gdyby starała się uciec przed nadlatującymi wagonikami.

– Jeszcze jeden straszak! – krzyknął Kyp.

Ich wagoniki mknęły za straszakiem, goniąc go i zmniejszając odległość z każdą chwilą. Kiedy jednak znaleźli się dość blisko, wirująca chmura jasnych cząstek przyspieszyła, jakby się z nich naigrawając. Leciała przez cały czas przed nimi, ocierając się czasami o skały. W jej świetle Han mógł widzieć każdy zakręt korytarza.

Skynxnex i goniący ich strażnik lecieli ich śladem, coraz bardziej się zbliżając.

– Oho! – odezwał się nagle Kyp. – Myślę, że wiem, dokąd lecimy. Okolica wygląda mi na znajomą.

– Co? – zapytał Han. – Jakim cudem możesz być tego taki pewien?

– Ten ostatni zestaw współrzędnych na ekranie nawigacyjnego komputera został zaprogramowany przez szefa Roke'a – wyjaśnił chłopak. – Powracamy do tunelu, w którym czai się tamten potwór!

Jarzący się straszak leciał przed nimi, obniżając się lub unosząc, ale nie zamierzając pogрузić się w litej skale pocętkowanej żyłami przyprawy. W miarę jak przelatował obok ścian, jego blask pobudzał do świecenia żyły błyszczostymu, wskutek czego na ścianach było widać krzyżujące się linie błękitnych iskier.

Skynxnex skorzystał z tego, że przez jakiś czas uciekinierzy lecieli długim, prostym odcinkiem tunelu i strzelił z dwulufowego blastera po raz drugi.

Przeczuwając ten strzał, Kyp skierował ich skład pod samą ścianę. W tej samej chwili seria jasnych błysków minęła ich, przeszła straszaka, nie wyrządzając mu najmniejszej krzywdy, a potem trafiła w odległą skalną ścianę zakrętu korytarza. Energia strzału wyrwała w niej ogromną dziurę, ukazując wlot do wielkiej, mrocznej groty.

Ujrawszy drogę ucieczki, straszak przemknął przez powstały otwór.

– Przełącz na sterowanie ręczne – odezwał się Kyp. – Pozwól, że teraz ja zajmę się pilotażem.

W ciągu kilku ostatnich minut ich oczy przyzwyczyły się do poświaty straszaka, dzięki czemu mogli widzieć, dokąd lecą.

– Nie uśmiecha mi się znów znaleźć tam, gdzie czeka na nas tamten potwór – odparł Han, przekazując stery.

Nie wahając się ani chwili, Kyp skierował wagoniki ku mrocznej dziurze wyrwanej w skalnej ścianie i po chwili znaleźli się w wielkiej grocie.

– Mam przecucie, że ma połączenie z tym tunelem – stwierdził Kyp.

Gdy zaczęli się zapuszczać w głąb groty, Han poczuł, jak jego twarz smagneło nagle coś długiego i włóknistego, podobnego do cienkiego drutu.

Straszak leciał przez wielką grootę, kierując się ku przeciwległej ścianie. Dotarł do niej, ale nie zagłębił się w litą skałę i nie zniknął jak tamten, którego widzieli przed kilkoma dniami. Zamiast tego jarząca się chmura przybrała kulisty kształt i przylgnęła do powierzchni skały. Jarzyła się i błyskała, a jej światło pulsowało, jakby z kimś walczyła lub się mocowała.

Kiedy przelatywali przez grootę, Han poczuł, jak następne podobne do nici pasmo smagneło jego policzek.

Na skałach w sąsiedztwie straszaka zaczęły się pojawiać błękitne iskry pobudzonych do świecenia żył błyszczostymu. Z cichym trzaskiem ich blask rozchodził się we wszystkie strony, tworząc sieć kolistych smug przeciętych rozchodzącymi się promieniście liniami. Stopniowo zaczynało się iskrzyć w grocie coraz więcej żył, jakby świecenie jednych wywołało wśród innych reakcję łańcuchową. Utworzony z nich wzór wyglądał dziwnie znajomo.

– Jak pajęcza sieć! – krzyknął Han.

Straszak szarpał się i wrywał, a otaczające go żyły błyszczostymu świeciły coraz jaśniej. Dopiero teraz Han ujrzał długie nici przyprawy, zwieszające się ze sklepienia olbrzymiej groty.

Goniący ich Skynxnex wystrzelił z blastera kolejną długą serię, która jednak przeleciała daleko od nich. Impulsy energii trafiły w sklepienie w przeciwległym końcu groty, odłupując gorące kawałki skał, które poszybowały ku ciemnościom dna. Przez gogle na podczerwień Han widział ich kształty bardzo wyraźnie.

Straszak rozciągał się i kurczył, rozpaczliwie starając się uwolnić, ale nici błyszczostymowej sieci, oderwane od sklepienia razem z odłamkami skał, pozbawiły go części poświaty.

I wówczas Han zobaczył, jak z najciemniejszych głębin groty podnosi się koszmarny potwór – ogromny pajak o cielsku błyszczącym niczym ostre kryształy zamrożonego szkła, mający setki nóg i tysiące oczu. Bestia, chcąc dosięgnąć jarzącego się straszaka, schwytanego w pajęczą sieć, zaczęła się wspinać, w zawrotnym tempie przebierając odnóżami zakończonymi ostrymi szponami.

Han gwałtownie zawrócił. Chciał znaleźć się jak najdalej od koszmarnego potwora, który już raz omal nie pochwycił go w tunelu. Nie obchodziło go nawet to, że może zderzyć się ze Skynxnexem.

Na skałach w dole groty zobaczył skurczone ciała szefa Roke'a, Clorra i strażnika, rzucone niedbale obok siebie jak kartki zmiętego papieru. Ciały były zamarznęte na kość, pozbawione każdej kropli rozpraszających ciepło płynów.

Bestia musi mieć na dnie groty zapasy przyprawy, żeby upleść z niej sieć do chwytania straszaków albo innych ciepło-krwistych stworzeń, jakie zapuszczają się do najniższych korytarzy – pomyślał Han. Wykorzystywała fakt, że światło pobudza błyszczostym do świecenia, by móc łatwiej chwycić straszaki.

Skynxnex i ścigający ich strażnik ze skowytem repulsorów lecieli przez grootę. Strach na wróble znów strzelił, nie zwracając uwagi na to, dokąd leci. Jego strzał odbił się od ściany, pobudzając do świecenia następne pasma włókien błyszczostymu.

W ich świetle kadłub koszmarnego pajaka załśnił matową niebieskawą poświatą. Było widać, jak po odnóżach potwora przypominających igły pełzają w dół i w górę wyładowania elektryczne. Całe stworzenie wyglądało jak jedna wielka bryła błyszczostymu. Zwróciwszy uwagę na zbliżające się do niego źródło ciepła, stanęło na tylnych odnóżach.

Skynxnex nie zauważył potwora, dopóki nie znalazł się niemal w zasięgu jego zakrzywionych, ostrych szponów. W ostatniej chwili skierował ku nienasyconej bestii wyloty rozgrzanych luf blastera i strzelił – ale energożerny pajak pochłonął całe ciepło strzału i wyciągnął ku nowej ofierze kilkanaście odnóży.

Skynxnex usiłował jeszcze wyskoczyć ze skazanego na zagładę wagonika; potworny pajak jednak przeszył ciało mężczyzny ostro zakończonym szponem i uniósł stracha na wróble w powietrze. Dobywając resztek sił, Skynxnex zaczął rozpaczliwie machać rękami, ale temperatura jego ciała już

się obniżała.

Wielonożny potwór zaczął się pożywiać.

Ścigający uciekinierów strażnik ostro skręcił, lecz jego wagonik zderzył się ze splecionymi grubymi włóknami przyprawy, zwisającymi ze sklepienia. Błyszczostym jarzył się i iskrzył, a w grocie robiło się coraz jaśniej. Strażnik zauważył energożernego potwora i był świadkiem, jaki los spotkał Skynxnexa. Na widok zapadającego się sklepienia groty zawrócił wagonik jak najszybciej potrafił i skierował go ku otworowi, przez który wleciał.

Han dostrzegł jednak w sklepieniu wielki otwór dzięki temu, że przesączało się przez niego trochę światła. Ponad wszystko chciał wydostać się z groty, zanim pajak zacznie ich ścigać, wspinając się po niciach błyszczostymu przypominających szklane włókna.

– Leć w górę! – zawołał do Kypa.

Młodzieniec skierował wagoniki ku sklepieniu. Przelecieli przez otwór i niespodziewanie znaleźli się w jakimś szybie, który sprawiał wrażenie wykonanego ręką ludzką. Han stwierdził, że w końcu udało się im znaleźć w jednym z nielegalnych górniczych szybów wydrążonych przez poszukiwaczy bogatych żył przyprawy albo przez przemysłników.

Wydał dziki okrzyk radości.

– To jest to! Zaraz będziemy na powierzchni!

Chewbacca klepnął go po plecach z taką siłą, że Han omal nie spadł z fotela pilota.

Mknęli w górę. Odległy punkcik jasnego światła raz po raz przysłaniały wyszczerbione występy skalne. Han nie chciał, żeby zwolnili, Kyp nie przestawał więc naciskać guzika akceleratora.

W końcu wystrzelili nad powierzchnię i znaleźli się w rozrzedzonej atmosferze Kessel. Mgliste światło poraziło ich oczyma niczym wybuch supernowej. Han zerwał gogle i mrugając, żeby przyzwyczać oczy do światła, ponownie przejął stery z rąk Kypa. Przestał się wznosić i zaczął lecieć nad równiną, nieurodzajną powierzchnią małej planety.

Po prawej stronie zobaczył gigantyczny komin fabryki wzbogacającej atmosferę, z którego unosiły się w niebo kłęby chmur gorących życiodajnych gazów.

– Leć w tamtą stronę – odezwał się Kyp. – Znajdziemy tam jakiś statek.

– Dobry pomysł – stwierdził Han.

Zbliżając się do wielkiej fabryki, leciał nisko, żeby nikt ich nie zauważył. Mimo to rozglądał się na prawo i lewo. Był pewien, że Moruth Doole nie dowie się o ich ucieczce, dopóki samotny strażnik nie wróci do cehowni i nie zamelduje o wszystkim, co się stało. Han, Kyp i Chewbacca mieli zatem przewagę, ale niezbyt dużą.

Na obrzeżach fabryki wzbogacającej atmosferę rzeczywiście dostrzegli obszerne lądowisko z czterema stojącymi na nim statkami. Dwa były atmosferycznymi ślizgaczami, zupełnie nieprzydatnymi dla ich celów, ale dwa pozostałe, małe promy towarowe, nadawały się do lotów w przestworzach, chociaż z niewielkimi prędkościami.

Przyciskając tlenową maskę do twarzy, Han pokazał je drugą ręką.

– Lądujemy – oznajmił pozostałym. – Zabierzemy stąd jeden prom i wynosimy się z Kessel. – Schwycił Kypa za ramię. – I lecimy do domu.

Rozdział 14

Kiedy Luke powrócił na Coruscant, natychmiast pospieszył przywitać się z Hanem, Leią i ich dwuletnimi dziećmi. Nie widział bliźniąt od dość dawna, dokładnie od chwili kiedy on i Ackbar zostawili je w strzeżonej wojskowej bazie na nieznanym planecie.

Czekał w salonie apartamentu Leii i bawił się z dziećmi. Podrzucał je w powietrze i zonglował nimi, posługując się Mocą. Jacen i Jaina piszczeły i chichotali z uciechy, instynktownie ufając, że wujek Luke nie pozwoli, by upadli.

Dzieci zawsze go zdumiewały. Luke, wychowywany przez wuja Owena i ciotkę Bem na spalonej słonecznym blaskiem Tatooine, nie miał okazji do zabaw z dziećmi. Niemal cały czas poświęcał ciężkiej pracy na farmie wuja.

Później, kiedy odleciał z Tatooine i przyłączył się do Sojuszu Rebeliantów, zajmował się pilotowaniem myśliwca, a potem słuchaniem nauk mistrza Yody. Nigdy nie miał czasu ani możliwości obcowania z dziećmi. Zabawa z bliźniętami i obserwowanie ich spontanicznych reakcji sprawiały mu tyle samo przyjemności, co i dzieciom przebywanie z wujkiem.

– Szybciej! Szybciej! – wołał Jacen.

Zamiast usłuchać, Luke przez przekorę zawiesił chłopca nieruchomo w powietrzu i sprawił, że wokół niego zaczęła krążyć Jaina. Dziewczynka zapiszczała i wyciągnęła rączkę, usiłując schwycić braciszka za ucho.

Zmęczony się zabawą, Luke pozwolił Jainie łagodnie opaść na miękki, wyściełany fotel, a później złapał opadającego Jacena i przytrzymał go w ramionach. Na ten widok Jaina poderwała się z fotela i wyciągnęła ku wujowi ręce, by i ją podniósł.

Luke tymczasem wykrzywił się do chłopca i stroił miny, wydymając wargi i poruszając nimi w dół i w górę. Mówił coś, a jego zabawnie zniekształcony głos do złudzenia przypominał sposób mówienia Yody.

– Moc jest silna w tym małym, hmmm? Tak!

Później jednak zmarszczył nos, gdyż zwrócił uwagę na coś, do czego zrozumienia nie musiał być mistrzem Jedi.

– A może to, co czuję, to nie Moc? Leio, myślę, że powinnaś przypomnieć sobie o matczynych obowiązkach!

Wyciągnął ręce, nie wypuszczając Jacena, ale starając się trzymać go jak najdalej od siebie.

Do pokoju wpadł Threepio.

– Może ja się tym zajmę, proszę pana – powiedział. – W ciągu ostatniego dnia czy dwóch nabrałem w tej dziedzinie dużej wprawy.

Luke uśmiechnął się, wyobraziwszy sobie, jak Threepio radzi sobie z dwójką rozdokazywanych

dzieci. Zauważył, że złoisty android wygląda na sponiewieranego i zmęczonego.

– Czy to było częścią twojego programu protokolarnego? – zapytał.

– Moje umiejętności manualne w zupełności wystarczą do tej pracy, mistrzu Luke. – Threepio zaczął przebierać mechanicznymi palcami, a potem przejął Jacena z rąk Luke'a. – I proszę mi wierzyć, że te obowiązki sprawiają mi więcej przyjemności niż wałęsanie się po galaktyce, wystawianie się na strzały blasterów imperialnych myśliwców czy szukanie drogi w przestrzeni pełnej asteroid.

Do salonu weszła Leia. Na jej twarzy malował się wymuszony uśmiech, ale Luke był pewien, że siostrę coś trapi. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Było widać, że to nie jest tylko napięcie, wynikające z konieczności łączenia obowiązków dyplomatycznych i macierzyńskich. Martwiło ją coś innego, zapewne o wiele poważniejszego, ale nie wspomniała o tym ani jednym słowem. Luke nie starał się ciągnąć jej za język. Mógłby wprawdzie sięgnąć myślowym palcem i dowiedzieć się wszystkiego, czytając w jej myślach, ale przecież nie zrobiłby czegoś takiego siostrze. Możliwe, że do tej pory i ona nauczyła się blokować jego myśli. Doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, jak sama zechce zwierzyć się ze swoich zmartwień.

– Automat przygotowuje nam coś do jedzenia za kilka minut – powiedziała. – Bardzo się cieszę, że wróciłeś. Dzieci także wyglądają na zachwycone.

Luke zorientował się, że od chwili powrotu ani razu nie widział Hana. Pomyślał jednak, że Leia i jej mąż są tak zapracowani, iż spotkanie ich w tym samym miejscu i czasie jest niemal niemożliwe. Zakrawało na prawdziwy cud, że jakimś trafem udało im się mieć troje dzieci! Czyżby nieobecność Hana mogła mieć coś wspólnego ze skrywanym niepokojem Leii?

Posługując się Mocą, Luke ponownie uniósł Jainę w powietrze. Dziewczynka zachichotała i zaczęła przebierać rączkami i nóżkami, jak gdyby pływała w basenie, a nie szybowiała w wolnej przestrzeni salonu swojej mamy.

– Leio, czy mogłabyś pomóc mi w załatwianiu kilku biurokratycznych spraw? – zapytał.

– Jasne – odparła, zmuszając się do uśmiechu. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Wciąż jeszcze nie skontaktowałem się z Marą Jadę i kilkoma innymi potencjalnymi kandydatami do mojej akademii Jedi – powiedział. – Teraz, kiedy mam już dwóch chętnych do nauki, powinienem znaleźć jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy zacząć studia. I to jak najszybciej.

Po rozmowie ze Streenem i Gantorisem zrozumiałem, że Coruscant nie będzie właściwym terenem. Streen nie lubi przebywać w towarzystwie ludzi i nie będzie się czuł swobodnie nigdzie w Imperiał City. Sama wiesz, że całą powierzchnię zajmuje metropolia. Kolejne domy wznoszono dosłownie na poprzednich.

A poza tym... – Zawahał się, ale to była przecież prywatna rozmowa z siostrą. Nie mógł ukrywać przed nią niczego, co mogłoby przysporzyć mu kłopotów. – W tym, co zamierzam zrobić, kryje się pewne niebezpieczeństwo. Nie mam żadnego doświadczenia w szkoleniu przyszłych Jedi i nie wiem, co mogłoby spowodować katastrofę podobną do jednej z burzy Mocy Imperatora. Byłoby więc najlepiej, gdybyśmy znaleźli odosobnione miejsce, w którym moglibyśmy rozpocząć ćwiczenia, nie niepokojeni przez nikogo.

– I nie zagrożeni przez nikogo – dodała Leia, kierując ciemne oczy na brata. Oboje wiedzieli, że myślą o lordzie Vaderze. – Tak, sądzę, że masz rację. Spróbuję znaleźć dla was coś odpowiedniego.

– A kiedy będziesz szukała – ciągnął Luke – pamiętaj, że trzeba przesiedlić gdzieś kolonistów z Eol Sha. Zostało ich tam co najwyżej pięćdziesięciu, ale ich planeta jest skazana na zagładę. Kiedy

odlatywałem stamtąd z Gantorisem, obiecałem, że znajdziemy nowy dom dla tych, którzy jeszcze żyją. Zorientuj się, co można dla nich zrobić.

– Przy tak nielicznej grupie ludzi to żaden problem – odparła Leia. – Każde miejsce będzie lepsze niż świat, z którego wyemigrują.

Luke się roześmiał.

– Zawsze możesz namówić Hana, żeby wygrał dla nich jeszcze jedną planetę w sabaka!

Spojrzała na niego, jakby użądlna przez pszczołę. A więc jednak się nie myliłem – pomyślał Luke. – Jej niepokój ma coś wspólnego z Hanem.

Uniósł Jainę jeszcze raz w powietrze, tak wysoko, że dziewczynka niemal dotknęła głową sufitu, a potem lekko jak piórko zaczął ją opuszczać.

Nagle, bez pukania, do pokoju wpadł jak bomba Lando Calrissian.

– Leio! – wykrzyknął od progu. – Winter właśnie powiedziała mi, że Han jeszcze nie wrócił. Dlaczego nic nam o tym nie mówiłaś?

Zaskoczony jego okrzykiem Luke omal nie spowodował upadku Jainy. Z wielkim trudem pochwycił dziewczynkę tuż nad podłogą. Jaina zaczęła szaleńczo chichotać, pewna, że cała ta sztuczka została z góry zaplanowana.

Lando sprawiał wrażenie zaniepokojonego i rozgniewanego. Spoglądał na Leię, jakby chciał spiorunować ją spojrzeniem. Oparł ręce na biodrach i zsunął pelerynę na plecy. Dopiero po chwili zauważył Luke'a, stojącego w salonie.

– Luke, czy nie zamierzasz w tej sprawie niczego zrobić? – zapytał.

– Jeszcze nie wiem, o co chodzi – odparł. – Myślę jednak, że za chwilę Leia mi to powie.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią. Leia ciężko westchnęła i usiadła.

– To prawda, Han zaginął – powiedziała. – Mniej więcej przed dwoma tygodniami poleciał na Kessel. Miał wrócić przed czterema dniami. Nie skontaktował się ze mną ani razu, więc wczoraj nawiązałam łączność z tamtą planetą. Rozmawiałam z kimś, kto zapewne sprawuje na niej jakąś władzę. Jest Rybetem i nazywa się Moruth Doole.

Doole oświadczył, że Han i Chewbacca w ogóle do nich nie dotarli. Na Kessel nie ma żadnego śladu, że wylądował tam „Tysiącletni Sokół”. Doole wyraził przypuszczenie, że może zostali pochłonięci przez jedną z wielu pobliskich czarnych dziur.

– Nie Han! – stwierdził stanowczo Lando. – I nie wówczas, kiedy leci „Sokołem”. Wie, jak nim latać, prawie tak dobrze jak ja.

Leia kiwnęła głową.

– Przez cały czas rozmowy wyczuwałam fałsz w zachowaniu Doole'a. Odpowiadał zbyt szybko, a poza tym sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Miałam niejasne przeczucie, że spodziewał się rozmowy ze mną i przygotował do niej, wymyślając prawdopodobne wyjaśnienie.

– Nie podoba mi się to – oświadczył Luke.

– No cóż, jeżeli od wczoraj wiesz, że Han zaginął, dlaczego nie wysłałaś tam floty patrolowców Nowej Republiki? – odezwał się Luke. – Oficjalnej wyprawy poszukiwawczej? A co, jeżeli naprawdę zaginął gdzieś w Otchłani?

Leia westchnęła.

– Zastanów się, Luke – powiedziała. – Gdybym zmobilizowała oficjalną flotę, mogłabym wywołać incydent na galaktyczną skalę i to w chwili, w której staram się namówić tych z Kessel, żeby przyłączyli się do Nowej Republiki. A poza tym – dodała – sam znasz Hana. Istnieje duża

szansa, że po prostu zasiedział się w jakimś barze. Zapomniał, że do domu wracają jego dzieci. Może znalazł ciekawą grę w karty albo zaczął wspominać dawne dobre czasy w gronie byłych przemytników. Przecież sam palił się do lotu na Kessel.

– Sami go poszukamy – oznajmił Lando.

Kiedy Luke ujrzał uśmiech, jaki pojawił się na twarzy siostry, był pewien, że właśnie o to chciała ich poprosić.

– Rozejrzymy się – powiedział. – Nie będzie żadnych rozkazów ani śladów, że lecimy tam jako przedstawiciele Nowej Republiki.

– Lepiej będzie, jak weźmiemy „Ślicznotkę” – stwierdził Lando. – Jest prywatnym jachtem, ale jej silniki mają wystarczająco dużo mocy.

Leia podeszła do Luke’a, wyłuskała z jego rąk Jainę i zaczęła ją kołysać.

– Będę opiekowała się Gantorisem i Streenem, dopóki nie wrócicie – obiecała.

Luke pokręcił głową i rozłożył szeroko ręce.

– No widzisz? To dlatego jesteś dyplomatką. Myślisz nawet o takich szczegółach. Tylko nie pozwól, żeby któryś z nich wpadł w jakieś tarapaty.

– Powinniśmy zabrać Artoo – rzekł Lando. – Ten mały robot bardzo pomógł nam podczas wyścigów purchlaków.

Luke dopiero niedawno dowiedział się o bohaterskich czynach Calrissiana i schwytaniu przez niego arcymistrza oszustów, Tymma.

– Opowiesz mi o wszystkim w drodze – powiedział. – Leia i tak za długo czeka na Hana.

– No to lecimy na tę Kessel – odparł Lando.

Rozdział 15

Udało im się ukraść dopiero drugi prom.

Han i Chewbacca stracili cenne minuty na pokładzie pierwszego statku stojącego na lądowisku fabryki. Kyp Durrone pełnił straż w otwartym włazie, a pozostali próbowali zewrzeć przewody na pulpicie sterowniczym. Z zimna grabiały im ręce, a poza tym nie wiedzieli, ile szkodliwego promieniowania Otchłani przedostaje się przez rozrzedzoną atmosferę. Było słychać tylko świst ich oddechów, tłumiony przez tlenowe maski. Nikt nie zauważył uciekinierów. Na razie.

Po kilku minutach Han niechętnie uruchomił automatyczne blokady. Uderzył pięścią w pulpit.

– Powinienem być przewidzieć, że nie poradzę sobie z automatycznymi systemami bezpieczeństwa tego starego pudła! – krzyknął.

Chewbacca ściągnął osłonę umożliwiającą dostęp i cisnął ją w głąb statku, gdzie rozbiła się z hukiem roztrzaskującego się śmigacza. Rycząc coś w języku Wookiech, zaczął wyszarpywać przewody w wnętrzu pulpitu i dołączać je do rezerwowych gniazdek, ale kilka czerwonych lampek, świecących się jeszcze na panelu, nie chciało zgasnąć.

– Daj spokój, Chewie – odezwał się Han. – Spróbujmy z drugim promem. Wydaje mi się, że wiem, w którym miejscu się pomyliłem.

Kyp nie przestawał obserwować małych drzwi umieszczonych w budynku przylegającym do komina.

– Nadal cicho – zameldował. – Nikogo nie widać. Żadnego ruchu.

Przebiegli przez odsłoniętą przestrzeń płyty lądowiska i dotarli do drugiego towarowego promu, starego imperialnego statku o pancerzu poznaczonym śladami trafień i długich płaskich skrzydłach nadających mu wygląd mechanicznej latającej ryby. Han i Chewbacca lecieli kiedyś podobnym do tego, zdobycznym promem klasy lambda podczas dywersyjnej wyprawy na Endor, ale ten statek sprawiał wrażenie jeszcze starszego. Han pomyślał, że władze więzienne nie były na pierwszym miejscu listy zaopatrzenia w najnowsze modele.

Chewbacca otworzył właz, a Han wskoczył do wnętrza i pospieszył do sterowni. Wookie wspiął się za nim i skrył w środku w tej samej chwili, w której zza rogu budynku wyłonił się patrol czterech strażników wyruszających na obchód fabryki. Wszyscy mieli na sobie połatanе mundury będące połączeniem kawałków starych imperialnych pancerzy i termicznych kombinezonów, ściągniętych z kopalni.

Kyp przykleił się do grodzi tuż przy otwartym włazie. Spojrzał na płaszczyznę lądowiska i zauważył, że w pośpiechu zapomnieli zamknąć właz pierwszego promu, wskutek czego wszystkie ślady manipulowania przy pulpicie były widoczne jak na dłoni. Przełknął ślinę.

– Lepiej się pospiesz, Han – powiedział. – Mamy towarzystwo. Na razie nas nie zauważyli.

– Jeżeli to się nie powiedzie, wpadniemy po same uszy – mruknął Han, wystukując polecenia na klawiaturze i zdejmując osłony, by uzyskać dostęp do pulpitu kontrolnego.

Strażnicy dokonywali zapewne rutynowego obchodu pomieszczeń fabryki. Han uniósł głowę i spojrzął na nich przez iluminator, wiedząc, że nie mogą go zobaczyć przez transpystalową szybę, pokrytą ochronną warstwą. Był ciekaw, ile razy dziennie obchodzą teren fabryki wytwarzającej życiodajne gazy. Liczył na to, że nie okażą się zbyt spostrzegawczy.

Usiłował uruchomić silniki promu, ale na ekranie kontrolnego monitora wciąż pojawiał się napis: POMYŁKA.

– Naprawdę wpadliśmy po uszy – mruknął do siebie. Wiedział, że pozostało mu już tylko jedno.

Strażnik idący na czele grupy nagle zatrzymał się i wyciągnął rękę, pokazując otwarty właz pierwszego promu. Przechylił głowę, powiedział coś do mikrofonu komunikatora, a później ostrożnie zaczął podchodzić do statku. Nakazał drugiemu strażnikowi, by z nim szedł, podczas gdy dwaj pozostali wyciągnęli blastery i odeszli na boki, rozglądając się na prawo i lewo.

– O rany – odezwał się Kyp.

Han przełączył kable obwodów bezpieczeństwa, sprzęgając system sprawdzający poprawność hasła z samym sobą, a potem umieścił osłonę na poprzednim miejscu.

– Spróbujmy jeszcze raz – powiedział. – Kyp, przygotuj się do zamknięcia wjazdu. Jeżeli mi się uda, ci strażnicy mogą trochę się zdenerwować. Jeżeli mi się nie uda, ja się zdenerwuję.

Dwaj pierwsi strażnicy w tym czasie znaleźli się we wnętrzu promu i energicznie machając, przywoływali teraz dwóch innych. Było jasne, że dostrzegli ślady sabotażu. Pozostali dwaj zaczęli coś mówić do mikrofonów komunikatorów w swoich hełmach, a później, nie wypuszczając blasterów z rąk, zaczęli biec ku drugiemu promowi.

Kyp wcisnął guzik zamykający klapę wjazdu. Han zobaczył, że strażnicy wybiegli z pierwszego promu i, kierując blastery ku statkowi z uciekinierami, dołączyli do pozostałych.

Han ponownie uderzył w przycisk uruchamiający silniki, które ze zbawiennym pomrukiem i świstem zbudziły się do życia. Gdy zaczęły nabierać mocy, przez cały kadłub promu przebiegło lekkie drżenie. Han wydał dziki okrzyk radości, ale Chewbacca zamachnął się i wtłoczył go w fotel pilota, a sam zaczął rozpaczliwie naciskać włochatymi rękami guziki i dźwignie kontrolne, przygotowując prom do startu.

Strażnicy zaczęli strzelać. Han słyszał skwierczenie i głuchoe stuki, z jakimi laserowy ogień trafiał do celu, ale wiedział, że pancerz statku wytrzyma atak prowadzony przy użyciu broni ręcznej.

Drzwi budynku przylegającego do ogromnego komina się otworzyły. Musiała to być wartownia, gdyż cały oddział strażników wysypał się ze środka jak ogarnięte płciowym szaleństwem jaszczurkomrówki z Anoaat. Jakiś jaskrawy laserowy promień rozprysnął się na transpystalowej szybie tuż przed oczami Hana, oślepiając go tysiącami iskier.

– Najwyższy czas opuścić naszych drogich gospodarzy – powiedział, przecierając oczy.

Chewbacca wystartował i zaczął manewrować promem, starając się nie zahaczyć nim o inne statki stojące na płycie lądowiska.

Dwaj strażnicy ustawili na trójnogu przenośne blasterowe działko i zaczęli kierować lufę ku uciekinierom. Chewbacca mruknął, a Han przejął stery.

– Wiem, wiem – przyznał. – To cacko może sprawić nam dużo kłopotów, jeżeli szybko nie nabierzemy wysokości.

O spód kadłuba promu zadźwięczały kolejne strzały. Han wznosił się coraz wyżej. Kierując prom

ku gigantycznemu kominowi starał się, by zasłonił go przed ogniem działka. Strażnikom udało się wystrzelić z niego tylko raz, ale strzał okazał się żałośnie niecelny, a zresztą Han nie przestawał się wznosić, cały czas kryjąc się za kominem. Strażnicy rozbiegli się po lądowisku, chcąc znaleźć się z drugiej strony; Han jednak przebywał już poza zasięgiem blasterowego ognia z broni ręcznej.

– Udało się! – krzyknął. – Chewie, przejmij stery!

I wówczas zaczęły do nich strzelać ciężkie obrotowe laserowe działa, umieszczone na wieżycze wielkiego komina.

– Co to jest? – zawołał Han. – Co robią blasterowe działa na kominie? To fabryka, a nie koszary!

Jakaś jaskrawozielona błyskawica trafiła w płaskie skrzydło promu, wskutek czego cały statek zaczął wirować. Han i Chewbacca chwycili stery, chcąc wyrównać jego lot, a Kyp musiał uchwycić się wspornika fotela.

Lecąc z silnym przechyłem na burtę, wpadli w strumień rozgrzanych gazów buchających w niebo. Turbulencje gwałtownie zakłócały statkiem.

– Trzymajcie się! – krzyknął Han. Robił, co mógł, by prom nie roztrzaskał się o powierzchnię.

Zwiększając prędkość lotu, starał się pozostawać w obrębie unoszących się białych chmur, miotany na wszystkie strony niczym łódka na bystrzynach górskiej rzeki. Od czasu do czasu jaskrawozielone błyskawice z luf obrotowych dział przecinały chmury, ale Han, utrzymując prom w samym środku słupa gazów, pozostawał w martwym polu mechanizmów celowniczych.

Unosili się coraz wyżej, ku granicy rozrzedzonej atmosfery. Han popatrzył na Kypa i Chewbacę.

– No, to byłoby na tyle, jeżeli chodzi o wydostanie się ukradkiem – powiedział. – Teraz Moruth Doole będzie wiedział, że uciekliśmy.

Głośnik komunikatora promu zatrzeszczał, jak gdyby czekał na te słowa, i zbiegowie usłyszeli skrzeczący głos Doole'a, przedzierający się przez zakłócenia.

– Czy to ten? Czy tym razem udało się wam znaleźć właściwy kanał?

– Tak jest, panie komisarzu.

– Solo! Hanie Solo, czy mnie słyszysz?

– Ależ to chyba głos mojego dobrego przyjaciela, Morutha Doole'a – odezwał się Han. – Jak się miewasz, chłopie? Mam nadzieję, że powodzi ci się lepiej niż twojemu asystentowi, Skynxnexowi.

– Solo, przysporzyłeś mi więcej kłopotów niż jakakolwiek inna żywa istota w całej galaktyce, nie wyłączając Jabby Hutta. Powinienem był cię zmiażdżyć, kiedy byłeś w moim biurze.

Han przewrócił oczami.

– No cóż, stary, straciłeś szansę, a ja nie zamierzam dawać ci następnej.

Doole zachichotał, a jego świszczące: „he, he, he” zabrzmiało jak skrzek tłuściocha dławiącego się piaskiem.

– Nie uda ci się uciec – stwierdził po chwili. – Zmobilizuję przeciwko tobie całą flotę. Lepiej pomyśl, co będziesz robił w przyszłym życiu.

Kyp wyjrzał przez iluminator i zamknął się w sobie, jakby pogrążając się w głębokim transie. Wznosili się coraz wyżej, aż wreszcie dotarli do granicy atmosfery; z każdą chwilą malała też siła przyciągania planety. Spojrzawszy na księżyc, Kyp nie potrafił opanować drżenia. Zaczął mrugać, wyraźnie tym zakłopotany.

Chewbacca ryknął do mikrofonu komunikatora.

– Masz rację, powiedz mu to, Chewie – rzekł Han i wyłączył urządzenie.

Nagle Kyp rzucił się i przejął stery. Odpalił rakiety manewrowe tak niespodziewanie, że siła

odrzutu wcisnęła Hana i Chewbacce w fotele. Kyp zatoczył się pod ścianę sterowni, nie potrafiąc utrzymać równowagi.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał Han, piorunując chłopaka spojrzeniem.

W tej samej chwili jednak Chewbacca alarmująco warknął i szarpnął Hana, przyciągając go do pulpitu. Wyjrżeli przez iluminator i stwierdzili, że tuż pod ich promem zaczyna falować i migotać nieprzepuszczalny zjonizowany całun, przesłaniając widok planety.

– Włączyli pole energetyczne! – zawołał Han.

Pracownicy, zatrudnieni w bazie na księżycu Kessel, naprawili w końcu generatory pola ochronnego, które jak powłoka osłoniło planetę. Gdyby Kyp nie włączył w ostatniej chwili silników rakiet, zginęliby, smażąc się i skwiercząc w polu siłowym, albo zostaliby uwięzieni, w ogóle nie mogąc przelecieć przez osłonę.

– Skąd wiedziałeś? – zapytał zdumiony Han, spoglądając przez ramię na Kypa. Młodzieniec wstawał właśnie z podłogi i potrząsał głową, starając się zebrać myśli. – A zresztą to nieważne. Nic ci nie jest?

– Nic. Tylko zabierz nas jak najdalej od Kessel.

Han odwrócił się do pulpitu sterowniczego.

– Chewie, spróbuj się skontaktować z Nową Republiką. Tym razem nie będziemy tracili czasu. Muszą się dowiedzieć, co się tu dzieje, na wypadek gdybyśmy nie wrócili.

Wookie schylił się nad przyciskami i pokrętlami komunikatora, a Han zajął się komputerem nawigacyjnym. Przez chwilę gapił się w osłupieniu na to urządzenie.

– Niech to diabli! – zaklął. – Mają tutaj stary model pięćset-X! Nie widziałem takiego nigdzie poza muzeum. Mam nadzieję, że jest tu jakiś rylec i gliniana tabliczka, żebym mógł przeprowadzić obliczenia. Możliwe, że ten sposób okaże się szybszy i dokładniejszy!

Chewbacca zawył i uderzył włochatą pięścią w konsolę z taką siłą, że mógłby powyginać jej obudowę. Han spojrział na niego kątem oka.

– Co to znaczy, że jesteśmy zakłóceni? – zapytał. – Kto właściwie miałby nas zakłócać?

Kyp odwrócił się do burtowego iluminatora i powiedział półgłosem:

– Oni. Zbliżają się do nas.

Z garnizonu na księżycu startowało setki patrolowców, dziesiątki zmodernizowanych wojennych statków, opancerzonych frachtowców, silnie uzbrojonych maszyn typu X i myśliwców typu TIE. Było widać, że wiele statków, uszkodzonych podczas ostatniej wojny, nosiło ślady pospiesznego remontowania. Teraz, kiedy Doole uruchomił pole siłowe osłaniające planetę, Kessel mogła się nie obawiać ataku nawet silnej floty.

Chmary myśliwców typu X i maszyn rozpoznawczych typu Y, osłaniane z obu skrzydeł przez eskadry myśliwców typu TIE, osiągały wyznaczone orbity. Przebijały się przez mgielkę ciągnącej się za Kessel rozrzedzonej atmosfery, zostawiając jarzące się smugi zjonizowanych gazów z silników umożliwiających latanie z prędkościami podświetlnymi.

– Zapnijcie pasy – powiedział Han. – Wygląda na to, że czeka nas prawdziwe piekło.

Sięgnął do pulpitu, by przygotować prom do walki, ale nagle poczuł w żołądku ciężki kamień.

– Ten statek nie jest uzbrojony! – wykrzyknął, gorączkowo przeszukując konsolę. – Nie ma niczego! Ani jednego blastera! Nie ma nawet procy!

Zbierając się w sobie, Kyp uchwycił się oparcia fotela Hana.

– Co chcesz, ukradliśmy przecież towarowy prom, a nie wojenny statek. Czego się spodziewałeś?

– Chewie, przełącz całą moc do generatorów osłon. Daj absolutnie wszystko, nawet zasilanie systemów regenerujących powietrze i wodę. Mamy w środku dosyć, żeby wystarczyło na dłużej, niż zapewne wytrzyma ta balia. Wpakuj wszystko w osłony i nie przejmuj się, że przekroczysz zakresy pomiarowe czujników. Musimy jakoś uciec.

Przeleciała nad nimi pierwsza fala myśliwców typu TIE, a w głośnikach w sterowni rozległo się wycie ich bliźniaczych silników jonowych. Laserowe błyskawice przecięły przestworza, docierając w sąsiedztwo promu, ale pola energetycznych osłon wytrzymały. Za rufą było widać nadlatujące maszyny typu X.

– Czy to pudło nie może lecieć trochę szybciej? – zapytał Kyp. Kiedy Chewbacca skierował dodatkową moc do generatorów pól osłon, światła w sterowni przygasły.

– Sam mówiłeś, ukradliśmy prom towarowy. To nie jest patrolowiec, a już z całą pewnością nie „Sokół”. Przygotuj się do skoku w nadprzestrzeń, kiedy tylko ten przedpotopowy komputer nawigacyjny zakończy obliczenia.

Przez chwilę spoglądał na ekran, a później rąbnął pięścią w pulpit.

– Upłynie całe dziesięć minut, zanim wykrztusi współrzędne bezpiecznej trajektorii. Niech to diabli. Sąsiedztwo tylu czarnych dziur uniemożliwia dokładne obliczenia.

Chewbacca wtrącił głośną beczącą uwagę.

– Co powiedział? – zainteresował się Kyp.

– Że nasze osłony wytrzymają najwyżej dwie minuty. Chciałbym mieć jakąś broń... Wystarczyłby kawałek skały, żeby cisnąć przez iluminator! – W jego rozszerzonych oczach nie było widać ani śladu nadziei. – Nie uda się nam wytrzymać tak długo, a idę o zakład, że tym razem Doole nie będzie bawił się w uprzejmości. Przykro mi, chłopcze, że cię w to wplątałem.

Kyp przygryzł wargę, a później spojrzął przez dziobowy iluminator, pokazał go i powiedział:

– Leć tam.

Ku Otchłani.

Wirujące chmury gazów wpadały do bezdennych głębin czarnych dziur, dzięki czemu przestworza wyglądały jak splątany motek rozżarzonej przędzy. Siła przyciągania czekała, by rozerwać na strzępy każdy statek, który zapuściłby się zbyt blisko. W ciągu najbliższego tysiąclecia nieubłagana gromada czarnych dziur powinna nawet pochłonąć samą Kessel... Han jednak nie zamierzał zaostrić jej apetytu ani o sekundę wcześniej.

Chewbacca ryknął coś, co nie wymagało tłumaczenia.

– Oszalałeś? – odezwał się Han.

– Przecież powiedziałeś, że i tak nie przeżyjemy.

Cztery maszyny rozpoznawcze typu Y zaczęły strzelać od strony lewej burty, powodując niebezpieczne kołysanie. Z komunikatora promu wystrzelił snop iskier, a Chewbacca rzucił się do aparatury i zaczął przełączać obwody.

– Prawdopodobnie wiodą tamtędy jakieś bezpieczne szlaki – oświadczył Kyp. – Muszą być jakieś.

– Ta-a, a na jakimś milionie innych czeka nas nieuchronna śmierć!

– Jeżeli chcemy przedostać się na drugą stronę, musimy lecieć jak po sznurku – stwierdził Kyp. Jego młodzieńcze oczy wyglądały bardzo staro. – Jak sądzisz, czy mielibyśmy większą szansę przeżycia, gdybyśmy zostali tu i podjęli walkę?

Ogromna siła przyciągania lejów Otchłani zamieniała całą nadprzestrzeń i większą część

normalnej przestrzeni w istny labirynt. Większość wiodących przezeń szlaków albo przypominała ślepe uliczki, albo kończyła się w gardzieli tej czy innej czarnej dziury.

– Nigdy nie znajdziemy właściwego szlaku – odezwał się Han. – To będzie samobójstwo.

Kyp chwycił Hana za ramię.

– Pokażę ci, którądy lecieć.

– Co takiego? Jak?

Nad głowami uciekinierów przeleciał jeszcze jeden myśliwiec typu TIE, wirując w locie i strzelając do porwanego promu. Od strony księżycy nadlatywała armada krążowników, z każdą chwilą zmniejszając odległość dzielącą ją od zbiegów. Wszyscy dobrze wiedzieli, że kiedy ogromne statki zaczną strzelać z turbolaserowych dział, zamienią imperialny towarowy prom w ognistą kulę. W pewnej chwili Chewbacca ryknął, widząc, że pole siłowe rufowych osłon słabnie i zanika.

Han zaczął gorączkowo manipulować przyciskami na pulpicie. On i Chewbacca starali się wzmocnić najsłabsze miejsca, kierując do nich energię z silniejszych osłon dziobowych. Kiedy generatory zaczęły zużywać więcej mocy, światła w sterowni przygasły jeszcze bardziej.

– Pamiętasz, jak pomogłem wam orientować się w ciemnościach tuneli kopalni, kiedy uciekaliśmy przed Skynxnexem? – zapytał chłopak. – Pamiętasz, jak wiedziałem, że Doole włączy pole siłowe wokół Kessel? Potrafię znaleźć bezpieczną drogę do Otchłani!

– To nadal mi nie mówi, w jaki sposób chcesz to zrobić, chłopcze! – krzyknął Han.

Kyp wyglądał przez chwilę na zakłopotanego, ale później zaczął gorączkowo tłumaczyć:

– Może zabrzmiało to jak hokus-pokus albo jak jakaś magiczna sztuczka, ale to działa! Pewna stara kobieta spędziła ze mną w tunelach kopalni kilka miesięcy spośród wielu, na które ją skazano. Powiedziała, że mam niesamowite umiejętności. Pokazała mi, jak posługiwać się czymś, co nazywała siłą czy mocą, czy czymś takim.

– Moc! – wykrzyknął z ulgą Han. Chciał porwać Kypa w ramiona i uściskać. – Dlaczego od razu tak nie mówiłeś? Kim była ta kobieta?

– Nazywała się Vima-Da-Boda. W podziemiach kopalni przyprawy pokazała mi tylko kilka rzeczy, a później zabrali ją strażnicy. Nigdy więcej jej nie widziałem, ale ćwiczyłem to, czego mnie nauczyła. Kilka razy bardzo mi to pomogło, chociaż nie mógłbym powiedzieć, jak to robię.

– Vima-Da-Boda! – powtórzył Han, przypominając sobie zasuszoną, upadłą Jedi, którą on i Leia spotkali na Nal Hutta. Dręczona wyrzutami sumienia, Vima-Da-Boda ukrywała się przez jakiś czas w kopalniach błyszczostymu; na tyle długo, by nauczyć młodzieńca kilku najważniejszych rzeczy. Han miał cichą nadzieję, że to wystarczy.

– Nie podoba mi się ten pomysł – powiedział. W pobliżu promu przeleciała kolejna para myśliwców, bez przerwy strzelając. – Ale, prawdę mówiąc, jeszcze mniej podoba mi się nasze obecne położenie.

Zmienił kurs i skierował prom ku kipieli gromady czarnych dziur. Miał nadzieję, że osłabione pola osłon nie znikną zupełnie, dopóki ich prom nie znajdzie się w sąsiedztwie Otchłani.

Pierwszy z dużych statków z księżycowej bazy znalazł się na tyle blisko, że otworzył ogień do promu, a później przeleciał nad nim i zawrócił, jakby jego kapitan chciał go staranować. Han poczuł, że na widok nadlatującego frachtowca krew w jego żyłach zamienia się w lodowatą wodę. Przez kilka chwil patrzył w osłupieniu, nie mogąc uwierzyć własnym oczom, a później wydał zduszony okrzyk:

– To przecież „Tysiącletni Sokół”! To mój statek!

„Sokół” leciał prosto na nich, raz po raz strzelając, ale na razie dziobowe pola osłon promu pochłaniały całą energię strzałów. W ostatniej chwili Han zanurkował, by nie dopuścić do zderzenia, a „Sokół” niemal otarł się o kadłub promu. Jeden z ostatnich strzałów przedarł się jednak przez słabnące pola i zrobił wyrwę w pancerzu burty.

– No, tego już za wiele! – krzyknął Han. – Zaraz się wścieknę. Chewie, na mój rozkaz przerwij zasilanie generatorów pól osłon i skieruj całą moc do silników manewrowych. Poślij do nich dosłownie każdy erg, bo inaczej nie dolecimy do Otchłani. – Popatrzył na wskazania przyrządów na pulpicie. – Osłony i tak zanikną za niecałą minutę, a nawigacyjny komputer potrzebuje jeszcze sześciu, by zakończyć obliczenia. Niech diabli porwą te przeklęte modele pięćset-X!

Jeszcze jedno skrzydło myśliwców zaczęło do nich strzelać, a potem przeleciało nad ich głowami, żeby zrobić miejsce ogromnej fregacie klasy Lancer, która zbliżała się od strony rufy. Towarzyszyły jej chmary patrolowców i kilka krążowników klasy Karrak, gotowych do użycia całego arsenału turbolaserowych działek. Tym razem Moruth Doole nie zamierzał niepotrzebnie ryzykować.

– Teraz, Chewie! – krzyknął Han.

Wookie wyłączył zasilanie generatorów pól osłon i przesłał całą moc do silników podświetlnych. Prom skoczył jak koń ukłuty ostrogą, zaskakując pilotów i artylerzystów goniących go jednostek.

– Zaskoczenie pomoże nam tylko na kilka sekund – odezwał się Han. – Później będziemy zdani na ich łaskę.

– Do tego czasu powinniśmy się znaleźć w zasięgu oddziaływania Otchłani – szepnął Kyp.

– Jeżeli nie masz racji, chłopcze, nigdy się tego nie dowiemy – odparł Han.

W przestworzach przed nimi wisiały chmury opalizujących gazów, rozgrzanych i zjonizowanych przez siłę tarcia cząsteczek o siebie, wirujących po skomplikowanych trajektoriach wiodących przez płat Roche’a jednej czarnej dziury do gardzieli następnej. Przystworza były wypełnione śmiertcionośnymi promieniami Roentgena, a transpastalowe szyby iluminatorów automatycznie pokrywały się ciemnymi warstwami chroniącymi oczy pasażerów promu.

– Czegoś takiego próbowałby dokonać tylko skończony idiota – zauważył Han. Chewbacca ryknął, przyznając mu rację.

Goniące ich statki zaczęły przyspieszać, rozpaczliwie próbując ich doścignąć, zanim prom dotrze do gromady czarnych dziur. Han pochylił się nad pulpitem sterowniczym i z całej siły zacisnął kciuki, jakby chciał samą siłą woli zwiększyć prędkość statku.

Myśliwce rozpętały prawdziwą burzę laserowego ognia, ale silne grawitacyjne pola Otchłani rozpraszały błyskawice i odkształcały ich tory, tak że większość strzałów przelatywała z daleka od promu.

– Miejmy tylko nadzieję, że piloci tamtych statków nie są idiotami – mruknął Kyp.

Han wpadał właśnie w pierwsze pasma rozgrzanych, wirujących gazów.

Lecąca za nimi flota Kessel goniła ich do ostatniej chwili, a później zawróciła i włączywszy silniki manewrowe na pełną moc, odleciała, pozwalając ofierze lecieć ku nieuchronnej śmierci.

Pilotowany przez Hana imperialny prom zaczął wpadać w szczęki grawitacyjnych pól gromady czarnych dziur.

Rozdział 16

Prowadząc Gantorisa do komnaty projekcyjnej, Leia stłumiła pełen godności uśmiech. Ciemnowłosa mężczyzna kręcił głową jak marionetka, starając się patrzeć we wszystkie strony naraz.

Gantoris wyglądał okazale w nowym uniformie, skrojonym na wzór starego zniszczonego munduru kapitana handlowego statku, noszonego przez przywódcę kolonistów na Eol Sha. Leia zaprogramowała androida-krawca wzorami wyszperanymi w archiwach i wręczyła mundur Gantorisowi w prezencie. Był nim zachwycony; wprost nie posiadał się ze szczęścia.

Leia nawet teraz, kiedy poznała mężczyznę lepiej, czuła się w jego towarzystwie trochę niepewnie. Chociaż Luke zapewniał ją, że przywódca kolonistów z Eol Sha ma duży talent Jedi, Leii nie podobał się pomysł niebezpiecznych testów, którym Gantoris poddał jej brata, zanim zgodził się opuścić Eol Sha. Przyznawała, że życie na tamtej planecie było bardzo ciężkie, ale przywódca kolonistów wyglądał na zbyt spiętego, a przepastne ogniki w jego ciemnych oczach zdradzały porywczy temperament. Sprawiał wrażenie człowieka obdarzonego dużą władzą, któremu nagle pokazano, jak mało znaczy wobec ogromu wszechświata.

Leię intrygowała także inna strona charakteru Gantorisa. Obserwowała, jak mężczyzna kieruje spojrzenie to w prawo, to w lewo, jak wyciąga szyję, by dostrzec wierzchołki wysokich gmachów Coruscant, sięgających prawie granic atmosfery. Spoglądał zdumiony na olśniewające przepychem sale obrad i na wszystkie mało istotne drobiazgi, które podarował mu Luke. Nigdy przedtem nie widział przedmiotów, bez których Leia nie wyobrażała sobie życia, ani nawet nie sądził, że mogą istnieć.

Kiedy weszli do komnaty projekcyjnej, Gantoris popatrzył na ogromne okna, zajmujące całą powierzchnię ścian. Ukazywały panoramiczne widoki Coruscant i ciągnące się po horyzont dzielnice wiekowych gmachów. Leia wiedziała, że znajdują się zbyt nisko, by przez okna dało się obserwować takie widoki. Komnata projekcyjna była jedną z wielu wewnętrznych sal, a funkcję okien pełniły wielkie ekrany o dużej rozdzielczości, ukazujące obrazy z kamer, zamontowanych na dachu byłego Pałacu Imperialnego.

– Czym właściwie jest to miejsce? – odezwał się Gantoris.

Leia uśmiechnęła się, zaplatając ręce na piersi.

– W tej chwili jest zwyczajną salą – odparła. – Za chwilę jednak ukażę ci w nim widoki twojego nowego świata.

Wstąpiła na podwyższenie z pulpitem kontrolnym, znajdujące się na środku komnaty. Poleciała wyświetlić archiwalne obrazy, pozostałe jeszcze z czasów Starej Republiki, i dokumentację, sporządzoną podczas okupacji sił Sojuszu.

Obrazy na ekranach zadrgały i po chwili ukazały się całkiem inne, wprawiając Gantorisa

w osłupienie. Obrócił się jak użądłony, widząc, że krajobrazy w oknach przedstawiają teraz zupełnie inną planetę. Jego oczy rozszerzyły się jakby w panicznym strachu, że Leia przeniosła go w dziwny sposób w całkiem inny punkt galaktyki.

– Pokazuję ci twój nowy dom – oznajmiła. – To Dantooine, miejsce, które wybraliśmy dla twoich ludzi.

Otoczające ich ekrany-okna ukazywały rozległe trawiaste równiny z rosnącymi na nich kolczastymi drzewami. W oddali było widać szereg purpurowych wzgórz ciągnących się aż po horyzont. Na sawannach pasły się stada małych włochatych zwierząt, a w powietrzu unosiły się chmary jaskrawych ni to roślin, ni to prymitywnych stworzeń, podobnych do balonów. Kilka z nich zaczęło się czy usiadło na odstających gałęziach kolczastych drzew. Na niebie było widać dwa księżyce: jeden barwy lawendowej, a drugi zielonkawej.

– Na Dantooine założyliśmy kiedyś jedną z pierwszych baz Rebeliantów – ciągnęła Leia. – Planeta ma umiarkowany klimat, wiele form żywych organizmów, pod dostatkiem wody. Małe grupy wędrownych plemion przemierzają w tę i w tamtą stronę okolice wybrzeży oceanu, ale większa część powierzchni planety to obszary nie zamieszkane.

Leia nie powiedziała, że kiedy wielki moff Tarkin przesłuchiwał ją na pokładzie Gwiazdy Śmierci, użyła Dantooine jako przynęty. Chcąc ocalić swój ukochany Alderaan, wolała ujawnić położenie opuszczonej bazy Rebeliantów na tej planecie niż zdradzić Tarkinowi, że prawdziwą bazę założono na Yavinie Cztery. Tarkin jednak i tak zniszczył Alderaan, ponieważ Dantooine znajdowała się zbyt daleko, żeby mógł wykazać niszczycielską siłę Gwiazdy Śmierci. Teraz jednak Dantooine mogła być wykorzystana po raz drugi, tym razem jako dom dla uchodźców z Eol Sha.

– Czy sądzisz, że twoi ludzie chcieliby żyć na planecie takiej jak ta? – zapytała, unosząc brwi.

Gantoris, który do tej chwili widział tylko swój świat, skazany na zagładę, gazową planetę Bespin, i zabudowaną powierzchnię Coruscant, sprawiał wrażenie zachwyconego.

– To wygląda jak raj – powiedział. – Żadnych wulkanów? Żadnych trzęsień ziemi? Pod dostatkiem pożywienia i żadnych wielkich miast?

Leia kiwnęła głową. Zanim jednak Gantoris powiedział coś więcej, drzwi komnaty projekcyjnej się otworzyły. Leia odwróciła się i zdumiona spojrzała na przywódczynię Nowej Republiki, Mon Mothmę, która przyszła, by z nimi porozmawiać.

Kobieta o kasztanowatych włosach pewnymi krokami przemierzyła dzielącą ich odległość. Wydawało się, że unosi się nad podłogą.

Wyciągnęła rękę do Gantorisa.

– Musi pan być jednym z pierwszych kandydatów do akademii Luke’a Skywalkera – powiedziała. – Chciałabym powitać pana na Coruscant i życzyć sukcesów na drodze do stawania się częścią nowego zakonu rycerzy Jedi.

Gantoris ujął dłoń Mon Mothmy i kiwnął głową, lekko się pochylając. Przez chwilę Leia miała wrażenie, że mężczyzna uważa się za przywódcę spotykającego się z kimś równym sobie.

– Mon Mothmo – powiedziała. – Właśnie pokazywałam Gantorisowi kilka widoków Dantooine. Zastanawiamy się nad przesiedleniem kolonistów z Eol Sha do naszej dawnej bazy.

Mon Mothma się uśmiechnęła.

– Dobrze. Poinformowano mnie o niedoli tamtych ludzi i bardzo bym pragnęła, żeby znaleźli na Dantooine bezpieczną przystań. Zawsze uważałam, że to była jedna z naszych najlepszych baz. Nie miała tak surowego klimatu jak Hoth czy Pinnacle Base i nie była porośnięta taką gęstą dżunglą jak

Yavin Cztery. – Odwróciła się ku Gantorisowi. – Jeżeli wyrazi pan zgodę na ten świat, polecę minister Organie Solo, by przesiedliła tam kolonistów z Eol Sha jak najszybciej.

Gantoris kiwnął głową.

– Jeżeli te obrazy są reprezentatywne, Dantooine będzie wspaniałym miejscem na nowy dom dla moich ludzi.

Leia poczuła niekłamana ulgę.

– Myślałam, żeby mianować Wedge'a... to jest, generała Antillesa dowódcą ekipy nadzorującej przesiedlanie. Od miesiący zajmuje się odbudową zniszczonych dzielnic miasta, ale, prawdę mówiąc, uważam, że marnuje w ten sposób swój talent.

– Masz rację – rzekła Mon Mothma.

Przywódczyni Nowej Republiki, chociaż przytłoczona większą liczbą dyplomatycznych zawikłanych problemów i biurokratycznych obowiązków niż Leia, mogła sobie wyobrazić, jakim cudem zachowała sporo energii na inne sprawy.

– Mój kalendarz przypomni mi, że za dwa dni ma przylecieć ambasador Caridy. Czy wszystkie przygotowania do tej wizyty przebiegają bez zakłóceń? Czy mogłabym ci w czymś pomóc?

– Po prostu postaraj się wziąć udział w tym spotkaniu. Postanowiłam zorganizować ceremonię powitalną w ogrodach botanicznych Gwiezdnej Kopuły, a nie tu, w Pałacu Imperialnym. Ponieważ ambasador Furgan nie wygląda na sympatyka Nowej Republiki, nie chciałam go niepotrzebnie drażnić i przyjmować w dawnej siedzibie rządu Imperatora. Jeżeli mam być szczerą, ambasador twierdzi, że jedynym powodem jego wizyty jest chęć odbycia pielgrzymki do miejsc, związanych z Imperium i jego władcą.

Mon Mothma nieznacznie kiwnęła głową i lekko się uśmiechnęła.

– Przynajmniej zgodził się przylecieć – powiedziała. – To najlepsza wiadomość, jaką usłyszałam.

– Ja też tak sędzę. – W głosie Leii dało się usłyszeć sceptycyzm.

– A jeżeli już o tym mowa, jeszcze nie otrzymałam twojego raportu dotyczącego wyprawy Hana na Kessel – rzekła Mon Mothma. – Wysłanie jego zamiast oficjalnego ambasadora uważam za doskonały pomysł. Han potrafi porozumieć się z tymi ludźmi bez trudu, a wznowienie legalnego handlu przyprawą może zdziałać cuda dla naszej gospodarki. Czy jego misja zakończyła się powodzeniem?

Nie potrafiąc ukryć zakłopotania, Leia spuściła oczy.

– Muszę przyznać, Mon Mothmo, że Han trochę się spóźnia, więc w tej chwili nie mam jeszcze żadnych informacji. Kiedy wróci, natychmiast przedstawię ci oficjalny raport. Ja też mam nadzieję, że jego wyprawa okaże się sukcesem.

– Zgoda. – Wyraz twarzy Mon Mothmy świadczył o tym, że przywódczyni Nowej Republiki podejrzewa, iż za słowami Leii kryje się coś więcej, ale nie zadawała dalszych pytań. – Muszę teraz odbyć rozmowę z przedstawicielami Ugnaughtów na temat praw do wraków statków krążących po orbitach wokół Coruscant. Obawiam się, że rozmowa będzie długa i ciężka, a chciałam pozdrowić cię, skoro nadarzała się okazja. Panie Gantoris, miło mi było pana poznać.

Mon Mothma odwróciła się, chcąc odejść, ale spojrzała przez ramię na Leię.

– Przy okazji, Leio, radzisz sobie doskonale. Zbyt często my, przedstawiciele rządu, jesteśmy zajęci nawałem problemów grup niezadowolonych ludzi czy skarżących się interesantów, i zapominamy o osobach, które dobrze wykonują obowiązki. A ty pełnisz swoje naprawdę dobrze.

Leia nie zdołała ukryć pełnego zakłopotania uśmiechu. Byłaby o wiele szczęśliwsza, gdyby wiedziała, co stało się z jej mężem.

Bliźnięta zaczęły płakać i krzyczeć, kiedy tylko Winter wstąpiła na rampę wahadłowca. Osobista pokojówka Leii przystanąła, zwrócona plecami do Jacena i Jainya, i dopiero po chwili spojrziała na dzieci przez ramię. Nawet po kilku dniach spędzonych razem one wciąż uważały matkę za kogoś obcego.

Leia położyła ręce na ramieniu każdego z bliźniąt i przytrzymała je, by nie pobiegły za opiekunką. Zdawała sobie sprawę z tego, że może nie powinna tak robić, ale poczuła nagły przypływ instynktu macierzyńskiego.

Na okolonej białymi włosami twarzy Winter malowało się, jak zwykle, opanowanie.

– Dzieci, w tej chwili przestańcie płakać!

Jacen pociągnął nosem.

– Zostań z nami, Winter – powiedział.

Pokojówka odwróciła się i uniósłszy rękę, wyciągnęła palec jak włócznię w stronę Leii.

– To jest wasza matka. Ja tylko opiekowałam się wami. Jesteście już dużymi dziećmi i najwyższy czas, żebyście mieszkały we własnym domu. Muszę wracać, by zająć się waszym młodszym bratem.

Leia z trudem powstrzymała się od płaczu. Znała Winter od bardzo dawna i wiedziała, że ta kobieta nigdy nie zapomina niczego, co kiedykolwiek widziała lub słyszała. Była obdarzona doskonałą pamięcią, ale rzadko pozwalala sobie na okazywanie uczuć. Leii wydało się jednak, że w głosie piastunki brzmi smutek na myśl o tym, że ostatecznie rozstaje się z dwójką dzieci powierzonych jej opiece.

Leia uklękła obok bliźniąt.

– Oboje zostaniecie teraz ze mną – powiedziała. – A wkrótce dołączy do nas wasz tata. Spędzimy razem dużo czasu i będziemy się doskonale bawili.

Dzieci odwróciły się w stronę matki, a Winter wykorzystała tę chwilę, żeby wejść po rampie do środka wahadłowca. Zanim Jacen i Jaina zorientowali się, że odeszła, piastunka zamknęła i uszczelniła klapę śluzy.

Leia stała obok dzieci na platformie lądowiska, wymiecionej do czysta przez wiatry. Repulsory wahadłowca włączyły się ze skowyt, który po chwili zaczął przybierać coraz wyższe tony. Leia zrobiła krok do tyłu, nie wypuszczając rączek dzieci.

– Cofnijmy się trochę – poleciła. – Chodźmy tam, gdzie będzie bezpieczniej.

Jacen i Jaina wciąż pociągali nosami, gotowi w każdej sekundzie rozplakać się na nowo. Leia, mimo że nie miała dużej wprawy, starała się ich uspokoić, wysyłając ku nim tkliwe, przepełnione miłością myśli.

Po chwili odezwała się do mikrofonu umieszczonego w klapie swojej szaty:

– Proszę o zezwolenie na start nie oznakowanego wahadłowca z najwyższej północnej platformy Pałacu Imperialnego. Z upoważnienia minister Organy Solo.

Kontrolerzy ruchu orbitalnego wyrazili zgodę i wahadłowiec Winter oderwał się od lądowiska, obrócił wokół osi i poszybował ku niebu. Leia uniosła rękę w geście pożegnania.

– Dzieci, pomachajcie waszej piastunce – powiedziała.

Bliźnięta zaczęły energicznie machać pulchnymi rączkami. Winter kilka razy zgasiła i zapaliła światła wahadłowca, a potem włączyła silniki manewrowe i jej statek wystrzelił ku przestworzom

poznaczonym jasnymi smugami.

– Chodźcie ze mną – odezwała się Leia. – Muszę teraz nadrobić mnóstwo straconego czasu.

Streen siedział na szczycie najwyższego zrujnowanego i opuszczonego wieżowca, który obrał za nowy dom. Przyleciał z Skywalkerem do tętniącego życiem, gwarne Imperial City, ale całą powierzchnię miasta pokrywały uczucia i myśli milionów ludzi. Mężczyzna błagał Luke'a, żeby do chwili odlotu na planetę, która będzie siedzibą akademii Jedi, zostawił go w najbardziej odludnym miejscu. Luke pokazał mu opuszczoną dzielnicę miasta, a Streen wybrał najwyższy wieżowiec. Przebywanie na takiej wysokości przypominało mu chmury Bospinu.

Leia postanowiła zabrać dzieci i go odwiedzić. Trzymając mocno Jacena i Jainę, powiodła ich do jedynej funkcjonującej jeszcze windy i dotarła nią na najwyższe piętro. Schodami wspięli się na wyższą platformę, na której skraju siedział Streen. Starszawy mężczyzna kołysał nogami, nie bacząc na rozciągającą się pod nim kilometrową przepaść. Spoglądał na geometryczne kształty wielkich gmachów widoczne w dole i ciągnące się po horyzont. Śledził spojrzeniem ciemne sylwetki jastrzębionietoperzy, unoszonych prądami ciepłego powietrza.

Leia przeszła przez platformę i stanęła obok mężczyzny. Nigdy nie miała lęku wysokości, ale teraz, z dwójką dzieci u boku, czuła całkiem inny rodzaj strachu: obawę o miliony rzeczy, które mogły wyrządzić krzywdę jej maleństwu. Uczucie graniczyło z paranoją, i ścisnęło jej żołądek. Jacen i Jaina chcieli natychmiast podejść do krawędzi platformy i spojrzeć w dół, ale matka nie puściła ich rączek.

Usłyszawszy odgłosy ich kroków, Streen odwrócił się w stronę gości. Leia stwierdziła, że mężczyzna wciąż nosi ten sam zniszczony, mający wiele naszytych kieszeni kombinezon. Widocznie nie chciał się z nim rozstać i nie przyjął cieplejszego i wygodniejszego stroju, który mu podarowała.

– Przyszliśmy, by zobaczyć, jak sobie radzisz – odezwała się Leia. – Luke odleciał, a ja chciałam upewnić się, że niczego nie potrzebujesz.

Streen zawahał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Potrzebuję przede wszystkim samotności, ale obawiam się, że na całej planecie nie ma takiego miejsca, gdzie mógłbym ją znaleźć. Nawet w najrzadziej zaludnionych dzielnicach Coruscant wciąż słyszę nieustanny pomruk szepczących myśli i głosów. Będzie mi bardzo ciężko do chwili, kiedy w jakiś sposób nauczę się bronić przed nimi. Mistrz Jedi obiecał mnie tego nauczyć.

– Luke powinien niedługo wrócić – rzekła Leia.

Ona i bliźnięta zbliżyli się ostrożnie do krawędzi, ale Leia nalegała, żeby zatrzymali się o dwa kroki od niej. Mimo to Jaina odeszła na długość wyciągniętej ręki i wychyliła się, żeby sprawdzić, co jest w dole.

– Ale wysoko! – powiedziała.

– Zbyt wysoko, żeby spaść – stwierdziła Leia.

– Ja nie spadnę.

– Ja też nie – odezwał się Jacen. On także zbliżył się do krawędzi platformy, by spojrzeć w dół, ale nie puścił dłoni Leii.

Streen patrzył na bliźnięta z nie ukrywanym zachwytem.

– Jesteście lepsi niż inni – powiedział. – Umysły dzieci są nieskomplikowane i szczerze i nie sprawiają mi przykrości. Ból w głowie czuję tylko wtedy, kiedy myśli ludzi są złożone i zawierają tysiące niejednoznaczności. A pani myśli są cichsze i o wiele mniej rozproszone niż te, które

docierają do mnie od większości innych osób.

– Luke nauczył mnie, jak kontrolować własny umysł – rzekła Leia. – Staram się nie promieniować uczuciami i myślami, które wywołują w twojej głowie taki zamęt. Nie przekazuję ich nikomu innemu.

Streen obdarzył ją niepewnym uśmiechem, a później odwrócił się i zapatrzył w bezkresne niebo, na którym błyskające światelka oznaczały dziesiątki startujących lub lądujących dyplomatycznych wahadłowców.

– Mam nadzieję, że wszyscy uczniowie Jedi potrafią być tak samo cisi jak pani – powiedział. – Bardzo chciałbym znów znaleźć się w towarzystwie innych, stanowić część społeczności ludzi podobnych do pani i do mistrza Jedi. Jak pani sądzi, kiedy on wróci?

Popatrzył prosto w oczy Leii, która odciągała właśnie bliźnięta od krawędzi platformy.

– Niedługo – odparła. – Kiedy tylko będzie możliwe.

Obiecała sobie, że znajdzie miejsce na akademię Luke’a, jeszcze zanim jej brat wróci z Kessel. To powinno być dobre miejsce, a ona musi znaleźć je jak najszybciej.

Leia i Threepio nalegali, żeby dzieci przed udaniem się na spoczynek wypłuskały się w ciepłej wodzie. Leia zaczęła nalewać wodę do wielkiej wanny, a android sprawdzał temperaturę.

Później Leia zagoniła Jacena i Jainę do łazienki. Na widok lecącej wody chłopczyk nie zgodził się wejść do wanny.

– Włóż najpierw do niej bąbelki – powiedział.

– Włożymy bąbelki potem – odparła Leia. – A teraz wchodź do wanny.

– Winter zawsze wkładała bąbelki, zanim wchodziliśmy – odezwała się Jaina.

– No cóż, tym razem zrobimy to w innej kolejności – rzekła nieco rozdrażniona Leia.

– Chcę, żeby bąbelki były teraz! – rozplakał się Jacen.

– O rety! Może powinniśmy byli najpierw włożyć bąbelki? – wtrącił się zakłopotany Threepio.

Nieposłuszeństwo dzieci przekonało jednak ich matkę, że powinna okazać im stanowczość.

– Nie, powiedziałam wam, żebyście wchodzili do kąpielni – oświadczyła. – Nie obchodzi mnie, w jakiej kolejności robiła to Winter. Wasz dom jest teraz tutaj. Musicie się przyzwyczaić do tego, że czasami robimy niektóre rzeczy inaczej.

Jaina się rozplakała.

– No dobrze, dobrze – odezwała się Leia. – To bardzo przyjemna kąpiel. Popatrz sama. – Zanurzyła dłoń i zaczęła rozchlapywać ciepłą wodę. – Naprawdę nie ma różnicy, kiedy włożysz do niej bąbelki.

– Ja włożę bąbelki? – zainteresowała się dziewczynka.

– Jeżeli wejdiesz do wody, będziesz mogła zrobić to sama.

Jaina szybko weszła do wanny i wyciągnęła rączkę. Leia podała jej bursztynowej barwy kulę, która poddana działaniu fal rozpuszczała się i uwalniała pianę.

Jacen także wskoczył do wanny.

– Ja też chcę włożyć bąbelki – powiedział.

– Za późno! – oświadczyła Leia. – Zrobisz to następnym razem.

– A może powinniśmy pozwolić im rozpuścić jeszcze jedną kulę z bąbelkami? – zaproponował Threepio, pochylając się nad wanną, by usadowić w niej dzieci.

Jacen nabrał w obie dłonie wody i chlusnął nią w złocistą twarz androida.

– Chcę do domu! – oznajmił.

– Tu jest twój dom, Jacenie. Teraz tutaj będziesz mieszkał. Ja jestem twoją matką.

– Nie, ja chcę do prawdziwego domu! – upierał się chłopczyk.

Leia nie rozumiała, dlaczego tym razem nie potrafi wykorzystać swoich talentów dyplomatycznych. Dzieci zaczęły nawzajem się chlapać wodą. Na początku wyglądało to na zabawę, ale później, bez widocznej przyczyny, oboje się rozpłakali. Leia pomyślała, że może to jest dobry trening przed czekającą ją już wkrótce wizytą ambasadora Caridy.

Zamknęła oczy i próbowała nie przejmować się płaczem dzieci. Threepio jednak, który z każdą chwilą coraz bardziej tracił głowę, rozpaczliwie starał się ustalić, na czym właściwie polega cały problem.

A Leia bardzo chciałaby wiedzieć, gdzie w tej chwili podziewa się Han.

Rozdział 17

Skradziony imperialny prom pogrązał się w Otchłani. Potworne wiry rozgrzanych gazów szarpały nim we wszystkie strony, mimo że Kyp robił, co mógł, by pokazywać Hanowi bezpieczną drogę. Ich szlak wiódł skomplikowaną, krętą trasą, na której grawitacyjne oddziaływania poszczególnych czarnych dziur wzajemnie się równoważyły.

Otchłań była jednym z cudów galaktyki. Istnienie całej gromady czarnych dziur wydawało się z astrofizycznego punktu widzenia niemożliwe, a na temat przyczyn jej powstania istniało wiele teorii. Naukowcy Starej Republiki podawali wynikające z rachunku prawdopodobieństwa argumenty, w myśl których pośród niemal nieskończonej liczby gwiazd we wszechświecie musiało gdzieś istnieć coś takiego jak Otchłań. Inne możliwe wyjaśnienia, a wśród nich teorie, głoszone przez przesądnych przemytników przyprawy, sugerowały, że Otchłań nie powstała sama z siebie, lecz została zbudowana, skonstruowana przez obdarzoną niewyobrażalnymi technicznymi możliwościami, dawno wymarłą rasę obcych istot, które stworzyły ledwo stabilny układ czarnych dziur, by otworzyć wrota do innego wymiaru.

W tej chwili jednak Hana Solo obchodziło jedynie to, że Otchłań mogła stać się przyczyną jego nagłej śmierci.

We wnętrzu promu panował półmrok, a powietrze w sterowni było duszne i zatęchłe. Zmieniające się barwy świecących gazów, wyglądające jak upiorne fajerwerki, rozjaśniały kabinę drgającym blaskiem. Oświetlenie promu, systemy uzdatniania powietrza i regulacji temperatury wyłączono, żeby zwiększyć dopływ mocy do generatorów słabnących pól ochronnych.

Han pocił się na fotelu pilota. Nie spuszczał wzroku z dźwigni sterowych, które przekazał Kypowi. Chociaż w ciągu ostatniego tygodnia musiał niemal bez przerwy walczyć o życie, bardzo brakowało mu obecności Leii. Jego żona nie miała pojęcia, co się z nim dzieje, i musiała się bardzo martwić, ale była tak dumna, że z pewnością tego nie okazywała. Han odczuwał rozłękę jeszcze bardziej boleśnie, gdyż nie mógł powitać dzieci, kiedy wróciły do domu.

Wiedział też, że już nigdy ich nie zobaczy, jeżeli ich prom nie przeleci bezpiecznie przez obszar Otchłani. Wszystko zależało więc od tajemniczych umiejętności Kypa.

Ten zaś zmagął się ze sterami i prowadził statek zdradliwie wąskim szlakiem. Wykonywał najdelikatniejsze manewry, jakie Han kiedykolwiek widział – i to z zamkniętymi oczami! Młodzieniec sprawiał wrażenie, jakby jakieś wewnętrzne oczy umożliwiały mu dostrzeganie drogi, której Han nie potrafił dojrzeć. Spoglądając na gromady czarnych dziur otaczających prom, Han także miał chęć zamknąć oczy.

Kyp tymczasem prowadził prom po najeżonej przeszkodami trasie, przeskakując od jednego punktu o zerowej sile przyciągania do następnego. Chewbacca również siedział jak sparaliżowany,

obawiając się zakłócić koncentrację młodzieńca.

W pewnej chwili pola osłon przestały chronić jakiś fragment statku, a z jednego z kontrolnych paneli na skraju pulpitu wystrzeliły snopy iskier. Chewbacca warknął i natychmiast sięgnął długimi palcami do przycisków i przełączników, żeby rozproszyc pozostałą moc równomiernie wokół całego kadłuba promu. Wiedział, że gdyby w ochronnym polu pojawiła się jakaś luka, promieniowanie Roentgena i ogniste gazy rozerwałyby ich na strzępy.

Wyglądało na to, że Kyp w ogóle tego nie zauważył.

– Docieramy do końca drogi – odezwał się, nie otwierając oczu. – W samym środku gromady czarnych dziur znajduje się coś na kształt oazy grawitacyjnej ciszy, podobnie jak w oku cyklonu.

Han poczuł wielką ulgę.

– Lepiej będzie, jak zatrzymamy się tam na jakiś czas, naładujemy źródła energii i przeprowadzimy kilka najbardziej niezbędnych napraw – powiedział. Chewbacca burknął na znak, że przyznaje mu rację.

– I porządnie odpoczniemy – dodał Kyp. Han zauważył kropelki potu na czole chłopca. Mimo pozornego spokoju Kyp musiał być bardzo skoncentrowany, wykorzystując do ostatka swoje nie utrwalone zdolności. – Pamiętajcie, że wciąż jeszcze musimy stamtąd powrócić.

Wirujące chmury zjonizowanych gazów rozsunęły się przed nimi jak kurtyna, ukazując grawitacyjną oazę w samym sercu gromady czarnych dziur; bezpieczną przystań, w której mogli odpocząć przed czekającą ich drogą powrotną na Coruscant.

– Udało się! – szepnął rozradowany Han.

Okazało się jednak, że już wcześniej ktoś inny odnalazł to ukryte miejsce.

Wokół grupy małych skalistych asteroid w centrum Otchłani orbitowały cztery gigantyczne imperialne gwiazdne niszczyciele, najeżone setkami luf i wyrzutni.

W ciągu kilku chwil od pojawienia się promu na niebie z lądowisk i hangarów gwiazdnych niszczycieli wystartowały roje myśliwców i maszyn przechwytyjących typu TIE. Była to imponująca demonstracja siły.

Han patrzył, nie mogąc wykrztusić ani słowa. O włos uniknęli śmierci z rąk Skynxnexa, udało im się uciec energożernemu pajakowi w ciemnościach groty, wyszli obronną ręką podczas ataku całej floty Kessel i szczęśliwie przebyli grawitacyjny labirynt Otchłani. Teraz zaś, kiedy pola osłon były bliskie zaniku, a ich prom nie miał żadnej broni, wysłano przeciwko nim armadę imperialnych maszyn.

– Jeżeli dalej wszystko będzie się działo w takim tempie, przed kolacją dokonamy przypadkowego zniszczenia galaktyki – odezwał się w końcu. – Przełącz wszystkie silniki na ciąg wsteczny, Chewie! Obróć jak najszybciej tę piekielną balię. Kyp, znajdź nam jeszcze jedną bezpieczną trasę, żebyśmy mogli wrócić!

– Nie ma dużego wyboru takich dróg – stwierdził młodzieniec.

Nagle prom zadrżał, jakby ktoś mocarny uderzył go z całej siły w rufę. Z pulpitu kontrolnego strzeliły iskry. Przerażony Chewbacca zawył.

Han spojrzał na wskazania przyrządów.

– Waśnie poszły wszystkie osłony – oświadczył. Popatrzył na cztery gwiazdne niszczyciele i roje myśliwców i maszyn przechwytyjących typu TIE, lecące w stronę promu. – Czuję się, jakbyśmy mieli wymalowaną na kadłubie ogromną tarczę strzelniczą – powiedział. – Nie muszą nawet celować, by

rozpylić nas na atomy.

Rozejrzał się po kabinie, szukając czegoś twardego, na czym mógłby wylądować bezsilną wściekłość. W końcu kopnął z całej siły ścianę grodzi.

W głośniku komunikatora zatrzeszczało. Przez chwilę Han spodziewał się usłyszeć znów głos Morutha Doole'a, ale przypomniał sobie, że chmury zjonizowanego gazu i zniekształcenia gromady czarnych dziur uniemożliwiają przedostawanie się jakichkolwiek informacji, przesyłanych z zewnątrz za pośrednictwem fal elektromagnetycznych.

Z głośnika posypały się słowa, wypowiedane ochryłym, grubym głosem:

– Imperialny promie, witaj! Od dawna nie docierały do nas żadne wieści ze świata. Podaj swój kod bezpieczeństwa. Nasza eskadra myśliwców typu TIE wyleciała na powitanie!

Han zamarł, dopiero teraz przypomniał sobie, że lecą skradzionym starym promem imperialnym. Mają więc kilka sekund, zanim zostaną zdmuchnięci z przestworzy. Ale kod bezpieczeństwa? Musiał myśleć bardzo szybko.

Włączył przycisk uruchamiający nadawanie.

– Tu mówi pilot imperialnego promu... ehm... „Endor”. My... hmm... mieliśmy trochę kłopotów z przeleceniem przez rejon Otchłani, w związku z tym większość naszych systemów komputerowych nie funkcjonuje. Prosimy o pomoc. – Przerwał i przełknął ślinę, a potem zapytał: – Właściwie od jak dawna nie mieliście żadnych wiadomości z zewnątrz?

W głośniku rozległ się donośny trzask. Roje myśliwców typu TIE zbliżały się coraz bardziej. Han cierpiał niewymowne katusze, wiedząc, że jego wymówka nie przyda się na nic, że stanowią doskonały cel dla wszystkich imperialnych artylerzystów o świerzbujących palcach.

Ten sam głos odezwał się po raz drugi, tym razem jeszcze bardziej basowo i stanowczo:

– Imperialny promie „Endor”, powtarzamy: Jaki jest wasz kod bezpieczeństwa? Podajcie natychmiast!

Han odwrócił się do drugiego pilota.

– Chewie, ile czasu upłynie, zanim naprawisz generatory pól ochronnych?

Wookie zdjął boczną osłonę szafy z zasilaczami, wyciągnął ze środka plątaninę kabli i przebierał w nich palcami, próbując odtworzyć przerwane połączenia. Wciągał w nozdrza powietrze, starając się odnaleźć spalone obwody. Było jasne, że upłynie wiele czasu, zanim systemy zasilania znów będą nadawały się do czegokolwiek.

Han ponownie uruchomił mikrofon komunikatora.

– Uhm, jak mówiłem, nasze systemy komputerowe zostały uszkodzone. Chwilowo nie jesteśmy w stanie...

– Wymówka nie może być zaakceptowana – przerwał głos. – Sekwencję kodu bezpieczeństwa podaje się za pomocą fonii.

– Pragnąłem tylko się upewnić – oświadczył Han. – Sekwencja kodu brzmi...

Popatrzył na Kypa, rozpaczliwie licząc na to, że młodzieniec będzie umiał odczytać sekwencję kodu z sufitu, ale było mało prawdopodobne, żeby coś takiego udało się nawet Luke'owi Skywalkerowi. Kyp mógł tylko wzruszyć ramionami.

– Uhm, ostatnia sekwencja kodu, jaką mamy, brzmi: R-J-kreska-kreska-Z-Z-kreska-osiem tysięcy. Oczekuję na potwierdzenie.

Wyłączył mikrofon, popatrzył na Chewbacę i Kypa i rozłożył ręce.

– Warto było chociaż spróbować – powiedział.

– Sekwencja nieprawidłowa – odezwał się głośnik.

– A to niespodzianka – mruknął Han.

– Oznacza to, że nie jesteście wysłannikami wielkiego moffa Tarkina – ciągnął głos. – Prom „Endor”, natychmiast po lądowaniu zostanie aresztowany, przetransportowany na pokład imperialnego gwiazdowego niszczyciela „Gorgona” i poddani szczegółowemu przesłuchaniu. Jakakolwiek próba oporu czy ucieczki zakończy się zniszczeniem promu.

Han zastanawiał się, czy powinien potwierdzić odbiór, ale doszedł do wniosku, że i tak nie ma to znaczenia. Zaciekawiała go natomiast wzmianka o wielkim moffie Tarkinie, brutalnym gubernatorze, który skonstruował pierwszą Gwiazdę Śmierci. Tarkin zginął przed dziesięciu laty w trakcie eksplozji swojej apokaliptycznej broni. Czyżby zatem ci ludzie od tak dawna nie mieli kontaktu z resztą świata?

Prom zadrżał, jakby pochwycony niewidzialną potworną dłonią. Han słyszał, jak pod działaniem olbrzymiej siły trzeszczą spojenia zewnętrznego kadłuba.

– To promień ściągający – oznajmił pozostałym.

Gigantyczny kształt flagowego gwiazdowego niszczyciela, podobny do grotu strzały, unosił się przed nimi, zajmując niemal całą wolną przestrzeń. Chewbacca coś warknął, a Han musiał przyznać mu rację. Jemu też się to nie podobało.

– Nie przejmuj się, Chewie – powiedział. – I tak nie zdołalibyśmy pokonać tego promienia, nie zdążylibyśmy uciec dostatecznie szybko, a poza tym, nie mając osłon, nie dalibyśmy rady przelecieć przez Otchłń po raz drugi.

Eskadra myśliwców typu TIE otoczyła prom jak kokonem, uniemożliwiając mu zboczenie z kursu i wyrwanie się ze strefy przyciągania promienia. Niszczyciel gwiazdowy „Gorgona” otworzył wrota ogromnego lądowiska, żeby wchłonąć więźniów. Myśliwce typu TIE opuściły prom i wleciały do przepastnej metalowej gęby.

Han przypomniał sobie, że przeżywał już coś takiego, kiedy w podobny sposób zwabiono go na Gwiazdę Śmierci. Wylądował, otoczony imperialnymi gwiazdowymi myśliwcami, walcząc z potężnym promieniem ściągającym. Wówczas leciał swoim statkiem, na którym on i pozostali pasażerowie ukryli się w tajemnych skrytkach pod pokładem. Teraz jednak nie mogli nawet ukraść żadnych mundurów. Mieli na sobie wciąż te same termiczne kombinezony, w których pracowali w tunelach kopalni przyprawy na Kessel.

– Nie wyrzemy na nich korzystnego wrażenia – stwierdził Kyp.

Cztery wielkie gwiazdowe niszczyciele unosiły się nad gromadą połączonych ze sobą skalistych asteroid spoczywających w samym centrum Otchłni. Inne konstrukcje i skalne głązy zaśmiecały niemal całą przestrzeń między archipelagiem skał a niszczycielami.

Han po raz kolejny zastanawiał się, czym może być to, na co patrzy. Stocznia remontowa? Tajną bazą? Z jakiego innego powodu Imperium trwoniłoby tyle sił i środków na ochronę gromady skalistych wysepek?

Promień ściągający przeniósł prom przez otwarte wrota hangaru „Gorgony” i skierował go na odosobnione lądowisko. Kiedy statek w końcu znieruchomiał, Han usłyszał cichy pomruk i zamierające trzaski, jakby z wnętrza umęczonego promu wydobywał się na znak ulgi cały chór mechanicznych dźwięków. Natychmiast oddziały imperialnych szturmowców zaczęły zajmować stanowiska wokół statku. Żołnierze biegli, nie łamiąc szyku, co świadczyło, że nadal byli dobrze wyszkoleni, gotowi do walki. W rękach mieli nieco przestarzałe blastery, ale mierzyli z nich

w stronę promu.

– Lepiej przekonajmy się, czego chcą – odezwał się Han. – Macie jakieś przypuszczenia?

– Tylko mgliste – odparł Kyp, kręcąc okoloną ciemnymi włosami głową.

Han westchnął z rezygnacją.

– Wyjdźmy razem – powiedział. – Ręce do góry i nie robić żadnych niespodziewanych ruchów.

Chewbacca burknął, że nie miałby nic przeciwko traceniu życia w walce, zwłaszcza wtedy, gdy i tak czeka ich wyrok śmierci.

– Jeszcze tego nie wiemy – odparł Han. – Chodźmy.

Wyglądający najgroźniej Chewbacca stanął pośrodku, a Han i niższy od niego Kyp zajęli miejsca z jego prawej i lewej strony. Wyszli z promu, stanęli i unieśli ręce. Natychmiast szturmowcy skierowali ku nim lufy blasterów. Han był ciekaw, jakim cudem mógł zasłużyć na takie nieprzerwane pasmo prawdziwego pecha.

Tylny szereg szturmowców na wydany rozkaz sprezentował blastery, ale pierwszy nie przestał kierować swojej broni w stronę więźniów. Han ujrzał, jak drzwi w przeciwległej ścianie lądowiska się rozsuwają i do środka wchodzi wysoka kobieta w towarzystwie idących po obu jej stronach rosnących strażników.

Była szczupła, a z każdego jej ruchu przebijała chłodna precyzja. Miała na sobie oliwkowoszary wojskowy kombinezon, a na dłoniach nosiła czarne rękawiczki. Szła miarowo, nie zwracając uwagi na salutujących jej szturmowców, jakby żołnierze byli tylko unieruchomionymi automatami. Patrzyła na więźniów.

Han stwierdził, że najbardziej niezwykle były bujne włosy kobiety, okalające jej głowę i spadające na ramiona, bardzo długie, nikiące za plecami. Miały barwę roztopionej miedzi i sprawiały wrażenie, że iskrzą się, żyją własnym życiem. Spojrzenie jej zielonych oczu przeszywało na wskroś jak turbolaserowe błyskawice.

Skierowała się prosto ku więźniom. Han zerknął na naszywki na kołnierzu jej bluzy i z zaskoczeniem stwierdził, że kobieta ma stopień pełnego admirała. Gdy był młody, sam uczęszczał do imperialnej akademii i pamiętał, że osiągnięcie przez kobietę stopnia admirała było niemal niemożliwe. Imperator Palpatine był znany z wrogości do istot nie będących ludźmi, ale tylko nieco mniejszą niechęcią darzył kobiety. Rzadko awansował nawet te, które przeszły pomyślnie przez wszystkie bardzo trudne testy. Przyznanie kobiecie stopnia pełnego admirała, a zwłaszcza powierzenie jej dowództwa nad małą flotą imperialnych gwiazdnych niszczycieli musiało być czymś wyjątkowym. Han postanowił mieć się na baczności. To nie była osoba, którą mógłby lekceważyć.

Kobieta przystanęła tymczasem u stóp rampy i uniosła głowę, patrząc na więźniów nieruchomymi zielonymi oczami. Idealne kształty jej ciała w połączeniu z wyniosłością i chłodem kojarzyły się Hanowi z marmurowym posągami. Nawet usta kobiety niemal się nie poruszały, kiedy powiedziała:

– Jestem admirał Daala, a moim zadaniem jest obrona Laboratorium Otchłani przed sabotażystami. – Obdarzyła wszystkich po kolei błyskiem zielonych oczu. – Wpakowaliście się w prawdziwe tarapaty.

Rozdział 18

Kiedy w drodze do Kessel Lando Calrissian pilotował „Ślicznotkę”, Luke i Artoo nie mieli wiele pracy. Podobna do mgławicy chmura uciekającej atmosfery ciągnęła się za planetą, która do złudzenia przypominała duży ziemniak. Na niewielkiej wysokości nad nią krążył oznaczony kraterami i dolami księżyc, zamieniony teraz w wojskową bazę.

– Witajcie w rajskim zakątku galaktyki – odezwał się Calrissian.

Luke pomyślał o rodzinnej Tatooine, o Morzu Wydm, Wielkiej Jamie Carkoon i pustkowiach Jundlandu.

– Widywałem już gorsze miejsca – powiedział. Artoo zaświergotał, przyznając mu rację.

Lando zbliżył twarz do iluminatora.

– To prawda, nie powinniśmy osądzać jej zbyt szybko. Nie widzieliśmy jej jeszcze z bliska.

Włączył komunikator. Jeżeli Kessel miała dobrą stację namiarową, jej operatorzy powinni byli dowiedzieć się o obecności „Ślicznotki” w tej samej chwili, w której wyłoniła się z nadprzestrzeni.

– Halo, Kessel! – powiedział do mikrofonu. – Czy ktoś mnie słyszy? Chcę mówić z kimś, kto nazywa się Moruth Doole. Mam dla niego ciekawą propozycję. Czekam na odpowiedź.

– Kto to? – odezwał się w głośniku zdumiony głos. – Podaj swoje dane.

– Nazywam się Tymmo, a jeżeli chcesz wiedzieć coś więcej, znajdź Doole’a i powiedz mu, żeby sam zapytał. – Lando spojrzał na Luke’a i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Obaj doszli do wniosku, że posłużenie się fałszywym nazwiskiem geniusza oszustów z wyścigów purchlaków może przydać ich wyprawie dodatkowej pikanterii. – Mój współnik i ja mamy trochę forsy, z którą nie bardzo wiemy, co zrobić. Jeżeli już o tym mowa, jest tego dokładnie pół miliona kredytów, więc pospiesz się i ściągnij tego Doole’a jak najszybciej.

Nikt w głośniku się nie odezwał, zapewne zajęty rozmową z kimś innym. Dopiero po chwili ten sam głos powiedział:

– Panie... ehm... Tymmo, przekazujemy panu parametry naszej orbity parkingowej. Proszę w żadnym razie jej nie opuszczać. Nasze pole siłowe wokół planety działa sprawnie i spowoduje dezintegrację waszego statku w tej samej chwili, w której będziecie chcieli wylądować bez zezwolenia. Czy to rozumiałe?

Luke popatrzył na Calrissiana, a potem obaj wzruszyli ramionami. Lando odezwał się do mikrofonu:

– W porządku, zostaniemy na orbicie i poczekamy, aż Doole zechce rozwinąć czerwony dywan na nasze powitanie. Jeżeli jednak potrwa to zbyt długo, wydamy nasze pieniądze w innym miejscu.

Zaplótl palce rąk za głową i odchylił się w fotelu pilota, spoglądając, jak Kessel wypełnia w iluminatorze całą wolną przestrzeń. Zadaniem Landa było przekonanie urzędników z Kessel, żeby

pokazali mu jak najwięcej różnych miejsc na tej planecie. Luke miał w tym czasie wyteżać wzrok i inne zmysły Jedi w poszukiwaniu śladów Hana.

Przed odlotem z Coruscant spreparowali fałszywe dane osobowe i życiorysy, usuwając z nich wszelkie zdarzenia wskazujące na kontakty z Nową Republiką. Pozostawili w nich jednak sugestie licznych niezbyt legalnych transakcji i łatwych zarobków, mające uprawdopodobnić ich historie. Tak długo, jak miało być możliwe, Luke nie zamierzał ujawniać swojej prawdziwej tożsamości.

Z głośnika odezwał się w końcu czyjś chrapliwy głos.

– Panie Tymmo? Tu mówi Moruth Doole. Czy my się już skądś znamy?

– Jeszcze nie – odrzekł Lando. – Ale mam na koncie dużo płynnej gotówki, która mówi, że chciałby pan to jak najszybciej zmienić.

Usłyszeli bulgot, z jakim ich rozmówca wciągnął powietrze.

– Co właściwie ma pan na myśli? Mój oficer łącznościowiec wspominał coś o połowie miliona kredytów...?

– Trafiła mi się duża wygrana na wyścigach umgulliańskich purchlaków i rozglądam się teraz za miejscem, gdzie mógłbym ją zainwestować. Zawsze byłem zdania, że prawdziwe pieniądze można zarobić tylko na wydobywaniu przyprawy. Jest pan skłonny do podjęcia rozmów?

Doole odpowiedział niemal bez wahania.

– Pół miliona kredytów jest z pewnością sumą, o której warto porozmawiać. Wysłałem patrolowca, żeby zapewnić wam eskortę. Pokaże wam bezpieczny korytarz wiodący przez energetyczne pole.

– Cieszę się, że będę mógł porozmawiać z panem w cztery oczy – odparł Lando.

Doole wydał tylko skrzeczący odgłos przypominający trochę żabi rechot.

Lando zostawił „Ślicznotkę” na lądowisku imperialnego zakładu karnego w sąsiedztwie patrolowców, atmosferycznych transportowców i wraków innych statków, z których wewnątrz już dawno wymontowano wszystkie nadające się do użytku podzespoły. Ubrany w kosztowną szatę, zszedł na płytę lądowiska i stanął na niej, beztróska się uśmiechając. Obok niego stał Luke, odziany w skromny wojskowy kombinezon, z którego usunięto nawet wszelkie ślady po naszywkach.

Oddział żołnierzy w mundurach będących mieszaniną więziennych strojów i kawałków pancerzy zbroi imperialnych szturmowców poprowadził Luke’a, Landa i Artoo-Detoo w stronę ogromnego trapezoidalnego budynku placówki karnej. Luke’owi zdawało się, że widoczny przed nimi masyw budynku więziennego wciąż pulsuje, chcąc jego dodatkowym zmysłom ujawnić wiele lat poniżenia i bólu, jakie czuło tysiące więzionych w nim żywych istot. Zachowywał milczenie, ale miał się na baczności. Dobrze chociaż, że eskortujący ich żołnierze trzymali broń w kaburach i zachowywali się tak przyjaźnie, jak, w ich przekonaniu, było tylko możliwe.

Cylindryczną windą pomknęli w górę krzywizny budynku więziennego. Przez transpastalowe szyby Luke spoglądał na pustkowia Kessel, beznadziejnie ciągnące się aż po horyzont.

Kiedy drzwi windy się otworzyły, ukazując lustrzane ściany pawilonu administracyjnego, żołnierze nakazali przybyszom iść za sobą. Korytarzami spieszyli gońcy i urzędnicy, a także funkcjonariusze w podniszczonych mundurach, sprawiający wrażenie bardziej zapracowanych, niżby chcieli. Luke był ciekaw, czy Doole nie zorganizował tego pokazu aktywności, żeby goście mieli o nim dobrą opinię, ale gorączkowa krzątania urzędników wyglądała raczej na chaotyczną bieżącą.

Moruth Doole spotkał się z interesantami w jednym z głównych korytarzy. Przysadzista istota ziemno-wodna na ich widok zatarła wykrzywione ręce i wyciągnęła ku nim głowę. Soczewki optycznego mechanizmu osłaniającego jedno oko zafurczały, usiłując ustawić odpowiednią ogniskową.

– Witam, panie Tymmo! – odezwał się Doole. – Przepraszam za panujący bałagan. Muszę przyznać, że pańska wizyta nie wypadła w najbardziej odpowiedniej chwili. Właśnie wczoraj straciłem najlepszego nadzorcę, a szef pierwszej zmiany w kopalni zginął w wypadku, jaki zdarzył się w jednym z tuneli. Proszę zatem wybaczyć mi, że trochę... przestaję panować nad sytuacją.

– Proszę się tym nie przejmować – odparł Lando, potrząsając wyciągniętą ręką Doole’a. – Sam byłem kiedyś administratorem kilku większych przedsiębiorstw wydobywczych i wiem, że bardzo często sama planeta sprzysięga się, by zrobić człowiekowi na złość.

– W rzeczy samej! – przyznał Doole, otwierając i zamykając usta jak młody rawwk domagający się pożywienia. – Ma pan bardzo ciekawy sposób patrzenia na te sprawy.

– Mam nadzieję, że ten straszny wypadek nie wpłynie w istotnym stopniu na ilości wydobywanej przyprawy? – zapytał Lando.

– Och, w ciągu paru najbliższych dni produkcja osiągnie poprzedni poziom – zapewnił go Doole.

– Mój wspólnik pomaga mi w sprawdzaniu szczegółów technicznych procesu wydobywczego i doradza w sprawach, czy warto inwestować weń jakąś gotówkę. – Głęboko odetchnął. – Wiem, że mój przylot pana zaskoczył. Proszę mi powiedzieć, czy mógłbym w którąś część procesu produkcyjnego zainwestować swoje pieniądze?

Doole gestem zaprosił ich do biura. W niepewnym świetle korytarzy dziwna kamizelka z jaszczurczej skóry, noszona przez Rybeta, układała się w zmarszczki i fałdy.

– Wejdźcie do środka, omówimy wszystko bardziej szczegółowo – powiedział.

Ruszył przodem, kołysząc się w biodrach i rozglądając się na prawo i lewo, jakby sprawiało mu dużą trudność zorientowanie się, dokąd idzie. Kiedy znaleźli się w wielkim biurze byłego naczelnika więzienia, Doole gestem zaprosił ich, żeby usiedli. Artoo potoczył się i zatrzymał obok Luke’a.

Spoglądając po ścianach, Luke zauważył wiszącego na jednej z nich mężczyznę zamrożonego w karbonicie. Wszystkie lampki na pulpicie kontrolnym, sygnalizujące podtrzymywanie funkcji życiowych organizmu, były ciemne.

– Przyjaciel? – zapytał.

Doole prysnął śliną, wybuchając skrzeczącym śmiechem.

– Były rywal. Pełnił kiedyś funkcję naczelnika więzienia, zanim nasza mała rewolucja wprowadziła do kopalń przyprawy prawdziwy kapitalizm. – Ciężko opadł na stojący za biurkiem fotel. – Czy mogę zaproponować panom coś do picia?

Lando usiadł i splótł ręce na kolanach.

– Wolałbym porozmawiać najpierw o interesach – odparł. – Jeżeli będziemy dochodzić do porozumienia, może wówczas uczcimy to jakimś kieliszkiem alkoholu.

– To słuszne podejście – stwierdził Doole, ponownie zacierając dłonie. – A więc, rozmyślałem od chwili otrzymania pańskiej oferty i przypuszczam, że możemy zaproponować panu doskonałą inwestycję. Tak się składa, że tuż przed śmiercią szef pierwszej zmiany odkrył wyjątkowo bogate złoża błyszczostymu. Odkopanie zasypanego tunelu będzie kosztowało z pewnością dużo wysiłków i pieniędzy, ale późniejsze zyski przekroczą pańskie najśmielsze marzenia.

– Zgadza się, mam kilka bardzo śmiałych marzeń – odparł Lando, obdarzając Doole’a najbardziej

promiennym ze swoich uśmiechów.

– Pańskie stwierdzenia mogą być mocno przesadzone, panie Doole – odezwał się Luke, a w jego poważnym głosie dało się słyszeć nutkę sceptycyzmu. – Czy nie zechciałby pan wyrazić zgody na to, by nasza jednostka R2 włączyła się do pana sieci komputerowej i zapoznała się z danymi dotyczącymi strat i zysków za, powiedzmy, ostatnie dwa lata? Pozwoliłoby mi to uzyskać informacje, na podstawie których mógłbym udzielić najlepszej rady panu Tymmowi.

Doole skrzywił się na myśl o tym, że będzie musiał ujawnić swoje dane, ale Lando wyciągnął z kieszeni swoją kartę kredytową, za pomocą której mógł dokonywać przelewów gotówki.

– Mogę pana zapewnić, że nasz robot nie wprowadzi żadnych zakłóceń do pańskich baz danych. Jeżeli dzięki temu poczuje się pan spokojniej, mogę złożyć na pana ręce niewielką sumę. Co pan powie na pięć tysięcy?

Doole czuł, że chęć zachowania swoich danych w tajemnicy walczy w nim o lepsze z potrzebą okazania zaufania potencjalnemu bogatemu inwestorowi. Nie mógł też pominąć pięciu tysięcy kredytów, które mógł mieć wyłącznie dla siebie.

– Myślę, że nie będę miał nic przeciwko temu – rzekł w końcu. – Ale mogę dać pańskiemu automatowi tylko pięć minut. Nie powinien potrzebować więcej czasu, by odnaleźć potrzebne informacje.

Luke kiwnął głową.

– To wystarczy, bardzo dziękuję – odparł, dobrze wiedząc, że i tak Artoo nie będzie tracił czasu na zapoznawanie się ze sfałszowanymi danymi dotyczącymi strat i zysków. Zamiast tego zacznie natychmiast szukać śladów obecności Hana Solo, Chewbaccy „Tysiącletniego Sokoła”.

Pomrukując serwomotorami, Artoo potoczył się do biurka Morutha Doole’a, wysunął czujnik i dołączył końcówkę do gniazda więziennej sieci komputerowej. Końcówka zawirowała, wchłaniając informacje zagrzebane głęboko w pamięciach komputera zakładu karnego.

Oczekując na wynik analizy, Lando nie przestawał dyskutować z Doole’em.

– Chciałbym poznać wszystkie aspekty pańskiego procesu wydobywania i przetwarzania przyprawy – mówił. – Jestem pewien, że mógłby pan zorganizować małą wycieczkę po kopalni. Chciałbym na własne oczy przekonać się, w jakim jest stanie i jak funkcjonuje. W pierwszej kolejności chcę zobaczyć ten zasypany chodnik. Jeżeli uznamy, że istnieje szansa szybkiego i dużego zysku, może zainwestuję w jego odkopanie.

– Hmm – odezwał się Doole i obejrzał za siebie, jakby tam spodziewał się znaleźć wymówkę. – Mówiłem panu, że zjawił się pan w niezbyt odpowiedniej chwili. Może mógłbym zorganizować wyprawę do kopalni w jakimś innym terminie, w którym mógłby pan tu powrócić...

Rozłożył bezradnie ręce.

Lando wzruszył wymownie ramionami i wstał, jakby zamierzał wyjść z biura.

– Rozumiem. Jeżeli nie jest pan zainteresowany moją propozycją, spróbuję poszukać szczęścia gdzie indziej. Te pieniądze za bardzo ciążą na moim koncie. Chcę zrobić coś z nimi teraz, zaraz. Na innych planetach też przecież istnieją kopalnie przyprawy.

– Tak, ale wydobywa się w nich ryli, a nie błyszczystym – odparł Doole.

– Niemniej i one przynoszą niezłe zyski.

Artoo odłączył czujnik i zaświergotał, zwracając się do Luke’a. Ten zaś, chociaż tylko częściowo znał mowę robota, zrozumiał, że Artoo nie znalazł ani Hana, ani niczego specjalnie obciążającego Doole’a. Jeżeli w bazach danych istniała jakakolwiek wzmianka o „Sokole”, musiała zostać

bezpowrotnie skasowana.

– No i jaka jest opinia pańskiego robota? – zapytał Doole, kiedy usłyszał serię elektronicznych pisków.

– Nie znalazł niczego niezwykłego – oświadczył Luke, posyłając Calrissianowi przygnębione spojrzenie.

Doole wstał. Promieniał ze szczęścia.

– Rozumiem pańskie zastrzeżenia, panie Tymmo. Czasami niedogodności muszą ustąpić przed sprawami związanymi z interesami. Nie chciałbym, żeby odlatywał pan z Kessel, żywiąc jakiegokolwiek wątpliwości. Chodźmy więc, pokażę panom najpierw zakład przetwórczy, a później zorganizuję wycieczkę po nowo wydrążonych tunelach.

Kipiąc z wściekłości, ruszył przodem. Pozostali szli za nim, rozglądając się, czy nie ujrzą jakiegoś śladu pobytu Hana.

Poduszkowcem dotarli w pobliże wlotu szybu wiodącego do jednego z zasypanych korytarzy i przesiedli się do górniczego wagonika. Luke i Lando odruchowo chowali głowy, kiedy mknęli tunelem, wijącym się jak korkociąg.

– W czasach kiedy Imperium sprawowało władzę nad placówką karną, znajdował się tu jeden z nielegalnie wydrążonych chodników – odezwał się Doole, podnosząc głos, by przekrzyczeć szum repulsorowych silników. – Przestępców schwytano, a szyb zapieczętowano. Pozostawał w takim stanie do chwili, kiedy otworzyła go osypująca się lawina.

Doole pokazał im ogromną grootę, w której zawaliła się część sklepienia. Do pieczary docierało z powierzchni nikle światło, rozjaśniając niektóre kąty. Pracujący w środku ludzie, ustawivszy pod ścianami dodatkowe źródła światła, rozbijali i usuwali odłamki skalne. Wyloty tuneli, wiodących do groty, zablokowano przenośnymi pneumatycznymi drzwiami, by uniemożliwić przedostawanie się światła do pozostałej części kopalni.

– To rzadka okazja, panie Tymmo – mówił Doole. Po oprowadzeniu gości po pawilonie, w którym ślepe larwy pakowały przyprawę, z każdą chwilą stawał się coraz bardziej gadatliwy. – Jak pan wie, przyprawę należy wydobywać w całkowitej ciemności, a więc prawie nigdy w tunelach nie używamy źródeł światła. Osunięcie się skał spowodowało jednak oświetlenie tuneli słonecznym blaskiem, a zatem i tak część przyprawy uległa degradacji. Uszczelniliśmy wyloty innych szybów, żeby uratować resztę błyszczystemu.

– Co właściwie się tu stało? – zapytał Lando, rozglądając się na prawo i lewo.

– Wstrząs tektoniczny – odparł Doole.

Luke widział jednak na skalnych ścianach ciemne ślady po strzałach z potężnych blasterów, i zrozumiał, że oprócz zwyczajnej aktywności tektonicznej wydarzyło się tu coś więcej.

Poczuł nagle falę przerażenia i zdumienia, emanującą od Calrissiana.

– A to co? – odezwał się Lando, pokazując na przeciwległy kraniec groty.

Spod zwałów kamieni i odłamków skał wystawały we wszystkie strony dziesiątki spiczastych kończyn. Obły korpus, pokryty wieloma guzami, połyskującymi jak klejnoty, zdobiły tuziny szklistych oczu, nieruchomych teraz i martwych. Można było odnieść wrażenie, że cała reszta ciała składała się wyłącznie z ostrych kłów. Spadające ze sklepienia skalne bloki zmiażdżyły potwora, a odnoża podobne do bieży wykrzywiły się, jakby konające stworzenie usiłowało odrzucić je na boki.

Doole podszedł do zmiażdżonych szczątków.

– To, moi przyjaciele, jest zapewne stworzenie wytwarzające przyprawę – powiedział. – To pierwsze, jakie spotkaliśmy, ale sądzę, że w niżej położonych tunelach mogą się kryć inne. Sprowadziłem tu ksenobiologa, żeby zbadał te szczątki. Cały korpus sprawia wrażenie zrobionego z błyszczostymu, podobnie jak rozwieszony w grocie włókna i nici, których zwierzę używało jako pajęczyny.

Doole przystanął, omal nie dotknąwszy martwego potwora.

Podszedł do nich naukowiec, odpowiedzialny za sekcję szczątków. Trącił butem jedno z ostrych krystalicznych odnóży.

– Będziemy chcieli się przekonać, czy z gruczołów przednych i odwłoka nie uda się nam wydostać ekstraktu błyszczostymu.

Doole uniósł i opuścił głowę.

– Czy to nie byłoby coś wspaniałego? Absolutnie czysty błyszczostym!

Lando kiwnął obojętnie głową. Luke, pragnąc grać jak najlepiej swoją rolę, chciał uzyskać jak najwięcej dodatkowych informacji.

– W jaki sposób istnienie tych stworzeń wpływa na bezpieczeństwo pracy? – zapytał. – Czy ten potwór nie polował na górników?

– Tak, prawdę mówiąc, zabił kilku, a wśród nich szefa zmiany i mojego nadzorcę. Mówiłem wam o tym trochę wcześniej. Ile ciał odnaleźliście do tej pory? – zapytał, zwracając się do jednego ze strażników.

– Trzy nowe i dwa stare, ale sądzimy, że w innych miejscach może znajdować się ich więcej. Wciąż nie możemy się doliczyć jednego wielkiego Wookiego i kilku innych pracowników.

Doole spiorunował funkcjonariusza spojrzeniem, ale szybko przybrał ten sam fałszywy uśmiech.

Luke zamarł, usłyszawszy tę odpowiedź. Rzecz jasna, nie mógł wiedzieć, czy Wookiem, o którym mowa, był Chewbacca. Imperium porывało wielu niewolników z Kashyyyku, macierzystej planety Wookiech, i niektórzy z nich mogli zostać wysłani na Kessel. Luke napotkał spojrzenie Calrissiana, ale przyjaciel nieznacznie pokręcił głową.

– Bardzo ciekawe – stwierdził.

– Chodźmy dalej, chcę pokazać panom jeszcze inne miejsca – odezwał się Doole, wracając do wagonika. – Mam nadzieję, że to, co widzieliście, wywarło na was wrażenie.

– O tak – odparł Lando. – Masz tutaj naprawdę zdumiewające przedsiębiorstwo, Moruth.

Luke się nie odzywał. Przez cały dzień wyteżał wszystkie zmysły, szukając jakiegoś śladu Hana i Chewbaccy, ale żadnego nie znalazł. Czuł ból i cierpienia wielu innych istot, ale nie natrafił na nic, co wskazywałoby na obecność tych, na których mu zależało.

Han Solo mógł zatem w ogóle nie dolecieć na Kessel, a z pewnością nie było go na niej w tej chwili. A jeżeli był, to nie żył.

Rozdział 19

Kwatera admiralska na imperialnym gwiazdnym niszczycielu, choć przestronna i funkcjonalna, była od ponad dziesięciu lat jedynym domem Daali.

Pani admirał rok po roku działała, odcięta od zewnętrznego świata, jak zawsze samotna. Wypełniała wszystkie rozkazy Tarkina, jakie wydał jej przed odlotem. Od tamtego czasu nie miała od niego żadnej wieści. Wywoływane przez Otchłań zniekształcenia przestrzeni uniemożliwiały przesłanie z zewnątrz jakiegokolwiek wiadomości holograficznej. Flota Daali była zdana na własne siły i chociaż załoga jej czterech gwiazdnych niszczycieli popadła w niejaką rutynę, Daala nie dopuściła do osłabienia dyscypliny. Obawiała się nawet myśleć o tym, co dzieje się w innych częściach galaktyki, pewna przynajmniej jednego, że może liczyć na Imperium i jego niezmiennie prawa, czasami okrutne, ale zawsze jasne i zrozumiałe.

Teraz jednak, miotana sprzecznymi uczuciami, była rada, że jej kwatera jest cicha i pusta, zamknięta i dobrze strzeżona, tak że absolutnie nikt nie mógł zobaczyć jej w tym stanie. W przeciwnym razie opinia, jaką cieszyła się u podwładnych, zostałaby bezpowrotnie zrujnowana. A wszystko było takie proste i jasne, dopóki nie wydała rozkazu przesłuchania nowych więźniów...

Daala wcisnęła klawisz uruchamiający odtwarzanie i ponownie zaczęła obserwować nagranie, chociaż oglądała już je dziesiątki razy. Znała na pamięć wszystkie słowa, jakie wypowiadał jej więzień, i powtarzała je, bezgłośnie poruszając wargami. Widok drobnej holograficznej postaci nie robił na niej aż takiego wrażenia jak przesłuchanie, które przeprowadziła.

Jej więzień, Han Solo, siedział unieruchomiony na koszmarnym krześle tortur, opleciony przeróżnymi stalowymi rurami, drutami i sprężynami. Aparatura wyglądała złowieszczo i groźnie, ale większość urządzeń służyła tylko spotęgowaniu prerażenia więźnia i tę funkcję spełniała bez zarzutu.

Admirał Daala, widoczna na nagraniu, stała obok komandora Kratasa, kapitana „Gorgony”, swojego flagowego statku. Wyczuwała strach emanujący od więźnia, który jednak zachowywał się buńczucznie i udzielał sarkastycznych odpowiedzi. Była pewna, że bez trudu złamie siłę jego woli.

– Powiedz nam, skąd przybywasz – powiedziała. – Czy Sojusz Rebeliantów został już zmiotczony? Co dzieje się teraz w Imperium?

– Pocałuj Hutta! – odparł Han.

Nie mrugnawszy okiem, Daala wpatrywała się w niego przez chwilę, a potem wzruszyła ramionami i skinęła na Kratasa. Komandor nacisnął na pulpicie kontrolnym jakiś guzik i jeden z metalowych prętów krępujących ciało więźnia wydał cichy pomruk.

Mięśnie lewego uda Solo zaczęły drżeć, płasząc jak w spazmatycznym tańcu. Cała noga zaczęła poruszać się w dół i w górę. Drgawki przybierały na sile. Więzień wyglądał na zdumionego i przerażonego, jakby nie potrafił zrozumieć, dlaczego jego ciało zachowuje się nagle tak dziwnie.

Było widać, jak niespodziewany atak drgawek powoduje naprężenie mięśni pod jego skórą.

Daala się uśmiechnęła.

Kratas pokręcił jakimś potencjometrem na pulpicie. Przez całe ciało więźnia przeszedł dreszcz i w tej samej chwili lewa strona klatki piersiowej zaczęła także drżeć jak szalona. Solo skulił się i napiął mięśnie, ale krzesło tortur uniemożliwiało wszelkie ruchy. Walczył, by nie jęknąć.

Spazmatyczne drgawki nie tyle bolały, co doprowadzały do prawdziwego szału. Daala już dawno przekonała się, że najskuteczniejszym sposobem przesłuchiwania więźniów było wywoływanie u nich bezlitosnych drgawek twarzy, wskutek których powieki nieustannie otwierały się i zamykały, otwierały i zamykały, bez końca, całymi godzinami.

– Opowiedz nam o Imperium – rozkazała.

– Imperium dostało się do zgniatacza śmieci! – wykrztusił w końcu Solo. Daala widziała białka jego oczu, kiedy starał się dostrzec, co wyprawiają mięśnie jego zbuntowanej nogi. – Imperator nie żyje. Zginął w czasie eksplozji drugiej Gwiazdy Śmierci.

Daala i Kratas w tej samej chwili spojrzeli na więźnia.

– Drugiej Gwiazdy Śmierci? Opowiedz nam o niej coś więcej.

– Nie – odparł Solo.

– Tak – rzekła Daala.

Kratas sięgnął do następnego pokręta czy przełącznika. Inny pręt przytrzymujący więźnia na krześle zabrzączał i prawa ręka Solo zaczęła drżeć. Jego palce skrobały gładki metal poręczy, nie mogąc powstrzymać spazmatycznych drgawek. Solo wyglądał, jakby chciał patrzeć we wszystkie strony naraz.

– Druga Gwiazda Śmierci? – zapytała ponownie Daala.

– Była wciąż budowana, kiedy wywołaliśmy w jej reaktorze reakcję łańcuchową. Darth Vader i Imperator przebywali wówczas na jej pokładzie.

Solo wyglądał, jakby zdradzał te tajemnice z wielkimi oporami, ale było jasne, że oznajmianie tych wieści sprawia mu dużą radość.

– A co stało się z pierwszą Gwiazdą Śmierci? – zapytała Daala.

– Sojusznicy i ją zniszczyli – wyszczerzywszy zęby, odparł Solo.

Daala zachowała tyle sceptycyzmu, że nie we wszystko uwierzyła. Więzień, a zwłaszcza nastawiony tak buntowniczo jak ten, mógłby chcieć ją okłamać. W głębi duszy czuła jednak, że jeniec mówi prawdę. Jego słowa wiele tłumaczyły, na przykład to, dlaczego od tylu lat nie miała żadnych wieści z zewnątrz.

– A co z wielkim moffem Tarkinem?

– Lata teraz w postaci miliardów atomów rozproszonych wokół systemu gwiazdnego Yavin – odparł Solo. – Spłonął razem z Gwiazdą Śmierci. Zapłacił w ten sposób za życia wszystkich ludzi z Alderaanu, planety, którą zniszczył.

– Alderaan został zniszczony? – unosząc brwi, zapytała Daala.

Kratas zwiększył dopływ energii do wibrującego krzesła. Na czole komandora pojawiły się drobne krople potu. Daala wiedziała, o czym myśli jej dowódca. W ciągu tylu lat, spędzonych w izolacji, zakładali, że Imperator się umocni, a floty potężnych gwiazdnych niszczycieli i tajna Gwiazda Śmierci scementują władzę Imperium w całej galaktyce. Stara Republika przetrwała tysiące pokoleń. A tymczasem Imperium... Czy możliwe, by upadło w ciągu kilku dziesięcioleci?

– Ile czasu upłynęło od eksplozji drugiej Gwiazdy Śmierci?

– Siedem lat.

– I co stało się później? – Daala w końcu usiadła. – Powiedz wszystko, co wiesz.

Solo jednak zaciął się w uporze i nie odpowiedział. Piorunował ją spojrzeniem ciemnych oczu. Daala westchnęła. Przesłuchanie zaczynało się toczyć dobrze znanym torem. Na jej znak Kratas pokręcił następnym potencjometrem na pulpicie, aż całe ciało więźnia zamieniło się w spazmatycznie drgającą masę mięśni, jakby pod skórą szalała gwałtowna burza.

Słowo po słowie, Daala wyciągnęła w końcu z jeńca informacje o innych bitwach, wojnie domowej, wielkim admirale Thrawn, wskrzeszonym Imperatorze, pakcie zawartym na Bakurze i o straszliwych zmaganiach, w trakcie których osłabione Imperium ponosiło jedną klęskę za drugą. Kiedy w końcu zrozumiała, że jej więzień powiedział absolutnie wszystko, rozkazała Kratasowi, by go uwolnił. Głośny pomruk aparatury krzesła tortur ucichł, a wyczerpany do cna Han, uwolniony od tortury własnych mięśni, omal nie stracił przytomności.

Daala otworzyła drzwi celi, w której poddawała więźnia torturom, i wpuściła czarnego androida używanego do przesłuchań. Automat wpłynął do celi, unosząc się nad podłogą i trzymając w wyciągniętych chwytakach kilka strzykawek z igłami do podskórnych zastrzyków. W przyćmionym czerwonym świetle połyskiwały jak zakrwawione groty włócznie. Solo skurczył się na krześle, jakby chciał uciec. Daala ujrzała w jego oczach przerażenie.

– Uspokój się – powiedziała. – Android sprawdzi tylko, czy wszystko, co powiedziałeś, było prawdą.

Wstała i wyszła z celi.

Nieco później dowiedziała się, że istotnie Solo nie kłamał. Kiedy przekonała się, że nagranie dobiegło końca, wyłączyła urządzenie. Czowała, że w jej głowie pulsuje tępy, dokuczliwy ból, jakby czyjeś pazury rozrywały jej mózg na strzępy.

Jedna z osób z naukowego personelu z Laboratorium Otchłani dowiedziała się, że nowy więzień spędził jakiś czas na pokładzie ukończonej Gwiazdy Śmierci, dlatego bardzo chciała porozmawiać z nim osobiście. Daala wolałaby tylko przesłać kopię nagrania, dokonanego w trakcie przesłuchania – rzecz jasna, po ocenzurowaniu. Pomyślała, że czasami ci naukowcy zachowują się jak rozkapryszone primadonny. Naprawdę było bardzo trudno zaspokoić ich wymagania. A przy tym nie umieli spojrzeć na niektóre sprawy z innej strony.

Stała w swoim pokoju między dwoma wielkimi lustrami, w których widziała siebie całą, od stóp do głów. Na oliwkowym mundurze nie było najmniejszej zmarszczki, tylko idealnie zaprasowane kanty i niemal niewidoczne szwy. Nie zaniedbywała w ciągu tylu długich lat intensywnej gimnastyki i fizycznych ćwiczeń. Utrzymywała ciało w doskonałej formie, nie pozwalając, by obrosło tłuszczem. To prawda, była teraz trochę starsza, ale widok gibkiego ciała wciąż napawał ją prawdziwą dumą.

Nad lewą piersią bluzy nosiła jaskrawe naszywki admirała: rząd sześciu szkarłatnych prostokątów umieszczony powyżej rzędu niebieskich. O ile wiedziała, była jedyną kobietą, awansowaną do stopnia pełnego admirała imperialnej marynarki. Mianował ją na to stanowisko sam wielki Moff Tarkin. Możliwe, że o tym fakcie nie wiedział nawet Imperator, gdyż z pewnością nie powiedziano mu o istnieniu Laboratorium Otchłani.

Miedziane włosy Daali spływały na ramiona, załamywały się na nich i falami opadały na plecy, kończąc się poniżej bioder. Przed ponad dziesięcioma laty, kiedy Daala przybyła do Laboratorium Otchłani, miała włosy ostrzyżone niemal do skóry. Był to jeden z wielu sposobów, za pomocą

których poniżano kobiety zamierzające rozpocząć naukę w imperialnej akademii.

Odcięta jednak w Otchłani od reszty galaktyki, Daala podlegała jedynie Tarkinowi. Idiotyczne przepisy i regulaminy, wymyślone tylko po to, by istniały, nic dla niej już nie znaczyły. Postanowiła nie obcinać włosów, chcąc w ten sposób zademonstrować niezależność. Z wysokim stopniem, jaki otrzymała, wiązały się chyba jakieś przywileje. Zawsze miała wrażenie, że Tarkin przyznałby jej rację. Tarkin jednak nie żył.

Odwróciła się, przyciemniła światła, a potem zwolniła blokadę drzwi. Pilnujący ich dwaj strażnicy stanęli na baczność i nie przestali wpatrywać się w przeciwległą ścianę. Mimo odcięcia Otchłani od reszty wszechświata Daala nalegała na utrzymywanie dyscypliny. Organizowała ćwiczenia, gry wojenne i manewry. Wychowano ją na wyższego stopniem oficera i chociaż Imperium zrobiło wszystko, by pozbawić ją osobistych ambicji, Daala postępowała zgodnie z tym, czego się nauczyła.

Była świadoma tego, że pod pancerzami strażników kryją się przystojne, dobrze zbudowane ciała, ale nie miała innego kochanka od chwili rozstania z wielkim moffem Tarkinem. Od tamtego czasu żyła tylko marzeniami.

– Odprowadzicie mnie do lądowiska promów – odezwała się, wychodząc na korytarz. – Zamierzam polecieć do laboratorium. – Ruszyła przodem, świadoma, że strażnicy z blasterami gotowymi do strzału idą za nią. – Poinformujcie oficera dyżurnego, że chcę spotkać się z Tolem Sivronem.

Jeden ze strażników natychmiast zaczął mówić coś do mikrofonu komunikatora.

Idąc korytarzami, zastanawiała się nad różnymi problemami, związanymi z dowodzeniem statkami, żołnierzami i personelem pomocniczym. Pojedynczy imperialny gwiazdny niszczyciel miał zazwyczaj załogę liczącą trzydzieści siedem tysięcy ludzi i mógł pomieścić dziewiętnaście tysięcy siedmiuset żołnierzy. Ponieważ jednak istnienie Laboratorium Otchłani miało być utrzymywane w absolutnej tajemnicy, Tarkin zostawił Daali tylko załogi złożone z ludzi samotnych, nie mających rodzin ani bliskich przyjaciół. Niektórzy pochodzili ze światów doszczętnie zniszczonych w czasach wcześniejszych wojen, toczonych przez Imperium.

Mimo całej dyscypliny Daala nie mogła jednak zapomnieć o tym, że jej ludzie od prawie jedenastu lat spędzają czas jak w więzieniu, bez urlopów i rozrywek poza tymi nielicznymi, które mogli znaleźć na swoich statkach. Jej żołnierze zaczęli mieć dosyć wciąż tych samych uciech, jakich mogły im dostarczyć pokładowe biblioteki. Zaczynali się nudzić, narzekać i złościć, pozbawieni jakichkolwiek wieści z zewnątrz i przez tyle lat zmuszani do zachowywania ciągłej czujności. Byli dobrze wyszkoleni, doskonale uzbrojeni i podobnie jak Daala, marzyli o tym, żeby w końcu wziąć udział w prawdziwej bitwie.

Pod swoimi rozkazami Daala miała sześćdziesiąt turbolaserowych baterii, sześćdziesiąt dział jonowych i dziesięć potężnych generatorów promieni ściągających, z których jeden kazała włączyć, żeby schwytać pokiereszowany imperialny prom. Tylko w hangarach „Gorgony” kryło się sześć eskadr myśliwców typu TIE, dwa szturmowe wahadłowce typu gamma, dwadzieścia ciężkich robotów kroczących typu AT-AT i trzydzieści nieco lżejszych, zwiadowczych, typu AT-ST.

Wokół Laboratorium Otchłani krążyły jeszcze trzy inne identyczne statki, „Mantykor”, „Bazyliszek” i „Hydra”, także będące pod dowództwem Daali. Przed wieloma laty wielki moff Tarkin zabrał ją na inspekcję do stoczni Kuat Drive i pokazał budowane jednostki.

Tarkin i Daala lecieli wtedy małym inspekcyjnym promem i patrzyli, jak na orbicie są

montowane gigantyczne nadbudówki. Przez większą część czasu nie odzywali się do siebie, przytłoczeni ogromem przedsięwzięcia. Wokół widzieli światła krzątających się dokerów, transportowców dostarczających różne części, spawaczy i operatorów pras wyłaczających dźwigary.

Tarkin położył jej wówczas dłonie na ramionach i zacisnął palce jak ze stali.

– Daalo – powiedział. – Oddaję w twoje ręce moc i siłę wystarczającą do obrócenia każdej planety w perzynę.

Teraz, na pokładzie gwiazdnego niszczyciela, admirał Daala weszła do osobistej windy, w towarzystwie strażników opuściła stanowisko dowodzenia umieszczone pod mostkiem bojowym i zjechała na poziom lądowiska w jednym z hangarów. Wydała rozkaz, żeby nie ogłaszano jej przybycia. Kiedy drzwi windy się rozsunęły, z przyjemnością spojrzała na żołnierzy krzątających się wokół myśliwców typu TIE, wahadłowców i jednostek pomocniczych. Mimo tylu monottonnych, wręcz nudnych lat, jej ludzie utrzymywali każdy statek w idealnym stanie.

Kiedyś, w kilka miesięcy po ukończeniu budowy Laboratorium Otchłani, zauważyła, że samopoczucie załogi ulega pogorszeniu. Wiedziała, że część winy za ten stan ponosi ona. Była jedyną kobietą mającą tak wysoki stopień, a zlecono jej opiekę nad grupą naukowców, zatrudnionych w najbardziej niedostępnym zakątku galaktyki. Nic dziwnego, że żołnierze zaczęli ją lekceważyć. Dokonała jednak kilku pokazowych egzekucji i wydała surowe rozkazy, dzięki którym zmusiła personel do zachowywania nieustannej czujności, doskonalenia umiejętności i pozbycia się wszelkich myśli o lekceważeniu obowiązków.

Tej metody nauczyła się od Tarkina. „Wymuszaj posłuch, raczej grożąc użyciem siły niż samą siłą” – mawiał. Daala dowodziła stoma osiemdziesięcioma tysiącami ludzi, jeżeli nie liczyć naukowców zatrudnionych w Laboratorium Otchłani, projektantów nowych rodzajów broni. Nie chciała ich tracić.

Spojrzała w prawo i lewo na ludzi, krzątających się w hangarze, a jej długie włosy falowały, kiedy kręciła głową. We wnętrzu elektromagnetycznej klatki otaczającej schwytny statek technicy przeszukiwali pokieroszony imperialny prom „Endor”, którym przylecieli nowi więźniowie. „Endor”... co to właściwie za nazwa? Nigdy przedtem jej nie słyszała. Była pewna, że kiedy technicy sprawdzą każdy kąt i przewertują dziennik pokładowy, wówczas poznają miejsca kilku ostatnich lądowań i może ewentualnych stoczni remontowych.

Przez chwilę się zastanawiała, czy nie polecieć schwytnym statkiem na dół, do Tola Sivrona, kierownika grupy naukowców pracujących w Laboratorium Otchłani. Może wówczas, gdyby widok promu wywarł na nim duże wrażenie, zacząłby naprawdę liczyć się z jej rozkazami. Pomyślała jednak, że to byłaby dziecinada. Postanowiła nie przeszkadzać technikom w pracy i wybrała imperialny prom „Edykt”.

– Polecę sama – odezwała się do strażników. – Nie będziecie mi potrzebni.

Podczas lotu chciała być choć przez chwilę sama ze swoimi myślami. Wiedziała, co powie Sivron, kiedy zakomunikuje mu wszystkie wieści, ale tym razem nie zamierzała puścić mu tego płazem.

Kiedy strażnicy cofnęli się i odeszli, Daala weszła po rampie do wnętrza promu. Wykonując niemal machinalnie dobrze znane procedury, uruchomiła silniki i nakazała automatyczną kontrolę wszystkich podsystemów. Włożyła na głowę hełm z mikrofonem i słuchawkami, oderwała „Edykt” od platformy i kierując się w stronę sygnału namiarowego, przeleciała przez magnetyczne ochronne

pola, które odcinały lądowisko hangaru od próżni panującej na zewnątrz.

Znalazła się w przestworzach wypełnionych wielobarwnymi, śmiertelnie niebezpiecznymi gazami, nieustannie wirującymi i wpadającymi w końcu w nieskończone gardziele czarnych dziur. W dole ujrzała Laboratorium Otchłani, zbieraninę asteroid zawieszonych w samym środku przestrzeni o zerowej grawitacji. Skaliste powierzchnie niektórych stykały się i ocierały o siebie. Inne spięto gigantycznymi mostami i arteriami, by się nie oddalały. Kilka mniejszych skał, szybujących w przestworzach, połączono za pomocą rurociągów i chodników.

Imperialni konstruktorzy, kierowani przez wielkiego moffa Tarkina, sprowadzili te ciała niebieskie z daleka i przetransportowali przez Otchłań krętym szlakiem pełnym niebezpieczeństw. Wnętrza asteroid wydrążono, by urządzić w nich pomieszczenia mieszkalne, laboratoria, stocznie dla konstruowania prototypów i sale obrad.

„Jeżeli ujawnimy obywatelom Imperium fakt istnienia broni tak okrutnej i potężnej, że wszelka próba jej zniszczenia będzie się wydawała niemożliwa, broni niezawodnej i śmiertelnej, to stanie się ona symbolem potęgi Imperium”. Daala przeczytała wstępną wersję raportu, jaki Tarkin wysłał Imperatorowi, kiedy prosił go o zgodę na budowę tej superbroni. „Możliwe, że w celu podbicia tysięcy światów, zamieszkiwanych przez miliardy i miliardy istot, będziemy potrzebowali tylko kilku egzemplarzy takiej broni. Powinna mieć jednak taką siłę, żeby móc zniszczyć cały system gwiazdny za jednym razem. Dopiero wówczas strach, jaki wzbudzi, będzie na tyle duży, żeby mógł pan rządzić galaktyką jako jedyny władca”.

Tarkin uzyskał zgodę na rozpoczęcie prac. Wykorzystał zatem swój tytuł wielkiego moffa i powołał do życia supertajną placówkę naukowo-badawczą, w której mógł zatrudnić najlepszych projektantów i konstruktorów i zlecić im budowę nowej broni dla Imperatora. Ponieważ Tarkin odpowiadał za całe przedsięwzięcie, nie tłumacząc nikomu, gdzie i jak je wykonuje, było możliwe, że o istnieniu laboratorium nie wiedział nawet Imperator.

Robotnicy i inżynierowie konstruktorzy, którzy je budowali, po zakończeniu pracy wsiedli na pokład swojego statku, myśląc, że wrócą do domów. Daala jednak przeprogramowała ich nawigacyjny komputer, wpisując do pamięci współrzędne błędnego kursu, i pracownicy, zamiast odzyskać wolność, pograżyli się w gardzieli jakiejś czarnej dziury. Żaden nie ocalał.

I w ten sposób tajemnica Laboratorium Otchłani została zachowana. Po tym, jak Tol Sivron i jego ludzie przedstawili wstępne plany Gwiazdy Śmierci, wielki moff Tarkin wziął ze sobą jednego z najlepszych naukowców, Bevela Lemeliska, na Odległe Rubieże i zostawił go, żeby nadzorował budowę pierwszego działającego prototypu.

Ostatnie słowa Tarkina do badaczy zatrudnionych w laboratorium były wyzwaniem.

– Spisaliście się dobrze – powiedział. – Teraz chciałbym, żebyście zaprojektowali broń o jeszcze większej mocy. Prześcigniecie potęgi Gwiazdy Śmierci może wydać się wam niemożliwe, ale jeżeli chcemy zachować przewagę, musimy utrzymywać obywateli Imperium w nieustannym strachu. Przyznaję, że Gwiazda Śmierci jest straszliwą bronią. Pomyślcie o czymś jeszcze straszniejszym. To jedyny powód, dla którego tu pracujecie.

Tarkin dał im dziewięć lat na opracowanie tej nowej broni. Teraz jednak, gdy Tarkin nie żył i nikt inny nie wiedział o istnieniu Laboratorium Otchłani, Daala mogła sama decydować o jego losie, układać własne plany.

Gdy znalazła się w zasięgu słabego pola grawitacyjnego centralnej, administracyjnej asteroidy, posadziła wahadłowiec na platformie lądowniczej. Wyszła ze środka i stanęła, zaciągając się

powietrzem, przesyconym kurzem i gazami wydechowymi. Bardzo chciała się znów znaleźć na błyszczących i sterylnie czystych pokładach „Gorgony”. Pomyślała, że załatwi sprawę z Tolem Sivronem jak najprędzej i natychmiast wróci.

Ujrzała, jak w jej stronę biegnie oddział szturmowców pełniących służbę wartowniczą.

– Idźcie za mną – rozkazała, dobrze wiedząc, że taka demonstracja siły zapobiegnie jakimkolwiek protestom ze strony administratora placówki.

Nie uprzedziła nikogo o wizycie, więc gdy udała się prosto do pomieszczeń biurowych, urzędnicy i pomocnicy administratora osłupieli. Szturmowcy stanęli na baczność. Pracownicy przez kilka chwil patrzyli na nich, a potem, powstrzymując się od komentarzy, zaczęli wracać do poprzednich zajęć.

– Muszę z tobą porozmawiać – odezwała się Daala do Tola Sivrona, gdy znalazła się w jego gabinecie. – Mam dla ciebie kilka nowych informacji.

W gabinecie głównego administratora placówki panował straszny nieporządek. Znajdowało się tam mnóstwo niepotrzebnych rzeczy. Będąc bardziej urzędnikiem niż naukowcem, Tol Sivron wymagał od projektantów i konstruktorów dostarczania miniaturowych modeli rozwiązań konstrukcyjnych czy koncepcji. Ustawiał te miniatury na półkach, meblach i we wnękach gabinetu. Daala podejrzewała, że w chwilach, w których nie miał innej pracy albo najzwyczajniej się nudził, bawił się nimi jak małe dziecko.

Gabinet był zarzucony stosami szkiców, propozycji, dokumentacji technicznych, raportów na temat postępów różnych prac i procedur optymalizujących badania. Wszystkie te dokumenty musiały być dostarczane w postaci wydruków. Jego urzędnicy przeglądali te raporty, a później pisali własne sprawozdania, podsumowując w nich wyniki dotychczasowych badań i wskazując kierunki następnych. Daala nie sądziła, by administrator czytał którekolwiek z tych opracowań.

Tol Sivron odwrócił się do niej ze znudzonym wyrazem twarzy.

– Informacji? – powtórzył. – Od dziesięciu lat nie mamy żadnych nowych informacji.

Sivron był Twi’lekiem, bezwłosą istotą o bladej twarzy i dwóch przypominających bicepsy ogonach wyrastających z głowy. Ogony te opadały na jego plecy niczym dwa odarte ze skóry, pulsujące życiem węgorze wysysające krew z jego czaszki. Daala poczuła odrazę na widok małych oczu, niczym u świni, osadzonych blisko siebie, i ust, pełnych wyszczerbionych zębów. Twi’lekanie cieszyli się na ogół złą opinią. Obracali się w towarzystwie przemytników i bywali zatrudniani jako siepacze przez przestępców czy gangsterów w rodzaju Jabby Hutta. I chociaż Daala nie miała zwyczaju kwestionować decyzji, podejmowanych przez wielkiego moffa Tarkina, nie potrafiła zrozumieć, dlaczego mianował na to stanowisko właśnie Tola Sivrona.

– No cóż, tym razem mamy nowe wiadomości – powiedziała. – Udało się nam schwytać trójkę więźniów, którzy na pokładzie skradzionego imperialnego promu jakimś cudem zabłądzili do Otchłani. Podałam wszystkich szczegółowemu przesłuchaniu i nie widzę powodu, dla którego miałabym wątpić w ich prawdomówność, choć nowiny, jakie z nich wyciągnęłam, wydają się niepomyślne.

– A więc jakie są te niepomyślne nowiny?

Daala nie zmieniła surowego wyrazu twarzy.

– Imperator nie żyje, a Rebelia zakończyła się sukcesem. Kilku lordów co prawda usiłowało wskrziesić Imperium, ale spowodowali tylko ciągnącą się przez kilka lat wojnę. Prawie całą władzę w galaktyce sprawuje teraz Nowa Republika.

Sivron siedział, jakby nie mógł się otrząsnąć z przeżytego wstrząsu. Nerwowo szarpnął głową, aż zadrgały wyrastające z niej ogony.

– Jak to się mogło stać? – zapytał. – Przecież projektując naszą Gwiazdę Śmierci...

– Wielki moff Tarkin zbudował jedną Gwiazdę Śmierci, ale Rebeliantom udało się ukraść jej dokumentację – przerwała Daala. – W jakiś sposób odkryli w projekcie drobną wadę, szyb wentylacyjny umożliwiający samotnemu myślicywi przedostanie się w pobliże rdzenia reaktora. Rebelianci zniszczyli Gwiazdę Śmierci, a Tarkin stracił życie.

– Natychmiast zapędzę kilku naukowców, żeby ponownie przejrzyli plany, by wyeliminować tę usterkę! – powiedział porywczo Sivron, nie kryjąc, że jest to dla niego sprawa zawodowej dumy. – Natychmiast!

– Jak może to nam w tej chwili pomóc? – odezwała się Daala. – Tarkin zabrał stąd Bevela Lemeliska. Po utracie pierwszej Gwiazdy Śmierci sam Imperator prosił naukowca, żeby zaprojektował mu większą stację, korygując tym razem błąd w projekcie pierwszej. Druga Gwiazda Śmierci nie została nawet ukończona, gdyż i ją zniszczyli Rebelianci.

Sivron jęknął, tak jakby próbował myśleć, w jaki sposób rozwiązać problem, który od dobrych kilku lat był nieaktualny. Zniecierpliwiony wieloletnim czekaniem i pozbawiony jakichkolwiek wieści z zewnątrz, kilka razy wysyłał w głąb Otchłani bezzałogowe patrolowce, które ulegały samoistnemu zniszczeniu po wysłaniu zakodowanych zwięzłych informacji na temat postępów prac w placówce. Sivron liczył na to, że Tarkin je odbierze. Daala miała surowy zakaz opuszczania Laboratorium Otchłani, a zatem jedyne, co mogła robić, to uzbroić się w cierpliwość i czekać. Więc czekali.

Najpoważniejszym błędem Daali było przecenianie możliwości swojego mentora, Tarkina. Ukończyła imperialną wojskową akademię na Caridzie. Była to placówka ciesząca się opinią jednego z najtrudniejszych ośrodków szkolących żołnierzy na potrzeby Imperium. Ze wszystkich przedmiotów otrzymywała wyłącznie oceny celujące. Pokonywała w walce wielu żołnierzy i wykazywała taki talent strategiczny, że podczas symulowanych ćwiczeń niszczyła nieraz całe armie.

Ponieważ jednak była kobietą i to jedną z niewielu odbywających służbę w imperialnym wojsku, w caridańskiej akademii przydzielano jej najtrudniejsze i najbardziej niewdzięczne prace, a na wyższe i bardziej odpowiedzialne stanowiska awansowano mniej utalentowanych mężczyzn, których wiele razy pokonywała i wyprowadzała w pole.

Nie mogąc się z tym pogodzić, Daala wymyśliła komputerową fałszywą tożsamość, pseudonim, pod którym mogła proponować najlepsze rozwiązania, jeżeli chciała, by je uwzględniano. Po tym, jak kilka jej śmiałych i radykalnych pomysłów okazało się skutecznymi i opłacalnymi, na Caridę przyleciał sam moff Tarkin, chcąc poznać młodego utalentowanego taktyka... Dowiedział się, że była nim Daala.

Na szczęście Tarkin nie był człowiekiem aż tak bardzo uprzedzonym jak Imperator i bardziej niż on skłonny był do podejmowania ryzyka. Bardzo szybko, chociaż dyskretnie, znalazł Daali pracę we własnym sztabie, a potem na pokładzie jednego z gwiazdnych niszczycieli swojej floty zabrał kobietę do Odległych Rubieży i pozwolił jej pracować ze sobą.

Zostali kochankami. Mieli wiele wspólnego: chłodne, analityczne umysły, odwagę i upór, a przede wszystkim dążenie do doskonałości. Tarkin, chociaż nieco starszy niż ona, miał w sobie charyzmę i moc, którą zawsze podziwiała Daala. Posępny i niestrudzony, był tak pewny siebie, że nie drżał nawet przed Darthem Vaderem.

Nie chcąc informować nikogo o istnieniu Daalli, wielki moff Tarkin podarował jej cztery gwiazdne niszczyciele i polecił opiekować się Laboratorium Otchłani. Teraz jednak, kiedy wyciągnęła od więźniów nowe informacje, wszystko się zmieniło. Wszystko.

Sivron patrzył na nią, a w jego oczach było widać iskry gniewu.

– Gdzie są teraz ci więźniowie? – zapytał.

– W odosobnionych celach na pokładzie „Gorgony”. Dochodzą do siebie po... trudach przesłuchania.

– A jeżeli ktoś ich szuka?

Sivron odwrócił się, by wyjrzeć przez transpastalowe okno swojego biura.

– Są uciekinierami z kopalni przyprawy na Kessel – odparła Daala. – Nie mieli pojęcia, dokąd lecą. Wszyscy sądzą, że pochłonęła ich Otchłań. Nawet ja nie potrafię zrozumieć, w jaki sposób w ogóle przelecieli między tyloma zdradliwymi czarnymi dziurami.

– Dlaczego po prostu się ich nie pozbędziesz? – zapytał Sivron.

Daala z dużym wysiłkiem powstrzymała się, by nie okazać rozdrażnienia. Ta uwaga była jeszcze jednym dowodem krótkowzroczności Twi'leka.

– Ponieważ od dziesięciu lat są pierwszymi istotami, jakie przybyły do nas z zewnątrz – powiedziała. – Qwi Xux już zażądała rozmowy z więźniami. Chce zapytać ich o szczegóły konstrukcyjne Gwiazdy Śmierci. Poza tym, zanim postanowimy, co dalej robić, możemy chcieć wydostać z nich jeszcze inne informacje.

Sivron zamrugnął świńskimi oczkami.

– Co robić? O co ci chodzi? Co właściwie chcesz, byśmy robili?

Daala skrzyżowała ręce na piersi.

– Możemy użyć Niszczyciela Słońc i pokonać Nową Republikę, niszcząc jeden system gwiazdny po drugim.

Popatrzyła na administratora, nie mrugając powiekami zielonych oczu.

Sivron skrzywił się jakby z bólu.

– Niszczyciel Słońc nie jest przecież ukończony – powiedział. – Wciąż trzeba przeprowadzić pewne próby, opracować wyniki, napisać sprawozdania...

– Ociągasz się z tym od dwóch lat – zgromiła go Daala. – Wskutek nieudolności i biurokratycznych wymagań dopuściłeś do powstania opóźnienia. Wielki moff Tarkin już nie wróci, a więc nie masz wymówki, żeby nic nie robić. Potrzebuję tej broni teraz i będę ją miała.

Przypomniała sobie słowa, które wypowiedział Tarkin, kiedy dokonywali inspekcji stoczni Kuat Drive: „Oddaję w twoje ręce moc i siłę wystarczającą do obrócenia każdej planety w perzynę”. Dysponując niedawno zaprojektowanym Niszczycielem Słońc, będzie mogła rzucić Nową Republikę na kolana.

– Jeżeli ten Solo mówił prawdę – powiedziała – moja flota może być najpotężniejszą pozostałością po imperialnej marynarce. – Sięgnęła po jeden z miniaturowych modeli Tola Sivrona. – Nie możemy czekać ani chwili dłużej. Przyszedł czas, byśmy pokazali, co potrafimy.

Rozdział 20

Ambasador Caridy i towarzysząca mu świta wylądowali z daleka od Pałacu Imperialnego, na niedawno naprawionej zachodniej platformie ładowniczej. Dyplomatyczny wahadłowiec wyglądał jak błyszczący czarny chrząszcz, najeżony lufami różnych dział i blasterów, które zdalnie zneutralizowano, zanim pozwolono statkowi zbliżyć się do Coruscant.

Leia czekała na platformie, by powitać ambasadora Furgana. Wiatr przybierał na sile. Świszczał w szczelinach wysokich gmachów, jakby chciał zmusić caridańską delegację do powrotu tam, skąd przybywali. Leia była ubrana w formalny strój dygnitarza Nowej Republiki z naszytymi oznakami jej stopnia w siłach Sojuszu.

Carida, posiadająca potężny wojskowy ośrodek szkoleniowy, była jedną z najważniejszych twierdz, jaka nadal pozostawała lojalna wobec Imperium. Gdyby Leia mogła nakłonić jej władze choćby tylko do podjęcia rozmów, byłby to ogromny sukces. Minister Solo wiedziała jednak, że Carida będzie twardym orzechem do zgryzienia, a szczególnie wówczas, kiedy jej przedstawicielem był ktoś nastawiony tak wrogo i grubiańsko jak ambasador Furgan.

Właz statku otworzył się i nieco gęściejsze powietrze Caridy z cichym sykiem wydostało się na zewnątrz. Po rampie zaczęło schodzić dwóch szturmowców, niosąc ceremonialne blastery wyposażone w bagnety. Białe pancerze żołnierzy lśniły, starannie wypolerowane. Poruszali się jak androidy. Zeszli i stanęli na baczność po obu stronach pochylni, a w tym czasie dwaj następni szturmowcy wyłonili się z wahadłowca i znieruchomieli na górze rampy.

Potem po pochylni zszedł ambasador Furgan, przysadzisty mężczyzna o pałąkowatych nogach. Kroczył sztywno, niby w takt jakiejś ceremonialnej muzyki, przeświadczony o własnej godności. Na jego mundurze było widać więcej naszywek, odznaczeń i wstążek, niż jakikolwiek inny człowiek mógłby otrzymać przez całe życie.

Tuż za nim wyszło dwóch kolejnych szturmowców. Furgan wciągnął głęboko powietrze w płuca i zapatrzył się w przestworza, ignorując Leię stojącą w pewnej odległości.

– Ach, to powietrze stolicy Imperium – powiedział, a potem odwrócił się w stronę czekającego komitetu powitalnego i, zmarszczywszy krzaczaste brwi, dodał: – Czuję w nim jednak kwaśną woń. To zapewne zapach rebelii.

Leia udała, że nie usłyszała tej uwagi.

– Witamy pana na Coruscant, panie ambasadorze – rzekła. – Jestem Leia Organa Solo, minister stanu Nowej Republiki.

– Tak, tak – odparł niecierpliwie Furgan. – Po tym, jak Mon Mothma mówiła o wyjątkowym znaczeniu Caridy, spodziewałem się, że zechce wysłać na powitanie kogoś znaczniejszego niż tylko zwyczajną urzędniczkę. Czuję się, jakby mnie spoliczkowała.

Nie chcąc wybuchnąć gniewem, Leia musiała uciec się do niektórych wpojonych jej przez Luke'a ćwiczeń utrzymywania nerwów na wodzy i technik tłumienia emocji, stosowanych przez rycerzy Jedi.

– Jak słyszę, nie zechciał pan poświęcić czasu, by zapoznać się ze strukturą naszego rządu, panie ambasadorze – odparła. – Chociaż Mon Mothma jest przywódczynią Nowej Republiki, rządzi właściwie rada ministrów, spośród których minister stanu i podległy mu dyplomatyczny korpus odgrywają zapewne najważniejszą rolę.

Leia przerwała, zła na Furgana za to, że dała się sprowokować, i na siebie, że wygłosiła to niepotrzebne wyjaśnienie. Mon Mothma poleciła jej, żeby traktowała ambasadora z najwyższymi dyplomatycznymi honorami. Leia bardzo chciałaby mieć teraz u boku Hana albo Luke'a.

– Mon Mothma ma wiele innych obowiązków, ale spotka się z panem nieco później – powiedziała. – Czy nie chciałby pan, żebym przedtem pokazała panu jego apartament? Czy nie ma pan ochoty odświeżyć się po podróży?

Kiedy Furgan popatrzył na Leię, jego małe oczy wydały się jej podobne do dwóch przejrziałych jagód.

– Udadzą się tam najpierw moi dwaj strażnicy – oświadczył. – Przeszukają każdy cal pomieszczenia, każde urządzenie, każdą ścianę i kawałek podłogi, by odnaleźć i usunąć ukrytą aparaturę podsłuchową czy narzędzia mordy. Pozostali strażnicy przez cały czas pozostaną przy mnie. Będą przynosili mi jedzenie i picie. Chcę mieć pewność, że nikt mnie tu nie otruje.

Leia była przerażona tą zniewagą. W ostatniej chwili jednak ugryzła się w język, by nie odpowiedzieć, że uważa przedsięwzięte przez Furgana środki ostrożności za zbyt liczne. Takie oświadczenie tylko upewniłoby go, że ma rację. Zamiast tego obdarzyła go pobłażliwym uśmiechem.

– Jak pan sobie życzy. Jeżeli to wszystko ma sprawić, że poczuje się pan spokojniejszy...

– A w tym czasie – przerwał Furgan – pragnąłbym natychmiast wyruszyć na małą wycieczkę po Imperialnym Pałacu. Niech pani ją zorganizuje. Przybyłem tu z pielgrzymką, by obejrzeć i złożyć hołd siedzibie mojego Imperatora.

Leia się zawahała.

– Nie planowaliśmy... – zaczęła.

Furgan uniósł rękę. Stojący za nim szturmowcy zdwoili czujność. Ambasador postąpił krok w stronę Leii, jakby chciał ją w ten sposób przestraszyć.

– Mimo to zorganizuje ją pani – powiedział.

Tego samego popołudnia Mon Mothma, chociaż miała tysiące innych obowiązków, stała w przyciemnionej sali audiencyjnej, czekając u podstawy pulpitu holoprojektora. Wiedziała, że Carida może zagrażać stabilności Nowej Republiki. Wyjaśniła Leii, że jeśli chce zapobiec wybuchowi wojny, musi poświęcić ambasadorowi Furganowi trochę czasu.

Nie ruszała się z miejsca, ale czuło się promieniującą od niej władzę. Leia nigdy nie przestała podziwiać subtelnej, ale niezaprzeczalnej siły charakteru Mon Mothmy. Przywódczyni Nowej Republiki potrafiła okazywać ją nawet bez odbywania ćwiczeń Jedi.

Leia podążała za Furganem, kiedy ambasador wszedł do wielkiej sali i skierował się do holoprojektora. Nie kryjąc złego humoru, obejrzał się za siebie na szturmowców czekających przy drzwiach. Furgan nie chciał się bez nich nigdzie ruszać, a Mon Mothma nie zgodziła się, by przebywali przy niej nawet bez broni. Wymiana zdań była krótka i ostra. W końcu Mon Mothma pozwoliła żołnierzom zostać za otwartymi drzwiami, skąd mogli widzieć ambasadora.

Uzyskała jednak pozornie drobne ustępstwo. Zażądała, żeby szturmowcy przebywali w jej obecności bez hełmów. Żołnierze stali teraz w drzwiach, trzymając w rękach czerepy podobne do czaszek. Okazało się, że są ludźmi, młodymi kadetami, co prawda opancerzonymi, ale nie anonimowymi.

– Proszę się zatrzymać, panie ambasadorze Furgan – odezwała się Mon Mothma, rezygnując z formalnego powitania. – Chcę panu coś pokazać.

Holoprojektor zamigotał i ukazał dobrze znaną galaktykę, miliardy gwiazd-iskierek układające się w spiralne ramiona. Oświetlenie przygasło, gdy iskierki zaczęły świecić pełnym blaskiem. Strzegący drzwi szturmowcy wyciągnęli szyje, olśnieni gigantycznym wizerunkiem. I Mon Mothma, i stojący o kilka kroków od niej ambasador Furgan wydawali się nic nie znaczącymi drobinami.

– To jest nasza galaktyka – oznajmiła Mon Mothma. – Pieczołowicie umieściliśmy tu każdy znany system gwiazdny. Te gwiazdy – machnęła ręką i na ten znak niemal wszystkie iskierki w ramionach galaktyki zmieniły barwę na błękitną – złożyły przysięgę na wierność Nowej Republice. Inne pozostają neutralne, co nie znaczy, że nie zamierzają przyłączyć się w przyszłości.

Między błękitnymi iskrami pojawiły się niezbyt liczne zielone gwiazdki.

– Ten ciemny obszar oznacza przestrzeń, która pozostała po imperium Ssi-ruuków. – Mon Mothma wskazała plamę zajmującą część jednego spiralnego ramienia. – Nie zbadaliśmy jeszcze do końca ich światów, chociaż minęło siedem lat od chwili, kiedy siły Sojuszu i Imperium zawarły na Bakurze pakt w celu odparcia inwazji agresorów.

W końcu znamy kilka systemów, które pozostają lojalne wobec obalonego Imperium – rzekła Mon Mothma. Na jej znak w obrazie pojawiły się nieliczne czerwone iskry, skupione na ogół wokół środka galaktyki, z którego wskrzeszony Imperator wysyłał do walki swoje siły. – Jak pan widzi, liczba światów popierających pana jest bardzo mała.

Furgan zachowywał się tak, jakby ten widok nie wywarł na nim większego wrażenia.

– Każdy może namalować punkciki na swojej świetlnej mapie – powiedział.

Tłumiąc gniew, Leia z podziwem patrzyła, jak Mon Mothma reaguje na tę uwagę. Obdarzyła Furgana spokojnym, pełnym zadumy spojrzeniem i, nie podnosząc głosu, oświadczyła:

– W każdej chwili może pan porozmawiać z którymkolwiek z ambasadorów tych światów i przekonać się, że potwierdzą złożoną przysięgę.

– Ambasadorów można przekupić równie łatwo, jak zmienić barwy na holograficznej mapie – odparł Furgan.

Tym razem głos Mon Mothmy lekko zadrżał.

– Nie ma takich łapówek, które mogłyby zmienić fakty, panie ambasadorze.

– Jeżeli tak wyglądają sprawy, czasami same fakty powinny ulec zmianie.

Leia nie mogła się powstrzymać, żeby nie przewrócić oczami. Rozmowa Mon Mothmy z ambasadorem mogłaby wydawać się zabawna, gdyby nie fakt, że była stratą czasu. Furgan miał poglądy osoby zamrożonej w bryle karbonitu.

Całą powierzchnię Coruscant zajmowały budynki, wznoszone jedne na drugich, nowe na starych, wciąż przerabiane, burzone i modernizowane. W ciągu tysiącleci zmieniały się galaktyczne rządy, ale Coruscant zawsze pozostawała ośrodkiem władzy.

Skomplikowane konstrukcje, kształty i wznoszące się w niebo metalowe i transpatalowe iglice sprawiały, że przewidywanie pogody było bardzo trudne. Od czasu do czasu spadały nieoczekiwane

ulewy, kiedy para wodna wydostająca się z milionów szybów wentylacyjnych wznosiła się ponad las drapaczy chmur i skraplała, a następnie opadała w postaci deszczu na kamienne powierzchnie budynków w dole.

Kiedy w ogrodach botanicznych Gwiazdnej Kopuły zgromadziło się wielu dyplomatów, by powitać ambasadora Furgana, zerwała się jedna z tych nieoczekiwanych ulew. O transpastalowe szyby kopuły rozpryskiwały się wielkie krople, zamieniając słoneczne światło w tęczową poświatę.

W oddali, niemal na horyzoncie, było widać odbudowany Pałac Imperialny. Wysoki, podobny do katedry połączonej z piramidą, nosił ślady wielu architektonicznych stylów. Leia nie chciała, by oficjalna uroczystość powitania Furgana miała miejsce na terenie pałacu, który przypominałby gościom świetność i przepych nieżyjącego Imperatora.

Ogrody botaniczne Gwiazdnej Kopuły urządzone na płaskim dachu odosobnionego wieżowca. Założone w czasach Starej Republiki przez jakiegoś filantropa, który wzbogacił się, organizując galaktyczną agencję informacyjną, gigantyczne terrarium było od tamtych czasów nieustannie pielęgnowane. Znajdowały się w nim pomieszczenia o różnych mikroklimatach. Hodowano tam i pokazywano rzadkie lub ginące okazy egzotycznej flory, sprowadzane z dalekich systemów gwiazdnych niemal całej galaktyki.

Leia wkroczyła do środka w towarzystwie Threepia i dwójki dzieci w chwili, w której o transpastalową kopułę zaczęły rozbijać się pierwsze krople deszczu. Przeszła przez drzwi, mając na końcu języka usprawiedliwienie, dlaczego nie przybywa sama. Wiedziała, że obecność dzieci podczas sztywnej dyplomatycznej ceremonii może wywołać sporo zamieszania, ale się tym nie przejmowała.

W ciągu całego dnia Furgan traktował ją jak służącą. Narzekał, wymagał i zachowywał się na ogół nieuprzejmie. Przebywając przez cały czas z ambasadorem, nie miała ani chwili, którą mogłaby poświęcić bliźniętom, i doszła do wniosku, że jej mąż po prostu nie jest tego warta. Mogła być ważnym członkiem rządu Nowej Republiki, ale była także matką, wciąż starającą się znaleźć czas dla swoich dzieci. Kiedy w garderobie przebierała się w oficjalny uroczysty strój, czuła, jak jej oburzenie osiąga stan wrzenia. Jeżeli miała i tak przebywać przez cały czas z daleka od dzieci, równie dobrze mogła była pozostawić je pod opieką Winter!

A poza tym towarzyszył im Threepio, który znał się przecież na sprawach protokolarnych. Mógł opiekować się bliźniętami i, gdyby zaistniała potrzeba, pomagać w trudniejszych chwilach ceremonii czy przy tłumaczeniu przemówień.

Od chwili zniknięcia Hana Leia martwiła się tak bardzo, że niemal dostawała mdłości. Luke i Lando także się nie odzywali. Leia potrzebowała kogoś, na kim mogłaby się oprzeć. Niemal chciała, żeby ktoś zapytał ją, dlaczego zabrała dzieci, gdyż wówczas mogłaby powiedzieć, co o tym wszystkim myśli.

Kiedy przeszła kilka kroków, drogę zastąpili jej szturmowcy Furgana. Żołnierze nadal trzymali hełmy w rękach i wyglądali na zakłopotanych tym, że muszą stawać z nią oko w oko, ale nie ruszyli się z wąskiego przejścia. Stojący za nimi w takiej samej liczbie strażnicy Nowej Republiki obserwowali szturmowców i nie spuszczaali ich z oczu.

– O co chodzi... – Leia spojrzała na naszywki szturmowca i świadomie źle odczytała stopień żołnierza – ...panie poruczniku?

– Kapitanie – poprawił ją oficer. – Sprawdzamy każdego. Środek ostrożności przed skrytobójcami.

– Skrytobójcami? – powtórzyła, decydując się sprawiać wrażenie osoby bardziej rozbawionej niż zagniewanej. – Aha. Rozumiem.

Jeden ze szurmowców wyciągnął ręczny skaner i przesunął nim wokół ciała Leii, sprawdzając, czy nie ma ukrytej broni. Leia z lodowatym uśmiechem poddała się badaniu.

– Robimy to, by zapewnić bezpieczeństwo ambasadorowi – odezwał się kapitan. Popatrzył z dezaprobatą na Jacena i Jainę. – Nie poinformowano mnie, że w uroczystości będą brały udział jakieś dzieci.

– Czy obawia się pan, że któreś może zamordować ambasadora Furgana? – Leia spojrzała w oczy oficera osadzone w bladej twarzy, piorunując go wzrokiem dopóty, dopóki nie odwrócił głowy. – To nie świadczy zbyt dobrze o pańskich umiejętnościach jako strażnika, prawda?

Pomyślała, że widok zdenerwowanej i zakłopotanej twarzy szurmowca jest wart kłopotu, który mógłby sprawić jej swoim postępowaniem.

– To tylko rutynowe środki ostrożności – odezwał się kapitan.

Omiótł skanerem Jacena i Jainę, każdym gestem zdradzając zażenowanie, że musi wykonywać rozkazy. Kiedy jednak skończył badanie, nie usunął się z wąskiego przejścia.

Leia skrzyżowała ręce na piersi.

– O co chodzi? – zapytała.

– Pani android – odparł kapitan. – Musimy dokonać dokładnego sprawdzenia jego oprogramowania. Może zawierać jakieś procedury zobowiązujące go do popełnienia skrytobójstwa.

– Ja, proszę pana? – odezwał się Threepio. – O rety! Chyba nie mówi pan poważnie!

Leia przewróciła oczami na samą myśl o tym, że pedantycznie dokładny android protokolarny mógłby okazać się podstępny skrytobójcą.

– Ile czasu może trwać takie sprawdzenie?

– Niedługo – odparł szurmowiec, sięgając po inny skaner, za którym ciągnęły się odłączone przewody.

– Pani Leio, sprzeciwiam się! – W głosie Threepia dało się słyszeć panikę. – Jak pani zapewne pamięta, już raz zostałem złośliwie przeprogramowany! Nigdy więcej nie zaufam żadnemu obcemu próbnikowi!

Leia odezwała się do androida, ale jej spojrzenie przeszywało oczy kapitana szurmowców.

– Pozwól mu to zrobić, Threepio. Jeżeli jednak twoje programy zostaną choć w najmniejszym stopniu zmienione, ten człowiek będzie odpowiedzialny za wywołanie galaktycznego incydentu, który może zakończyć się wybuchem wojny... Wojny, w której Carida, jego macierzysty system gwiazdny, będzie głównym celem połączonych sił Nowej Republiki.

– Będę robił to bardzo ostrożnie, pani minister – obiecał kapitan.

– Mam nadzieję, proszę pana – odparł android.

W końcu przebrnęli przez te formalności, a tymczasem ulewa zamieniła się w kapuśniaczek. Wąskimi alejkami ogrodu przechadzali się ludzie i podziwiali wielobarwne, dziwaczne okazy flory z różnych światów. Kiedy goście przechodzili przez bariery siłowych pól odgradzających poszczególne pomieszczenia, odczuwali nieraz drastyczne różnice wilgotności i temperatury, mające na celu zapewnienie różnym roślinom odpowiednich warunków wegetacji. Niewielkie tabliczki w kilkunastu alfabetach podawały naukowe nazwy hodowanych roślin.

Nie puszczać rąk matki, Jacen i Jaina patrzyli w zdumieniu na ludzi odzianych w dyplomatyczne, pełne świecidełek i ozdób stroje, a także na egzotyczne rośliny z odległych

światów.

W samym środku ogrodu, w jaskrawo oświetlonej scenerii pustyni, monstrualnie wielki mackokaktus proponował gościom *hors d'oeuvres*, kołyszając i wymachując grubymi łodygami i podając mikroskopijne kanapki, plasterki owoców, kiełbaski i paszteciki nadziane na długie, ostre kolce. Goście sięgali po przekąski, kiedy wędrujące tu i tam łodygi mackokaktusa kierowały się w ich stronę.

Przysadzisty ambasador Furgan sprawiał wrażenie osoby będącej w centrum uwagi, ale wszyscy spoglądali na niego kątem oka, starając się unikać okazji do rozmowy w cztery oczy. Leia czując, że zmuszają ją do tego dyplomatyczne obowiązki, westchnęła ciężko i ruszyła ku niemu, wyprzedzając o krok dzieci.

Furgan utkwiał spojrzenie w bliźniętach i wysączył do dna zawartość kieliszka. Leia patrzyła, jak następnie opuścił go do płaskiej karafki na prawym biodrze zaopatrzonej w małą pompkę. Nacisnął jakiś guzik i napełnił kieliszek na nowo bursztynowozielonkawym płynem. Oczywiście – pomyślała Leia. – Każdy, kto tak obsesyjnie się boi o to, by go nie otruto, powinien mieć ze sobą własny zapas trunków. Dostrzegła identyczną płaską karafkę na lewym biodrze ambasadora.

– A więc, pani minister, to są te słynne bliźnięta Jedi? – zapytał Furgan. – O ile dobrze pamiętam, dała im pani imiona Jacen i Jaina? Czy nie ma pani także trzeciego dziecka o imieniu Anakin?

Leia zamrugała, nieco wyprowadzona z równowagi tym, że Furgan wie tak wiele na temat jej rodziny.

– Tak, ale trzeciego dziecka tu nie ma – powiedziała. – Jest gdzie indziej, chronione i bezpieczne.

Wiedziała, że w żaden sposób nie może ujawnić współrzędnych planety, na której znajduje się synek, ale instykt macierzyński wyolbrzymił jej przerażenie.

Furgan poklepał dziewczynkę po główce.

– Mam nadzieję, że równie dobrze będzie pani strzegła i tej dwójki. Cóż to byłby za wstyd, gdyby tak słodkie dzieciaki miały się stać pionkami w jakiejś politycznej rozgrywce.

– Są bezpieczne – rzekła Leia, czując się nagle bezradna. Nie spuszczać oka z ambasadora, odwróciła się w stronę dzieci i dodała: – Zabierzcie androida i idźcie się gdzieś pobawić.

– To będzie dla nich niezapomniane i naprawdę pożyteczne doświadczenie, proszę pani – odparł Threepio, zabierając dzieci ze sobą, by przyjrzały się lepiej okazom roślin.

Furgan tymczasem mówił dalej:

– Jeżeli chce pani znać moje zdanie, uważam, że źle się stało, iż Imperator nie potrafił unicestwić wszystkich Jedi. Połowicznie załatwione sprawy niemal zawsze sprawiają później duży kłopot.

– A dlaczego tak bardzo obawia się pan rycerzy Jedi? – zapytała Leia. Choć nie bardzo podobał się jej kierunek, jaki przybierała rozmowa, miała nadzieję, że wyciągnie z Furgana jakieś nowe informacje.

Ambasador upił z kieliszka spory łyk płynu.

– Wydaje mi się, że dysponując tak zaawansowaną techniką, nie powinniśmy drżeć z trwogi przed czarami czy dziwacznymi umysłowymi mocami, którymi dysponuje tylko garstka osób – oświadczył. – Nie uważam tego za sprawiedliwe. Rycerze Jedi? W starym i słabym rządzie pełnili kiedyś rolę możnowładców.

Leia postanowiła ciągnąć tę dyskusję.

– Imperator, którego darzy pan takim szacunkiem, miał bardzo silny dar władania Mocą, podobnie jak Darth Vader. Dlaczego uważa pan, że różnili się od innych?

– Imperator ma prawo władać specjalną mocą – rzekł Furgan, jakby oznajmiał rzecz oczywistą. – Mimo wszystko jest Imperatorem. A Vader okazał się w końcu zdrajcą. O ile dobrze pamiętam, to właśnie on zabił Imperatora. Jeszcze jeden powód, by zabronić posługiwania się tą specjalną siłą.

Leia zrozumiała, że Furgan musiał oglądać przemówienie Luke’a do senatorów Nowej Republiki, transmitowane do wielu światów.

– Niemniej rycerzom Jedi udało się przetrwać okres prześladowań i już wkrótce odrodzi się cały zakon – oświadczyła. – Mój brat tego dopilnuje. W ciągu kilku najbliższych lat nowi rycerze Jedi będą pełnili funkcję opiekunów Republiki tak samo jak kiedyś ich poprzednicy.

– Wielka szkoda – odezwał się Furgan i odwrócił się, by poszukać innego rozmówcy, ale nikt nie wyglądał na chętnego.

Threepio stracił dzieci z oczu niemal natychmiast, gdy bliźnięta postanowiły zabawić się w chowanego między egzotycznymi okazami flory. Prześlizgnęły się pod barierkami zbyt niskimi, żeby mógł przejść pod nimi android, a potem zaczęły bawić się w berka po terenie oznaczonym tabliczką z napisem: WSTĘP WZBRONIONY. Kiedy Threepio zawołał, by wróciły, Jacen i Jaina udali, że go nie słyszą, a później pobiegli jeszcze dalej.

Gonił ich przez zagajnik, w którym rosły wydzielające śluz duże drzewa, wskutek czego jego złocisty pancerz pokrył się żółtą mazią przesyconą kwiatowym pyłkiem. Jedyną dobrą rzeczą było to, że w śluzie pod drzewami ślady małych bucików bliźniąt przynajmniej były widoczne. Jęknął z przerażenia, kiedy ujrzał, że ślady wiodą prosto do pomieszczenia z napisem: ROŚLINY MIĘSOŻERNE.

– O rety! – zawołał, wyobrażając sobie, że krwiożercze rośliny właśnie trawią kawałki ciała dzieci. Zanim zdążył jednak podnieść alarm, usłyszał głośny chichot Jacena i towarzyszący mu radosny pisk jego siostry. Posługując się namiernikami akustycznymi, Threepio pospieszył z powrotem ku centralnej części ogrodów botanicznych.

Bliźnięta siedziały w samym środku gigantycznego macko-kaktusa i, nie zwracając uwagi na kolce, bawiły się między rozkołysanymi łodygami. W jakiś sposób prześlizgnęły się między spiczastymi końcami i pośrodku delikatnych młodych pędów ułożyły się na spoczynek jak na miękkich poduszkach.

– Paniczu Jacenie i panienko Jaino, proszę wyjść stamtąd w tej chwili! – odezwał się surowo. – Nalegam!

Jaina tylko zachichotała i pomachała androidowi ręką.

Zdezorientowany Threepio zastanawiał się, w jaki sposób może wydostać dzieci ze środka olbrzymiej rośliny, nie poruszając żadnych *hors d’oeuvres*.

W rozmowach nastąpiła krótka przerwa, jakie często zdarzają się podczas oficjalnych przyjęć. Na taką właśnie chwilę czekał ambasador Furgan.

– Proszę wszystkich o uwagę! – zawołał.

Leia zauważyła, że nagle odsunął się od niej o kilka kroków. Nie wiedząc, co ambasador pragnie zrobić, napięła mięśnie, gotowa stawić czoło każdej sytuacji.

Stopniowo ucichł gwar pozostałych rozmów. Spojrzenia wszystkich osób skierowały się na caridańskiego ambasadora. Mon Mothma, rozmawiająca właśnie z generałem Janem Do-donną, sędziwym taktykiem, który zaplanował atak na pierwszą Gwiazdę Śmierci, uniosła brwi,

zaintrygowana próbą Furgana zwrócenia na siebie uwagi. Jan Dodonna urwał w pół słowa i zmarł, wpatrzony w Furgana, zapominając o uniesionych rękach.

Tymczasem ambasador ujął swój pusty kieliszek, opuścił go i napełnił płynem, tym razem z płaskiej karafki na lewym biodrze. Leia była ciekawa, czy do tej pory zdążył już opróżnić karafkę przymocowaną do prawego.

Uniósłszy kieliszek nad głowę, Caridanin wyszczerzył zęby w uśmiechu i podszedł do Mon Mothmy. Leia patrzyła, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Czyżby grubiański ambasador chciał wznieść jakiś toast?

Furgan rozejrzał się po ogrodzie, by upewnić się, że obserwują go wszyscy goście. Na dworze przestał padać nawet kapuśniaczek.

– Chciałbym, żeby wszyscy mnie dobrze słyszeli – zaczął Furgan. – Jako ambasador Caridy jestem upoważniony do występowania w imieniu imperialnego wojskowego ośrodka szkoleniowego, mojej planety i całego systemu. Stwierdzam zatem, że muszę przekazać wszystkim ważne oświadczenie.

Podniósł głos i jeszcze wyżej wzniósł kieliszek.

– Zdrowie Mon Mothmy, która nazywa siebie przywódczynią Nowej Republiki...

Z jadowitym uśmiechem chlusnął zawartością w twarz kobiety. Bursztynowozielonkawy płyn rozprysnął się na jej policzkach, włosach i uroczyściej szacie. Przerazona Mon Mothma zachwiała się i cofnęła. Jan Dodonna podtrzymał ją, żeby nie upadła, ale otworzył usta ze zdumienia.

Stojący przy drzwiach strażnicy Nowej Republiki natychmiast wyciągnęli blastery, ale nie mając rozkazu, powstrzymali się od strzelania.

– ...Potępiamy waszą odrażającą rebelię, wznieconą przez morderców i gwałcicieli prawa. Staraliście się mnie omamić, ukazując liczbę niedorozwiniętych światów, które przyłączyły się do waszego Sojuszu, ale wszystkich zbrodni, jakie popełniliście przeciwko Imperium, nie zdoła zatrzeć żaden choćby nie wiem jak liczny motłoch.

Roztrzaskał pusty kieliszek o podłogę, a potem zmiażdżył okruchy szkła obcasem.

– Carida nigdy się nie podda waszej tak zwanej Nowej Republice!

Gestem nakazał towarzyszącym mu osobom, by szły za nim, i ruszył do wyjścia. Kiedy przechodził przez drzwi, jego szturmowcy z triumfem włożyli na głowy białe hełmy, kryjąc twarze, i pospieszyli za ambasadorem. Strażnicy Nowej Republiki, nie bardzo wiedząc, co robić, patrzyli za nimi z bronią gotową do strzału.

Po pełnej przerażenia ciszy, jaka zapadła po tych słowach, w ogrodach rozbrzmiał gwar wielu podnieconych głosów. Leia podbiegła do Mon Mothmy. Dodonna wycierał właśnie jej zmoczoną szatę.

Czując lepki napój wysychający na twarzy, Mon Mothma zmusiła się do niewyraźnego uśmiechu. Starła się pokonać narastający gwar oburzonych głosów, kiedy powiedziała:

– No cóż, nie straciliśmy nic, a warto było chociaż spróbować, prawda?

Rozczarowana Leia nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Przez gwar rozmów przebił się metaliczny głos Threepia.

– Przepraszam, pani Leio?

Leia gorączkowo obejrzała się, szukając dzieci i obawiając się, że w jakiś sposób ambasador Furgan je porwał, ale z ulgą dostrzegła Jacena i Jainę, którzy stali z nosami przyklejonymi do zaokrąglonej szyby i obserwowali widoki Imperial City.

W końcu kątem oka zauważyła machającą ku niej złocistą rękę. Jakimś cudem Threepio zaplątał się w łodygi mackokaktusa. Nawet z tej odległości widziała, jak bardzo porysowany jest jego pancerz. Na podłodze pod rośliną poniewierały się porozrzucone *hors d'oeuvres*.

Rozdział 21

Han Solo miał wrażenie, że tonie w syropie dręczących go koszmarów. Naszpikowany narkotykami, nie potrafił się oprzeć wyczerpującemu przesłuchaniu, mając przed oczami tylko bezlitosną i piękną, jakby porcelanową twarz admirała Daali, wpatrującej się w niego i zasypującej go pytaniami.

– Wnieście go tutaj – usłyszał kobiecy, melodyjny głos. Nie był to jednak głos Daali.

Czuł, że jego ciało ktoś ciągnie po podłodze niczym ciężki bagaż.

– Kazano nam go pilnować – odezwał się nieuprzejmy męski głos, nieco stłumiony, jakby wydobywający się spod hełmu szturmowca.

– A zatem go pilnujcie, ale pozostawcie za drzwiami mojego laboratorium – powiedział ten sam kobiecy głos. – Chcę mieć trochę spokoju, by z nim porozmawiać.

– Dla pani bezpieczeństwa... – zaczął szturmowiec.

Han poczuł, że rzucono go jak worek na podłogę. Wydawało mu się, że nawet jego mięśnie zapomniały, jak się zginać.

– Bezpieczeństwa? Co może grozić mi z jego strony? Nie widzicie, że nie ma nawet tyle siły, żeby kichnąć? Jeżeli pozostawiliście jakieś nie pokieroszowane wspomnienia w jego głowie, pragnę je poznać i nie chcę, by ktokolwiek mi przeszkadzał.

Han poczuł, jak czyjeś silne ręce podnoszą go i stawiają pionowo. Zorientował się, że jego nadgarstki zostały związane za plecami. Po chwili przyciśnięto jego kark do zimnego, gładkiego kamienia.

– Tak, tak, dobrze – odezwał się znów kobiecy głos. – Przywiążcie go łańcuchem do kolumny. Nie wątpię, że teraz jestem bezpieczna. Obiecuję, że będę się trzymała z daleka od jego szponów.

Han usłyszał miarowe kroki szturmowców opuszczających pokój. Umysł mężczyzny oprzytomniał znacznie wcześniej, zanim jego ciało zorientowało się, jak reagować. Pamiętał fragmenty przesłuchania, ale nie całość. Co właściwie wyjawiał admirał Daali? Poczuł, jak jego serce zaczyna bić trochę szybciej. Czy zdradził kobiecie jakieś ważne tajemnice? Czy w ogóle znał jakieś ważne tajemnice?

Był niemal pewien, że opowiedział jej o wszystkich istotnych wydarzeniach, związanych z upadkiem Imperium i powstaniem Nowej Republiki. Wiedział jednak, że ujawnienie tych faktów nie wyrządziłoby nikomu żadnej krzywdy, a wręcz przeciwnie – mogłoby okazać się korzystne. Gdyby Daala zrozumiała, że nie ma najmniejszej szansy, może wówczas zechciałaby się poddać. Tak, a gdyby bantuy miały skrzydła...

Jego powieki w końcu rozchyliły się, chociaż niechętnie, i do źrenic przedostało się trochę światła. Han zamrugał kilka razy, chcąc przekonać się, że naprawdę widzi, i spróbował dostosować

ogniskową. Okazało się, że przebywa w czymś w rodzaju laboratorium czy pracowni naukowej, a nie w swojej poprzedniej celi na pokładzie „Gorgony”. Słyszał śpiew i dźwięk przygrywających fletów.

Odwrócił głowę i ujrzał smukłą obcą osobę płci żeńskiej, stojącą przed urządzeniem wyglądającym jak połączenie instrumentu klawiszowego i komputerowej klawiatury. To głos tej istoty musiał słyszeć, kiedy rozmawiała ze szturmowcami. Przebierając palcami po klawiszach, nuciła jakąś skomplikowaną melodię. Na widocznym przed nią monitorze obracał się rysunek techniczny trójwymiarowego urządzenia w kształcie ostrosłupa, przypominający szklaną skorupę zwieńczoną czworościanem. Z najniższego punktu urządzenia zwisało coś, co można byłoby nazwać panelem zasilania. Z każdym następnym tonem wydobywanym przez grającą kobietę, na skomplikowanym rysunku pojawiały się dodatkowe linie.

Han poruszył językiem w ustach, usiłując coś powiedzieć. Chciał zapytać: „Kim jesteś?”, ale jego wargi i struny głosowe nie chciały współpracować. Z jego gardła wydobył się tylko charkot przypominający bardziej: „Kiiii jeeeeś?”

Wystraszona tym dźwiękiem obca kobieta zatrzepotała szczupłymi rękami wokół monitora z trójwymiarowym rysunkiem. Później jednym skokiem znalazła się obok stojącego Hana. Do kieszeni roboczego fartucha miała przypiętą plakietkę, zaopatrzoną w podobiznę i błyszczący hologram w rodzaju takiego, jakich często używano do otwierania szyfrowych zamków.

Była powabną istotą człekokształtną o niebieskawym odcieniu skóry, wysoką i bardzo szczupłą. Jej cienkie jak pajęczyna włosy przypominały pasma opalizujących nici babiego lata. Miała wielkie ciemnoniebieskie oczy, w których kryło się nieustanne zdziwienie. Kiedy się odezwała, w jej cienkim, piskliwym głosie było słychać same wysokie tony.

– Tak czekałam, kiedy się obudzisz! – powiedziała. – Chcę zadać ci tyle pytań! Czy to prawda, że rzeczywiście postawiłeś stopę na pokładzie pierwszej Gwiazdy Śmierci i miałeś okazję oglądać drugą, kiedy była jeszcze budowana? Opowiedz mi, jak wyglądała. Opowiedz wszystko, co pamiętasz. Każdy szczegół będzie dla mnie bezcennym skarbem.

Jej pospiesznie zadawane pytania padały zbyt szybko, żeby Han zdążył zorientować się, o co chodzi. Co wspólnego może mieć Gwiazda Śmierci z jego obecną sytuacją? To było przecież przed dziesięciu laty!

Zamiast odpowiedzieć, Han zapatrzył się w przestrzeń za kobietą. Po drugiej stronie szyby wielkiego okna zobaczył pastelowo świecące gazy, wirujące i wpadające do nienasyconych czeluści czarnych dziur. Wysoko na orbicie było widać cztery gwiazdne niszczyciele, co znaczyło, że znajdował się gdzieś w dole, na którejś spośród wielu asteroid, w samym środku oazy grawitacyjnego spokoju.

I był sam. Nigdzie nie widział ani Kypa, ani Chewbaccy. Miał nadzieję, że obaj przeżyli męczarnie przesłuchania Daali. Znowu poruszył językiem w ustach i tym razem udało mu się zapytać dosyć wyraźnie:

– Kim jesteś?

Obca kobieta dotknęła długim palcem kieszeni laboratoryjnego fartucha.

– Nazywam się Qwi Xux. Wiem, że ty jesteś Han Solo. Zapoznałam się z wydrukiem tekstu oświadczenia, które zechciałeś złożyć w obecności admirała Daali.

Oświadczenia? Czy możliwe, że miała na myśli przesłuchanie, w którego trakcie wyciągano z niego informacje, kiedy naszpikowany narkotykami siedział na krześle tortur, a całym jego ciałem targały spazmatyczne drgawki?

Pomyślał, że Qwi Xux sprawia wrażenie osoby powierzchownej i nieobecnej duchem, jakby tylko niewielką część uwagi mogła poświęcić szczegółom, mając umysł zajęty innymi, zapewne o wiele ważniejszymi problemami.

– Proszę, powiedz mi, co wiesz na temat Gwiazdy Śmierci – nalegała. – Niecierpliwie się, bo chcę się dowiedzieć, co pamiętasz. Jesteś pierwszą osobą, która spędziła jakiś czas na jej pokładzie, a z którą mogę porozmawiać.

Han zastanawiał się, czy narkotyki, jakie zaaplikowano mu podczas przesłuchania, wciąż jeszcze zamulają jego umysł, czy może rzeczywiście istnieje jakiś nieznaną powód, dla którego ktoś mógłby chcieć, żeby opowiadał o zniszczonej Gwieździe Śmierci. A poza tym dlaczego miałby ujawniać tej imperialnej badaczce coś, o czym wiedział? Co się stanie, jeżeli weźmie swoje gwiazdne niszczyciele i zaatakuje Coruscant?

– Już byłem przesłuchiwany – powiedział, z zadowoleniem stwierdzając fakt, że tym razem jego słowa były dobrze zrozumiałe.

Qwi Xux sięgnęła długą niebieskawą ręką po krótki wydruk.

– Chcę, żebyś mi opowiedział, jakie wówczas odniosłeś wrażenie – ciągnęła. – Jakie dźwięki tam słyszałeś? Co czułeś, kiedy spacerowałeś korytarzami? Opowiedz mi wszystko, co pamiętasz.

Załamano ręce w geście ledwo ukrywanego podniecenia.

– Nie.

Jego odpowiedź musiała być dla Qwi Xux takim wstrząsem, że cofnęła się o krok, jakby ją uderzył, i wydała zdumiony melodyjny skrzek.

– Musisz! – oświadczyła. – Jestem tutaj jedną z kilku najważniejszych osób należących do personelu naukowego!

Jej zdumienie było tak wielkie, że zapomniała zamknąć usta. Zaczęła okrążyć kolumnę, do której był przywiązany Han, zmuszając go do obracania głowy. Z wysiłku omal nie zemdlął.

– Jaki sens może mieć odmowa udzielania informacji? – odezwała się w końcu. – Informacja jest własnością wszystkich naukowców. Gromadzimy w ten sposób wspólną wiedzę, powiększamy ją i wzbogacamy, żeby później pozostawić w spadku przyszłym pokoleniom.

Han odnosił wrażenie, że Qwi Xux jest istotą nieprawdopodobnie naiwną. Zastanawiał się, od jak dawna obca kobieta przebywa pośrodku gromady czarnych dziur w starannie strzeżonym laboratorium.

– Czy to znaczy, że i ty dzielisz się swoimi informacjami z każdym, kto ciebie poprosi? – zapytał.

Qwi Xux szarpnęła głową.

– W ten sposób pracujemy w Laboratorium Otchłani – powiedziała. – To najważniejsza zasada prowadzonych tam badań naukowych.

Han z trudem powstrzymał triumfujący uśmiech.

– Doskonale, a zatem powiedz mi, gdzie są teraz moi przyjaciele. Przyleciałem tu z młodzieńcem i Wookiem. Jeżeli podzielisz się ze mną tą informacją, zobaczę, co pamiętam na temat Gwiazdy Śmierci.

Pełna niepokoju reakcja Qwi przekonała go, że kobieta stykała się do tej pory tylko z jednoznacznie sformułowanymi problemami.

– Nie jestem pewna, czy mogę ci to powiedzieć – rzekła. – Nie potrzebujesz tej informacji.

Han wzruszył ramionami.

– Sama widzisz, ile znaczy dla ciebie twój etyczny kodeks – stwierdził.

Qwi spojrzała na drzwi, jakby zastanawiała się, czy mimo wszystko nie wezwać szturmowców.

– Jednym z moich praw jako zatrudnionego tu naukowca jest dostęp do wszelkiej potrzebnej mi informacji – oświadczyła. – Dlaczego nie chcesz odpowiedzieć na kilka moich prostych pytań?

– A dlaczego ty nie chcesz odpowiedzieć na moje? – zapytał Han. – Ja nigdy nie podpisywałem listy twoich praw. Nie mam wobec ciebie żadnych zobowiązań.

Czekał, spoglądając na nią i obserwując jej zaniepokojenie. W końcu Qwi wyciągnęła skomputeryzowany komunikator i, mruczając jakąś melodię, wystukała na klawiaturze polecenie.

Popatrzyła na Hana, bardzo często mrugając powiekami ciemnoniebieskich oczu. Jej włosy, opadające na ramiona, iskrzyły się niczym kaskady wody. Kiedy zagwizdała ponownie, na ekranie komunikatora ukazała się żądana informacja.

– Twój przyjaciel Wookie został skierowany do pracy na wydziale remontów silników. Fizyk, który odpowiadał kiedyś za opracowywanie koncepcji i wdrażanie pomysłów w życie, był zawsze zagorzałym zwolennikiem zatrudniania do takich prac właśnie Wookiech. Miał u siebie ponad stu, sprowadzonych z Kashyyyku i zatrudnionych w laboratorium, kiedy zaczynał pracę. Teraz pozostało tylko niewielu. Wiesz, tam, na dole, praca jest bardzo ciężka.

Han przestąpił z nogi na nogę, z wielkim trudem panując nad własnym ciałem. Co prawda słyszał plotki, że przy konstrukcji pierwszej Gwiazdy Śmierci zatrudniano Wookiech jako niewolników, Qwi mówiła jednak o tym tak, jakby to było oczywiste.

– A co z moim drugim przyjacielem? – zapytał.

– Ktoś nazywający się Kyp Durrone? Czy to o niego ci chodzi? Zamknięty w celi, przebywa nadal na pokładzie „Gorgony”. Nie widzę żadnego sprawozdania ani tekstu złożonego przez niego oświadczenia, a więc mogę przypuszczać, że nie miał wiele do powiedzenia.

Han zmarszczył brwi, starając się ocenić otrzymane informacje, ale ożywiona Qwi Xux nie dała mu na to dużo czasu.

– No dobrze – powiedziała. – Podzieliłam się z tobą informacjami, których zażądałeś. A teraz opowiedz mi o Gwieździe Śmierci!

Podeszła do niego trochę bliżej, ale stanęła o kilka kroków przed nim.

Han przewrócił oczami, ale nie widział powodu, dla którego nie miałby jej tego powiedzieć. Gwiazda Śmierci została zniszczona bardzo dawno temu, a wszelkie plany znajdowały się w szczególnie chronionym rdzeniu pamięciowym dawnego Imperialnego Ośrodka Gromadzenia Informacji.

Opowiedział więc Qwi Xux o korytarzach i słyszanych dźwiękach. Rzecz jasna, najwięcej wiedział o lądowiskach w hangarach, części pełniącej funkcję więzienia i zgniataczu śmieci, ale Qwi nie sprawiała wrażenia zainteresowanej takimi miejscami.

– Ale czy widziałeś rdzeń? – zapytała. – Oglądałeś systemy napędowe?

– Przykro mi – odparł Han. – Miałem tylko wywołać zamieszanie, podczas gdy ktoś inny unieszkodliwiał generatory promieni ściągających. – Zaciśnął wargi. – Właściwie dlaczego interesuje cię to wszystko?

– Ponieważ to ja zaprojektowałam większą część urządzeń Gwiazdy Śmierci.

Zanim mogła zauważyć na twarzy Hana wstrząs, jakiego doznał na te słowa, Qwi podeszła do sąsiedniej ściany i nacisnęła kilka guzików, po czym część metalowej płyty stała się przezroczysta. Widoczny przez stosunkowo niewielkie okno wycinek przestworzy ze świecącymi gazami zamienił się nagle w olśniewającą panoramę. Han widział pozostałe asteroidy tworzące Laboratorium

Otchłani.

– Prawdę mówiąc, nadal mamy w laboratoriach prototyp Gwiazdy Śmierci – oznajmiła Qwi Xux.

Kiedy wypowiadała te słowa, nad skróconą Unią horyzontu najbliższej planetoidy niczym śmiercionośne słońce zaczął wschodzić szkielet ogromnej kuli o średnicy zbliżonej do wymiarów którejkolwiek asteroidy. Prototyp wyglądał jak gigantyczna armilarna sfera, w której koliste pierścienie połączono w miejscach styku na biegunach i wzmocniono poprzecznymi wspornikami, zapewniając konstrukcji odpowiednią sztywność. Widać było umieszczony we wnętrzu i nadbudówkach ogromny rdzeń reaktora i superlaser zdolny do niszczenia całych planet.

– To jest tylko część funkcjonalna – odezwała się Qwi Xux, spoglądając przez okno z nie ukrywanym podziwem. – Rdzeń, superlaser i reaktor. Brak tylko systemów napędu nadprzestrzennego. Nie widzieliśmy potrzeby, by uczynić konstrukcję jeszcze bardziej wytrzymałą i dodać pokłady z pomieszczeniami dla personelu administracyjnego i żołnierzy.

Han z trudem odzyskał zdolność mowy.

– Czy to działa? – zapytał w końcu.

Qwi uśmiechnęła się i spojrzała na niego, a w jej oczach lśniły iskry.

– O tak, działa doskonale – odparła.

Kyp Durron czuł się jak zamknięte w klatce zwierzę. Światło, tak jaskrawe i czerwone, że drażniło jego oczy, dochodziło przez szczeliny kraty, zamocowanej w suficie. Kyp siedział na prycy, wpatrywał się w matowe ściany celi i przede wszystkim usiłował nie myśleć.

Czuł tępy ból, pulsujący w różnych miejscach ciała, i wiedział, że to pozostałość po przesłuchaniu. Wykonujący tę czynność android z bezosobową złośliwością wyszukiwał najbardziej wrażliwe miejsca i aplikował specjalne środki, żeby ból od każdego najmniejszego skaleczenia wydawał się agonialną męką. Kyp czuł, jak ostre igły strzykawek wbijały się w jego ciało niczym włócznie, a pokonujące siłę woli narkotyki płynęły przez żyły jak rozżarzona lawa.

Błagał pamięć, żeby podsunęła wspomnienia, które jego prześladowcy uznaliby za pożyteczne, byle tylko przyspieszyć koniec przesłuchania – ale Kyp Durron był nikim, nieszczęsnym więźniem, który większą część życia spędził na Kessel. Nie wiedział niczego, co mógłby opowiedzieć imperialnym oprawcom. W końcu musieli dojść do wniosku, że naprawdę nie przedstawia dla nich żadnej wartości.

Kyp skierował spojrzenie na pojemnik z samoczynnie przygotowującym się pożywieniem, który został wypluty przez podajnik drzwi jego celi. Otwierając wieczko pojemnika uruchamiało się samoczynne podgrzewanie protein w tkance głównego dania i ochładzało deser z syntetycznych owoców. Po upływie krótkiego czasu nawet sztuczce zaczynały przekształcać się w przekąski, które można było spożyć po głównym daniu. Kyp jednak nie był głodny, a nie umiał zmusić się do jedzenia.

Jego myśli błądziły wokół losu, jaki musiał spotkać Hana Solo. W przeciwieństwie do Kypa Han wiedział bardzo dużo o Nowej Republice i znał więcej tajemnic, które można było wyciągnąć z niego podczas przesłuchania. A opieka, jaką otoczyła ich admirał Daala, była gorsza od wszystkiego, co Kyp przeżył w ciągu wielu lat spędzonych w imperialnym więzieniu. Pracując w tunelach kopalni przyprawy, przynajmniej nauczył się, jak nie rzucać się ludziom w oczy.

Przetransportowano go na Kessel, gdy miał osiem lat. Od tamtego czasu przestrzegał wszystkich reguł, nauczył się radzić sobie w morderczej, niewolniczej pracy i przystosował się do ciężkich warunków życia tak za czasów Imperium, jak i później, pod rządami różnych uzurpatorów czy lordów

w rodzaju Morutha Doole'a. Rodzice Kypa nie żyli, jego jedyny brat Zeth został wcielony siłą do imperialnej akademii kształcącej przyszłych szturmowców. Ale Kyp sam nauczył się, jak znosić poniżenie, jak radzić sobie w trudnych sytuacjach, jak przeżyć.

Nie myślał o ucieczce do chwili, kiedy zjawił się Han Solo. Dopiero wówczas zrozumiał, że garstka gotowych na wszystko ludzi potrafi zrzucić nawet więzienne kajdany. Fakt, że znaleźli się później w Otchłani w jeszcze gorszej sytuacji, nie miał żadnego znaczenia.

Podczas pilotowania porwanego promu, pragnąc bezpiecznie przeprowadzić statek przez pełne czarnych dziur przestworza, Kyp korzystał z niedawno poznanych sił. W ciągu lat, jakie upłynęły od chwili, kiedy zasuszone Vima-Da-Boda nauczyła go podstaw umiejętności Jedi, Kyp rzadko stosował siłę Mocy.

Pamiętał twarz Vima-Da-Body, pomarszczoną i przypominającą ciało trędowatego. Kobieta miała zwyczaj chować się w kątach, w najciemniejszych zakamarkach, jakby chciała się ukryć przed prześladowającymi ją ogromnymi oczami. Upadła Jedi czuła tak silne wyrzuty sumienia, że dusiły ją niczym ciężki całun, ale mimo to znalazła czas, by uczyć Kypa, nim zabrali ją imperialni szturmowcy. „Masz ogromny potencjał”, powiedziała mu podczas jednej z ostatnich krótkich lekcji.

Aż do tej chwili Kyp nie przywiązywał do jej słów większej wagi.

Popatrzył na nietknięte jedzenie. Może gdyby się skoncentrował, skupił całą siłę woli na tym, by poruszyć cokolwiek, choćby bardzo małego, udałoby mu się w końcu odzyskać wolność.

Odzyskać wolność! Te słowa rozbrzmiewały w jego sercu, wyczarowując w nim nadzieję. Nie był pewien tego, w jaki sposób działał. Wyczuwanie najlepszej drogi w mrocznych tunelach kopalni przyprawy wydawało mu się całkowicie naturalne. Przelatując porwanym promem przez chmury ognistego gazu, wsłuchiwał się w tajemniczy wewnętrzny głos, szepejący mu do ucha i wskazujący właściwą trasę. Kyp zmieniał kierunek lotu, zakręcał i zawracał w chwilach, w których uznawał za konieczne.

Teraz jednak, kiedy musiał posłużyć się Mocą, nie wiedział, od czego zacząć.

Skupił spojrzenie na cienkiej folii pokrywającej pojemnik z pożywieniem, starając się ją zgiać. Próbował nacisnąć ją myślowym palcem i wyobraził sobie, jak cienki metal odwija się i zamienia w kulę. Nic jednak się nie stało. Kyp zaczął się zastanawiać, jaką część paplaniny Vima-Da-Body powinien przypisać przesądom czy niepoczytalnemu umysłowi kobiety.

Jego rodzice nie byli obdarzeni żadnymi specjalnymi umiejętnościami. Oboje byli prostymi, mówiącymi zawsze szczerze, co myślą, lokalnymi politykami na skolonizowanej planecie Deyer w systemie gwiazdy Anoaat. Kiedy dowiedzieli się o buncie wymierzonym przeciwko tyranii Imperatora, postanowili rozwiązać problem z innej strony. Zaczęli krytykować Palpatine'a, chcąc nakłonić go do zmiany polityki, a nie obalić. Stanowczo zaprotestowali na wieść o zniszczeniu Alderaanu. Ich starania zakończyły się jednak aresztowaniem ich samych i obu ich synów, Zetha i Kypa.

Kyp pamiętał tę pełną trwogi noc, kiedy szturmowcy stopili drzwi jego rodzinnego domu, choć nie były zamknięte. Uzbrojeni żołnierze wkroczyli do pomieszczeń mieszkalnych, kopali i miażdżyli butami delikatne, splatane z włókien meble. Kapitan szturmowców odczytał rozkaz aresztowania, głosem zniekształconym przez mikrofon hełmu oskarżył rodziców Kypa o zdradę. Potem szturmowcy wyciągnęli blastery i ogłuszyli zaskoczonych dorosłych. Starszy brat Kypa, Zeth, chciał ich bronić, więc i jego ogłuszyli.

Kyp, czując łzy spływające po policzkach, tylko mógł z niedowierzaniem patrzeć na trzy skulone

ciała, leżące na podłodze, kiedy szturmowcy zakładali mu paraliżujące kajdanki. Nawet teraz nie mógł zrozumieć, dlaczego obawiali się, że mógłby stanowić dla nich zagrożenie. Był wówczas ośmioletnim chłopcem.

Kypa i jego rodziców przetransportowano na Kessel, a czternastoletni Zeth został siłą wcielony do wojska i jako pozbawiony własnej woli rekrut wylądował na Caridzie, w imperialnej wojskowej akademii. Nigdy więcej o nim nie słyszeli.

Po upływie nieco ponad roku od tamtych zdarzeń na Kessel doszło do zamieszek i buntu. Imperialni nadzorcy zostali obaleni, a władzę nad więzieniem i kopalniami przejęli lordowie, spośród których wielu było przedtem strażnikami. W czasie buntu rodzice Kypa zginęli, a raczej zamordowano ich za to, że w nieodpowiedniej chwili opowiedzieli się po niewłaściwej stronie. Kyp ukrył się i przeżył dzięki temu, że starał się być niewidzialny i niesłyszalny. Przez osiem lat gnił w ciemnościach kopalni przyprawy, a potem uciekł.

Tylko po to, by złapano go po raz drugi.

Wydawało mu się, że jakimś cudem imperialni funkcjonariusze są zawsze blisko niego, starają się pokrzyżować plany. Na Deyer porwali go z rodzinnego domu, na Kessel wtrącili do kopalni przyprawy, a teraz, kiedy w końcu on i Han uciekli, żołnierze pochwycili ich znów w swoje łapy.

Gniew Kypa rozgorzał niczym jasny płomień. Młodzieniec ponownie spróbował swych umiejętności na metalowej folii pojemnika. Z całej siły naparł na nią myślowym palcem, aż krople potu spłynęły mu do oczu i utrudniły patrzenie. Czy możliwe, że pojemnik nieznacznie drgnął, przesunął się odrobinę? Kyp ujrzał małe wgłębienie w włóknistym proteinowym paszteciku stanowiącym część głównego dania. Czyżby było to jego dzieło?

Możliwe, że kluczem do wydobycia jego utajonych możliwości były gniew, złość i nienawiść.

Żałował, że Vima-Da-Boda nie spędziła w tunelach kopalni więcej czasu. Nauczyłaby go wówczas innych rzeczy. Skupił uwagę na ścianach celi, które ograniczały jego ruchy. Musiał znaleźć jakiś sposób ucieczki. Han udowodnił mu przecież, że to jest możliwe.

Kyp przysiągł sobie, że jeżeli ucieknie, znajdzie kogoś, kto nauczy go posługiwania się tą dziwną mocą. Nigdy więcej nie chciał czuć się tak bezradny.

Han spoglądał na delikatną, podobną do dużego ptaka Qwi Xux, i w żaden sposób nie potrafił wyobrazić sobie, by to ona była projektantką Gwiazdy Śmierci. A przecież pracowała w Laboratorium Otchłani z własnej woli. Sama zresztą rzeczowo przyznała, jaką rolę odgrywała w tym przedsięwzięciu.

– Co taka miła dziewczyna jak ty może robić w takim miejscu? – zapytał w końcu.

– Właśnie na tym polega moja praca. Robię to, w czym jestem najlepsza. – Qwi kiwnęła niedbale głową, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią. – Tylko tutaj mam szansę zmierzenia się z największymi tajemnicami wszechświata. Tylko tu mam okazję rozwiązywania problemów, które inni uznali za niemożliwe do rozwikłania. Mogę widzieć, jak moje najśmielsze pomysły przybierają realne kształty. To wszystko jest niezwykle podniecające.

Han nadal nie mógł zrozumieć.

– Ale jak to się stało? – zapytał. – Jak trafiłaś do takiego miejsca?

– Ach, o to ci chodzi! – odezwała się Qwi, jakby dopiero teraz zrozumiała jego pytanie. – Urodziłam się na planecie Omwat, na Odległych Rubieżach. Któregoś dnia przyleciał do nas moff Tarkin i z różnych miast wybrał dziesięcioro dzieci. Umieścił nas w ośrodku intensywnej,

przymusowej edukacji, żeby stworzyć z nas grupę wybitnych projektantów i naukowców. Ja okazałam się najlepsza. Jako jedyna zdałam wszystkie egzaminy. Byłam jego oczkiem w głowie i w nagrodę zostałam skierowana właśnie tutaj.

Na początku pracowałam z Bevelem Lemeliskiem nad konstrukcją Gwiazdy Śmierci. Kiedy ukończyliśmy wszystkie prace projektowe, Tarkin zabrał dokumentację i Bevela, a mnie zostawił, bym projektowała i konstruowała nowsze i doskonalsze rozwiązania.

– No dobrze – odezwał się Han. – Zapytam cię jeszcze raz. Dlaczego właśnie tym się zajmujesz?

Qwi spojrzała na niego, jakby nagle przyszło jej na myśl, że stracił rozum.

– To najbardziej podniecająca i najciekawsza rzecz, jaką mogę sobie wyobrazić – odparła. – Sama stawiam problemy i sama je rozwiązuję. Na ogół mi się udaje. Czegóż więcej mogłabym pragnąć?

Han wiedział, że kobieta go nie rozumie.

– Jakim cudem może ci się podobać taka praca? To przecież coś okropnego!

Qwi cofnęła się o krok, a wyraz jej twarzy wskazywał, że kobieta jest dezorientowana i urażona.

– O co ci właściwie chodzi? – zapytała. – Jeżeli się zastanowisz, sam przyznasz, że to fascynująca praca. Pamiętam, że jeden z naszych pomysłów polegał na zmodyfikowaniu istniejących pieców molekularnych w taki sposób, by powstały z nich autonomiczne Niszczyciele Światów. Mogły one zdzierać warstwy surowców z powierzchni planet, transportować je do zautomatyzowanych fabryk, które znajdowały się na ich pokładach, a potem wytwarzać z tych surowców gotowe urządzenia. Jesteśmy z tego bardzo dumni. Przesłaliśmy odpowiednią propozycję Tarkinowi wkrótce po tym, jak zabrał ze sobą Bevela. – Jej głos trochę przycichł. – Ciekawa jestem, jakie były dalsze losy tego projektu.

Han zamrugał, zdumiony. Siejąca spustoszenie flota Niszczycieli Światów zaatakowała Kalamar, rodzinną planetę admirała Ackbara, i zdołała zamienić w pustynię dużą część tego pięknego, pełnego jezior świata, zanim w końcu rydwany śmierci zostały unicestwione.

– Niszczyciele Światów już zbudowano – mruknął. – I zastosowano do specyficznych celów.

Twarz Qwi się rozjaśniła.

– Och, to wspaniale! – zawołała.

– Wcale nie! – krzyknął Han tak głośno, że kobieta podskoczyła. – Czy wiesz, do czego służą twoje pomysły? Masz pojęcie?

Qwi cofnęła się i wyprostowała, gotowa do obrony swojego zdania.

– Oczywiście – odparła. – Gwiazda Śmierci miała zostać wykorzystana do niszczenia obumarłych planet, żeby można było jak najłatwiej wydobywać rudy ciężkich metali uwięzione w ich jądrach. Niszczyciele Światów miały być autonomicznymi fabrykami przetwarzającymi materię asteroid i światów pozbawionych wszelkiego życia na przedmioty i urządzenia w taki sposób, żeby nie zanieczyszczać zamieszkałych planet.

Han parsknął i przewrócił oczami.

– Jeżeli w to wierzysz, zapewne uwierzysz też w każdą bajkę – odparł. – Czy niczego nie mówią ci ich nazwy? Gwiazda Śmierci, Niszczyciel Światów – przecież tak nie nazywa się urządzeń do pokojowego rozwoju gospodarczego, prawda?

Qwi jęknęła i odwróciła się do niego plecami.

– Och, co to za różnica, jak się nazywają – powiedziała.

– Pierwszym celem Gwiazdy Śmierci była planeta Alderaan – ciągnął Han. – Rodzinny świat

mojej żony! Dzięki Gwieździe zamordowano miliardy niewinnych ludzi. Niszczyciele Światów zwrócono przeciwko zamieszkaney planecie Kalamar. Zginęło wówczas setki tysięcy ludzi. Te skuteczne, twoim zdaniem, fabryki produkowały myśliwce typu TIE i inne bronie masowego rażenia, nic więcej.

– Nie wierzę ci – odezwała się Qwi, ale jej głos nie zabrzmiał bardzo przekonująco.

– Byłem tam! – krzyknął Han. – Przelatywałem przez chmurę szczątków, która pozostała po Alderaanie. Sam widziałem zniszczenia, jakich dokonano na Kalamarze. Czy nie czytałaś o tym w sprawozdaniu z mojego przesłuchania? Admirał Daala męczyła mnie bardzo długo, żebym opowiedział jej o tym ze wszystkimi szczegółami.

Qwi skrzyżowała na piersi długie, szczupłe, niebieskawe ręce.

– Nie, niczego takiego nie było w streszczeniu twojego raportu, który w tak melodramatyczny sposób nazywasz „przesłuchaniem”.

– A zatem nie przekazano ci całości – stwierdził Han.

– Nonsens. Mam prawo zapoznawać się ze wszystkimi informacjami. – Wbiła spojrzenie w podłogę. – A poza tym, ja tylko opracowuję koncepcje. Staram się, żeby można było je wcielić w życie. Nie mogę być odpowiedzialna za to, że ktoś z zewnątrz wykorzysta mój pomysł w sposób sprzeczny z moimi intencjami. To wykracza poza zakres moich obowiązków.

Han mruknął nieobowiązująco, kipiąc ze złości. Jej słowa sprawiały wrażenie dobrze przećwiczonych, jakby ktoś przez wiele lat uczył ją, co powinna odpowiedzieć. Wyglądało na to, że nawet nie myśli o tym, co mówi.

Qwi podbiegła do ekranu z trójwymiarowym rysunkiem i, cicho mruczając, nacisnęła kilka klawiszy, by wyostrzyć długi, kanciasty kształt urządzenia, które projektowała, kiedy Han otworzył oczy.

– Czy chciałbyś zobaczyć, nad czym teraz pracuję? – zapytała, starannie unikając jakiegokolwiek wzmianki na temat tego, co mówiła poprzednio.

– Jasne – odparł Han. Obawiał się, że kiedy kobieta nie będzie chciała z nim rozmawiać, odeśle go z powrotem do celi na pokładzie „Gorgony”.

Qwi gestem ręki pokazała rysunek niewielkiego statku. Miał kształt wydłużonego czworościanu i wyglądał jak długi okruch szkła albo brylant. Na rysunku było widać kabinę pilota, a w niej miejsca dla sześciorga ludzi. W strategicznych punktach umieszczono małe lasery, a na spodzie największej powierzchni znajdowała się dziwna toroidalna antena transmisyjna.

– Właśnie teraz pracuję nad ulepszeniem pancerza – oznajmiła Qwi. – Chociaż statek jest niewiele większy od myśliwca, chcemy, żeby był odporny na wszelkie ataki. Wyposażamy go w kwantowo-krystaliczny pancerz z kilku cienkich warstw atomów położonych tak blisko siebie, jak pozwalają prawa fizyki. Warstwy te umieszczamy jedna nad drugą w ten sposób, by atomy były przesunięte fazowo względem siebie. Tylko wówczas możemy być pewni, że żadna broń nie wyrządzi statkowi najmniejszej krzywdy. Nawet go nie zarysuje.

Han kiwnął głową, pokazując miejsca, w których umieszczono lasery. Przywiązany łańcuchem do kolumny, nie mógł widzieć ich najlepiej.

– Jeżeli ma być taki niezniszczalny, po co projektować uzbrojenie? – zapytał.

Oczami wyobraźni ujrzał flotę takich statków zastępujących myśliwce typu TIE. Niewielka liczba niezniszczalnych szturmowych jednostek mogłaby przedrzeć się przez flotę statków Nowej Republiki i bez najmniejszego pośpiechu rozerwać ją na strzępy.

– Ta jednostka ma bardzo dużą zdolność manewrową i jest na tyle mała, że nie wykryje jej żaden międzyplanetarny skaner, ale to nie znaczy, że nikt nie będzie chciał jej zestrzelić. Pamiętaj, Gwiazda Śmierci miała rozmiary niewielkiego księżyca. Ten statek osiąga przebiegłością to samo, co Gwiazda Śmierci chciała uzyskać za pomocą brutalnej siły.

Czując narastającą lodowatą trwogę, Han obawiał się usłyszeć odpowiedź na następne pytanie. Jak można było porównywać taki mały statek z Gwiazdą Śmierci? Nie mógł jednak się powstrzymać.

– A czym on jest? Do czego służy?

Qwi spojrzała na ekran z mieszaniną zachwytu, dumy i strachu.

– No cóż, co prawda jeszcze nie poddaliśmy go wszystkim badaniom, ale pierwszy funkcjonujący prototyp jest w zasadzie ukończony. Nazwaliśmy go Pogromcą Słońc. Jest niewielki, ale bezgranicznie potężny. Każdy taki mały, niewrażliwy statek wysyła ku gwiazdzie modulowany rezonansowy pocisk i wywołuje w jej jądrze reakcję łańcuchową, która zamienia nawet słońce o małej masie w supernową. Skuteczne i proste.

Wstrząśnięty i przerażony Han nie wiedział, co powiedzieć. Gwiazda Śmierci unicestwiała planety, ale Pogromca Słońc mógł niszczyć całe gwiazdne systemy.

Rozdział 22

Luke i Lando stali obok Morutha Doole'a na jednym z najwyższych pięter we wnętrzu ogromnego komin fabryki wzbogacającej atmosferę Kessel. Trzymali się zardzewiałej poręczy na skraju wąskiej galeryjki i patrzyli w dół, w pozornie bezdenną przepaść. Kiedy się wychylili, mogli swobodnie oddychać wznoszącymi się ku niebu życiodajnymi gazami. Sceneria przywodziła Luke'owi na myśl olbrzymi szyb wentylacyjny w Mieście w Chmurach.

Doole mówił bardzo głośno, starając się przekrzyczeć szum gazów wydobywających się z czeluści.

– Jak wykazuje jedno z wcześniejszych imperialnych badań naukowych, skorupa Kessel zawiera tylko tyle surowców, by przy obecnym tempie eksploatacji wystarczyło na zachowanie równowagi w atmosferze najwyżej przez sto albo dwieście lat. – Wzruszył ramionami, garbiąc się i kuląc jak w ataku apopleksji. – Przed kilkoma laty wytwarzaliśmy większe ilości gazów, by więźniowie mogli swobodnie oddychać, przebywając na powierzchni, ale jaki jest sens pozwalać im na takie spacery?

Lando kiwnął przeczornie głową, udając, że jest nadal tym wszystkim zainteresowany, ale Luke nie odezwał się ani słowem. Doole oprowadzał ich przez cały dzień po planecie. Zabierał głos częściej i na dłużej niż nawet najbardziej gadatliwi senatorowie na Coruscant. Tak bardzo zależało mu na pięciuset tysiącach kredytów Calrissiana, że zachwalał zalety Kessel jak przedstawiciel planetarnej agencji handlowej.

Wszędzie, dotąd zabierał ich Doole, Luke wyteżał wszystkie zmysły Jedi, starając się odnaleźć jakiś ślad pobytu Hana lub Chewbaccy. Nie czuł jednak żadnego łaskotania Mocy, żadnej zmarszczki świadczącej o obecności przyjaciół. Może więc naprawdę nie żyli.

Tymczasem Lando kontynuował rozmowę z Doole'em, podnosząc głos, by przekrzyczeć szum powietrza przepływającego przez komin.

– Z chwilą gdy zabraknie atmosfery, wiele się tu zmieni – mówił. – Ważne jest tylko to, co osiągnie się za życia.

Skrzeczący śmiech Doole'a z trudem przebił się przez szum uchodzących gazów.

– Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny, panie Tymmo. Kogo obchodzi, co będzie, kiedy staniemy się kosmicznym pyłem? Dopóki trzymam Kessel w garści, chciałbym wycisnąć ją jak cytrynę.

– Wygląda mi na to, że kierujesz tu ogromnym przedsięwzięciem – odezwał się Lando. – Dlaczego w dalszym ciągu prowadzisz je solo?

Doole wzdrygnął się na dźwięk słowa: „solo”, a Luke zorientował się, że Calrissian użył go nie bez powodu. Obaj zauważyli reakcję Rybeta.

– Co właściwie masz na myśli? – zapytał Doole.

– No cóż, po tym, jak Imperium przestało kontrolować handel przyprawą, można byłoby

pomyśleć, że zechcesz dostarczać ją na rynki, że zatrudnisz tysiące przedstawicieli, dzięki którym błyszczystym będzie rozchodził się po całej galaktyce. Jabba Hutt nie żyje. Dlaczego nie miałbyś nawiązać współpracy z organizacją zjednoczonych przemysłowców, kierowaną przez Talona Karrde'a i Marę Jade? Brak takich kontaktów z pewnością uszczupla twoje zyski.

Doole wymierzył w Calrissiana palec zakończony szczytkowymi przyssawkami.

– Teraz, kiedy mamy kontrolę nad całym błyszczystym, a nie tylko nad tym, co kradliśmy sprzed imperialnych nosów, nasze zyski rosą w zawrotnym tempie. A po tym, jak byłem w niewoli Imperium, nie zamierzam się ugiąć przed władzą Nowej Republiki. Wszyscy wiedzą, że Jade i Karrde są tylko ich marionetkami.

Widząc sceptyczne spojrzenie Calrissiana, Doole machnął ręką.

– Och, rzecz jasna, myślimy o tym. Prawdę mówiąc, odbyłem rozmowę z jakimś dostojnikiem Nowej Republiki. Możliwe, że to zaowocuje w przyszłości nawiązaniem ściślejszej współpracy.

– To może okazać się słusznym posunięciem – odezwał się wymijająco Lando.

Doole poprowadził ich galeryjką z powrotem do wyjścia, przy którym czekał na nich Artoo. Następnie zamknął masywne drzwi, przystanął i chwilę zaczekał, aż ich uszy przyzwyczają się do nagłej ciszy.

– Jak widzicie, wiele się tu zmienia – powiedział. – Ty, mój przyjacielu, wybrałeś właściwą chwilę, by wziąć udział w tych przemianach.

– Jeżeli zdecyduję się zainwestować – odparł stanowczo Lando.

– Oczywiście, oczywiście, jeżeli zdecydujesz się zainwestować. Prawdę mówiąc, Tymmo, możesz pełnić tu jeszcze ważniejszą rolę. Od chwili śmierci Skynxnexa potrzebuję nowego... hmm... pomocnika, by kierował pracą kopalń przyprawy.

Lando poprawił pelerynę na plecach gestem, który miał świadczyć, że ma o sobie lepsze mniemanie.

– Jeżeli zainwestuję pół miliona kredytów, Doole, spodziewam się, że zrobisz mnie raczej współnikiem niż pomocnikiem.

Moruth zgiął się wpół.

– Oczywiście. Nieistotne drobiazgi będziemy mogli uzgodnić nieco później. Będzie mi potrzebny także nowy szef zmiany. Może pański doradca byłby zainteresowany objęciem tej posady?

Popatrzył na Luke'a, zezując okiem barwy na wpół ugotowanego białka jajka.

Luke spojrział na mechaniczne oko Rybeta. Obserwował, jak ruchome soczewki poruszają się, zmieniając ogniskową, i starał się wykraść tajemnice z jego mózgu.

– Będę musiał się zastanowić – odparł.

Doole zignorował go i zwrócił uwagę znów na Calrissiana.

– A więc widzieliście już praktycznie wszystko – oświadczył. – Czy jest jeszcze coś, co chcecie zobaczyć?

Lando skierował spojrzenie na Luke'a, ale ten przez chwilę się zastanawiał. Nie dawały mu spokoju myśli o skalistym księżycu Kessel i urządzonej na nim wojskowej bazie. Jeżeli Hana nie było na samej planecie, może był przetrzymywany tam w jakiejś celi?

– Czy nie boisz się ataku ze strony resztek Imperium? – zapytał. – Albo połączonych sił zbrojnych Nowej Republiki?

Doole machnął ręką na dowód, że nie przejmuje się tym problemem.

– Mamy własne siły obronne – powiedział. – Możecie się nie martwić.

Luke postanowił nalegać, chcąc jak najlepiej grać rolę sumiennego doradcy.

– Jeżeli mamy zainwestować taką sumę, powinniśmy je obejrzyć. Słyszeliśmy o ochronnym polu siłowym, pozostawionym tu przez władze imperialnego zakładu karnego, ale czy dysponujesz jakąś flotą?

Doole zaczął pryskać śliną, ale do rozmowy wtrącił się Lando.

– Posłuchaj, Moruth, jeżeli jest coś, czego nie chcesz nam pokazać...

– Nie, nie, to żaden kłopot – przerwał Doole. – Będę musiał tylko zorganizować wahadłowiec, którym polecilibyśmy na księżyc. Nie chcę, żebyście pomyśleli, iż kryję przed wami jakieś tajemnice!

Kiedy Doole pospiesznie odszedł, by załatwić start wahadłowca, Luke i Lando wymienili sceptyczne spojrzenia.

Calrissianowi nie podobał się pomysł zostawienia „Ślicznotki” na lądowisku imperialnego zakładu karnego, mimo iż Doole nie przestawał odgrywać roli gościnnego gospodarza. Kiedy wystartowali w wahadłowcu służącym do lotów krótkodystansowych, Luke próbował po cichu uspokajać i pocieszać przyjaciela, ale Lando nie przestał wyglądać przez małe okno, jakby miał nigdy więcej nie zobaczyć swojego statku.

Kiedy zbliżyli się do księżyca, stwierdzili, że satelita przypomina wydrążoną kulę. Większość skał z wnętrza usunięto, żeby zrobić miejsce dla ogromnych hangarów oraz gigantycznych generatorów i nadajników wytwarzających energetyczne pole wokół planety.

Po wylądowaniu Moruth Doole, stąpając dumnie jak paw, wyszedł z wahadłowca i przynaglił ich, żeby poszli w jego ślady. Wykonał niecierpliwy gest, który wydał się Luke’owi podejrzany. Doole zczekał, aż Artoo ostrożnie zjedzie po rampie, a potem skierował się w głąb wielkiej groty. Za przezroczystym ekranem, zapobiegającym uchodzeniu atmosfery, było widać gwiazdy i chmury świecących gazów wirujące w okolicach gromady czarnych dziur.

Doole sprawiał wrażenie jeszcze bardziej dumnego ze swojej obronnej floty niż z któregośkolwiek innego aspektu działalności na Kessel.

– Idźcie za mną – powiedział.

Kołysząc się z boku na bok jak kaczka, przeszedł przez wykute w skale wrota hangaru i poprowadził ich między ciągnącymi się bez końca rzędami i szeregami myśliwców i bojowych statków, ustawionych bez ładu i składu. Mijali jednostki, które wydawały się Luke’owi znajome, i inne tak dziwaczne, że nawet nie potrafił ich rozpoznać. Przywołał na pomoc całe doświadczenie pilota myśliwca, by zorientować się w rodzajach i klasach. Identyfikował więc myśliwce typu X i maszyny rozpoznawcze dalekiego zasięgu typu Y, potężne koreliańskie korwety, pojedynczą maszynę typu B, myśliwce szturmowe i przechwytyjące typu TIE, cztery bombowce typu TIE, kilka kanonierek klasy Skipray i wahadłowce szturmowe klasy Gamma. W przestworzach wokół poszarpanego wlotu groty unosiły się niczym trofea nieco większe wojenne statki: trzy krążowniki klasy Karrak, dwie ogromne fregaty klasy Lancer i samotny krążownik klasy Loronar.

– Po tym, jak przepędziliśmy imperialnych nadzorców, położyłem bardzo duży nacisk na skompletowanie obronnej floty – rzekł Doole. – Kupowałem każdy myśliwiec, który zobaczyłem, bez względu na to, w jakim był stanie, a potem zatrudniłem doświadczonych mechaników z koreliańskiego sektora Nar Shaddaa.

Wyszczrzył zęby, rozciągając w uśmiechu grube wargi charakterystyczne dla istot ziemno-

wodnych.

– A generatory pola ochronnego udało się naprawić dopiero przed dwoma dniami. Mogę teraz odetchnąć z prawdziwą ulgą. Jestem pewien, że energetyczne pole siłowe i chroniąca mnie flota sprawią, iż Kessel będzie naprawdę niezależna i bezpieczna. Dopiero teraz będziemy mogli dyktować ceny błyszczostymu w całej galaktyce, nie obawiając się, że ktoś mógłby nam przeszkodzić.

– Trzymasz tutaj mnóstwo statków – stwierdził Lando. – Muszę przyznać, że to sprawia wielkie wrażenie.

Luke przypomniał sobie, z jakim trudem Nowa Republika zdobywała nadające się do walki statki podczas niedawnej partyzanckiej kampanii admirała Thrawna. Jeżeli Moruth Doole już wtedy robił wszystko, żeby kupić dostępne na rynku jednostki, nie dziwnego, że ich podaż była taka ograniczona.

– Nie sądzicie, że ta flota powinna obronić nas i przed gwiazdnymi piratami? – zapytał Doole.

Przez cały czas przechodzili obok rzędów zaparkowanych statków. Nagle Lando przystanął, a Luke wyczuł falę emocji emanującą z przyjaciela. W tej samej chwili Artoo zaczął z ożywieniem piszczeć i świergotać. Luke popatrzył w prawo i w lewo i zobaczył zmodyfikowany lekki frachtowiec produkcji bez wątplenia koreliańskiej, którego wygląd wydał mu się znajomy.

– Co się stało? – odezwał się Doole, spoglądając na małego robota.

Ta chwila wystarczyła, żeby Lando odzyskał panowanie nad sobą. Postukał końcami palców w kopułkę Artoo.

– Przypuszczam, że to tylko jakieś zabłąkane kosmiczne promieniowanie – odparł. – Tym starym astromechanicznym jednostkom dosyć często zdarza się przegrzać jakiś obwód. – Przełknął ślinę. – Posłuchaj, Moruth, czy mógłbym przez chwilę porozmawiać ze swoim doradcą na osobności?

– Aha, aha, oczywiście. – Doole natychmiast się cofnął. – Może pójde się upewnić, że technicy przygotowują wahadłowiec do powrotu na Kessel.

Odwrócił się do Luke'a i z wymuszonym uśmiechem dodał:

– Tylko nie próbuj odwieść swojego szefa od zainwestowania całej sumy!

Kiedy oddalił się na tyle, że nie mógł słyszeć, o czym mówią, podniecony Lando kiwnął głową w stronę frachtowca.

– To „Sokół”, Luke! Znam ten statek tak dobrze jak krabbeks swoją muszlę!

Luke spojrzał na frachtowiec. Rozpoznał go, ale chciał mieć dowód.

– Jesteś pewien? – zapytał.

– To „Sokół”, Luke. Pamiętasz, byłem jego właścicielem, zanim Han wygrał go ode mnie w sabaka. Popatrz sam, a zobaczysz szramę w górnej części kadłuba. Powstała podczas ucieczki z Gwiazdy Śmierci, kiedy ściałem antenę paraboliczną do łączności podprzestrzennej.

Luke dostrzegł także świeże ślady, odniesione z pewnością w niedawnej walce.

– Mogli zmienić oznaczenia i wyczyścić rdzeń pamięciowy komputera – powiedział. – Czy istnieje jakiś sposób, byśmy mogli się upewnić?

– Pozwól tylko, żebym dostał się do sterowni – odparł Lando. – Han dokonał kilku ulepszeń i przeróbek, o których nie wie nikt oprócz mnie i niego.

Kiedy Doole wrócił, Lando oświadczył:

– Mój doradca chce mieć pewność, że utrzymujecie te statki w odpowiednim stanie. Jeżeli się okaże, że o nie dbasz, twoja flota obronna nie będzie wiele warta. Chcielibyśmy sprawdzić jakiś wybrany na chybił trafił... o, powiedzmy, tamten koreliański frachtowiec.

Doole sprawiał wrażenie zaskoczonego. Popatrzył na „Sokoła”.

– Tamten? Hmm, mamy wiele innych najnowocześniejszych myśliwców, których stan moglibyście skontrolować. Ten jest czymś w rodzaju... kupy złomu.

Lando pogroził mu palcem.

– Jeżeli ty wybierzesz statek, Moruth, to będzie sprzeczne z zasadami wyrywkowej inspekcji, prawda? Otwórz ten. Nie marudź.

Nie ukrywając, że robi to niechętnie, Doole sięgnął do zewnętrznej dźwigni i, wystukawszy jakiś kod, opuścił rampę. Lando ruszył przodem, za nim szedł Luke i Doole, a pochod zamykał Artoo, który toczył się w górę rampy tak szybko, że niemal najeżdżał na pięty Rybeta.

Gdy Lando znalazł się w środku, natychmiast skierował się do sterowni pod pozorem sprawdzenia wszystkich systemów. Przebierając czule palcami po zardzewiałych powierzchniach, wyslizganych od ciągłego używania, wcisnął kilka przełączników.

– Wygląda na to, że stabilizatory strumienia jonów funkcjonują prawidłowo, podobnie jak generator pola stacjonarnego – oznajmił. – Czy nie powinniśmy teraz zobaczyć przetwornika mocy? Te urządzenia niemal zawsze psują się na tych koreliańskich frachtowcach.

Lando wyszedł ze sterowni i wąskim korytarzem udał się do centralnej części statku. Skręcił w lewo w stronę opuszczonej rampy, następnie postawił stopę na płycie głównego pokładu. Usiadł za pulpitem sterowniczym, odblokował zamki ukrytych schowków i nacisnął obcasem odpowiednią płytę, która odskoczyła, ukazując wnętrze tajnej skrytki. Han osobiście zainstalował ją pod pokładem w czasach, gdy przemyślał transporty błyszczostymu.

– Mam cię, Doole, ty draniu! – zawołał, chwytając Rybeta za żółty szal na szyi. – Co zrobiłeś z Hanem i Chewbacą?

Doole sprawiał wrażenie zupełnie zaskoczonego. Zaczął machać wykrzywionymi rękami.

– O co ci chodzi? – zaskrzeczał.

Kiedy Lando zaczął się wpatrywać w jego wielkie oczy, Doole ukradkiem wsunął dłoń do kieszeni kamizelki i wyszarpnął z niej mały pistolet blasterowy. Luke zobaczył to, odruchowo odgiął siłą woli dłoń Rybeta i posłużył się Mocą, by odrzucić Morutha Doole’a jak najdalej od Calrissiana.

Blaster wystrzelił, a śmiertcionośny promień kilka razy odbił się od ścian korytarza „Sokoła”. Doole upadł na plecy, ale niemal natychmiast wstał. Strzelił do obu mężczyzn po raz drugi, lecz nie miał czasu właściwie ustawić soczewek mechanicznego oka i strzał chybił. Rybet odwrócił się i zbiegł po rampie, krzycząc, by zwrócić uwagę strażników. Mechaniczne oko zsunęło się z jego głowy, z brzękiem potoczyło się po kamiennej grocie. Doole rzucił się na kolana i w panice zaczął macać na oślep rękami, starając się je odnaleźć.

Luke uderzył dłonią w przycisk na pulpicie sterowniczym, żeby podnieść rampę i uszczelnić włazy statku.

– Powinniśmy byli zatrzymać go jako zakładnika – powiedział. – Teraz nie wydostaniemy się tak łatwo.

Doole tymczasem wszczął alarm. Jego strażnicy zaczęli biegać po całej grocie, wskakiwać do zaparkowanych statków, wyciągać blastery i wkładać części pancerzy.

– Artoo, dołącz się do komputera! – polecił Luke.

Lando wskoczył na fotel za pulpitem kontrolnym.

– Nie sądzę, byśmy teraz zdołali coś zrobić dla Hana. Musimy powrócić i o wszystkim opowiedzieć Leii. Tylko ona może wysłać na Kessel flotę okupacyjną. Potem przeszukamy to miejsce

skanerem o dużej rozdzielczości.

– Jeżeli odlecimy stąd żywi – rzekł Luke.

– Artoo, dołącz się do gniazda komputera drugiego pilota i przejmij kontrolę nad obwodami bezpieczeństwa hangaru! – zawołał Lando.

Astronawigacyjny robot zapiszczał, sygnalizując gotowość współpracy, i potoczył się ku konsolocie komputera nawigacyjnego.

W hangarze rozległ się jęk syren alarmowych. Ludzie biegali we wszystkie strony, nie wiedząc, co się dzieje. Luke zorientował się natychmiast, że najemnicy mają jeszcze mniej doświadczenia we wspólnych akcjach niż najbardziej rozprężony pułk imperialnych żołnierzy. W chwili jednak, w której Calrissian uniósł statek nad płytę lądowiska, zorientowali się, o co chodzi.

– Artoo, wyłącz pole siłowe blokujące wrota! – krzyknął Lando.

Uruchomił silniki manewrowe, obrócił „Sokoła” dziobem ku wrotom i zaczął nabierać szybkości, przelatując nad zaparkowanymi jednostkami. Ich piloci wskakiwali do kabin i przygotowywali swoje statki do walki. Wydawało się, że załogi dużych statków pozostających na orbicie nie zorientowały się jeszcze w sytuacji.

Luke przyspieszył i skierował frachtowiec ku szerokiej jamie groty, w której było widać przestworza. On i Lando wiedzieli jednak, że najpierw muszą unieszkodliwić niewidoczne pole siłowe. Artoo cicho piszczał i gwizdał, ale dźwięki nie brzmiały obiecująco.

– Wyłącz siłowe pole! – powtórzył Lando.

Końcówka czujnika komputerowego robota zawirowała, kiedy Artoo łączył się z systemem kontrolnym lądowisk hangaru, starając się odgadnąć właściwe hasło.

– Musisz wyłączyć to pole teraz, Artoo! – odezwał się Luke.

Rufowe silniki obudziły się do życia i „Sokół” skoczył ku wrotom, nabierając coraz większej szybkości.

– No, dalej – Lando ponaglił statek. – Potrafisz to zrobić. Zrób to jeszcze raz dla Hana.

Artoo zapiszczał triumfująco na chwilę przedtem, zanim przelecieli przez wrota. Luke skulił się, ale pole siłowe zniknęło w samą porę.

Na pokładach orbitujących wielkich statków zaczęły migać światła alarmowe. Załogi zaczęły uzbrajać systemy bojowe, a komputery celownicze czekały, gotowe do przyjęcia współrzędnych celu.

„Tysiącletni Sokół” poszybował w przestworza, ścigany przez całą sforę kesseliańskich statków.

Rozdział 23

Zgarbiony i odziany w ciemny strój Tol Sivron postanowił odwiedzić Qwi Xux w jej pracowni naukowej. Z cichym świstem nabrał powietrza w płuca, a ogony wyrastające z jego głowy niespokojnie drżały, gdy spoglądał na smukłą i wyprostowaną sylwetkę kobiety. Mimo że był tu dyrektorem, Twi'lek sprawiał wrażenie, że nigdy przedtem nie odwiedzał żadnej pracowni naukowej. Qwi stwierdziła ten fakt z niejakim zdziwieniem, gdyż Sivron był naczelnym administratorem całego kompleksu badawczego.

Przerwała muzyczne obliczenia i odwróciła się, wydając pełen zaskoczenia atonalny skrzek.

– Dyrektorze Sivron! – powiedziała. – Czym mogę panu służyć?

Tol Sivron wymagał od niej zawsze dostarczania na piśmie regularnych raportów, studiów na temat możliwości realizacji rozmaitych pomysłów i sprawozdań z postępów różnych badań. Oprócz tego co tydzień organizował spotkania naukowców, chcąc, by w trakcie szczerzej i twórczej dyskusji mogli dzielić się pomysłami i nawzajem informować o wynikach badań.

Tol Sivron nie miał jednak zwyczaju odwiedzania swoich pracowników.

Tymczasem naczelnny administrator niespokojnie przechadzał się po pracowni. Trącał palcami różne instrumenty, zacierał ręce i spoglądał na standardowe aparaty w taki sposób, jakby widział je po raz pierwszy. W pewnej chwili musnął czubkami zakrzywionych palców kalibracyjny wskaźnik analizatora naprężeń spawalniczych i mruknął do siebie: „Mhm, mhm, doskonała robota”, jakby to sama Qwi wynalazła to pospolite urządzenie.

– Przyszedłem, doktor Xux, by pochwalić cię za pasmo nieprzerwanych sukcesów w pracy – powiedział w końcu, gładząc jeden z cynobrowych głowo-ogonów owiniętych wokół szyi. Później dodał nieco bardziej surowo: – Żywię jednak nadzieję, że już nie będziesz dokonywała ciągłych zmian w projekcie Pogromcy Słońc. Wiesz dobrze, że termin zakończenia prac wyznaczony przez wielkiego moffa Tarkina dawno minął i musimy ukończyć te badania jak najszybciej. Nalegam, byś przedstawiła swój pisemny końcowy raport i uporządkowała całą dokumentację. Dostarcz mi to wszystko do biura, kiedy będziesz mogła.

Zdziwiona Qwi zamruwała powiekami. Przedstawiła przecież już cztery takie „końcowe” raporty, ale za każdym razem Sivron prosił, by przeprowadziła jeszcze jakąś symulację czy zbadała ponownie strukturalne spawy w molekularnym pancerzu Pogromcy. Jej szef nie podał ani razu uzasadnienia tych decyzji i Qwi odnosiła wrażenie, że nawet żadnego z tych dokumentów nie przeczytał. Gdyby to od niej zależało, Pogromca Słońc byłby gotów do użytku przed dwoma laty. Zaczynał już ją nudzić. Bardzo chciała zająć się czymś nowym, co mogłaby zacząć projektować od zera i powrócić do twórczej pracy, która sprawiała jej tyle radości.

– Będzie miał pan ten raport przed wieczorem, panie dyrektorze – powiedziała. Wręczy mu po

prostu kopię tego, który dostarczyła ostatnio.

Po co jest mu to potrzebne? – pomyślała. – Przecież nigdzie się nie wybieramy. Nie cierpiała, kiedy urzędnicy lub wojskowi wtrącali się do jej pracy.

Tol Sivron bez słowa odwrócił się i wyszedł z pracowni.

Qwi patrzyła za nim, a potem uruchomiła rzadko używany zamek drzwi, nie chcąc, by ktoś jej znów przeszkodził. Wróciła do komputerowego terminala i nadal zajmowała się burzeniem widocznego na ekranie muru haseł, które umożliwiały dostęp do różnych baz danych. Mimo wszystko uwielbiała zmagać się z problemami.

Nie potrafiła przestać myśleć o tym, czego dowiedziała się od Hana Solo. Z początku potraktowała jego słowa jako jeszcze jedną zagadkę do rozwiązania, ale później zaczęła zastanawiać się nad nimi trochę bardziej. Wszystkie opracowywane przez nią prototypy rodziły się w jej mózgu jako abstrakcyjne pomysły, a wcielała je w życie dzięki zmatematyzowanej muzyce i błyskotliwej intuicji. Usiłowała wmówić sobie, że nie wie albo nie chce wiedzieć, do jakich celów są stosowane jej wynalazki. Z pewnością mogłaby to odgadnąć, ale starała się tego nie robić. Nic ją to nie obchodziło! Powstrzymywała się od myślenia o takich sprawach. Nie była jednak głupia.

Gwiazda Śmierci miała być wykorzystywana do niszczenia pozbawionych wszelkiego życia, martwych planet, by zapewnić łatwy dostęp do wartościowych surowców ukrytych w ich jądrach. Bardzo dobrze! Czy możliwe, że sama wymyśliła to uzasadnienie po tym, jak ją opracowała? Niszczyciele Światów miały być ogromnymi latającymi fabrykami połykającymi bezużyteczne kosmiczne śmieci i przetwarzającymi je w cenne urządzenia przemysłowe. Doskonale! Tarkin nie odstępował jej ani na krok podczas napięć i stresów, jakie przeżywała podczas tamtego szkolenia. Wiedziała, do czego był zdolny ten straszny człowiek.

A nowy Pogromca Słońc był...

– Co takiego? – zapytał wówczas Han tak głośno, że jego krzyk poraził jej wrażliwe uszy. – Do czego, na ogrom całej galaktyki, mógłby zostać użyty Pogromca Słońc, jeżeli nie do całkowitego niszczenia wszelkiego życia w systemach gwiazdnych, które sprzeciwia się imperialnej władzy? Nie masz nawet najgłupszej wymówki w rodzaju kruszenia skał w kamieniołomach. Pogromca Słońc ma tylko jeden cel: nieść zagładę miliardom niewinnych istot. Nic więcej.

Qwi jednak nie mogła odpowiadać za śmierć tych wszystkich ludzi. To nie należało do jej obowiązków. Ona tylko projektowała, budowała modele, rozwiązywała matematyczne równania, opracowywała dokumentację. Radowało ją odkrywanie tego, co dotychczas uważano za niemożliwe.

Z drugiej strony nie mogła powiedzieć, że nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi... A jednak udawana naiwność stanowiła tak wygodną wymówkę, takie dobre lekarstwo przeciwko wyrzutom sumienia.

W bazach danych Laboratorium Otchłani odnalazła szczegółowy zapis złożonego przez Hana Solo „oświadczenia”, zabezpieczony specjalnym hasłem, które udało się jej bez trudu odgadnąć. Było to kompletne wideofoniczne nagranie, a nie tylko skrót tego, co powiedział. Sivron i Daala naprawdę zataili przed nią wiele szczegółów... Ale dlaczego?

Qwi zapoznała się z całą dokumentacją przesłuchania, nie wierząc własnym oczom. Nigdy nie podejrzewałaby, że informacje wyciągano z Hana w taki sposób! Słowa na papierze wydawały się takie obojętne, a zawarte w nich wiadomości nie wskazywały na to, by uzyskano je przy użyciu brutalnej siły.

Jako profesjonalistka czuła się jednak głęboko oburzona postępowaniem admirała Daali.

Swobodny dostęp do wiedzy powinni przecież mieć wszyscy naukowcy zatrudnieni w laboratoriach. W ciągu dwunastu lat pracy w samym centrum obszaru czarnych dziur jeszcze nigdy nie odmówiono jej informacji. Stało się jednak coś jeszcze gorszego. Nie tylko pozbawiono ją prawa do zapoznania się ze szczegółowym raportem, ale wręcz oszukano ją, usiłując wmówić, że oświadczenie Hana nie zawiera żadnych innych danych.

A przecież informacja jest własnością ogółu! – pomyślała Qwi. – W jaki sposób mogę wykonywać pracę, jeżeli nie mam dostępu do wszystkich materiałów?

Qwi bez trudu pokonywała jedno zabezpieczające hasło po drugim. Wyglądało na to, że nikt się nie spodziewał, że będzie zwracała sobie głowę szukaniem. Zapoznała się z całym raportem. Dowiedziała się z przyprawiającym o mdłości bólem o zniszczeniu Alderaanu, ataku na Yavin Cztery, zasadzce na flotę Rebeliantów w okolicach Endoru i superlaserze Gwiazdy Śmierci, który zamienił wielki statek szpitalny i kilka krążowników Sojuszu w miliardy mikrometeorytów.

„Jak myślisz, do czego miały być użyte twoje wynalazki?” – zapytał Han. Qwi zamknęła oczy, przypomniawszy sobie jego słowa.

Skup się na rozwiązaniu problemu. Te słowa wpajano jej od dzieciństwa. Nie pozwól, żeby twoją uwagę zajęło coś innego. Rozwiązywanie problemów było jedyną liczącą się sprawą. Rozwiązywanie problemów oznaczało przeżycie...

Pamiętała, jak będąc dzieckiem, spędziła dwa lata w sterylnych, cichych pomieszczeniach edukacyjnej sfery orbitującej wokół Omwat, jej macierzystego świata. Qwi liczyła wówczas zaledwie dziesięć standardowych lat, tyle samo co dziewięcioro innych dzieci, z których każde pochodziło z innego osiedla podobnego do plastra miodu. Ze zdziwieniem spoglądała z orbity na nierealne, pomarańczowe i zielone kontynenty. Przesłonięte przez chmury i oszpecone wysokimi górami, w niczym nie przypominały obrazków z pięknych map, które wcześniej oglądała.

W pobliżu edukacyjnej sfery orbitował jednak osobisty gwiazdny niszczyciel Moffa Tarkina. Choć był tylko statkiem klasy victory, miał dostatecznie silne uzbrojenie, żeby szerzyć na Omwat zniszczenie i śmierć, gdyby którykolwiek z uczniów sprawił zawód.

Przez dwa lata życie Qwi było nieprzerwanym pasmem nauki i egzaminów, nauki i egzaminów. Jedynym celem było wtłoczenie całej technicznej i naukowej wiedzy w chłonne umysły omwańskich dzieci, przy czym nikogo nie obchodziło, co przy tej okazji może stać się z wrażliwymi mózгами. Tarkin przeprowadził badania, z których wynikało, że dzieci z Omwat, poddane odpowiednim i długotrwałym ćwiczeniom, są zdolne nauczyć się niezwykłych rzeczy. Przypuszczał, że większość młodych mózgow załamie się, poddana tak silnej presji, ale te, które wytrzymają, będą później świeciły jak drogocenne klejnoty. Moff Tarkin chciał sprawdzić słuszność swojej hipotezy.

Posępny, nieubłagany i zimny jak stal mężczyzna w polowym mundurze miał zwyczaj uczestniczyć w najważniejszych egzaminach i przyglądać się, jak pozostałych kilkoro omwańskich dzieci zmagają się z problemami, wymyślonymi przez najślynniejszych naukowców Imperium. Qwi pamiętała, jak Pillik, jeden z jej kolegów, w czasie któregoś egzaminu nagle upadł w ataku przypominającym apopleksję, głośno krzycząc i trzymając się za głowę. Zanim pochwycili go strażnicy, zdążył tylko ze szlochaniem podnieść się na kolana. Kurczowo trzymał arkusz egzaminacyjny i wołał, że chce dokończyć pracę, ale funkcjonariusze wywlekli go z sali.

Nie odzywając się ani słowem, Qwi i pozostali trzech uczniów podeszli do okna edukacyjnej sfery i przyglądali się, jak turbolasy gwiazdny niszczyciel klasy victory spopiela osiedle Pillika przypominające plaster miodu. Była to kara za niepowodzenie chłopca na egzaminie.

Qwi nie mogła zatem rozpraszać się myśleniem o konsekwencjach. Gdyby przestała się koncentrować, jej znajomi i krewni zostaliby zabici. Musiała wyrzucić z umysłu wszystkie troski. Przedstawione jej problemy były sformułowane jasno i jednoznacznie. Musiała je rozwiązać, bo tego od niej wymagano. Nie mogła pozwolić sobie na myślenie o czymkolwiek oprócz zawartych w nich abstrakcyjnych wyzwania.

W końcu okazało się, że tylko Qwi zdała wszystkie egzaminy i ukończyła pomyślnie całe szkolenie. Nie przekazano jej żadnej wiedzy z zakresu nauk przyrodniczych. Zamiast tego wtłoczono jej do komórek pamięci więcej informacji z takich dziedzin jak fizyka, matematyka i inżynieria konstrukcji. Później Tarkin zabrał ją do Laboratorium Otchłani i oddał pod opiekę genialnego inżyniera, Bevela Lemeliska. Od tamtego czasu nie opuściła placówki naukowo-badawczej ani razu.

Problemy należało rozwiązywać dlatego, by doskonalić techniki postępowania z nimi. Gdyby pozwoliła sobie na zaprzętanie umysłu uczuciami, mogłyby wydarzyć się straszne rzeczy. Przypomniła sobie obrazy płonących omwańskich osiedli widocznych z orbity jako migotliwe odległe ogniska. Wiedziała, że tam, w dole, szaleją pożary wzniecone przez laserowy promień, które pochłaniają sawanny jej rodzinnego świata – ale musiała zmodyfikować jeszcze wiele projektów, dokonać tylu skomplikowanych obliczeń.

Dla spokoju sumienia obarczała odpowiedzialnością innych. Nie mogła jednak udawać przed sobą, że nie wie, iż stworzyła konstrukcje, które w bezpośredni sposób spowodowały zagładę całych cywilizacji i zniszczenie wielu zamieszkanego światów. Dysponując Pogromcą Słońc, mogła za naciśnięciem guzika unicestwić całe gwiazdne systemy.

Qwi Xux musiała przemyśleć wiele spraw, ale nie wiedziała, od którego miejsca powinna zacząć. Ten problem należał do grupy całkiem innych, których nigdy dotąd nie rozwiązywała.

Chewbacca stał jak posąg, nie zgadzając się wrócić do pracy i prowokując pogromcę do użycia elektrycznego bicia.

Pogromca dał się sprowokować.

Chewbacca ryknął, czując, jak jego ciało przeszywa ostry ból, a nerwy zaczynają spazmatycznie drgać pod wpływem wyzwolonego ładunku elektrycznego. Uniósł nad głowę włochate ręce, płonąąc żądzą oderwania wszystkich kończyn pulchnego, pogodnego mężczyzny od jego baryłkowatego ciała.

Czternastu szturmowców natychmiast wymierzyło w Chewiego blastery.

– Czy wrócisz dobrowolnie do pracy, Wookie, czy mam zwiększyć dawkę mocy o kilka działek?

Spoglądając obojętnie na Chewbaccę, pogromca znacząco poklepał rękojeść elektrycznego bicia. Błada, ziemista cera mężczyzny sprawiała wrażenie, jakby od dawna nie pulsowała krew pod jego skórą.

– W każdej innej chwili, Wookie, ujarzmienie ciebie sprawiłoby mi wielką radość – ciągnął. – Przebywam tu od czternastu standardowych lat i przez cały czas mam do czynienia z gromadą takich niewolników jak ty. Kilku Wookiech zginęło przy tej okazji, ale poskromiłem wszystkich. Słuchają teraz moich rozkazów i bez szemrania wykonują każdą pracę. Admirał Daala nalegała jednak, żeby do czasu jutrzejszej mobilizacji wszystko zostało zapięte na ostatni guzik.

Machnął skwiercząca zieloną końcówką bicia przed twarzą Chewbaccy, osmalając w jednym miejscu futro. Wookie cofnął czarne wargi, odsłaniając kły, i warknął.

– Nie zamierzam się teraz bawić z tobą – odezwał się pogromca. – Jeżeli chcesz mnie zmusić, bym na podporządkowanie ciebie marnował cenny czas, po prostu wyrzucę cię w przestworza.

Zrozumiałeś?

Chewbacca zastanawiał się, czy nie ryknąć prosto w twarz mężczyzny, ale zorientował się, że tamten mówi śmiertelnie poważnie. A on musiał żyć przynajmniej tak długo, by dowiedzieć się, co dzieje się z przyjacielem. Kiedyś Han uwolnił Chewbaccę z rąk handlarzy niewolników, uratował mu życie. Cicho mruknął na znak, że rozumie.

– To dobrze. A teraz wracaj do tego szurmowego wahadłowca! – rozkazał pogromca.

Chewbacca miał na sobie roboczy kombinezon, w którego kieszeniach było miejsce na przyrządy do diagnozowania silnika i hydrauliczne klucze. Wookie zorientował się już dawno, że żadne z tych narzędzi nie nadaje się, by zastosować je w charakterze broni.

Szurmowy wahadłowiec klasy Gamma zajmował większą część lądowiska dolnego hangaru „Gorgony”. Chewbacca miał przy sobie przenośny komputer z uwidocznionymi na ekranie konfiguracjami obwodów emitera promienia ściąającego i generatorów pól deflektorów. Testowaniem takich urządzeń zajmował się na innych statkach, a dzięki licznym przymusowym naprawom, których musiał dokonywać razem z Hanem, aparaturę „Sokoła” znał wręcz na wylot. Spoglądając na schemat na ekranie komputera, mógł bez trudu naprawiać przestarzałe imperialne urządzenia, liczące dziesiątki lat.

Przeszedł na rufę szurmowego wahadłowca. Zaczął sprawdzać dysze wylotowe głównych generatorów ciągu i niechętnie skontrolował zamocowanie podstawy laserowego działka. Poręczny właz w dziobowej części statku umożliwiał przedostanie się do pomieszczeń załogi, ale Chewbacca wybrał trudniejszy sposób: otworzył jedne ze składanych drzwi i przecisnął się przez nie. Zwykle podczas ataku w kosmosie tą drogą wydostawali się szurmowcy odziani w antygravitacyjne pancerze.

Kiedy znalazł się w środku, miał dostęp do urządzeń pokładowych i aparatury. Mógł majstrować przy modulatorach mocy i obwodach systemów regeneracji powietrza i wody. Powstrzymał się jednak od wyszarpięcia ze środka całych wiązek przewodów i roztrzaskania płytek. Dobrze wiedział, że pogromca natychmiast by go zabił, a poza tym dzięki takiemu prymitywnemu sabotażowi nie uzyskałby właściwie niczego. Przecież w trakcie przedstartowej kontrolnej procedury zostałyby wykryte nawet niewielkie uszkodzenia.

Wewnątrz urządzonej po spartańsku części wahadłowca, przeznaczonej dla pasażerów, znajdowały się ławki dla szurmowców i rzędy bez przerwy zasilanych szafek, w których przechowywano ich nieporęczne antygravitacyjne pancerze. W górnej części dziobu Chewbacca sprawdził działanie sterowniczej konsoly, a także upewnił się o sprawności zespołu bliźniaczych nawigacyjnych komputerów... i pomyślał o wyrwaniu foteli, na których miało siedzieć wszystkich pięciu oficerów statku.

Na zewnątrz wahadłowca, w hangarze „Gorgony”, gruby pogromca Wookiech krzyczał i strzelał z bicia. Chewbacca poczuł falę gniewu, słysząc jęki bólu innych terroryzowanych niewolników. Nie wiedział nic o swoich towarzyszach niedoli. Zamknięto go w oddzielnej celi i zabroniono prowadzenia jakichkolwiek rozmów. Chewbacca zastanawiał się, od jak dawna nieszczęśliwi, wycieńczeni niewolnicy nie dotykali gałęzi drzew ojczystego świata.

– Do pracy! – wrzasnął pogromca. – Macie dzisiaj jeszcze wiele roboty! Na samej „Gorgonie” trzeba sprawdzić prawie trzysta statków!

Chewbacca orientował się, że na pokładach pozostałych trzech gwiazdnych niszczycieli znajdują się takie same ilości myśliwców typu TIE, kanonierek i szurmowych wahadłowców.

Zacisnął palce na pokrywie otwartego luku, co spowodowało jej wygięcie. Bardzo chciałby wiedzieć, dlaczego admirał Daala zaczęło się tak nagle spieszyć.

Qwi Xux nie lubiła być eskortowana przez szturmowców. W ciągu wielu lat, spędzonych w Laboratorium Otchłani, nauczyła się ignorować obecność żołnierzy przechodzących korytarzami jak manekiny w białych pancerzach czy wykonujących bezsensowne, nie kończące się manewry i ćwiczenia. Kiedy czegoś się nauczyła, nie musiała tego ciągle ćwiczyć, ćwiczyć, ćwiczyć. Nie zwracała uwagi na szturmowców do chwili, kiedy do jej pracowni wkroczył cały oddział z rozkazem, że ma się udać z nimi.

Zaledwie kilka chwil wcześniej przestała bezprawnie korzystać z baz danych i odblokowała zamek drzwi pracowni. Nie miała powodu sądzić, że szturmowcy coś podejrzewają, ale mimo to poczuła się niepewnie.

Kiedy wyszli na wyłożony płytkami korytarz, szturmowcy otoczyli ją ochronnym kordonem.

– Dokąd mnie zabieracie? – zdołała w końcu wykrztusić.

– Admirał Daala chce się z panią widzieć – odparł kapitan. Jego zniekształcony głos wydobywał się z głośnika hełmu.

– Aha. Z jakiego powodu?

– Będzie musiała pani zapytać ją o to sama.

Qwi przełknęła zimną kluchę, która utkwiała w jej gardle, i znów zwróciła się do kapitana, starając się nadać głosowi wyniosłe brzmienie:

– Dlaczego nie mogła sama przyjść do mojej pracowni?

– Ponieważ admirał Daala jest osobą bardzo zapracowaną.

– Ja też jestem osobą bardzo zapracowaną.

– Admirał Daala jest naszym dowódcą – odparł kapitan. – Pani nie jest.

Qwi zrezygnowała z zadawania dalszych pytań. W milczeniu przeszła zamkniętym korytarzem wiodącym do sąsiedniej asteroidy, a stamtąd na lądowisko, na którym czekał na nich niewielki wahadłowiec.

Kiedy znaleźli się na pokładzie „Gorgony”, Qwi nie mogła się powstrzymać, by nie rzucić na prawo i lewo pełnych podziwu spojrzeń. Chociaż ogromne statki wisiały na niebie nad Laboratorium Otchłani, odkąd mogła sięgnąć pamięcią, rzadko miała okazję na nich bywać. Eskorta zaprowadziła ją prosto na mostek.

Trapezoidalna wieżyczka dowodzenia wznosiła się wysoko nad głównym kadłubem mającym kształt grota strzały. Zapewniało to panoramiczny widok na wszystkie segmenty statku. Qwi przystanąła przed dziobowym iluminatorem i zapatrzyła się na połączoną w jedną część gromadę skalistych asteroid, tworzących Laboratorium Otchłani. Na chwilę przypomniała sobie, jak kiedyś spoglądała z orbitującej edukacyjnej sfery na zniszczenia omwańskich miast, dokonane przez Moffa Tarkina...

Na stanowiskach bojowych krzatali się żołnierze, jakby cała załoga statku była w trakcie ważnych ćwiczeń. Korytarzami maszerowały oddziały szturmowców. W powietrzu krzyżowały się przekazywane przez interkom meldunki i rozkazy. Qwi zastanawiała się, jakim cudem żołnierze mogą się tak spieszyć po spędzeniu dziesięciu lat w całkowitej beczynności.

Admirał Daala stała przy konsolce dowodzenia i wpatrywała się w chmury gazów wirujące w śmiertelnościami tańcu, odcinające ją od reszty galaktyki. Qwi spojrzała na jej kształtną, szczupłą

sylwetkę, otoczoną aureolą kasztanowych włosów, które niczym żywy płaszcz spływały na jej plecy. Kiedy Daala odwróciła się, niektóre pasma pozostały na poprzednim miejscu, podczas gdy inne łagodnym łukiem przesunęły się i skryły za jej plecami.

– Chciała się pani ze mną widzieć? – zapytała Qwi. Jej piskliwy głos lekko drżał mimo wysiłków, jakie czyniła, żeby zapanować nad nerwami.

Daala patrzyła na nią przez chwilę, a Qwi odniosła wrażenie, że umieszczono ją pod lupą, jakby przygotowywano ją do sekcji. Wyglądało na to, że dopiero po chwili Daala ją rozpoznała.

– Ach! To ty jesteś Qwi Xux, odpowiedzialna za opracowanie projektu Pogromcy Słońc? – zapytała.

– Tak jest, pani admirał. – Qwi na krótką chwilę przerwała, a później zaryzykowała pytanie: – Czy zrobiłam coś niewłaściwego?

– Nie wiem. A zrobiłaś? – odparła Daala, a potem odwróciła się do panoramicznego iluminatora i zaczęła spoglądać na pozostałe niszczyciele. – Nie mogę uzyskać od Tola Sivrona jasnej odpowiedzi, a więc powiem to bezpośrednio tobie. Jeżeli masz jeszcze jakieś prace przy Pogromcy Słońc, zakończysz je natychmiast. Mobilizujemy flotę.

Przerażona Qwi Xux nie wiedziała, co powiedzieć, ale Daala zapewne źle zrozumiała jej milczenie.

– Nie martw się. Wyrażę zgodę na każdą pomoc, jakiej zażadasz, ale wszystkie prace muszą zostać zakończone najpóźniej jutro. I tak miałaś na to dwa lata więcej, niż udzielił ci wielki moff Tarkin. Czas najwyższy, by Pogromca Słońc zaczął w końcu pełnić służbę.

Qwi głęboko odetchnęła, czując, jak w jej głowie zaczyna wirować tysiące myśli.

– Ale dlaczego teraz? – zapytała. – Skąd nagle taki wielki pośpiech?

Daala odwróciła się ku niej z kwaśnym wyrazem twarzy.

– Otrzymaliśmy nowe informacje. Na zewnątrz Otchłani dogorywa Imperium, a więc nie możemy dłużej siedzieć z założonymi rękami. Mamy cztery gwiazdne niszczyciele – całą flotę, o której nie wiedzą Rebelianci. Prototyp Gwiazdy Śmierci nie nadaje się do lotów w nadprzestrzeni, a więc nie możemy go wziąć ze sobą, ale będziemy mieli twojego Pogromcę Słońc. Twojego wspaniałego Pogromcę Słońc. – W oczach admirał Daala zalśniło odbicie wirujących chmur rozżarzonych gazów. – A mając go, będziemy mogli zniszczyć jeden system gwiazdny Nowej Republiki po drugim.

Wszystkie ostrzeżenia Hana rozbrzmiały w umyśle Qwi niczym głośnie krzyki. Okazało się, że każde jego słowo było szczerą prawdą.

Daala pozwoliła jej odejść, a Qwi potknęła się, gdy szturmowcy eskortowali ją w drodze powrotnej do czekającego wahadłowca. Pomyślała, że musi podjąć decyzję znacznie wcześniej, niż się spodziewała.

Rozdział 24

Przed oczami Leii siedzącej w swoim apartamencie przesuwały się nazwy różnych planet. Obok nich były wypisane dane statystyczne i demograficzne, a także informacje o surowcach – neutralne materiały, które musiała poznać i przeanalizować, żeby podjąć właściwą decyzję. Większość światów od razu dyskwalifikowała, a inne oznaczała jako warte głębszego namysłu. Na razie żaden nie wydał się jej idealnym miejscem na zorganizowanie akademii Luke’a.

Nową Republikę tworzyło tyle planet, że spełnienie jego prośby nie powinno wydawać się czymś skomplikowanym. Wybrała Dantooine jako nowe miejsce dla kolonistów z Eol Sha, dlaczego więc znalezienie miejsca na uczelnię Jedi było takie trudne?

Po spotkaniu z pierwszymi dwoma kandydatami Luke’a i przekonaniu się, jacy są niezwykli, Leia sądziła, że szkolenie ich musi być dokonywane w całkowitej izolacji. Poprzedniego dnia ponownie odbyła rozmowę z Gantorisem i Streenem i z zakłopotaniem stwierdziła, że obaj czują się osamotnieni i przygnębieni. Gdyby tylko Luke mógł wrócić jak najszybciej... rzecz jasna, z Hanem!

Kiedy rozważała różne możliwości, przypomniawszy sobie, jak Yoda szkolił Luke’a na pełnej bagien planecie Dagobah, świecie całkowicie pozbawionym wszelkich innych inteligentnych istot. Przypuszczała, że jej brat pragnąłby znaleźć podobne miejsce na szkolenie swoich kandydatów.

No dobrze, a więc może Dagobah? – pomyślała, dotykając dolnej wargi końcem wskazującego palca. Mokradała ukrywały Yodę przez całe stulecia, a planeta znajdowała się z daleka od najbardziej uczęszczanych galaktycznych szlaków... ale na Dagobah nie było odpowiednich pomieszczeń. Luke i jego uczniowie musieliby wznosić budynki akademii od fundamentów. Gdyby zmobilizowała specjalistów Nowej Republiki, mogłaby sprawić, że wzniesiono by je bardzo szybko... ale nie wiedziała, czy to byłoby najlepsze rozwiązanie. Miała wrażenie, że odpowiednie miejsce pozwoli znaleźć się samo. Ponieważ odrodzenie zakonu Jedi było takie ważne, Luke wybrałby właściwą planetę bardzo starannie. Leia jeszcze się nie zdecydowała.

Odezwał się brzęczyk interkomu. Chociaż nie minęło jeszcze południe, Leia straciła rachubę, ile razy jej przeszkadzano. Z westchnieniem postanowiła odebrać wiadomość. Na ekranie ujrzała twarz jeszcze jednego młodszego stopniem urzędnika.

– Pani minister – odezwał się młody człowiek. – Przepraszam, że przeszkadzam pani w domu, ale chcielibyśmy, żeby podjęła pani decyzję w sprawie rodzajów potraw, jakie mamy podać podczas uroczystego bankietu dla delegacji Bimmini. Termin podjęcia tej decyzji upływa właśnie dzisiaj. Do wyboru są filety z polędwicy zwierząt roślinożernych, medaliony z nerfa udekorowane słodkimi grzybami, opiekane na ruszcie mięso rosołapa...

– Wybieram medaliony z nerfa – odparła. – Bardzo dziękuję!

Wyłączyła urządzenie, a potem chcąc uspokoić nerwy, kilka razy głęboko odetchnęła, zanim

powróciła do długiej listy planet.

Usłyszała dobiegający z komnaty sypialnej płacz Jacena, któremu po chwili zawtórowała jego siostra. Threepio zaczął mrużyć uspokajająco, a potem zaintonował jakąś kołysankę, ale dzieci rozplakały się jeszcze głośniejsze. Leia nie mogła się zdecydować, czy powinna pobiec do pokoju dzieciennego, by przekonać się sama, o co chodzi, czy raczej woli zamknąć drzwi sypialni, żeby móc skupić się w spokoju i ciszy.

Następnego ranka po przyjęciu caridańskiej delegacji w ogrodach botanicznych Gwiezdnej Kopuły okazało się, że bliźnięta są przeziębione. Chorobie towarzyszyła niewielka gorączka, zaczerwienienie gardła i złe samopoczucie objawiające się kapryszaniem dzieci. Były to typowe symptomy lekkiego zaziębienia, które bez wątplenia w ciągu kilku lat będą powtarzały się u dzieci. Mimo to Leia nie chciała pozostawiać bliźnięt tylko pod opieką Threepia.

Protokolarny android po nieznacznym zmodyfikowaniu programów doskonale radził sobie z opiekowaniem się dwulatkami, ale Leia czuła wyrzuty sumienia. Mimo wszystko była przecież ich matką. Choć związane z tym faktem obowiązki były dla niej całkiem nowe, nie chciała, żeby przez cały czas o dzieci troszczył się android, bez względu na to, jak bardzo kompetentny po przeprogramowaniu. Jej dzieci i tak spędziły zbyt dużo czasu z Winter. Leia chciała wynagrodzić im ten okres rozłąki – jeżeli pozwolą jej na to polityczne obowiązki!

Zanim jednak zdążyła wyświetlić na ekranie nazwę następnej planety, jeszcze raz usłyszała brzęczenie interkomu.

– O co chodzi? – odezwała się, usiłując zmobilizować resztki uprzejmości. Nie rozpoznała twarzy obcej istoty, ale zorientowała się, że jej rozmówca pełni jakąś administracyjną funkcję.

– Ach, pani minister, mówię z biura pomocnika zastępcy ministra przemysłu. Powiedziano mi, że może będzie pani mogła zasugerować, jaki rodzaj muzyki będzie najlepszy podczas ceremonii powitalnej delegata Ishi Tibów.

Na chwilę Leia przypomniała sobie chwile, kiedy była uwięziona w pałacu Jabby Hutta. Podobny do ślimaka szef gangsterów nie żądał wówczas od niej niczego więcej poza tym, by siedziała i demonstrowała swoją urodę.

Ledwo zdążyła skończyć rozmowę, w interkomie odezwał się głos admirała Ackbara. Chociaż Leia lubiła Kalamarianina, z trudem utrzymała nerwy na wodzy. Jakim cudem miała rozwiązać problem, jeśli ciągle jej przeszkadzano?

– Dzień dobry, admirale – powiedziała. – W czym mogę pomóc, byle szybko? Właśnie jestem w trakcie załatwiania dość skomplikowanej sprawy.

Ackbar z wdziękiem kiwnął głową i, chcąc okazać się dobrze wychowanym, przemieścił wielkie, rybie oczy na przód twarzy.

– Oczywiście, Leio – powiedział. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale uprzejmie chciałbym prosić o uwagi na temat tekstu przemówienia, który właśnie napisałem. Jak pamiętasz, mam wygłosić je jutro podczas zebrania gabinetu, a ty zgodziłaś się dostarczyć mi dane o zmianach stref rozmieszczenia ambasad w zniszczonej części Imperial City. Prawdę mówiąc, napisałem ten tekst, nie dysponując twoimi informacjami, ale muszę otrzymać je jeszcze dzisiaj. Zazaczyłem wyraźnie miejsca, w których powinny być wstawione. Czy mogłabyś...

– Naturalnie, admirale, Przykro mi, że nie przywiązywałam do tego większej wagi. Proszę, zechciej przesłać tekst przemówienia na adres mojej osobistej sieci, a ja zaraz się do tego zabiorę. Obiecuję.

Ackbar kiwnął głową o łososiowej barwie.

– Dziękuję ci i jeszcze raz przepraszam za zakłócenie spokoju. Teraz pewnie będziesz chciała wrócić do poprzedniej pracy.

Kiedy nadał sygnał zakończenia rozmowy, Leia nie potrafiła zrobić niczego innego poza siedzeniem z zamkniętymi oczami i liczeniem na choćby kilka chwil spokoju i ciszy. Wiedziała jednak, że w takich momentach zaczyna za bardzo martwić się losem Hana...

Odezwał się kurant przy drzwiach wejściowych. Leia podskoczyła i omal nie krzyknęła.

W drzwiach stanęła Mon Mothma, odziana w powiewną białą szatę.

– Witaj, Leio – powiedziała. – Pozwolisz, że wejde?

Leia zająknęła się, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

– Uhm... oczywiście – odparła.

Mon Mothma nigdy przedtem jej nie odwiedzała, a nawet nie zdradzała najmniejszej chęci złożenia jej wizyty o charakterze towarzyskim. Spokojna i charyzmatyczna przywódczyni Nowej Republiki zawsze starała się zachowywać dystans wobec swoich pracowników.

Podczas posiedzeń Senatu we wczesnym okresie rebelii Mon Mothma bardzo często toczyła słowne pojedynki z Bailem Organa, przybranym ojcem Leii. Mon Mothma była wówczas niedoświadczonym politykiem, entuzjastką szybkich i radykalnych zmian, a jej wystąpienia wprawiały w przerażenie wytrawnego i nieco cynicznego senatora, jakim był Bail Organa. W końcu jednak oboje połączyli siły, żeby przeciwstawić się dążeniom senatora Palpatine'a, który chciał zostać prezydentem. Kiedy im się to nie udało, a Palpatine ogłosił się Imperatorem, Mon Mothma zaczęła przebąkiwać o jawnym buncie. Przerażony Bail Organa do czasu masakry na Ghormanie nie widział takiej potrzeby, ale w końcu zdał sobie sprawę z tego, że republika, której przez tyle lat wiernie służył, przestała istnieć.

Śmierć Baila Organa i zniszczenie Alderaanu wywarły na Mon Mothmie głębokie wrażenie. Przywódczyni Nowej Republiki nie okazywała jednak nigdy, że chciałyby się zaprzyjaźnić z przybraną córką dawnego politycznego rywala.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytała Leia.

Mon Mothma rozejrzała się po prywatnym apartamencie Leii, zatrzymując spojrzenie na wiszących na ścianach panoramicznych widokach Alderaanu: porośniętych trawą równinach, podziemnych osiedlach i miastach sprawiających wrażenie organicznych. Wydawało się, że jej oczy zwilgotniały.

– Dowiedziałam się, że twoje dzieci zachorowały, i przyszedłam, by pocieszyć cię i zaproponować pomoc. – Utkwiła spojrzenie w twarzy Leii. – Dowiedziałam się też, że Han i Chewbacca nie powrócili jeszcze z wyprawy na Kessel. Bardzo żałuję, że starałaś się to przede mną ukryć. Czy mogłabym ci w czymś pomóc?

– Nie – odparła Leia ze spuszczoną głową. – Lando Calrissian i mój brat, Luke, już tam polecili, żeby zorientować się, co się stało. Mam nadzieję, że wkrótce otrzymam od nich jakieś wieści.

Mon Mothma kiwnęła głową.

– Chciałabym także pochwalić cię za wspaniałą pracę, jaką wykonujesz dla Nowej Republiki, choć być może „pocieszyć” byłoby bardziej odpowiednim słowem.

Leia nie potrafiła ukryć zdziwienia.

– Wizyta ambasadora Furgana zakończyła się przecieź katastrofą!

– A czy sądzisz, że ktokolwiek inny poradziłby sobie z nim lepiej niż ty? – Mon Mothma

wzruszyła ramionami. – Spisałaś się naprawdę na medal. Niektóre bitwy po prostu nie mogą być wygrane. Jeżeli wziąć pod uwagę galaktyczny galimatias, jakiego mogliby narobić Caridanie, uważam, że oblanie mnie zawartością kieliszka było stosunkowo mało istotnym incydentem.

Leia uśmiechnęła się niewyraźnie, ale musiała przyznać jej rację.

– Gdybym tylko umiała znaleźć planetę, na której można byłoby urządzić akademię Luke’a, poczułabym, że naprawdę zaczynam wychodzić z tego grzęzawiska.

– Ja także o tym myślałam. I to od chwili, w której Luke wygłosił tamto pamiętne przemówienie. Wydaje mi się, że znalazłam rozwiązanie.

Ciemne oczy Leii rozszerzyły się ze zdumienia.

– Naprawdę?

Mon Mothma wskazała na stojący w salonie Leii terminal komputerowy.

– Czy mogę? – zapytała.

Leia gestem zaprosiła ją, by zajęła miejsce przed klawiaturą urządzenia. Mon Mothma, choć przez całe życie zajmowała się polityką, potrafiła przeglądać bazy danych. Było jasne, że prowadzenie poszukiwań na własną rękę nie sprawia jej trudności.

Kiedy krajobrazy nowej planety skryształizowały się w przestrzeni projekcyjnej, Leia poczuła, jak przenika ją dreszcz podniecenia. W jej sercu zaczęła narastać pewność, że to właśnie jest ta odpowiednia planeta. Była ciekawa, jakim cudem mogła przeoczyć coś tak oczywistego.

– Pomyśl tylko – powiedziała Mon Mothma z uśmiechem. – Ma wszystko, czego Luke mógłby potrzebować... odosobnienie, łagodny klimat, budynki i umocnienia.

– Jest wspaniała! – wykrzyknęła Leia. – Naprawdę nie wiem, dlaczego sama o niej nie pomyślałam.

Rozległo się następne brzęczenie interkomu.

– Tak? – warknęła Leia na rozmówcę. Zdawała sobie sprawę z tego, że powinna być bardziej opanowana, ale cały zasób jej cierpliwości właśnie się wyczerpał. Mon Mothma siedziała przy terminalu, spoglądając na Leię i pozostając poza zasięgiem pola widzenia urządzenia.

Rozmówca Leii także nie bawił się w uprzejmości.

– Musimy mieć ten raport natychmiast, pani minister – oświadczył. – Komitet do spraw śmieci na orbicie rozpatruje w tej chwili problem oczyszczenia przestworzy wokół Coruscant. Dzisiaj rano miała pani wziąć udział w naszym zebraniu...

Leia rozpoznała interesanta. Był nim funkcjonariusz o nazwisku Andur, zastępca przewodniczącego komitetu.

– Mój sekretarz odwołał wszystkie moje dzisiejsze spotkania i zebrania – powiedziała. – Przykro mi, że nie mogłam uczestniczyć w posiedzeniu waszego komitetu.

– Przekazano nam informację o tym, że pani nie przyjdzie, ale nie otrzymaliśmy pani raportu. Obiecała pani napisać krótką opinię i w czasie dzisiejszego zebrania rozpowszechnić ją pośród członków komitetu. Ten termin dawno minął! Nowa Republika nie może przestać funkcjonować tylko dlatego, że pani dzieci zachorowały.

Widząc przed oczami czerwone plamy, Leia wyobraziła sobie, że stoi w pałacu Jabby, ścisła w dłoni pulsujący termiczny detonator i czeka, aż jego wybuch zabije ich wszystkich. Pięć, cztery, trzy, dwa...

W jakiś sposób zdołała zapanować nad sobą. Możliwe, że spędzenie całego dnia w towarzystwie ambasadora Furgana sprawiło, że nie była taka wrażliwa.

– Mogę być ministrem stanu, panie Andur, ale jestem także matką – powiedziała. – Muszę wypełniać dobrze i jedno, i drugie obowiązki. Nie mogę zaniedbywać jednych kosztem drugich. Moje dzieci potrzebują mnie teraz. Komitet może poczekać.

– Byłoby nam znacznie łatwiej zakończyć obrady, gdyby była pani tu, razem z nami, zamiast w domu, bawiąc się w niańkę. Czy naprawdę nie mogła pani wynająć medycznego androida, by zatroszczył się o zakatarzone nosy dzieci? Zajmujemy się bardzo poważną sprawą mającą wpływ na ruch wszystkich statków przylatujących na Coruscant i odlatujących z planety!

Leia zeszywniała.

– Ja także zajmuję się bardzo ważną sprawą! – odparła. – Jak może pan oczekiwać ode mnie, że będę dbać o całą galaktykę, jeżeli nie potrafię się zatroszczyć nawet o własną rodzinę? Jeżeli zależy panu, bym bezduszenie pełniła obowiązki, nie przejmując się losem ludzi, powinien pan pracować dla Imperium! – Sięgnęła do wyłącznika. – Mój raport dotrze do pana we właściwym czasie, panie Andur!

Przerwała połączenie, zanim jej rozmówca zdążył powiedzieć chociaż słowo.

Zakończyła rozmowę i bezwładnie opadła na fotel automatycznie dostosowujący się do kształtów ciała. Nagle przypomniała sobie o swoim gościu. Zaczerwieniła się, nie potrafiąc ukryć zakłopotania.

– Ten komitet zbiera się co tydzień, a ja nie widzę powodu, dla którego nie mogliby poczekać z tym do następnego posiedzenia – powiedziała, chcąc się usprawiedliwić, chociaż jej głos drżał ze wzburzenia. – Nie dopuściłabym do tego, by z mojego powodu doszło do zerwania naprawdę poważnych negocjacji. Znam swoje obowiązki.

Mon Mothma kiwnęła głową, obdarzając Leię pogodnym, płynącym z głębi serca uśmiechem.

– Oczywiście, że nie dopuściłabys, Leio. Rozumiem cię. Nie przejmuj się tym wszystkim.

Przywódczyni Nowej Republiki popatrzyła na nią, a w jej spojrzeniu było widać coś w rodzaju nowego szacunku, zmieszanego ze zdumieniem.

Leia westchnęła i zapatrzyła się na wizerunek planety, widocznej na ekranie komputerowego terminala.

– Może i ja powinnam tam polecieć i spędzić kilka miesięcy w akademii, kiedy tylko Luke wszystko zorganizuje – powiedziała. – Wiem jednak, że to niemożliwe. Wylecenie z Imperial City na urlop jest mniej więcej tak proste jak wyrwanie się ze szponów czarnej dziury. Cały dzień zajmują mi państwowe sprawy. – Zorientowała się, że narzeka, więc szybko dodała: – Rzecz jasna, odrodzenie zakonu rycerzy Jedi jest sprawą bardzo ważną. Mam zdolność posługiwania się Mocą, podobnie jak bliźnięta. Obawiam się jednak, że intensywne szkolenie jest czasochłonne i będzie wymagało koncentracji – a tego właśnie brakuje mi najbardziej.

Mon Mothma spojrzała na nią poważnie, a potem uścisnęła jej ramię.

– Nie martw się tak – rzekła. – Czeka cię jeszcze wiele innych ważnych zadań.

Rozdział 25

W więziennej celi Han odwrócił się na drugi bok i jęknął. Twarde grzbiety na powierzchni pryczy – nazywał je pasmami udręki – sprawiały, że spanie stawało się koszmarem.

Obudził się i stwierdził, że śniła mu się Leia. Pomyślał, że ten sen był jedyną radością, jakiej doświadczył w ciągu trzech ostatnich tygodni. Do celi przesączało się przyćmione czerwone światło, drażniące źrenice, ale nie zapewniające niezbędnego oświetlenia.

Han zamrugał i otworzył szeroko oczy, słysząc jakiś hałas dobiegający zza drzwi. Zorientował się, że to odgłos butów szturmowców. Po chwili usłyszał także stłumione głosy, a jeszcze później szcęk cybernetycznego zamka, kiedy ktoś wystukał na klawiaturze prawidłową kombinację.

Usiadł, nagle całkowicie rozbudzony. Czuł ból w każdym mięśniu, a umysł wciąż jeszcze miał otepiałą od narkotyków, które zaaplikowano mu w trakcie przesłuchania. Zesztywniał, widząc, jak drzwi celi się otwierają. Nie miał pojęcia, o co może chodzić tym razem, ale miał przeczucie, że nie będzie mu się to podobało.

Do celi wpadło światło z korytarza. Han ujrzał Qwi Xux stojącą obok uzbrojonego szturmowca. Wyglądała na maltretowaną, jakby dręczoną przez wyrzuty sumienia, a Han na ten widok ponuro się uśmiechnął. Miał nadzieję, że nie mogła zasnąć po tym, jak uświadomił jej, do jakich niszczyielskich celów stosowane są jej wynalazki. Zapewne mogła okłamywać siebie, ale nie była w stanie oszukać jego.

– Co, znów przyszłaś porozmawiać ze mną na temat problemów natury moralnej? – zapytał. – Czy sądzisz, że będę grał rolę twojego sumienia?

Qwi skrzyżowała na piersi bladoniebieskie ręce.

– Admirał Daala wyraziła zgodę, bym ponownie cię przesłuchała – odezwała się lodowato, chociaż ruchy jej ciała i gesty klóciły się z jej słowami. Odwróciła się do strażnika, a w słabym świetle korytarza zalśniły jej opalizujące włosy. – Czy zechciałby pan towarzyszyć mi podczas przesłuchania, poruczniku? Obawiam się, że więzień może nie chcieć odpowiadać na pytania.

– Dobrze, pani doktor – odparł strażnik, wchodząc za nią do celi. Szarpnął drzwi, które częściowo zamknęły się za nim.

Kiedy stał odwrócony tyłem, Qwi wyciągnęła z kieszeni roboczego fartucha mały blaster i, nastawiwszy wiązkę światła na ogłuszanie, wymierzyła w strażnika i strzeliła. Drgające kręgi błękitnego światła otoczyły mężczyznę, a później zniknęły, gdy upadał na podłogę.

Han zerwał się na równe nogi.

– Co ty robisz?!

Qwi Xux przeszła nad ciałem leżącego szturmowca. Poprzedniego dnia sprawiała wrażenie istoty bardzo słabej, ale teraz dość pewnie trzymała ciężki blasterowy pistolet w drobnej dłoni.

– Admirał Daala zamierza zmobilizować jutro całą flotę – powiedziała. – Chce zabrać Pogromcę Słońce i swoje cztery gwiazdne niszczyciele, by unicestwić Nową Republikę. Twój przyjaciel Kyp Durron ma zostać stracony jeszcze dzisiaj po południu. – Uniosła brwi podobne do ptasich piórek. – Czy to wydaje ci się wystarczającym powodem, żeby uciec stąd tak szybko, jak możliwe?

Hanowi zakręciło się w głowie. W pierwszej chwili mógł myśleć tylko o tym, że znów zobaczy się z Kypem i Chewbacą, a potem powróci na Coruscant, by połączyć się z Leia i bliźniętami.

– Nie mam żadnych umówionych spotkań, których nie mógłbym odwołać – odparł.

– To dobrze – oświadczyła Qwi. – A pytania?

– Nie, przyzwyczaiłem się już robić takie rzeczy – powiedział.

Kyp wyczuwał w powietrzu różnicę – pierwszy dowód na to, że jego wysiłki mające na celu zogniskowanie Mocy zaczynają odnosić jakiś skutek. Prześledził każdą najdrobniejszą zmianę powietrznych prądów, zauważając zmiany intensywności zatęchłych woni i wsłuchując się w miriady delikatnych odgłosów, jakie były przewodzone przez metalowe ściany.

Sięgnął myślą do niewidzialnych pajęczyn Mocy i w pewnej chwili wyczuł fale myśli strażników, którzy właśnie przechodzili tuż obok drzwi jego celi. Za każdym razem, kiedy wsuwano przez otwór w drzwiach tacę z jedzeniem, czuł ukłucie bólu. Teraz jednak natężenie tych odczuć wyraźnie wzrosło. Cały statek przebiegało delikatne drżenie świadczące o zwiększonej aktywności, podnieceniu, napięciu.

Coś miało się wydarzyć.

Gdy powrócił myślami do własnego umysłu, zrozumiał nagle smutną prawdę wykręcającą jego wnętrze. Ze strażnika, ustawionego przy jego drzwiach w okresie, kiedy niemal nic się nie działo, emanowała teraz fala silnych emocji. Bez względu na to, do czego przygotowywały się załogi gwiazdnych niszczycieli, Kyp Durron nie miał brać w tym udziału. Młodzieniec z kopalni przyprawy na Kessel nie znał żadnych cennych informacji i oprawcy nie mieli powodu pozostawiać go przy życiu.

Admirał Daala nie tylko postanowiła go zabić, ale nawet podjęła decyzję, kiedy to się stanie. Nie zostało mu dużo czasu. Wargi Kypa wygięły się w gniewnym grymasie. Imperium przez całe życie usiłowało go zgładzić. Wyglądało na to, że w końcu starania te zakończą się powodzeniem.

Kiedy usłyszał za drzwiami celi czyjeś głosy, wyczuł promieniujący z nich niepokój. Umysły tych ludzi były przesycone mrozącymi krew w żyłach planami nagłej śmierci. A on nie mógł się nawet bronić! Starając się nie wpadać w panikę, Kyp przyłożył ucho do zimnego metalu drzwi i próbował uchwycić chociaż pojedyncze słowa.

– ...wyrok ma zostać wykonany dzisiaj po południu.

– ...wiem tego. Mamy... zabrać. Admirał... upoważnienie. Oto ono.

– ...sprzeczne z przepisami. Dlaczego... właśnie jego?

– Sprawdzenie skuteczności broni... cel... nowy pomysł... ważne z punktu widzenia nowego uzbrojenia floty... natychmiast!

– ...potrzebne szczególne... wystarczy normalne upoważnienie.

– Nie... wystarczy!

Rozmowa stawała się coraz głośniejsza, ale mimo to Kyp nie potrafił zorientować się, o czym rozmawiano. Wyglądało na to, że trzy osoby starają się mówić jednocześnie.

Przygotował się, by skoczyć na napastników w chwili, w której otworzą się drzwi jego celi.

Wiedział, że w następnej sekundzie zginie od strzału z blastera, ale w ten sposób przynajmniej to on wybierze chwilę i rodzaj śmierci, a nie Imperium.

– ...sprawdzić... najpierw. Zaczekajcie.

Nagle Kyp usłyszał głuchy łoskot i stłumiony odgłos blasterowego strzału. Jakiś ciężki przedmiot uderzył o metalowe drzwi. Kyp odskoczył w głąb celi, widząc, że ciężka płyta zaczyna się otwierać.

Do środka wpadło ciało martwego strażnika i z klekotem białego pancerza runęło na podłogę. Na wysokości biodra, w spojeniu kruchej zbroi ział osmalony otwór, z którego wydobywała się strużka siwego dymu.

Do celi wszedł inny szturmowiec, nie wypuszczając ciepłego jeszcze laserowego pistoletu. Za nim stała wiotka obca istota płci żeńskiej, wyraźnie wzburzona, choć sprawiająca wrażenie osoby bardzo wątpliwej.

– Mam nadzieję, że uznasz to za wystarczające upoważnienie – odezwał się strażnik, a potem ściągnął hełm.

– Han! – krzyknął Kyp.

– Naprawdę nie cierpię biurokratów – rzekł Han, trącając martwego strażnika czubkiem buta. – Czy myślisz, że zdołasz się wcisnąć w ten pancerz, chłopcze?

– Nie, nie chcę żadnego z tych powolnych! – odezwała się oschle Qwi do otyłego poskramiacza nadzorującego pracę Wookiech. Han z podziwem patrzył przez wąziutką szparę w hełmie szturmowca, jak wrażliwa, delikatna kobieta odgrywa rolę upartej i nieubłaganej badaczki.

Korpulentny mężczyzna obserwował niewolników porośniętych długim futrem, jakby od dawna przywykł do krzyczących na niego rozkapryszonych naukowców. Jego twarz przywodziła na myśl wilgotną bladą glinę.

Han nerwowo poruszył się, czując, że poci się w przyciasnym pancerzu. Hełm co prawda był wyposażony w filtry powietrza, ale wewnątrz cuchnęło zastarzałym potem poprzedniego właściciela. Szturmowcy strzegący Laboratorium Otchłani większość czasu spędzali w pancerzach i możliwe, że wietrzyli i odkażali wnętrza znacznie rzadziej, niż polerowali powierzchnie zewnętrzne.

Nadzorca Wookiech wzruszył ramionami, jakby niecierpliwość Qwi nie robiła na nim wrażenia.

– Ci niewolnicy bardzo ciężko pracują od ponad dziesięciu lat, pani doktor – powiedział. – Czego można się po nich spodziewać?

Han widział, że niemal każdy pracujący w hangarze Wookie ma wyleniałe futro i chodzi zgarbiony, wskutek czego wydaje się tylko niewiele wyższy od człowieka. Niewolnicy wyglądali, jakby wiele lat służalczej pracy zdołało w końcu złamać ich siłę woli.

– Nie chcę słuchać pańskich wymówek – oświadczyła Qwi. Szarpnęła głową, aż pasma jej wiotkich włosów zalśniły perłowym blaskiem. – Nakazano nam ukończyć wszystkie prace przed odlotem floty, a ja muszę mieć Wookiego, który miałby w sobie chociaż trochę energii. Proszę dać mi tego nowego więźnia. Tylko on nadaje się do tej pracy.

– Nie uważam tego za dobry pomysł, pani doktor – odparł nadzorca, marszcząc czoło ziemistej barwy. – Jest niezdyscyplinowany i będzie pani musiała po dwa razy sprawdzać każdą jego pracę. Nie jestem także pewien, czy nie zechce spróbować dokonać jakiegoś sabotażu.

– Nie obchodzi mnie, jak bardzo może być niezdyscyplinowany! – rzuciła oschle Qwi. – Przynajmniej nie zaśnie podczas pracy.

Po przeciwległej stronie hangaru wyłonił się ze szturmowego wahadłowca klasy Gamma wysoki

Wookie. Widocznie zbyt długo przebywał w ciasnym pomieszczeniu, gdyż wyprostował się, przeciągnął i rozejrzał po hangarze. Han zwalczył chęć zerwania hełmu i zawołania Chewbaccy po imieniu. Wookie sprawiał wrażenie gotowego do walki. Było widać, że z trudem powstrzymuje się, żeby nie wpaść w atak samobójczego szału. Zapewne wiedział, że zanim pochwyciliby go szturmowcy, gołymi rękami mógłby zniszczyć pięć czy sześć myśliwców typu TIE. Nadzorca spoglądał na niego z zastanowieniem.

– Mam upoważnienie, podpisane przez samą panią admirał – dodała Qwi, wyciągając zwinięty papier z widoczną pieczęcią Daali.

Han popatrzył na innych szturmowców śledzących całą scenę od drzwi magazynu silników. Nie mógłby się uciec do takiego samego „upoważnienia”, do jakiego odwołał się, uwalniając Kypa z więziennej celi.

Obok Qwi Xux stał Kyp Durrion, nieruchomy jak kłoda w mniejszym z dwóch panczerzy szturmowców. Han wiedział, że chłopak musi być przerażony, ale za każdym razem potrafił brać się w garść i robić, co mu nakazywano. Han poczuł w sercu falę ciepła. Miał nadzieję, że Kyp ucieknie razem z nimi i będzie mógł wieść normalne życie, na jakie zasługuje.

– No dobrze, ale bierze go pani na swoją odpowiedzialność – odezwał się w końcu nadzorca. – Nie będę odpowiadał, jeżeli rozbije czy zniszczy cokolwiek, przy czym każe mu pani pracować.

Zagwizdał i skinął na dwóch szturmowców, żeby przyprowadzili Chewbaccę.

Wookie warknął, nie kryjąc gniewu, i potoczył po hangarze spojrzeniem ciemnych, upartych oczu. Nie rozpoznał Hana, a Qwi Xux widział po raz pierwszy w życiu. Utkwił w obojgu wzrok pełen złości, oburzony, że przydzielono go do nowej pracy.

– Trochę więcej dobrej woli! – krzyknął nadzorca, a później smagnął plecy Wookiego elektrycznym biczem, wypalając dymiącą pręgę w futrze między łopatkami Chewbaccy.

Wookie zawył i warknął, ale jakoś potrafił powstrzymać nerwy na wodzy. Zapewnię dojrzał, jak strażnicy wyciągnęli blastery, by ogłuszyć go, gdyby dostał ataku szału. Han zamarł, zacisnąwszy pięści na tyle, na ile pozwalały mu opancerzone rękawice. Bardziej niż cokolwiek innego chciał wepchnąć do gardła nadzorcy rękojeść bicza wytwarzającą elektryczne impulsy i nastawić przełącznik na największą siłę.

Zamiast tego jednak stał nieruchomo, nie odzywając się ani nie podejmując żadnych kroków. Jak wzorowy szturmowiec.

Całą czwórką opuścili wielki hangar. Nadzorca zignorował ich i podszedł do innych niewolników, na których zaczął wyładowywać złość, wymierzając na prawo i lewo razy elektrycznym biczem. Han miał wrażenie, że jego żołądek zamienia się w kamień.

Tymczasem Chewbacca rozglądał się na boki, jakby szukając możliwości ucieczki. Han liczył na to, że w końcu znajdą się w jakimś ustronnym miejscu, zanim Wookie zdecyduje się rozerwać wszystkich na kawałki.

Drzwi hangaru zamknęły się za nimi i znaleźli się w jaskrawo oświetlonym korytarzu, pomalowanym na białą.

– Chewie! – odezwał się Han, zdejmując hełm szturmowca. Oddychał tak długo zatęchłym powietrzem przepuszczanym przez filtry, że nawet piźmowa woń Wookiego wydała mu się słodka.

Ze zdumienia i radości Chewbacca zabeczał jak koza, a potem, porwawszy Hana, objął go włochatymi rękami i uniósł nad podłogę. Han starał się odzyskać oddech, rad, że chociaż trochę chroni go pancierz szturmowca.

– Postaw mnie! – powiedział, usiłując powstrzymać się od śmiechu. – Jeżeli ktoś nas zobaczy,

pomyśli, że chcesz mnie zabić! Czy to nie idiotyczny powód, by dać się zastrzelić?

Chewbacca zgodził się z Hanem i ostrożnie postawił go na podłodze.

– I co teraz? – zapytał Han, zwracając się do Qwi.

– Jeżeli potrafisz pilotować statek, możemy uciekać – odparła.

Han wyszczerzył w uśmiechu zęby.

– Jeżeli to nasz jedyny problem, już jesteśmy wolni. Potrafię pilotować każdy statek, daj mi tylko szansę!

– No to wynośmy się stąd – rzekła. – Mamy na to coraz mniej czasu.

Kiedy znaleźli się znów na pokładzie wahadłowca i wzięli kurs powrotny do Laboratorium Otchłani, Han nie mógł zadawać żadnych pytań. W otoczeniu innych szturmowców, zajmujących się własnymi sprawami, ani on, ani Kyp nie mogli rozmawiać z Qwi. Wyglądało na to, że towarzyskie rozmowy były zabronione.

Qwi kręciła się nerwowo, spoglądając na ściany wahadłowca i małe okna, za którymi kłębiące się śmiercionośne gazy skrywały tajemne bezpieczne szlaki. Mogli nimi polecieć – rzecz jasna, gdyby udało im się uciec.

Han rozpaczliwie chciał zobaczyć się z Leią i bliźniętami. Myślał o nich niemal bez przerwy, nawet teraz, kiedy całą uwagę powinien poświęcać grożącym niebezpieczeństwom. Aż do bólu chciał znów znaleźć się w ramionach żony, choć myślenie o niej kiedy miał na sobie pancerz szturmowca, wydawało mu się czymś niestosownym.

Obok niego siedział Kyp, także w pancerzu szturmowca. Nie można było zorientować się, o czym myśli, ale wąskie szczeliny jego hełmu nieustannie kierowały się w stronę Hana, jakby Kyp szukał u niego poparcia. Han bardzo chciałby dodać chłopcu otuchy, ale nie wiedział, co planuje Qwi.

Dlaczego wracali do Laboratorium Otchłani, zamiast porwać wahadłowiec i polecieć nim w bezkresne przestworza? Han wiedział, że byłoby to ryzykowne, bez względu na to, kiedy by to zrobili, tym bardziej że z każdą chwilą przygotowania admirał Daali były coraz bliższe ukończenia.

Han musiał ostrzec władze Nowej Republiki o planowanym ataku. Kiedyś obawiał się tylko koncentracji siły ognia wokół samej Kessel, ale składająca się z czterech gwiazdnych niszczycieli flota i tajna broń Laboratorium Otchłani wydawały się o wiele większym zagrożeniem niż cokolwiek, co Moruth Doole wygrzebał na śmietnikach i złomowiskach różnych planet i wcielił do swojej armady.

Chewbacca był ubrany w kombinezon mechanika i wyglądał jak robotnik zamierzający dokonać przeglądu czy remontu aparatury w jakimś laboratorium. Od czasu do czasu cicho mruczał do siebie, rad, że znów jest w towarzystwie przyjaciół, ale niezadowolony z bezczynności.

Qwi siedziała z rękami złożonymi na kolanach, nie odzywając się ani słowem. Han zastanawiał się, czy nie przesadził z oskarżaniem jej o naiwność i czy nie wyolbrzymił negatywnych konsekwencji jej pracy. Dałby dużo, by wiedzieć, o czym myśli milcząca kobieta.

Kiedy wahadłowiec wylądował na jednej z asteroid Laboratorium Otchłani i szturmowcy wysiedli, Qwi wyprowadziła Hana, Kypa i Chewbaccę z hangaru wykutego w skałach i powiodła ich ogromnym tunelem, tak wielkim, że mogły nim latać statki.

– Tędy – powiedziała.

Han nie wiedział, dokąd chce ich zaprowadzić.

– Czy nie wracamy do twojej pracowni? – zapytał.

Qwi zatrzymała się w pół kroku, ale dopiero po chwili odwróciła się w jego stronę.

– Nie, nigdy więcej – odparła i ruszyła dalej.

Dotarli w końcu do wysokich metalowych wrót, przed którymi stali na baczność dwaj szturmowcy. Qwi znów wyjęła identyfikator i błysnęła umieszczonym na nim hologramem. Szturmowcy służbiście się wyprostowali.

– Otwórzcie – rozkazała.

– Tak jest, pani doktor Xux – odezwał się starszy stopniem strażnik. – Czy mogę prosić panią o identyfikator?

Qwi wręczyła mu plakietkę, z trudem powstrzymując się od uśmiechu. Han zaczął się niepokoić. Ci strażnicy rozpoznali Qwi bez wahania, a kobieta sprawiała wrażenie spokojniejszej i bardziej odprężonej niż poprzednio. Czyżby miała zamiar ich zdradzić? Ale w jakim celu? Han i Kyp w tej samej chwili spojrzeli na siebie, ale obaj mieli na głowach hełmy, nie mogli więc nawzajem widzieć wyrazów twarzy.

– Ten Wookie przyszedł, by dokonać gruntownego przeglądu silników – rzekła Qwi. – Przed jutrzejszym odlotem floty ma wymienić chłodziwo. Ci dwaj strażnicy zostali specjalnie przeszkoleni i mają pilnować, żeby nie dokonał jakiegoś sabotażu. Wookie jest niezdyscyplinowany i wyrządził już kilka szkód w innym miejscu, a my nie możemy dopuścić, by powstały jakieś opóźnienia.

Han usiłował nie kurczyć się ze strachu. Qwi mówiła zbyt szybko, jej zdenerwowanie było widoczne jak na dłoni.

– Proszę o odpowiednie zezwolenie – odezwał się strażnik. – Zna pani procedurę.

Chcąc zarejestrować obecność Qwi, wsunął do szczeliny czytnika jej plakietkę, a potem wyjął ją i wręczył właścicielce. Zrobił to wszystko niemal odruchowo, jakby zadowolony z faktu, że wyznaczono mu służbę nie w innym miejscu, lecz właśnie tu, gdzie trwały gorączkowe przygotowania do odlotu.

Qwi podeszła do klawiatury umieszczonej na ścianie obok wrót i wystukała odpowiedni kod, a potem wręczyła strażnikowi papier z zezwoleniem admirała Daali. Han zastanawiał się, ile razy kobieta zamierza posłużyć się tym samym dokumentem!

– Proszę, tu jest zgoda na zatrudnienie Wookiego z adnotacją dotyczącą specjalnych strażników – powiedziała. – Zezwolenie podpisał sam Tol Sivron.

– Jak zawsze – odparł strażnik. – Chciałbym teraz sprawdzić numery identyfikacyjne tych dwóch żołnierzy. Później będzie mogła pani wejść do środka.

Wpisał numery Hana i Kypa, a potem zwolnił mechaniczną blokadę zamka.

Wielkie metalowe wrota rozsunęły się na boki, ukazując hangar, oświetlony świecącymi kulami unoszącymi się w górze. Przez ogromne, prostokątne świetliki w suficie było widać niesamowite chmury rozżarzonych gazów wirujących wokół Otchłani. Z chwilą, w której Qwi przeszła przez wrota, jej zachowanie uległo radykalnej zmianie, jakby nagle straciła oddech. Han, Kyp i Chewbacca weszli za nią.

Strażnik wcisnął przełącznik uruchamiający blokadę i ciężkie wrota zasunęły się za nimi, odcinając ich od reszty świata. Qwi wyraźnie się odprężyła.

Han spojrzął na znajdujący się w hangarze statek, niepodobny do żadnego, jaki kiedykolwiek widział. Mniejszy niż jego „Tysiącletni Sokół”, miał podłużne kształty, przywodzące na myśl oszlifowany klejnot. Prawdę mówiąc, cały wyglądał jak długi okruch drogocennego kryształu. Unosił

się dzięki włączonym repulsorom. Do otwartego wjazdu wiodła drabinka. W miejscach załamania ścianek kryształu wystawały lufy obronnych laserów.

Wielobarwny pancierz migotał i lśnił niczym nieustannie falująca mieszanina oleju i roztopionego metalu. Z dolnej części statku wystawał dziwny nieregularny torus niesamowicie potężnego transmitera rezonansowych torped. Pogromca Słońce, choć niewiele większy od zwykłego myśliwca, promieniował śmiertoczną siłą.

– Zamierzasz go ukraść?! – krzyknął Han.

– Oczywiście – odparła Qwi. – To najpotężniejsza broń, jaką kiedykolwiek skonstruowano. Zaprojektowanie jej i budowa zajęły osiem lat mojego życia. Chyba nie sądziłeś, że zostawię ją admirał Daali, prawda?

Rozdział 26

Kiedy „Tysiącletni Sokół” oddalał się od księżycy Kessel przekształconego w wojskową bazę, wyloty silników umożliwiających loty z prędkościami podświetlnymi jarzyły się oślepiająco jasnym blaskiem. Frachtowiec był ścigany przez rój myśliwców rozjaśniających przestworza różnobarwnymi smugami blasterowych błyskawic. Orbitujące wokół księżycy wielkie wojenne jednostki zmieniły kurs i skrzyły, by przeciąć trajektorię lotu małego statku. Przypominały uśpione dotychczas olbrzymy, rozbudzone przez rój natrętnych owadów.

Lando Calrissian robił, co mógł, by świetliste smugi nie trafiły w „Sokoła”.

– Silniki do lotów w normalnej przestrzeni są nadal w doskonałym stanie – oświadczył. – Albo Han zatrudnił dla odmiany jakiegoś dobrego mechanika, który doglądał urządzeń statku, albo Doole wyremontował wszystkie urządzenia, zanim wcielił statek do swojej floty. Zobaczmy teraz, jak sprawuje się uzbrojenie.

Ujrzeni, że zbliża się do nich para przypominających osy Łowców Głównych typu Z-95 strzelających salwami z trójlufowych blasterów. Niedaleko za nimi leciały trzy pokierosowane myśliwce dalekiego zasięgu typu Y.

Luke odwrócił się i aż gwizdnął zdumiony.

– Łowcy Głównych! Nie sądziłem, że ktokolwiek jeszcze na nich lata!

– Domyślam się, że Doole nie miał wyboru – stwierdził Lando.

„Sokół” zatrząsnął się, kilkakrotnie trafiony, ale nowe i zapewne niedawno naładowane generatory pół osłon wytrzymały, przynajmniej na razie.

Lando wysunął blasterowe działko przez luk znajdujący się pod kadłubem statku, a później zaczął strzelać do prześladowców. Dopiero jednak za piątym strzałem udało mu się trafić w dyszę wylotową maszyny typu Y, która złamała szyk i zawróciła w celu dokonania naprawy.

– Jeden trafiony – odezwał się Lando. – Zostało jeszcze mniej więcej tysiąc.

Piloci Łowców Głównych nie przestawali bombardować „Sokoła” salwami blasterowego ognia, jakby chcieli ukarać jego załogę za odwagę.

– Zbliży się do powierzchni planety w ten sposób, żeby musnąć górne warstwy atmosfery – rzekł Luke. – Może uda się nam sprawić, by spalili się w energetycznym polu.

Lando skierował statek ku nieforemnej bryle Kessel, ale nie mógł się powstrzymać od krytycznych uwag.

– My też nie dostrzeżemy tego pola – oznajmił. – Czy możesz być pewien, że i my się nie usmażymy?

– Zareagujemy szybciej niż oni.

Lando nie sprawiał wrażenia, że ta odpowiedź go uspokoiła.

– Kiedyś, podczas ataku na Gwiazdę Śmierci, omal nie wpadłem na takie energetyczne pole. Nie palę się, by powtórzyć to doświadczenie.

– Zaufaj mi – odparł Luke.

Kessel rosła w iluminatorach coraz bardziej, upstrzona bliznami jak po ospie i spowita mglistym welonem uciekającej atmosfery.

– Zbliżamy się – ostrzegł Lando.

Luke przytrzymał się oparcia fotela pilota i skoncentrował się, przymknawszy oczy. Oddychając regularnie, wybiegł myślą w przestworza, starając się wyczuć pulsującą energię, wytwarzaną przez księżycową bazę i otaczającą Kessel niczym ochronny całun.

– Tylko nie zaśnij – odezwał się Lando.

– Leć dalej.

Piloci Łowców Główn puścili się w pogoń, mając po obu stronach osłonę w postaci pozostałych dwóch maszyn typu Y.

– Rufowy deflektor zaczyna odczuwać skutki licznych trafień – stwierdził Lando. – Jeżeli ci goście jeszcze trochę się zbliżą, rozwalą nam dysze wylotowe.

– Przygotuj się – odparł Luke.

Kessel wypełniała teraz całą powierzchnię dziobowych iluminatorów. Z tej odległości można było dostrzec zawirowania chmur rozrzedzonego powietrza i cienkie nitki gazów uchodzących z kominów zakładów wzbogacania atmosfery. Snuły się nad powierzchnią planety niczym pajęcze nici babiego lata.

– Jestem gotów, jestem gotów. Powiedz tylko kiedy, a ja...

– Teraz!

Napięcie, w jakim znajdował się Lando, sprawiło, że zareagował jak zwolniona ze sprężyny katapulta. Szarpnął drążek sterowy i wystrzelił świecą w przestworza. Zaskoczone tym manewrem wszystkie cztery ścigające ich statki zetknęły się z niewidocznym siłowym polem i zamieniły się w ogniste kule płonącego paliwa i zjonizowanych cząsteczek metalu.

– Brakowało nam co najmniej kilku metrów – stwierdził Luke. – Odpręż się, Lando.

Artoo zapiszczał, ale Luke przyjrzał się wyrazowi twarzy Calrissiana, zanim odparł:

– Nie, Artoo, nie sądzę, by interesowała go dokładna odległość.

Wznosili się coraz wyżej, oddalając się od górnych warstw atmosfery i lecąc po orbicie wiodącej nad biegunami. Zza krawędzi planety wyłoniła się mozaika świecących gwiazd. Kiedy zmienili kurs i skierowali się ku otwartym przestworzom, powierzchnia Kessel zaczęła zostawać coraz bardziej w tyle.

Natknęli się jednak na gromadę myśliwców, które wypluł z olbrzymiej groty garnizon na księżycu.

Lando krzyknął ze zdumienia, a następnie wystrzelił z wyrzutni dziobowych dwie rakiety typu Arkayd z zapalnikami uderzeniowymi. Zbliżające się statki leciały tak blisko siebie, że nawet oddane na oślep strzały trafiły i to od razu kilku napastników. W ten sposób zestrzelili myśliwiec typu TIE i kanonierkę, a chmury rozżarzonych szczątków dodatkowo zniszczyły silnie uzbrojoną maszynę typu B.

– Nie bądźmy zbyt pewni siebie tylko dlatego, że udało się nam zniszczyć kilka statków – odezwał się Lando. – Zostało mi już tylko sześć rakiet.

– Nie poddamy się teraz – oświadczył Luke.

– Nie, chodziło mi tylko o to, że powinniśmy uciekać, a nie walczyć – odparł Lando. – Dobrze chociaż, że silniki są w idealnym stanie. „Sokół” nie był tak dobrze utrzymany od czasu, kiedy ja byłem jego właścicielem.

– Jak szybko możemy się stąd wydostać? – zapytał Luke.

Po podłączeniu się do komputerowego gniazda obok fotela drugiego pilota, Artoo zaczął świergotać i piszczeć. Luke skierował spojrzenie w dół, na pulpit, i zobaczył na panelu nawigacyjnego komputera kilka rzędów migających czerwonych lampek.

– Oho – powiedział.

– Co on mówi? – zainteresował się Lando. Na chwilę oderwał spojrzenie od dziobowego iluminatora, przez który było widać roje statków, i popatrzył na małego robota astronawigacyjnego. – Czy stało się coś złego?

– Komputer nawigacyjny nie działa – odparł Luke.

– No to napraw go!

Luke już biegł korytarzem. Pokonał jakiś zakręt, po czym wyszarpnął płytę umożliwiającą dostęp do obwodów nawigacyjnego komputera „Sokoła”. Kiedy zajrzał do środka, poczuł, że jego serce pogrąża się w czarnej dziurze, głębokiej jak sama Otchłań.

– Wyciągnęli moduł koordynacyjny! – krzyknął. – W ogóle go nie ma!

– I co teraz zrobimy?

W odpowiedzi na konwencjonalne rakiety udarowe Calrissiana piloci myśliwców z bazy na księżycu Kessel utworzyli zwarte bojowe szyki i zaczęli zasypywać frachtowiec nawałnicą laserowego ognia. Luke musiał osłonić oczy, by nie oślepiły go jaskrawe błyski chybionych strzałów albo smug, których tory zostały odchyłone przez pola deflektorów.

– Nie wiem, ale lepiej zróbmy to jak najszybciej – odparł Luke.

– Oni są także z Nowej Republiki! – pinił się rozwścieczony Moruth Doole, podskakując i tupiąc nogami. – Wrócą tam i o wszystkim zameldują!

Chcąc wykazać, że panuje nad sobą, wygładził zmięty jaskrawożółty szal, ale nie na wiele to się zdało. Chciał pochwycić zbiegów i zgnieść jak dwa robaki, które mógłby później spożyć. Szpiedzy i zdrajcy! Oszukali go, wywiedli w pole, wyśmiewali się z niego!

– Wysłać w pościg za nimi każdy statek, jaki mamy! – wrzeszczał do mikrofonu nadajnika przekazującego jego rozkazy do wszystkich załóg. W jakiś sposób zdołał zorganizować stanowisko dowodzenia na terenie księżycowej bazy. – Otoczyć ich, zgnieść, rozszarpać na kawałki! Nie obchodzi mnie, za jaką cenę!

– Wysyłanie wszystkich statków za nimi może nie być najlepszym rozwiązaniem – odezwał się kapitan jakiegoś statku. – Piloci nie umieją latać w szyku i pozabijają się, kiedy ich statki wpadną na siebie.

Części mechanicznego oka Doole’a leżały w kilku miejscach na konsolce, ale Rybet nie widział na tyle dobrze, by samemu złożyć je w całość. Spoglądając tylko jednym, a i to na wpół ślepyim okiem, nie potrafił rozpoznać najemnika, który ośmielił się mieć inne zdanie.

– Nie dbam o to! – krzyknął. – Nie chcę stracić ich tak samo, jak przedtem straciłem Hana Solo!

Uderzył miękką pięścią w konsolę, aż podskoczyły wszystkie części jego mechanicznego oka. Największy obiekt potoczył się po pulpicie, a potem ześlizgnął się z krawędzi i roztrzaskał na podłodze.

„Sokół” leciał prosto ku Otchłani, z każdą chwilą coraz bardziej oddalając się od Kessel.

– Nic nam się nie stanie – odezwał się Luke. – Posłużę się Mocą, żeby znaleźć bezpieczny szlak, którym przedostaniemy się na drugą stronę.

– Jeżeli jakiś istnieje – mruknął Lando.

Na czoło Luke’a wystąpiły krople potu.

– A mamy jakieś inne wyjście? Nie możemy się nigdzie indziej ukryć, nie umkniemy załogom tych wszystkich statków, a nie mając nawigacyjnego komputera, nie dokonamy skoku w nadprzestrzeń.

– Niesamowicie bogaty wybór – stwierdził Lando.

Wielkie statki osiągnęły w końcu pełną gotowość bojową i włączyły się do akcji. Strzelały teraz z jonowych dział tak potężnych, że ich wiązki energii mogłyby oczyścić szlak wiodący nawet samym środkiem roju asteroid. Dwie ogromne fregaty klasy Lancer utkały przed dziobem „Sokoła” śmiertelnie skuteczną sieć, strzelając ze wszystkich dwudziestu poczwórnych laserowych działek. Fregaty nie były jednak zwrotne i frachtowiec bez trudu zwiększał odległość dzielącą go od napastników.

Jakimś cudem kapitanowie innych dużych statków przewidzieli, że uciekinierzy będą chcieli lecieć ku gromadzie czarnych dziur, i ich statki zaczęły się gromadzić przed dziobem „Sokoła”, mimo że Lando starał się wyciągnąć całą moc z silników.

– No, jeszcze trochę, jeszcze! – zachęcał je Calrissian. – Stać was przecież na trochę większą prędkość.

Niewielki patrolowiec, zaprojektowany kiedyś jako szybki i zwrotny statek do zwalczania piratów i przemytników, przemknął obok „Sokoła” i zajął miejsce w szeregu statków blokujących drogę. W bezmiarze trójwymiarowej przestrzeni Lando zdołał jednak prześlizgnąć się między nimi, nie bacząc, że wokół frachtowca rozbłysły liczne błyskawice laserowych strzałów.

– Wskaźniki energii pól ochronnych zaczynają zbliżać się do czerwonych kresek – oświadczył.

Trzy lekkie krążowniki klasy Karrak uformowały przed „Sokołem” trójzębne kleszcze, nieruchomiejąc na prawo, lewo i powyżej przewidywanej trajektorii lotu frachtowca. Były to statki o rozmiarach pośrednich między fregatami klasy Lancer a wielkimi pancernikami w rodzaju tych, które wchodziły w skład zaginionej Ciemnej Flotyli Bela Iblisa.

Za rufą „Sokoła” pojawił się przywodzący na myśl wyszczerbione jajo krążownik szturmowy klasy Loronar, największy statek obronnej floty Kessel, widocznie zaślepiony pogonią za uciekającym statkiem. Kiedy przelatywał przez obszar pełen patrolowców zacieśniających pierścień obławy, przypadkiem został trafiony przez laserową błyskawicę wymierzoną w „Sokoła”. Nie wyrządziła mu żadnej krzywdy.

Lando wpatrywał się w okna iluminatorów, spoglądając to na przerażające widowisko wirujących chmur gazów Otchłani, to znów na gigantyczne statki, usiłujące ich pochwycić. Artoo zapiszczał coś, czego nawet Luke nie potrafił przetłumaczyć.

– Tylko kompletny idiota pakowałby głowę w takie miejsce – rzekł Lando, a potem zdecydowanie zamknął oczy.

– A więc miejmy nadzieję, że nasi prześladowcy nie są idiotami – odparł Luke.

Rozdział 27

Admirał Daala stała na mostku gwiazdowego niszczyciela „Gorgona” i spoglądała na pozostałe jednostki swojej floty. Czowała, jak rozpiera ją energia i duma. Nadszedł czas! Imperium upadło, ale razem z nim zginęli wszyscy ludzie, którzy kiedyś jej rozkazywali. Dopiero teraz mogła pokazać, co umie. Teraz mogła sama wydawać rozkazy.

Spojrzała na wielobarwne chmury gazów Otchłani i zbiorowisko skalistych asteroid spojonych w jeden organizm, na których zrodziła się jej śmiertcionośna broń. Ujrzała, jak „Hydra”, „Bazyliżek” i „Mantykora” zajmują miejsca w szyku i przygotowują się, żeby z chłodną, nieubłaganą precyzją zadać cios w serce galaktyki. Już niedługo Nowa Republika padnie na kolana.

Nie interesowało jej rządy starym Imperium. Daala nigdy nie miała takich aspiracji. Nawet w tej chwili myślała tylko o tym, by zadać wrogom jak najwięcej strat i przysporzyć cierpień. Przesunęła językiem po wargach. Jej długie, ciężkie włosy wiły się na plecach niczym węże wyrastające z głowy potwora, od którego wziął nazwę jej flagowy statek. Pomyślała, że wielki Moff Tarkin byłby z niej dumny.

Z terminala komunikatora na mostku odezwał się głos komandora Kratasa, bezpośredniego dowódcy „Gorgony”.

– Pani admirał, otrzymałem właśnie wiadomość z sektora więziennego oznaczoną najwyższym priorytetem!

– Sektora więziennego? Co się stało?

– Więźniowie Han Solo i Kyp Durrone uciekli! Jednego ogłuszonego strażnika znaleziono w celi Solo, a drugiego, zabitego, w celi Durrone. I jednemu, i drugiemu zabrano pancerze. Przesłuchujemy teraz tego, który ocalał.

Daala poczuła, jak podniecenie rozgrzewające krew w jej żyłach przenika falą gniewu.

Wyprostowała się, uniosła brwi i, nie kryjąc niezadowolenia, wpatrzyła się w twarz Kratasa.

– Zidentyfikować numery służbowe skradzionych pancerzy – rozkazała. – Możliwe, że zostały zarejestrowane w jakimś innym miejscu.

Jej rozkaz rozbrzmiał jak staccato laserowych strzałów.

Kratas sprawdził coś w swoim terminalu, a później połączył się z kimś przez interkom. Założywszy ręce za plecami, Daala chodziła po mostku i rzucała podwładnym krótkie, podobne do warknięć rozkazy.

– Natychmiast wysłać za nimi oddział pościgowy. Przeszukać każdy pokład „Gorgony”. Nie mogli jeszcze opuścić statku. Nie mają dokąd uciec.

– Pani admirał! – odezwał się znów Kratas. – Ocalony strażnik zeznał, że jedna z pracownic naukowych laboratorium życzyła sobie rozmawiać z Hanem Solo. Qwi Xux. Strażnik twierdzi, że

miała na to podpisane przez panią zezwolenie.

Daala poczuła, jak ze zdziwienia otwiera usta, ale natychmiast zacisnęła wargi w cienką, bezkrwistą linię.

– Zobaczcie, co dzieje się z Wookiem! – rozkazała. – Upewnijcie się, że nic się z nim nie stało.

Kratas znów połączył się z bazą danych.

– Nadzorca melduje, że nowy niewolnik Wookie został mu odebrany i przydzielony do innej, rzekomo ważniejszej pracy – odezwał się po chwili i przełknął ślinę. – Osobą, która po niego przysłała, była także doktor Qwi Xux. Ponownie posłużyła się pani zezwoleniem.

Nozdrza Daali rozszerzyły się, ale po chwili przez jej umysł przeleciała niczym meteor nowa myśl.

– O nie! – rzekła. – Chcą porwać Pogromcę Słońc!

W strzeżonym hangarze, w którym znajdował się Pogromca Słońc, Han Solo zaczął pokonywać drogę do wjazdu.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio wchodziłem na pokład po drabince! – powiedział. – To dość prymitywny sposób dostawania się do środka tak nowoczesnego statku.

– Ale skuteczny. – Qwi zaczęła wspinać się po szczeblach tuż za nim. – Nowoczesność jest ukryta w środku. Cała reszta to kamuflaż.

Kiedy Han znalazł się w sterowni, opadł na fotel pilota i zaczął się przyglądać przełącznikom i wskaźnikom na pulpicie kontrolnym.

– Wygląda mi na to, że wszystko jest oznaczone, jak trzeba, chociaż rozmieszczenie urządzeń kontrolnych wydaje mi się trochę nietypowe. Do czego służy na przykład ten przełącznik? Zaraz, zaraz, niech sam tego się domyśle.

Kyp dotarł do najwyższego szczebla drabinki i zatrzymał się, żeby ściągnąć hełm szturmowca.

– Te filtry powietrza strasznie cuchną – oświadczył.

Z satysfakcją rzucił podobny do czerepu hełm na podłogę hangaru. Pusta skorupa z trzaskiem odbiła się i potoczyła jak odcięta głowa. Ciemne kręcone włosy Kypa były teraz potargane i wilgotne od potu, ale na twarzy chłopca igrał szelmowski uśmiech.

Jako ostatni wspiął się po drabince Chewbacca. Pochylił głowę i przecisnął się przez wąski otwór wjazdu. Popatrzył przez górny iluminator na świetliki w suficie hangaru, przez które było widać teraz ogromną sylwetkę orbitującego gwiazdowego niszczyciela.

Han upuścił swój hełm na podłogę sterowni, a Kyp kopnął pusty czerep, który potoczył się pod jeden z foteli, gdzie pozostał, nikomu nie przeszkadzając. Han tymczasem odnalazł i włączył nawigacyjny komputer.

– To cacko jest w znacznie lepszym stanie niż na tamtym imperialnym promie, który porwaliśmy z Kessel – oświadczył. – Qwi, czy wszystkie współrzędne przestrzeni zostały utrwalone w bazie danych?

Kobieta kiwnęła głową, usiadła w innym fotelu i zapięła pasy.

– Pogromca Słońc jest gotów do lotu od kilku lat – odparła. – Czekaliśmy tylko, aż nadejdą rozkazy z Imperium. Mamy szczęście, że nikt po niego nie przyleciał, prawda?

Han zacisnęła wargi, przyglądając się urządzeniom sterującym i kontrolnym na pulpicie.

– Wszystko to wygląda całkiem normalnie – powiedział. – To dobrze, bo nie będę miał wiele czasu na naukę.

Chewbacca wydał dziki, bitewny okrzyk Wookiech.

Nagle rozległ się szcęk zamka ciężkich wrót hangaru, które ze zgrzytem zaczęły się rozsuwać, wpuszczając do środka oddział szturmowców z bronią gotową do strzału.

Stojący najbliżej włazu Kyp wychylił głowę przez mały otwór.

– Mamy towarzystwo! – oznajmił.

– Zamknij i uszczelnij ten właz, chłopcze! – krzyknął Han. – Czeka nas teraz krótka walka. Chewie, czy znalazłeś już urządzenia sterujące laserami?

Siedzący w fotelu drugiego pilota Chewbacca położył ogromne dłonie na przyciskach i przełącznikach. Znalazł w końcu te, których szukał, i przeciągle zawył. Kiedy zaczął sprawdzać działanie urządzeń celowniczych, lufy laserowych działek umieszczonych w załamaniach kadłuba zaczęły ustawiać się pod różnymi kątami.

Szturmowcy otworzyli ogień z blasterowch karabinów, a pancierz Pogromcy Słońc rozbrzmiał stłumionym hukiem trafień, ale strzały nie wyrządzały statkowi żadnej krzywdy. Han popatrzył na Qwi.

– A my nie włączyliśmy nawet generatorów pól ochronnych – powiedział.

– Nie musimy – odparła Qwi. – Ten pancierz wytrzyma ogień z każdej broni, jaką mogą przeciwko nam wymierzyć.

Han wyszczerzył w uśmiechu zęby i z chrzęstem rozprostował palce dłoni.

– No cóż, w takim razie poświęćmy kilka dodatkowych sekund na to, żeby wszystko zrobić, jak należy.

Sięgnął do przełączników i zwiększył dopływ mocy do repulsorów. Przez kadłub Pogromcy Słońc przeszło drżenie, a po chwili statek zakołysał się i uniósł wyżej, utrzymując się na poduszce pól, wytwarzanych przez repulsory. Uszu uciekinierów dobiegł stłumiony jęk alarmowych syren.

– Chewie, skieruj teraz lufy laserów w górę. Pozwolimy sobie na pożegnalny salut ze wszystkich działek – prosto w sufit!

Wookie ryknął do siebie, a później, nie czekając na rozkaz Hana, wystrzelił ze wszystkich laserów Pogromcy Słońc naraz. Kyp rzucił się, by zająć miejsce w fotelu, i natychmiast zapiął pasy. Qwi patrzyła przez górny iluminator statku, a w jej rozszerzonych oczach malował się zachwyt zmieszany z przerażeniem.

Sufit hangaru pod wpływem energii laserowych strzałów uniósł się w przestworza. Po chwili większe odłamki muru wpadły do środka i z grzechotem odbiły się od pancierza Pogromcy, ale większość poszybowała ku Otchłani, wyparta przez ciśnienie powietrza uwięzionego w hangarze.

Szturmowcy, rozpaczliwie machając rękami i nogami, zostali wyssani przez powstały otwór. W towarzystwie odłamków muru i transpastalowych świetlików zaczęli okrążyć gromadę asteroid po orbicie przebiegającej tuż nad powierzchniami. Han był pewien, że przez kilka pierwszych minut ich panczerze mogą zapobiec szybkiej dekompresji, ale los każdego był i tak przesądzony.

Zwiększył dopływ mocy, a Pogromca Słońc uniósł się jeszcze wyżej i przeleciał przez nieregularny otwór w suficie hangaru. Później niewielki statek wystrzelił w przestworza, a Han doznał uniesienia, jakiego nie czuł od chwili, kiedy po raz pierwszy znaleźli się w sąsiedztwie Kessel.

– Witaj, kosmosie! – powiedział. – Dopiero teraz zacznie się prawdziwa zabawa.

Patrząc z mostka „Gorgony” w dół, na Laboratorium Otchłani, admirał Daala miała wrażenie, że

w jej żołądku rośnie jakiś kamień. Od kilku lat jedynym jej obowiązkiem była ochrona niewielkiego zbiorowiska skalnych asteroid i niańczenie zatrudnionych tam naukowców. Wielki moff Tarkin powiedział kiedyś, że ci ludzie trzymają klucze do przyszłości Imperium, a ona w to wierzyła.

Pamiętała, jak w caridańskiej akademii poniżano ją, szykanowano, wykorzystywano. Dopiero Tarkin uwolnił ją z tamtego piekła. Zaufał jej, uczynił odpowiedzialną za to wszystko i obdarzył władzą, którą uzyskała dzięki własnym umiejętnościom. Zawdzięczała mu dosłownie wszystko.

Musi teraz pomścić jego śmierć. Musi zniszczyć Nową Republikę i zamienić jeden należący do niej system gwiazdny po drugim w supernową. Nie będą mogli się nigdzie ukryć. Tylko w ten sposób uda jej się wycisnąć na historii galaktyki własne piętno. Będzie jedyną przywódczynią, która zdoła dokonać tego, czego nie mogło osiągnąć całe Imperium. Na myśl o tym zaciśnięte blade wargi admirał Daali rozciągnęły się w ponurym uśmiechu.

Spoglądając przez iluminator mostka, ujrzała, jak z jednego ze skalistych okruchów Laboratorium Otchłani unosi się niewielki obłok dymu. Niemal w tej samej chwili zobaczyła charakterystyczną, przypominającą wydłużony kryształ sylwetkę Pogromcy Słońc, który zaczął oddalać się od planetoidy.

– Czerwony alarm! – krzyknęła. – Zmobilizować wszystkie siły! Więźniowie porwali Pogromcę Słońc, a my nie możemy dopuścić, by uciekli. To nasza najcenniejsza broń!

– Ale... pani admirał! – zaprotestował komandor Kratas. – O ile raporty techniczne nie kłamią, nic nie może wyrządzić Pogromcy Słońc najmniejszej krzywdy!

– Musimy znaleźć jakiś sposób, by ich złapać. Zmobilizujcie załogi pozostałych gwiazdnych niszczycieli. Postaramy się ich otoczyć, a potem odciąć im drogę ucieczki. Poderwać tyle niewielkich myśliwców, żeby zostali przytłoczeni samą liczbą!

Spojrzała na widoczną na ekranie twarz Kratasa, jakby zamierzała zamienić go w kamień. Jej włosy wyglądały, jak gdyby żyły własnym życiem. Sprawiały wrażenie, że za chwilę mogą stać się garotą, która zaciśnie się wokół jego szyi.

– Komandorze, proszę nie zlekceważyć tego, co mówię – dodała. – Bez względu na to, jakie poniesiemy koszty, nie możemy dopuścić do utraty tego statku. Pogromca Słońc jest wart dla nas więcej niż wszystkie sześć eskadr myśliwców typu TIE na pokładzie tego gwiazdneho niszczyciela. Za wszelką cenę musimy go odzyskać.

Za porwanym Pogromcą Słońc puściły się w pościg aż trzy gwiazdne niszczyciele.

– Bardzo szybko zorientowali się, co się dzieje – zauważył Han.

Z hangarów „Mantykory” i „Gorgony” wyroiły się chmury myśliwców typu TIE, które później utworzyły szyki tak ciasne, że Han nie mógł widzieć za nimi przestworzy. Na transpasterowych szybach iluminatorów niczym krople deszczu rozpryskiwały się oślepiająco jasne błyskawice laserowych strzałów.

– Zawsze byłem ciekaw, czy mógłbym lecieć, nic nie widząc – powiedział Han.

– Co oni chcą przez to osiągnąć? – spytała Qwi. – Starają się nas oślepić czy po prostu chcą, żebyśmy stracili orientację?

Pogromca Słońc, nie doznając najmniejszych uszkodzeń, kołysał się z boku na bok pod wpływem blasterowych trafień.

– Ani jedno, ani drugie, chcą tylko wyeliminować z walki nasze lasery – odparł Han. – Prawdę mówiąc, już im się to udało – dodał, spojrzawszy na wskazania mierników na pulpicie. – Wszystkie

zostały uszkodzone.

– Wobec tego nie pozostaje nam nic innego, tylko uciec – stwierdził Kyp.

Trzeci gwiazdny niszczyciel „Bazyliszek”, zaczął także wypływać eskadry myśliwców typu TIE, które fala za falą skierowały się ku uciekinierom.

– Piloci tych maszyn chcą chyba zrobić w przestworzach taki tłok, że nie będziemy mieli gdzie się ruszyć. – Han przejął stery Pogromcy Słońc i starał się zmienić kurs, ale przez cały czas musiał mrużyć i zamykać oczy, by nie zostać oślepionym przez jaskrawe błyski. – Kto słyszał w samym środku gromady czarnych dziur o ulicznym korku?

Kyp schwycił go za ramię.

– Uważaj, Han – ostrzegł.

Czwarty, ostatni gwiazdny niszczyciel, „Hydra”, chcąc odciąć drogę ucieczki, zajął pozycję między nimi a szlakiem wiodącym przez labirynt czarnych dziur. Jego artylerzyści zaczęli strzelać do małego statku z potężnych turbolaserowych dział i zasypywali uciekinierów lawiną skupionego światła. Trzy pozostałe gwiazdne niszczyciele zwały szyk, zbliżając się od rufy, by uniemożliwić ucieczkę w stronę pozostałej części galaktyki.

– Qwi, mówiłaś kiedyś, że pancierz Pogromcy Słońc jest odporny na wszystko, prawda? – odezwał się Han.

– Na wszystko, czym mogłam go potraktować.

– W takim razie się trzymajcie. Czas przyspieszyć do maksymalnej prędkości, z jaką może latać ta zabawka.

Szarpnął do oporu dźwignię ciągu. Nagły skok przyspieszenia wcisnął ciała czworga uciekinierów w oparcia foteli, a Pogromca Słońc skoczył, kierując się prosto ku „Hydrze”.

Sylwetka potężnego niszczyciela rosła w iluminatorach z każdą chwilą coraz szybciej. Po kilku sekundach wypełniła całą przestrzeń i rosła nadal. W stronę Pogromcy Słońc szybowały potężne zielone wiązki turbolaserowego światła, ale parametry urządzeń celowniczych niszczyciela nie mogły być zmieniane tak szybko, żeby trafić w coraz bardziej zbliżający się niewielki statek.

– Han, co zamierzasz zrobić?! – krzyknął Kyp.

– Zaufaj mi – odparł Solo. – A raczej zaufaj jej. – Kiwnął głową, wskazując na Qwi. – Jeżeli pokręciła coś w obliczeniach czy próbach, już wkrótce zamienimy się w ogromne organiczne naleśniki!

Widoczna w iluminatorach trapezoidalna wieżyczka mostka „Hydry” zbliżała się coraz bardziej, prosto na kursie Pogromcy. Jakiś pilot myśliwca typu TIE, zapewne samobójca, roztrzaskał swoją maszynę o ich kadłub, ale ognista eksplozja jego statku nie wyrządziła molekularnemu pancierzowi żadnej szkody. Han bez najmniejszego trudu skompensował niewielką zmianę trajektorii lotu.

– Uważaj! – krzyknęła Qwi.

Nie przestawali mknąć ku imperialnemu niszczycielowi. Całą przestrzeń w iluminatorze zajmowała teraz wieżyczka mostka. Widać było coraz więcej szczegółów konstrukcji. Han dostrzegał transpystalowe okna, a nawet sylwetki ludzi pełniących służbę. Jedni stali, sparaliżowani ze strachu, a inni rozpaczliwie próbowali opuścić mostek.

– Han! – wrzasnęli w tej samej chwili Kyp i Qwi. Chewbacca także wydał basowy, głośny ryk.

– Chcieliście, to teraz się udławcie – mruknął Solo.

Opancerzony Pogromca Słońc rozdarł poszycie wieżyczki mostka „Hydry” niczym nóż wbijający się w kostkę masła. Metalowe szczątki konstrukcji poszybowały na wszystkie strony, a kiedy

Pogromca Słońc wyłaniał się po drugiej stronie, stanowisko dowodzenia przypominało stertę poszarpanego złomu.

Siła uderzenia, ogłuszający huk podobny do dźwięku tysięcy gongów i widok piekła, jakie rozpętali, sprawiły, że uciekinierzy na chwilę odrętwieli. Pierwszy ocknął się Han, wydając radosny okrzyk.

– Udało się!

Śródkręcie zniszczonego statku eksplodowało i stanęło w ogniu.

– Jesteś szalony! – odezwała się Qwi.

– Jeszcze mi nie dziękuj, pani doktor – odparł Han.

Nie mająca już zdolności manewrowania i płonąca „Hydra” jak pozbawiony głowy potwór odpadła z kursu i zaczęła bezradnie dryfować ku grawitacyjnej pułapce najbliższej czarnej dziury. Z burt statku wysunęły się niewielkie awaryjne lądowiska, ale silniki startujących z nich kapsuł ratunkowych nie miały tyle mocy, by nadać stateczkom przyspieszenie wystarczające do pokonania siły grawitacji groźnego leja. Po chwili trajektorie wszystkich kapsuł zaczęły się zakrzywiać, zamieniając się w spirale, by skierować łupiny w głąb bezdennej czeluści.

Kiedy skazany na zagładę gwiazdny niszczyciel zaczął bezwładnie wirować, coraz szybciej zdążając ku przepaści mrocznego leja, eksplodowały jego potężne silniki do lotów w nadprzestrzeni, a na najniższych pokładach rozszalały się pożary. Z wielu miejsc wydobywały się kłęby ognistego dymu, z każdą chwilą wydłużając się i ciągnąc w ślad za „Hydrą”, która właśnie wyruszyła na ostatnie, nieuchronne spotkanie z przeznaczeniem.

– Jeszcze nie jesteśmy w domu – odezwał się Han, lecąc w przestrzeni pełnej zjonizowanych gazów. – No dobrze, Kyp – dodał po chwili. – Teraz twoja kolej przejąć stery. Wydostań nas z tego miejsca.

W kilka sekund później trzy pozostałe gwiazdne niszczyciele zmieniły kurs i puściły się z szaleńczy pościg.

Rozdział 28

Nie opuszczając mostka „Gorgony”, admirał Daala obserwowała z przerażeniem, jak Pogromca Słońc rozrywa nadbudówkę, „Hydry” z mostkiem na kawałki, a statek staje się ognistym wrakiem. Wiedziała, że jedynymi członkami załogi, którzy przeżyją tę katastrofę, będą piloci sześciu pokładowych eskadr myśliwców typu TIE. Wszyscy inni są skazani na zagładę.

Choć twarz Daali przypominała rzeźbioną bryłę lodu, nie przelane łzy paliły jej oczy. Kiedy „Hydra” jak ogromny, śmiertelnie ranny smok pogrążała się w bezdennym leju, tysiące ludzi opadało w objęcia nieuchronnej śmierci.

Tymczasem Pogromca Słońc, błyszcząc niezniszczalnym pancierzem, oddalał się od płonących szczątków. Właśnie zmienił kurs i skierował się ku zewnętrznym obrzeżom Otchłani.

– Gonić ich! – rozkazała Daala. – Cała naprzód!

Porażka spadła na nią niczym grom z jasnego nieba. Ukrywała się w Otchłani zbyt długo. Musztrowała żołnierzy, zarządzała nieustanne alarmy i ćwiczenia, ale okazało się, że to nie wystarczyło. W pierwszej prawdziwej bitwie straciła jedną czwartą swoich sił – a ten cios zadało zaledwie czworo uciekinierów!

Wielki moff Tarkin spoliczkowałby ją i zdegradował. Twarz admirał Daali płonęła, jakby naprawdę ktoś ją uderzył.

– Jeszcze pożałują, że w ogóle wypowiedzieli nam tę wojnę! – szepnęła.

Wiedziała, że bez Pogromcy Słońc nie będzie mogła zrealizować planów pustoszenia światów Nowej Republiki. Głęboko, spazmatycznie westchnęła. Nie powinna wpadać w panikę. Musi teraz pomyśleć. Musi podjąć decyzję, znaleźć jakieś wyjście z sytuacji.

Przestrzeń komunikacyjna holoprojektora roziskrzyła się i pojawił się w niej obraz Tola Sivrona. Wizerunek administratora błyskał i drgał wskutek laserowych błyskawic przecinających przestworza.

– Pani admirał! – odezwał się Sivron. – Jeżeli zamierza pani zmobilizować swoją flotę, muszę prosić o zabranie naukowców z Laboratorium Otchłani.

Nie zadając sobie trudu, by odwrócić głowę i spojrzeć na wizerunek Twi’leka, Daala przyglądała się ognistej śmierci „Hydry”. Pomyślała o wszystkich kłopotach, jakich przysporzył jej administrator. Przypomniła sobie jego niekompetencję, opóźnienia w pracy i wymówki, a także przeciąganie badań w nieskończoność i żądanie przesyłania mu niezliczonych sprawozdań i raportów.

– Jest pan teraz zdany tylko na własne siły, panie Sivron – powiedziała. – Nadszedł czas, byśmy spełnili swój obowiązek, jak przystało na imperialnych żołnierzy.

Zaniepokojony Tol Sivron szarpnął głową, aż zadrżały wyrastające z niej ogony.

– Czy to znaczy, że zamierza pani zostawić nas bez obrony? A co z rozkazami, jakie wydał pani

wielki moff Tarkin? Miała pani przecież nas ochraniać! Proszę zostawić nam przynajmniej jeden z gwiazdnych niszczycieli!

Daala pokręciła głową, a jej długie miedziane włosy zafalowały za plecami.

– Tarkin nie żyje, a więc ja teraz tu rozkazuję – odparła. – Jeżeli mam zadać ostateczny cios Nowej Republice, muszę dysponować całą siłą ognia, jaką mogę zmobilizować.

– Pani admirał, nalegam jednak...

Daala wyciągnęła z kabury u pasa mały blaster i wymierzyła go w holograficzny wizerunek Tola Sivrona. Zabiłaby go, gdyby Twi'lek był w tej chwili na mostku, ale nie zamierzała niszczyć cennego urządzenia tylko dlatego, że dała się ponieść wściekłości. Nie przestając mierzyć z blastera, ruszyła ku migotliwemu obrazowi.

– Odmawiam spełnienia pańskiej prośby, dyrektorze Sivron – oświadczyła, a później przerwała połączenie. Nie myśląc o administratorze ani chwili dłużej, odwróciła się, by poświęcić uwagę jednostkom swojej floty.

– Komandorze Kratas, odlatujemy z obszaru Otchłani i puszczamy się w pościg za Pogromcą Słońc – powiedziała. – Proszę natychmiast wezwać do powrotu wszystkie eskadry myśliwców.

Kratas wydał rozkazy, a Daala obserwowała, jak maszyny wracają i znikają w otworach hangarów. Chodziła niecierpliwie po mostku, z trudem godząc się z tą stratą czasu.

– Proszę sprząć wszystkie trzy gwiazdne niszczyciele z naszym komputerem nawigacyjnym – poleciła. – Nikt oprócz mnie nie zna współrzędnych szlaku, którym można się stąd wydostać, a ja trzymam je w osobistej bazie danych, do której tylko ja znam hasło.

Pamiętała, że ostatnimi osobami, które opuszczały Laboratorium Otchłani, byli inżynierowie konstruktorzy. Wpisała wówczas do pamięci ich komputera błędne dane, skazując ich na pewną śmierć w czeluści jakiejś czarnej dziury. Tym razem admirał Daala, dysponując tak wielką siłą ognia, zamierzała napaść na niczego nie podejrzewającą galaktykę, żeby przejąć nad nią władzę.

Kadłub Pogromcy Słońc drżał od tysięcy oddziałujących na niego sił, kiedy niewielki statek niknął przypominającym labirynt szlakiem o zerowej grawitacji wiodącym przez obszar czarnych dziur Otchłani.

Za pulpitem z uproszczonymi urządzeniami sterującymi siedział Kyp, bacznie obserwowany przez Hana Solo. Han jednak nie mógł nawet marzyć, by podawać w wątpliwość intuicję młodzieńca, bez względu na to, jak trudna miała być ich droga powrotna.

Kyp tymczasem przymknął oczy i wpatrzony w wizerunek przestworzy, jaki istniał tylko w jego umyśle, pewnie leciał niebezpiecznym szlakiem. W pewnej chwili szarpnął statkiem, kładąc go na sterbutrę, a w następnej zanurkował, pragnąc uniknąć niewidzialnych przeszkód. Han położył rękę na jego ramieniu i bez przerwy zaciskał palce, chcąc w ten sposób dodać mu otuchy. Otaczały ich wirujące chmury rozżarzonych gazów, co sprawiało wrażenie, jakby lecieli we wnętrzu rozpalonego pieca.

Z przerażeniem, widocznym w rozszerzonych oczach i malującym się na twarzy, Qwi Xux patrzyła na Kypa, jak z przymkniętymi oczami, niemal na oślep, pilotuje statek bezpieczną trasą.

– Nie martw się – pocieszył ją Han. – Chłopak dobrze wie, co robi. Nikt oprócz niego nie zdoła przelecieć tym labiryntem.

– Ale w jaki sposób on to robi? – Piskliwy głos Qwi przypominał dźwięk fletu, na którym gra początkujący, niewprawny muzyk.

– W żaden, który mogłaby wyjaśnić twoją wiedza. Nie jestem pewien, czy sam dobrze rozumiem działanie Mocy, ale przynajmniej wierzę, że istnieje. Kiedyś sądziłem, że to hokuspokus, ale od tamtych czasów zmieniłem zdanie.

Nagle otaczające ich chmury gazów rozstały się, ukazując czarną nieskończoność swobodnych przestworzy. Wyrwali się ze szponów Otchłani!

Rozpaczliwie uciekając przed flotą Kessel, Luke i Lando usiłovali przedrzeć się między zagradzającymi im drogę dużymi statkami. Kulili się i mrużyli oczy za każdym razem, kiedy w pola ochronne „Sokoła” trafiała laserowa błyskawica.

Prosto na kursie tkwiła mamucia sylwetka ogromnego krążownika szturmowego klasy Loronar, odcinając im drogę ucieczki ku wątpliwemu sanktuarium Otchłani. Dziesięć jonowych dział zamontowanych w dziobowej części statku nie wróżyło uciekinierom nic dobrego.

Jeden silny błysk trafił prosto w osłony dziobowe. Wszystkie światła „Sokoła” zamrugały i przygasły, a z pulpitu kontrolnego wystrzeliło kilka iskier. Lando schwycił przełącznik przepływu mocy i krzyknął do Luke’a:

– Nasze pola osłon słabną, a nie sądzę, by ci goście chcieli wziąć nas do niewoli!

– Doleć tylko do Otchłani – odparł Luke. – To nasza jedyna szansa.

– Nigdy nie przypuszczałem, że będę zaciskał kciuki, by udało się nam coś takiego – odparł Lando, pochylając się nad pulpitem. – Artoo, zobacz, czy uda ci się przesłać więcej mocy do osłon dziobowych. Kiedy będziemy przelatowali obok tego krążownika, możemy oberwać niezłe cięgi. Jeden celny strzał i jesteście usmażeni.

– Zaczekaj – odezwał się Luke i przymrużywszy oczy, spojrzał na chmury gazów wirujących przed dziobem statku. – Ktoś stamtąd wylatuje!

Popatrzył na podobną do ciernia sylwetkę Pogromcy Słońce wylaniającego się z chmur i zostawiającego za sobą smugę gorących gazów. Po kilku chwilach dostrzegł, jak trzy w pełni uzbrojone gwiazdne niszczyciele wypadają zza zasłony chmur gazów i jak rozwścieczone banthy puszczają się w pościg za małym statkiem.

Kiedy Han dostrzegł setki statków floty Kessel, lecących w bitewnym szyku i strzelających z laserowych dział, westchnienie ulgi przerodziło się w jęk zawodu.

– Skąd one się tutaj wzięły?! – wykrzyknął. – Niemożliwe, żeby przez tyle czasu czekały na nas!

– Han, jak to się dzieje, że za każdym razem, kiedy uciekamy, lądujemy w jeszcze gorszym bagnie niż to, z którego się wyrывamy? – zapytał Kyp, wyczerpany po wysiłku, jaki włożył w pilotowanie.

– Właściwe wycucie czasu i miejsca, chłopcze – odparł Han i uderzył pięścią w pancerną powierzchnię pulpitu. – To niesprawiedliwe! Dawno przecież powinni byli uznać, że nie żyjemy!

Chewbacca zawył i wymierzył włochaty palec w iluminator, wskazując na frachtowiec lecący na czele floty. „Tysiącletni Sokół”.

Han wykrzywił usta, nie potrafiąc ukryć gniewu.

– Mam zamiar dobrać się do skóry temu draniowi, który leci moim statkiem. Czy naprawdę nie działa żadne laserowe działko?

Chewbacca sprawdził ponownie przyrządy i odczyty wskaźników, a potem warknął coś, co miało być potwierdzeniem.

– Spójrz, Han – odezwał się nagle Kyp. – Wygląda mi na to, że tamte inne statki ścigają

„Sokoła”. Strzelają do niego.

Han pochylił się, by lepiej widzieć. Qwi także przyznała Kypowi rację.

– Ten lekki frachtowiec chyba rzeczywiście nie należy do floty – powiedziała.

Z patrolowców, wielkiego szturmowego krążownika i kilku lekkich krążowników klasy Karrak szybowały ku „Sokołowi” zielone wiązki turbolaserowego światła. Wyraz twarzy Hana uległ natychmiastowej zmianie.

– Hej, co się tu właściwie dzieje?! – krzyknął. – Uważajcie, bo zniszczycie mój statek!

Z chmur gazów za rufą Pogromcy Słońc wyłoniły się gwiazdne niszczyciele Daali, które zwyciężyły w walce z przyciąganiem Otchłani.

– Han, spójrz przez rufowy iluminator – odezwał się Kyp.

Jak plagi i utrapienia uwolnione z puszek Pandory, zza zasłony chmur gazów wyskoczyły „Gorgona”, „Bazyliszek” i „Mantykora”. Przypominały najeżone lufami wyrzutni i dział potwory, gotowe, by pomścić zagładę Imperium.

Piloci-najemnicy statków floty Kessel, którzy do tej pory strzelali do „Sokoła”, na widok imperialnych jednostek potracili głowy. Niektórzy zmienili kurs i zawrócili, chcąc uciec pod osłonę planety. Inni wpadli w panikę i otworzyli ogień do gwiazdnych niszczycieli.

Admirał Daala starała się dowodzić całą flotą, wydając rozkazy ze stanowiska dowodzenia na mostku flagowego statku. Niespodziewany widok setek dziwacznych statków po drugiej stronie Otchłani w pierwszej chwili ją przeraził. Zareagowała jednak bardzo szybko.

– Uruchomić osłony! – rozkazała. – To była pułapka! Siły Rebeliantów przez cały czas tu na nas czekały.

W jaki sposób Hanowi Solo udało się oszukać jej androida do przesłuchań? – pomyślała. – Czy możliwe, żeby Rebelianci dowiedzieli się o Laboratorium Otchłani? Czy wysłali Solo z wyssaną z palca historią, żeby wciągnął jej flotę w zasadzkę, w której bez trudu mogła zostać unicestwiona?

Patrzyła, jak obce jednostki otwierają ogień do jej niszczycieli, ale natychmiast stwierdziła, że siłą ognia nie dorównują jej statkom. Mimo wszystko wielki moff Tarkin oddał do jej dyspozycji broń wystarczającą do niszczenia całych planet.

– Pogotowie bojowe! Zniszczymy tę hałastrę raz na zawsze! – Wskazała gromady myśliwców latających przed dziobami jej jednostek. – Otworzyć ogień!

Luke i Lando patrzyli na siebie przez chwilę, a w tym czasie laserowe błyskawice przecinały przestworza wokół ich statku. Nikt jednak nie mierzył do nich.

– To może być jedyna szansa, żeby się stąd wynieść – zauważył Lando.

– Ta-a, może nawet nie zwróca uwagi, że nas nie ma – zgodził się z nim Luke.

– Ale skąd, u licha, wzięły się tu gwiazdne niszczyciele?

Nagle z głośnika komunikatora „Sokoła” rozległ się melodyjny dźwięk, bardzo charakterystyczny, gdyż zabrzmiał tak niewinnie na tle różnych alarmowych pisków słabnących pól osłon i przeciążonej aparatury. Lando spojrział na komunikator.

– Otrzymujemy jakąś wiadomość na kanale łączności o częstotliwości prywatnej – powiedział, marszcząc brwi. – Jakim cudem ktoś może znać tę częstotliwość? Skąd może ktoś nawet wiedzieć, że frachtowiec ma taki prywatny kanał?

W tej samej chwili usłyszeli zagniewany głos Hana Solo.

– Ktokolwiek jest na pokładzie „Tysiącletniego Sokoła”, lepiej niech poda jakiś ważny powód, dlaczego leci moim statkiem!

– Han! Czy to ty? – odezwał się Lando. Luke poczuł, jak jego serce przenika fala wzruszenia.

– Lando? – odezwał się Han po krótkiej ciszy. W tej samej chwili jego okrzyk radości został zagłuszony przez ryk Chewbaccy. – Skąd się tam wzięłeś?

Wokół nich krzyżowały się oślepiające sztychy światła, dowodzące, że walczące strony uruchomiły wszystkie swoje turbolasy i działa. Obie floty jak smoki krayt walczące o samice zwały się w morderczej walce, w której dozwolone były wszystkie chwyt.

– Posłuchaj, Han – rzekł Lando. – Jest ze mną Luke. Porwaliśmy twój statek z bazy na księżycu Kessel, ale nasz komputer nawigacyjny nie działa i nie możemy dokonać skoku w nadprzestrzeń.

Statkiem zakołysała jakaś silna eksplozja od sterburty, ale większość jednostek floty Kessel starała się koncentrować ogień na imperialnych niszczycielach admirał Daali, stanowiących o wiele większe zagrożenie. Chociaż nie miały najmniejszych szans, trzy lekkie krążowniki klasy Karrak ustawiły się w szyku i zaczęły zasypywać ogniem „Bazyliuszka”.

W głośniku komunikatora było słycać, jak Han z kimś się porozumiewa. Później znów zwrócił się do Calrissiana.

– Możemy przesłać współrzędne bezpośrednio twojemu komputerowi, Lando, a następnie razem dokonamy skoku w nadprzestrzeń i obierzemy kurs na Coruscant.

Lando przygotował komputer, przez kilka chwil przyglądał się wyświetlanym na ekranie liczbom, a później triumfalnie uniósł rękę z zaciśniętą pięścią.

– Mam! – krzyknął. – Artoo, przygotuj się do skoku.

– Tylko nie uszkodź mojego statku, Lando – odezwał się Han. – Dam ci sygnał.

– Masz na to moje słowo – odparł Calrissian, przebierając palcami po dobrze znanych przyciskach i przełącznikach pulpitu „Sokoła”.

– Gotów do skoku – oznajmił Han.

Nie przestając strzelać z jonowych dział i turbolaserów, flota Kessel starała się oskrzydlić niszczyciele Daali. Z ich hangarów wyroiły się jednak eskadry myśliwców typu TIE, by dokonać prawdziwej rzezi wśród nie potrafiących walczyć w szyku statków Doole’a.

– Na twój sygnał, Han!

– Teraz!

Przed skokiem ujrzeli jeszcze, jak pod wpływem skoncentrowanego ognia dział „Mantykory” i „Gorgony” gigantyczny kadłub szturmowego krążownika klasy Loronar eksploduje i staje w ogniu. Patrzyli, jak płonący wrak zaczyna dryfować i wirować, po czym jak taran uderza w burzę „Bazyliuszka”, wgniatając dolną część kadłuba przypominającą grot strzały i wzniecając pożar.

Później wszechświat wypełnił się świetlistymi smugami.

Rozdział 29

Powitanie w domu spełniło wszystkie oczekiwania Hana. Podczas długiego lotu przez nadprzestrzeń myślał o tym niemal cały czas.

Leia z bliźniętami czekała na jednym z najwyższych położonych lądowisk, aż Pogromca Słońc i „Tysiącletni Sokół” skrzydło w skrzydło opadną na platformę. Han przeszedł przez właz Pogromcy i zaczął schodzić po drabince, ale zanim zdążył postawić nogę na płycie, Leia podbiegła i porwała go w objęcia.

– Cieszysz się, że wróciłem? – zapytał.

– Tęskniłam za tobą! – odparła, a potem wycisnęła na jego ustach długi pocałunek.

– Wiem o tym – odparł, szelmowsko się uśmiechając.

Odsunęła się i oparła dłonie na biodrach.

– Co takiego? – powiedziała. – Czy to znaczy, że ty za mną nie tęskniłeś?

Han z udanym zażenowaniem spuścił oczy.

– No wiesz, najpierw rozbiliśmy się na Kessel, potem utknęliśmy w kopalniach przyprawy, a później w samym środku gromady czarnych dziur pochwycili nas imperiami oprawcy. Prawdę mówiąc, wszystko działo się tak szybko, że nawet nie miałem czasu...

Kiedy spojrzał na twarz Leii i stwierdził, że żona zamierza chyba wymierzyć mu cios pięścią, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ale mimo tych wszystkich przygód nie pamiętam nawet dwóch sekund, podczas których nie tęskniłem za tobą całym sercem.

Leia znów go pocałowała.

Po rampie „Sokoła” zjechał Artoo, a Threepio na ten widok pospieszył go powitać.

– Artoo-Detoo! – zawołał. – Jestem rad, że cię znowu widzę! Nie uwierzysz, ile miałem kłopotów, kiedy ciebie nie było!

Artoo zapiszczał coś, czego nikt nawet nie starał się przetłumaczyć.

Kyp Durron i Qwi Xux zeszli po drabince Pogromcy Słońc i stanęli na płycie lądowiska, spoglądając na ciągnący się aż po horyzont las iglic i wieżyczek gmachów Imperial City, pełen błyszczących w słońcu transpastalowych okien i połyskujących murów. Nad ich głowami przelatowały wahadłowce, mrugając różnobarwnymi światłami.

– To dopiero jest miasto! – westchnął Kyp.

Qwi sprawiała wrażenie przygnębionej. Oświadczonej jej, że Pogromca Słońc zostanie zamknięty w najściślej strzeżonym hangarze, gdzie zbadają go naukowcy Nowej Republiki. Qwi nie była zachwycona, że musi się z nim rozstać, ale nie miała innego wyjścia.

Han podszedł do dzieci, uklęknął przed nimi i objął je ramionami.

– Cześć, dzieciaki! – powiedział. – Czy jeszcze pamiętacie tatę? Dawno się nie widzieliśmy, prawda?

Rozwichrzył włosy bliźniąt i spoglądał na nie, nie potrafiąc ukryć zdziwienia. Zawsze zdumiewało go, jak szybko rosły w czasie między jedną a drugą wizytą, którą składał u Winter na strzeżonej i spowitej mgłą tajemniczy planecie Anoth. Teraz jednak dwa lata samotności i ochrony Jacena i Jaina dobiegły końca. Jego dzieci miały odtąd mieszkać w domu. Od tej chwili tylko maleńki Anakin potrzebował specjalnej opieki Winter.

Jacen kiwnął głową, a po chwili gest brata powtórzyła Jaina. Han nie był pewien, czy może im uwierzyć, ale mimo to uściskał dzieci po raz drugi.

– No cóż, nawet jeżeli mnie nie pamiętacie, od tej chwili będę robił wszystko, by nadrobić zaległości.

Odziany w barwny mundur przedstawiciela pozaplanetarnej administracyjnej służby i dumny jak paw urzędnik odnalazł w końcu Calrissiana w ekskluzywnej klubowej sali, do której mieli wstęp tylko najważniejsi dyplomaci. Urzędnik trzymał opancerzoną małą walizkę w rodzaju takiej, jaką często nosili inspektorzy podatkowi albo komornicy. Na jego twarzy malował się wyraz świadczący o tym, że mężczyzna ma do spełnienia misję, której wagi wręcz nie sposób przecenić.

– Czy to pan nazywa się Lando Calrissian? – zapytał, gdy znajdował się jeszcze o kilka kroków od stolika. – Szukam pana od dobrych kilku dni. Muszę przyznać, że nie ułatwia mi pan pracy.

Podszedł bliżej.

Lando zorientował się, że nie zdoła niepostrzeżenie wymknąć się tylnymi drzwiami. Siedzący obok niego Han uniósł brwi. Obaj mężczyźni przebywali w klubie, chcąc odpocząć po przeżyciach i uspokoić nerwy przed długimi przesłuchaniami, jakim wkrótce miała poddać ich komisja naczelnego dowództwa sił Sojuszu. Na nieszczęście w klubie obsługiwano tylko bardzo ważnych urzędników i do picia podawano wyłącznie bezalkoholowe, bardzo słodkie napoje. Han i Lando powoli sączyli swoje, starając się za bardzo nie grymasić.

Lando słyszał pogłoski, że usiłuje go odszukać inspektor podatkowy, ale aż do tej chwili udawało mu się go unikać. Obawiał się, że może ścigać go jakiś dłużnik. Mogło chodzić też o skargę w związku z porzuconym przez niego przedsiębiorstwem eksploatacji gazów tibanna na Bepinie albo kopalnią ciekłych metali, którą niedawno stracił na Nklonie.

– Tak, w końcu mnie pan odnalazł – westchnął Lando. – Czego pan sobie życzy? Tu, w Imperial City mogę znaleźć najlepszego adwokata w całej galaktyce.

– To nie będzie konieczne – odezwał się inspektor. Zamaszystym ruchem położył ciężką walizeczkę na blacie stołu, a potem zaczął majstrować przy jej cybernetycznym zamku. – Pozbędę się tego z prawdziwą ulgą.

Uchylił wieko walizki, a jej wnętrze rozjarzyło się tysiącami iskier. Inni goście przebywający w sali klubowej odwrócili się i wpatrywali w zawartość walizeczki.

Jej wnętrze było wypełnione po brzegi starannie ułożonymi w przegródkach kosztownymi, załamującymi światło brylantami i chryzoprazami.

– Przybywam z planety Dargul, a to jest nagroda, którą ufundowała księżna Mistal za odnalezienie jej ukochanego małżonka, Dacka. Może pan kazać je ocenić, ale powiedziano mi, że te klejnoty są warte około miliona kredytów. Dochodzi do tego walizeczka, która kosztuje następne czterdzieści.

Lando patrzył, pochylony nad walizką, nie mogąc oderwać spojrzenia od jej zawartości.

- Milion? – zapytał w końcu.
- Milion plus czterdzieści za walizeczkę.
- Ale przecież miałem otrzymać tylko połowę tej sumy.

Inspektor sięgnął do kieszeni.

– Zapomniałem oddać panu ten drobiazg. To tabliczka z wiadomością dla pana od Slisha Fondine’a, właściciela toru przeszkód dla purchlaków i stajni, w której pomógł pan pochwycić małżonka księżnej, Dacka.

Wręczył Calrissianowi niewielką prostokątną płytkę.

Lando obrócił ją w palcach i zmarszczył brwi, a potem przesunął paznokciem po zagłębieniu znajdującym się w środku. Z cichym trzaskiem puściło zabezpieczenie, a Lando ustawił tabliczkę w ten sposób, żeby obie zagięte połowy opierały się o blat stołu.

Nad powierzchnią ukazał się niewielki holograficzny wizerunek właściciela stajni purchlaków.

– Witam pana, panie Calrissian. Ponieważ słucha pan mojego głosu, mogę sądzić, że otrzymał pan i swoją nagrodę. Z przyjemnością oświadczam panu, że pańskie sugestie, by nie wykonywać wyroku śmierci na przestępcy o nazwisku Tymmo, okazały się korzystne dla wszystkich zainteresowanych. Księżna Mistal była tak zachwycona odzyskaniem małżonka, że nie tylko nalegała, by wypłacić panu całą nagrodę, ale nawet zgodziła się sfinansować budowę całkiem nowego toru przeszkód dla purchlaków tuż obok już istniejącego na głównym stadionie Umgull City. Zatrudniamy właśnie najlepszych inżynierów i zlecamy im zaprojektowanie jeszcze trudniejszych przeszkód nowej trasy, która na życzenie księżnej Mistal zostanie nazwana „torem Dacka”.

Przekazuję zatem panu te brylanty i chryzoprazy w nadziei, że zechce pan wykorzystać tę nagrodę jak najmądrzej. Dlaczego nie miałby pan przylecieć na Umgull, by postawić jakieś sumy na wyścigach? Z przyjemnością będę gościł pana na swoim torze.

Wizerunek rozplątał się w powietrzu, a Lando z otwartymi ustami wpatrywał się w skarb w środku walizeczki.

Han roześmiał się i gestem zaprosił niskiego inspektora, żeby zajął miejsce przy stoliku.

– Niech pan przyłączy się do nas i coś wypije. Prawdę mówiąc, może pan spróbować tego – powiedział, wskazując swoją szklanę. – Jeżeli o mnie chodzi, za dużo w tym cukru.

Inspektor pokręcił głową, a wyraz dumy nie zniknął z jego twarzy.

– Nie, bardzo dziękuję – odparł. – Nie sądzę, by mi smakowało. A poza tym muszę zająć się innymi obowiązkami.

Po tych słowach odwrócił się i wyszedł z sali.

– Co zamierzasz zrobić z tą górą forsy? – zapytał Han. – Nadal chcesz zainwestować coś w kopalnię przyprawy?

Lando oprzytomniał i, nie kryjąc zakłopotania, odparł:

– Nie cierpię tego mówić, ale kiedy Moruth Doole oprowadzał nas po swoim przedsiębiorstwie, jego możliwości wywarły na mnie duże wrażenie. Przyprawy można przecież używać w innych, o wiele szlachetniejszych celach – weźmy chociaż na przykład leczenie chorób psychicznych, przesłuchiwanie przestępców, porozumiewanie się z przedstawicielami obcych ras, a nawet wspomaganie artystycznych zdolności czy rozrywkę. Myślę, że i ty to wiedziałeś, gdyż inaczej nie zajmowałbyś się kiedyś przemytem tego specyfiku.

– Jest w tym trochę prawdy – przyznał Han. Wyobraźnia Calrissiana nie pozwoliła mu jednak na tym poprzestać.

– Nie widzę także powodu, dla którego wydobywaniem przyprawy mieliby zajmować się niewolnicy – ciągnął. – Wiele operacji mogłoby zostać zautomatyzowanych. Nawet jeżeli w czeluściach kopalni czai się więcej takich energożernych pajaków, w najgłębiej położonych tunelach można byłoby posługiwać się super-zimnymi androidami. Nie potrzeba do tego dużych sum. Nie widzę w tym problemu.

Han obdarzył go sceptycznym spojrzeniem, pociągnął łyk słodkiego napoju, a potem zacisnął wargi.

– Uhm – mruknął.

– A poza tym rozglądam się za nowym statkiem – dodał Lando. – Musiałem zostawić „Ślicznotkę” na Kessel, a nie sądzę, bym kiedyś ją odzyskał. Jak myślisz, co powinienem teraz zrobić?

Widząc rozgorączkowane spojrzenia pozostałych gości, Lando zatrzaskał opancerzone wieko walizki.

– No cóż, mimo wszystko to coś wspaniałego wiedzieć, że się jest znów wypłacalnym!

– Wszyscy na pokład! – zawołał Wedge Antilles znajdujący się w ogromnym hangarze kosmoportu Imperial City. Jego okrzyk odbił się echem od ścian lądowiska. – Przygotować się do startu!

Ostatni specjaliści Nowej Republiki w dziedzinie kolonizacji i instruktorzy organizacji życia na nowych światach wciągali właśnie bagaże po rampie ogromnego wahadłowca. Ich dziewięćdziesięciometrowej długości statek zajmował większą część towarowego lądowiska, ale musiał być taki duży. Grupa odlatujących ludzi miała zabrać kolonistów ze skazanej na zagładę Eol Sha wraz z resztkami dobytku, a także przetransportować zapasy żywności i sprzętu, żeby mogli założyć nową kolonię na Dantooine.

Wedge nadzorował ostatnią część tej operacji, więc co chwilę coś sprawdzał na ekranie podręcznego komputera. Miał teraz ciekawszą pracę niż burzenie gmachów zrujnowanych podczas wojny – przynajmniej na razie. Cieszył się, że będzie mógł znów latać, choćby tylko ospałym transportowym wahadłowcem, a nie myśliwcem.

Wiedział jednak, że w przyszłości czekają go trudniejsze obowiązki. Admirał Daala na czele swojej floty składającej się z trzech imperialnych gwiazdnych niszczycieli dokonała spustoszeń w systemie gwiazdym Kessel, a potem zniknęła w nadprzestrzeni. Nowa Republika wysłała najlepszych zwiadowców z zadaniem odszukania miejsca jej schronienia. Han twierdził, że Daala chce dokonywać partyzanckich wypadów i zamierza wyskakiwać z nadprzestrzeni, by pustoszyć przypadkowe światy. Był pewien, że nieobliczalna Daala nie będzie postępowała zgodnie z żadnymi regułami. Od tej chwili Nowa Republika musi się mieć na baczności.

Chewbacca nalegał, by oddziały okupacyjne Nowej Republiki wyprawiły się do Laboratorium Otchłani, by uwolnić więzionych tam Wookiech. Najwyższe dowództwo sił zbrojnych Sojuszu pragnęło także zapoznać się z planami i prototypami innych urządzeń, jakie mogły powstać w tajnych wojskowych laboratoriach imperialnych. To tyle, jeżeli chodzi o odpoczynek i zebranie sił do dalszej pracy – pomyślał Wedge. – Już wkrótce sprawy mogą przybrać bardzo ciekawy obrót.

Teraz jednak jego zadanie polegało na przetransportowaniu kolonistów z Eol Sha w bezpieczne miejsce, w którym mogliby rozpocząć nowe życie.

Kiedy wszystko zostało sprawdzone, Wedge zauważył Gantorisa. Przywódca kolonistów z Eol

Sha stał samotnie obok sterty pojemników z towarami ustawionych pod ścianą. Chociaż sprawiał wrażenie wysokiego i silnego, wyglądało na to, że nie wie, jak zareagować na start statku, który wkrótce odleci, żeby ocalić jego ludzi.

– Nie martw się! – zawołał do niego Wedge. – Lecę zabrać twoich ziomków na nową planetę! Przeżyli tyle wybuchów wulkanów i trzęsień ziemi, że po tym wszystkim Dantooine wyda im się istnym rajem!

Gantoris kiwnął głową, ale zmarszczył pozbawione brwi czoło.

– Pozdrów ich ode mnie – powiedział.

Wedge pomachał mu ręką.

– A ty zacznij studiować i zostań najlepszym ze wszystkich nowych rycerzy Jedi!

Luke zajął się głęboko w oczy Kypa, szukając w nich esencji umiejętności Jedi. Młody człowiek zamrugał, ale nie spuścił oczu ani nie odwrócił głowy.

– Czy boisz się, Kyp? – zapytał go Luke.

– Trochę. A powinienem?

Luke przypomniał sobie, jak kiedyś chełpił się przed Yodą, że wcale się nie boi szkolenia Jedi, jakiemu miał zostać poddany wkrótce potem. „Będziesz się bał, młodzieńcze”, oświadczył mu wówczas Yoda. „Ha. Będziesz”.

Han przerwał ich rozmowę, z rozmachem kładąc dłoń na ramieniu Kypa.

– Powinieneś tam być i widzieć, jak chłopak prowadził wagonik w absolutnych ciemnościach tunelu kopalni przyprawy – powiedział. – A później jak z zamkniętymi oczami przeprowadził nas przez labirynt Otchłani. Mówię ci, Luke, ten chłopak ma duże zdolności.

Luke kiwnął głową.

– Ja też zamierzałem dokonać tej samej sztuki, gdybym musiał się schronić tam przed flotą Kessel. Dobrze wiem, jakie to trudne.

– Czy to znaczy, że przyjmiesz mnie do swojej akademii Jedi? – zapytał Kyp. – Chcę nauczyć się korzystać z siły, jaką jestem obdarzony. Kiedy zamknięto mnie w celi pod pokładem gwiazdowego niszczyciela, przysiągłem sobie, że już nigdy nie będę tak bezradny.

Luke wyciągnął urządzenie zasilające i podłączył do niego dwa srebrzyste czytniki kryształów, przypominające małe wiosła. Imperialni oprawcy używali kiedyś tych skanerów do identyfikacji ukrywających się rycerzy Jedi.

– Przekonajmy się najpierw, co pokaże ten skaner – powiedział Luke, rozplątując przewody, a później wyciągnął ręce i przytrzymał czytniki na wysokości ramion Kypa. – To nie będzie bolało – dodał. – W ogóle niczego nie poczujesz. To urządzenie zbada tylko potencjał twoich zmysłów.

Kiedy nacisnął przełącznik na obudowie zasilacza, ciało Kypa otoczyła cienka warstwa pomarańczowoczerwonego światła. W powietrzu nad pulpitem kontrolnym pojawił się zmniejszony i odwrócony obraz świecącej warstwy, a obok niego kolumny różnobarwnych liczb i znaków będących wynikami cyfrowej analizy potencjału Kypa.

Po chwili obraz przemienił się w niewielki holograficzny wizerunek młodzieńca, który otaczała świetlista, jasnoniebieska aureola, taka sama jaką Luke widział u innych osób obdarzonych zdolnościami Jedi. Aureola Kypa jednak to świeciła silniejszym blaskiem, to przygasiała. Przenikało ją także dziwne drżenie, miejsca jaśniej świecące przeplatały się z ciemnymi, a czasami pośród błękitnych iskier pojawiały się czerwone, jakby cały wizerunek chciał poplątać się i zagmatwać.

– Jak myślisz, co to znaczy? – zapytał Kyp.

– Nic takiego. Wszystko w porządku, prawda? – Han widocznie bardzo chciał, żeby jego protegowany został przyjęty do akademii.

Luke zadumał się, ujrawszy ten dziwny odczyt. Nie wiedział, jak go zinterpretować. Pulsowanie natężenia światła mogło być wynikiem uszkodzenia imperialnego urządzenia. Prawdopodobnie ze skanerem nie obchodzono się delikatnie, wskutek czego wszystkie odczyty mogły być obciążone dużym błędem. Było także możliwe, że z powodu wielu lat przeżytych w nieustannym napięciu Kyp nie odzyskał jeszcze pełni umiejętności.

– Masz w sobie silny potencjał, chłopcze. Bardzo silny – odezwał się w końcu, a Kyp westchnął z prawdziwą ulgą. – Pozwól teraz, że poddam cię jeszcze jednej próbie.

Wyciągnął ręce i dotknął ciemnych kręconych włosów na czubku głowy młodzieńca.

– Pozwól mu zrobić to, co musi – szepnął Han, zwracając się do Kypa. – Zaufaj mu, chłopcze.

Luke tymczasem zamknął oczy i wysłał delikatną myślową wiązkę ku tylnym płatom mózgu Kypa, gdzie drzemały prymitywne emocje i odruchy, a właściwie nie było miejsca na świadome myśli. Potem musnął odosobniony węzeł odpowiadający za podświadomość. Napał trochę silniej...

...I nagle stwierdził, że coś odrzuciło go do tyłu z tak dużą siłą, że przeleciał w powietrzu kilka metrów niczym piórko, niesione porywistym wichrem na Bepinie. Z trudem usiłując złapać oddech, wylądował na plecach w przeciwnym kącie.

Kiedy starał się oprzeć na łokciu, Han i Kyp pospieszyli, by mu pomóc. Luke pokręcił głową, jakby chciał otrząsnąć się z oszołomienia.

– Przepraszam! – odezwał się Kyp. – Tylko że nie wiem, co zrobiłem! Wcale tego nie chciałem. Naprawdę!

– Co się stało? – zapytał Han. – Co to znaczy, jeżeli chodzi o Kypa?

Luke zamrugał, a potem niepewnie się uśmiechnął.

– Nie martwcie się o mnie – powiedział. – To ja sam wyzwoliłem tę reakcję. – Potrząsnął głową.

– Kyp, naprawdę dysponujesz zdumiewającą siłą!

Wstał i uścisnął dłoń młodzieńca.

– Z największą przyjemnością przyjmę cię w poczet uczniów mojej akademii – oznajmił. – Mam nadzieję, że zanim osiągniesz pełnię umiejętności, będę wiedział, jak sobie z tobą radzić.

Epilog

Luke Skywalker, Mistrz Jedi, stał na samym wierzchołku wielkiej świątyni na czwartym księżycu planety Yavin.

W dole widział opustoszałą komnatę tronową i ogromną salę audiencyjną. Jej otwarte świetliki przepuszczały promienie słońca. Luke, odziany w nowy płaszcz Jedi, oparł dłoń na rękojeści zawieszzonego u pasa świetlnego miecza, czując, jak przenika go miłe ciepło. Nad ścielącą się pod nim gęstą dżunglą snuły się opary pełne aromatycznych, korzennych woni.

Starożytne ruiny, jakie pozostawiła po sobie rasa obcych istot, Massassów, były kiedyś kamiennymi, prostopadłociennymi budowlami, później jednak pochłonęła je nienasycona dżungla. Luke stał na szczycie zigguratu o kształcie piramidy, który w czasach, kiedy Rebelianci mieli tu tajemną bazę, pełnił funkcję punktu obserwacyjnego.

Niemal całą wolną przestrzeń na niebie wypełniała jasnopomarańczowa kula planety Yavin. Ten gazowy gigant skutecznie chronił kiedyś bazę Rebeliantów. Działo się to w czasach, kiedy Gwiazda Śmierci zajmowała pozycję na orbicie i szykowała się do strzału z superlasera mogącego niszczyć całe planety. Rebelianci opuścili bazę na Yavinie przed wielu laty, dużo kamiennych budowli znajdowało się jednak w zupełnie dobrym stanie.

Nowa Republika nie mogła przeciwstawić spodziewanym łupieskim wypadom Daali i sile ognia jej trzech gwiazdnych niszczycieli wyłącznie potęgi własnej floty. Jeżeli chciała skutecznie się bronić, rozpaczliwie potrzebowała usług grupy strażników, dzięki którym można byłoby utrzymać pokój w galaktyce.

Luke zamierzał jak najszybciej zgromadzić na księżycu, kogo mógł: nie tylko Gantorisa i Streena, ale Kypa Durrona i Marę Jade, a nawet kilka czarodziejek z Dathomiry, Kama Solusara i pozostałych, z którymi zetknął się od czasów pamiętnej bitwy o Endor. Będzie musiał też zdwoić tempo poszukiwań innych osób, które mogły być obdarzone umiejętnościami Jedi. Musiał mieć jak najwięcej kandydatów.

Najwyższe piętra niektórych budowli Massassów miały płaskie dachy, nie pochłonięte przez dżunglę i tak duże, że Luke mógł wylądować na jednym z nich swoim statkiem. Na przestronnym tarasie świątyni, który kiedyś służył wojskom Rebeliantów jako pas startowy, spoczywał teraz wysłużony, stary myśliwiec typu X należący do Luke'a, stygnąc w wilgotnym powietrzu, jakie napływało z dżungli.

Kiedy Mon Mothma i Leia zaproponowały, żeby Luke zajął opuszczoną bazę Rebeliantów na Yavinie Cztery, natychmiast wyraził zgodę.

Chcąc rozpocząć prawdziwe szkolenie, musiał najpierw przypomnieć sobie ćwiczenia, jakie wykonywał na Dagobah pod czujnym spojrzeniem Yody, a także praktyczne sztuczki, których zaczął uczyć go Obi-Wan Kenobi. Luke dysponował również starodawnym holocronem Jedi, wideoholograficzną bazą historycznych danych, którą Leia zabrała z twierdzy wskrzeszonego Imperatora. Przestudiował też informacje zawarte w tajnym skarbcu starożytnej wiedzy, którą dawni mistrzowie Jedi ukryli na Dathomirze. Miał do dyspozycji wiele narzędzi, a jego przyszli uczniowie

możli kiedyś być obdarzeni dużą władzą.

A jednak się martwił. Jeżeli jeden z jego uczniów – albo nawet kilku! – przeszłoby na ciemną stronę, czy miałby tyle sił, by nakłonić ich do powrotu? I kto był owym „mężczyzną spowitym całunem mroku” ze snów Gantorisa, grożącym mu, że później go zniszczy?

Spoglądając na obszary porośnięte dżunglą, zauważył ciemne szerokie aleje, ślady szalejących pożarów, które kiedyś strawiły duże połacie tropikalnych lasów. Roślinność księżycy nie dała jednak za wygraną i zadane jej rany bardzo szybko się goiły. Gęste zarośla niebieskolistnych krzewów wydzielających ostre wonie, drzewa Massassów i pnące paprocie wykorzystywały każde wolne miejsce, tworząc ciągnący się jak okiem sięgnąć nieprzenikniony gąszcz, z którego wystawały tylko tu i ówdzie wierzchołki zrujnowanych świątyń.

Pozostawione przez rasę obcych istot budowle najprawdopodobniej kryły własną sekretną wiedzę i tajemnice. Luke zamrugał, czując Moc otaczającej go przyrody, pełną nieznanymi cudów i niespodzianek. Nie mógł się doczekać, kiedy sprowadzi tu uczniów.

Pomyślał, że nigdzie nie znalazłby lepszego miejsca na założenie akademii, w której będzie mógł kształcić członków nowego zakonu rycerzy Jedi.